

— MISTRZOWIE SF I FANTASY —

NIK PIERUMOW

*Imperium
ponad wszystko
tom II*



**Czaszka
na niebie**



PIERUMOW NIK

Imperium ponad wszystko 02:

Czaszka na niebie

NIK PIERUMOW
Czierep na niebiosach
Imperium ponad wszystko tom 2
Przekład: Ewa Skórska
Wydanie oryginalne: 2004



Wydanie polskie: 2005

Vixi et, quem dederat cursum fortuna, peregri;

Et nunc magna mei sub terras ibit imago.

*Żyłam, przebiegłam tę drogę, którą dała mi Fortuna,
teraz mój wielki pod ziemię pójdzie cień.*

Publiusz Wergiliusz Maron Eneida, IV

przeł. Zygmunt Kubiak, PIW, 1987

Wiadomości imperialne:

Triumfalny ryk fanfar. Dźwięki atakują membrany niczym głodne zwierzęta. Na ekranie płachta imperialnego, czerwono-biało-czarnego sztandaru, pośrodku Orzeł z Wieńcem i Słońcem. Głos spikera przepelniony nieopisaną powagą, jakby czytający przez cały czas miał ochotę stanąć na palcach i wyskoczyć ze swoich wyczyszczonych na wysoki połysk lakierowanych pantofli.

--W dniu dzisiejszym o godzinie jedenastej zero zero czasu stołecznego rozpoczęła się wizyta Jego Imperatorskiej Wysokości, Cesarza Wilhelma III, w Akademii Sztabu Generalnego. Jego Imperatorska Wysokość obejrzał sale zajęć, nową bibliotekę akademii, kompleks sportowy oraz odbył przechadzkę po parku. Następnie Jego Imperatorska Wysokość wystąpił z tradycyjną przemową przed absolwentami akademii, którzy w czasie tych niespokojnych dni rozjeżdżają się do jednostek.

Na ekranie szeroki korytarz akademii, wiekowy parkiet wypastowany do blasku. Spiker mówi teraz przyciszonym głosem:

--Przekazywana z pokolenia na pokolenie legenda głosi, że parkiet ten ułożono z desek zdobytych w merostwach podbitych stolic: Warszawy i Kopenhagi, Paryża i Pragi, Oslo i Belgradu...

W tym momencie spiker przerywa parkietowe sensacje i przechodzi na oficjalny, uroczysty ton:

--Nadajemy fragmenty przemowy Jego Imperatorskiej Wysokości...

Aula akademii. Mroczne, gotyckie sklepienia, otynkowane białe ściany poprzecinane brązowymi drewnianymi belkami. Wymyślnie rzeźbiona katedra, również bardzo stara, z imperialnym orłem w wieńcu laurowym. Środek wieńca wygląda dość dziwnie; można by pomyśleć, że to, co niegdyś się tam znajdowało, zostało starannie usunięte i zastąpione tarczą wschodzącego słońca. W głębi sceny, na tle ciemnozielonej kotary nieruchome postacie w

czarnych mundurach ze srebrnymi akselbantami. Rozlegają się fanfary. Zza prawej kulisy wylaniają się czterej oficerowie ochrony w czerni, z bronią w pogotowiu, a między nimi z godnością kroczy chudy mężczyzna w podeszłym wieku. Niewysoki, mniej więcej sześćdziesięcioletni, ma na sobie mundur wojsk pancernych. Nad lewą kieszenią -- szereg baretek. Mężczyzna nosi pagony pułkownika z dwoma cztero kątnymi rombami i cyfrą 1 między nimi -- Imperator tradycyjnie piastuje stanowisko honorowego dowódcy 1. Pancernego Pułku 1. Dywizji Pancерnej Reichswehry. Słychać szum. Niewidoczne audytorium jak jeden mąż wstaje z miejsc, a w chwilę później głoшnik omal nie pęka od zgodnego ryku setek gardel:

--Heil der Kaiser! Heil der Kaiserreich!

Imperator wchodzi na trybunę. Odwraca się do audytorium i z uśmiechem wyrzuca do przodu rękę w słynnym rzymskim powitaniu. Szczupły, siwe włosy obcięte krótko, po wojskowemu, na twarzy głębokie bruzdy zmarszczek, cienka linia bezbarwnych ust, władczy podbródek.

--Mein Herren, dziękuję za to serdeczne powitanie. W tej trudnej godzinie dało mi to nadzieję. Nie, nie nadzieję i nawet nie wiarę, lecz absolutną pewność, że z takimi oficerami, i naturalnie żołnierzami, nasze niewzruszone Imperium musi zwyciężyć.

Grzmot oklasków, okrzyki: „*Sieg Heil!*”

--Ale przed nami dni próby. Panowie oficerowie, jesteście ciałem i krwią armii naszych walecznych sił zbrojnych. To właśnie na was spoglądają teraz z nadzieją farmer i rzemieślnik, pracownik w fabryce i inżynier przy monitorze. Wiecie, że po tragicznych wydarzeniach na planecie Omega-8 wprowadziliśmy w naszym Imperium stan wojenny. Zaczęły działać jego liczne, bardzo surowe prawa. Ale nie wszystkie. Moglibyśmy aktywować cały pakiet tych surowych praw. Moglibyśmy pozbawić spokojnych obywateli ich swobód i możliwości -- a wszystko w imię zwycięstwa. Ale czy właśnie tego potrzebujemy? Nie sądzę. Z takimi oficerami jak wy, nie, nie i jeszcze raz nie!

Owacja. Krzyki: „*Niech żyje Imperator!*”

--Ograniczyliśmy się do stanu wojennego, nie wprowadzając twardego reżymu stanu wyjątkowego ani tym bardziej stanu oblężenia. Nie ukrywam, że wiele osób w Bundestagu na to nalegało. Stan wyjątkowy utrzymujemy wyłącznie w Ósmym Sektorze, gdzie jest teraz trudniej i niebezpieczniej niż gdziekolwiek indziej.

Imperium jest silne, silne takimi oficerami jak wy, a także tymi, którzy znaleźli się teraz na pierwszej linii, broniąc spokojnego snu naszych współobywateli. Jesteśmy silni. I dlatego nie zgodzimy się na żadne pertraktacje z buntownikami. Proponowaliśmy i proponujemy nadal, by przerwać ten bezsensowny rozlew krwi, rozpędzić nielegalne formacje militarne, złożyć broń i dobrowolnie opuścić granice naszego Imperium. Wiemy, że to ich nie powstrzyma, ale gdy znajdą się poza granicami naszych planet, nie będą już mogli zatruwać świadomości młodzieży, nie zdołają pseudorewolucyjną retoryką popchnąć ich do czynów niezgodnych z prawem.

Oklaski.

--Silny może liczyć na coś więcej niż tylko swoje bagnety. Ogłaszam blokadę ekonomiczną tych planet, które zgodzą się przyjąć przywódców band.

Owacja.

--Do Ósmego Sektora zostaną wysłane dodatkowe oddziały i to właśnie wy, panowie oficerowie, poprowadzicie do walki nowe pułki i dywizje!... Może się też zdarzyć, że niczym

prości żołnierze będziecie musieli wziąć do rąk karabin i walczyć na pierwszej linii. Musimy być przygotowani na to, że do boju pójdą -- jak zawsze w decydujących momentach historii -- pułki oficerskie! Niech w tej godzinie oświetli was sława waszych przodków: Gebharda Leberechta von Blüchera, zwycięzcy samego Napoleona Bonaparte, Ottona von Bismarcka, który zjednoczył Niemcy, i feldmarszałka von Moltke, twórcy „mózgu armii”, Sztabu Generalnego!

--Bzdura -- powiedział człowiek siedzący przy stole naprzeciwko mnie. Powiedział to po rosyjsku, ale z silnym akcentem. -- Oficerów z Akademii Sztabu Generalnego nie wysyła się do walki na łapu-capu. Muszą najpierw pojechać do jednostek, żyć się z ludźmi, nauczyć się tych ludzi, stworzyć wzajemne relacje... Słyszałeś o czymś takim jak zgranie bojowe? Co nasza wysokość cesarz, żeby tak dostał zaparcia, chciał przez to powiedzieć? Jeśli na pierwszą linię rzuca się uczelnie albo połączone pułki oficerskie ze stołecznych akademii, nie trzeba być taktykiem, żeby zrozumieć, że jest źle.

--Nie -- zaprotestowałem. -- Przeciwnie, to znakomity ruch. Albo Imperator jest taki inteligentny, albo ma świetnych doradców.

--Dlaczego?

--Dlatego że wszyscy, albo prawie wszyscy, którzy umieją myśleć i analizować, dojdą do tego samego wniosku co ty. Że z Imperium jest już bardzo kiepsko, że dziury na froncie trzeba łączyć najlepszym „materiałem”, bo w przeciwnym razie wszystko się sypnie. Zwykle jednostki nie są pewne, w kompaniach niepokoje i tak dalej, i temu podobne. Przyznaj się, tak właśnie pomyślałeś?

--Hm... No, tak. -- Mój rozmówca niechętnie skinął głową. -- Pierwsza warstwa to wierzch. Druga to prawda.

--Jest jeszcze trzecia. Spójrzcie, jacy jesteśmy słabi. Popatrzcie, walczymy resztkami sił. Poświęcamy nawet oficerów Sztabu Generalnego. Posyłamy ich do walki jak zwykłą piechotę, innymi słowy: na rzeź. Wystarczy tylko jeszcze jeden wysiłek z waszej strony i upadniemy. No, dalej, rzućcie do gry wszystkie swoje atuty. Do końca. Musicie się jeszcze trochę wysilić!

--Ale skoro ty bez problemu odkryłeś tę trzecią warstwę, skąd pewność, że nie zrobią tego inni? -- Człowiek w masce pokręcił głową.

--Właśnie dlatego -- wyznałem -- podejrzewam, że jest tam również czwarta warstwa. Jak tylko do niej dotrzemy, dowiemy się, jakie naprawdę są plany Imperium.

Siedzący naprzeciwko mnie człowiek wstał zza stołu. Nosił ogromne, zasłaniające pół twarzy lustrzane okulary przeciwsłoneczne, zwykłą wojskową bluzę bez dystynkcji i emblematów dywizji czy armii. Spotkanie z nim kosztowało mnie i mojego ojca dobry miesiąc wysiłków -- i sporą sumkę. Nazywał się Konrad, w każdym razie takie imię podawał.

Tak, tak, jestem w domu od ponad miesiąca. Od trzydziestu dwóch dni mam nad głową niebo Nowego Krymu. Moje rodzeństwo nie wie, że wróciłem. Po historii na Szóstej Bastionowej brygady międzynarodowe wpadły w dziwne otępienie. Nie widziałem, czy przemiała pani Dark przeżyła razem ze swoim Kriwoszejewem, jednak ojciec, rozpoczynając swoje poszukiwania, do których nie uznał za stosowne mnie włączyć, z przekonaniem oznajmił, że ci lajdacy żyją. Szczerze mówiąc, miałem poważne wątpliwości. Moja bomba zawierała porządny ładunek, wywiadowcy ojca, którzy dostali się do Szóstej Bastionowej kilka dni później, stwierdzili, że w środku niemal wszystko zostało wypalone.

Ale działaliśmy, licząc się z tym, że mimo wszystko przeżyli.

Muszę przyznać, że ojciec wpadł we wściekłość, gdy usłyszał o tamtym moim strzale.

--Powinieneś był ją załatwić -- powtarzał przez cały czas, łapiąc się teatralnym gestem za głowę.

Milczałem. Co mogłem powiedzieć? Tak jest, stchórzyłem i nie chciałem brać grzechu na swoje sumienie. Ale przecież do uciekających powstańców na Sywaniu strzelałem bez zbytnich wyrzutów sumienia. Może dlatego, że tutaj, na Szóstej Bastionowej, nie było Dalki?

Tymczasem Imperium powoli, ale nieuchronnie ściągało wojska do buntowniczego sektora. Także tutaj, na Nowym Krymie, naród pełną parą szykował się do obrony.

A ja przez te wszystkie dni tkwiłem przed komputerem i przeglądałem kronikę niedawnych wydarzeń.

Oto informacja systemu obrony obywatelskiej: stwierdzono niezidentyfikowany obiekt, który pojawił się na orbicie planety. Meldunki obserwatorów: jak się okazało, nasz system kontroli ruchu pozaatmosferycznego na wysokich i niskich orbitach jest znacznie potężniejszy, niż wymaga tego dyspozytornia kosmodromu

i może pełnić zadania wczesnego wykrywania, klasyfikacji i obserwacji celu, nawet takiego, który ma minimalnie efektywną powierzchnię odbijającą. Obrona obywatelska to oczywiście eufemizm na określenie planetarnej organizacji paramilitarnej. Na podstawie postanowień traktatu z Imperium Nowy Krym miał własną policję kryminalną oraz oddział szybkiego reagowania o ograniczonej liczebności, umotywowany koniecznością walki z handlem narkotykami chemicznymi i elektronicznymi. Obrona obywatelska została oficjalnie utworzona „do walki z konsekwencjami globalnych i lokalnych katastrof naturalnych oraz technologicznych, likwidacji następstw tsunami, trzęsień ziemi, erupcji wulkanów oraz huraganów”. Do oddziałów ratowniczych należeli prawie wszyscy mężczyźni.

A więc ogłoszono stan gotowości. Skoszarowano mobilne oddziały ratowników, czyli -- używając starych terminów mobilizacyjnych -- pobór pierwszej kolejności. Brygady międzynarodowe oznajmiły, że całkowicie popierają stanowisko rządu Nowego Krymu oraz podjęte przez niego kroki i gotowe są niezwłocznie oddać pod jego komendę wszystkie swoje oddziały.

Jak się później okazało, wyszło dokładnie na odwrót. To nie brygady znalazły się pod kierownictwem rządu, lecz wszystkie siły Nowego Krymu stanęły pod sztandarami brygad.

Darianie Dark wystarczyło rozumu, żeby trzymać się w cieniu i nie pojawiać się w centralnych sieciach informacyjnych. Przypuszczam, że w tajemnicy przybyła na Nowy Krym znacznie wcześniej i przejęła dowództwo nad swoimi formacjami. Miejsca w rodzaju Szóstej Baterii Bastionowej najwyraźniej przygotowano zawczasu, gromadząc tam zapasy, broń i tak dalej. Pozostawało już tylko zająć umocnienia.

Potem do kroniki wtargnęły „macice”.

Zdjęcie panoramiczne, zdjęcia z orbity, meldunki stanowisk obserwacyjnych. Prawie na pewno fałszywka -- droga macic skończyła się przecież na Iwoldze. Ojciec mówił, że najprawdopodobniej zarodnik dojrzał w jednej z rzeczek Syberii, za tamą wzniesioną rękami współbojowników Dariany, a później gotowego potwora starannie i bez rozgłosu spuszczone do oceanu.

Ogromna macica płynie i majestatycznie zanurza się w naszym pięknym, intensywnie niebieskim tropikalnym morzu. Też fałszywka, zwykła symulacja komputerowa. Każdy obraz

można poddać takiej obróbce, że do odróżnienia imitacji potrzebna byłaby szczegółowa ekspertyza.

Kutry patrolowe idą z maksymalną prędkością i zanurzają się w wodzie aż po pokład. Rozbryzgi wody -- tuż obok macicy spadają lekkie pociski wykorzystywane zazwyczaj do odgonienia od lawic drapieźnych krakenów i zębatych wielorybów. Te zdjęcia są już prawdziwe. Załogi kutrów to na Nowym Krymie oddzielna kasta i członkowie brygad nigdy nie mieli tam większych wpływów. Jestem prawie pewien, że od tego momentu kronika jest prawdziwa.

Rzecz jasna, lekkie pociski nie mogły wyrządzić macicy żadnej krzywdy, kronika miała tylko jeden cel -- pokazać bohaterstwo strażników naszej planety.

Stwór osiadł na dnie oceanu, by cztery dni później wypełznąć na brzeg -- mniej więcej sto kilometrów od Nowego Sewastopola. Dziwnym zbiegiem okoliczności akurat w tym miejscu, gdzie mieściło się jedno ze starych umocnień typu Szóstej Bastionowej.

Walka pospolitego ruszenia z Nowego Sewastopola oraz brygad międzynarodowych z atakującymi potworami została zarejestrowana ze wszystkimi możliwymi szczegółami -- to miło, że reporterzy mogli sobie spokojnie kręcić, bez obaw o własne życie.

Morze rozstąpiło się, fale zawrzały i z piany na przybrzeżny piasek wyszły znajome z Iwołgi hordy. Ale skrzydlate bestie nie pojawiły się wcale, a te, które deptały różowy piasek plaży, wyglądały, jakby stworzono je wyłącznie po to, by ludzie mogli je szybko uśmiercić.

Przyznaję, że tutaj również nie brakowało szponów i zębów, a gdy zielonobrazowa fala potworów dotarła do pospolitego ruszenia, krwi i oderwanych kończyn też było pod dostatkiem -- kamery chyba specjalnie wybierały najbardziej drastyczne ujęcia i sceny. Cekaemy członków brygady kosily nacierające na nich niezliczone zastępy wyszczerzonych zębatych paszcz i rogowych grzebieni, padali chłopcy i dziewczęta, młodzi ludzie, którzy nie zdążyli nawet zająć swojego miejsca w szeregu. Ich zabójcy ginęli również, trafieni pociskami odłamkowymi.

Heroiczna walka trwała do zmroku. Gdy nad polem bitwy zapłonęła wieczorna zorza, Dariana Dark, niczym doświadczony reżyser, dodała ostatnie dramatyczne ujęcie. Muszę przyznać, że była to scena godna mistrza. Wszystko wyglądało jak w solidnie zrobionym melodramacie.

Serie z cekaemów oczyszczają drogę członkom brygad. Kilkunastoosobowa grupa wyskakuje z okopów z okrzykiem: „Hura!” i rzuca się do przodu, najwyraźniej planując samobójczy atak. Pięści same mi się zaciskały, gdy widziałem, jak dzieciaki dobiegały do macicy. Nie mogłem się zorientować, jakie mieli granatniki, choć oglądałem te ujęcia po dziesięć razy. Tak czy inaczej, pancierz macicy, ten pancierz, z którym nie mogła poradzić sobie ciężka artyleria oddziałów imperialnych, uległ granatnikom. Rzecz jasna, nie od razu. Pociski kumulacyjne waliły w jedno miejsce, na garstkę śmiertelników ze wszystkich stron nacierały liczne kraboraki i rakostwory, wydawało się, że to już koniec -- i w tym momencie pancierz macicy jednak się poddał. Dzieciaki z granatnikami padały, strzelając do ostatniej chwili i osłaniając chudziutką blondynkę ze śmiesznymi warkoczykami, która, gdy została w końcu sama, wzięła potężny zamach i wrzuciła do dziury w boku macicy jakiś metalowy, podłużny, pomalowany w zielone plamy przedmiot...

Sekundę potem jasne warkoczyki pokryły się krwią, która chlusnęła z przeciętych

potworną siłą arterii i drobna postać w szarej szturmówce zlamala się w pół, niczym krucha zabawka w nieostrożnych dziecięcych rękach, a chwilę później zniknęła w chmurze wybuchu. Pocisk, który wrzucono do środka macicy, faktycznie budził respekt.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że tę samą operację można było przeprowadzić bez całego tego dramatyzmu. Wiedziałem, że posyłanie na śmierć kwiatu młodzieży Nowego Krymu, czyli ślepo wierzących Darianie Dark dzieciaków gotowych za nią umrzeć, najlepiej w męczarniach, było zbędne. Ale Dariana potrzebowała efektownego, krwawego widowiska -- pamiętacie, jak to idzie, „...sprawa jest pewna, jeżeli spod niej sączy się krew” -- i nie zawahała się. Mieszkańcy planety ujrzeli niebывały spektakl i po tej akcji autorytet brygad w ogóle, a 6. Międzynarodowej w szczególności stał się absolutnie niepodważalny.

A Dariana Dark nadal trzymała się w cieniu, nie pokazywała się publicznie, nie brała udziału w uroczystościach z okazji rzekomego zwycięstwa. Bez pośpiechu, ale też bez zbędnej zwłoki przygotowywała swój arsenał. Nowy Krym w nowo powstałej Federacji miał, jak sądzę, odegrać rolę „stoliczka-nakryj się”. Morza naszej planety mogłyby wykarmić bardzo wielu ludzi, na szelfie występowały przecież nie tylko delikatesowe polżuny, ale również zwyczajne ryby, wzgardzone przez nasze trawlerzy. Osiemdziesiąt procent produkcji żywności dawały gospodarstwa morskie, znacznie bezpieczniejsze z punktu widzenia ekologii, jednak gdyby rozkręcić na całego połów w otwartym oceanie, planety-kopalnie nigdy nie zaznałyby głodu. Zwłaszcza jeśli zastępuje się produkcję frykasów, a rozpocznie wytwarzanie racji żołnierskich. Oczywiście na jakiś czas, póki na Nowym Krymie nie zacznie się dziać Bóg wie co...

A żeby się nie zaczęło, musiałem działać natychmiast. To znaczy, natychmiast po otrzymaniu dokładnych informacji...

Nasz atak na Szóstą Bastionową narobił sporo szumu. Nielatwo ukryć strzelaninę z dziesiątków luf, w dodatku tuż pod bokiem stolicy. Nie sposób zataić faktu śmierci ludzi przed ich towarzyszami.

Ale muszę przyznać, że nie doceniliśmy Dariany. Dark nie próbowała zatuszować całej sprawy. Przeciwnie, atak na Szóstą Bastionową w jednej chwili stał się głównym tematem wiadomości. „Faszystowscy slugusi i zdrajcy sprawy wolności”, bo na nich zwalono całą tę akcję, usiłowali „tchórzliwie, podle i podstępnie” zaatakować stary fort, przygotowywany do odpierania potencjalnych ataków ewentualnej inwazji wojsk imperialnych. Atak kolaborantów został odparty z dużymi stratami przeciwnika, jednak poległo też wielu mężnych obrońców Nowego Krymu. Przez cały czas grożono „podaniem do wiadomości publicznej nazwisk zdrajców”, ale na razie żadnych otwartych działań przeciwko nam Dariana nie przedsięwzięła. Wyraźnie nie wiedziała, co robić; na razie fantazji wystarczyło jej tylko na uroczysty pogrzeb „poległych bohaterów Szóstej Bastionowej”.

Nie zdecydowała się na otwartą konfrontację z ojcem, chociaż w sieciach już rozpoczęto kampanię przeciwko niemu. Za każdym razem, gdy nazwisko Jurija Fatiejewa pojawiało się w wiadomościach, wiązało się z czymś szaleniem negatywnym. W przeciwieństwie do innych znamienitych obywateli, Fatiejew nie spieszy się z oddaniem części swoich bajecznych bogactw na rzecz sprawy wolnościowej; nie wiadomo, w jakim celu trzyma własną, uzbrojoną po zęby armię, a przy tym nie zamierza oddać swoich oddziałów pod kontrolę legalnych władz; zresztą czego można się spodziewać po człowieku, którego pierworodny syn służy w najobrzydliwszej esesmańskiej dywizji Totenkopf...

Nie żywię żadnych ciepłych uczuć do Trupiej Głównki, ale muszę zauważyć, że mimo wszystko nie była „najobrzydlisza”. Jeśli chodzi o liczbę pogromów ludności cywilnej, znacznie wyżej punktowana była SS Galicja...

Wydawać by się mogło, że na razie wszystkie ataki Dark ograniczają się do sieciowej gadaniny, ale w Dumie już przygotowywano odpowiedni wniosek do prokuratora generalnego, a niedawno powstały komitet do spraw nacjonalizacji zaniepokoił się nagle efektywnym wykorzystaniem wielkich gospodarstw morskich, skupionych w rękach osoby prywatnej, niedokonujących masowych dostaw dla sił zbrojnych Federacji.

Dariana działała z godną podziwu konsekwencją.

Ojciec nie komentował tych zarzutów. Rzecz jasna, z powodu zerwania stosunków z Imperium nie mógł ogłosić, że jego starszy syn zdezerterował. Nie miał również zamiaru likwidować swojej małej armii, bo w każdej chwili mogliśmy spodziewać się ataku.

Wszystkie kroki, które podjęto przeciwko nam, układały się w bardzo konkretny schemat. Wyczuwało się tu wyjściowy rozkaz Dariany Dark, ale nie zauważało jej osobistego doszlifowania operacji.

Mieliśmy niewiele czasu. Wkrótce Dariana okrzepnie i zmężnieje, a wtedy przestanie się z nami cackać. A już na pewno nie odmówi sobie procesu pokazowego.

Ojciec nie pozostawiał tych wszystkich działań bez odpowiedzi. Podlegający mu pismacy odpowiedzieli kilkoma przepelnionymi żołądem demaskatorskimi artykułami. Trzeba przyznać, że czego jak czego, ale kompromitujących materiałów nigdy ojcu nie brakowało. Nie wiem, jakim cudem udawało mu się samemu przejść tę rzekę suchą stopą, ale fakt pozostaje faktem: w sieci pojawiły się nagrania przedstawiające wysoko postawionych dostojników, którzy albo zajmowali się seksem z nieletnimi płci obojga, albo belkotali coś bez sensu w stanie narkotycznego upojenia, albo... I mimo najszczerzych chęci, nikt nie mógł znaleźć nic na ojca, wszystkie zaś protesty, że nagrania są fałszywe, rozbiły się o oceny niezależnych ekspertów. W takiej sytuacji prokuratura mogła zrobić tylko jedno -- wszcząć śledztwo, a Darianie pozostawało tylko zgrzytać zębami ze złości. Nic nie mogła nam zrobić, dopóki przestrzegala reguł gry. Jakież to musiało być kuszące -- ogłosić, że cała Duma Nowego Krymu to sprzedawczyki i skorumpowani agenci Imperium, przepędzić ją na cztery wiatry, razem z sądem, prokuraturą, kolegium adwokackim, niezależną grupą ekspertów, izbą rewizyjną, arbitrażem i tak dalej. Pociągająca wizja, nie powiem, ale na razie Duma oraz inne instytucje trzymały stronę Dariany, więc gdyby się je rozgoniło, na planecie doszłoby do starcia zbrojnego -- a imperialni tylko na to czekają. A wówczas zarówno obywatele Nowego Krymu, jak i członkowie brygad międzynarodowych wypełnią ładownie statków katorżniczych zmierzających na Swaarg.

Tego dnia, w którym zaczęliśmy poszukiwania siedzącego teraz przede mną człowieka w lustrzanych okularach, ojciec z krzywym uśmiechem sięgnął do sejfu i wyjął stary notatnik. Nie ręczny komputer, nie elektroniczny notes, lecz papierowy notatnik w wytartej, skórzanej, jasnobrązowej okładce, z wytłoczonym na niej dwugłowym orłem. Rogi okładek miały metalowe okucia; notatnik najwyraźniej nie należał do tanich -- Nowy Krym nigdy nie cierpiał na nadmiar bydła i skóra zawsze była tu droga.

--Starzy przyjaciele -- powiedział ojciec, krzywiąc się brzydko i otwierając poźółkle, wypełnione notatkami kartki. Szczerze mówiąc, omal nie rozdziawiłem ust ze zdumienia,

czyżby ojciec przechowywał ściśle tajne informacje w taki właśnie sposób, na papierze, niechby nawet zaszyfrowane? -- Różne mogą być szyfry, synu -- uprzedził ojciec moje pytanie. -- Jedni tworzą wielopoziomową ochronę komputerową, tylko po co, skoro imperialni specjaliści złamią każde hasło? Ale są stare, sprawdzone szyfry, che, che... o których zapomnieli nawet w Służbie Kryptograficznej Jego Imperialnej Wysokości. Przecież wiesz, jakie są metody imperialnych, jak oni ufają wszelkim maszyneriom... Wystarczy przypomnieć sobie choćby twoją przygodę z wykrywaczem kłamstw. To samo tutaj...

--Co chcesz zrobić, tato?

--Już powiedziałem: będziemy szukać starych przyjaciół. Wiele osób nie zaakceptowało wówczas mojej decyzji odejścia z „nieprzejednanych”. Nie wszyscy złożyli broń. Ale też nie wszyscy poszli za Dark i jej podobnymi. Podzielałem twoje podejrzenia, Rus, że tak zwane legalne brygady międzynarodowe działają pod szczelnym kloszem Geheime Staatspolizei, a raczej przez długi czas imperialni święcie w to wierzyli. A jednak wewnątrz pozornie kontrolowanego ruchu nadal funkcjonowali zajadli ekstremiści w rodzaju Dariany. Ale byli również tacy, którzy walczyli z nami ramię w ramię, choć później z różnych powodów nasze drogi się rozeszły. Będą nam potrzebni ludzie i to nie tyle bojownicy, co informatorzy; ci, którzy zdołają nam powiedzieć, co się dzieje tu i ówdzie... Dlatego właśnie tak zaciekawiał mnie jeden moment w twojej opowieści -- zmienił nagle temat. -- Wasza przygoda na Zecie-5. Gdy kolumna bwp wpadła w tę niby-zasadzkę w lesie. Pamiętasz?

--Co za pytanie, ojcze. Oczywiście, z najdrobniejszymi szczegółami.

--I co to było, twoim zdaniem?

Wzruszyłem ramionami.

--Myśla, że to kolejny nieudany eksperyment Dariany, w rodzaju tego, który przeprowadziła z lemurami, próbując wziąć je pod kontrolę.

Ojciec pokręcił głową.

--Nie, nie. Jak ty to zinterpretowałeś? Zwalileś wszystko na coś niewytłumaczalnego, na fluktuację... Pamiętam, wszystko pamiętam. Ale zjawiska paranormalne, niewyjaśnione nie zdarzają się, a przynajmniej nie powinny się zdarzać na wojnie, jeśli coś takiego jednak ma miejsce, należy wyciągnąć z tego korzyść. Obawiam się, że ta sytuacja nie miała nic wspólnego z Darianą. To lemury oraz ich szczególne właściwości. Niedobrze, że tak nonszalancko odpuściłeś sobie ten epizod.

--Tato, nie miałem kiedy...

--Zgadza się -- westchnął ojciec. -- Ale wywiadowca nie może sobie pozwolić na stwierdzenie „nie miałem kiedy”. Jesteśmy słabi i dlatego, jak uczył Xunzi, musimy wykorzystać każde niestandardowe rozwiązanie. Rozumiesz mnie?

Skinąłem głową.

--Chcesz się dowiedzieć, co to był za fenomen, a także, w miarę możliwości, wykorzystać go?

Ojciec klasnął w ręce.

--Chwała Bogu! Nareszcie do ciebie dotarło. Nie mamy prawa wzgardzić taką możliwością. Cały pluton okazał się niezdolny do walki i można go było zlikwidować bez najmniejszego problemu!

--Ale mój oddział nie stracił przytomności -- zaprotestowałem.

--To również wymaga zbadania -- oznajmił ojciec tonem nieznoszącym sprzeciwu.

--Tato, odnoszę wrażenie, że mamy do załatwienia znacznie pilniejsze sprawy...

--Owszem, ale jak wiadomo, to właśnie ostatnia kropla przepelnia czarę. Nie mogę i nie chcę marnować żadnej, nawet najmniejszej szansy znalezienia tej kropli. I właśnie dlatego podzwonię do starych przyjaciół...

Oczywiście, pojęcie „dzwonić” należało do zamierzchłej przeszłości. Ojciec rozsyłał wiadomości. Pewne kanały kontaktów z Imperium istniały nadal, mimo najprzeróżniejszych blokad, a statki przemytników dalej przybywały po nasze połuny i ośmiornice.

Do kogo ojciec pisał i co było w tych listach, pozostało tajemnicą nawet dla mnie.

--Jeśli mimo wszystko nas rozgryzą, nie chcę, żebyś zdradził tych ludzi, nawet wbrew sobie, choćby z tego powodu, że nie zdążysz w porę umrzeć -- rzekł. -- Zwykle preparaty psychotropowe nie powinny na ciebie podziałać, ale kto ich tam wie, tych oprawców z Geheime, co wymyślili w ostatnich latach?...

Mężczyzna w czarnych okularach -- Konrad -- zgodził się na spotkanie od razu. Niegdyś „nieprzejednany”, pozostał nieprzejednany do dziś. Miał własną organizację, niewielką, ale dobrze zakonspirowaną. Prócz swoich normalnych obowiązków, jego ludzie nie gardzili nawet stricte mafijnym zarobkiem, rzekomo w imię szczytnych celów. Ojciec poinformował mnie o tym ze źle ukrywanym wstrętem.

--Ale to nasi jedyni sprzymierzeńcy, Rus -- dodał. -- Przyznaję, że niezbyt pociągający, ale na to już nic nie poradzimy. Tym bardziej, że zamaskowali się idealnie na zwykły klan mafijny, choć podejrzewam, że bandyckie metody zdobywania pieniędzy i przejmowania cudzych interesów powoli wypierają walkę ideową. Reszta zaszła się zbyt głęboko, nie udało mi się nikogo odnaleźć.

--A więc porozmawiamy z tymi, którzy są -- zdecydowałem.

I rozmawialiśmy.

Konrad zgodził się na spotkanie i, łamiąc wszystkie pisane i niepisane zasady konspiracji, specjalnie przybył na Nowy Krym pierwszym oficjalnym rejsem nowej „kompanii tranzytu kosmicznego” Wolność. Na zdobytych imperialnych statkach pasażerskich pospiesznie zamalowano Orła z Wieńcem i Słońcem, i teraz w tym miejscu na żółtym polu rozpościerał skrzydła czarny żuraw.

Federacja Trzydziestu, nowo powstała „wolna republika demokratyczna”, utworzona przez trzydzieści „niezależnych” planet, które ogłosiły odłączenie się od Imperium wraz z Nowym Krymem, pospiesznie zaopatrywała się we wszelkie atrybuty państwowości. Na niepodległych planetach znajdowały się zakłady produkcyjne oraz złoża rud. To prawda, że panowały tam surowe warunki życia, że na planetach-kopalniach ludzie żyli pod kopułami. Ale w skład Federacji wchodził przecież Nowy Krym, a gdyby jeszcze udało się zająć Sylwanię, otrzymalibyśmy niezależny ekonomicznie twór polityczny...

Przyznaję, że w tym punkcie na chwilę się zawahałem. Czy nie o tym właśnie marzyliśmy? Jeśli Federacja Trzydziestu okrzepnie, nawet Imperium trzy razy się zastanowi, zanim zacznie otwartą interwencję. Rynek jest wystarczająco pojemny, a do czasu normalizacji stosunków możemy się w zupełności obejść bez imperialnego eksportu, nawet jeśli Imperium uda się całkowicie zamknąć drogę przemytnikom, w co osobiście niezbyt wierzyłem.

Wystarczyłoby skończyć z żądnymi władzy psychopatami „na górcie” brygad

międzynarodowych, odnaleźć i zlikwidować zapasy biomorfów, by nastąpiła powszechna szczęśliwość.

A jednocześnie miałem absolutną pewność, że macice nie zostawią nas w spokoju. Wojna potoczyła się inaczej, niż pierwotnie planowaliśmy, pewnie nawet plany Dariany Dark zostały pokrzyżowane. To, co zobaczyłem wtedy w kazamatach Szóstej Bastionowej stanowiło najlepszy dowód; szkoda, że nie mogłem tego obrazu pokazać szerszej publiczności.

Gdzieś w głębi kosmosu szykowano potężną inwazję. My, ludzie, lubimy tworzyć straszne bajki -- o pojawieniu się rasy niszczycieli, którzy, nie wdając się w zbędne dyskusje i nie przedstawiając żadnych żądań, po prostu unicestwiają wszystko na swojej drodze, dając nam w ten sposób prawo do likwidowania ich bez chwili wahania. Wróg idealny, którego zawsze tak bardzo potrzebujemy...

Ale to tylko bajki. Obcy, z którymi nawiązaliśmy kontakt (albo ci, którzy nawiązali kontakt z nami), nie wyróżniali się patologiczną manią starcia ludzkości z powierzchni ziemi, a jednak wszystkie obce rasy traktowaliśmy jako potencjalnych przeciwników. Naszych najbliższych sąsiadów, lądowe ośmiornice Dbigu, uznano za najbardziej prawdopodobnych agresorów; druga aktywna rasa w pobliżu naszego Ósmego Sektora, Slime, też nie gardziła ekspansją zewnętrzną i pasjonowała się przekształcaniem biosfery planet. A przy tym podczas pertraktacji zachowała się bardzo elastycznie, zademonstrowana im zaś moc ziemskiej broni zrobiła na nich spore wrażenie. Techniczna droga rozwoju cywilizacji też ma swoje plusy...

Teoretycznie Slime mogli stać za „macicami”. Nie znaleźliśmy wprawdzie szczegółów dostępnych naszym sąsiadom biotechnologii, ale antygravitacja? O nic podobnego nigdy nikt ich nawet nie podejrzewał. Czyżby jakiś supertajny projekt? Bardzo możliwe. Osobiście bym tego nie wykluczył, ale mój wewnętrzny biomorf podszeptował, że Slime nie mają z tym nic wspólnego.

Wróg przybył z głębi i miałem nieodparte wrażenie, że to właśnie my, ludzie, jesteśmy na jego celowniku. Nie ośmiornice Dbigu, nie dziwne, przypominające wielkookie borsuki Slime, lecz właśnie my. Ale dlaczego? Przecież wojny nie prowadzi się ot, tak sobie. Wojna ma zawsze ściśle określone i zrozumiałe cele. Nie zdziwiłaby mnie inwazja naszych najbliższych sąsiadów -- świadomość, zżyta z wyuczoną historią wojen, protestowała przeciwko ostatecznemu wykluczeniu z listy podejrzanych zarówno ośmiornic, jak i borsuków... Ale nieznany wróg, nienawiązujący kontaktu, podrzucający swoje nieprawdopodobne technologiczne prezenty brygadam międzynarodowym?... Ci, którzy nazwą mnie wariatem, będą mieli rację. A jednak byłem pewien, że imperialny Sztab Generalny nie ma żadnej linii strategicznej. Reichswehra reagowała chaotycznie, starając się parować ciosy wroga, ale nie uprzedzała ich, a już tym bardziej nie potrafiła przejść do kontrataku. Żadna obrona nie powstrzyma macic. Los 1. Dywizji Pancерnej na Iwoldze dowiódł tego wystarczająco jasno.

--Czego właściwie ode mnie chcesz, Rusłanie? -- Człowiek w masce nadal siedział naprzeciwko mnie, przyglądając mi się spokojnie, jakby nie zaniepokoiła go moja opowieść oraz wszystkie przedstawione okoliczności. -- Moja organizacja nigdy nie przerwała walki o niezależność pogranicznych planet. Potrzebujesz sprzymierzeńców? Powiedz wyraźnie, co konkretnie chcesz osiągnąć, przynajmniej na pierwszym etapie operacji.

--Moje chęci zależą od wielu rzeczy -- zacząłem ostrożnie. -- Między innymi od twojej gotowości do pewnej zmiany stylu życia.

--Załóżmy, że jestem gotów -- rzucił krótko mężczyzna. -- Co dalej?

--Dalej? Cóż, przede wszystkim potrzebujemy informacji. Informacji o przywódcach brygad międzynarodowych, wiadomości z otoczenia Dariany Dark, która według nas w wielu momentach działała na własną rękę, no i, rzecz jasna, informacji z imperialnego Sztabu Generalnego.

--A osobistych zeznań Jej Wysokości Imperatorowej na temat ulubionych pozycji seksualnych Imperatora czasem nie potrzebujesz? -- Człowiek w masce uśmiechnął się.

--Nie potrzebuję -- powiedziałem sucho. Nie lubię sprośnych żartów, nawet o wrogach. -- Chcesz przez to powiedzieć, że byłbyś w stanie zdobyć również takie informacje? Masz informatorów wśród osobistych sług cesarza?

Konrad prychnął.

--Wybacz, Rusłanie, ale o takich sprawach, jak posiadanie czy też nieposiadanie informatorów w tych czy innych miejscach, ludzie mojego zawodu nie mówią głośno.

--Wnioskują z twojej reakcji, że łatwiej zdobyć informacje z sypialni cesarza niż z centrum dowodzenia brygad.

--Dokładnie -- odparł krótko mój rozmówca. -- Dzisiejsze brygady międzynarodowe to takie gniazdo żmij, że w porównaniu z nimi Geheime Staatspolizei czy Służba Bezpieczeństwa Wewnętrznego i kontrwywiad Imperium to pensja dla panienek z dobrych domów. Rozłam... dobrze powiedziałem?...pojawił się również dlatego, że... Ale w tym momencie musiałbym ci udzielić pewnej informacji, a przypominam, że jeszcze nie zapłaciliście mi za przyjazd tutaj. -- Zachichotał.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni. Dla lepszego efektu ojciec wydał mi książeczkę czekową w kosztownej oprawie z cienkiej skóry z tłoczonym złotym monogramem.

--Ile jestem ci winien, Konradzie?

--Dziwni z was ludzie. -- Nad maską pojawiły się uniesione w zdumieniu brwi. -- Kompletnie nie rozumiecie żartów. Szczerze mówiąc, liczę na coś więcej niż tylko zwrot kosztów przelotu, zwłaszcza że żarcie było okropne. Nie to, co u was... Ale wracajmy do tematu. Zgodnie z moimi informacjami, brygady znajdują się jednocześnie pod skrzydłami Innere Sicherheitsdienst*, czyli kontrwywiadu, gestapo oraz osobistej służby ochrony cesarza. Słyszałem też, że wydział wywiadowczy Sztabu Generalnego również przejawiał zainteresowanie brygadami. To chyba dla ciebie nie tajemnica, że samo powstanie brygad stało się możliwe dopiero po przyjęciu pod naciskiem kontrwywiadu strategii „kierowanej opozycji”. Innymi słowy, brygady to miejsce dla niezadowolonych, którzy mogą spuścić tu trochę pary w formie bezpiecznej dla Imperium.. dla Imperium w ogóle, a nie dla jego poszczególnych poddanych.

Konrad zrobił znaczącą przerwę.

Wiele z tego, co mówił, już wiedziałem, ale...

--Z tego wniosek, że struktury opozycyjne znajdują się pod kontrolą aż trzech resortów siłowych. Zdaje się, że muszą tam mieć straszny bajzel.

--Dokładnie tak. -- Mój rozmówca skinął głową. -- Każda ze stron myśli, że to właśnie ona kontroluje sytuację, podczas gdy pozostałe... Rozumiesz? Mało tego, nie wykluczam, że brygady mogą być równie dobrze wykorzystywane przez owe służby specjalne do walki między sobą, w konkretnych okolicznościach zaś przez niektóre kręgi arystokracji, gdyby nagle zachciało im się zmienić swój status w państwie.

--Oddział uderzeniowy, który można w każdej chwili, w dodatku bez żalu, puścić pod nóż?

--Otóż to.

--Dość wysublimowana gra -- wyraziłem wątpliwość.

--W stolicy Rzeszy dzieją się nie takie rzeczy. -- Konrad machnął ręką.

--Opowieści opowieściami. -- Mój rozmówca lubił popisywać się swoją wiedzą, ale ja potrzebowałem czegoś innego. -- Mnie jednak interesują informacje. Informacje z samej górki brygad międzynarodowych, z otoczenia Dariany Dark.

--Mogą być i informacje. -- Konrad nie zawahał się nawet na chwilę. -- Ciebie i twojego czcigodnego ojca będzie to sporo kosztowało, ale jeśli się za to weźmiemy, informacje będą rzetelne. Zresztą sądzę, że nasza renoma jest ci znana.

Skinąłem głową.

--Informacje od Dariany Dark trudniej zdobyć niż te z centrum. W ostatnim czasie Dark sporo podróżowała, ciągnąc ze sobą niewielką grupę operacyjną. Ale na świecie nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli będą pieniądze...

--Pieniądze są.

--Nie wątpię. Jurij Fatiejew nie zwróciłby się do mnie, gdyby nie miał wystarczającej rezerwy finansowej -- uśmiechnął się Konrad. -- Dwa tygodnie po otrzymaniu zaliczki dostaniesz pierwszą wiadomość.

--Mam nadzieję, że nie w stylu: „Przystępuję do pracy”?

--Za kogo ty nas bierzesz? Oczywiście, że nie. Wiadomość będzie właściwą wiadomością, czyli tą informacją, której tak potrzebujesz. Ja nie pytam, po co ci to, a ty nie pytasz o moje źródła.

--Pytanie nie miałoby sensu. -- Wzruszyłem ramionami. -- Najprawdopodobniej uaktywnisz

kogoś z dawnych informatorów z otoczenia Dariany. Masz za mało czasu, żeby przygotować prawdziwą wtyczkę z czystą kartą.

--Skoro sam rozumiesz, w czym rzecz, tym bardziej nie będziemy o tym rozmawiać. --

Teraz z kolei Konrad wzruszył ramionami. -- Tak jak powiedziałem, dwa tygodnie.

--Deszyfracja?

--Jeśli się dogadamy, kontrakt będzie obejmował również mój zestaw szyfrów. Mam go nawet przy sobie.

Skinąłem głową.

--Umowa stoi, Konradzie.

--Przyjemnie mieć do czynienia z ludźmi, którzy wiedzą, czego chcą. -- Jeszcze jeden uśmiech. -- Zamówione przez ciebie informacje będą kosztować...

--Zaczekaj. -- Podniosłem rękę. -- Niewykluczone, że będę potrzebował jeszcze jednej usługi. Może to nastąpić tak nagle, że nie zdołamy nawiązać kontaktu.

--Co to za usługa? Porwanie księżniczki Margrety?

--Nie. Sprawa jest bardziej skomplikowana.

--Ach tak? No?

--Znaleźć i unieszkodliwić przywódców brygad międzynarodowych.

--Czyli, mówiąc po prostu, zlikwidować? -- Mój rozmówca spróbował się uśmiechnąć, ale nie zdołał ukryć zdumienia.

--Jak sobie życzysz. Zanim zdążą sprowokować Imperium do inwazji.

Konrad zawahał się. Poglądził dłonią włosy. Pokręcił głową i odezwał się -- teraz już zupełnie innym tonem:

--Ruslanie, jak zapewne wiesz, znałem Darianę osobiście. Ona wszystko dokładnie wyliczyła. Imperium nie zdecyduje się na wojnę. Stracili Iwołgę, to, co dzieje się na tej planecie jest utajnione na poziomie epsilon i nie mam... na razie nie mam -- poprawił się z godnością -- żadnych informacji. Ale jeśli to, co powiedziałeś, jest prawdą... wówczas macice powinny pojawić się znowu. Nie zrozumiałem tylko jednej rzeczy: gdy udało się zniszczyć macicę, czy znaleziono antygravitator?

Pokręciłem głową. Dobre pytanie. W zamęcie walki pewnie nikt o tym nie myślał...

--Zapewniam cię -- uśmiechnął się Konrad -- że zarówno gestapo, czyli kontrwywiad, jak i służba ochrony cesarza starannie przeczesały wszystkie miejsca zniszczenia macic, jeśli tylko mieli taką możliwość. Pod Peenemünde mogli to zrobić bez przeszkód, prawda?

Skinąłem głową.

--A na Iwołdze również zniszczono kilka macic. Znasz okoliczności ich zniszczenia? W jaki sposób, jaką bronią? Nie wiesz? No właśnie. W ręce wywiadu imperialnego mogło wpaść jedno czy dwa takie urządzenia...

--No i co? -- nie wytrzymałem. -- Przecież w rękach człowieka antygravitatory są bezużyteczne. Mówiłem ci.

--Świetnie pamiętam, co mówiłeś. Ale imperialni jeszcze o tym nie wiedzą...

--Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

--Do tego, że imperialny kontrwywiad z charakterystycznym dla siebie zamilowaniem do przygód może przekonać najwyższe władze Imperium, Sztab Generalny, a nawet samego cesarza, że konieczne jest zebranie jak największego pakietu danych o inwazji. I że zbadanie

tej technologii może dać nieprawdopodobny bodziec rozwojowi ziemskiej nauki. A zatem „inwazja kontrolowana”, jako analogia do „kierowanej opozycji”, musi trwać. Mało tego, dzięki temu Imperium upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu. Jeśli macice skończą z „buntem Trzydziestu”, z tą nowo powstałą Federacją, nie zajdzie potrzeba wysyłania wojsk.

--Przecież to szaleństwo! -- wykrzyknąłem. -- Jaka znów kontrolowana inwazja! Jeśli nawet macice oczyszczą z ludzi trzydzieści planet w Ósmym, Dziewiątym i Jedenastym Sektorze, co później Imperium zrobi z tą enklawą?!

--To już zupełnie inna kwestia. -- Człowiek w masce roześmiał się. -- Założmy, że kontrwywiad liczy, iż najpierw dogłębnie zbadają wroga, a dopiero potem zadadzą cios. Nie dywizjami pancernymi czy korpusami desantowymi, lecz wirusami bojowymi. Wirusami, bakteriami, grzybami. Pasożytami specjalnie przystosowanymi do wojny z potworami. Stara, dobra metoda „wojny światów”. Herbert Wells... pamiętasz takiego prokreatora broni bakteriologicznej?

--To niemożliwe. Imperator nigdy na to nie pozwoli.

--Cesarz nie musi o tym wiedzieć -- oznajmił mój rozmówca. -- Wystarczy umieścić dobry filtr na drodze docierających do niego informacji.

--Dajmy spokój tym ponurym wizjom -- powiedziałem posępnie. -- Zgadzasz się pomóc w tej prostej i konkretnej sprawie?

--Dostarczanie dokładnych informacji to jedna sprawa, zneutralizowanie górki brygad druga, a likwidacja ich ośrodka opozycji... o, to już zupełnie co innego. Dariana Dark stanowiła podstawę tego ośrodka, do którego wchodziły przecież nie tylko brygady. Ale skoro nalegasz... mogę to zrobić. Podobna operacja będzie jednak kosztowała bardzo, bardzo dużo, Ruslanie.

--Domyślam się. O wiele więcej niż zwykle dostarczanie informacji?

--Powiedz mi najpierw, jakimi środkami dysponujesz. Znam przybliżoną sumę aktywów twojego czcigodnego ojca, ale ile możesz przeznaczyć na tę operację?

--Zawsze wydawało mi się, że...

--Że okażę się idiotą, który porwany patriotycznymi ideami pośle na śmierć swoich ludzi tylko dlatego, że tobie na tym zależy? Nie, mój drogi. Co to, to nie. Mam własne metody, prowadzę własną walkę. Właśnie przygotowujemy oddzielenie się... prawdziwe oddzielenie od Imperium i to nie żalosnych trzydziestu planet, lecz trzystu, na całej naszej granicy. Szykujemy prawdziwe wyzwolenie. Brygady w niczym nam nie przeszkadzają. Chcesz, żebyśmy je zlikwidowali? Pięknie. Nieobecność brygad również nam nie zaszkodzi. Ale za to trzeba zapłacić. Moja cena brzmi: czternaście milionów trzysta pięćdziesiąt tysięcy marek. Imperialnych marek, rzecz jasna.

--Robi wrażenie. Szczególnie dokładność tej kwoty. -- Skinąłem głową.

--Nic dziwnego. Nie jesteśmy bandytami. Jesteśmy „zorganizowaną gwarancją” i nie podnosimy swojego zysku powyżej pewnego rozsądnego procentu. Krótko mówiąc, Ruslanie, jeśli potrzebujesz tylko informacji, będzie cię to kosztować trzy miliony osiemset tysięcy marek. Ale absolutne i całkowite „wykarczowanie”... Tak jak powiedziałem, czternaście milionów z groszami. Przemyśl to. Moja cena jest ostateczna i nie podlega targom. Wiesz, gdzie mnie szukać. Będę tu jeszcze przez trzy dni. Morze jest wspaniałe, a takich restauracji rybnych jak u was nie ma w całym Imperium. Szkoda by było, gdyby to wszystko przepadło...

Wstał gwałtownie, skłonił się krótko i wyszedł.

Ojciec był wściekły. Szalał i pieklil się.

--Łajdaki! Co za łajdaki! -- powtarzał, przemierzając gabinet długimi krokami.

--Ależ, tato... Czego właściwie się po nich spodziewałeś? Ataku szaleńczego patriotyzmu?

--Zniżki przez wzgląd na stare dzieje -- burknął ojciec. -- Prawie cztery miliony marek w gotówce, przecież to czyste szaleństwo! I to jedynie za najbardziej minimalne minimum! A za całkowite rozwiązanie problemu czternaście milionów! Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że...

--Od takich jak on nie należy spodziewać się zniżek -- przerwałem tę oburzoną tyradę. Ojciec westchnął i pokiwał głową, uspokajając się powoli. Delikatnie przesunął dłonią po glansowanej skórze oparcia starego fotela, na którym tak lubilem siadać w dzieciństwie, wyobrażając sobie, że siedzę za sterami szturmowca...

--Masz rację, Ruslanie, masz rację... Poza tym trzeba przyznać, że mimo wszystko Konrad podzielił się pewnymi interesującymi spostrzeżeniami. Tymi o antygravitatorach i kontrolowanej inwazji. Gorące głowy Imperium mogą wypróbować taką strategię.

--To nie strategia. To bagno -- powiedziałem ponuro.

Gabinet ojca oświetlała jedynie lampa stołowa. Była noc, ale wiedziałem, że ojciec ma jak zwykle, uruchomiony system ochrony przed podsłuchem i podglądem.

--Ale na razie i tak nie mamy nic lepszego -- zauważył ojciec.

--W jakim sensie?

--Nie wolno nam nie doceniać kontrwywiadu...

--Nie wolno -- przerwałem ojcu. -- Ale już raz się przejechali, gdy stwierdzili, że wykrywacz kłamstw jest jedynym i ostatecznym rozwiązaniem wszystkich problemów. Dziwię się, że jeszcze zostawili jakichś oficerów operacyjnych.

--To prawda. -- Ojciec uniósł pojednawczo dłoń. -- Jednak nadal nie mamy kompletnych informacji. I wołałbym...

--Oczywiście, niedocenywanie wroga... i tak dalej. Żeby tylko przecenienie go nas nie zastraszyło.

--Strasznie jesteś dzisiaj drażliwy. -- Ojciec uśmiechnął się. -- Pomilcz przez chwilę i posłuchaj. Zastanawiałem się nad tym... i podobnymi rzeczami... przez ostatnie dwadzieścia lat. Jeśli nie więcej.

--No i co? -- W moim głosie pojawił się sarkazm. To nie w porządku. Nie powinienem.

--Prawdopodobieństwo, że imperialny kontrwywiad naprawdę wprowadzi w życie teorię inwazji kontrolowanej, jest większe od zera. To wariant numer jeden. Antygravitatory są zdobyczą, dla której zarówno wewnętrzna służba bezpieczeństwa, jak i gestapo z radością oddadzą na pożarcie dwie albo trzy planety. Ale Dariana! Nie zawahała się, nie bała skorzystać z tego „prezentu”...

--Tato, powiedzmy sobie szczerze, że to akurat najslabsze miejsce wszystkich naszych teorii.

--Dlaczego, synu? Znam Darianę, to awanturnica jakich mało. Wspominałem ci już, że nigdy nie umiała myśleć strategicznie.

--Tato, gdy opowiedziałem całą tę historię Konradowi, wszystko mi się poukładało. I teraz myślę, że opowieść Kriwoszejewa była absolutną fantastyką. Przesyłka. Prezent. Jak w starej piosence: „I przyleci czarodziej błękitnym helikopterem...” W pewnych konkretnych miejscach

ludzie badają biomorfy i właśnie tam, z zachwycającą precyzją, trafia tajemnicza i jakże użyteczna „przesyłka”, w dodatku z wyjaśnieniem, jak z niej skorzystać... Poza tym, jeśli wierzyć w to, co usłyszeliśmy, antygravitatorów było zaledwie pięć. A potem z nieba zaczęły spadać następne, i znowu zostały podrzucone ludziom Dariany. Ojcie, mówileś, że oboje z mamą długo dyskutowaliście, próbując rozwiązać tę zagadkę... czy nie widzisz, że wersja Kriwoszejewa jest szyta grubymi nićmi?

--Myślisz, że kłamał? -- Ojciec uniósł brwi.

--Nie. Moim zdaniem sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Prawdopodobnie Kriwoszejew jest szczery, tylko po prostu nie wie wszystkiego.

--Chcesz powiedzieć -- rzekł ojciec mrużąc oczy -- że nasz Jegor Fiodorowicz jedynie powtarza to, co mu powiedzieli? Że nie widział tego na własne oczy i...

--Tato... przecież ty najlepiej wiesz, gdzie on bywał i czym się zajmował dwadzieścia lat temu!

--Nie dwadzieścia, tylko trochę więcej -- mruknął ojciec. -- Byliśmy wtedy naprawdę bardzo młodzi.

--Otóż to. W jaki sposób takim, hm, młodym gniewnym udało się przeprowadzić tak skomplikowaną operację jak rozesłanie biomorfów różnym uniwersytetom? Sprawić, by dotarły one do sprawdzonych, godnych zaufania ludzi piastujących wysokie stanowiska, którzy mogli przeprowadzić prawdziwe badania? Opozycja istniała już wtedy, prawda? Ale przecież nie mogła...

--Byliśmy najbardziej aktywnym ogniwem. -- Westchnął. -- „Nieprzejednani”. Najmłodszy. Oczywiście, prócz nas było wielu działaczy, ale niewielu z nich jeszcze żyje... Właśnie ich próbowałem odszukać.

--A odpowiedział ci tylko Konrad.

--Zgadza się. -- Ojciec skinął głową. -- Ci, którzy badali biomorfy na innych planetach, nieciekawie skończyli. Niemal wszyscy zginęli w zagadkowych okolicznościach. Niektórzy zdążyli się ukryć. Słyszałem, że ludzie Dariany odnajdywali i likwidowali zdrajców aż na Wewnętrznych Planetach. Podobno nawet na Ziemi.

--Wróćmy do antygravitatorów. Ty ich nie widziałeś, prawda?

--Prawda.

--Z opowieści Kriwoszejewa wynika, że agregaty przyleciały same, niczym anioły boże. Jegor mówił, że załączona była instrukcja wyjaśniająca, jak scalać antygravitator z macicą. Czy to znaczy, że zawsze i wszędzie, na Omedze-8, na Iwoldze, a nawet tutaj, to właśnie ludzie podłączali generator do macicy?

--Dobre pytanie. -- Ojciec pokiwał głową. -- Z tego, co mówił Kriwoszejew, to bezpośrednio nie wynika, ale... myślę, że ci nieznani nadawcy agregatów mogli dokładnie namierzyć odpowiedni uniwersytet i sprawić, by przesyłka trafiła w ręce właściwych ludzi, a to by znaczyło, że nie mają problemów ze zrzuconiem „niespodzianki” na wybraną planetę.

--Pod warunkiem że nie mylimy się jeszcze bardziej i że macice rzeczywiście potrzebują generatorów -- zauważyłem. -- Skoro już tworzymy szalone teorie, niechaj będą szalone do końca.

--A opowieść Kriwoszejewa?

--Tato... Według mnie w tym wszystkim nie chodzi o Jegora Kriwoszejewa czy nawet o

Darianę Dark. W ogóle nie chodzi o ludzi. To inwazja Obcych. Opowiadałem ci o swoich wizjach!

Ojciec posępnie spuścił głowę.

--Nawet nie chcę o tym myśleć. Abstrahując od spraw globalnych, muszę powiedzieć, że bardziej wierzę w teorię, że tak powiem, „przyslanego hardware'u". Wtedy staje się jasne, do czego Obcym, jeśli to byli Obcy, potrzebna jest Dariana i jej współpracownicy. W przeciwnym razie nie sposób wyjaśnić podrzucania antygravitatorów czy samych biomorfów, jeśli nie mnoży się bytów ponad konieczność. Jeśli macice są całkowicie autonomiczne i mogą startować i lądować na planecie bez dodatkowego wyposażenia, to po co im Dariana? Zmiotą ludzkość w ciągu kilku tygodni. Jeśli zadanie brzmi: „Zniszczyć homo", wystarczy wysłać nie dziesięć czy dwadzieścia, lecz sto tysięcy macic i po dumnym Imperium ludzi nie zostanie nawet mokra plama. Rozumiesz, Rus? Gdy mówiłeś o swoich wizjach... chmarach macic w otwartym kosmosie... Jaki byłby sens tak starannie dogranej współpracy z brygadami, jeśli nie konieczność zewnętrznej pomocy w celu zamontowania każdego pojedynczego antygravitatora?

--Po co im Dariana? Przyznaję, że to słabe miejsce w mojej teorii -- zauważyłem. -- Ale z tego by wynikało, że każda macica potrzebuje generatora. Jeśli się je przesyła, to...

--Poczekaj! Ojciec klepnął się w czoło. -- A jeśli antygravitatory są w określonych warunkach zdolne do autoreplikacji?

--Aha, jeśli karmi się je rzadkimi gatunkami stali stopowej, czy co one tam jedzą... Nie sądzę, tato. Trudno mi uwierzyć w tajemniczy kanał łączności z jeszcze bardziej tajemniczymi Obcymi, ale to mimo wszystko bardziej prawdopodobne niż autoreplikacja.

--„Jeśli się je karmi"... To grzech drwić sobie z rodzica. Ojciec żartobliwie pogroził mi palcem.

--Nie drwię, tato. Zastanawiałem się jakiś czas temu, jaka energia byłaby potrzebna do podniesienia w powietrze takiego kolosa. Skąd się ją bierze? Jeśli wierzyć Kriwoszejewowi, antygravitator powinien być wielkości czołgu szturmowego!

--Puszczając wodze wyobraźni, można dojść nawet do niewielkiej czarnej dziury. Albo ciągu mikrowybuchów jądrowych. A mnie przez cały czas dręczy myśl, że pierwsze macice faktycznie zainicjowano promieniowaniem twardym...

--Nie bardzo chce mi się wierzyć, że brygady są tak głęboko wciągnięte w tę historię z macicami -- przyznałem się. -- Pamiętam inkubatory na Omedze. Czyżby ludzie Dariany obchodzili każdy z nich i...

--Nie wydaje mi się. -- Ojciec pokręcił głową. -- Mogli na przykład otrzymać „przesyłkę" i potem po prostu umieścić antygravitatory w tych miejscach, w których planowali wyhodować swoje potwory.

--Otrzymać przesyłkę... Niedługo dojdziemy do tego, że Dariana osobiście napisała zamówienie... „Kochani Obcy, przyslijcie nam dziesięć generatorów niezbędnych do przeprowadzenia operacji wojskowej w takim a takim sektorze, na takiej a takiej planecie..."

--Racja. -- Ojciec uśmiechnął się stropiony. -- Przyznaję, że brzmi to niewiarygodnie. Ale przy założeniu, że Obcy są w stanie dokładnie określić miejsce podwyższonej aktywności biomorfów, to...

--To już zahacza o bezplodne teoretyzowanie -- stwierdziłem. -- Zrozumiałbym, gdyby

macice były niezdolne do międzygwiazdnych przelotów. Wtedy wszystko byłoby jasne. Ludzie byłiby potrzebni, żeby przenosić tę zarazę z planety na planetę. A tak wychodzą nam jakieś brednie...

--Niezupełnie. -- Ojciec szkicował coś na kartce, jego ołówek sunął urywanymi ruchami. -- Może liczba grawitatorów jest stała i niezmienna? Może to była pierwotna przesyłka?

--Kriwoszejew wspominał o setce i o tym, że po pierwszej przesyłce miały miejsce następne.

--Może tak, a może nie -- odpowiedział niestropiony ojciec. -- Setki macic jeszcze nie widzieliśmy.

Skinąłem głową.

--Zgadza się. Z Omegi wyleciało około dziesięciu... na zdjęciu robionym z satelity było sześć, ale zaokrąglam. I dziesięć runęło na Iwołgę.

--A jedna była u nas...

--Ale wyhodowana tutaj i chyba specjalnie „osłabiona”. Panczerze macic na Iwołdze stawiały opór nawet ciężkim pociskom! A tutaj jakieś prymitywne granatniki... Moim zdaniem Obcy wykorzystują oba rodzaje transportu. Tam, gdzie to możliwe, antygravitatory. Gdzie indziej zarodniki przewożą ludzie Dariany.

--Przy okazji... jak daleko ciągną się te „krecie nory”? -- zainteresował się ojciec.

--Astrofizycy nie są co do tego jednomyślni. Ale w grę wchodzi chyba nieduże odległości. Pamiętam, jak podawali w wiadomościach, że z Ósmego Sektora nie ma krecich nor do Wewnętrznych Planet.

--Też sobie znalazłeś wiarygodne źródło -- prychnął ojciec. -- Podawali w wiadomościach... Jak podaje agencja JBP...

--Jaka agencja?

--Jedna baba powiedziała! -- warknął ojciec. -- Skąd ta pewność? Powiedzieli tak wyłącznie po to, żeby nie doszło do paniki, to wszystko!

--Możliwe. Ale dlaczego nie założyć, że to prawda? Zwłaszcza że całkiem nieźle pasuje to do naszej teorii „podwójnego transportu”: ludzie i antygravitatory.

--Zupełnie nie rozumiem logiki tego przedsięwzięcia -- stwierdził ojciec. -- Po co te komplikacje i to przy takiej potędze?

Rozłożyłem ręce.

--Przyjmijmy w charakterze hipotezy roboczej, że logika Obcych jest odmienna od ludzkiej.

--Ironizujesz? -- prychnął ojciec. -- Dobrze, my tu sobie bujamy w obłokach, a pora wrócić do naszych połzunów -- zmienił gwałtownie temat. Odniosłem wrażenie, że rozmowa o Obcych zdenerwowała go. Ojciec zawsze był człowiekiem czynu. Z imperialnymi i Darianą Dark można walczyć na śmierć i życie: tamci dokładnie tak samo ginęli od naszych kul jak my od ich pocisków. Ojciec lubił wytyczać sobie realne cele i pewnie na tym właśnie polegał teraz jego błąd. -- Istnieje prawdopodobieństwo -- mówił, a jego palce to zaciskały się w pięść, to znowu prostowały, w napięciu uderzając w blat biurka -- że mimo strat na Iwołdze i Omedze-8 cesarz jednak zdecyduje się na likwidację Federacji siłą, i to mimo teorii kontrolowanej inwazji, synu. Po pogromie 1. Armii Panczernej Czwarta Rzesza nieco osłabła, w końcu zostawiła tam swoje najlepsze psy, ale to, co zostało, wystarczy w zupełności. Nie wiem, czy imperialni zwyciężą,

ale wiem, że przeleje się więcej krwi niż we wszystkich starciach z macicami razem wziętych. Albo Dariana liczy na to, że cesarz się nie zdecyduje, albo wierzy w potęgę macic...

--A tak naprawdę? Gdy mówisz w taki sposób, cały czas czekam na to twoje „a tak naprawdę”...

--A tak naprawdę będziemy musieli zapłacić za informację. I za odsunięcie w czasie imperialnej inwazji, która, moim zdaniem, jest nieunikniona.

--Masz zamiar dać temu bandycie czternaście milionów? -- Bylem wstrząśnięty.

--Początkowo poprzestaniemy na czterech bez dwustu tysięcy, a potem spróbujemy wytargować zniżkę dla hurtowników -- oznajmił sucho ojciec. -- Zostaw to mnie, ty nigdy nie miałaś żyłki do interesów. Najpierw informacje, a potem być może centrum i kierownictwo tych brygad, które są poza naszym zasięgiem. A górkę 6. Brygady Międzynarodowej zostawimy sobie. To zbyt łakomy kąsek, żeby oddawać go tym zabójcom. Najgorsze, że nie wiemy, co się teraz dzieje z Dark i Kriwoszejewem. Uruchomiłem.. próbowałem uruchomić również innych starych przyjaciół, ale w odróżnieniu od tego... biznesmena, oni naprawdę odsunęli się od tych spraw. O kryjówkach Dariany Dark wie tylko ona sama. A co mówi twój szósty zmysł?

Wzruszyłem ramionami.

--Szczerze mówiąc, milczy. A nie potrafię... nie jestem w stanie wyczuć macic oraz ich tworów z odległości setek kilometrów.

--A zew? -- zapytał ojciec po chwili milczenia. -- Czujesz zew?

--Tylko czasami. Gdy jestem bardzo blisko. Zresztą to też... to też zaczęło się rozwijać całkiem niedawno.

--Nic dziwnego -- westchnął ojciec. -- Gdy dowiedziałeś się tego wszystkiego o sobie, zgodność zaczęła rosnąć. Osobiście bardzo na to liczę. Dariana musiała zniszczyć jedną macicę i nawet jeśli była to tylko przynęta, to jej dzieciaki załatwiły bestię naprawdę. Główny zapas plazmy biomorfów wypaliliśmy w Szóstej Bastionowej. Czy zostało coś jeszcze? Znając panią Dark, jestem pewien, że tak. Pozostaje dowiedzieć się, gdzie to jest.

--W jaki sposób?

--Kilku moich ludzi wstąpiło teraz do brygad...

--Naprawdę dopiero teraz, tato?

Przez kilka chwil ojciec przyglądał mi się w milczeniu, z wahaniem, w końcu niechętnie skinął głową.

--Masz rację. Oczywiście, że nie dopiero teraz. Podobnie jak Konrad obserwowałem Darianę do samego początku, od dnia, gdy nasze drogi się rozeszły. Ale ta damulka jest sprytna jak lis. Nikomu nie ufa na tyle, by powierzyć mu informacje o swoich kryjówkach. Chłopcy działają, ale na razie nie mają nic.

Rozłożyłem ręce. Ataki w sieciach informacyjnych stawały się coraz bardziej zjadliwe i napastliwe, ale prawdziwe kule jeszcze nie świstały. Nie mogliśmy czekać, aż Dariana otrząśnie się i weźmie operację swoje twarde ręce. Dopiero mielibyśmy się z pyszna.

I właśnie dlatego rozmawiałem z Konradem o neutralizacji. Liberalistyczne gierki nie mają sensu. Wróg musi zostać zniszczony. Nawet jeśli będę musiał odpowiedzieć za to na Sądzie Ostatecznym.

Miałem nadzieję, że o moim powrocie na Nowy Krym nikt nic nie wiedział. Na pewno nie wiedziało o tym moje rodzeństwo. Oddział, z którym ojciec symulował szturm Szóstej

Bastionowej, również niczego się nie domyślał. Zmieniłem wygląd zewnętrzny na tyle, na ile było to możliwe bez użycia skalpela, jedynie za pomocą technik mimikralnych. Mogłem działać, ale nie bardzo miałem gdzie. Dariana Dark najprawdopodobniej się ukrywała, a mimo wszelkich starań nie mogliśmy odnaleźć miejsca tego ukrycia.

Po Dalce również zaginął wszelki ślad.

Jednocześnie przez cały czas pamiętałem o słowach Vallensteina -- odnalezienie szefa kompanii wśród ruin dawnej bazy Tannenbergu było mniej szalone niż nasze obecne zajęcia. Ale pamiętając o opiekunach brygad w najwyższych sferach Reichswehry, nie spieszyłem się. Mogło się przecież okazać, że Michael pracuje nie tylko dla swojego patrona, a wystarczy, żeby informacja przesaczyła się gdzie nie trzeba...

Mogłem teraz przemyśleć wszystkie wydarzenia na nowo, abstrahując od własnego pochodzenia. Tego woląłem na razie nie ruszać -- żeby uniknąć pytań bez odpowiedzi i nadciągającej fali szaleństwa. Starąłem się brać rzeczy takimi, jakie są, ale nie bardzo mi się to udawało. Potwór, efekt odrażającego eksperymentu eugenicznego... Gdy wróciłem na Nowy Krym, wziąłem się w garść i kiedyś wreszcie poprosiłem ojca o możliwość przejrzenia notatek laboratoryjnych „projektu Ruslan Fatiejew”. Ojciec zmienił się na twarzy, ale na biurku przede mną spoczęły trzy grube dzienniki doświadczeń w staromodnej kartonowej okładce z liniowanymi stronami. Ojciec nie wyciągnął ich ze skrytki czy sejfu, jak można się było spodziewać, lecz z biurka. Jurij Fatiejew nie powierzył tych materiałów nośnikom elektronicznym. Cóż... mogłem tylko wzruszyć ramionami. Moim zdaniem, odnalezienie takich stert papieru nie stanowiło żadnego problemu, zniszczenie mikrofilmów również nie nastręcza większych trudności. W odpowiedzi ojciec uśmiechnął się i oznajmił, że właśnie dlatego nikomu nie przyjdzie do głowy, aby szukać w tej kupie papierów czegoś naprawdę ważnego. Od dawna wszystkie istotne dane trzyma się w komputerach, zgodnie z panującym poglądem, że to najbezpieczniejsze miejsce. Ha!...

W końcu jednak nie udało mi się przeczytać tych dzienników. Ręce mi się trzęsły, czoło i policzki zalewał pot, przed oczami stawały takie koszmarnie wizje, że wskazany byłby kontakt z dobrym psychiatrą. Pozostawało tylko powtarzać -- do oblędu i zaćmienia umysłu -- ecce homo. Zaczęło mi się nawet wydawać, że wokół mnie krążą nieznani bracia krwi, że nie tylko moim rodzicom przyszedł do głowy taki pomysł. A jeśli ktoś jeszcze postanowił spróbować swoich sił w tworzeniu superczłowieka?

Nie zdołałem przestudiować „projektu Ruslan Fatiejew”. Zmuszałem się do tego, ale chyba nawet biomorf ma granice wrażliwości. Czytanie o szczegółach implantacji zarodka do macicy mojej matki -- wybaczcie, ale nie chcę. Może przez to tracę z oczu jakieś ważne szczegóły, ale wstręt był silniejszy od żądzy wiedzy. I może właśnie ta niezwykła odraza, którą czułem, próbując czytać stare laboratoryjne dzienniki ojca, była najlepszym dowodem, że jednak nie jestem biomorfem. Jestem człowiekiem. Ecce homo.

Wiedziałem, że będę musiał działać po omacku. Vallensteina i jego mistyczny spiszek oficerów niepokoiła wyłącznie jedność Imperium; ojca -- Dariana Dark i jej typki. Ojciec nie wątpił, że szalona Dariana nadal kontroluje biomorfy i wystarczy ją zabić, by wszystkie nasze problemy rozwiązały się same. A ja czułem, że najważniejsze są hordy macic, które w milczeniu czekają gdzieś w głębi kosmosu. Jak Nemezis, którą ludzie tak lubią się straszyć, zasypiając po całym dniu bezpiecznego życia.

Zadawałem sobie w kółko trzy pytania: na ile Dark w rzeczywistości kontroluje macice, jak te macice rozwiązują kwestię nawigacji w kosmosie (antygravitatory antygravitatorami, ale w jaki sposób znajdują drogą w przestrzeni kosmicznej?), a przede wszystkim -- gdzie są ich główne siły? Imperium nie przerywało swoich transmisji na Nowy Krym (do pewnego momentu nawet do nas docierały) i wiedzieliśmy (tak nas zapewniano), że Iwołga jest całkowicie zablokowana i do jej przestrzeni nie wpadnie nawet mucha. Omegę-8, obecnie ogromne cmentarzysko, do dnia dzisiejszego przeczesywały grupy poszukiwawcze -- jak wynikało z wiadomości sieci informacyjnych, bez efektu, jeśli nie liczyć coraz to nowych pól szkieletów.

Co się działo na samej Iwołdze, to już przed nami starannie ukrywano.

„Na wszystkich frontach nie działo się nic szczególnego”. Przerwa. Cisza. Strony lizwały rany, podciągały odwody i w tajemnicy przerzucały do miejsc przyszłego przedarcia świeże dywizje pancerne. Federacja Trzydziestu ogłosiła powszechny obowiązek służby wojskowej i „przestawienie gospodarki narodowej na produkcję wojenną”, jednocześnie proponując Imperium „wzajemne uznanie w oparciu o istniejący status quo”. Jaka była odpowiedź Jego Wysokości Cesarza -- nie wiadomo, sieci informacyjne były skrupulatnie filtrowane przez Federację.

Jednocześnie Federacja wprowadziła „uwarunkowaną stanem wojennym cenzurą oraz walkę z wrogią propagandą”, czyli mówiąc po prostu, wyłączyła kanały imperialne, pozostawiając jedynie oficjalne wiadomości. Rząd Tymczasowy Federacji oznajmił, że powszechne wybory odbędą się natychmiast po zawarciu pokoju, a na razie ogłosił moratorium działalności partii politycznych „poza granicami municypalnymi”, czyli na poziomie międzyplanetarnym.

Federacja wprowadziła własną walutę, która natychmiast zaczęła spadać w stosunku do marki imperialnej. Rozliczenia w środkach płatniczych wrogiego mocarstwa równały się zdradzie państwa. Swobodna wymiana walut również została zakazana.

Spodziewałem się protestów. Liczyłem, że Duma Nowego Krymu zorientuje się, co się tu dzieje. Jednak deputowani, dokładnie wiedząc, co jest najlepsze dla narodu, na razie jednogłośnie podtrzymywali wszystkie uchwalane przez kanał rządowy projekty ustaw. Nowy Krym posłusznie przyjął na siebie „zobowiązania” dotyczące dostaw wojennych (na kredyt, zapłata po zakończeniu działań, rozliczenie w walucie Federacji), utworzenia sił samoobrony oraz budowy statków kosmicznych. Nie mieliśmy zbyt dużych zapasów rudy, prace prowadzono więc na niewielką skalę -- jeden kombinat metalurgiczny na całą planetę. Eksport polzunów i ośmiornic sprawiał, że znacznie bardziej korzystny okazywał się import stali. Stocznie mieliśmy, kilka własnych kompanii transportowych również (nie sposób oddać imperialnym wszystkim zysków związanych z przewozem), i teraz te stocznie pracowały na cztery zmiany. Stal i cała reszta płynęła z planet-kopalń Federacji; na pochylniach pojawiły się pierwsze zestawy transportowców szturmowych, baterii orbitalnych i platform raketowych.

Zastanawiałem się, kiedy wreszcie Imperium zaatakuje. Skąd ta zwłoka? W teorii inwazji kontrolowanej nie bardzo chciało mi się wierzyć, co innego, gdyby macice dało się zniszczyć ciężką bronią... Poprzednim razem „podbój” Nowego Krymu odbył się bez bombardowań atomowych i użycia bojowych środków trujących, ale wtedy nie mieliśmy jeszcze potężnej obrony orbitalnej. Konflikty międzyplanetarne należały do przeszłości, miejsca wystarczało dla

wszystkich, problemów na własnej planecie również. Nic nie przeszkodzi transportowcom szturmowym z desantem imperialnym wylądować na Nowym Krymie -- jeden jedyny stary krążownik „Norymberga” (zdobyty przez nowo powstałą Federację w stoczniach remontowych mormońskiej planety Nowe Utah, pospiesznie przemianowany na „Jutrzenkę swobody” i odesłany na Nowy Krym) nie utrzyma się nawet przez godzinę. Jeśli jednak imperialni będą zwlekać i obrona planetarna zdąży pokazać, na co ją stać, napastnicy będą mieli poważne problemy. Oczywiście, orbitalne fortece nie wytrzymają intensywnego bombardowania (wystarczy kilka pocisków jądrowych, żeby roznieść je w pył), ale zdołają się zemścić. To jedna z bardziej nieprzyjemnych cech wojny w kosmosie -- w odróżnieniu od bitwy na morzu, masz tam niewielkie szanse na przeżycie, jeśli znajdziesz się „za burtą”.

Czekaliśmy. Czekaliśmy i szukaliśmy.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet.

--...Na rubieżach.

Nasz specjalny korespondent nadaje z linii starcia Armii Narodowyzwoleńczej i imperialno-faszystowskich agresorów.

Dopuszczone do rozpowszechniania przez tymczasową cenzurę wojskową.

Na Szóstej Planecie Federacji, Szajtanie, sytuacja jest nadal napięta. Jak wiadomo, po referendum, w którym dziewięćdziesiąt dziewięć i pół procenta biorących udział obywateli opowiedziało się za odłączeniem się od Imperium i przyłączeniem do Federacji, chciwi i podstępni sługusi cesarza odmówili wycofania swoich wojsk, a następnie zajęli szereg miejscowości o dużym znaczeniu strategicznym, zakładów energetycznych oraz obiektów przemysłowych, włączając w to cztery z pięciu kosmodromów handlowych. Oddziały Sił Zbrojnych Federacji pod dowództwem towarzysza Szemberta wysunęły się na tak zwaną „zieloną linię” oddzielającą nasze wojska od band okupanta. Dążąc do pokojowego uregulowania stosunków oraz chcąc uniknąć niepotrzebnego przelewu krwi, Rząd Narodowo-Demokratycznej Federacji zaproponował przedstawicielom Imperium, by usunęli swoje oddziały z terytorium niezależnej Federacji, na co imperialni bandyci odpowiedzieli wyniosłą odmową. Demonstrując swoją dobrą wolę i pragnienie rozwiązania problemu na drodze pokojowej, a także w trosce o tych mieszkańców planety, którzy znaleźli się na tymczasowo okupowanym terytorium, nasz rząd nie wydał Siłom Zbrojnym Federacji rozkazu zaatakowania i rozgromienia przebiegłego wroga, który podniósł rękę na nasze ziemie, bo nadal liczyliśmy na dyplomatyczne rozwiązanie konfliktu. Naszym dzielnym żołnierzom i oficerom z każdym dniem jednak coraz trudniej było zachować cierpliwość.

Ci ludzie to uciekinierzy z kontrolowanego przez Imperium terytorium. Popatrzcie na nich, na te zmęczone twarze, podarte ubrania, bosa, poobijane do krwi stopy. W oczach mają rozpacz -- i nadzieję. Posłuchajmy tych prostych opowieści, opowieści zwykłych górników, maszynistów, hutników, inżynierów, ich żon i dzieci, którzy cudem uniknęli imperialnych kul. Oto, co mówią:

--Przyszli w nocy... do osiedla przy kopalni Szeroka... chyba cały batalion... wszyscy imperialni żołnierze byli pijani... wygonili nas z domów, wypędzili mnie i żonę... Milla zawołała: „Co wy robicie!”, a żołnierz uderzył ją w twarz i skłął... Chciałem ją obronić, ale wtedy uderzył mnie kolbą i powiedział, że jeszcze chwila, a rozstrzela nas za próbę buntu...

--Zebrali nas na placu... powiedzieli, że będą szukać broni i że lepiej, żebyśmy oddali ją

dobrowolnie... jesteśmy spokojnymi ludźmi, skąd u nas broń? Wtedy oficer, też pijany, z takim emblematem na rękawie, jakby czaszką, powiedział, że jeśli nie oddamy dziesięciu cekaemów i pięćdziesięciu karabinów, rozstrzelają sześćdziesięciu ludzi, po jednym za każdy... za każde, no, wiadomo...

--Pijani żołnierze łapali dziewczęta i obrażali je, szarpali za spódnice, a oficerowie tylko się śmiali...

--Potem zaczęli grabić nasze domy...

--Mnie zabrali samochód, zupełnie nowy, a przecież kupiłem go dopiero dwa miesiące temu, cały rok pieniądze oszczędzałem...

--Podpalili informatorium...

--Przeszukali nas wszystkich od stóp do głów...

--Włamywali się do domów, wywracali wszystko do góry nogami... Mówili, że szukają broni, ale nie znajdowali, więc zabierali wszystko, co tylko mogło się przydać...

Teraz tym ludziom nic już nie grozi, są bezpieczni pod opieką naszych dzielnych sił zbrojnych. Żołnierze i oficerowie naszej armii rwą się do walki, marzą o tym, żeby zetrzeć tych imperialnych lajdaków z powierzchni ziemi, a cierpienia starców, kobiet i dzieci jedynie podsycają ten słuszny gniew. Imperialni żołdacy nieustannie prowokują naszych bojowników i dowódców. Na jednym z odcinków „zielonej linii”, tam, gdzie rozstawiono oddziały towarzysza Dariusza Darka, nasze czujki i patrole w ciągu ostatniej doby zostały ostrzelane sześć razy. Na szczęście tylko jeden bojownik został lekko ranny -- kula przebiła mu rękę, ale odważny radiooperator Michaił Szwyrin odmówił porzucenia swoich towarzyszy i, przezwyciężając ból, prowadził ogień, dopóki wroga piechota nie wycofała się. Życiu dzielnego żołnierza nie zagraża niebezpieczeństwo. Dowódca oddziału towarzysza Dark przedstawił go do nagrody rządowej.

--Wrogi bezzałogowy samolot zwiadowczy zestrzelony nad kosmodromem Swobodny (od naszego korespondenta specjalnego).

Pomimo wielu ostrzeżeń ze strony naszych sił zbrojnych, imperialni agresorzy z tymczasowo okupowanego terytorium nadal wysyłają swoje samoloty zwiadowcze w rejony kontrolowane przez Rząd Narodowo-Demokratycznej Federacji. Bojownicy obrony przeciwlotniczej czujnie strzegą ojczyznego nieba. Dywizjon dowodzony przez towarzysza Schellermana, miał dyżur bojowy. Szeregowi Siergiej Szubczenko i Eugeniusz Dębski uważnie obserwowali ekrany. Wróg próbował osłonić się zakłóceniami, by zdezorientować naszych operatorów, ale znakomite wyszkolenie bojowe naszych obrońców nie pozwoliło wrogowi się wymknąć. Jeden po drugim rozbrzmiewały meldunki: „Cel stwierdzony!”, „Cel uchwycony!” W odpowiedzi rozległ się długo wyczekiwany rozkaz: „Pal!”

Nasza rakietka wzbija się w niebo i mknie jak błyskawica. Wróg próbuje stosować uniki, ale oficer naprowadzania towarzysz Rakoczy i jego załoga dobrze znają swoje zadanie. Powietrznemu piratowi nie pomogą już żadne manewry. Samolot eksploduje i z rozpalonego nieba spada deszcz płonących odłamków. Imperialny zwiadowca został zniszczony -- już nie zdola przekazać cennych informacji o naszym kosmodromie. Taki los czeka każdego, kto podniesie rękę na nasze święte granice!

--Straciliśmy tempo -- powiedział posępnie ojciec, bębniąc palcami po blacie biurka. -- Brak postępów we wszystkich sprawach. Nawet to zadanie, które otrzymałeś od Vallensteina... nawet ono stoi w miejscu. -- Pokręcił zirytowany głową. -- Nasz główny plan runął i teraz

musimy improwizować, wymyślać na poczekaniu... A jak wiadomo, co nagle, to po diable.

--Nie jest aż tak źle. Dostaliśmy przecież pierwszy szyfrogram od Konrada.

--Spróbowałby nie przysłać -- powiedział ojciec z goryczą. -- W końcu mają „zorganizowaną gwarancję” i wysłali z nas kupę forsy. Musiałem sięgnąć do nienaruszalnych rezerw.

--Ale otrzymane informacje są tego warte -- zaprotestowałem. -- Dark nie opuszczała Nowego Krymu i w najbliższym czasie szykuje się do wzięcia planety pod całkowitą kontrolę. Jak napisali w wiadomości, wystarczająco długo „bawiła się w demokrację”.

--Ha! -- parsknął ojciec. -- Coś mi się wydaje, że ktoś nas wodzi za nos. Dariana może być sobie zmęczona „rządami ludu”, ale na tej demagogii opiera się cała Federacja! Co powiedzą pozostali? Czy przemila pani Dark miałaby być lepsza od Imperium?

--Po prostu zablokują kanały informacyjne i po sprawie -- nieoczekiwanie poparła mnie mama. -- Nowy Krym będzie planetą okupowaną. Zapewniam cię, że mieszkańcy kopuł z przyjemnością uwierzą w naszą zdradę, już choćby po to, żeby mieć powód do wykąpania się w prawdziwym morzu i pooddychania świeżym, a nie regenerowanym powietrzem. Osobiście potraktowałabym tę wiadomość bardzo poważnie. Nie zapominajmy o roku czterdziestym pierwszym, gdy ludzie byli głusi na ostrzeżenia...

To chyba jedyny rok, który określamy natychmiast po dwóch ostatnich cyfrach.

--Pamiętam, pamiętam! -- Ojciec niecierpliwie machnął ręką i znowu zabębnił palcami. -- Ale i tak pożytku z tego Konrada tyle, co kot napłakał. Potrzebujemy Dariany! Musimy ją znaleźć i zabić!

--Łatwo powiedzieć -- zauważyła ironicznie mama. -- Dariana schowała się teraz w najgłębszej dziurze. Jak ją stamtąd wyciągnąć?

--Trzeba ją zmusić, żeby wyszła sama. -- Tata nadal nerwowo bębnił palcami. Mama popatrzyła na niego z niezadowoleniem; to bębnienie zawsze działało jej na nerwy, ale nic nie powiedziała.

--Znakomita myśl. Może przy okazji zasugerujesz, jak to zrobić?

--Coś ty, Taniu, skąd mnie, prostakowi...

--Nie obrażaj się. -- Mama podeszła, usiadła na poręczy fotela, czule przesunęła dłońią po włosach ojca. -- Darianę rzeczywiście trzeba wywabić. Ale nie liczyłabym na Konrada.

--Tak -- przyznał ojciec samokrytycznie. -- Przyznaję, pomysł, żeby prosić Konrada o... hm... neutralizację kierownictwa brygad, był błędem. Podobnie jak sam cel.

--Ależ, tato, przecież sam nalegałeś!

--Nalegałem. -- Ojciec skrzywił się. -- Ale nie na próżno mówi się: ze wszystkich możliwych rozwiązań wybierz najbardziej etyczne, a na pewno okaże się ono jedynie słuszne.

--Nie wyglupiaj się, Jura -- powiedziała ostro mama. Wstała, podeszła do zasłoniętego okna, wyjrzała przez wąską szczelinę. Siedziałem w głębi gabinetu ojca, żeby mimo najlepszych chęci nikomu nie udało się mnie dojrzeć z zewnątrz. Jak zwykle „zagłuszacze” działały na całego -- ojciec, bogaty człowiek interesu, wpływowy deputowany Dumy, miał wszelkie powody, by troszczyć się o swoje permanentne bezpieczeństwo informacyjne, więc mogliśmy się nie obawiać, że nieoczekiwanie wzmocniona ochrona wzbudzi podejrzenia tajniaków Dariany.

--Ja się wyglupiam? -- powiedział urażony ojciec. On i mama sprzeczekali się, odkąd

pamiętam, i zawsze się na siebie obrażali. Zdumiewające, jeśli się pamięta, ile przeżyli ze sobą lat i przez co przeszli.

--Owszem. W tym konkretnym przypadku jest to jedyna słuszna decyzja. Albo likwidujemy szalonych fanatyków, albo... To tak jak z infekcją. Nasz system immunologiczny nie prowadzi pertraktacji z wirusami i nie dyskutuje o etyce niszczenia bakterii. Na rękach Dariany i jej ludzi jest tyle krwi, że...

--...że zabicie jej będzie wręcz dobrym uczynkiem? -- przerwał tata.

--Dokładnie -- powiedziała sucho mama. -- Skąd to nagle wahanie, Jurik? Stara przyjaźń nie rdzewieje?

--O czym ty mówisz? -- oburzył się ojciec. -- To się działo... trzydzieści lat temu! Wszyscy byliśmy wtedy dziećmi!

Mama wzruszyła ramionami.

--Rusłanie, sądzę, że powinieneś o tym wiedzieć. Twój ojciec niegdyś... przyjaźnił się z Darianą.

--To znaczy... jak to? -- Stropilem się. -- Przecież ona jest z...

--To prawda, nie urodziła się tutaj. Ale pomyśl sam, skąd ta jej znajomość rosyjskiego? Przecież mówi niemal bez akcentu! Można powiedzieć, że w pewnym sensie Dariana wcale nie jest stamtąd. Jest stąd, z Nowego Krymu. Takie buty.

--I może jeszcze nie nazywa się Dariana? -- wymamrotałem oszłomiony.

--Nazywa, nazywa -- mruknął ojciec. -- To na pewno. Jej rodzina to nowi prezbiterianie. Grupa stu czy dwustu prezbiterian przybyła wówczas na Nowy Krym. Dariana miała wtedy...

--Siedem lat -- odpowiedziała mama.

--Tak. Zgadza się. Siedem. Szkołę kończyła u nas.

--Jaką znowu szkołę? Tutaj, w Sewastopolu?

--No coś ty -- parsknęła mama. -- Czy prezbiterianie, jedyni, którzy dokładnie wiedzą, jak trzeba wierzyć, mogą pozwolić, by ich dzieci chodziły do zwykłej szkoły publicznej? W dodatku prawosławnej?

--Częściowo eksternistycznie, częściowo w prywatnym gimnazjum Oboleńskiej -- wyjaśnił z niechęcią tata. -- Tam się właśnie poznaliśmy... nazywaliśmy ją Dasza. Ale jaki to ma związek? Absolutnie nie lituję się nad Dark z powodu... Przecież pierwszy powiedziałem Rusłanowi, że powinien być ją dobić!

--Wierzę, kochany, wierzę, nie musisz się tak starać -- zagruchała mama i od razu zmieniła ton; jej głos stał się ostry i nieprzyjemny. -- Nawet bez informacji Konrada jest oczywiste, że Dark nie opuszczała planety. Musi wyprodukować nową broń, wyhodować nowe macice...

--Myślisz, że nie ma kryjówek na innych planetach?

--Na pewno ma. Jest bardzo przewidująca. Ale nie może opuścić Nowego Krymu ze świadomością, że ma nas za plecami. A biomorfy pewnie słuchają tylko jej... najwyżej dwóch czy trzech ludzi z najbliższego otoczenia Dariany. Nas nie może zostawić, bo bez Nowego Krymu i jego mórz jej ukochana Federacja wyciągnie nogi. Na brykietach chlorelli długo nie pociągną, potrzebne jest pełnowartościowe jedzenie. Poza tym szczęśliwi obywatele Federacji, wyzwoleni spod ciężkiego buta Imperium, nie ucieszyliby się ze zmiany racji żywieniowych. Dlatego Dark musi...

--To dlaczego nie zaatakujecie tego domu? -- zapytał ojciec. -- Szybko, prosto i efektywnie. I

pewnie nikt nie zadawałby jej zbędnych pytań.

--Mogę ci podać setki wyjaśnień, Jura. Na przykład: Dariana wie, że ten dom jest dobrze chroniony, szturm drogo by ją kosztował i niewiele dał. Nie sędzę, żeby Dasza przejmowała się zbytnio życiem swoich ludzi, ale bezmyślne rzucanie ich na rzeź byłoby niepraktyczne. A braku praktycyzmu nie można jej zarzucić. Po drugie, szturm podmiejskiej willi znanego deputowanego, zastępcy przewodniczącego komisji budżetowej Dumy narobiłby sporo szumu. A ponieważ wokół domu ustawione są kamery wideo i nasza Dasza o tym wie, po co miałyby ryzykować i urządzić jakieś nielegalne akcje?

--Skoro tak wierzysz Konradowi, to przypominam, że jego zdaniem Dark ma zamiar wkrótce wziąć pod swoją kontrolę całą planetę. Czego w takim razie miałyby się bać? -- sprzeciwił się ojciec.

--Właśnie dlatego, że planuje wziąć planetę pod kontrolę -- rzekła z uśmiechem mama -- nie wychyli się aż do ostatniej minuty. Dasza próbuje wykończyć nas bez zbędnego rozgłosu. Poza tym ty i ja nie jesteśmy jej potrzebni. Liczy się tylko Ruslan. Tylko on jest tym „niewuwzględnionym czynnikiem”, niewiadomą w jej wyliczeniach. Człowiekiem, który przeżył w aktywnej biomase. Który spadł jej na głowę jak cegła w bezpiecznym, ukrytym pod ziemią bunkrze. Który konsekwentnie niweczy jej plany...

--Niezbyt skutecznie -- mruknąłem.

--Tylko bez kokieterii -- powiedziała surowo mama. -- Posłuchaj mnie, bohaterze. Faktycznie tata i ja zajęliśmy się bezproduktywnymi wspomnieniami. Rozpłynęliśmy się, jak mówił poeta*, [myślą po drzewie. A trzeba działać.](#)

--Na razie nie widzę żadnych punktów zaczepienia -- zauważył ojciec. -- Dopóki nie znajdziemy kryjówek Dariany...

--Punkt zaczepienia pojawi się, jak tylko zaczniemy działać -- ucięła mama tonem nieznośnym sprzeciwu. -- Wy, mężczyźni, już nic nie potraficie zrobić bez kobiet.

--*Ladies first* -- uśmiechnął się tata.

--Otóż to. Skoro lisica Dasza nie chce wyjść z nory z własnej woli, musimy ją stamtąd wywabić. Ile razy trzeba to wam powtarzać?

--To znaczy jak? -- zapytaliśmy chórem.

--Vallenstein ma rację: oddzielanie się od Imperium w tym momencie to szaleństwo. To nie jest to, do czego dążyliśmy i czego pragnęliśmy. A więc, mój drogi, na najbliższym posiedzeniu Dumy wygłosisz płomienną mowę, akcentując zgubne skutki oderwania się w tym akurat okresie. Opowiesz o następstwach ekonomicznych, utracie miejsc pracy, szybkim spadku wartości nowej waluty i braku zaufania do niej. Oświadczysz, że twoja przeszłość...

--Już ty mnie nie ucz -- burknął ojciec. -- Wyobrażasz sobie, co się stanie po czymś takim?

--Wyobrażam. Ale tylko coś takiego zmusi Darianę do działania.

--Skąd ta pewność?

--Stąd, że żadnemu z wielkich koncernów nie uśmiecha się całkowite przestawienie swojego cyklu produkcyjnego z polzunów na jakiegoś tam... -- Mama pstryknęła palcami, szukając słowa. -- Na jakiegoś tam mintaja, używając dawnych terminów. Co dawało wpływy podatkowe? Eksport do Imperium polzunów, ośmiornic, kawioru i tak dalej. A skąd teraz płynie jedyny, ale cienki strumyczek twardej waluty? Z tego samego miejsca, z nielegalnego handlu frykasami. Czego chce Federacja? Produkcować jak najwięcej i jak najtaniej. I na kredyt, i za

swoje pieniądze, które już teraz spadają na łeb, na szyję. Jesteśmy niemal jedyną planetą Federacji z rozwiniętym przemysłem spożywczym.

--I myślisz, że ten powszechnie znany fakt zmusi Darianę do wyściubienia nosa z kryjówki? -- Tata zmarszczył brwi; nie lubił, gdy wygłaszano mu wykłady.

--Tak, ponieważ zainicjujemy interpelację komisji budżetowej.

--Jaką interpelację? -- rzucił z rozdrażnieniem ojciec. -- Skoro decyzja została podjęta w ogólnoplanetarnym referendum...

--Ale Duma nie zatwierdziła żadnych nadzwyczajnych kroków w sprawie wydatków budżetowych -- oznajmiła mama.

--Po co nadzwyczajne kroki, skoro sami, dobrowolnie, przyjęliśmy ustawę o dostawach wojskowych...

--A jednak, z formalnego punktu widzenia budżet Nowego Krymu jest w kompletnej rozsypce. Dobrze byłoby zwrócić na to uwagę... wszystkich rozsądnych deputowanych.

--Już o tym myślałem. -- Tata skinął głową. -- Ale nadal nie rozumiem, jak mogłoby to podzielać na samą Dark. Owszem, podniesie się szum i po raz kolejny zostanie obrzucony błotem. Ale co to ma wspólnego z Darianą?

--Ona się pojawi, Jura. Po prostu nie może się nie pojawić. Dostała takiego prztyczka w nos, że długo tego nie zapomni. Musi się odegrać. To jej słaby punkt: nie potrafi przegrywać. Za mało cierpliwości, wytrwałości i zrozumienia, i stąd wszystkie nieszczęścia.

--Ryzykowne. -- Ojciec pokręcił głową. -- Na razie cały ten szum w sieciach to tylko szum. Ale defetystyczne przemowy w stanie wojennym? Taniu, znasz historię nie gorzej ode mnie...

--O ile wiem, nikt jeszcze nie zniósł demokracji na Nowym Krymie. Tym bardziej że działania wojenne nie są prowadzone -- zaprotestowała mama.

--Strzelamy na oślep. -- Tata chyba niezbyt wierzył w ten pomysł. -- Ale twoja intuicja...

--...jeszcze nigdy nas nie zawiodła -- dokończyła mama. -- Przygotuj mowę. Przygotuj sam, nie ufam tym twoim kolegom z komisji.

--Żeby zdobyć szansę wygłoszenia raportu nadzwyczajnego, potrzebne będą dwa dni. -- Ojciec skinął głową. -- To w zupełności wystarczy. Zrobimy zestawienie statystyczne, nawet nie trzeba będzie kłamać. Wskaźniki ekonomiczne mówią same za siebie, a przecież nie minęło wiele czasu.

--Delikatesowe połzuny przerabiane są na mączkę kostną, dodatki spożywcze i racje żołnierskie, bo nie ma co z nimi robić -- podchwyciła mama. -- Federacja zabiera wszystko na kredyt, płaci bezwartościowym papierem...

--A jej własne planety po cichu klną i żądają od nas starych, dobrych imperialnych marek -- dorzucił ojciec.

--I wszystko dlatego, że idioci wychylili się za wcześnie -- dokończyła pouczająco mama, unosząc palec. Tak zwykle kończyła nieliczne rozmowy wychowawcze, prowadzone z nami, dziećmi.

--Krótka mówiąc, nie będziemy budzić licha przez siedemdziesiąt dwie godziny -- podsumował tata. -- Ale kiedy już obudzimy, to tak, że diabłom w piekle robi się gorąco.

Nie wiem, jak tacie udało się to zrobić w ciągu tych nieszczęsnych siedemdziesięciu dwóch godzin, ale udało mu się. Zainicjował ni mniej, ni więcej, tylko interpelację od komisji budżetowej. I to z podpisami licznych wpływowych deputowanych -- przede wszystkim

właściciele wielkich przetwórczy rybnych i gospodarstw morskich. Nietrudno było przewidzieć, co powiedzą o tym lewicowcy... Ale elektroniczne plotki już nas nie interesowały.

Przemowę ojca transmitowały wszystkie sieci. Niezwykłe wydarzenie. I nawet nie przerywali jej reklamą. Bóg wie, ile ojciec i jego stronnicy musieli za to zapłacić.

W interpelacji sypały się cyfry. Eksport szybko spada. Środki obrotowe na rachunkach przedsiębiorstw również. Przejście Nowego Krymu w stan oblężenia będzie kosztowało ogromne pieniądze i spowoduje gigantyczne straty gospodarcze, a jedyną wygraną stroną będą odległe „niezależne” planety, podstawa Federacji, gdzie ludzie po dziś dzień mieszkają pod kopułami. Planety-kopalnie już teraz podnoszą ceny na metal i wyroby metalowe, żądając zapłaty w markach imperialnych (co nasuwa podejrzenia o nielegalnym handlu z Imperium), produkcję gospodarstw morskich Nowego Krymu zaś zabierają na kredyt z rozliczeniem po wojnie, czyli w grudniu po południu. Z drugiej zaś strony, wprowadzenie stanu wojennego ma tłumaczyć niesłychane ograniczenia swobód obywatelskich, a cała władza Federacji należy do tak zwanego Rządu Tymczasowego, który działając w oparciu o nieznane nikomu normy prawne, nie ma najmniejszego zamiaru ograniczyć swojej samowoli. Nawet nie wspomina się o konstytucji Federacji, o prawach należących do niej planet, wszystko składając na karb działań wojennych, które w ogóle nie są prowadzone! Wojska imperialne na planetach Federacji zostały rozbrojone, opór stawiają tylko na Szajtanie, ale tam stacjonowała cała dywizja imperialnej piechoty. I nawet tam Reichswehra, mimo znacznej przewagi w ludziach i sprzęcie, nie spieszy się z atakiem.

Federacja wykazała absolutną nieumiejętność zawierania lokalnych kompromisów i budowania poprawnych stosunków nawet tam, gdzie było to dość łatwe. Komisja budżetowa Dumy Nowego Krymu uważa za swój obowiązek uprzedzić szanownych deputowanych, że gospodarka, zorientowana do tej pory na eksport do Imperium, nie jest w stanie realizować dostaw wojskowych. Brakuje zakładów przemysłu ciężkiego, a te, które są, zależą od importu surowców, na które dostawcy ustanowili monopolistyczne ceny. Proponowany przez nich barter narusza bazę podatkową, poza tym zupełnie nie wiadomo, co mają zrobić towarzystwa ubezpieczeniowe, w których wielkie przedsiębiorstwa eksportujące owoce morza ubezpieczyły swoje ryzyko komercyjne. Runął przemysł turystyczny, już niedługo setki tysięcy ludzi pozostaną bez pracy, a w zamian proponuje się im tylko jedno -- dobrowolne stawiennictwo w punkcie werbunkowym...

W Dumie rozszalała się prawdziwa burza. Ze wszystkimi naszymi zabawami narodowymi: szarpaniem za włosy, próbą „obicia mordy” i tak dalej w tym stylu. Nie obyło się też bez okrzyków: „Zdrajca!” „Faszystowska świnia!” Ojciec stał na trybunie i ze stoickim spokojem odpowiadał: owszem, uważa ogłoszenie niezawisłości za przedwczesne. To prawda, chciałby, żeby Nowy Krym był wolną, niepodległą planetą, a nie członkiem jakiegoś... nowego tworu politycznego. Faktycznie, niepokoi go problem licznych nierozstrzygniętych kwestii prawnych. Rzeczywiście, jest zmartwiony statusem tak zwanych „sił zbrojnych Federacji” niepodlegających prawnie rządowi planety. Tak, uważa, że... i tak dalej.

Deputowani szaleli przez cały dzień i pół nocy, a nad ranem nieoczekiwanie przegłosowali radykalny projekt „o wstrzymaniu dostaw... do czasu wyjaśnienia okoliczności prawnych”. Przeciw wypowiedzieli się tylko lewicowcy, ale należąca do nich jedna czwarta głosów niewiele mogła zmienić.

Jak ojcu udało się to osiągnąć, nie mam pojęcia. To był cud.

Jeśli przewidywania mamy były słuszne, teraz Dariana będzie musiała się ruszyć. Zrobić cokolwiek, pociągnąć za swoje sznurki, doprowadzić do odwołania decyzji, rozgonienia Dumy, aresztowania ojca... Nie mogła już zignorować tego, co się stało.

Ojciec wrócił do domu w towarzystwie solidnej ochrony. Musiał swoim chłopcom wyjaśnić w ogólnych zarysach, co się dzieje. Przywykli mu wierzyć. Uwierzyli również tym razem.

Ta noc w Nowym Sewastopolu nie należała do spokojnych. Oczywiście, najgłośniejszemu dawali wyraz swojemu niezadowoleniu studenci, jakby nie rozumieli, że to właśnie oni wyruszą na pierwszą linię w charakterze mięsa armatniego. Gorące głowy proponowały, żeby natychmiast udać się do „legowiska zdrajcy” i je podpalić.

Nie wątpię, że Dariana bardzo by się ucieszyła z takiego obrotu sprawy.

A dzień przed tym wszystkim wydarzyło się coś, co dla mnie osobiście było znacznie ważniejsze niż głosowanie w Dumie -- choć przecież rezultat eksperymentu „Biomorf”, Ruslan Fatiejew, miał pewność, że ten rozdział jego życia został zamknięty.

O tym, że wróciłem do domu, nie wiedział nikt z rodzeństwa. Podobnie jak nie wiedzieli o tym, że odegrana przed nimi scena mojego wygnania była tylko spektaklem przygotowanym dla imperialnych służb specjalnych, gdyby zechciały pokopać głębiej niż zazwyczaj. Dla moich braci i siostr Ruslan nadal pozostawał zdrajcą. Inna sprawa, że rodzice nie urządzali przez ten czas „pięciominutowek nienawiści” -- Ruslan jakby umarł. Po prostu nie wymawiało się jego imienia.

Teraz, gdy gromadziły się nad nami chmury, a pierwotny plan wziął w łeb, mama oznajmiła, że ukrywanie czegokolwiek nie ma już sensu. Że nawet najmłodsze dzieci są wystarczająco inteligentne, żeby z niczym się nie wygadać. Że najwyższa pora pokajać się przed starszymi.

Tata tylko kiwał głową z miną skazańca.

Na jakiś czas rozstałem się z plastycznym makijażem-maską.

Mama zadzwoniła do Georgija i starszych dziewcząt -- Leny i Swietłany: przyjeżdżajcie. Bonę, guwernantkę i służbę ze stołecznej willi trzeba odesłać do domów. Rodzinne relikwie i skarby z domowego sejfu zabrać. Meble i całą resztę zostawić. Rzecz nabyta.

Wyglądało to jak konwój -- dwa dżipy z moim rodzeństwem i kolejne dwa z ochroniarzami. Nie wychodziłem, czekałem w domu.

Pierwszego dżipa prowadził Georgij, drugiego Lena, do której jak zawsze tulili się Sasza, Luda, Witia i Taniuszka. Łarion -- w domu wszyscy nazywali go Łariosikiem -- wyciągnął przy pomocy Georgija dwa potężne kufry. Przez cały czas była przy nim Swieta.

--Do środka, dzieci, wchodźcie do środka! -- komenderowała mama. Na wysokiej werandzie wyglądała niczym dowódca starodawnego liniowca. -- Lena, weź maluchy!

Ledwie za moim rodzeństwem zatrzasnęły się wysokie drzwi (i zamknęły niewidoczne skrzydła ochrony), mama oznajmiła wysokim, drżącym ze zdenerwowania głosem:

--Moi drodzy, ja i ojciec... jesteście winni wobec was. Skłamaliśmy.

Ze swojej kryjówki widziałem wytrzeszczone oczy Taniuszki. Mama skłamała! I tata też! Toż to koniec świata! Niebo runęło na głowę niewinnego dziecka.

Swieta zdjęła śmieszne staromodne okulary i zaczęła niemilosiernie ugniatać palcami oprawkę. Lena przygryzła wargę, a Georgij chyba się wszystkiego domyślił.

--Chodzi o Rusłana, tak, mamo?

--Ojej! -- pisnęły chórem Luda i Taniuszka.

--To prawda, moi kochani. -- Tata zrobił krok do przodu. -- My... nie byliśmy z wami szczerzy. Ruslan nie jest zdrajcą. I nigdy nie był. On...

Poczułem się tak, jakby ktoś chlusnął mi w oczy kwasem. Szczypało i gryzło i całe policzki były mokre. Miałem przecież ludzkie geny, odpowiedzialne za gruczoły łzowe...

Wyszedłem zza rolety i stanąłem jak pod obstrzałem. Najpierw wbiły się we mnie spojrzenia, a potem jakby przerwało tamę -- wszyscy, starsi i młodszy, rzucili się na mnie z piskiem, krzykiem, szlochaniem i innymi nieartykułowanymi dźwiękami, przypominającymi okrzyki bojowe dzikich plemion.

Wszystkich wyprzedziła Taniuszka. Nie wiem, jak udało się to młodej dziewczynie, ale skoczyła mi na szyję jak ryś. Na widok tego skoku wszyscy lekkoatleci udławiliby się z zazdrości.

Złapałem ją w locie, zakręciłem, przytulilem do siebie. Może i jestem biomorfelem, może w moich żyłach prócz krwi płynie również coś, co nie ma nazwy (i o czym nie chcę myśleć), ale gdy przytula się do mnie moja mała siostrzyczka, płacząc ze szczęścia, wiem, że jestem człowiekiem.

Ułamek sekundy później dopadła mnie cała reszta i powstało jedno wielkie kłębowisko, do którego, zapominając o powadze spadkobiercy rodzinnych przedsiębiorstw, przyłączył się również Georgij.

Było to nawet niebezpieczniejsze niż wypadek do Szóstej Bastionowej -- groziło mi uduszenie w radosnych uściskach. Ktoś ciągnął mnie za uszy, ktoś inny próbował tarmosić za krótko obcięte włosy, Lena i Swieta wisiały mi na ramionach, całując w policzki i płacząc na cały głos. Łariosik wskoczył mi na plecy, po nim próbował wejść Saszka i wreszcie ugięły się przede mną nogi.

Rodzice musieli w końcu rozplątać ten kłęb. Jakimś cudem udało im się odciągnąć ode mnie wszystkich, prócz Taniuszki, która wczepiła się we mnie mocniej niż dziecko lemura w swoją mamę.

Bardzo długo nikt nie mógł wykrztusić nic sensownego. Mama się rozplakała, biedny tata mamrotał coś o wyższych interesach naszego wyzwolenia, ale nikt go nie słuchał.

Sporo czasu upłynęło, nim wszyscy ochłonęli i usiedli na niskich sofach w sali kominkowej. Tańka nadal wisiała na mnie, najwyraźniej nie mając zamiaru zejść, pozostali rozlokowali się jak najbliżej.

Tata odchrząknął, ale najwyraźniej mama postanowiła przejąć inicjatywę.

--Dzieci, Ruslan wstąpił na służbę Imperium, ponieważ...

--Mamo, nie jesteśmy dziećmi! -- przerwał jej Łariosik, usiłując mówić solidnym basem. -- I tak wszystko jasne. Jest agentem, prawda?

Ładna konspiracja, przemknęło mi przez głowę. Nawet dzieci wszystkiego się domyśliły... Mama skinęła głową.

--Tak było trzeba. Ja i tata możemy się tylko modlić, żebyście nam wybaczyli. Nam i Ruslanowi.

--A ja od razu się domyśliłam! -- wyrwało się Swietłanie. -- Podejrzewałam...

--I ja też, i ja też! -- Lena nie chciała się okazać gorsza od siostry.

--A ja nie musiałem się niczego domyślać, bo od początku o wszystkim wiedziałem! -- Georgij rozpaczliwie próbował utrzymać pozycję starszego brata. -- Tato, przecież teraz

trzeba jak najszybciej oddać Ruslanowi jego część w...

--Nie, Gieorgij. -- Podniosłem rękę. -- Nie wolno nic zmieniać. Wszystko musi zostać tak, jak było. Chodzi o konspirację. Zresztą ja i tak słabo się znam na interesach.

--Co za zresztą, jakie zresztą! -- uparł się mój brat. -- To znaczy, że ja... żebyś ty... To znaczy, że ja zawiadamuję rodzinnym interesem, a ty dostaniesz w spadku kota, jak w tej bajce?

--Jak się skończy wojna, podzielicie się po bratersku -- uspokoiła Gieorgija mama. -- Jeszcze wszystko może się zdarzyć, więc przestańcie gadać, bo zapeszycie! To zły znak!

--Jak człowiek prawosławny może wierzyć w takie zabobony?! -- oburzyła się Lena, najbardziej religijna z nas wszystkich.

--Przepraszam, tak mi się powiedziało z radości.

Tej nocy ciężko było zagonić maluchy do łóżek i gdy w końcu się to udało, zrobiło się bardzo późno. Zostałem ja, Gieorgij, Swieta i Lena. Łariosikowi, mimo jego rozpaczliwych protestów, powierzono konwojowanie malców do sypialni.

Rodzice zaczęli opowiadać. Moje siostry wydawały okrzyki przerażenia i zdumienia, a Gieorgij patrzył na mnie z otwartymi ustami. Wyglądało na to, że mi zazdrościł. Usiadłem obok, położyłem mu rękę na ramieniu.

--Nie przejmuj się. Teraz i u was będzie niezłe zamieszanie.

--Jesteśmy gotowe! -- wypaliły chórem obie siostry.

--Patrzcie no, one są gotowe! Zielono w głowie! -- mruknął tata. -- Wy macie w domu siedzieć i maluchy niańczyć. Gieorgij też nie będzie się nigdzie pchał...

--Tato! -- Gieorgij omal się nie popłakał.

--Co tato? Co tato? To tylko ja mogę już umrzeć: was wychowałem, interes założyłem i rozwinąłem, co nieco uzbierałem na czarną godzinę. A ty masz się nimi wszystkimi opiekować, dziewczyny powydawać za mąż i zadbać o posag.

Gieorgij zaczerwienił się po uszy i spuścił głowę. Pomyślałem, że pewnie właśnie sobie poprzysiągł, że ucieknie na najbliższy front, bez względu na to, gdzie to będzie.

--Gieorgiju, nawet o tym nie myśl -- ciągnął już łagodniej ojciec, rozpalając fajkę. -- Wydaje ci się pewnie, że nie pozwalamy ci zdobyć sławy i zostać bohaterem, ale to nie tak. Nie ma nic łatwiejszego, jak dać się zastrzelić. To potrafi każdy głupiec. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ale zachować chłodną głowę i przeżyć... o, do tego potrzebna jest prawdziwa odwaga! Wiesz, jak to mówią, między ludźmi nawet śmierć niestraszna. A jeśli to nie śmierć jest potrzebna, lecz zwycięstwo? Muszę mieć pewność, że dysponujemy nietykalaną rezerwą bojową, czyli tobą. Włączysz się do sprawy dopiero wtedy, gdy stanie się jasne, gdzie trzeba uderzyć. Będziesz musiał zrobić to, co najtrudniejsze: stać i czekać, gdy tak bardzo chce się zarzucić karabin na ramię i pomaszerować przed siebie. Rozumiesz mnie?

--Rozumiem -- burknął Gieorgij, podnosząc głowę. Jego oczy podejrzanie połyskiwały. -- A jednak byłoby lepiej, żebyśmy razem...

--Poczekamy, zobaczymy -- wtrąciła się mama. -- Jeśli Dariana nawarzy piwa i wkroczą imperialni, wtedy wszyscy zalegniemy przy okienkach strzelniczych.

--Ja też umiem strzelać! -- wykrzyknęła Lena. -- Dlaczego mamy być tylko niańkami?

--Stare i bezpłodne. -- Mama uśmiechnęła się, cytując klasyka -- nie są potrzebne rodowi. Coś mi się wydaje, Lenoczka, że strzelam nie gorzej od ciebie. Można powiedzieć, że mam doświadczenie i to zdobyte w walce, a nie na strzelnicy.

--Mamo! To nie fair! -- wypaliła Swieta.

--Fair, fair! Wszystko jest w porządku. Grzebać należy starców, a nie młodych.

--Jacy tam z was starcy! -- wykrzyknęli chórem Georgij i siostry.

--A żebyście wiedzieli. -- Mama wzruszyła ramionami. -- Jak nie możesz rodzić, to już koniec, już jesteś stara. Nie ma znaczenia, że jeszcze przez trzydzieści lat będę mogła niejedno zdziałać, skoro to, co najważniejsze, już się skończyło. Pierwsza linia to dla mnie idealne miejsce. I możecie być pewni, że na tamten świat zabiorę ze sobą wielu wrogów.

--Dajcie wreszcie spokój. -- Podniosłem rękę. -- Co wy wygadujecie, no naprawdę...

--Rus ma rację. -- Ojciec skinął głową. -- Zastanówmy się lepiej, co zrobić, żeby nie przegapić naszej lisicy Daszy, gdy jednak wysunie ogon z nory...

Duma Nowego Krymu przegłosowała niebywałą ustawę: „Dostawy w oparciu o kontrakty wojskowe zostały zawieszane na czas nieokreślony”. Gabinet ministrów, utworzony przez większość członków Dumy, nie miał prawa weta, Nowy Krym był na szczęście republiką parlamentarną. Prezydenci nigdy nie byli nam potrzebni, chociaż z drugiej strony, gdyby takie stanowisko jednak istniało i gdybyśmy mieli na nim swojego człowieka (na przykład znanego polityka J. Fatiejewa), być może wszystko potoczyłoby się inaczej.

W czasie wojny demokracje parlamentarne to nie najlepszy ustrój. Nawet Anglia miała swojego Churchilla...

Tata i jego stronnicy nie opuszczali Dumy. Wzmocniono ochronę budynku, a ojciec zupełnie poważnie namawiał kolegów do zasłonięcia okien parteru workami z piaskiem i ustawienia przy nich cekaemów. Wysłuchano tej rady z szacunkiem, ale nie wcielono jej w życie.

A na porządku dziennym już znalazła się kolejna kwestia -- „usunięcia błędów spowodowanych polityką Federacji Trzydziestu Planet”. Któryś z młodszych, gorącogłowych kolegów ojca zaproponował nawet sformułowanie „tak zwanej Federacji”, ale to już uznano za przesadę.

No i „naszej Daszy” puściły nerwy. Mama miała rację: mimo licznych zapewne zalet, przywódczyni 6. Brygady Bandera Rossa nigdy nie odznaczała się cierpliwością.

Pojedynczo, po dwoje, po troje, na placu przed Dumą zaczęli pojawiać się młodzi ludzie, niektórzy z nich mieli na głowach czerwone opaski brygad.

Na razie było to tylko zbiegowisko. Nasze siły bezpieczeństwa publicznego nie należą do panikarzy pod byle pretekstem aresztujących „awanturników i burzycieli spokoju”, ale kilku policjantów już weszło w tłum. Jeśli dojdzie jedynie do niegroźnych rozruchów z wybijaniem szyb, załatwią to szybko. Zakłócanie porządku publicznego to jeszcze nic takiego, ale jeśli dojdzie do zamachu na struktury władzy, wówczas trzeba będzie zastosować inne metody.

Dumę ochraniał pododdział specjalny OBOR, który już zabarykadował wszystkie drzwi od środka. Zadanie ochroniarzy polegało na tym, żeby się nie wychylać, a z drugiej strony nie dopuścić do tego, żeby próg powierzonego ich pieczy obiektu przekroczył ktoś nieupoważniony.

Młodzież na placu nie miała chyba żadnej broni, niektórzy trzymali namalowane naprędce plakaty z hasłami w rodzaju: *Hańba zdrajcom!* Zachowywali się dość głośno, ale nie wychodzili poza ramy tradycyjnego „nieusankcjonowanego mitingu studenckiego”, zjawiska typowego dla Nowego Krymu w ogóle, a Nowego Sewastopola z jego czupurnym uniwersytetem w szczególności.

Komendant Nowego Sewastopola -- dawny przyjaciel ojca -- postąpił absolutnie zgodnie z przysięgą. Tłum pokrzykujących młodych ludzi zaczęły otaczać kordony policji.

Byliśmy przygotowani na dowolny rozwój wydarzeń. Po placu i wokół niego krążyli ludzie ojca, gotowi na wszystko. Nie najemnicy, którzy zarabiali na swoją pensję, lecz tacy, którzy nam ufali.

Było już dobrze po północy, gdy na placu rozpalono ogniska. Policjanci stali w kordonie, młodzież gniewnie demaskowała sprzedajnych polityków i nic nie zwiastowało nieszczęścia - nie ruszano nawet samochodów czy witryn sklepowych (tych, które pozostały mimo wprowadzenia stanu wojennego) na pobliskich ulicach. Oczywiście, można było spokojnie rozproszyć ten tłum gazem Bez, tylko po co?...

Zacząłem nawet powątpiewać, czy Dariana rzeczywiście połknęła przynętę.

Spodziewaliśmy się bezpośredniego ataku na Dumę, uzbrojonego tłumu, a tu zamiast tego głośnie przemowy i podniesione pięści.

Mniej więcej do połowy nocy to, co się działo, nie odbiegało od zwykłego spuszczenia pary. Jednak po wybiciu godziny trzeciej z placu przed Dumą zaczęły napływać zupełnie inne informacje.

Ktoś z tłumu rzucił w stronę kordonu zwykłą butelkę po piwie. Przyzwyczajony do podobnych zagrywek policjant zręcznie przyjął butelkę na plastikową tarczę i odrzucił na bok. I w tej samej chwili od strony Dumy padł pojedynczy strzał.

Bardzo głośny, jakby strzelającemu specjalnie zależało na tym, żeby go usłyszano.

Jeden ze studentów, ten, który zamachnął się pustą butelką, rozluźnił palce i bezgłośnie upadł na asfalt. Na środku jego czoła widniał idealnie okrągły otwór.

Sekundę później otworzyły się na oścież drzwi budynku z czerwonych bloków wypolerowanego granitu. Były Sztab Sił Zbrojnych Imperium, Planeta Nowy Krym, stał się matecznikiem brygad międzynarodowych, które wreszcie doczekały się swojej godziny.

Nieodzwonny remont (plamy sadzy nad wąskimi oknami były jedną z pierwszych rzeczy, które zobaczyłem po powrocie na ojczystą planetę) wykonano w godnym podziwu tempie. Tak sprytnie nie budowano żadnego z umocnień, które według nowej władzy „otaczały nasz Sewastopol szczelnym pierścieniem”.

Na plac wypadło kilkudziesięciu krzepkich młodzieńców w imperialnych bluzach kamuflażowych -- Dariana Dark musiała się nieźle obłowić w koszarach Tannenberg. Z broni zauważyłem nie tylko klasyczne 98-kurtz, ale również znacznie lepsze heckler-koch G-111, a nawet tak egzotyczną rzecz jak „sobowtóry” steier*. [Mojego plutonu w Tannenbergu do takich skarbów nie dopuszczano.](#)

Wokół okien Dumy zatańczyły wiry betonowego pyłu. Kule rozwalaly szkło hermetyczne, wybuchło kilka czterdziestomilimetrowych granatów, steiery opluwały fasadę budynku swoimi dwudziestkami.

--Zabili! Zabili go, dranie! -- rozlegało się tymczasem w kilku punktach placu. Jedni krzyczeli, że zabili Miskę, drudzy, że Kołę, ale przecież imię było nieistotne.

Tłum zaczął wyć i ryczeć... Być może jeszcze wtedy udałoby się stłumić te zamieszki, ale już po chwili między studentami pojawili się uzbrojeni członkowie brygad, prawdziwi kadrowi żołnierze Dariany Dark, którzy wylądowali na Nowym Krymie po formalnym odłączeniu. To właśnie oni pociągnęli za sobą pozostałych. Amorficzna masa ludzi pospiesznie się skryzalizowała, prąc do budynku Dumy, nieustępliwa jak lodolamacz niszcząca drewniane podpory mostów.

Ochrona Dumy zdążyła otworzyć ogień, ale atakujący też byli nie w ciemności. Nie zapomnieli zabrać ze sobą tak sympatycznej i jakże potrzebnej rzeczy jak imperialny miotacz ognia Muspell -- dolne piętro budynku, z którego padały strzały, błyskawicznie zajęło się kopcącym, czarnorudym płomieniem. Z precyzją, której pozazdrościłyby im elitarne oddziały Reichswehry, brygady wdarły się do środka, gasząc ogień strumieniami gaśnic chemicznych. Wewnątrz budynku wybuchła strzelanina i natychmiast umilkła.

Ledwie zdezorientowani policjanci z kordonów zdążyli chwycić za broń, gdy w karki wbiły im się lufy najróżniejszych kalibrów, nie wyłączając ciężkich cekaemów 14,5 mm, zamontowanych na furgonetkach. Stróżom porządku nie pozostało nic innego, jak rzucić broń. Co odważniejszych uspokojono szybko i radykalnie, z zimną krwią strzelając bez uprzedzenia.

Nowiny runęły niczym lawina. Ludzie Dariany zajęli centralny komunikator, biorąc pod kontrolę wszystkie sieci planety, opanowali też posterunek policji, kilka miejskich banków, lotnisko, elektrownię, słowem to wszystko, co zazwyczaj zajmuje się podczas przewrotu państwowego. Nie obeszło się bez strzelaniny, ale straty atakujących okazały się znikome, zaledwie pięciu czy sześciu rannych lub zabitych.

Już nad ranem Dariana Dark mogła świętować absolutne zwycięstwo. Kontrolowała, a w każdym razie uważała, że kontroluje Nowy Krym. Nowy Sewastopol znalazł się w jej rękach.

Na ulice spadały zrzucone z helikopterów ulotki -- informacje dla tych, którzy nie podłączają się do sieci i nie będą słuchać radia. Ulotki pochodziły od niejakiego Tymczasowego Wojskowo-Rewolucyjnego Komitetu Planety Nowy Krym.

Dlaczego do tego dopuściliśmy?

Przecież w tłumie na placu byli ludzie ojca, gotowi na wszystko!

Ich zadanie nie polegało na udzielaniu pomocy stróżom porządku. Potrzebowaliśmy kanałów łączności, ludzi wydających rozkazy. I gdy na placu zagrzmiały pierwsze prawdziwe wystrzały, a na schodach Dumy wybuchł pierwszy granat, zaczęli działać.

Odszukiwali w tłumie ludzi wydających polecenia i, korzystając z zamieszania, starali się znaleźć w ich pobliżu, uaktywniali granaty z gazem i w końcu znikali, zabierając ze sobą

uśpionego jeńca.

Skanery innych obserwatorów na placu i lotne brygady namierzające też nie marnowały czasu. Ojciec wziął na akcję całą swoją osobistą ochronę, sprawdzonych tajniaków z głową na karku, przyjaciół z Departamentu Klęsk Żywiolowych. Nie pytajcie mnie, skąd w tym departamencie pelengatory i po co one ratownikom, skoro statki, które miały poważne problemy na morzu, gładko odnajdywano przez sieć satelitów i specjalne radiolatarnie.

A tymczasem ożyły uliczne głośniki, dodając swoje ochryple, nosowe brzmienie do cichego szelestu ulotek zaścielających jezdnie.

Trudno było nie rozpoznać stylu Dariany Dark. Piętnowano „zdrajców narodu”, władze oskarżono o korupcję, wszyscy deputowani mieli ponoć być na utrzymaniu imperialnego wywiadu. Ogłoszono stan wojenny ze wszystkimi jego atrybutami: zakazem wieców, pochodów, demonstracji i zebrań, „tymczasowym rozwiązaniem” partii politycznych, przerwaniem pracy organów wyborczych i tak dalej. Nie omieszkało również przypomnieć o obowiązku zdania broni palnej i białej.

Ponadto ogłoszono, że dostawy artykułów spożywczych dla Federacji stają się priorytetem.

A na dokładkę porcja obowiązkowych hasel -- zdaje się, że w tak zwanym międzyczasie Dariana zgłębiała historię. „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa!” „Nasza sprawa jest słuszna, wróg zostanie rozgromiony, zwycięstwo należeć będzie do nas!” Aha, zapomniałem wspomnieć, że odezwa zaczynała się od słów: „Bracia i siostry!”...

--Narozrabiała ta nasza Dariana. -- Ojciec kręcił głową. -- Wpakowała się w niezłe problemy. Nie sądziłem, że da się złapać na taką przynętę jak nasza. Chociaż, w gruncie rzeczy, na to właśnie liczyliśmy. Co ona robi, jeśli jutro przeciwko nim zwróci się cała planeta, a dzieciaki z brygad rozbiegną się do domów? Co za brak profesjonalizmu! Aż się człowiek zaczyna zastanawiać, czy przypadkiem biedna Dariana nie zginęła od twojej kuli na skutek posocznicy albo czegoś w tym stylu, i teraz nie rządzi ktoś inny...

Nie spierałem się. Jechaliśmy trzema samochodami (z tyłu i z przodu dżip ochrony) do miejsca, gdzie powinien znajdować się sztab Dariany. A w każdym razie do miejsca, z którego wyszły rozkazy rozpoczęcia buntu na Nowym Sewastopolu.

Plan był taki sam, jak na Szóstej Bastionowej: jedna grupa imituje atak, ja przenikam do środka i tam działam odpowiednio do sytuacji. Tym razem nie spudłuję i ręka mi nie drgnie. Wprawdzie powtarzanie udanego już raz chwytu jest niebezpieczne, ale mieliśmy nadzieję, że dopadniemy przywódczynię Bandery Rossy i w ten sposób zaoszczędzimy niejedną milion marek na Konradzie.

Legowisko Dariany (mieliśmy nadzieję, że to ono) mieściło się w starej stoczni remontowej. Zamknęli ją, gdy stało się jasne, że zakład produkcyjny w takim miejscu nie ma racji bytu i że znacznie rentowniejsze będzie zbudowanie tu hotelu i przyjmowanie turystów, którzy nie mogą żyć bez morza w swoich odległych sektorach.

Stocznię zamknięto, ale nie zabrano się do budowy czegoś nowego. Zaczęła się wojna. Część starych hangarów wyburzono, część nadal stała, tworząc nietypowy dla środowiska Nowego Krymu postmodernistyczny krajobraz.

Samego zakładu energetycznego jednak nie zburzono. Do fabryki można więc było dawać napięcie.

Zatrzymaliśmy się kilometr od stoczni. Operacja została zaplanowana z rozmachem: w morzu dyżurowała nasza załoga na „Katrionie”, czujki ukryły się, otaczając stocznnię półkolem. Wśliznąłem się w gęste zarośla.

Ludzie ojca zostali na drodze. Ich zadanie polegało na symulowaniu ataku i niewłażeniu pod kule. Całą resztę miałem załatwić ja.

Zostawiłem za sobą drogi dojazdowe i przewróconą siatkę ogrodzenia. Zapadła noc, ciemności zgęstniały, na tle rozgwieżdżonego nieba posępnie czerniały ściany budynków -- dachy zostały albo rozebrane, albo częściowo zburzone, kiedy przeszło tędy kilka huraganów. Panowała cisza i bezruch.

Pomyślałem, że chłopcy będą musieli sprowokować ogień i poczułem się nieswojo. Ale nie zdążyłem przejść nawet dziesięciu metrów, gdy zaterkotały serie automatów, huknął granat, a w moich słuchawkach rozległ się urywany głos ojca:

--Pięć, pięć, pięć!

Trzy piątki. Muszę się spieszyć. Wszystko poszło inaczej, niż zaplanowaliśmy. Żaden plan operacyjny nie pozostaje niezmienny po kontakcie z nieprzyjacielem, ale do naszego planu musieliśmy wprowadzić zbyt pospieszne i zbyt zasadnicze zmiany.

W odróżnieniu od Szóstej Bastionowej, tej stoczni nigdy przedtem nie odwiedzałem. Teraz jednak byłem innym człowiekiem, wizyta w poprzedniej kryjówce Dariany odcisnęła na mnie trwale piętno. Powtórna kąpiel w żywej galarecie biomorfów dodała mi zdecydowania i wyostrzyła zmysły. Nie stałem się wprawdzie superem, ale niczym pies gończy z daleka złapałem ślad prowadzący do zbiornika wypełnionego ruchliwą brązową masą.

Chyba jeszcze nie zdążyli się tu porządnie urządzić, i nic dziwnego -- skąd w zwykłym starym zakładzie miałyby się wziąć bunkry? Ale ochronę zorganizowali jak się patrzy; co jakiś czas noc wybuchała rozbłyskami pocisków smugowych. To nic, i tak nie zdołają się ukryć zbyt głęboko.

Ostatnie słowa powtarzałem jak mantrę. Nigdzie się nie ukryją. Są tutaj, wystarczy tylko wyciągnąć rękę...

Trzeba przyznać, że w Tannenbergu nieźle nas wyszkolili, sierżant Klaus Maria Pferzgentakl nie na próżno wyciskał z nas siódme poty. Niczym wąż prześliznąłem się przez krzewy i znalazłem w rogu opuszczonego placu. Od niepamiętnych czasów leżał tu złom -- pordzewiałe kontenery, wózki wagonowe i inne przedmioty. Gdzieś tam, przebijając szczeliny w betonie, wysuwały się gałązki ścianołomu, upartego, odwiecznego mieszkańca Nowego Krymu. Ta niewymagająca roślina pokrywała skaliste wzgórza planety na miliony lat przed pojawieniem się tu człowieka.

Walka trwała nieopodal, co jakiś czas zapalały się rakiety oświetlające, słychać było dźwięczny trel cekaemu, wybuchały rude grzyby -- ludzie ojca przezornie zaopatrzyli się w muspelle i nie szczędzili granatów.

Samo podwórko oświetlało kilka reflektorów, ale Zdenek, nasz snajper, z zimną krwią rozstrzelał wszystkie z maksymalnej odległości. Zdenek należał niegdyś do Międzynarodowej Brygady imienia Kościuszki, ale w porę zrozumiał, że nic dobrego z tego nie wyniknie, przybył na Nowy Krym, a tutaj już on i ojciec szybko się odnaleźli.

Zapach biomorfów stawał się coraz silniejszy. Jak w tej dziecięcej zabawie -- ciepło... ciepłej... gorąco...

Wtedy zauważyłem pierwszego wartownika. Chłopak w nasuniętym na ucho czarnym berecie chyba strasznie ubolewał, że nie może uczestniczyć w walce. Rzuciłem mu pod nogi granat gazowy. Na razie wszystko szło dobrze, nawet lepiej niż w Szóstej Bastionowej.

Podejrzanie dobrze.

Tak czy inaczej, do środka wszedłem bez przeszkód. Budynek zakładu był ciemny i pusty, dawno temu wyniesiono stąd wszystkie sprzęty. Zapach biomorfów prowadził mnie w prawo, ku morzu, do największego, nierozebranego hangaru.

Czołgałem się po betonie, co chwila natrafiając na ścięte spawarką gazową przewody doprowadzone do urzędzeń. W głębokim cieniu wreszcie wstałem i kryjąc się za pozostałościami grubego jak przejeżdżona anakonda wyciągu, ujrzałem stalową bramę hangaru, barykadę w pośpiechu utworzoną z betonowych podkładów, a nad nią lufy cekaemów i okrągłe helmy strzelców. Znowu jakieś dzieciaki. Chyba już tradycyjnie Dariana Dark posyłała na śmierć egzaltowaną młodzież.

Wolałem nie ryzykować. Z boku nadal rozbrzmiewały serie, powoli, zgodnie z planem odsuwając się od stoczni. Ojciec zarządził odwrót, chcąc pociągnąć przeciwnika za sobą.

Spróbujmy obejść tego kolosa...

Po prawej i lewej stronie hangaru znajdowały się niegdyś mniejsze sztaple. Brygady demontażowe zdążyły sporo rozebrać, ale pozostawiły po sobie taki bałagan, że z powodzeniem można by tu kręcić film patriotyczny o ulicznych walkach w Stalingradzie. Nawet gdybym wprowadził cały pluton, ochrona niczego by nie zauważyła, a w każdym razie nie zdążyłaby nic zrobić.

Obejście hangaru nic mi nie dało. Dariana wszędzie wystawiła posterunki: stanowiska cekaemów na dole, zwykłych strzelców na górze. Po cichu wejść się nie da, a jakoś nie miałem ochoty rozwalać bramy granatem. Zapach biomorfa -- ciepłego, żywego, głodnego -- zaczynał doprowadzać mnie do szaleństwa. Nienawiść ścisnęła mi szczęki, ale szybko udało mi się opanować. Nagle zapragnąłem być choć przez chwilę potężnym czarownikiem, żebym mógł wystrzelić z dłoni niszczycielski płomień, który załatwi przeciwnika od razu i na zawsze.

Dotarłem aż do wody. Od strony morza hangar był prawie nieosłonięty. Cóż, gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, może dałoby się zorganizować najprawdziwszy desant...

Wśliznąłem się do wody, ale to również zostało przewidziane -- po wodzie przesuwiał się promień mocnego reflektora, zmuszając mnie do zanurzenia. Spędziłem na dnie niemal dwie minuty, aż poczułem nieznośne palenie w piersi. Siedziałem w płytkiej wodzie przy spadającym do wody zejściu, wystawiwszy mały składany peryskop...

Fatalnie. Cały hangar jasno oświetlony, ale ludzi niewielu. Nic dziwnego, skoro brygady walczą z macicami, zdradzanie tajemnicy biomorfów nie miałyby sensu. Założę się, że na Omedze-8 do inkubatora również nie dopuszczano wszystkich jak leci, szeregowi mogli w ogóle nie wiedzieć, co się tam dzieje. Choć pewnie ciężko utrzymać coś takiego w tajemnicy...

Dariany nie zobaczyłem. Środkiem hangaru biegł głęboki, szeroki wybetonowany rów dla kilku statków, jeszcze z czasów, gdy taki właśnie model u nas dominował. Teraz ten rów został przegrodzony i w tym zaimprovizowanym zbiorniku dojrzewało diabelskie nasienie. W stronę morza biegła gruba rura, teraz zamknięta ciężką klapą.

Strach pomyśleć, co się stanie, gdy otworzą zawór...

Jak się stąd wydostać?

Pomyślałem, że przydałby się tu nie samotny bojownik, lecz cały batal... to znaczy teraz już pułk Tannenberg.

Leżąc w ciepłym morzu Nowego Krymu i patrząc na krzątające się figurki ludzi, nagle z absolutną jasnością zrozumiałem, że nie warto pchać się na rożen, że powinienem zawrócić i przyjść w zupełnie innym towarzystwie. Tylko raz, w Szóstej Bastionowej, powiódł się tak szalony plan, drugi raz się to nie uda. Hangar jest odsłonięty, będą mnie mieli jak na dłoni. Bomba jest ciężka i nie tak łatwo wrzucić ją na dach hangaru. Chociaż, gdybym się sprężył... jeden skok, wrzucić ładunek i z powrotem do wody. Jest noc, jeśli zdążę strzelić do jedyne go reflektora, może uda mi się odpłynąć... Broń można odrzucić, a rozrzutu strzępów brązowej galarety się nie bałem. Termobaryczny ładunek wypali w hangarze wszystko do cna...

Szansy są niewielkie, ale są. A powrót z większymi siłami i tak nie będzie możliwy.

Szkoda tylko, że nie uda mi się wysłać do tego zbiornika Dariany...

I w tym momencie ugryzłem się w język. Cała wstecz! Nie kto inny, tylko właśnie Dariana Dark we własnej osobie szła prościutko do zbiornika!

Takiej okazji nie mogłem zmarnować. Pojawiła się w polu widzenia tylko na chwilę i szybko znikła, nie zdążyłbym strzelić, ale dopóki tam jest...

Poderwałem się z miejsca, wyszedł mi prawdziwy skok z pozycji leżącej. Palce już wcisnęły zapalnik bomby -- za minutę rozleje się tu morze ognia. Jednym susem znalazłem się na betonowej krawędzi, zobaczyłem szeroko otwarte oczy -- ho, ho, ta sama „tygrysyca”, znajoma z Omegi-8 -- i znowu nie zdążyłem strzelić. Najbliżej głowy tygrysyca znalazła się kolba, z czego nie omieszkałem skorzystać, a chwilę później wokół mnie zatańczył płomień. Ściałem serią męczyznę, który mnie zaatakował, powietrze nad moją głową zawyło od kul, coś uderzyło mnie w ramię, ale nie czułem bólu i tuż przed sobą zobaczyłem Darianę Dark. Do połowy piersi zasłaniał ją wrak potężnej zardzewiałej windy kotwicznej. Znowu nacisnąłem spust. Ciemna postać przed słynną terrorystką złamała się w pasie i zniknęła z pola widzenia, następna kula skrzesła snop iskier z potężnego koła zębatego i w tym momencie zablokował się mój automat.

W tym modelu to normalna rzecz: zaklinowanie pocisku.

Przekląłem wszystkie demony świata.

Rozciągnięty czas kapał topniejącymi sekundami, trzech czy czterech strzelców już się zorientowało, w czym rzecz i nacisnęło spusty, zalewając ołowiem wszystko wokół.

Jeśli zabiję Darianę Dark -- nożem, kolbą czy gołymi rękami -- sam polegnę razem z nią. Już otworzyli ogień wartownicy z góry.

Chcę żyć! -- rozbłysło mi w świadomości.

Wiedziałem, że powinienem umrzeć. Heroicznie, pięknie i głupio. Nie, życie wcale nie przewinęło mi się przed oczami, ale za to zrozumiałem, co powinienem zrobić.

Skoczyłem, chwyciłem Darianę za kołnierz i zasłoniłem się nią, jak wtedy na Bastionowej. Wrzuciłem do zbiornika przygotowaną bombę i pobiegłem do zbawczego morza.

--Strzelaaajcie! -- krzyknęła Dariana, próbując walnąć mnie w krocze. Zdążyłem złapać jej rękę, ale musiałem osłabić uchwyt i Dark wysliznęła się niczym wściekła żmija. Dopadłem ją dopiero nad krawędzią zbiornika, tuż obok tamy.

Ból zapłonął, omal nie gasząc świadomości. Odezwała się we mnie wściekła, pierwotna nienawiść i nim zdążyłem zrozumieć, co robię, pchnąłem Darianę, posyłając ją prosto w

brązową masę biomorfa.

W tym momencie oberwałem po raz drugi i sturlałem się w dół, prosto do wody. Tutaj, w środku hangaru, była jeszcze dość głęboka, dna nie zawałono betonowymi odłamkami. Uwolniłem się od niepotrzebnej już broni i kamizelki kuloodpornej i odpłynąłem, zostawiając za sobą krwawy ślad.

Sześćdziesiąt sekund do wybuchu. Jeśli obsada hangaru nie składała się z głupców (a głupcy, jak sądziłem, zginęli w Szóstej Bastionowej), wyniosą się stąd jak najszybciej. Możliwe, że puszczą się w pogoń.

Na razie nikt nie strzelał. Jedni biegli, inni wskakiwali do morza. Odwróciłem się i to, co zobaczyłem, wryło mi się w pamięć, niczym wytrawione kwasem.

Dariana Dark, mokra, pokryta brązowym śluzem, wygramoliła się na krawędź zbiornika. To nie mogło się zdarzyć, a przecież się zdarzyło.

Nie mogąc się powstrzymać, znowu się obejrzałem. Dark błyskawicznie skoczyła z hangaru w otwartą boczną bramę. Wyraźnie nie miała zamiaru ginąć.

Wypłynąłem na otwarte morze, nie czując bólu i nie zauważając ran.

Dariana Dark przeżyła w roztworze. Tak samo jak ja.

Może to nie był właściwy biomorf? Może był jeszcze słaby, młody albo przeciwnie, już konający? Może nie potrzebował pożywienia?

...Wymach, wymach, wymach... Płynąć... płynąć... płynąć...

Nie. To był najprawdziwszy biomorf. Czulem go. Czulem jego głód, jego wściekłość i pracujące zawzięcie organelle. Potrzebował białka i strawiłby Darianę w okamgnieniu. Oplótlby ją zwinnymi, wsysającymi się mackami, wstrzykując pod skórę fermenty o natychmiastowym działaniu, działającymi w prawdziwym kwasie, zmiękczyłby rozpadające się ciało, przetrawił i przerobił na część siebie. To był dobry biomorf.

...Wymach, wymach, wymach. W oczach mi pociemniało, nie wiedziałem, jak daleko jest pogoń i... Jak się okazało, minuta upłynęła dopiero teraz. Huk wybuchu i grzyb płomienia wzbijający się ponad ściany, które składały się jak w domku z kart. W hangarze nikt i nic nie przeżyje. Ale Dariana Dark nie zginie. Woląłem nie myśleć, co się stanie, jeśli skoczy teraz do morza.

Płynę. Będę płynąć, dopóki ręce nie odmówią mi posłuszeństwa. Wiem, że z ran na ramieniu i w boku płynie krew, że zostawiam za sobą ślad, niczym trafiony statek, ale bólu nadal nie odczuwam.

Ostatni świadomy wysilek tracę na to, żeby wcisnąć przycisk naramiennej boi radiowej, a potem płynę, płynę, płynę, czując upływ siły i krwi, czując, jak ciało przeszywa lodowaty dreszcz...

Wymach. Wymach. Jeszcze jeden. Płynąć, płynąć, płynąć...

Przytomność odzyskałem dopiero na pokładzie kutra.

Uratowała mnie kamizelka. No i oczywiście boja oraz wierne chłopaki z „Katriony”. Znaleźli mnie, wyciągnęli z wody, zrobili wszystkie możliwe zastrzyki.

Dopiero później mogłem opowiadać o tych wydarzeniach gładko i spokojnie. Ale wtedy...

Ból spadł z ciemności, runął z nieba niczym pamiętny Rój i oblepił moje ciało, które nagle stało się bardzo ciężkie. Od ramienia i mięśni międzybrownych z prawej strony pełzł ogień, pożerał kości, chciał dosięgnąć płuc. Chyba plulem wodą i krwią.

„Katriona” zatoczyła szeroki łuk i wypłynęła na otwarte morze. Zobaczyłem jeszcze, jak na brzegu rozprzestrzenia się pożar. Ta szalona awantura chyba się udała, spaliliśmy kolejnego wielkiego, zdrowego biomorfa, gotowego do transformacji potwora, a ja ciągle nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Dygocząc na twardych deskach pokładu, lecąc przez ręce marynarzom, gdy lekarz starał się jak najszybciej wstrzyknąć mi środki przeciwwstrząsowe i przeciwbólowe, a inni tamowali krew -- miałem przed oczami tamten widok.

Dariana Dark zręcznym ruchem młodej gimnastyczki (a nie czterdziestopięcioletniej kobiety) wynurza się ze skazanego na śmierć biomorfa. Dariana Dark przeżyła w galaretowatej biomasie. Przeżyła tak samo, jak przeżyłem ja.

Jaki z tego wniosek?

Świat staje do góry nogami, oto jedyny wniosek. To znaczy, że podobnie jak ja Dariana Dark nie jest człowiekiem, tylko biomorfem? A raczej człowiekiem z domieszką biomorfa? Czy o tym wie? A może ona również jest „przesyłką” od Obcych?

Gdzieś już o tym czytałem...

To niemożliwe! Biomorfy to po prostu bezmózga galareta. A Dariana... przecież spędziła dzieciństwo na Nowym Krymie. Mój ojciec pamięta ją jako małą dziewczynkę. To po prostu znaczy... to znaczy, że cała ta historia z biomorfami jest znacznie bardziej skomplikowana i sięga znacznie dalej, niż nam się wydawało. To znaczy, że istnieli jacyś prekursorzy, którzy zajmowali się tym materiałem dwa pokolenia temu. Może natrafili na niego podczas pierwszej fali ekspansji, gdy ludzkość o mało nie rozwalila na kawałki własnej planety, w pośpiechu budując statki kosmiczne zdolne do pokonania przestrzeni?

Wszystkie te myśli i wnioski przyszły mi do głowy znacznie później. Wtedy, na kutrze, po prostu starałem się zmusić do oddychania.

Na szczęście rany nie były głębokie. Za pierwszym razem ramię tylko drasnęło, za drugim uratowała mnie kamizelka -- kula przebiła ją, ale wytraciła impet, poszła bokiem i wylatując, przebiła mięśnie. Z „Kaniony” przetransportowano mnie do helikoptera, gdzie już czekał na mnie ojciec z lekarzami.

Po tej nocy opuściliśmy nasz dom. Wywieźliśmy bibliotekę i archiwa rodzinne, całą resztę porzucając na pastwę maruderów. Płonącej żądzą zemsty Dariany nic już nie powstrzyma.

--Schodzimy do podziemia. Musimy wszystko zacząć od początku -- zażartowała smutno mama, gdy dom skrył się za zakrętem.

Ciągle nie mogłem się nadziwić, że ojciec okazał się na tyle przewidujący, by przygotować tajne kryjówki na wszystkie ewentualności życia.

--Zostały jeszcze z czasów „Nieprzejeđnanych” -- odpowiedział krótko na moje pytanie.

Rodzice nie załamywali rąk na widok moich ran.

--Pozwólcie mi popatrzeć -- zażądała stanowczo mama i z miną profesjonalisty wygłosiła werdykt: -- Zagoi się jak na psie.

Mogła oszukać każdego, tylko nie mnie. Zdradzały ją oczy.

--Mamo, przecież musimy...

--Na razie nic nie musimy -- ucięła. -- Tylko ty musisz leżeć. Koniec rozmowy.

Już we wczesnym dzieciństwie zapamiętałem, że jakiegokolwiek dyskusje z moją mamą nie mają sensu.

Co miałem zrobić? Leżałem i oglądałem wiadomości. Imperialni szybko zrozumieli, że

nowo powstała Federacja blokuje ich przekazy i próbowali przeciwdziałać. W każdym razie w naszej kryjówce sygnał z Rzeszy był całkiem niezły, choć pod względem jakości obrazu nie mógł się równać z programami Federacji -- trzeba przyznać, że federalni mieli świetny sprzęt telekomunikacyjny.

Wiadomości imperialne.

Powiewa czerwono-biało-czarny sztandar z Orłem z Wieńcem i Słońcem pośrodku. Rozbrzmiewa uroczysty marsz, flaga powoli się rozplywa, ustępując miejsca dziwnemu krajobrazowi -- na horyzoncie wzbijają się ku niebu nieprawdopodobnie ostre szczyty górskie, przed nimi rozpościera się posępna czerwono-brązowa równina pokryta ogromnymi lejami wyrobisk.

--Nasza grupa centralnego aparatu Ministerstwa Propagandy znajduje się obecnie na pierwszej linii styku wojsk imperialnych z powstańcami na planecie Szajtan. Mniej więcej sto metrów od nas są najbardziej wysunięte stanowiska separatystów. Dowódcy imperialnego odcinka pozwolili nam podjechać tak blisko, jak to tylko możliwe. Jest tu bardzo niebezpiecznie -- bandyci mają snajperów i kilku naszych żołnierzy zostało rannych mimo formalnego zawieszenia działań wojennych. Tam, na wieżycze sterowania działającej nadal kopalni odkrywkowej jest ich punkt obserwacyjny.

Droga przegrodzona betonowymi blokami, na górze drut kolczasty. Kamera filmuje twarz imperialnego żołnierza w pancerzu maskującym, starannie unikając pokazania dystynkcji czy emblematu oddziału.

--Urządzają prowokacje niemal co noc. Podczołgują się, ostrzeliwiają. Granatniki, miotacze ognia. Ponosimy znaczne straty, mamy zabitych i rannych...

--Rozumiem, że wy też otwieracie ogień?

--Widzi pan te ciężarówki? Kopalnia ciągle działa, są tam cywile: operatorzy, kontrolerzy, remontowcy. Za nami jest szczere pole, najbliższe lotnisko dziesięć kilometrów stąd, a tam mają istne mrowisko. Jak tu strzelać, przecież ludzie zginą! I tak jest im ciężko, harują za skąpe racje...

--Czyli nie strzelacie, żeby przypadkiem nie ranić cywilnych pracowników kopalni?

--Właśnie. Chłopcy zgrzytają zębami, ale nic nie robimy, cierpliwie czekamy.

--Czy nie można odpowiedzieć precyzyjnym ogniem i ostrzelać znane wam pozycje buntowników?

--Mają swoje pozycje za plecami cywilów. Jeszcze przyprowadzają tu dzieciaki, że niby na wycieczkę, zapoznanie się z produkcją. Tfu! Wstyd. Dziećmi się zasłaniają, bydlaki...

--Dziękuję panu. Szanowni obywatele, sami widzicie, że nasza armia mimo własnych strat usiłuje zachować życie tych, którzy znaleźli się pod władzą przestępczego reżymu separatystycznego, i obawiając się o życie swoich bliskich, nie mogą przejść na terytorium kontrolowane przez naszą armię. Robimy co w naszej mocy, żeby ci, którzy się mylą, zrozumieli swoje błędy. Stacja rządowej Głównej Korporacji Nadawczej bez chwili przerwy nadaje na terytorium zajęte tymczasowo przez separatystów -- dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem w dni w tygodniu. Ale separatyści boją się głosu prawdy. Prymitywnymi urządzeniami chałupniczej produkcji próbują zagłuszyć nasz sygnał. Zwracamy się do operatorów i dziennikarzy tej stacji...

W kadrze młodziutka rudowłosa dziewczyna w workowatym kombinezonie. Na szyi pałąk

sluchawek z wygięty miniaturowym mikrofonem.

--Proszę się nam przedstawić, pani korespondent.

--Starszy korespondent-obszawator Głównej Nadawczej, Katerina Fe...

--Wystarczy Katerina. Nie chcemy przecież podawać pani nazwiska naszym wrogom po tamtej stronie linii granicznej.

--Racja -- śmieje się dziewczyna.

--Katerina, nad czym pani teraz pracuje?

--Przygotowujemy bloki wiadomości i krótkie programy analityczne. Staramy się poruszać najbardziej drażliwe i niewygodne problemy.

--Na przykład?

--„Co daje wam odłączenie się od Imperium”? „Prawda i kłamstwo o życiu za zieloną linią”, „Jak separatyści zniekształcają historię”...

--Co konkretnie mówicie?

--Pokazujemy życie codzienne na kontrolowanych przez Imperium terenach. Pokazujemy, że działają wszystkie zakłady wydobywcze, kombinaty wzbogacania kopalin użytecznych, że powstają nowe miejsca pracy, eksport wzrasta z każdym dniem i rosną realne dochody ludności. Pokazujemy szkoły, szpitale, sklepy, restauracyjki, czyli wszystkie te miejsca, w których toczy się normalne życie mieszkańców planety. Demaskujemy kłamstwa o obozach koncentracyjnych i komorach gazowych. Wielu prostych ludzi przekazuje pozdrowienia swoim krewnym i bliskim, którzy pozostali na terytorium chwilowo nieznanym się pod naszą kontrolą. Przecież separatyści kłamią, że imperialne wojska aresztują wszystkich tych, których krewni znaleźli się w okupowanych rejonach! Oddajemy głos tym ludziom.

--A co się dzieje za zieloną linią?

--Wprowadzono tam stan wojenny, godzinę policyjną, skąpe, normowane racje żywnościowe. Proszę spojrzeć, separatyści wydrukowali nawet własne pieniądze!

Na ekranie pojawiają się prymitywne różowe i błękitne banknoty z podobiznami Churchilla, Roosevelta i Stalina.

--Ciągle jeszcze czczą wydarzenia II wojny światowej, które już dawno poszły w zapomnienie. Widzi pan, na ich banknotach wydrukowane są portrety krwawych dyktatorów, którzy zamienili świat w rzeźnię...

--Bądźmy sprawiedliwi, droga Katerino, Churchill został premierem Anglii dopiero po rozpoczęciu działań wojennych. Moim zdaniem za to, co się stało odpowiedzialność ponoszą przede wszystkim Chamberlain i Daladier...

--Ma pan absolutną rację. Ale to już pytanie do Gerharda, on zajmuje się programami analitycznymi.

--Dziękuję pani, Katerino. Panie Gerhardzie! Czy nie zechciałby pan...

--Odpowiedzieć na kilka pytań? Oczywiście, proszę bardzo! Odpowiadanie na pytania, nawet najbardziej drażliwe, to mój zawód.

Przed kamerą pojawia się szczupły starszawy oficer ze staromodnym monoklem i pagonami pułkownika.

--Gerhardzie, jest pan żołnierzem czynnej służby?

--Tak jest. Mam zaszczyt być docentem Katedry Historii Wojennej Akademii Sztabu Generalnego imienia generała Heinza Guderiana. Przybyłem tu, aby pomóc moim młodszym

kolegom...

--Proszę mi powiedzieć, skąd konieczność tak szczegółowego omawiania dawno minionych wydarzeń II wojny światowej? Kogo one dziś interesują?

--Hm... Jak sądzę, dla nikogo nie jest tajemnicą, że separatyści budują swoją kłamliwą propagandę w oparciu o tezę, że nasze wspaniałe Imperium jest spadkobiercą „przestępczego reżymu nazistów”. W tym celu wyciągają nadgryzione przez mole archiwalne notatki i nagrania, fałszują je i, jak to mówią, „rozdmuchują w płomień żar dawnych krzywd”. A więc my, historycy gabinetowi, którzy uczą imperialnych oficerów rozumienia logiki walki, musimy teraz tłumaczyć, że tak naprawdę wszystko było inaczej, niż wmawia prostym ludziom machina propagandy powstańców.

--Czy mógłby pan dać jakiś przykład?

--Proszę bardzo. Jak wie każdy uczeń, państwo niemieckie zostało zmuszone do przeprowadzenia ograniczonej operacji wojskowej w celu uniknięcia groźby wtargnięcia wojsk Związku Radzieckiego skupionych na wschodnich granicach Trzeciej Rzeszy. Popychany przez angielskich plutokratów przestępczy reżym stalinowski, który zamordował dziesiątki milionów swoich obywateli, przygotował się do skoku na zachód. Wyznaczono nawet termin inwazji -- 19 kwietnia 1941 roku...

--Ale jak wszyscy dobrze wiemy, do inwazji nie doszło?

--Nie. Właśnie w tym czasie Rudolf Hess prowadził pertraktacje w Anglii, gdzie zwabiono go podstępnie kłamliwymi obietnicami zawarcia pokoju. Stalin z charakterystyczną azjatycką przebiegłością dzikusa wyczuł niebezpieczeństwo i wołał poczekać. To niewątpliwie uratowało Europę od rosyjskiej niewoli. Uderzenie walecznych wojsk niemieckich przetrąciło grzbiet stalinowskiemu wilczemu stadu, nie dopuszczając Rosjan do Paryża, Genewy, Madrytu, Lizbony, Brukseli i Kopenhagi...

--Przepraszam, panie pułkowniku, ale jeśli mnie pamięć nie myli, spadkobiercy Stalina przez całe dziesięciolecie utrzymywali, że Związek Radziecki jedynie przygotowywał się do obrony i dlatego...

--Ma pan absolutną rację! Z tym mitem musimy walczyć aż do dziś... Niechże się pan zastanowi: skoro rosyjscy stalinowcy twierdzili, że jedynie szykowali się do obrony, gdzie były ich umocnienia obronne? Gdzie pas zaopatrzenia? Gdzie przedpole? Dlaczego ich rejony umocnień znajdowały się niemal na granicy? Nikt tak nie buduje! A pamięta pan ich teorię „z małymi stratami na terytorium wroga”?

--Nie, panie pułkowniku, nie studiowałem historii tak gruntownie...

--No tak, oczywiście, nie ma takiej potrzeby. Takie rzeczy muszą pamiętać wyłącznie specjaliści. Ale, jak się okazało, wszyscy popełniliśmy błąd. Przebiegłość Rosjan była niebywała. Ci ludzie w głębi duszy mimo wszystko pozostali barbarzyńcami... A więc owa teoria rzekomych przygotowań do obrony pozostawia niewyjaśnioną jedną ważną kwestię -- jak właściwie Rosjanie chcieli przejść od defensywy do ofensywy? Kontratak to przecież ukoronowanie najważniejszego, najbardziej złożonego rozdziału w sztuce operacyjnej. Rosjanie mieli plany osłony, plany ataku, ale nie mieli planów obrony!

--Proszę wybaczyć moją naiwność, panie pułkowniku, ale czy plany osłony to nie to samo, co plany obrony?

--Słucham? O nie, oczywiście, że nie! W ten sposób może mówić tylko nieprofesjonalista.

W tym wypadku oznacza to osłonę rozwijania natarcia, Proszę mi wierzyć, nie ma to nic wspólnego z prawdziwą strategiczną obroną, do której powinni byli przygotowywać się Rosjanie, gdyby naprawdę chcieli się tylko bronić. Po co gromadzić wojska na granicy? Należało je odciągnąć w głąb kraju na jakieś pięćdziesiąt, sto kilometrów, i tam utworzyć przedpole z zaporami i zasiekami, zaminować, a przy pierwszych oznakach ataku zniszczyć mosty, stacje kolejowe, pompy wodne, magazyny i tak dalej. Wojska niemieckie doszły do Mińska już piątego dnia wojny, po przejściu około trzystu pięćdziesięciu kilometrów!

--Przepraszam, Mińsk to...

--Przez cały czas zapominam, że to nie wykład w akademii. Mińsk to duże miasto w zachodniej części ówczesnego Związku Radzieckiego, administracyjny i ekonomiczny ośrodek tamtych terenów. Da pan wiarę, że mosty okazały się całe?

--Co niewątpliwie jest najlepszym dowodem, że...

--Że naród niemiecki prowadził wojnę ściśle obronną, wyłącznie w formie natarcia na terytorium przeciwnika.

--Dziękuję, panie pułkowniku.

--Cieszę się, gdy mogę wyjaśniać prawdę naszym drogim współobywatelom!...

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet.

W muzyce towarzyszącej przerywnikowi można bez problemu rozpoznać bezlitośnie wymieszane akordy *Boże, chroń Królową*, *Stars and Stripes* i *Świętej wojny*. Na ekranie powiewa flaga Federacji: żółte pole i na jego tle lecący czarny żuraw. Słychać uroczysty głos spikera:

--W dniu dzisiejszym siły wierne rządowi Federacji oraz idei walki narodowowyzwoleńczej przejęły kontrolę sytuacji na Nowym Krymie. Na tej planecie zdrajcy narodu, bogacze troszczący się wyłącznie o swoje portfele, bezlitośnie eksploatujący naturalne bogactwa planety i czerpiący zysk z nielegalnego handlu, próbowali przekupić pozostałą część ludności i „prawnymi” metodami zniszczyć bazę zabezpieczenia naszego kraju w żywność. Już wkrótce umierający pod kopułami przodujący górnicy planet-kopalń będą mogli przenieść się na Nowy Krym. Praca w kopalniach będzie kontynuowana w systemie zmianowym. Lud pracujący naszej Federacji zasłużył na swoją porcję morza i słońca, skradzionego im przez plutokratów i oligarchów Nowego Krymu. Tam, dokąd przyjeżdżali wygrzewać swoje kości imperialni magnaci, od dziś będą mogli wypoczywać i regenerować zdrowie robotnicy Wolnego Donu i Sławutycza, Szajtana i Plimut-rocka, Smithsonii i innych planet, na których warunki życia dalekie są od rajskich.

Na samym Nowym Krymie wprowadzono zwierzchnictwo władz Federacji. Sprzedajna Duma Nowego Krymu została rozwiązana. Większość zdrajców zatrzymano i internowano, jednak nasze władze są bardzo humanitarne. Mimo stanu wojennego i wagi swoich występków, zdrajcy trzymeni są w areszcie domowym...

Na linii styku naszych wojsk i oddziałów imperialno-faszystowskich (planeta Szajtan) nie wydarzyło się nic znaczącego, doszło jedynie do starć pojedynczych oddziałów. W czasie jednego z nich bojownik brygady międzynarodowej, towarzysz Alan Broadman, zakłął bagnetem oficera imperialnego, pięciu żołnierzy, a także zniszczył granatem wyrzutnię raketową. Nasi zwiadowcy, natchnieni czynem towarzysza Broadmana, zabili w walce około stu imperialno-faszystowskich żołnierzy i oficerów, niszcząc tym samym mit o niezawodności

pancerzy, w które Imperium zakuwa swoich najmitów, wierząc, że w ten sposób podniesie ich spadające nieustannie morale...

W całej Federacji rozpoczyna się realizacja programu powszechnego szkolenia bojowego. Rozmawiamy z naczelnikiem wydziału politycznego komendy wojskowej planety Szajtan, dowódcą brygady pierwszej rangi, Adrianem Goldsteinem:

--Dziś robotnicy Szajtana, realizując postanowienie Rządowej Rady Obrony, rozpoczynają powszechne szkolenie bojowe. Przed zajęciami przeprowadzono prace organizacyjno-przygotowawcze. Już kilka dni po opublikowaniu postanowienia w zakładach i urzędach wykonano rejestr osób podlegających szkoleniu...

Plutony przystępują do przećwiczenia pierwszego rozdziału programu: działania żołnierza bez broni. Pozycja podstawowa. Zwroty w miejscu i w czasie marszu...

Dowódcy wydają rozkazy precyzyjnie i lakonicznie, wyczuwa się wojskowy dryl, niezbędną dyscyplinę. Każdy żołnierz świetnie zna swoich dowódców -- obok niego stoją towarzysze, współpracownicy i przyjaciele. A jednak nie zwracają się do siebie tak jak jeszcze wczoraj. Wszyscy pamiętają, że teraz walczą w jednym szeregu...

Nieoczekiwanie miałem teraz mnóstwo wolnego czasu. Leżałem na wąskim łóżku, z całych sił próbując wczuć się w rolę tego „psa”, na którym tak szybko goją się wszystkie rany, i myślałem.

Dariana Dark przeżyła w głodnym biomorfie. To mogło oznaczać tylko jedno.

Jest z tego samego ciasta, co i ja.

Rodzice pobledli, gdy opowiedziałem im o swoim odkryciu.

--To niemożliwe -- jęknęła mama. Nogi się pod nią ugięły, chwyciła tatę za ramię i klapnęła na twarde krzesło. -- Jura!

--Co, Jura? -- warknął ponuro ojciec. -- Rus ma rację. Biomorfy nie zjadają swoich.

Wyjaśnienia mogą być dwa: albo Dariana Dark jest rezultatem takiego samego eksperymentu, jaki przeprowadziliśmy my... albo efektem jeszcze bardziej bezczelnej próby stworzenia z biomorfa prawdziwego *Homo sapiens*.

--Ale kto? Kiedy? Ci... prezbiterianie? -- Po raz pierwszy widziałem, jak mamie drżą wargi.

--Zadajesz bardzo ciekawe pytania -- mruknął zjadliwie ojciec. -- Gdybyśmy mieli dostęp do archiwum, być może zdołalibyśmy się zorientować, a tak... siedzimy pod ziemią jak te krety. W ogóle nie wiadomo, co dalej. Na planecie wprowadzono stan obłączenia. Powszechna mobilizacja. Przez cały czas przybywają wojska. Nic dziwnego... jeśli imperialni przejmą Nowy Krym, z Federacją koniec. Po jakimś czasie po prostu wyciągnie nogi z głodu.

--Imperialni nie muszą zajmować planety, tato. Wystarczy zablokować ją z orbity.

--Trudno by było -- odparł ojciec. -- Statki wielkotonażowe wystawione są na ciosy, to nie morze. Jeśli zaczną pachnieć paliwem, ludzie nie uratują się na szalupach. Każde trafienie, każda dziura będą fatalne w skutkach. Albo prawie fatalne.

--To samo można powiedzieć o transportowcach Dariany, na których mają przewozić artykuły spożywcze. Też nie mogą wylądować i wiszą na orbitach...

--Kabotażowce mogą -- zaprotestowała mama. -- Na małe nowoczesne statki przewożące suche ładunki udało im się wcisnąć hipersilnik i reaktory. Ładownię mają niedużą, za to mogą startować z planety.

--No właśnie. Poza tym siły blokujące znajdują się pod ciągłym ostrzałem pocisków raketowych, więc doznają poważnych strat. Żadna obrona przeciwrakietowa nie poradzi sobie z falą fałszywych głowic. Wystarczy jedno trafienie najsłabszego nawet taktycznego pocisku jądrowego. Flota imperialna ma co prawda duże doświadczenie w przeprowadzaniu blokad, wystarczy przypomnieć sobie Utrecht czy Żłobin, ale należy też pamiętać, że wówczas powstańcy nie mieli kompletnie nic na wysokich orbitach. Rakiet balistycznych nie mieli również. A trzeba przyznać, że nasza Dariana nieźle się przygotowała. Planety przemysłowe, choćby taka Smithsonia, na pewno dzień i noc produkują elementy autonomicznych platform orbitalnych, które wystarczy tylko złożyć. Jeśli powieszą nad Nowym Krymem trzy setki takich platform, imperialni nieźle się wykrwawią, zanim podejda do planety. Wychodzi na to, że Nowy Krym będzie można zająć jedynie dzięki atakowi naziemnemu. A jeśli Dariana w dodatku użyje macic... Kto wie, ile zostało jej gotowego „materiału”?

Zapadła cisza, z kategorii tych ciężkich. Znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Nowy Krym pod kontrolą Dariany Dark. Imperium szykuje się do kontruderzenia. A idea, w imię której wymyśliliśmy to wszystko -- czyli prawdziwa wolność naszej planety -- odsuwała się coraz dalej.

--A Konrad? On przynajmniej działa? Czy tu też wyrzucaliśmy pieniądze w błoto?

--Działa. -- Ojciec skinął głową. -- Informacje napływają, ale... ale nie z otoczenia Dariany, lecz z ośrodka formalnie kontrolującego pozostałe brygady międzynarodowe. Konrad uaktywnił jakiegoś dawnego informatora bliskiego naszemu „rządowi federalnemu”. -- Tata skrzywił się pogardliwie.

--I co? Jest coś?

--Z tych wiadomości -- powiedział tata obrzucając mnie ołowianym spojrzeniem -- udało mi się wyłowić jedną bardzo istotną rzecz. Dariana Dark jest teraz ważniejsza od wszystkich rządów i rad obrony razem wziętych. Nic nie dzieje się bez jej rozkazu. Zarówno w rządzie, jak i w dowództwie ma mnóstwo oddanych sobie ludzi.

--A jeśli oni są z tego samego ciasta? -- Mama patrzyła obojętnie przez wąskie okno.

--Taniu! Nie sądzisz chyba...

--Dlaczego nie? Skoro okazało się, że Dariana ma w sobie domieszkę biomorfa, czemu inni nie mieliby być tacy sami? Nie wiemy nic o wczesnej historii tej zarazy, nie wiemy, co się z nią działo, zanim trafiła w nasze ręce. Dół przykryty gałęziami świerka... to wszystko. A może przygotowała go sama Dariana?

--Takie zgadywanki nie mają sensu, Tanieczko...

--A co innego możemy robić, Jura? Powiedz Rusowi, co oni tam jeszcze wymyślili.

--Przyjęto program przesiedlenia mieszkańców z planet-kopalń na Nowy Krym -- oznajmił ponuro ojciec. -- Tak jak podejrzewaliśmy. Najpierw tych spod kopuł... już oni za Darianę Dark przegryzą nam gardła. Według Konrada będzie to trzysta tysięcy osób w pierwszym rzucie.

--Zwariowali. -- Mama pokręciła głową. -- Gdzie chcą ich osiedlić? Czym ich zajmą?

--Już ty się nie martw. -- Ojciec wzruszył ramionami. -- Umieszczą w domach skonfiskowanych zdrajcom narodu, na przykład w naszym. Albo w pustych sanatoriach i szpitalach. Mogą również rozpocząć budowę nowych budynków. Na pewno o tym pomyśleli, bo przerzucają masę ciężkiego sprzętu. Transportowanie równiarek, zgarniarek i koparek przez hiperprzestrzeń jest potwornie drogie, ale chyba Dasza postanowiła nie liczyć się z kosztami.

Albo zdławi Nowy Krym, albo Federacja przestanie istnieć.

--Teraz znacznie bardziej interesuje mnie coś innego -- odezwałem się. -- Dariana przeżyła w aktywnej biomacie, ale czy jest świadoma tej swojej... osobliwości? Pamiętam, co przeżyłem, gdy... gdy to wszystko wyszło na jaw.

--Dobre pytanie, synu. -- Ojciec przesunął dłonią po włosach. -- Sądzisz, że ona również może być w szoku?

--Właśnie. -- Skinąłem głową. -- Jeśli oczywiście do tej pory uważała się za zwykłego człowieka. Ideowego bojownika walczącego z Imperium. Furię wolności.

--A tak naprawdę jest automatem Obcych -- podjęła mama.

--Nie, mamó. -- Pokręciłem głową. -- W to już nie uwierzę. Zbyt przekombinowane. Pamiętam, jak zachowywała się w Szóstej Bastionowej, gdy groziłem jej i Kriwoszejewowi biomorfem w czerpaku.

--W takim razie...

--Skoro już sobie teoreryzujemy, można założyć, że biomorfy zostały znalezione przypadkiem, być może na początku ekspansji kosmicznej człowieka. Kto, gdzie, jak... to nieistotne. Nie wykluczam, że zdarzyło się to dziesiątki lat temu. Być może komuś udało się stworzyć idealnego człowieka, być może ktoś poszedł waszą drogą. Skoro mogliście wy, dlaczego nie mieliby zrobić tego inni?

--Racja. Ale to nie przybliżyła nas do odpowiedzi na zasadnicze pytanie: co teraz?

--Teraz musimy zapłacić Konradowi za likwidację kierownictwa brygad, tak jak planowaliśmy -- rzuciła ostro mama. -- Czternaście milionów marek to trochę dużo, ale... Dzięki temu hybrydyczna Federacja rozpadnie się sama z siebie, Imperium wróci na Nowy Krym i będziemy mogli kontynuować naszą pracę tak, jak planowaliśmy.

--Tak jak planowaliśmy to już się nie uda.

--Jura, nie łap mnie za słówka! -- Mama zmarszczyła brwi. -- Teraz trzeba za wszelką cenę usunąć Darianę i cały ten ośrodek.

--Co za piękny, szlachetny cel. -- Ojciec uśmiechnął się krzywo. -- Cóż, w takim razie aktywuję kody dla Konrada. Skoro nie widzimy innego wyjścia...

Popatrzyliśmy z mamą na siebie i zgodnie skinęliśmy głowami.

Od czasu tej rozmowy minął tydzień. Szybko wracałem do zdrowia, rany faktycznie goiły się jak na psie. Nasza kryjówka, schowana głęboko w lasach na północ od Nowego Sewastopola, żyła swoim życiem: większość naszych ludzi przeszła do podziemia w stolicy Nowego Krymu, niektórzy próbowali wkroczyć się do tworzonych pospiesznie nowych organów porządkowych, inni przygotowywali konspiracyjne mieszkania, kontakty i tak dalej. Dzień jak co dzień działaczy podziemia.

Konrad regularnie przesyłał nam informacje. Nadal nie mógł dostać się do wewnętrznego kręgu, do bezpośredniego otoczenia Dariany, za to otrzymywaliśmy sporo wiadomości na temat „tymczasowego rządu Federacji” powstałego na mormońskim Nowym Utah -- planecie z warunkami odpowiednimi do życia, ale pozbawionej jakiejkolwiek fauny i flory. Była tam tylko woda, rudy i niezwykle w naszym sektorze systemy jaskiń, głęboko w warstwie bazaltów. Żadne orbitalne bombardowanie nie mogłoby im zaszkodzić.

Rolnictwo na Nowym Utah znajdowało się w stanie embrionalnym. Jak wynikało z informacji Konrada, pod ziemią tworzono stacje hydroponiczne, ale to były jedynie półśrodki.

Woda na Nowym Utah stanowiła rzadkość i należało ją wydobywać z pokładów kopalnianego lodu. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie kataklizmy geologiczne mogłyby powołać do życia coś takiego, ale fakt pozostawał faktem.

Federacja straszyla piórka i wojowniczo naskakiwała na imperialnych. Wzdłuż „zielonej linii” na Szajtanie (kolejna planeta-kopalnia, ale z atmosferą odpowiednią do oddychania) ciągle coś się działo. W wiadomościach Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet roilo się od heroicznych szczegółów tych starć, ale nie to było najważniejsze. Brygady za wszelką cenę usiłowały sprowokować dywizję imperialną do inwazji, zapewne po to, by potem móc rozwozić się we wszystkich sieciach nad wiarołomnym atakiem i ogłosić, że „oto wybiła godzina obrony ojczyzny”.

Tydzień później opuściłem naszą kryjówkę. Najwyższa pora przedostać się do Sewastopola i ponownie spróbować kopnąć „naszą Daszę” w podbrzusze.

Stolica Nowego Krymu, niegdyś beztroski nadmorski kurort, w którym turyści wesoło spędzali czas, przeistoczyła się w ponure miasto przyfrontowe. Na wszystkich wyjazdach z miasta ustawiono blokady i posterunki. I to nie zwyczajne, lecz ze skanerami -- imperialne żetony osobiste, do tej pory uważane za „broń dręczyciela” i „policyjną samowolę”, nie tak dawno zostały ogłoszone przez nową władzę jako obowiązkowe. Oczywiście, „wszystko dla frontu”, wszystko w imię zwycięstwa, drobne uciążliwości w ramach walki ze szpiegami i dywersantami.

Lotniska i kosmoporty aż kipiały od statków i samolotów. Ożyły zamknięte fabryki na przedmieściach. Cała ta gospodarka była rzecz jasna pilnie strzeżona. Na ulicach patrole imperialne zostały zastąpione patrolami brygad. Żeton mogli sprawdzić niemal na każdym rogu. Chłopcy i dziewczęta w imperialnych kombinezonach maskujących z pospiesznie naszytymi emblematami Federacji kroczyli po mieście ze śmieszną i naiwną powagą: oni nie wątpili w prawdziwą wielkość i historyczne znaczenie powierzonej im misji.

Ale przecież Nowego Sewastopola nie budowano jako twierdzy. Ścieżek prowadzących do miasta i poza jego granice było pod dostatkiem, szczególnie dla człowieka, który się tu urodził i wyrósł. Przedostałem się przez ochraniały teren i znalazłem się na opuszczonym podwórzu jakiejś fabryki, dotąd nieuruchomionej. Wkrótce Sewastopol przemieni się w prawdziwą pułapkę. Dariana zaczęła od dróg, ale wzdłuż przedmieść już powstawał mur z potężnych betonowych bloków. Jeszcze trochę i będziemy musieli przypomnieć sobie klasyczne podkopy...

W mieście działały teraz wszystkie sklepy, ale wpuszczano do nich tylko posiadaczy kartek. System elektroniczny uznano za zbyt prosty dla hakerów i innych „elementów aspołecznych”, więc mieszkańcom Sewastopola rozdano różnokolorowe kupony, ozdobione, podobnie jak papierowe pieniądze, wyszukanymi wzorami i prawdziwymi znakami wodnymi. Na to wszystko Dariana Dark znalazła czas i środki.

Zwykłych przechodniów, takich jak ja, prawie się nie widziało. Zamknięto nasze słynne restauracyjki rybne, wszystkie artykuły morskie podlegały obowiązkowemu przekazaniu państwowej komisji zakupowej „po stałych i sprawiedliwych cenach”, jak głosił jeden z ostatnich dekretów nowej władzy.

Ciekawe, myślałem, idąc ulicami mrocznego, poszarzałego miasta, ciekawe, czy Dariana Dark rozumie, że już wkrótce mieszkańcy Nowego Krymu zaczną krzywić się na dźwięk słowa „wolność” i z nostalgią wspominać „przeklętą imperialną przeszłość”, którą teraz określano

wyłącznie mianem „okupacji”? Że już niedługo ludzie zaczną nie tylko spluwać na widok jej patroli, ale również do nich strzelać, tak jak strzelali w swoim czasie do imperialnych? A może to wszystko mieści się w granicach „kontrolowanej opozycji”? No nie, to bzdura, za daleko to wszystko zaszło...

Główną ulicą miasta (którą z bulwaru Carycy Katarzyny Wielkiej, czyli po prostu „Katarzynki”, jak nazywali ją mieszkańcy miasta, przemianowano na prospekt Wolności) ciągnęła długa kolumna autobusów i ciężarówek. Do okien przykleiły się blade buźki dzieci, nad nimi majaczyły twarze dorosłych. Ludzie wyglądali z zapchanych po dach samochodów, a na ich twarzach malowało się bezbrzeżne zdumienie: „Mój Boże, czyżby to była prawda?”

Nie musiałem nikogo pytać, by zrozumieć, że właśnie wieziono z kosmodromu pierwszą partię przesiedleńców. Pod swoimi kopułami zupełnie zapomnieli, jak wygląda błękitne niebo i czym jest owiewający twarz zeflrek. W ich oczach widać było tak bezmierne, nieprawdopodobne zdumienie i szczęście, że zrobiło mi się nieswojo. Tacy uwierzą we wszystko, co im powie Dariana, żeby tylko znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, wmówić sobie, że mają wszelkie prawo zepchnąć do morza rdzennych mieszkańców tej planety.

Miałem wrażenie, że ta kolumna nie ma końca. Zajmowała cały prospekt. Ciężarówki jechały dość szybko, bez skrępowania rysując karoserie parkującym przy krawężniku samochodom osobowym. Łańcuch autobusów ciągnął się aż do morza; widocznie nowo przybyłych wieziono do największych hoteli na nabrzeżu -- Cesarz, Księżę, Arcyksiężę. Zbudowano je tuż przed wojną, gdy rekiny biznesu turystycznego Imperium uznały, że Nowy Krym jest wystarczająco bezpieczną planetą dla arystokracji narodu panów. Kolumna posuwała się powoli, zatrzymując się co chwila.

Szedłem wzdłuż łańcucha samochodów przez dwa osiedla, gdy kolumna w końcu stanęła, otworzyły się drzwi i ludzie wyszli na zewnątrz -- ostrożnie i jakoś tak nieśmiało, bojaźliwie zerkając na niebo. Wyraźnie nie przywykli do życia bez bezpiecznej kopuły nad głową.

Nieliczni przechodnie (przeważnie w podeszłym wieku) zerkali na przybyszów ze zrozumiałą czujnością.

Kiedyś bardzo lubilem Katarzynką. Zbudowano ją, gdy Nowy Krym był jeszcze wolny, ale już wystarczająco bogaty, gdy poluny i ośmiornice z gospodarstw morskich zaczęto wymieniać na dźwięczące imperialne monety. Prymitywne baraki pierwszych lat kolonizacji planety wyburzono i stawiano eleganckie, jedno i dwupiętrowe budynki, w pewien sposób przypominające tę starą Moskwę, którą malowali na swoich obrazach dziewiętnastowieczni malarze. Parter zajmowały sklepiki i restauracyjki, szerokie chodniki wysadzono drzewami, zbudowano fontanny. Do „Katarzynki” dochodził jeszcze jeden prospekt -- Piotra Wielkiego, stworzony na obraz i podobieństwo Newskiego w Petersburgu.

Mijałem zamknięte drzwi, opuszczone metalowe żaluzje... Jak tu się wszystko zmieniło! Tylko fontanny szemrały bez troski jak dawniej, nie mając pojęcia o ludzkich nieszczęściach.

Dekoracyjny bruk Katarzynki skończył się, prospekt doprowadził mnie do nabrzeża wznoszącego się dwadzieścia metrów nad pianą przyboju. Po mojej prawej stronie zostały północna i południowa zatoka, wypełnione trawlerami i pływającymi przetwórniami rybnymi. Przedemną rozciągał się ocean.

Skreśliłem w lewo; starałem się wyglądać, jakbym miał do załatwienia jakąś sprawę. Miałem ochotę iść powoli, rozkoszując się każdym promieniem słońca odbijającym się od

balustrady z białego marmuru, ale przecież nie mogłem. Solidni pracownicy nie chodzą w ten sposób -- wzbudziłbym niezdrowe zainteresowanie patroli.

Przedemną wznosił się wielopiętrowy kolos Cesarza. W swoim czasie cały Nowy Sewastopol zalały pikiety, żądające zakazania budowy „tego koszmaru niszczącego niepowtarzalny kompleks architektoniczny stolicy”. Ale protesty ucichły zaraz po tym, jak kompania przelała ogromne pieniądze do budżetu miasta -- nikt z urzędników nie połazczył się na proponowane pod stołem koperty z bardzo poważnymi sumami.

Przed hotelem roilo się od przesiedleńców. Długa gąsienica autobusów zwijała się tu w pierścień, wypluwając sterty kufrów i hordy marudzących dzieci. Przyłapałem się na tym, że patrzę na to z wrogością i zawstydzilem się. Przecież ci biedacy mieszkali w koszmarnej ciasnocie pod kopułami, pili regenerowaną wodę i oddychali regenerowanym powietrzem. Według naszych miar, zarabiali straszne pieniądze, ale czym są pieniądze w porównaniu z radością wskoczenia do podpływającej cieplej fali?

Przygarbiony mężczyzna z potężną czarną brodą, upodabniającą go do Karola Marksa, stał przy balustradzie, dymiąc grubym cygarem. Obok niego wznosiła się piramida aluminiowych waliz, na których siedziały czarnulki-bliźniaczki. Nieopodal zniszczona, wymizerowana kobieta próbowała zebrać w jednym miejscu trzech rozbieganych chłopców.

-- Witamy na Nowym Krymie -- powiedziałem w ogólnoimperialnym, wyciągając rękę do brodatego.

-- Dziękuj' -- odparł, ściskając mocno moją dłoń. -- Wasz naród tak jakoś na nas patrz' spod' lb'.

Miał dziwną wymowę, polykał samogłoski na końcu wyrazów.

-- Wszystko będzie dobrze. -- Uśmiechnąłem się serdecznie. -- Skąd jesteście?

-- Jedenasty Sektor, planeta Borg. -- Poprawne, staranne wymawianie słów wyraźnie kosztowało go sporo wysiłku.

-- Borg... Kopalnie uranu?

-- Mhm... -- Mój rozmówca skinął głową. -- Wody ni cholery. Tylko promieniowanie, żeby je diabli wzięli. Burze piaskowe. Wiatry takie, że jeździć można tylko czołgami. Może pan sobie wyobrazić, że porywały człowieka w skafandrze?

-- Mogę. Mam na imię Aleksander.

-- Miło mi. A ja Dawid. Pięknie tu u was. Raj, niech go lichy porwie. A tam u nas, psiakrew... No, nic. Teraz już będziemy tutaj.

-- A na długo?

-- Na zawsze, Aleksandrze, na zawsze. -- Brodacz zaśmiał się. -- Nie na darmo, niech to lichy porwie, wypluwałem sobie płuca w kopalni! Nie na darmo tam harowałem! I nam się dostał szczęśliwy los! -- Jego oczy rozjaśnił dziwny blask. Widocznie w cygarze było coś więcej niż zwykły tytoń.

Uprzejmie kiwałem głową, nie przerywając mu. Niech się wygada. Może dowiem się więcej, niż od wszystkich agentów Konrada razem wziętych.

-- Wyciągnęliśmy szczęśliwy los! I przyjechaliśmy tu do was, żeby wykarczować zdradę! Strasznie się tu przeżarliście, tyłk' nie obrażaj się, do brz'?

-- No coś ty, Dawidzie! -- Poklepałem brodacza po ramieniu. Niech gada. Niech sobie gada, co chce.

--Nażarliście się, mówię! -- zawołał, chuchając na mnie ostrym aromatem czosnku. -- Zdradę żeście tu szykowali! A dlaczego? A dlatego, że wam się za dobrze żyje! Nie rozumiecie, co to znaczy tyrać w kopalni po dwanaście godzin i to w skafandrze, bo inaczej koniec!

--Nie mogliście się stamtąd wynieść? zapytałem. -- Czyżby Imperium trzymało was tam siłą?

--Ha! -- Brodaty Dawid aż klasnął w ręce, jakby wzywając wszystkich na świadków mojej wstrząsającej naiwności. -- Pewnie, że siłą! Tam byli sami zesłańcy! A my płaciliśmy za grzechy naszych dziadów i ojców. Pieniądze dawali zarobić, nie powiem, z czasem człowiek mógł kupić sobie wolność, jeśli oszczędzał. Ale jak tu oszczędzać, skoro za każdą kroplę wody każą płacić jak za płynne złoto? Umyjesz się raz na tydzień, to już wielkie święto. A woda tylko regenerowana. Dzieci chorowały, białaczka, mięśniaki to jak u was katar. A dlaczego? A dlatego, że wszystkim dzieciakom skafandrów nie kupisz.

--To wszystko twoje, Dawid? -- Skinąłem w stronę bliźniaczek.

--Moje -- potwierdził brodac z posępną dumą. -- To też... nasz wspólny grzech. Aborcja zabroniona. Prezerwatyw w aptece nie uświadczysz! Że nie wspomnę o pigułkach.

--A dlaczego?

--A dlatego! -- wykrzyknął mój rozmówca. -- Bo kto będzie uran wydobywał, co? Ja sam się już na Borgu urodziłem. Dziada mojego, starego piernika, zesłali tam za nieprawomyślność. Przy każdych narodzinach dziecka tym, którzy mieli wyrok, część wyroku odpisują, a tym, którzy urodzili się na planecie, przelewają pieniądze na konto. Był tam u nas taki jeden... dziesięcioro narobił, wykupił się i wyjechał.

--Z dziećmi?

--Akurat! -- Dawid prychnął pogardliwie. -- Jak się wykupujesz i masz dużo dzieci, to musisz co najmniej jedno zostawić. Od niego zażądali dwójki. Chłopca i dziewczynki.

Zrobiło mi się niedobrze. Do ciężkiej cholery, czy takie Imperium ma prawo istnieć?

--Łajdaki! -- Brodac krztusił się, zaciskając olbrzymie pięści. -- Bydłeta. Ale nic to. Wyrwaliśmy się spod tych kopuł, wyrwaliśmy się na zawsze! Dziękujemy towarzyszcze Dark za to, że nas uwolniła. Teraz przegryziemy Imperium gardło! A dopóki my tam gniliśmy, wasi tutaj próbowali się spiknąć z wrogami!

--No i co, teraz Borg będzie pusty? -- Zignorowałem niebezpieczne tematy gnicia i spiknięcia się z wrogami.

--Czemu zaraz pusty? A gdzie jeszcze znajdują takie bogate rudy? Federacja potrzebuje uranu! Bo jak tu bez uranu? Jak byśmy się bronili przed imperialnymi? Tylko że praca na zmiany, i to za sprawę wolności, to już zupełnie co innego. A jeszcze jak wiem, że moje maluchy się w morzu chlapią... -- Brodac wywrócił oczami i wyszczerzył zęby w uśmiechu. -- My tu u was szybko zaprowadzimy porządek.

--A jak? -- zainteresowałem się.

--A tak! Przede wszystkim, zdrajców pošlemy do obozu! A jeszcze lepiej do nas, na Borg. Niech popracują, niech odkupią swoje winy! A my sobie pomieszkamy w ich domach i mieszkaniach. Wy tu macie większe wanny niż nasze sypialnie! Widziane to rzeczy? Myśmy sobie zasłużyli, psiakrew! Dziecięcymi mogiłkami wszystko okupiliśmy! Co nic nie mówisz? Może nie okupiliśmy, co?

--Oczywiście, oczywiście. -- Starąłem się uśmiechać krzepiąco i kiwać przekonująco

głową. -- Nie gniewaj się, Dawid, tak tylko zapytałem...

--Nic, nic -- prychnął brodacz. -- Ja się po prostu cieszę, Aleks, żeśmy się z tego grobu wyrwali. Że nas Dariana wyratowała i już tam nie gnijemy żywcem. Że teraz choć na morze i słońce popatrzymy. I nawet jeśli przyjdzie umrzeć, to śmierć nie będzie już taka straszna. Bo wiemy, o co mamy się bić.

Znowu pokiwałem głową. W tym momencie Dawida ktoś zawołał sprzed wejścia do hotelu.

--No, bywaj, Aleks. -- Brodacz wyciągnął do mnie dłoń szeroką jak łopata. -- Pora na mnie. Na razie się tu zatrzymamy, potem nas przeniosą do mieszkań. Hej, Samanta, bierz dzieciaki i idziemy!

Błada, przedwcześnie postarzała kobieta kilka razy szybko pokiwała głową i wzięła dziewczynki na ręce. Chłopcy też już do niej przybiegli, prócz jednego, który prostodusznie rozpiął spodnie i teraz sikał z balustrady -- prosto do niebieskiego, zwieńczonego białą pianą morza.

Zacisnąłem zęby i poszedłem dalej.

--Koszmar! -- jęczał ojciec, chwytając się za głowę. -- Przypuszczałem, że sprawy kiepsko stoją, ale nie że aż tak! Wcale się nie zdziwią, jeśli ci nieszczęśnicy za Darianę poprzegryzają nam gardła. I jak będzie to wyglądało, jeśli wystąpimy przeciwko nim? Że nie zlitowaliśmy się nad nieszczęsnymi dziećmi umierającymi od promieniowania?!

--Jeśli Nowy Krym zapełnią tacy jak Dawid, wkrótce nie będzie o co walczyć -- powiedziała zimno mama. Nieruchoma, ze skrzyżowanymi na piersi rękami wyglądała niczym posąg bogini zemsty. -- To prawda, mieli straszne życie. Życie niegodne człowieka. Ale teraz wdarli się tutaj i chyba stracili rozum.

--Jak to się mówiło w dawnych czasach? „Nazjeżdżało się hołoty...” -- mruknął ojciec.

--A co proponujesz zrobić z gośćmi, którzy brudzą ci na dywan, zrywają obrazy ze ścian i tłuką zastawę stołową? -- naskoczyła na niego mama. -- Czy ktoś protestował przeciwko przyjęciu dzieci z tegoż Borga? Sanatoriów mamy pod dostatkiem, miejsca wystarczyłoby dla wszystkich! Jeśli tylko będą się odpowiednio zachowywać.

--Ależ, Taniu, dla tych ludzi jest już za późno na resocjalizację! Możliwe, że coś by z tego wyszło, gdyby odebrać im dzieci i umieścić w naszych internatach. Z najlepszymi nauczycielami, psychologami, duchownymi... Może by pomogło. Ale teraz, kiedy wyrwali się spod kopuł, to hulaj dusza, piekła nie ma! Chcesz nasikać do morza, to sobie sikaj! A co, zasłużyliśmy! Jak to powiedział ten, jak mu tam, Dawid? Dziecięcymi mogiłkami wszystko okupiliśmy? No to teraz zaczną pokrywać Nowy Krym świeżymi mogiłkami. Naszymi. Podziękujmy drogiej towarzyszcze Darianie za nasze szczęśliwe dzieciństwo! Wiedziała, gdzie wbić zatrutą igłę!

--Jestem przekonany, że Dariana specjalnie wybrała najwybitniejsze egzemplarze. -- Wstałem i też poszedłem do wąskiego okna górnego bunkra, bo właśnie tu urządziliśmy kolejną radę rodziny. -- Dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, stworzy gwardię rezerwową, która pójdzie za nią w ogień i wodę. Po drugie, będzie próbowała nas sprowokować. Nie wiem jak inni, ale ja miałem straszną ochotę sprać tylek temu szczeniakowi, który sikał z balustrady. Być może inni, mniej opanowani, poczują bardziej radykalne pragnienia. No i jak im tu wyjaśnić, że ci nieszczęśnicy nie są winni, że mieli takie życie...

--Nawet najgorsze życie nie jest jeszcze powodem, żeby stać się bydlęciem! -- przerwała ostro mama.

--Na razie jeszcze nie zachowują się jak bydło -- wstawił się za przesiedleńcami tata.

--Jak zaczną, będzie już za późno -- ucięła mama. -- Po prostu nasi rozniosą ich na bagnietach, a przecież Dariana tylko na to czeka. Nic jej nie powstrzyma przed urządzeniem na Nowym Krymie takiego genocydu, jaki jej macice urządziły na Omedze-8.

--A ci z Borga? -- próbował spierać się tata.

--Mylisz, że to ją powstrzyma? -- Mama uśmiechnęła się wzgardliwie. -- To nawet lepiej! Wszystko będzie można zwalić na mieszkańców Nowego Krymu! A tych, którzy pragną wydostać się spod kopuł, wcale nie będzie mniej, nie bój się. Za to jaka wygoda! Piękna planeta, wolna od mieszkańców nieprzypadających za Darianą! Wszystkie rezerwy żywnościowe znajdują się w jej rękach, plus obfitość wody i ciepła, niezbędnych do hodowli nowych macic.

--Co mamy robić? -- Tata rozłożył ręce.

--Moim zdaniem, przede wszystkim należy powiadomić Vallensteina -- powiedziałem. -- Nadszedł czas, by odwiedzić dawną bazę Tannenberga. Michael powinien tam być.

--Zalóżmy, że to zrobiliśmy. Co potem?

--Potem, tato, będziemy kontynuować to, co zaczęliśmy. Dariana dwa razy uniknęła śmierci, trzeci raz jej się to nie uda.

--Błogosławieni, którzy wierzą -- warknął ojciec. -- A przecież ona też jest biomorfem... Mnie nie daje spokoju inna kwestia: czy ona sama zdaje sobie z tego sprawę?

--Możliwe, że niczego się nie domyśla -- zauważyłem. -- Ja również niczego nie podejrzewałem, gdy wyszedłem żywy ze zbiornika Dariany. To w końcu żaden dowód! Wydostałem się i w porządku. Może nie jestem smaczny, a może zapach im nie odpowiadał. Można podać tysiące wyjaśnień. Dariana wcale nie musiała przeżyć szoku. W końcu od dawna zajmuje się biomorfami, więc mogła uspokoić się myślą, że nie ruszyły jej, bo nimi „przesiąkła”.

--Całkiem rozsądne. -- Ojciec skinął głową. -- A więc będziemy kontynuować poszukiwania.

--Nie liczyłabym na to. -- Mama pokręciła głową. -- Trzeci raz Dariana się nie podstawi. Jest ostrożna i doświadczona. Najważniejsze to znaleźć jej zbiorniki, jeśli jakieś tu jeszcze są. Rus, a te twoje przypuszczenia na temat genocydu... Jedno mi się w nich nie podoba: że są aż tak logiczne. Już lepiej byłoby się mylić. Przy okazji, Jura, gdzie jest teraz Zdenek?

--Zaciągnął się do „nowej policji Nowego Sewastopola, oddział antyterrorystyczny”. Kosztowało to masę pieniędzy, ale...

--Niech zda relacją, na co ich orientują. Jeśli mimo wszystko Dariana przygotowuje masową likwidację opozycji...

--Może do tego nie wykorzystają współpracowników zwierzbowanych niedawno na niepewnej planecie. Wiernych psów ma pod dostatkiem.

--Może. Tymczasem trzeba odszukać Michaela, Ruslan ma rację...

Na razie na Nowym Krymie panowały cisza i spokój. Rządy federalnych sprawiły, że wiele osób zaciskało pięści. Dojrzewiał odwieczny konflikt pokoleń -- spora część młodzieży wstąpiła do brygad międzynarodowych, nie słuchając krytycznych uwag o swoim bożyszczu, towarzysze Darianie. Ale pociągi podwieszane kursowały, samoloty latały i planeta ze wszystkich sił usiłowała żyć normalnym życiem.

Ponownie korzystając z owoców technik mimikralnych, z autentycznym imperialnym chipem na obce nazwisko, już bez żadnych podchodów wjechałem do Nowego Sewastopola.

Autobus został zatrzymany przed posterunkiem, gdzie długo i do znudzenia sprawdzano wszystkich pasażerów -- dziewczyny z brygady nie za bardzo umiały posługiwać się skanerem i bazą danych, sprawdzenie każdej osoby zajmowało im co najmniej pięć minut, ale w końcu wszystkich przepuścili. Mój chip również nie wzbudził żadnych podejrzeń.

Miasto wydało mi się jeszcze brudniejsze i bardziej szare niż podczas poprzedniej wizyty. Ulice wypełniały tłumy przesiedleńców; specjalnie dla nich na nabrzeżu i „Katarzynie” otworzono liczne restauracje, przeznaczając na to „niezbędne rezerwy produktów morza”, jak podano w oficjalnej wiadomości. Moja taksówka zatrzymała się na światłach. Na rogu, za szerokim pasem zieleni, mieściła się kawiarnia teraz pękająca w szwach. Przy jednym ze stolików siedziało czterech potężnych, zarośniętych po oczy mężczyzn w kombinezonach (wyraźnie z Borga). Właśnie podeszła do nich młodziutka kelnerczka i jeden z brodaczy bez żadnego skrępowania wsadził dziewczynie łapę pod spódnicę. Dziewczyna chciała się odsunąć, ale drugi chwycił ją za rękę i szarpnął tak, że prawie upadła na stół.

--Co za bydlę -- syknął przez zęby starszawy kierowca taksówki, który również zauważył tę scenę. -- Proszę pana, może my... tego... zatrzymamy się na chwilę? Przecież nie można na to patrzeć! Zachowują się tak, jakby dopiero zeszli z drzewa... -- Taksówkarz znacząco podrzucił na dłoni klucz francuski.

--Zatrzymajmy się -- powiedziałem zdecydowanie. To było absolutnie niesłuszne z punktu widzenia konspiracji i być może właśnie na takie incydenty liczyła Dariana, ale zbyt długo uginałem kark i maszerowałem w takt faszystowskich marszów w Tannenbergu, żeby teraz pokornie na to patrzeć.

--Dawno się nie bilem... -- mruknął przez zęby taksówkarz, nasuwając czapkę na oczy i chowając za plecami rękę z francuzem.

Tymczasem rechoczący brodacze pozwolili kelnerce się wyprostować. Ręce pod spódnicę wsadziło jej już dwóch, a ich przyjaciele dyktowali zamówienie. Dziewczyna drżała, po policzkach spływały jej łzy, jednak dygoczące w szczupłych palcach piórko szybko notowało zamówienie na tablicy graficznej.

Nasz występ najwyraźniej był nieprzewidzianą programem atrakcją. Starszawy kierowca nieźle mnie zdumiał, gdy bez słowa ostrzeżenia po prostu walnął kluczem w gruby kark jednego z brodaczy. Na twarzy bezceremonialnego górnika z Borga pojawiło się nieopisane zdumienie; bez słowa upadł twarzą na rozłożoną serwetkę.

Nie mogłem się okazać gorszy od człowieka, który mógł być moim ojcem czy nawet dziadkiem. Krawędź mojego buta uderzyła najbliższego przesiedleńca w nos i mężczyzna przewrócił się razem z krzesłem. Dwóch następnych już się zrywało, ale jeden dostał w ucho kluczem, a drugiego bez wahania kopnąłem w krocze.

--No i po sprawie -- sapnął kierowca, obrzucając pogardliwym spojrzeniem pozostałych gości kawiarni (głównie przesiedleńców), którzy osłupieli na widok takiej bezczelności. -- I zapamiętajcie sobie wszyscy, że jak będziecie obmacywać nasze córki, to skończycie jak te wieprze. -- Wskazał głową cztery leżące ciała i skinął na mnie ręką. -- Jedziemy!

Kelnerka przygryzła wargę i nieśmiało uśmiechnęła się do nas przez łzy.

Już w samochodzie uścisnęliśmy sobie z kierowcą dłonie i przeszliśmy z imperialnego na rosyjski.

--Aleksander.

--Znaczy Sasza. A ja Trofim.

--A po ojcu?

--Po ojcu... A co, taki już jestem stary? Siergiejewicz.

--Ładnie ich pan załatwił, Trofimie Siergiejewiczu. Słowa nie zdążyli powiedzieć.

--Ty, Sasza, też im nieźle przywalileś. Gdzieś się nauczył tak bić? Nawet okiem nie mrugnąłem.

--A tak jakoś, trenowało się trochę to tu, to tam... Jeszcze na uniwerku.

--Aaa... Jasne. Patrząc nie mogę, co oni tu wyrabiają. I jeszcze się awanturują i plotą, że wszyscy jesteśmy zdrajcami, że chcemy się zaprzedać Imperium, żeśmy tu żarli i spali, gdy oni tam, w kopalniach...

--Gnili -- podchwycilem.

--Właśnie... gnili. Dla mnie tam mogą gnić dalej, jak z nich takie bydlaki. Poprzywozili ich tu, cholera... Sam mam najmłodszą córkę w brygadzie, za czasów imperialnych omal na Swaargu nie wylądowała, a oni mi tu, że zdrajca! Dużo się ich tu zrobiło, trzymają się w kupie, a wszyscy nasi gdzieś się pochowali...

--Naszym pewnie trochę wstyd, bo dzieci na Borgu naprawdę umierały. Promieniowanie, Trofimie Siergiejewiczu, nie wybiera...

--Wiem, wszystko wiem! -- Zirytowany kierowca machnął ręką. -- Pewnie, że żyć na takich planetach to... Ech! Ale czy byśmy nie przyjęli ich dzieci, gdyby nas poprosili, gdyby się zachowali jak ludzie? A tak... szczają, za przeproszeniem, gdzie popadnie, kosze na śmieci im niepotrzebne, a trawniki pewnie specjalnie po to urządzono, żeby je deptać i żeby było gdzie butelki po piwie zostawiać!

--To tylko ludzie, Trofimie Siergiejewiczu. Nieszczęśliwi ludzie. Trzeba im współczuć, albowiem nie wiedzą, co czynią...

--Eee tam, Sasza, zaraz współczuć... Z przyjemnością im powspółczuję, jeśli zaczną się zachować jak ludzie.

--A nie boi się pan, że zauważyli numer taksówki? -- szybko zmieniłem temat.

--Nie boję się. Akurat by im do głowy przyszło coś takiego. Zresztą samochód stał za ogrodzeniem, nie tak łatwo zauważyć. W końcu to zwykła taksówka, takich są tu setki. A ja i tak planowałem przestać jeździć. Interesy idą, że nie daj Boże. Na wykupienie kartek jeszcze mi wystarczy, ale jeździć po mieście... Nie mogę, serce mi się kraje. Już lepiej pojedę na farmę, starszy zięć ciągle zaprasza...

Na lotnisku znowu mnie dokładnie sprawdzono. Przeszedłem kontrolę (rozebrali mnie do slipek), usiadłem w fotelu i obejrzałem sobie „operacyjny reportaż policyjny” z tej kawiarni, w której interweniowaliśmy z Trofimem Siergiejewiczem.

--...Bezczelny i oburzający atak na odpoczywających przesiedleńców... ciężkie obrażenia cielesne... złamanie nosa... niczym niesprowokowane zajście... -- dobiegało z głośnika.

Niesprowokowane, już to widzę! -- prychnęła obok mnie siwa staruszka w założonej tył naprzód czapce z daszkiem. -- Pewnie znowu pchali brudne łapy gdzie nie trzeba! Słowo daję, zuchy z tych, którzy dali im nauczki!

Sądząc po twarzach pasażerów (przeważnie osób w podeszłym wieku) staruszka wypowiedziała powszechną opinię.

Spuściłem głowę. Broń Dariany Dark walila bardzo precyzyjnie.

Samolot do Władysybirsk był prawie pusty, a przecież stołeczne linie lotnicze zredukowały liczbę lotów. Nowy Krym zamarł, niczym bohater legendy ogłuszony ciosem palki w helm. Na lotnisku we Władysybirsku już na mnie czekali. Zaufanych ludzi stale ubywało, ale nadal działały kanały ojca. Dwóch milczących mężczyzn, zmieniając się za kierownicą dżipa, leśnymi drogami dowiozło mnie do przedpola bazy.

--Teraz nikogo tam nie ma, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże...

--Nawet ochrony nie zostawili? -- zdumiałem się.

--Ochrona była, ale na początku, póki wszystkiego nie wywieźli -- wyjaśnił kierowca. --

Jak opustoszały magazyny, nie mieli tu już nic do roboty.

Skinąłem głową. I gdzie ja mam szukać byłego szefa kompanii? Przecież mogli po prostu wsadzić go do więzienia!

--Powodzenia, Rus. Będziemy na ciebie czekać do bę.

--Wróćę wcześniej. -- Pomachałem ręką moim przewodnikom i wszedłem w gęsty las.

W swoim czasie okolice bazy Tannenberg zwiedziłem bardzo dokładnie -- godzinami czołgałem się tu na brzuchu i maszerowałem w pełnym umundurowaniu -- więc nie przesadzę, twierdząc, że znam tu każdy krzak, jar i drzewo. Zaraz skończą się krzewy i zobaczę szeroki, odsłonięty pas, za którym znajdę trzy wysokie ogrodzenia z drutu kolczastego i wybetonowany rów. W niebo wzbijały się wieże strażnicze, a za nimi, wymalowane w plamy kamuflażu, stały stare znajome baraki. Nieco dalej, już za bazą było miasteczko wojskowe, z naszym własnym Newskim, barem i knajpką. Tam poznałem Gilvy i tamtędy maszerowałem na czele swojego oddziału, gdy wróciliśmy z Zety-5...

Ostrożnie odchyliłem ostatnią gałązkę i wysunąłem się na odsłonięty teren.

Bazy nie było. Znaczną część baraków zburzono, zostawiając jedynie zwęglone szkielety, w ogrodzeniu z drutu wycięto szerokie przejścia, rów w kilku miejscach zasypano, z wojskowego miasteczka zostały tylko ruiny. Jakby ktoś zaciekle próbował zrównać bazę z ziemią.

Gdzie ja mam szukać tego Michaela? Jakim cudem miałby tu przeżyć? Miasteczko Tannenberga rozkradli na deski, a samego szefa kompanii, choć był tylko pracownikiem najemnym, pewnie wsadzili do paki. Co się w ogóle stało z cywilnym personelem bazy? Przecież gdy pułk wyruszał z planety, zostawiono tu wielu pracowników oraz rodziny oficerów!

Patrzyłem na martwe ruiny. Coś powstrzymywało mnie od tego, żeby pobiec na złamanie karku przez otwarty teren. Nauki sierżanta Klausego Marii nie poszły w las.

I doczekałem się. Pośród ruin pojawiła się ludzka postać. Szła powoli, niezgrabnie poruszając nogami i rękami, co jakiś czas kręcąc i kiwając głową. Pomyślałem, że to niemal klasyczny obraz człowieka chorego psychicznie. Gdy usłyszałem, że mężczyzna śpiewa głośno jakąś bezsensowną piosenkę, płacząc słowa w najdziwszy sposób, jedynie utwierdziłem się jeszcze w przekonaniu co do stanu jego umysłu.

Już po chwili rozpoznałem w nieszczęśniku Michaela. W podartych, poczerniałych od sadzy lachmanach szedł dziwnie nierównym krokiem, od czasu do czasu upadał i wstawał, nie trudząc się otrzepaniem ubrania. Gdy kilkadziesiąt metrów ode mnie skrył się w gęstwinie, poszedłem za nim.

Spotkaliśmy się na brzegu zarośli, mniej więcej w połowie drogi. Michael popatrzył na mnie spokojnie, miał poważne spojrzenie absolutnie normalnego człowieka.

--Witaj, Rusłanie. Czekalem na ciebie. Pan podpułkownik przysłał wiadomość.

--Michael!

--Pewnie, że Michael. Dobrze zrobiłeś, nie wysuwając się na otwarty teren, brygady mają tu kilku obserwatorów. Porządni z nich ludzie. -- Zachichotał. -- Nawet mnie dokarmiają. Uważają mnie za nieszczęsnego świra, który zwariował, nie mogąc znieść rozstania z ukochanym magazynem bielizny wojskowej.

--Zostawili cię tutaj? Nie zamknęli?

--A po co mieliby brać sobie na kark stukniętego sługę Imperium? I tak żadnych informacji ze mnie nie wyduszą, a pani Dark ma ważniejsze sprawy na głowie.

--Właśnie, a propos ważniejsze. Mam pilną wiadomość dla podpułkownika Vallensteina.

--Przekaż mnie, to mu prześlę. Po to mnie tu zostawili.

--Ale... jak? Po bazie zostały tylko ruiny...

--Pozornie, Rusłanie, tylko pozornie... Tobie mogę powiedzieć. Gdy budowali bazę, byli przygotowani również na taką ewentualność. Nie denerwuj się, mojego przekaznika nikt nie odkryje. Dobra antena, promień jak igła. No i szyfr... bynajmniej nie standardowy wojskowy. Możesz mówić.

Zawahalem się. W innej sytuacji wołałbym takie informacje sam zakodować i przekazać, ale skoro Vallenstein tak ufa Michaelowi...

--Dariana Dark nie jest człowiekiem -- wyskandowałem. -- Jest biomorfem albo, być może, efektem skrzyżowania człowieka z biomorfem. Stąd jej władza nad Rojem i macicami.

Michaelowi opadła szczęka.

--To ci dopiero nowina... -- powiedział cicho. -- Wszystkiego mogłem się spodziewać, ale nie czegoś takiego... Przepraszam. Co jeszcze przekazać panu podpułkownikowi?

--Na planecie dojrzeva konflikt między ludnością a pospiesznie przerzucanymi tu przesiedleńcami z kopalnianych planet. Niewykluczone, że Dariana Dark szykuje powszechny genocyd mieszkańców Nowego Krymu z udziałem kontrolowanych przez siebie macic. Moim zdaniem Dariana nie podlega już nikomu prócz samej siebie, i cele, które teraz przed sobą stawia, mogą się okazać nieludzkie. Dodaj, że w przypadku konfliktu między przesiedleńcami i miejscowymi mieszkańcami, Imperium może liczyć na lojalność Nowego Krymu, jeśli oczywiście nie spadną na nas z oddziałami pacyfikacyjnymi.

--Zrozumiałem, Rus. Coś jeszcze?

--Jak można się z tobą skontaktować, Michael? Latanie tam i z powrotem jest dość niewygodne.

--Rozumiem -- powiedział Michael, obecnie rezydent prywatnego wywiadu Joachima von Vallensteina. -- Połącz się ze mną przez sieć. Tu masz dane...

--To znaczy jak? -- osłupiałem.

--Normalnie. Centrum łączności nie zostało uszkodzone. Ci głupcy spalili koszary, ale nie zdołali znaleźć tego, co ukrył pan podpułkownik!

--Jasne. -- Kilka razy przebiegłem oczami rządki cyfr i liter i oddałem kartkę Michaelowi.

--Zapamiętałeś, poruczniku?

Powtórzyłem.

--Co za pamięć -- westchnął Michael. -- Zazdroszczę. Nie to co u mnie, starego piernika. No to, bywaj, Rusłan. Koordynaty, które ci dałem, są tymczasowe. Zmieniam je co dwa, trzy

dni. Powiadomię cię o zmianie.

Pożegnaliśmy się.

Wracałem do Nowego Sewastopola z głębokim przekonaniem, że o pomoc przeciwko Belzebubowi poprosilem jego brata bliźniaka Astarota. Przy założeniu, że to dwie różne osoby.

Droga powrotna minęła bez niespodzianek, jeśli nie liczyć potrojonych kordonów na lotniskach i przesłuchań, którym mnie poddano we Władysybirsku i Nowym Sewastopolu. Skanery posłusznie wyświetlały odpowiednie (rzecz jasna, fałszywe) informacje, baza odcisków palców tak samo posłusznie rozpoznawała we mnie Aleksandra Siergiejewa niemającego nic wspólnego z groźnym recydywistą Ruslanem J. Fatiejewem intensywnie poszukiwanym przez wszystkie nowo powstałe „służby specjalne Narodowo-Demokratycznej Federacji”. Imperium uparcie tworzyło obszerne akta politycznie niepewnych obywateli (a do takich, przypominam, zaliczano wszystkich mieszkańców Nowego Krymu), jednak zmądrzało na tyle, żeby nie dzielić się tymi informacjami z poddanymi. Nasza policja kryminalna zadowalała się odciskami palców, pozostawiając skanowanie rysunku tęczęwki imperialnym. Chwała Bogu, bo podrobienie tęczęwki byłoby znacznie trudniejsze niż podrobienie odcisków palców. Jednak nie wątpię, że tę dziurę w systemie bezpieczeństwa Dariana załata już wkrótce.

W ciągu dwóch ostatnich dni liczba przesiedleńców w mieście wzrosła trzykrotnie, ale restauracji na Katarzynie zrobiło się mniej. Nawet kawiarnia, upamiętniona naszą bohaterską walką, powitała mnie opuszczonymi żaluzjami. Nad metalowymi kratami widniały tłuste plamy sadzy. Za naszą śmiałość chyba zapłacił właściciel zakładu -- miałem tylko nadzieję, że nie kelnerka.

Wydostając się z miasta, długo krążyłem, nie tylko próbując uwolnić się od hipotetycznego ogona, ale również przyglądając się twarzom ludzi. Jeszcze tak niedawno my, mieszkańcy Nowego Krymu, byliśmy dumni ze swojego nieskorumpowanego parlamentu, ze słynnego we wszystkich odległych sektorach uniwersytetu, swojej planety, którą nauczeni gorzkim doświadczeniem, zdołaliśmy utrzymać w stanie pierwotnej czystości. Owszem, gorąco pragnęliśmy wolności i gotowi byliśmy się okłamywać -- czy nie dlatego naród milczał, gdy ogłoszono, że cała Duma to zdrajcy, a władza przeszła w ręce Dariany Dark i jej kreatur niemal bez jednego strzału? Czy ci nieszczęśni, oszukani przesiedleńcy, gruboskórni i niewychowani, sprawią, że zapomnimy o gościnności Rosji, która zawsze przyjmowała odrzuconych i prześladowanych, a każdy, kto tylko chciał, znajdował w niej nowy dom? Co się stanie, jeśli Imperium rzeczywiście rozpocznie inwazję? Przeciwno komu zwróci się nasza broń?

Tymczasem przesiedleńcy z Borga zadomowili się w Nowym Sewastopolu na dobre. Nietrudno było ich rozpoznać: mężczyźni po potężnych brodach, kobiety po zniszczonych, zmęczonych twarzach. Dzieciaki z piskiem biegały po starannie niegdyś utrzymanych trawnikach, przewracając i łamiąc wszystko, co się dało. Na fasadach domów i witrynach jeszcze niezamkniętych sklepów pojawiły się pierwsze graffiti.

Nie są winni, powtarzałem sobie. Wyrwali się z piekła i nikt, prócz Imperium, nie zawinił, że stali się właśnie tacy, a teraz upajają się morzem i niebem. Nie są źli, ponieważ żaden człowiek nie jest z gruntu dobry czy zły. Okaleczyło ich bydlęce życie. Wydaje im się, że innego nie ma i nie może być. Ich dzieci nigdy nie mogły chodzić po drzewach ani budować szalasów, swobodnie łamiąc gałęzie. Jeszcze wszystko może się zmienić...

Dariana Dark wysłiznęła się z naszych rąk. Owszem, otrzymaliśmy bezcenną informację, ale sprawa stanęła w miejscu. Dariana była nam teraz potrzebna wyłącznie martwa -- skoro macice kierowane są wyłącznie jej wolą...

A tymczasem na wszystkich frontach panowała cisza. Imperialni twardo utrzymywali zieloną linię na Szajtanie, odpierając wojownicze ataki ochoczej, ale niewyćwiczonej armii Federacji, nigdzie nie było żadnych śladów Roju, który budził takie przerażenie na Iwoldze i Omedze-8. Sądząc po wiadomościach imperialnych, nic istotnego nie działo się również na Zecie-5, gdzie resztki ocalałych lemurów ukryły się w nieprzebytych lasach.

Panowała cisza jak w oku huraganu. Spokój, po którym musiała przyjść gwałtowna burza. A na mnie czeka ukryty w lasach podziemny schron -- i bezsenne noce z tym samym przeklętym pytaniem: Co robić?

Szyfrogram 120

Bardzo pilne!

Salim do Bakłana

Wznawiam pracę, korzystając z kanału zapasowego. Pułk Tannenberg przeszedł uzupełnienie i częściowe przebrojenie. Według informacji Aryjczyka, pułk może zostać przerzucony na Szajtan w ciągu 7-10 dni. Nie wyklucza się również użycia pułku w nieznanym miejscu.

Proszę wziąć pod uwagę, że przekaz informacji związany jest z podwyższonym ryzykiem, dlatego seanse łączności będą nieregularne.

Gladiator ustnie poinformował mnie o otrzymanym rozkazie przejścia do wydziału szyfrantów 2. Korpusu Desantowego.

Salim

Szyfrogram 121

Bakłan do Salima

Cieszymy się z powodu wznowienia prac. Kategorycznie zabraniam niepotrzebnego ryzyka. Przekazujcie wiadomości tylko w razie zdobycia informacji szczególnej wagi. Centrala wzywa was i Gladiatora do podjęcia wszelkich środków w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

Bakłan

Szyfrogram 122

Gladiator do Bakłana

Otrzymałem rozkaz przeniesienia do wydziału szyfrantów 2. Korpusu Desantowego. Proszę o przekazanie hasel i współrzędnych łączności.

Gladiator

Szyfrogram 123

Salim do Bakłana

Samodzielna brygada desantowa Tannenberg kontynuuje intensywną pracę szkoleniową razem z całą dywizją Totenkopf. Informacje Aryjczyka nie znalazły potwierdzenia, ani pułk, ani dywizja nie zostały wysłane na Szajtan. Tam przerzucana jest dywizji pancerna Feldhernhalle. Ewentualne zadania tej dywizji nie są znane.

Informuję również, że wojska imperialne otrzymały rozkaz przejścia na szyfry kategorii Abel, co świadczy o podejrzeniu istnienia kreta w służbie kryptograficznej.

Proszę, aby centrala przygotowała się na dowolne nieoczekiwane zwroty. Ponownie podkreślam, że łączność może zostać przerwana na czas nieokreślony.

Salim

Szyfrogram 124

Bardzo pilne!

Bakłan do Gladiatora

Centrala nie podejmowała żadnych kroków w celu przeniesienia was do wydziału szyfrantów 2. Korpusu Desantowego. Proszę o uwagę i ostrożność -- nie wyklucza się prowokacji imperialnego kontrwywiadu. Zabraniam samodzielnych prób nawiązywania łączności. Zostanie do was wysłany łącznik z odpowiednimi wskazówkami.

Bakłan

Szyfrogram 125

Gladiator do Bakłana

Wskazówki przyjąłem i zrozumiałem.

Gladiator

Szyfrogram 126

Salim do Bakłana

Gladiator przeszedł do dyspozycji szyfrowego wydziału sztabu korpusu. Salim

Wiedzieliśmy, że Dariana szuka nas intensywnie. Ojciec, mama, moi bracia i siostry -- wszyscy siedzieli w leśnej kryjówce i nie mogli wysunąć z niej nosa. Cała wyspa (stosunkowo przecież nieduża) została wielokrotnie przeczesana, i to nie przez podekscytowanych żółtodziobów z Bandery Rossy, lecz starych wyjadaczy Dariany, których prawdopodobnie werbowala w całym Imperium. Wiadomości od Konrada przychodziły coraz rzadziej i niosły niewiele informacji. A potem nagle oznajmił, że zwraca pieniądze -- nie jest w stanie dotrzeć do środka brygad. Zaczęto podejrzewać jego informatora, on się przestraszył i wycofał. System bezpieczeństwa uległ całkowitej zmianie. Liczbę ochroniarzy zwiększono czterokrotnie. Żadnych powszechnych zebrań. Rząd przeszedł w stan oblężenia. Najważniejsze postacie nie opuszczają bunkrów. Dostać się do nich nie można -- w każdym razie nie tymi metodami, którymi przywykł operować Konrad i dlatego zwraca nam pieniądze. Realizacja naszego zamówienia równałaby się poświęceniu całej jego organizacji, której potem nie uda się odrodzić ani za czternaście, ani za czterysta milionów marek.

--No i co, mężczyźni? -- Mama popatrzyła na nas, podpierając się pod boki. -- Co robimy, bohaterowie? Liczyliśmy na wyciągnięcie Dariany z nory i udało się... na nasze nieszczęście. Jedyne, na co możemy teraz liczyć, to imperialna inwazja. Nigdy nie przypuszczałam, że dożyję takiej hańby!

--Co proponujesz, Taniu? Moi chłopcy robią wszystko, co w ludzkiej mocy, ale Dariana dobrze zapamiętała lekcję. Nie zostawia już ogonów na powierzchni, a jednocześnie zapelnia Nowy Sewastopol swoimi przesiedleńcami. Już zajęli wszystkie największe hotele, teraz przyjdzie kolej na małe. Gospodarstwa morskie i przetwórnice „zdrajców”, w tym również nasze, zarekwirowano. Przybysze z Borga zajmują miejsca tych pracowników, którzy odmówili pracy dla nowego reżymu. Zresztą tych ostatnich nie jest zbyt wielu -- „kartki robotnicze” dają wyłącznie tym, którzy pracują „w imię zwycięstwa”. Albo tym, którzy mają takich w rodzinie.

--Nie możemy ich potępić -- powiedziała zdecydowanie mama. -- Żerowanie na ksenofobii

i rozpalanie wrogości do przybyszów z Borga jest dość podle, ale nie mamy innego wyjścia.

--Mamo, Dariana tylko na to czeka -- zaprotestowałem. -- Jestem pewien, że gdy my zwrócimy broń przeciwko przesiedleńcom, Dark użyje macie przeciwko nam.

--Po co ta psychopatka, która być może w ogóle nie jest człowiekiem, miałaby szukać pretekstów? Gdyby chciała, już dawno spuściłaby na nas swoją sforę. Po prostu na razie trzyma w niewiedzy opinię publiczną. Przecież nawet dla większości jej stronników macie to straszna groźba. Przypuszczam, że szeregowi bojownicy będą bardzo zawiedzeni, gdy się dowiedzą, kto w rzeczywistości kieruje biomorfami...

--Zawsze mnie ciekawiło, co tak naprawdę wiedzą o tym wszystkim prości ludzie, którzy idą za Darianą -- mruknął ojciec. -- Ile wiedzieli jej żołnierze na Omedze? Co wiedzieli ci, którzy zniszczyli macię tutaj, na Nowym Krymie?

--Jura, ty byś tylko teoretyzował. Nie mamy teraz ani czasu, ani możliwości na normalną kontrpropagandę. Nie mamy nawet odpowiednich materiałów. Gdybyśmy nakręcili, jak Dariana wydstaje się z biomasy...

Słuchałem ich sporu i milczałem. Nic wydarzeń wyśliznęła nam się z rąk i teraz mogliśmy tylko czekać, kto pierwszy popelni błąd -- wówczas znowu moglibyśmy przejąć inicjatywę. Ale z drugiej strony, nie mieliśmy prawa zbyt długo czekać.

W tych dniach dużo czasu spędzałem z rodzeństwem. Staralem się rozweselić Taniuszkę, opowiadając jej -- przeważnie zmyślane -- przygody Wesołego Rekruta Razdwakriaka. Długo dyskutowałem z Leną i Swietą, ale rozmowa zgodnie z odwiecznym kobiecym przyzwyczajeniem zazwyczaj schodziła na Dalkę, na naszą przyszłość... jeśli Dalka żyje. Uspokajałem znękanego bezczynnością Gieorgija, zapewniając, że najważniejsza walka dopiero przed nami. Co kilka godzin dopadaliśmy ekranów, ale sieci -- zarówno federacyjna, jak imperialna -- wmawiały odbiorcom, że na frontach nic się nie dzieje:

Ale wiedziałem, że nie mogę popelnąć błędu. Czulem nadejście burzy -- chodziło już tylko o to, kiedy się ona rozpęta.

I wtedy, jakby na pożegnanie, popisał się Konrad. Nie wiem, jak mu się to udało, ale... ale udało się.

Informacje operacyjne Głównego Sztabu Sił Zbrojnych Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet z dnia 13 czerwca, powstałe w oparciu o doniesienia, które nadeszły do godziny 24.00 dnia 12 czerwca:

--Przeciwnik na planecie Szajtan na odcinku 2. Imperialnej Brygady Guadalajara, osłaniającej natarcie na Ósmy Kombinat i przylegające doń kopalnie odkrywkowe, zadał cios siłami dywizji Leibstandarte -- Grossdeutschland i Viking. Do godziny 16.00 dnia 12 czerwca dywizja Grossdeutschland przerwała obronę 2. Brygady Międzynarodowej i przemieszcza się w stronę ósmego Kombinatu, przesuwając się w głąb naszych pozycji na 12-15 kilometrów. Kontrataki podjęte przez dowództwo 2. Brygady Międzynarodowej nie powiodły się. 2. Brygada Międzynarodowa odeszła na rubież „druga kopalnia-stacja węzłowa-kombinat-czwarta kopalnia”, gdzie obecnie powstaje nowy pas obrony. O godz. 18.00 12 czerwca przeciwnik wysadził desant w rejonie osiedla robotniczego numer 6, odcinając kolej podwieszoną od Węzłowej do ósmego Kombinatu i wprowadził przez przełom niedawno przybyłą dywizję Feldhernhalle. Czwarty Pułk Międzynarodowy ze składu 2. Brygady Międzynarodowej walczy otoczony w rejonie trzeciej kopalni. Pułk odczuwa poważne braki

amunicji.

Obecnie powstaje grupa uderzeniowa w składzie rezerwowej 5. Brygady Międzynarodowej im. Dolores Ibarruri, Dywizji Zmotoryzowanej Normandia i Brygady Pancerniej Monjour. Zadanie grupy -- odblokować nasze otoczone oddziały i przywrócić stan pierwotny...

Imperialni nie chcieli dłużej czekać. Przeszli do ofensywy tak, jak umieli -- nieoczekiwanie, masowo, zdobywając zdecydowaną przewagę na kierunku głównego natarcia i wysadzając na tyłach Federacji desanty z powietrza. Udało im się skupić trzy dywizje uderzeniowe w taki sposób, że Dariana Dark nawet nie zaczęła niczego podejrzewać, uspokojona biernością jedynej dywizji piechoty na Szajtanie, utrzymującej zieloną linię. Szajtan, jedna z najlepiej rozwiniętych przemysłowo planet Federacji i jedna z nielicznych planet-kopalń, na której nie było kopuł, prawdopodobnie szybko znajdzie się w rękach Imperium -- wystarczy zająć kosmodromy, główne obiekty przemysłowe oraz umieścić nad planetą własne platformy raketowe.

Pomyślałem, że przez cały ten czas zarówno imperialni, jak i federalni przestrzegali na Szajtanie swego status quo: przybywających na planetę transportowców nie atakowała żadna ze stron. Ani Imperium, ani Federacja nie naruszały granic powietrznych nad półkulą kontrolowaną przez drugą stronę. Chociaż „kontrolowanie półkuli” to w tym przypadku zbyt mocne określenie. Linia frontu stanowiła znikomy procent zielonej linii, a wojska zajęły jedynie najważniejsze rejony gospodarcze. Dzikie, pozbawione życia stepy i góry, z jeszcze nieodkrytymi złożami, nikogo nie interesowały.

A teraz na orbitach Szajtana zacznie się prawdziwa rzeź. Obie strony będą pospiesznie wrzucać „na górę” wszystko, co tylko może strzelać i na pewno postarają się zbombardować pasy startowe i lądowiska. Chociaż biorąc pod uwagę nieszanowanie ludzkiego życia -- przez Federację w ogóle, a towarzyszkę Dark w szczególności -- machną pewnie ręką na bezpieczeństwo i wahadłowce będą startować z dowolnego miejsca oraz lądować, gdzie tylko zapragną, ograniczone jedynie infrastrukturą i drogami dojazdowymi. No tak, przydałby się jeszcze jakiś system kontroli ruchu kosmicznego.

Imperium zrobiło pierwszy ruch -- spodziewany, a jednak zaskakujący -- i teraz należało liczyć się z desantem na inne planety nowo powstałej Federacji, między innymi na Nowy Krym.

Astarot zaatakował Belzebuba i pozostawało żywić nadzieję, że po ich bitwie nie zostaną jedynie zgłiszczą. Nie wątpiłem, że Federacja ma wystarczające zapasy zarówno tradycyjnej broni jądrowej, jak i kontrolowanych przez Darianę Dark macic. A może macice słuchają nie tylko jej?

Mimo woli przypomniałem sobie Gilvy, która na Omedze-8 jako jedyna przeżyła pod Rojem w skazanym na śmierć bunkrze. A jeśli ona również?

Pokręciłem głową, odsuwając natrętny koszmar. Dziesiątki i setki takich jak Dariana czy ja, wrzuconych do imperialnego lub federalnego aparatu... Z pamięci wypłynęła moja dawna wizja -- zastygłe w przestrzeni olbrzymie stada macic.

Po co to wszystko? Dlaczego? Czyżby inwazja? Potworny, niezrozumiały dla nas eksperyment? Coś jeszcze innego? Przerzucenie ludzkości siłą na inną gałąź ewolucji? Czemu nie, skoro już mamy wpadać w obłęd i tworzyć najbardziej fantastyczne hipotezy!

Do licha, przestań wariować, Rus. Rozwiążuj te problemy, które już są, nie wymyślaj

nowych. I... i staraj się jak najrzadziej wspominać śliczną Gilvy. Już lepiej pomyśl o Dalce.

Nowy Sewastopol przeżywał tymczasem kolejną falę aresztowań; „wrogów wolności” nadal nie brakowało. Przede wszystkim byli to ludzie zamożni, związani z biznesem rybnym potężni handlowcy -- jednym słowem ci, którzy wiele stracili po zerwaniu z Imperium i zaprzestaniu eksportu. Ze wstydem wyznaję, że wielu prostych ludzi cieszyło się z takiego obrotu sprawy -- zgodnie z naszą odwieczną mentalnością: „uczciwą pracą ludzie się nie wzbogacą”.

Wiadomości polityczne poddawano starannej filtracji, ale informatorzy ojca donosili o wzrastającej liczbie starć mieszkańców Nowego Krymu z przesiedleńcami. Nie cała młodzież poszła za Darianą, znaleźli się tacy, którzy woleli stać z boku, a teraz nie mogli już patrzeć na to, co się dzieje. Gdzieniedzie na peryferiach Nowego Sewastopola dochodziło do walk ulicznych, w których obie strony puszczały w ruch stalowe rurki i antykwaryczne łańcuchy motocyklowe.

Nikt nie chciał ustąpić. Nic dziwnego; Nowy Krym, perła Ósmego Sektora, znalazł się -- jak sądzili przesiedleńcy -- u ich stóp, ale okazało się, że jest zasiedlony zdrajcami i psami Imperium, najedzonymi i wylegającymi się na piernatach, podczas gdy uczciwi górnicy harowali, wypływając sobie płuca -- że zacytuje Dawida brodacza.

Mijały dni, a my ciągle siedzieliśmy w leśnej kryjówce. Konrad przysłał jedną naprawdę cenną wiadomość i zamilkł, a ja filtrowałem wiadomości wypełnione propagandą i opisami fantastycznych wyczynów zarówno „niezlomnych bojowników brygad międzynarodowych”, jak i „wiernych żołnierzy Imperium i Jego Wysokości Cesarza”.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

--Nadal trwają działania bojowe na Szajtanie. Nasze wojska w ciągu ostatniej doby prowadziły jednoczesne walki na wszystkich frontach. Po uporczywych i krwawych starciach, w celu ułatwienia kierowania wojskami i wyrównania linii frontu, na rozkaz dowództwa nasze oddziały w sposób zorganizowany przeszły na jeden z tyłowych odcinków w rejonie kombinatu wzbogacania kopalin użytecznych. Sam kombinat nadal znajduje się w naszych rękach, mimo chępliwych zapewnień imperialno-faszystowskiego dowództwa, które „zajęło” go już co najmniej trzy razy.

Za każdy krok podstępny okupant płaci bardzo słono. Od początku działań wojennych nasi bojownicy spalili i zniszczyli setki imperialnych samochodów opancerzonych i czołgów, zestrzelili dziesiątki samolotów i helikopterów, zabili tysiące żołnierzy wroga. Do Imperium falami napływają zawiadomienia o śmierci, szpitale polowe są przepelnione (zgodnie z informacjami przekazywanymi przez wziętych do niewoli żołnierzy). Ogromne starty, jakie ponoszą wojska imperialno-faszystowskie, zaczynają poważnie niepokoić ludność Wewnętrznych Planet, mimo wszelkich wysiłków kłamliwej propagandy imperialnej, mających na celu przemilczenie prawdziwych rozmiarów tych strat. Potrzebne było aż publiczne wystąpienie samego cesarza, który usiłował pokrzepić swoich poddanych. W swym wystąpieniu profesjonalny kłamca Wilhelm podał absolutnie fantastyczne, nieprawdopodobne wręcz liczby strat, rzekomo poniesionych przez Siły Zbrojne Federacji. Jego zdaniem, brygady międzynarodowe na Szajtanie już w pierwszym tygodniu walk straciły pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, w tym trzydzieści tysięcy zabitych i dwadzieścia tysięcy wziętych do niewoli; pięć tysięcy dział, dwa tysiące wyrzutni raketowych, tysiąc pięćset czołgów a także pięćset

samolotów i helikopterów. Niewiarygodny fałsz tych danych jest oczywisty. W rzeczywistości brygady międzynarodowe i dywizje kadrowe naszej Federacji straciły dwa tysiące osiemset siedemdziesięcioro dwoje ludzi, jedenaście tysięcy sto pięćdziesięcioro czworo zostało rannych, sześćset trzynaścioro uznano za zaginionych. Straciliśmy czterysta osiemdziesiąt pięć dział różnego kalibru, trzysta siedemdziesiąt trzy działa rakietowe, dziewięćdziesiąt dziewięć czołgów i samochodów opancerzonych oraz pięćdziesiąt sześć maszyn latających. Wilhelm ani słowem nie wspomniał w tym przemówieniu o stratach swojej imperialno-faszystowskiej armii. Wydawałoby się, że kto jak kto, ale „naród panów” powinien znać straty własnego wojska. Dlaczego więc Wilhelm swoim poddanym -- chłopom, robotnikom, inteligentom -- nie podał ani jednej cyfry dotyczącej strat własnych? Dlatego, że Wilhelm boi się powiedzieć prawdę narodowi Imperium! Boi się podać cyfry tych strat, bowiem są one tak ogromne, że gdyby je ujawnił, z jego kłamliwych i pełnych przechwałek oświadczeń o zwycięstwach nie zostałoby nic. Postępowanie Wilhelma jest godne politycznych szulerów i oszustów.

Ponieważ jednak Wilhelm ukrywa przed ludnością Imperium i opinią publiczną niepodległych planet straty armii imperialnej poniesione już w pierwszym tygodniu walk, Federalne Biuro Informacyjne zostało upoważnione do podania następujących danych: w ciągu pierwszych siedmiu dni starć, faszystowsko-imperialna armia straciła na Szajtanie czterdzieści pięć tysięcy żołnierzy -- zabitych, rannych i wziętych do niewoli, czyli mniej więcej tyle, ile imperialni stracili podczas dławienia wszystkich walk narodowowyzwoleńczych w czasie istnienia Imperium. A mówimy tu o takich bitwach, jak powstania w Żłobinie i Utrechcie, druga obrona warszawska, powstanie narodowe w Bosforze i tak dalej. Równie ciężkie i dotkliwe straty Imperium poniosło w sprzęcie i uzbrojeniu: w ciągu siedmiu dni działań bojowych wojska Imperium straciły ponad tysiąc sto czołgów i transporterów opancerzonych, tysiąc czterysta dział, dziewięćset dział rakietowych oraz trzysta trzydzieści samolotów i helikopterów, zestrzelonych przez naszych pilotów w czasie walk powietrznych lub zniszczonych przez naszą obronę przeciwlotniczą i w czasie nalotów na lotniska przeciwnika. Należy uwzględnić tu również te maszyny latające wroga, które uległy uszkodzeniu podczas startów i lądowań.

Takie są fakty.

Podczas pobytu w naszym leśnym schronie zrozumiałem jedno -- nawet ostateczna klęska nie jest tak dotkliwa jak absolutna bezsilność. Kryjówka stała się dla mnie ciasną klatką. Wszystkie nasze plany spaliły na panewce. Ale z drugiej strony, imperialni wyraźnie wypierali Federację na Szajtanie i wiadomo było, że na tym nie poprzestaną, Dariana Dark i jej poplecznicy mogli zaś -- czemu by nie? -- zdecydować się na eskalację konfliktu z użyciem taktycznej broni jądrowej.

Nie mogłem już sobie pozwolić na wypadki do miasta. Kontrole zostały bardzo zaostrzone, na wszystkich posterunkach pojawiły się skanery stacjonarne pozwalające rozpoznać człowieka mimo makijażu bioplastycznego. Nowy Sewastopol, pełen uzbrojonych przesiedleńców, stał się dla nas niedostępny. Ludzie ojca donosili, że oddziały, uzupełnione miejscową ludnością, są powoli wywożone z planety i przerzucane na Szajtan.

W naszym kosmoporcie lądowały transportowce z Borga, Sheridana, Rura... i ani jednego z Wolnego Donu czy Sławutycza.

Dariana zorganizowała nam niewielką, ale jakże efektywną czystkę etniczną.

Orbity nad Nowym Krymem, zarówno wysokie, jak i niskie, pospiesznie zapełniano

platformami raketowymi. Według pewnych danych, były wśród nich również laserowe, a przede wszystkim rentgenowskie, z jądrowym „środkiem”. Ciężkich i topornych gazowych na razie nie użyto.

Imperium nadal rzucało oddziały do piekła na Szajtanie, ale ciągle nie wiedzieliśmy -- nawet w przybliżeniu -- co się tam właściwie dzieje. Obie strony podawały informacje o swoich miażdżących zwycięstwach i ogromnych stratach w szeregach przeciwnika.

Czekaliśmy. Tak jak się obawiałem, nie udało się nam po raz trzeci odnaleźć legowiska Dariany, ale czułem, że najważniejsze wydarzenia rozegrają się gdzie indziej, nie na naszej planecie. Musieliśmy się stąd wydostać -- tę rundę Dariana Dark wygrała na czysto.

Czas płynął, pętla blokady zaciskała się coraz bardziej, a leśny schron stawał się zwykłą pułapką. Operacje poszukiwawcze brygad zataczały coraz szersze kręgi i ojciec tylko ponuro kręcił głową, obserwując ich ewolucje przez peryskop.

A potem nadszedł dzień X. Nie, nie był to dzień imperialnej inwazji. Wszystko zaczęło się, jak to zwykle bywa, od zupełnie nieznaczącego epizodu, a ja znowu znalazłem się w epicentrum wydarzeń.

Jak już wspomniałem, beczynność dręczyła mnie bardziej niż najcięższa praca czy wyrzeczenia. Nie mogłem już spokojnie patrzeć, jak Dariana umacnia się w Nowym Sewastopolu, jak po planecie rozplywa się fala jej fanatycznych zwolenników.

Do Nowego Sewastopola przebiejałem się prawie tydzień. Szedłem nocą, krążyłem i kluczyłem -- wszystkie dworce autobusowe, wszystkie przejazdy, mosty, tunele, a nawet skrzyżowania magistrali starannie chroniono. Na tych posterunkach coraz rzadziej spotykało się ubranego w turystyczną szturmówkę entuzjastycznego chłopaka z naszej planety, a coraz częściej pojawiali się brodaci przesiedleńcy z Borga, z tych, którzy zadomowili się u nas jako pierwsi, albo draby z osobistej gwardii Dariany.

Nowy Sewastopol otoczono prawdziwym murem berlińskim -- trzy metry wysokości plus metr drutu kolczastego na górze. Rów z wybetonowanym dnem i ścianami ciągnął się niczym blizna przez podmiejskie pola i zagajniki. W promieniu kilometra wszystkie drzewa zostały wycięte, a sympatyczne farmy, ukryte niegdyś pod wspaniałymi koronami drzew, wysadzono w powietrze albo spalono. Znowu musiałem zaufać morzu i znowu morze mnie nie zawiodło.

Port Sewastopola bardzo opustoszał od czasu, gdy Dariana przejęła władzę na planecie, jednak trawlerzy i statki-chłodnie nadal kursowały, dostarczając czterem piątym ludności Federacji „frontowe”, „robotnicze” i zwykle racje żywnościowe. Musiałem przepłynąć spory kawałek, ale na brzeg wyszedłem już w granicach miasta. Portu i drogi morskiej nie zdążyli jeszcze zablokować, choć poczyniono już pierwsze przygotowania: pojawiło się betonowe ogrodzenie, a na brzegu leżały sterty siatki. Dariana najwyraźniej planowała otoczyć miasto jeszcze jednym pierścieniem, tym razem drogą wodną.

Wyszedłem, przebrałem się w suche rzeczy, schowałem skafander i w tych polowych warunkach naniósłem makijaż maskujący. Świt zastał mnie na ulicach Nowego Sewastopola.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to plakaty patriotyczne. Plakaty wisiały wszędzie -- na każdym rogu, w każdej witrynie zamkniętych sklepów, na ścianach, murach i staromodnych słupach ogłoszeniowych, które zachowały się w centrum. Twórcy plakatów nie wysilali się zbytnio, czerpiąc garściami z dorobku radzieckich autorów hasel propagandowych. Zobaczyłem: Matka ojczyzna wzywa! i Kto śmiałyby zaprzeczyć, że nasza armia nieraz

ZMUSZAŁA DO PANICZNEJ UCIECZKI SŁYNNE WOJSKA IMPERIALNE?! Oraz Gaduła to znalezisko dla szpiega. Katarzynką nadal jechały kolumny autobusów z przesiedleńcami, zauważyłem, że teraz za kierownicami siedzą brodacze w swoich odwiecznych kombinezonach. Zniknęły taksówki. Kilka restauracji i barów jeszcze działało, ale płynęły stamtąd dziwne, nieznanne zapachy. Szarogęsili się tam przesiedleńcy.

Pewien klasyk powiedział, że kulturę kraju należy oceniać po jej stosunku do ludzi starych i słabych, do kobiet i dzieci. Patrzyłem na blade, milczące i zastraszone kobiety z Borga, które obsługiwały i sprzątały w restauracjach (widocznie nasze kelnerki w końcu zrezygnowały) i znowu zmuszałem się do twierdzenia, że brodacze mężowie tych kobiet nie są niczemu winni, że takimi uczyniło ich okrutne, podle życie... Tylko dlaczego tak ochoczo poddali się tej podłości? Nieważne, że nosili brody i anglosaskie imiona; nasi z Wolnego Donu i Sławutycza mogliby okazać się jeszcze bardziej źli i zawzięci. Dariana niesłusznie bała się ich tu przysyłać.

Widziałem maszerujące patrole. Przesiedleńcy, wszędzie przesiedleńcy... Na ulicach niemal nie spotykało się mieszkańców Nowego Krymu, a ci nieliczni przyciskali się do ścian i usiłowali jak najszybciej przejść przez zatłoczone miejsca.

Bez żadnego planu krążyłem po mieście, potwierdzając swoje wrażenia. Czulem, że gdzieś niedaleko znowu pojawił się biomorf, co wróżyło spotkanie z „naszą Daszą” twarzą w twarz po raz trzeci -- Bóg lubi trójcę -- i miejmy nadzieję, ostatni.

Nie miałem najmniejszego zamiaru kręcić się koło dworca -- nawet przedszkolak wie, że w czasie wojny takie obiekty ochraniające są szczególnie gorliwie, ale nie mogłem go również zupełnie stracić z oczu. A nuż wyczuję tam obecność jeszcze jednego biomorfa albo samej Dariany Dark?

I właśnie przed dworcem ujrzałem kolumnę ponurych chłopców i dziewcząt, wyraźnie naszych, w wyblakłym, znoszonym „umundurowaniu”, jeśli za takowe można uznać turystyczne szturmówki, spodnie i buty na wibramowej podeszwie. Żaden z dzieciaków nie miał broni, wielu nosiło na głowie opaski 6. Brygady Międzynarodowej.

Na czele długiej kolumny stali oficerowie w porządnym, imperialnym kombinezonach maskujących, z nowymi pagonami (staromodne naszywki na kołnierzach odeszły w niepamięć), obwieszeni bronią niczym choinka ozdobami. Komendy wydawano w starym, dobrym ogólnoimperialnym, więc wywnioskowałem, że oficerowie pochodzą spoza Nowego Krymu.

Nasze dzieciaki szły, powłócząc nogami, z opuszczonymi głowami i nosami na kwintę. Wyprowadzono ich na przestronny plac dworcowy i dano rozkaz „spocznij”. Szereg się złamał, chłopcy i dziewczęta rozeszli się po placu i zauważyłem, że w tej samej chwili od strony dworca wysunęły się patrole porządkowe, zamykając biegnące w miasto ulice i zaułki. Chyba tutaj też obawiano się dezercji.

Ale teraz nie prowadzono aresztantów -- na razie byli to przecież bojownicy Sił Zbrojnych Narodowo-Demokratycznej i tak dalej -- więc nie zagoniono ich do jakiegoś tam magazynu, lecz po prostu otoczono strzelcami. Bez namysłu wmieszałem się w tłum.

Sporo osób paliło tanie i mocne namiastki papierosów bez filtra, porządny tytoń już dawno poszedł „na potrzeby armii”.

--Gdzie was gonia, chłopcy? -- zapytałem, siadając na ogrodzeniu skwerku obok trzech ponurych „palaczy”, mniej więcej siedemnastoletnich. -- Czemu palicie takie świństwo, weźcie moje -- wyjąłem paczkę rodzinnych hercegowina flor.

--Myśli pan, że nam coś powiedzieli? -- mruknął jeden z chłopców, bez wahania częstując się moim papierosem, drugiego chowając za ucho. Zdaje się, że wezwania do czujności i ostrzeżenia o przebiegłym wrogu, podsłuchującym na każdym kroku, ci tutaj puścili mimo uszu.

--Nic nam nie mówią -- burknął drugi chłopak, wyciągając rękę do paczki.

--Weźcie całą, mam więcej -- powiedziałem. -- Jak przerzucają, to zwykle nie mówią dokąd. To wie jedynie dowództwo. Wprawdzie nie jestem z dowództwa, ale mogę wam powiedzieć prawie na pewno: wysyłają was na Szajtan.

--Też tak myślimy. -- Mój trzeci rozmówca, platynowy blondyn o błękitnych oczach skinął głową. Dla takich jak on dziewczęta powinny tracić głowy całymi kompaniami i batalionami.

--A czemu bez broni?

--Bo nam zabrali! Jakbyśmy byli aresztantami...

--Jakoś nie macie zbyt wesołych min.

--A z czego mamy się cieszyć? -- wybuchnął błękitnooki. -- Moją siostrę ci brodacze... tego! Na ulicy, w biały dzień! Poszliśmy na posterunek, a tam też tacy brodaci siedzą... I pytają, po co przyleźliśmy i że zaraz sprawdzą, czy ona nie jest prostytutką, bo pewnie sama do tych „bojowników” przyszła, a teraz...

Musiało go to bardzo boleć, skoro mówił takie rzeczy pierwszemu lepszemu.

--Alosza, daj spokój, co teraz zrobisz... -- próbował go uspokoić drugi chłopak.

--Gardła bym im poprzegryzał -- wycedził przez zęby blondyn Alosza.

--Chłopcy, bądźcie ostrożniejsi -- poradziłem. -- Kto wie, może jestem nasłanym szpiegiem? Przy okazji, nazywam się Aleksander.

--Michail -- przedstawił się pierwszy z chłopców.

--Siergiej -- podał mi rękę drugi. -- Aloszę już znasz. A co ty tu robisz?

Opowiedziałem swoją legendę -- że służę w policji, ponieważ faktycznie naszych zostało tam niewielu, no to trzeba było... Pokazałem dokument -- staranną kopię przesłanego przez Zdenka wzoru.

--Farciarz. Ciebie na Szajtan nie wyślą... -- zamruczał ponury Alosza.

--Nie byłbym taki pewien. -- Pokręciłem głową. -- Z naszego oddziału wzięli już dwóch... -- To była szczerza prawda. Zdenek bał się, że będzie następny.

W tym momencie poczułem na karku podejrzliwe spojrzenie draba z kapitańskimi pagonami. Pewnie się wkurzył -- co to jest, żeby pętał się tu jakiś typ i urządzał sobie pogaduszki z uzupełnieniem wysyłanym do piekła?

I zapewne musiałbym się stąd szybko wynieść, gdyby właśnie w tym momencie nie wtrącił się Jego Wysokość Przypadek. A może wydarzenia, niczym mozaikę, ułożyła ręka Przeznaczenia?

Na plac przed dworcem wjechały półgąsienicowe ciężarówki i bojowe wozy piechoty. Z luków i naczep z pogardą spoglądali na nas brodacze z Borga. Samochody kierowały się prosto na szeregi „uzupełnienia”, prawie nie zwalniając. Ledwie zdążyliśmy uskoczyć.

Miniaturowa dziewczyna, z włosami obciętymi na zapalkę, krzyknęła coś groźnie do kierowcy, który omal jej nie przejechał. W huku silników nie usłyszałem słów, lecz albo okazały się bardzo znaczące, albo kierowca miał lepszy słuch ode mnie, bo potężna ciężarówka wyhamowała, niszcząc różnokolorową mozaikę placu, przez tylną burtę zwiesiło się kilku mężczyzn w kombinezonach i wciągnęli dziewczynę do środka. Spod brezentowej osłony

natychmiast dobiegł jej rozpaczliwy krzyk.

Chwilę później przednia szyba ciężarówki rozpadła się w drobny mak -- rzucono w nią ciężkim kamiennym koszem na śmieci, który stał przy chodniku. Drzwi hanomaga się otworzyły, kierowcę i siedzącego obok żołnierza błyskawicznie wyciągnięto na zewnątrz, nie zdążyli nawet chwycić za broń. Za to ci, którzy ich wyciągnęli, nie tracili czasu -- dwa pistolety otworzyły ogień.

I można się było tylko dziwić, z jaką łatwością te dzieciaki, wczorajsi uczniowie, dzisiaj biorą się do strzelania.

Druga ciężarówka ostro skręciła i w jej bok od razu wjechał omijający ją z prawej bwp. A w tylną burtę nieruchomego pierwszego hanomaga już wczepiły się dziesiątki rąk, już migajął poodrywane kawałki drewnianych poręczy i wyrwane żelazne słupki. W niektórych rękach ujrzałem nawet noże.

Brodacze mieli znacznie lepszą broń, ale przeważnie rozładowaną, a w przyczepach ciężarówek ciężko się odwrócić, wsunąć magazynek i wycelować gdzie trzeba. W każdym razie, gdy wyjąłem swoją berettę i wskoczyłem na gąsienicę nieruchomej ciężarówki, w przyczepie ujrzałem zwartą masę ludzką, która nie zdążyła się zorientować, co i jak, i nie mogła odpowiedzieć natychmiastowym ogniem. Byliśmy szybsi. Pistolet w moich rękach wypłul dziesięć kul ze swojego wydłużonego, dwudziestoczeropociskowego magazynku.

Nie wahalem się i nie zastanawialem, kto tu jest winien. Działalem bez namysłu, tak jak uczono mnie w Tannenbergu. „W czasie walki nie powinno się myśleć. Myśleć trzeba wcześniej”.

Na placu rozpętało się piekło. Tłumy ludzi rzuciły się na siebie, jakby zapominając, że każdy ma tylko jedno życie. Ciężarówki oblepił żywy dywan dzieciaków z brygad, uzbrojonych w co popadło. Rozbijano szyby, dziesiątki rąk wyciągały na zewnątrz kierowców i ciężarówki zamierały jak zdychające potwory. W dłoniach mieszkańców Nowego Krymu pojawiły się odebrane przesiedleńcom karabiny, na placu rozległy się kolejne strzały. Ktoś miał granatnik i bez wahania wpakował ładunek w burtę najbliższego bwp. Samochód wybrzuszył się niczym podgrzewana konserwa, oderwały się kraty silnika i ze środka chlusnął ogień. Po takim trafieniu nikt nie miał prawa przeżyć.

Ochotnicy z Borga byli nieźle uzbrojeni, ale po pierwsze, zostali wzięci z zaskoczenia, a po drugie, nie przeszli surowej szkoły brygad międzynarodowych. A bez względu na mój osobisty stosunek do Dariany Dark, musiałem przyznać, że szkolila swoich podopiecznych surowo, okrutnie i efektywnie. Bwp mogły przeciw poszatковать tłum na placu w kilka sekund, ale wokół ciężarówek już rozgorzała walka wręcz, bezbronne dzieciaki zaś zdążyły zdobyć karabiny zabitych przesiedleńców z pierwszego hanomaga. Podpalony bwp płonął jasno -- nikt, rzecz jasna, z niego nie wyskoczył -- a kierowcy pozostałych pięciu wozów postanowili się wycofać. Wokół lufy karabinu maszynowego jednego z wozów zapląsał wianuszek płomieni, rozległy się krzyki, ale już w następnej sekundzie w ten bwp uderzył drugi granat. W bliskiej walce samochody opancerzone są bezradne.

Cztery ocalałe wozy dały gazu, porzucając swoich na pastwę losu. Jeden z rozpędu wbił się tyłem w fasadę zamkniętego sklepu. Z brzękiem pękały witryny, zerwane stalowe rolety wleczono po asfalcie, wewnątrz domu coś z hukiem runęło i pojazd utknął. Silnik ryknął rozpaczliwie raz i drugi, ale wóz nie mógł się wydostać.

Ocaleli przesiedleńcy walczyli z determinacją skazańców -- w końcu udało im się załadować broń. Z ciężarówek wyskoczyć musieli, bo ktoś z brygad chwycił drugi granatnik i masywny hanomag stanął w ogniu. Spod płonącego brezentu z wyciem wyskakiwały objęte płomieniami postacie -- i padały, ścięte kulami.

Strzelcy w dwóch wozach najwyraźniej zwariowali i zaczęli polewać ołowiem cały plac, nie patrząc, gdzie swoi, a gdzie obcy. Kule chłostały nieruchomą ciężarówkę, przez tylną burzę przewiesił się zastrzelony brodac. Wypuszczony z rąk karabin zagrzechotał na bruku.

Padają również nowokrymskie dzieciaki. Były podporucznik dywizji Trupia Czaszka Ruslan Fatiejew musiał wreszcie sobie przypomnieć, kim jest.

Już siedem ciężarówek zastygło na placu, ósma płonęła, bruk pokryły ciała w szarych szturmówkach i zdobycznych kombinezonach maskujących, a w powietrzu unosił się straszny krzyk rannych -- tych, którzy jeszcze mogli krzyczeć. Tutaj nie chronił mnie żaden pancerz, do czego przywykłem, służąc w wojsku imperialnym -- i niespodziewanie poczułem dławiący strach. Nigdy bym nie przypuszczał, że to takie okropne: wciskać się w bruk placu, gdy oszalały karabin maszynowy szarpie lufą na lewo i prawo, a kule z wizgiem niecą iskry z opornych kamieni. Dziesięć metrów ode mnie znieruchomiał trafiony chłopak z granatnikiem; obok stała otwarta aluminiowa skrzynka z trzema pociskami. Musiałem stłumić strach i czolgać się od trupa do trupa, dopóki moje palce nie zacisnęły się na brezentowym pasie broni.

--Wycofać się! -- wrzasnąłem, odwracając się. -- Za fontannę, szybko!

Dalsze wydarzenia nie wymagały udziału rozumu. Ile szkoleniowo-bojowych pocisków do tego nibelunga zużyłem swego czasu na strzelnicy, ile makiet rozpadło się w pył... że już nie wspomnę o treningach na symulatorach! Plujący ołowiem bwp szarpnął się i wybuchł. Pociski do tych cholernych nibelungów mogą przemienić oddziały bojowe i desantowe w filię ognistego piekła. Dwa pozostałe wozy próbowały się wycofać, ostrzeliwując się zaciekle, kilka kul przebiło martwe ciała wokół mnie, ale odjechać udało się tylko jednemu, drugi zdążył załapać się na pożegnalny prezent.

Strzelanina umilkła. Pozostał zalany krwią plac, zabici i ranni. Wszyscy oficerowie brygady pospiesznie zrejterowali na samym początku tej rzezi.

--Kierowcy są? -- krzyknąłem.

Znaleźli się. Ciężarówki (wprawdzie mocno pogniecione, pozbawione przednich szyb i podziurawione kulami) nadal były na chodzie -- solidna imperialna robota. Rannych pospiesznie ładowano do naczep, kilka osób podbiegło do bwp (tego, który wjechał w sklep i został porzucony przez załogę), żeby wyciągnąć cały osprzęt.

Spontanicznie utworzony oddział buntowników należało pospiesznie wyprowadzić z miasta, może nawet przebijając się i ostrzeliwując. Żołnierze Dariany Dark nie są bezimienni, każdy ma numer, rodziców i krewnych...

--Słuchajcie! -- zawołałem. -- Przejmuję dowodzenie. Pierwsze zadanie: wyprowadzić rannych w bezpieczne miejsce i odejść samemu. Drugie: przeciągnąć na naszą stronę te brygady, które myślą tak samo jak my! Ale najpierw musimy się stąd wydostać.

Nikt nie zapytał, kim jestem ani z jakiej racji się tu rządzą. Nad tłumem -- chociaż nie, to już nie był tłum, tylko regularny szereg, w dodatku szereg uzbrojonych ludzi! -- uniosło się kilkadziesiąt rąk.

Po kilku minutach posłańcy buntowników rozbiegli się w różne strony. Kolumna

maksymalnie obciążonych ciężarówek ryknęła silnikami i ruszyła w stronę wyjazdu z miasta.

Nie miałem złudzeń -- wiedziałem, że będą próbowali nas zatrzymać. Ale żeby sobie z nami poradzić, Dariana Dark potrzebowała teraz nie tylko oddziałów wojskowych, potrzebowała wiernych oddziałów wojskowych gotowych strzelać do swoich. W grę wchodziły jedynie bataliony przesiedleńców.

Musieliśmy się spieszyć. Pozostawienie rannych w Nowym Sewastopolu równałoby się skazaniu ich na tortury i śmierć, niewykluczone, że w pamiętnym rezerwuarze „naszej Dariany”. Należało ich wywieźć z miasta, w miejscowościach podmiejskich nie brakowało świetnie wyposażonych szpitali czy punktów medycznych.

Wbrew temu, czego się spodziewałem, przez blokadę przedarliśmy się dość łatwo. Wprawdzie do posterunków dotarł już surowy rozkaz niewypuszczania buntowników, jednak naczelnik garnizonu Nowego Sewastopola popełnił niewybaczalny błąd: oznajmił, że brygada powstańców zaatakowała „żołnierzy Federacji” przybyłych z innych planet. Chłopcom siedzącym za betonowymi blokami przy wyjeździe z miasta ta informacja wystarczyła do zorientowania się w sytuacji. Wzbogaciliśmy się o pięć motocykli, patrolowy samochód pancerny, nie mówiąc już o kilkunastu uzbrojonych po zęby nowokrymskich dzieciakach, którym również nie podobało się to, co się wyprawia na ich planecie.

Kolumna wyjechała na podmiejską szosę i wkrótce samochód z rannymi zjechał do znajdującego się w pobliżu szpitala. Nie mogliśmy czekać, trzeba było pchać się dalej, do górzyściej części wyspy. Tam będziemy mogli chwilę odpocząć, ochłonać, a potem wynieść się na inne, mniejsze wyspy, pokrywające niebieski przestwór naszych oceanów gęstą siateczką.

Gdy podjechaliśmy do następnego szpitala, stary lekarz już biegł w naszą stronę.

--Na wszystkich kanałach o was trąbią! -- powiedział, gdy chłopcy wnosili rannych do środka. -- Tak myślałem, że nas nie ominiecie...

--Dziękuję. -- Uścisnąłem mu dłoń. -- Proszę uważać, wkrótce wpadnie tu Dariana ze swoimi pomagierami...

--Niech sobie wpada! Mamy gdzie ukryć te dzieciaki. A wy musicie uciekać, przedrzeć się do portu. Najlepiej przez Błękitne!

Błękitne to nazwa miasteczka leżącego na przeciwległym końcu naszej wyspy. Tam też był port, gospodarstwa morskie i tak dalej.

--Może tak właśnie zrobimy. Jeszcze raz dziękuję... Przepraszam, mam jeszcze prośbę: czy mógłbym skorzystać z waszej sieci?

Ojciec ze spokojem przyjął moją informację o konieczności przeniesienia zbuntowanych oddziałów jak najdalej od Nowego Sewastopola. Jego odpowiedź była lakoniczna i pozbawiona emocji:

„Wszystko zrozumiałem. Będę działał”.

Oczywiście kolumna ciężarówek to nie igła w stogu siana i helikoptery nadleciały, gdy od gór dzielilo nas pół godziny drogi. Nie zdziwiło mnie, że dopiero teraz -- widocznie niełatwo było znaleźć pilotów wśród brodaczy z Borga.

Nie miałem zamiaru grać ze śmiercią w ruletkę. Ciężarówki wyhamowały, dzieciaki z hałasem wysypały się z nich i ukryły w przydrożnych zaroślach. W samą porę -- rakiety w jednej chwili przemieniły całą kolumnę w płonący złom. Ktoś krzyknął, padając, kogoś drasnęło odłamkiem, ale ogólnie udało nam się wyjść z tego bez większych strat. Helikoptery krążyły

jakiś czas nad naszymi głowami, wystrzelili zapas amunicji, ale nic więcej nie mogli zrobić -- buntownicy zdążyli się rozproszyć.

Noc zastała nas głęboko w górach. To był najtrudniejszy moment: zapal walki już opadł i zaczęły się pojawiać nieuniknione okrzyki w rodzaju: „O jejku, co myśmy najlepszego zrobili?!“

No właśnie. Zadarliśmy nie z Darianą, nie ze złym ciemieżcą imperialnym, w którego istnienie do niedawna wierzyłem nawet ja, ale z nieszczęśnikami, którzy mieli pecha urodzić się na planetach-kopalniach. Skazani na niewolnictwo przez imperialne prawo, byli gotowi na wszystko, żeby tylko wyrwać się z tego swojego piekła. Teraz stanęli nam na drodze, a wtedy z zawziętością ludzi pierwotnych zaczęliśmy wzajemnie rozszarpać się na kawałki, bo nie możemy dogadać się co do jaskini. A przecież mamy wspólnego wroga, a nawet dwóch, chociaż drugi na chwilę przycichł na naszym odcinku...

Wracając do spraw najpilniejszych: należało dostarczyć do tego tymczasowego obozowiska amunicję i żywność. Wprawdzie nie mieliśmy zamiaru tu wiekować, ale nie będziemy przecież szturmować Błękitnego z pustym brzuchem i pustymi rękami.

Nikt nie kwestionował mojego autorytetu czy prawa do wydawania rozkazów. Widocznie dzieciaki wyczuły, że wiem, co i jak należy zrobić. Z Nowego Sewastopola wyrwało się trzystu bojowników -- ponad czterdziestu rannych zostawiliśmy w podmiejskich szpitalach, na placu dworcowym zaś, w rękach koronerów i patologów Dariany Dark, zostało prawie tyle samo zabitych, których ciał nie mogliśmy wywieźć. Zdołaliśmy jedynie zerwać żetony rozpoznawcze, dając trochę czasu rodzinom i bliskim tych, którzy zginęli. Może dzięki temu zdążą wydostać się z pułapki Nowego Sewastopola i przeżyją?

Nie było tu łączności, a bez łączności ani rusz, więc musiałem wracać do naszego leśnego bunkra i ustalić z ojcem plan działania. Czekala mnie długa droga.

Noc minęła spokojnie. Płonęły jasne gwiazdy Ósmego Sektora, układając się w nasz własny zodiak, ułożony przez domorosłych astrologów do stawiania horoskopów. Góry na Nowym Krymie nie są wysokie (z wyjątkiem Syberii), ale za to pokryte gąszczem niemal nieprzebytych zarośli i poprzecinane pajęczyną wąskich kanionów o stromych zboczach, po których zbiegają rwące potoki. Świat jest tu dziewiczy; na samym początku kolonizacji planety surowo zakazano prowadzenia jakichkolwiek prac w masywie górskim -- po długich wysiłkach zaczęliśmy się wreszcie uczyć na cudzych błędach.

Nielatwo byłoby wykurzyć stąd powstańców.

Próbowałem odszukać tamtą trójkę -- Aloszę, Siergieja i Michaiła, z którymi nie zdążyłem dokończyć rozmowy, ale niestety żaden z nich nie dotarł do gór. Misza był ranny i został w szpitalu, a po tamtych dwóch chłopcach pozostały jedynie żetony.

O świcie pożegnałem się z powstańcami. Młodszy dowódca i plutonowi przeżyli, wiedzieli, co mają robić i nie musiałem im nic tłumaczyć. Zdumiewała mnie zaciętość i zdecydowanie członków brygad międzynarodowych -- byli absolutnie gotowi do walki. Szkoda tylko, że nie z tymi, z którymi należało...

--Dariana na pewno wszystko wyjaśni -- głosila z zapalem ostrzyżona na zapalkę miniaturowa dziewczyna, chyba ta sama, przez którą zaczął się ten cały bigos. -- Ona po prostu nie wie, co wyprawiają ci brodacze! Nikt jej nie melduje, a przecież nie może zajmować się wszystkim!

Jej koledzy byli tego samego zdania.

--A ja się pytam, po co w ogóle ściągnęła tu tych z Borga? -- rozległ się czyjś głos. -- Bo chyba nie stało się to bez jej wiedzy?

--Dariana nie może przecież sprawdzać każdego z nich! -- protestowała zapalczywie ostrzyżona. -- Poza tym dlaczego oni mają gnść żywcem w kopalniach, podczas gdy my...

--Jasne, może jeszcze mamy się z nimi zamienić? -- rzucił twardo ten sam głos. -- Może powinniśmy wyrazić skruchę, uderzyć się w piersi i przenieść się z Nowego Krymu na Borg? -- Rozległ się szmer niezadowolonych głosów. -- Poczekajcie chwilę, nie wrzeszczcie tak! Nie mam nic przeciwko temu, żeby mieszkali na naszej planecie, ale normalnie, po ludzku, przestrzegając naszych praw i porządków, a nie wprowadzając swoje! Przecież nie są u siebie w domu!

--Oni w ogóle nie mają domu! Tam są tylko kopalnie uranu!

Nie słuchałem dłużej. Spór do niczego nie prowadził, a mnie czekała długa droga.

Wychodziło na to, że wszystko zaczęło się wcześniej, niż przypuszczałem. Dariana Dark dostała wspaniały pretekst do przeprowadzenia pacyfikacji zbuntowanej planety, by następnie zasiedlić ją wiernymi do grobowej deski mieszkańcami kopalnianych planet. W tej sytuacji mogłem pokrzyżować jej szyki tylko w jeden sposób -- jeśli nie liczyć likwidacji samej Dariany.

Szedłem przez chaszcze, nie myśląc o głodzie i zmęczeniu, po drodze gasząc pragnienie wodą z czystych strumyków. Z każdym krokiem pod blednącym niebem narastało we mnie nie tyle podejrzenie, co pewność, że tym razem pani Dark zechce rozwiązać problem Nowego Krymu raz na zawsze. I to tym sposobem, którego obawiałem się najbardziej -- z rosnącą wrażliwością czułem milczącą obecność macic. Nie wątpiłem, że Dariana świadomie prowokowała mieszkańców Nowego Krymu. Okazali się zbyt niezależni, zbyt czupurni. Należało nas usunąć i to w takim momencie, żeby pozostałe planety Federacji zgodnym chórem krzychały wraz z Darianą: „Ukrzyżować ich, ukrzyżować!”

Ile mieliśmy czasu? Spalony przeze mnie biomorf potrzebował do ostatecznej transformacji kilku tygodni. Ile takich biomorfów jest na planecie? Ile macic szykuje się do lotu nad Nowym Krymem?

Gdy dotarłem do bunkra, rodzina powitała mnie tak, jakbym wrócił z zaświatów. Siostry płakały, ale mama trzymała się dzielnie.

--W mieście dzieją się niestworzone rzeczy -- mówił szybko ojciec, gdy z wilczym apetytem pochłaniałem obiad. -- Dariana rozbraja wszystkie brygady, wyobrażasz sobie? Na posterunkach stoją wyłącznie brodaci. Trwają aresztowania. Biorą przede wszystkim rodziny tych buntowników, których zdołali zidentyfikować.

--Będzie jeszcze gorzej -- odpowiedziałem z pełnymi ustami. -- Dariana zacznie aktywować macice i albo skontaktujemy się z imperialnymi, albo planeta zamieni się w jeden wielki cmentarz.

Wszyscy zastygli i pobledli. Obrzuciłem rodzinę ciężkim spojrzeniem.

--Nie odważy się... ma tutaj przesiedleńców... -- zaprotestował słabym głosem Georgij.

--Kto wie, gdzie kończy się jej władza nad Rojem? Może Dariana potrafi mu rozkazać, kogo ma atakować, a kogo zostawić przy życiu? -- odezwała się Swieta.

--Ta dyskusja nie ma sensu. Tato, musimy skontaktować się z Michaelem. Wiem, że to przykre, ale wyłącznie desant imperialny da nam jakąkolwiek szansę.

--I Nowy Krym stanie się polem bitwy... -- westchnęła Lena. -- Szkoda. Wszystko spala, zniszcza, zatrują...

--Mamy prosić o pomoc tych nazistów?! -- warknął Gieorgij. -- Ani się obejrzymy, jak wprowadzą tu nowe porządki, i to takie, że zatęsknimy za Darianą! Zapomnieliście, na ilu planetach nadal istnieje „ograniczenie praw” i co ono oznacza? Ilu naszych znowu ześlą na Swaarg... w najlepszym razie? A może w ogóle nie będą sobie zawracać głowy transportem, tylko rozstrzelają na miejscu, wrzucą do rowu i zasypią wapnem?

--Dość tego! -- Ojciec uderzył pięścią w stół. -- Jak tam było u Bloka? „Żar zimnych liczb”? Jesteśmy teraz niczym kamień między żarnami i nie wiadomo, czy żarna zetrą nas na proszek, czy się rozpadną. Zgadzam się z Ruslanem. Król małp Hanuman będzie miał szanse tylko wtedy, gdy jego wrogowie, tygrys i lew, zaczną ze sobą walczyć.

--Cytujesz przewodniczącego Mao, mój drogi? -- Mama uśmiechnęła się ironicznie.

--Był niegłupim człowiekiem -- obruszył się ojciec. -- W każdym razie na setce chińskich planet księgi jego cytatów są nadal w obiegu, a do jego ciała na Nowym Pekinie wędrują pielgrzymki. Rus, jak skontaktować się z tym twoim Michaelem?

Moje rodzeństwo milczało ponuro, gdy wysłaliśmy wiadomość, a ja, nie pozwalając sobie na zbyt długi odpoczynek, ruszyłem w drogę powrotną. Powstańcy (i ja razem z nimi) musieli wziąć szturmem Błękitne.

Mały odbiornik, nastawiony na całodobowe wiadomości Federacji, mamrotał uspokajająco o niespotykanym bohaterstwie obrońców Szajtana, o jakichś nieznanym mi bojownikach, którzy przy kopalni takiej a takiej kombinatu takiego a takiego po raz kolejny odparli wszystkie ataki wojsk imperialno-faszystowskich, zadając im, rzecz jasna, bardzo ciężkie, można by rzec, katastrofalne straty. W napięciu czekałem na wiadomości o buncie i zamieszkach w Nowym Sewastopolu, ale zarówno federalny, jak i lokalny kanał Nowego Krymu nabrały wody w usta.

Gęste sploty lian dłonników -- nazwa pochodziła od kształtu liści -- kołysały się na lekkim wietrze. Droga (a raczej jej kompletny brak -- przedzierałem się przez zwarty gąszcz) prowadziła w górę. Miałem już za sobą najdłuższy i najbardziej wyczerpujący odcinek, teraz przede mną wznosiły się góry, zza kotar pnący wycierały szaroczerwone skały. Kiedyś bardzo lubilem górskie wyprawy, spędzaliśmy tu całe tygodnie, wędrując i wspinając się po stromych ścianach. Z najwyższego punktu, góry Wielgachna, otwierała się wspaniała panorama prawie całej wyspy: od Nowego Sewastopola na południu do Błękitnego na północy. Ale żeby dojrzeć stamtąd te miasta, potrzebna była dobra lornetka.

Spodziewałem się, że do masywu górskiego podciągną siły ochotników z Borga, zaciszne doliny zaczną „obrabiać” artyleria, a helikoptery będą polewać stoki napalmem -- trzystu słabo uzbrojonych powstańców to świetny cel -- ale nic takiego się nie działo. Spokojnie pokonałem lasy i posłusznie wykonałem komendę: „Stój!”, wydaną przez czujnego wartownika.

Dzieciaki z brygad trzymały się wspaniale. Chłopcy i dziewczęta, od dawna przyzwyczajeni do hasła: „Całe Imperium przeciwko nam!”, teraz, gdy hasło stało się rzeczywistością, nie stracili głowy. Wprawdzie w charakterze wroga zamiast Imperium występowali straszni i niezrozumiali przesiedleńcy, ale brygady przywykły „być przeciwko wszystkim” do tego stopnia, że nie zauważały jednej rzeczy -- walka przeciwko wszystkim jest tym samym, co wędrówka w kilku kierunkach jednocześnie.

Na mój widok zbiegli się dowódcy plutonów. Popatrzyłem na te poważne, młode twarze i oznajmiłem:

--Wszystko w porządku. Musimy przedrzeć się do Błękitnego, tam będą na was czekać statki. Stąd trzeba się wynieść, dopóki nie zdławili nas przewagą liczebną. To nie jest dobre miejsce do uprawiania partyzantki.

--Znasz lepsze, Aleksandrze? -- wykrzyknęła zadziornie ostrzyżona dziewczyna, która, jak już wiedziałem, miała na imię Marie. -- Inne wsypy są jeszcze mniejsze! Oprócz Syberii, oczywiście. I czy to nie tutaj walczyli niegdyś nasi partyzanci, „Nieprzejednani”, z imperialnymi?

--Tutaj. -- Skinąłem głową. Tak, brygady międzynarodowe to nie Trupia Główka, tu jeszcze nie oduczono się kwestionowania rozkazów. -- Tylko że wtedy wszystko wyglądało inaczej. Nie tworzą bazy partyzanckich w lesie i nie wysadzano pociągów, lecz organizowano ataki na imperialnych w Nowym Sewastopolu, Błękitnym i innych miejscach. Bojownicy posiadali legalny status, wielu nawet pracowało w imperialnych urzędach. No dobrze, dość tych sporów! Doprowadzę was do Błękitnego i wracam. Na szczęście udało mi się wziąć krótki urlop.

Co za dzieciuchy, pomyślałem z goryczą, patrząc na ufne twarze. Przecież mogłem być podstawionym prowokatorem, a w Błękitnym mogła czekać na nich zasadzka! Przerzucenie tam desantu, wszystko jedno, drogą powietrzną czy morską, nie jest przecież trudne... A wy mi wierzycie, słuchacie mnie, idziecie za mną tak samo, jak szliście za Darianą. Pani Dark dostałaby figę z makiem, a nie władzę, gdyby nie miała za sobą was -- naiwnych, entuzjastycznych poszukiwaczy prawdy!

Z Błękitnego statki mojego ojca i jego przyjaciół rozwiozą dzieciaki po kilku większych wyspach, pomogą im się urządzać i ukryć na jakiś czas. Potem zaczniemy wywozić i ukrywać ich rodziny.

Tylko co zrobimy, gdy z nieba spadnie nam na głowy korpus Paula Haussera?

--Mielibyśmy się chować? -- oburzyła się Marie po wysłuchaniu do końca mojego planu. -- Mamy się rozbiec jak szczury po kątach? Przecież wtedy wylapią nas pojedynczo! Musimy się przedrzeć do towarzyszki Dark, musimy otworzyć jej oczy! O niczym jej nie mówią, ona...

--Masza, nie zaczynaj od nowa! -- przerwał jej niski, krępy chłopak, podobnie jak Marie z opaską plutonowego. -- Znowu zaczynasz tę samą gadkę. A ja ci mówię, Dariana nas wszystkich okłamała. Dlatego, że...

Nie pozwolono mu dokończyć, zagłuszono wściekłymi okrzykami. Podniosłem rękę.

--Cisza! Problem polega na tym, Marie, że dowództwo Federacji dokładnie wie, gdzie jesteście, ilu was jest i jak jesteście uzbrojeni. Sądziś, że nie mogli przysłać tu dwudziestu tysięcy brodaczy i przeczesać całego masywu? Tutaj nie ma się gdzie ukryć. Nie mówię, że powinniście się rozbiec i pochować jak szczury. Przeciwnie, wasze plutony zaczną zadawać ciosy tam, gdzie nikt się ich nie spodziewa.

--Komu niby mamy zadawać te ciosy? -- rozzłościła się Marie. -- Powinniśmy iść do towarzyszki Dark...

--Cicho! -- przerwał jej jasnowłosy chłopak. -- Słyszycie? Słyszycie?!

Słyszeliśmy. Daleko w dole, na prowadzących do masywu drogach huczały silniki czołgów, w górze zaś ciężkie powietrze wirniki helikopterów. Dariana Dark zdecydowała się uderzyć.

--Koniec dyskusji! Plutonowi wracają do swoich! Zebrać wszystkich i wynosimy się stąd!

Wszyscy za mną!

Nie tak łatwo dostrzec w mroku, między drzewami, rozciągniętych cienką tyralierą ludzi -- nawet jeśli jest to trzystu bojowników. Brodacz z Borga są zawzięci i uparci (na placu przy dworcu walczyli zajadle, żaden nie poprosił o litość, żaden się nie poddał), ale niewiele wiedzą o partyzantce i żaden nie mógł pochwalić się umiejętnością bezszelestnego poruszania się w lesie.

Nim odezwała się artyleria, nim helikoptery zrzuciły płonący deszcz napalmu na niewinne góry, nasz oddział bez jednego strzału zdołał się wyśliznąć z zamykającej się pułapki.

I znowu długi marsz przez leśny gąszcz... Jak wspomniałem, centralna część wyspy zachowała swój pierwotny wygląd, ale bliżej brzegu zaczynały się pola, sady i farmy. Zgodnie z moimi przewidywaniami szosę, obiegającą całą wyspę wzdłuż brzegu od wschodnich do zachodnich przedmieść Nowego Sewastopola, zajęły wojska. Nie mogłem wyjść z podziwu, ilu przesiedleńców Dariana zdołała tu przerzucić. Całą drogę zastawiły ciężarówki, w powietrzu również panowało niesamowite zagęszczenie.

Wyglądało na to, że Dariana nie musiała się zbytnio wysilać, żeby przewidzieć nasz ruch. Trzeba było się przyczać i zaczekać do nocy.

Po zapadnięciu zmroku ruch na szosie nieco się zmniejszył, rozładowały się korki. Oddziały przesiedleńców, świecąc latarkami i potykając się, wchodziły powoli w wilgotne, otulone mgłą lasy. Przybysze z Borga wyraźnie bali się tych gąszczy i trzymali się blisko siebie. Rozerwanie ich szeregu nie nastęrczałoby większych trudności, ale my musieliśmy odejść stąd po cichu.

Nasz oddział rozplynał się w mroku. Pojedynczo lub dwójkami dzieciaki wychodziły na trasę i spokojnie, nie robiąc gwałtownych ruchów, przedostawały się na tamtą stronę. Nad szosą rozbłyskiwały rakiety świetlne, nie brakowało też reflektorów-szperaczy, ale wszystko poszło dobrze. Resztę nocy zajął nam marsz do Błękitnego.

Nikt nie miał wątpliwości, że będzie tam na nas czekał komitet powitalny.

Szyfrogram 127

Absolutnie poza kolejnością!!!

Salim do Bakłana

W brygadzie Tannenberg ogłoszono alarm bojowy, trwa załadunek składu osobowego i sprzętu. Miejsca dyslokacji nie zna nawet Aryjczyk. Należy przygotować się na wszelkie niespodzianki.

Następny kontakt nastąpi, gdy pojawią się możliwości techniczne.

Salim

Do Błękitnego weszliśmy w szarości przedświt. Noce na Nowym Krymie są łagodne i ciepłe, jakby stworzone do romantycznych westchnień na łonie przyrody, spacerów pod gwiazdami i pocałunków na brzegu morza. Ale teraz miałem wrażenie, że gwiazdy nie mrugają do nas przyjaźnie, lecz mrużą się ze złości, jakby celując z nieznannej broni. Gdzieś tam czaił się Rój, którego tak naprawdę nigdy nie udało się nam zwyciężyć. Bez względu na to, jakie straty zadawaliśmy mu w poszczególnych starciach, Rój niezmiennie się odradzał, niczym stwór z rosyjskiej bajki, który na kalinowym moście łapał swoje głowy, ścięte przez Iwana carewicza, przeciągał po nich ognistym palcem, a one z powrotem przyrastały. W bajce Iwan carewicz, wbity w ziemię aż po ramiona, zdołał w końcu ściąć ognisty palec, by następnie razem z braćmi dobić potwora.

Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie Rój ma ten ognisty palec... Czy tę rolę odgrywa Dariana? A może ktoś inny? Niewykluczone, że jest wielu takich jak ja -- w połowie ludzi, w połowie biomorfów... Komu służymy? Czy tej zagadkowej sile, która w mojej wizji trzyma w otwartym kosmosie miriady czekających na rozkaz macie?

Jak należało się spodziewać, wszystkie wjazdy do nadmorskiego miasteczka zostały zamknięte. Dariana nie miała zbyt wiele czasu, jednak na drogach pojawiły się już solidne barykady: labirynty z betonowych bloków metrowej grubości, utworzone zaś pospiesznie z takich samych konstrukcji kaponiery szczyrzyły się czarnymi dziurami okienek strzelniczych najeżonych lufami karabinów maszynowych. Moje -- już moje! -- dzieciaki przemykały się podwórkami i przydomowymi ogródkami; nie planowaliśmy szturmować Błękitnego wedle wszelkich reguł walk ulicznych.

Poniewczasie żalowałem, że nie da się zabrać powstańców szalupami prosto z brzegu. Morze było tu płytkie, woda sięgała do kolan. Chociaż, z drugiej strony, strach pomyśleć, co by się działo, gdyby nad tymi łódeczkami zawisły helikoptery z napalmem w bakach. Duże statki miały możliwość odparcia ewentualnego ataku, ale one z kolei nie mogły podejść zbyt blisko brzegu...

Pozostawał port -- z całą pewnością wypełniony teraz brodacami, którzy płonęli chęcią rozprawienia się z nami za przydworcowy plac.

Wśród moich dzieciaków byli również tacy, którzy pochodzili z Błękitnego, zresztą prawie wszyscy bywali tutaj nieraz, więc miasto znaleźliśmy dobrze. Z różnych krańców, skradając się w mroku, przesuwalismy się coraz bliżej portu. Ulicami kroczyły obwieszone bronią patrole, ale starannie je ignorowaliśmy. Zdumiewające, ale do przyportowej ulicy dotarliśmy bez jednego strzału.

W założeniach architektów port w Błękitnym nie miał spełniać roli twierdzy, takiej otoczonej wysokimi ogrodzeniami, o zamkniętych na cztery spusty bramach, ale Dariana Dark przemieniła go w najprawdziwszą cytadelę. W niektórych miejscach piętrzyły się znajome betonowe bloki, w innych -- worki z piaskiem, a całość wieńczyły druty kolczaste i reflektory. Innymi słowy, pełen zestaw. A w miejscu, w którym kończyły się pirsy wchodzące w ściany zieleni, stworzono prawdziwe forty. Zdaje się, że Dariana Dark wyciągnęła wnioski z mojej eskapady do hangaru.

Nie byliśmy już tym samym bezbronnym tłumem, walczącym chaotycznie na placu, ale katastrofalnie brakowało nam ciężkiego uzbrojenia. Mogłem tylko liczyć, że nasz plan -- mój i ojca -- nie spali na panewce w tej najważniejszej części..

W moim uchu ożył nadajnik kostka. Nieznajomy głos, dodatkowo zniekształcony przez elektronikę, wymamrotał coś w rodzaju: „Trzy trójki!” i w tym samym momencie ciszę nad portem napelniał terkot cekaemów i wybuchy granatów.

Moje dzieciaki nie dały na siebie długo czekać. Trzmiele i muspelle, które nam podrzucono, zalały płomieniem główne wejście do portu. Z otworów strzelniczych chlusnął ogień, liżąc bezużyteczne teraz lufy cekaemów.

--Huraaaaa!...

Odepchnęliśmy się od ziemi -- i było tak, jakbyśmy weszli w pozbawioną powietrza przestrzeń. Terkot wystrzałów, świst kul nad głową i tylko jedno pragnienie: upaść, wcisnąć się w brudny asfalt i leżeć bez ruchu. Teraz było to szczytem marzeń -- twarzą do ziemi i żadnego

biegu na spotkanie kulom.

Ile milionów ludzi przez to przeszło? Ilu pragnęło leżeć z nosem w błocie, gdy powietrze nad głową wypełnia uskrzydłony olów? Jedni zrywali się i biegli na wrogie lufy z poczucia obowiązku lub miłości do ojczyzny -- niech będą mi wybaczone te wzniosłe słowa. Innych popychało uczucie, „że między ludźmi nawet śmierć niestraszna”. Jeszcze innych -- kopniak dowódcy albo wycelowana w kark lufa komisarskiego nagana. Rolę komisarza mogły również pełnić oddziały zaporowe.

Dzieciaki wpadły do portu, zostawiając za sobą płonące blokady. Kilku brodaczy zaatakowało nas, wyobrażając sobie pewnie, że są suworowskimi bohaterami i potrafią czynić cuda swoimi bagnietami. Ale niemiecka piechota nauczyła nas, jak odpierać słynne rosyjskie bagnety.

Od strony morza rozlegał się huk i łoskot, coś płonęło, a do szerokiej gardzieli portu, między falochronami, już wchodziły statki. Trawlery, wzbogacone stanowiskami karabinów maszynowych, teraz oczyszczały nam drogę. Te statki rozwiozą poszczególne plutony mojego oddziału na różne wyspy. Tam młodzi bojownicy będą bezpieczni... Jeśli to w ogóle możliwe na planecie, na której zaczyna się wojna domowa.

Trawlery podchodziły do pirsów, pospiesznie cumując i wyrzucając trapy na brzeg. Krzyki dowódców plutonów, zbierających swoich ludzi, tupot nóg po deskach i podchodzący z tyłu, od strony zamarłego Błękitnego, ryk silników. Czolgi... Lada chwila nadlecą również powietrzni goście.

Obejrzałem ten akt do końca. Ostatni trawler wciągnął trap i zabulgotał śrubami, oddalając się od pirsu.

--Towarzyszu dowódco! A wy? -- krzyknęła do mnie z dziobu odpływającego statku ostrzyżona na zapalkę Marie.

Pomachałem jej ręką.

Gdy do portu wdarły się czolgi z pospiesznie namalowanymi, przekreślonymi na ukos żółtymi kołami (emblem Federacji, ukośna linia miała symbolizować wzlatującego żurawia), zastały jedynie puste pirsy, wystrzelone łuski i własnych zabitych. Po tymczasowym dowódcy powstańców, który nie wszedł na statek, nie zostało nawet śladu.

Oddalałem się od Błękitnego. Nade mną przeleciał oddział helikopterów, które, zarzynając silniki, mknęły w stronę morza. Spóźniliście się, moi drodzy. Zawaliłaś sprawę, madame Dariano. Za kilka dni zaczną się zamieszki na czterech największych wyspach wokół Nowego Sewastopola. Będziesz musiała się miotać i dzielić swoje siły, droga Daszeńko. Chociaż -- jeśli dobrze zgadłem, co wymyśliłaś -- chyba szybko skończysz to polowanie na buntowników. Oczywiście, całkowita pacyfikacja Nowego Krymu nie leży w twoich interesach, w końcu przemysł żywnościowy planety musi działać bez zakłóceń, a nowi przesiedleńcy nie mogą na razie zastąpić naszych specjalistów. Więc może poczekasz jeszcze jakiś czas? Pytanie tylko, jak długo. Oraz jak długo my ci na to pozwolimy... W leśnym bunkrze czekały dobre nowiny: wszystkie trawlery szczęśliwie dotarły do miejsca przeznaczenia. Dwa helikoptery Dariany, które odważyły się na atak, drogo za to zapłaciły -- każdy dostał rakieta z PZRK*.

--Szkoda tylko, że zaśmieciłmy morze -- burknął ojciec, kończąc opowieść. -- Potem trzeba je będzie wyłowić...

--A co się dzieje w Sewastopolu?

--Czystki -- westchnęła mama. -- Dariana zrozumiała, że się z nami nie dogada i z miasta wysiedlane są „elementy defetystyczne”.

--Dokąd?

--Na ulicę. -- Mama wzruszyła ramionami. -- Nie ruszają tylko tych, którzy podpisują tak zwany „dokument lojalności”.

--I co, wiele osób go podpisało?

--Sporo -- powiedział ze złością ojciec. -- Przecież w czasie okupacji nie wszyscy byli partyzantami. Są tacy, którzy chcą po prostu żyć.

--Działają zakłady i gospodarstwa morskie -- podjęła mama. -- Niektórzy z naszych próbowali zbadać grunt pod kątem strajku powszechnego, ale za plecami każdego mieszkańca Nowego Krymu stoi jeden przesiedleńca. Dariana szykuje własne kadry i bardzo się z tym spieszy.

--Na innych wyspach też są przesiedleńcy?

--Praktycznie nie. -- Ojciec pokręcił głową. -- Pojawiali się na samym początku, ale ostatecznie wrócili do Nowego Sewastopola. Nic dziwnego...

--Nic dziwnego -- przerwałem mu -- że Dariana zbiera wszystkich swoich w jednym miejscu. Przygotowuje się do wypuszczenia macic! Albo od razu Roju, i to pewnie niejednego. Dlatego wysiedla naszych ze stolicy i koncentruje tam przesiedleńców. Dariana potrzebuje „przestrzeni życiowej”, choćby tylko lokalnej.

--Co wobec tego proponujesz? -- Tata nerwowo zabębnił palcami. -- Straciliśmy Darianę z oczu i teraz nikt nie wie, gdzie ona jest. Tak samo nie wiadomo, gdzie są te jej kreatury.

--Czyli sytuacja patowa -- podsumowała mama. -- Ani ona, ani my nie możemy zrobić żadnego dobrego ruchu.

--Ona może -- warknął ojciec. Na przykład zmieść wszystkie figury z planszy. Chiński remis.

--Nie zaryzykuje -- zaprotestowała mama. Zdaje się, że znowu zaczęli swoją ulubioną rozrywkę: teoretyczna dyskusja w warunkach kompletnego braku informacji, czyli, mówiąc krótko, wróżenie z fusów.

Poszedłem „do siebie”, czyli do klitki o rozmiarach dwa na dwa.

Na włączonym palmtopie w rogu ekranu mrugał kwiatek rumianek -- otrzymano nowe wiadomości. Dość dawno temu cały Nowy Krym przeszedł na sieci bezprzewodowe, ponieważ jednak namierzenie działającego komputera nie jest trudne, tutaj, w bunkrze, funkcjonowała tradycyjna łączność kablowa. Woląłem nie myśleć, ile to kosztowało, ale dzięki temu trudniej było nas wymacać. Coś takiego jak absolutnie bezpieczna ochrona po prostu nie istnieje.

Dostałem wiadomość od Michaela. Gardząc podstawowymi zasadami konspiracji, pisał otwartym tekstem:

Informacja dotarła na górę. Wyznaczono operację „Tajfun”. Mój oddział nie bierze w niej udziału; wyrusza w inne miejsce, jakie -- nie wiadomo. Propozycja pacyfikacji w oparciu o zaproponowany kompromis odrzucona. Zapadła decyzja udzielenia lekcji poglądownej. Do ataku szykują się wojska ochronne.

Niech Bóg ma was w swojej opiece.

Unikał podawania nazwisk, ale i tak wszystko było jasne. Najwyraźniej Vallenstein próbował przekonać Sztab Generalny, że można uspokoić Nowy Krym, udzielając nam pomocy

przeciwko Darianie Dark, by potem ponownie włączyć planetę do Imperium, pozostawiając nam wolność i przywileje. Plan został odrzucony. Imperium postanowiło nas poświęcić, sądząc, że to odstraszy inne planety Federacji. A że Tannenberg uznano za niepewny i nieodpowiedni do tej operacji, przygotowywano nam czystkę, prawdopodobnie w niczym nieustępującą tej, którą wróżył nam Rój. Skoro nie dopuszczano do akcji żołnierzy Tannenberga (a nuż czują do naszej planety jakiś sentyment?), to znaczy, że szykowano coś w rodzaju karnych ekspedycji na Białorusi czy w Jugosławii albo incydentu Żłobińskiego, jeśli mówimy o historii najnowszej.

Zostaliśmy wzięci w dwa ognie.

Nigdy nie proście diabła o pomoc! Nawet jeśli chodzi o walkę z innymi tworamii piekieł.

Nietrudno sobie wyobrazić, co się teraz stanie. Imperium zechce wysadzić na Nowym Krymie potężny desant. Pierwsze straty imperialni poniosą już na wysokich orbitach, chociaż nasza planeta nie jest niestety upstrzona szybami raketowymi. A gdy wojska Imperium wczepią się szponami choćby w minimalny kawałek stałego ładu, trzeba będzie przelać wiele krwi, zanim się ich stąd usunie. Dla Dariany Dark będzie to w jakimś stopniu niespodziewany prezent: prawdopodobnie mieszkańcy Nowego Krymu zapomną o konflikcie z przesiedleńcami i zjednoczą się z nimi -- ci z Borga brużdżą nam od niedawna, a imperialnych nienawidzimy od dziesięcioleci. Zacznie się krwawa jatka. Skoro Imperium postanowiło dać nam nauczkę i przerzuca tu oddziały pacyfikacyjne, po Nowym Sewastopolu pozostanie spalona ziemia. Analitycy ze Sztabu Generalnego znajdą sobie inną planetę do spędzania wakacji -- planet-kurortów nie ma wprawdzie zbyt wiele, ale jedną można poświęcić. W imię jedności Imperium, które jest jak najbardziej *über alles*!

Poczulem zimny pot na plecach, krew zaczęła wolniej krążyć w żyłach. Zbyt dobrze wiedziałem, do czego zdolne jest Imperium, gdy się je rozzłości, a rzucone do walki oddziały nie będą się liczyć (przynajmniej do pewnego stopnia) ze stratami. Nowy Krym przemieni się w pustynię, niewykluczone, że radioaktywną.

Rodzice wysłuchali mojej przemowy w milczeniu, a potem popatrzyli na siebie. Wyraz ich twarzy bardzo mi się nie spodobał.

--Wydaje mi się, Taniu, że już pora -- powiedział spokojnie ojciec, bawiąc się niezapaloną fajką.

--Pora, Jurij, pora. -- Mama skinęła głową.

--Zaraz, zaraz, coście znowu wymyślili? -- Zdenerwowałem się.

--Mniej wiesz, krócej będziesz przesłuchiwany -- odpowiedział z roztargnieniem ojciec.

--Nawet o tym nie myślcie! -- wrzasnąłem wściekły. -- Widzę po waszych minach, że postanowiliście pięknie umrzeć, co?

Rodzice znieruchomieli i zaczerwienili się jak przyłapani na całowaniu małolaty.

--Rusłanie... -- Mama podeszła do mnie, objęła i przytuliła się do mojej piersi. -- Jest czas życia i czas śmierci. Jeśli wylądują tu imperialne oddziały karne, Nowy Krym przestanie istnieć i życie nie będzie miało sensu.

--I... i... -- Zabrakło mi powietrza, ale jednak zdołałem wypchnąć słowa przez zdrętwiałe wargi. -- I co wymyśliliście?

--Dotrzemy do Dariany Dark. -- Mama uśmiechnęła się bez troski. -- Tylko inaczej niż ty. Ty szedłeś, żeby wrócić. My pójdziemy, by zginąć.

Nogi się pode mną ugięły. Świat rozpadł się na kawałki i leciał w otchłań.

--Przecież nie wiemy nawet, gdzie ona jest!

--I nie dowiemy się, jeśli będziemy jej szukać tak jak przedtem. Ale jeśli oddamy się w ręce jej ochrony... Nie wątpię, że Dasza zechce na nas zerknąć, nim zrzuci nas do bioreaktora.
-- Spojrzenie mamy było bardzo poważne. W jej oczach płonęło światło absolutnego spokoju i przerażającego zdecydowania.

Oni naprawdę na to pójda, pomyślałem w panice.

--Przecież zostaniecie przeszukani! Nie uda wam się wnieść żadnej bomby! --
mamrotałem, czując, że żadne argumenty nie działają.

--Są różne bomby, mój drogi. Na przykład takie, których nie zdoła wykryć żaden wykrywacz metalu. -- Mama czule przesunęła dłonią po moich włosach. -- Takie, które są w środku.

Nie wierzyłem własnym uszom. Spokojnie, jakby omawiali pójście do restauracji, opowiadają mi o tym, że gotowi są pójść na śmierć i wysadzić się w powietrze, gdy Dariana znajdzie się w pobliżu...

Nie mogłem na to pozwolić. Na coś takiego nie pozwoliłby żaden człowiek, nawet człowiek z domieszką biomorfa.

--I co nam to da?! Imperium już zaczęło operację i nie odwoła jej, nawet jeśli Dariana umrze!

--Wtedy przynajmniej będziemy mieli szansę, że Dariana nie wypuści Roju ani na imperialnych, ani na nas, grzesznych.

--Głupota i cholera! -- wrzasnałem, nie panując nad sobą. -- Niczego w ten sposób nie osiągnięcie! Niczego nie zmienicie! Nawet po śmierci Dariany przesiedleńcy nadal będą do nas napływać, a Imperium będzie nas „chronić"! To nie Dark trzeba teraz zabić, nie ją!

--A kogo? -- spytała mama, patrząc na mnie z niezmaconym spokojem. Jej oczy promieniały światłem, od którego krew stygła w żyłach. Dla niej chyba wszystkie decyzje już zapadły...

--Nikogo -- warknąłem przez zęby. -- Sytuacja jest ciężka i niczyje samobójstwo czy też zabójstwo jej nie poprawi.

--To co mamy zrobić? Co?

Zapadła cisza -- straszna, ciężka, dusząca. Pewnie tak właśnie czuli się ci, którzy latem czterdziestego pierwszego wiedzieli, że w gazetach nie opisują tego, co dzieje się naprawdę, że klin niemieckich wojsk pancernych jest już za Mińskiem i dociera do Leningradu, że wszystko się wali i nie ma -- wydawałoby się -- żadnego wyjścia.

My też nie mieliśmy już ani wyjścia, ani wyboru. Imperialnych nie wolno było wpuścić do Nowego Krymu, bo wtedy należałoby z nimi walczyć na śmierć i życie. Jego Wysokość Cesarz uznawał wyłącznie radykalne rozwiązania konfliktów -- połowę tych, którzy przeżyją czystkę, odesłać na Swaarg, gdzie wiecznie brakuje rąk do pracy, a drugą połowę sprzedać Obcym do doświadczeń, jeśli w plotkach tkwiło choć ziarno prawdy.

Zapadł zmierzch i bezchmurne niebo wabiło gwiazdami. Stałem pod tym słabym światłem z odchylną głową, usiłując uciszyć chaotyczne myśli. Lawina ruszyła, nie da się przed nią uciec, ale czy to oznacza, że przegraliśmy?

Tak czy inaczej, jednego nie dało się cofnąć na pewno -- ludzie, którzy powinni walczyć ramię w ramię przeciwko Imperium, teraz skoczyli sobie do gardeł. Dariana wiedziała, co robi,

przerzucając do nas tych nieszczęsnych górników. Przecież w innej sytuacji przyjęlibyśmy ich z otwartymi ramionami, zrobilibyśmy im miejsce obok siebie... Pamięć odtworzyła ze wszystkimi drastycznymi szczegółami sceny z przydworcowego placu, gdzie walczący o wolność ludzie zachowywali się jak dzikie zwierzęta. A przecież nie było w tym niczyjej winy. My nie jesteśmy winni, bo, nauczeni gorzkim doświadczeniem przeszłości, jedynie troszczymy się o naszą ostatnią planetę. Przesiedleńcy nie są winni, ponieważ wyrwali się z piekła kopalni. Nikt nie jest winien -- ale krew już została przelana i trzeba będzie długich lat, żeby to, co się stało, zostało zapomniane albo przynajmniej nie zatrulo nowego pokolenia. I możemy się już tylko modlić, żeby ta krew nie pogrzebała naszego marzenia o wolności.

Wiadomości imperialne.

Nieodzowny ryk fanfar i łopoczący sztandar, który ustępuje miejsca surowemu, skalistemu krajobrazowi. Dziwnie zielonkawe niebo -- jedyna zielona rzecz na tej planecie nad czerwono-brązową szachownicą ziemi daje nieprawdopodobny efekt. Przez całą szerokość ekranu płoną wielkie litery: Szajtan. Zwycięstwo! Rozlega się uroczysty głos spikera:

--W ostatnim tygodniu na Szajtanie nasze siły zbrojne prowadziły zakrojone na wielką skalę operacje ofensywne. Nasz kanał niejednokrotnie przekazywał odbiorcom wiadomości z pierwszej linii, a teraz jako jedni z pierwszych pokazujemy ostatnią linię, gdzie nasi waleczni czołgiści, komandosi i lotnicy zepchnęli wroga. Otoczono tam oddziały separatystów broniących najważniejszych kopalń i kombinatów, niezbędnych powstańcom do podtrzymania istnienia tak zwanej Federacji. Sytuacja buntowników jest beznadziejna. Zostali odcięci od ostatniego kontrolowanego przez siebie kosmodromu, pierścień blokady zacieśnia się i chociaż nie wszystkie środki batalistyczne przeciwnika zostały zniszczone, flota imperialna kontynuuje planowe przemieszczanie się w kierunku wyznaczonych granic.

Buntownicy przegrali bitwę o Szajtan. Jeszcze kilka dni i nasza flaga załopocze nad kosmodromem Północnym -- ostatnią ostoją rebeliantów.

W czasie działań wojennych siły Imperium rozbiły dziewięć tak zwanych brygad międzynarodowych, jedenaście „dywizji kadrowych” separatystycznej Federacji, w tym również zmotoryzowaną dywizję Normandia i dywizję pancerną Monjour. Do niewoli wzięto ponad sto tysięcy ludzi, zdobyto znaczną ilość ciężkiego uzbrojenia oraz pojazdów opancerzonych. Nasze waleczne wojska lotnicze niepodzielnie panują w powietrzu, zadając dotkliwe ciosy tym pozycjom, które jeszcze stawiają opór. Nikt nie rzuca do walki naszej piechoty, dowódcy nie szafują życiem swoich żołnierzy.

Ale Szajtan to tylko pierwszy krok. Już wkrótce sztandar niezwyciężonego Imperium załopocze na innych planetach, znajdujących się jeszcze pod kontrolą powstańców.

Kamera sunie po martwej równinie, usianej poczerńiałymi wrakami spalonych czołgów, wozów bojowych i innych pojazdów.

--Tutaj, na tym polu, imperialni komandosi kontratakowali oddziały pancerne buntowników. Utworzone z uchodźców z francuskich planet dywizje Normandia i Monjour, posiadały ponad siedemset pojazdów opancerzonych i czołgów, zdobytych przez buntowników w pierwszych dniach powstania. Czy widzicie państwo te żółte kręgi na wieżyczkach? To ich znaki rozpoznawcze. Ale nasze oddziały pancerne i raketowe były świetnie przygotowane i doskonale współdziałały z pilotami prowadzącymi walki powietrzne nad polem bitwy. Oto efekt -- równina pokryta wrakami zniszczonych czołgów i wozów bojowych. W tym miejscu

przetnęliśmy grzbiet powstańczym oddziałom pancernym, od tej właśnie chwili zaczął się triumfalny pochód naszych wojsk do kosmodromu Północnego. Bez wątpienia już wkrótce w tym miejscu zostanie wzniesiona pamiątkowa tablica dla uczczenia bohaterskiego czynu naszych dzielnych żołnierzy...

Czas samozwańczej Federacji przeminął. Na planetach, które początkowo popierały rebeliantów, rośnie zrozumienie popełnionego błędu. Mieszkańcy planety Nowy Krym powstali przeciwko krwawej dyktaturze udającej demokrację i kryjącej się pod nazwą Federacja. Rdzenni mieszkańcy planety są represjonowani, na Nowy Krym przerzuca się przesiedleńców z innych planet...

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

Na planecie Szajtan trwają zacięte walki. W ostatnich dniach imperialni ponownie ruszyli w kierunku Ósmego Kombinatu wzbogacania rud. Imperialno-faszytowskie dowództwo rzuciło do walki znaczne siły lotnictwa, wojsk pancernych, a także desant. To kolejna próba przerwania naszej obrony, przedarcia się w głąb naszych oddziałów.

Walki trwają nieustannie, w dzień i w nocy. Imperialnym oddziałom, wykorzystującym wszystkie swoje rezerwy, udało się uzyskać przewagę na kilku odcinkach i dzięki temu wbić się klinem w pozycje naszych wojsk.

Na jednym z odcinków naszej obrony oddział N w pierwszej połowie dnia odparł kilka ataków wroga -- imperialni nie zdołali się przedrzeć. Wszystko ucichło, ale już wieczorem na stronie nieprzyjaciela zauważono jakiś ruch -- jak się później okazało, do ataku ruszyły aż dwa imperialne bataliony. Wszyscy jak jeden mąż byli pijani, nawet mechanicy i kierowcy, a pojazdy opancerzone z trudem jechały po linii prostej.

Nasi bojownicy pozwolili podejść blisko pijanym batalionom wroga i powitali ich ogniem broni przeciwpancernej. Bataliony zostały zniszczone.

Kłamliwe informacje wrogiej propagandy:

Zablokowany, zdaniem Głównej Rozgłośni, Szajtan nadal żyje i walczy. Każdego dnia nasi bojownicy z dywizji kadrowych oraz ochotnicy z brygad międzynarodowych zadają przeciwnikowi ciężkie straty. Dojścia do naszych pozycji zawałone są tysiącami trupów imperialnych żołnierzy, setkami spalonych czołgów, dziesiątkami zestrzelonych samolotów i helikopterów. Na ulicach górniczego miasteczka Północny obok kosmoportu o tej samej nazwie, który rzekomo otoczyły oddziały imperialne, toczy się normalne, spokojne życie.

To prawda, że na niektórych odcinkach frontu wrogowi udało się zepchnąć nasze oddziały i przesunąć się do przodu. Jednak wszystkie najważniejsze kombinaty, pierwotnie znajdujące się za „zieloną linią”, są nadal przez nas kontrolowane i działają w normalnym trybie. Bogate rudy wysokiej jakości, obrabiane w Ósmym Kombinacie, są nadal dostarczane do zakładu, chociaż linia frontu nieco się do niego zbliżyła. Statki transportowe regularnie odlatują z kosmodromu Północnego, wywożąc gotowe wyroby górniczej planety. Liczne kopalnie pracują bez zakłóceń nawet pod ostrzałem wroga.

Mieszkańcy Imperium zalewani są potokiem kłamstw. Chłopom, robotnikom oraz inteligentom wmawia się, że prowadzona jest „święta wojna” ze straszliwym separatyzmem, że buntownicy marzą tylko o jednym: wdrzeć się w granice Imperium i tam grabić, palić i mordować.

Obywatele wolnej Federacji nie potrzebują obcych planet, wolność nie może być

narzucona siłą. Chcemy jedynie bronić swojego prawa do życia w sposób, jaki uważamy za słuszny. „Obcej ziemi nie weźmiemy ni piędzi, ale z naszej nikt nas nie wypędzi”. Teraz, jak nigdy przedtem, jesteśmy zjednoczeni w szlachetnym porywie obrony świętych rubieży. Imperialna propaganda może dalej kłamać, że na planecie Nowy Krym wybuchło powstanie przeciwko naszej ukochanej Federacji. W rzeczywistości obywatele Nowego Krymu, po obaleniu sprzedajnych oligarchów, zdrajców i nazistów oraz agentów imperialnego wywiadu, z otwartymi ramionami przyjmują przesiedleńców górników oraz ich rodziny. Praca w kopalniach, jak już podawaliśmy w naszych wiadomościach, kontynuowana jest w systemie zmianowym. Sytuacja na Nowym Krymie znajduje się pod całkowitą kontrolą władz federalnych sprawujących rządy do czasu wyborów nowych organów władzy. Imperialna propaganda po raz kolejny podaje pobożne życzenia jako rzeczywistość, a jej kłamliwe informacje są do tego stopnia nieprawdopodobne, że nawet nie ma potrzeby ich dementowania. Słudusi krwawego tyrana Wilhelma, zmuszeni do tworzenia bajek o rzekomych zwycięstwach wojsk imperialno-faszystowskich, już dawno stracili poczucie umiaru. Każdy rozsądny człowiek widzi wyraźnie oczywistość tych wymysłów.

Postanowienie Tymczasowego Rządu Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet numer 1750 zobowiązuje wszystkich obywateli zamieszkujących terytorium Narodowo-Demokratycznej Federacji do odesłania do organów Ministerstwa Komunikacji na tymczasowe przechowanie wszystkich odbiorników zdolnych do odbioru sygnału przekaźników stojących klasę wyżej niż miejscowe przekaźniki typu: TRTL-A, B oraz analogicznych (kompletna lista: patrz załącznik), znajdujących się u osób prywatnych oraz w organizacjach zapewniających usługi informacyjne indywidualnym odbiorcom. W przypadku niemożności demontażu i wywozu sprzętu, Postanowienie przewiduje usunięcie z odbiorników odpowiednich bloków pozwalających na odbiór z przekaźników głębokiego kosmosu, klasy Syrena, Wiraz, Strzała oraz innych aparatów. W przypadku zaś całkowitej niemożności usunięcia tych bloków z przyczyn technicznych, Postanowienie określa porządek wymiany danego sprzętu na pozbawiony wyżej wymienionych możliwości, z uwzględnieniem wypłaty posiadaczowi odbiornika odpowiedniej rekompensaty w ustanowionym przez Postanowienie porządku...

Ogólnodostępne kanały sieciowe wykorzystywane do zbiorowego odbioru i przesyłu danych w miejscach publicznych (stołówkach, szpitalach, punktach agitacyjnych i tak dalej) zobowiązane są do przekazania odbiorników wyznaczonym osobom odpowiedzialnym za treść programów informacyjnych.

Wiedziałem, że te dzieciaki, które zwróciły broń przeciwko przesiedleńcom, są teraz w dobrych rękach, ale ja sam nie miałbym co robić na wyspach, na których rozmieszczono plutony powstańców. Teraz najważniejszą sprawą były nie sporadyczne akcje dywersyjne, lecz planowa agitacja innych dzieciaków, by zrozumiały wreszcie, że całe zło leży nie w „tych wstrętnych górnikach” z Borga i innych planet, tylko w Darianie Dark i jej poplecznikach, w kierownictwie samozwańczej Federacji, która jakby nie rozumiała, że rezerwy trzydziestu planet nie wystarczą do walki z setkami światów pozostających pod kontrolą Imperium.

Ta beztroska pewność siebie nasuwała myśl, że Dariana i jej zaufani liczą na Rój, a stąd wynikała kolejna straszna ewentualność -- czy cała ta Federacja nie stanowiła jedynie części większego, globalnego planu? A jeśli Dark i jej klika postanowili wciągnąć Imperium do wojny i ściągnąć tu jak najwięcej wojsk imperialnych, by zlikwidować je jednym atakiem macic? Pod

warunkiem, oczywiście, że Dariana do tego stopnia je kontroluje...

A teraz Imperium zdecydowało wysadzić desant na Nowym Krymie, jeśli wierzyć informacjom Michaela, no i możemy jedynie czekać. Nie wolno się nam już wycofać, za naszymi plecami jest nie Moskwa, lecz zimna otchłań kosmosu.

Dwa dni upłynęły w męczącym oczekiwaniu. Konrad niespodziewanie przysłał krótką wiadomość, zawiadamiając, że niemal cała jego organizacja została rozgromiona, a on sam, cudem unikając aresztowania, musi opuścić strefę kontroli Federacji. Czyli -- wynieść się na Wewnętrzne Planety, bo nie wątpię, że tam nasz płomienny bojownik przygotował sobie wystarczającą liczbę komfortowych kryjówek.

Trzeciego dnia eter ożył. Do Nowego Krymu zbliżyły się imperialne monitory przenikające, które zaczęły metodycznie, z dużej odległości wygryzać dziury w obronie planetarnej.

Wiedziałem, jak to wygląda. Ciężkie, mało zwrotne „kalosze” wychodziły na pozycję uderzeniową, a załoga je opuszczała. Sterowanie monitorami odbywało się ze statków dowódczych, ukrytych w przestrzeni. Monitory nie muszą ani manewrować, ani uchylać się przed raketami czy promieniami laserów i mają tylko jedno zadanie -- zniszczyć jak najwięcej platform orbitalnych nad tym sektorem planety, który wybrano do lądowania. Będą strzelać ciężkimi raketami (jądrowymi i innymi niosącymi potężne lasery rentgenowskie) aż do chwili, gdy swoimi salwami nasycą systemy obrony przeciwrakietowej do tego stopnia, że ileś głowic bojowych przedrze się przez szczelny ogień zaporowy. Gdy już pojawi się „okno”, przemkną przez niego wahadłowce desantu z ludźmi i sprzętem. A wtedy... Boże zmiłuj się!

Platformy orbitalne wytrwały znacznie dłużej, niż przypuszczałem. Nie udało się przeprowadzić blitzkriegu, przez prawie siedemdziesiąt dwie godziny monitory pluły ogniem, dając Darianie Dark trzy bezcenne doby. A sieci informacyjne planety szalały...

„Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Wróg u bram! Powstań, ogromny kraju!...”

Trąbiono o powszechnej mobilizacji. Nikt już nie wspominał o Szajtanie czy konieczności przerzucenia tam brygad międzynarodowych, utworzonych z mieszkańców Nowego Krymu. „Wszyscy do szeregu! Ramię w ramię, mieszkańcy Nowego Krymu i przesiedleńcy, obronimy ojczystą planetę! Ojczyzna albo śmierć!”

Z Sewastopola docierały informacje, że górnicy z Borga i innych planet wszyscy jak jeden mąż zapisują się do oddziałów (oczywiście ci, którzy nie zrobili tego wcześniej), że uzbrajane są nawet kobiety i nastolatki -- arsenały Dariany Dark wydawały się nie mieć dna. Nieliczni ludzie ojca (na przykład Zdenek), którzy mimo czystek i mobilizacji pozostali w policji, w patrolu morskim i podobnych organizacjach, donosili, że samych przesiedleńców zmobilizowano co najmniej dwieście tysięcy i mimo wydarzeń poprzedzających imperialną inwazją, strumień nowokrymskich ochotników jest coraz większy.

Ale krwawa rozprawa przed dworcem Nowego Sewastopola nie przeszła bez echa: w zmobilizowanych szeregach między przesiedleńcami a mieszkańcami Nowego Krymu często dochodziło do bójek.

W całym tym zamieszaniu Dariana nie zapomniała o trzystu buntownikach, którzy rozerwali na strzępy stu pięćdziesięciu uzbrojonych przesiedleńców. Na te wyspy, na które trawlerzy wywiozły dzieciaki, wysłano oddziały składające się wyłącznie z górników.

Trzeciego dnia imperialni oczyścili sobie wreszcie drogę i wahadłowce kolejno odłączały

się od olbrzymich transportowców desantowych, zmierzając w dół niczym Rój. Ocalale platformy orbitalne były zbyt daleko, krążownik „Jutrzenka wolności” trzymał się do końca -- oberwał kilka razy i ledwie zdążył wśliznąć się w podprzestrzeń. Zestawy rakietowe, które pozwalały na prowadzenie ostrzału rakietami balistycznymi z powierzchni, zostały skoncentrowane wokół Nowego Sewastopola -- na wypadek szczelnej blokady wojsk imperialnych. Teraz przydałyby się ciężkie krążowniki z rakietami balistycznymi i łodzie podwodne, jednak Nowy Krym nie zdążył zbudować własnej marynarki wojennej.

Imperialni, bez zbędnych kombinacji, wylądowali na Syberii, czyli największej wyspie, jakby przyciągała ich własna baza, a raczej jej ruiny. Gdzieś tam krążył udający szaleńca Michael...

--Jak długo mamy tu jeszcze siedzieć?! -- Pierwszy nie wytrzymał Georgij. -- Na co czekamy? Aż wpadną tu imperialni, wykurzą nas z nory i rozstrzelają?

W ciasnym bunkrze zebrała się cała rodzina, nawet najmłodszy.

--Nie będziemy tu długo siedzieć -- odparła mama -- ale wyjdziemy dopiero w odpowiednim momencie: gdy wokół będą wybuchać pociski, gdy imperialni zaczną przedzierać się do Sewastopola, a Dariana przestanie zwracać sobie nami głowę.

--Obawiam się, że do tego nigdy nie dojdzie -- burknął Łarion.

--Uspokójcie się, szalone palki -- powiedziałem do braci. -- Jestem pewien, że Dariana użyje Roju, a ten bunkier zapewnia całkiem niezłą ochronę.

--A nasi? A reszta? -- denerwowała się Lena. -- My będziemy się chować, a oni polegą pod imperialnymi kulami?

--Trzeba się postarać, żeby nie polegli -- wycedził ojciec przez zęby.

--Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić! -- Lena zmarszczyła brwi. -- Gdyby wylądował tu Tannenberg...

--Musi wylądować -- rzuciłem twardo.

--Niby dlaczego?

--Gdy już oddziały pacyfikacyjne się wykrwawiają, dowództwo...

--Przyśle pierwszą lepszą dywizję rezerwową. Skąd pewność, że...

--Vallenstein nie przegapi takiej okazji.

--A dowództwo będzie miało w ogóle coś do powiedzenia?

--Tato, Vallenstein musi mieć przyjaciół w Sztabie Generalnym!

Rodzina patrzyła na mnie z powątpiewaniem, ale ja nie miałem żadnych wątpliwości. Tannenberg musi tu przybyć, bo tylko wtedy mieliśmy jakiekolwiek szanse powstrzymać Darianę, jeśli ona faktycznie liczy na Rój. Tannenberg miał największe doświadczenie bojowe zdobyte w kontaktach z tym przeciwnikiem i jeśli ktoś mógł sobie poradzić z szalonym planem mojej „siostry w biomorfie”, to tylko Tannenberg, który teraz nie był rozdętym batalionem, lecz pełnowartościowym pułkiem.

Ojciec wydawał ostatnie zarządzenia. Rodzina przeniosła się z bunkra do bezpieczniejszego miejsca na jedną z odległych wysepek (tam mieściło się niewielkie biolaboratorium należące do kompanii ojca), a ja wyruszyłem na front. Georgija, mimo jego rozpaczliwych protestów, nie puszczono. Po pierwsze „jeszcze się nawojuje”, a po drugie „kto będzie nas tam osłaniał?”...

Patrzyłem na przygarbione plecy brata i pomyślałem: jeśli rzeczywiście chcesz iść na

front, żadne zakazy cię nie powstrzymają, uciekniesz. A jeśli oburzasz się tylko po to, żeby uspokoić sumienie -- „co mam zrobić, skoro mama nie puściła” -- cóż, wtedy, mój drogi...

Próbowałem odpędzić od siebie te myśli. Nie powinno się tak myśleć o własnym bracie. Zawsze był posłusznym synem, zawsze chciał, żeby wszystkim było dobrze i bardzo przeżywał każdą kłótnią. Nie to, co ja...

Jedynie, co mi pozostawało, to wrócić do Nowego Sewastopola i ruszyć na front. W końcu pagonów porucznika w imperialnej armii nie dawali ot tak sobie. Poza tym oddziały karne, eufemistycznie nazywane „wojskami ochronnymi”, to wyjątkowe plugastwo. „Rasa panów” tam nie służyła, pułki tworzyła zbieranina z różnych planet. Podobno za zaciągnięcie się do tych oddziałów ochotnikowi wymazywano całą kryminalną przeszłość...

Imperialnym wojskom regularnym daleko było do aniołów. Żołnierze splamili się krwią w powstaniach w Żlobinie i Bosforze, gdzie nawet tych buntowników, którzy zdążyli podnieść ręce do góry, koszone kulami. Żołnierze nie gardzili pospolitymi grabieżami, dużym zainteresowaniem darząc kobiety, które znalazły się po drugiej stronie barykady. Ale to wszystko było niczym w porównaniu z tym, co wyczyniały dywizje ochronne, idące w drugiej fali. Rozliczano je wyłącznie za efektywność i jakość czystki, a oficerowie mogli rozstać się z pagonami i wylądować na Swaargu nie za gwałty i grabieże swoich podwładnych, lecz za akt terrorystyczny, do którego doszłoby na terytorium uznanym za bezpieczne. Z buntownikami nikt się nie cackał, nikt nawet nie znał takiego słowa.

Wysłanie oddziałów karnych w pierwszej fali wydawało się jednak dziwne. Nie umiały łamać prawdziwej obrony, nie umiały odpierać ataków czołgów, nie miały pojęcia o walce wręcz. Stawiano im zupełnie inne zadania. Czyżby dowództwo Reichswehry ostatecznie zgłupiało? A może Michael się mylił -- a raczej mylili się jego informatorzy?

Coś tu było nie tak. Jakaś pułapka, zasadzka, innymi słowy, podpucha...

Rodzina nawet nie próbowała mnie zatrzymać. Wprawdzie wysłanie agenta na pierwszą linię równało się rozbijaniu orzechów mikroskopem, ale co mieliśmy zrobić? Siedzieć cicho w leśnym bunkrze? Wielu naszych ludzi wstępowało do policji oraz innych służb, które Dariana otworzyła dla mieszkańców Nowego Krymu, ale tam ryzyko było zbyt duże. Poza tym nie sądzę, by jakieś informacje ominęły Zdenka czy innych chłopców pracujących w tych służbach. Wyruszenie na front, gdzie mogłem przyczynić się do tego, że oddziały karne zaczną bezskutecznie walić głową w mur obrony, wydawało się bardziej uczciwe. Nie wątpię, że zaczynając od dowodzenia drużyną, dojdę do dowodzenia większymi formacjami, ale jak dotąd miałem sporo szczęścia i ze wszystkich opresji wychodziłem cało. Wierzyłem, że tak będzie i teraz. Zarozumiałstwo? Może i tak. Ale czy bez wiary w powodzenie warto w ogóle brać się za cokolwiek?

Pożegnanie było krótkie i oschłe. Obaj z ojcem najpierw odwracaliśmy oczy, a potem przeciwnie, wpatrywaliśmy się w siebie, nie mogąc oderwać wzroku.

--Tato, chciałbym cię o coś prosić -- powiedziałem w końcu.

--Zrobię wszystko, co będzie w moich możliwościach. -- Ojcu załamał się głos. -- A także to, czego w nich nie będzie.

--Może zdarzyć się tak, że będę musiał wrócić, a nie zdołam się z tobą skontaktować. Potrzebny mi bezpieczny kontakt w pobliżu Nowego Sewastopola. Ludzie, u których mógłbym się pojawić.

Ojciec popatrzył na mnie uważnie.

--Musielibyśmy naruszyć naszą legendę.

--Nie masz kogoś, kogo możesz być pewien? Tym bardziej teraz, gdy z Dariany Dark spadła pozłota?

Ojciec zamyślił się głęboko i podał mi trzy nazwiska.

Jak się okazało, wstąpienie do 1. Ochotniczej Dywizji Nowosewastopolskiej Mobilizacji Narodowej nie było trudne. Zapisywano wszystkich, jak leci i nikt nie myślał o skanowaniu tęczęwek. Mój lekko podrasowany imperialny chip nie zawiódł i Aleksander Siergiejew, Rosjanin, prawosławny, po przeszkoleniu bojowym, nie zdążył nawet mrugnąć okiem, gdy znalazł się na czele drużyny.

Znowu drużyna, uśmiechnąłem się do siebie pod nosem. Cofamy się w rozwoju, panie podporuczniku. Znowu masz tylko drużynę...

W 1. Ochotniczej panował duch równouprawnienia -- kobiety i mężczyźni stali w jednym szeregu. Widziałem, że coś takiego było szeroko praktykowane w brygadach międzynarodowych, ale pod swoją komendą taką drużynę miałem po raz pierwszy.

Sześciu chłopców i cztery dziewczęta. Bardzo młodzi, po piętnaście, szesnaście lat. W porównaniu z nimi wyglądałem jak weteran powstania w Utrechcie. Wszyscy należeli do młodych internacjonalistów, umieli maszerować i wykonywać proste komendy, nieźle strzelali z 93-k -- i nic poza tym.

Mundurów nie dostaliśmy. Moja drużyna ubrana była przeważnie w spodnie bojówki, kurtki szturmówki oraz buty turystyczne. Broń rozdawano prosto ze skrzynek, na naboje dzieciaki podstawiały, co kto miał -- nierzadko czapki z daszkiem -- a potem rozkładały amunicję po kieszeniach.

--I to wszystko? -- oburzała się głośno czarnulka, która jako jedyna miała jeszcze warkocz, reszta dziewcząt ostrzygła się na jeża. -- Trzydzieści nabojów? To jak my mamy walczyć, towarzyszu starszy sierżancie?

„Towarzysz starszy sierżant” to niby ja. Na rękawie miałem pospiesznie przymocowane belki, nawet nie przyszyte, lecz przyklejone.

--Nie denerwuj się, Romanowa, to tylko na początek. Później nam jeszcze sypną.

--Dobrze by było, bo granatów dali tylko dwa, a w dodatku jeden sygnałowy -- gorączkowała się dziewczyna.

Zapakowali nas do starych imperialnych kondorów -- czterosilnikowych, wojskowo-transportowych gigantów. Nawet nie wiedziałem, że są na Nowym Krymie. A może pani Dark ściągnęła je tu niedawno? Władysybirsk nadal pozostawał w rękach Federacji i chyba imperialni nie zdążyli rozwinąć lotnictwa -- w przeciwnym razie Dariana nie zaryzykowałaby przerzucania żołnierzy tymi latającymi hipopotamami. Jedna rakietka w silniki i byłoby po nas...

Przedział kondora zapchany był ludźmi. Jedni siedzieli, inni leżeli -- gdybyśmy wpadli w turbulencje, połamałoby im kości i trafiliby do szpitala przed walką. Droga dłużyła się strasznie. Oficerowie kadrowi tworzyli plutony według wieku i moja drużyna wraz z dwiema innymi stanowiła coś w rodzaju „przedszkola”. Komenderowała nim imponująca dama, która żywo przypominała mi niezapomnianą panią psycholog, kapitan von Schulze.

Anna Leonardowna Bechteriowa natychmiast zażądała, żeby zwracać się do niej nie inaczej jak „towarzyszu poruczniku” -- na dwóch starodawnych patkach, które miały zapewne

symbolizować pagony, czarnym żelowym długopisem starannie narysowano po dwie gwiazdki. Przed mobilizacją pani Bechteriowa należała do 6. Brygady Międzynarodowej jako sympatyk i nawet chodziła na zebrania (o czym nie omieszkala nas z dumą poinformować). To właśnie dało jej prawo do stopnia porucznika.

Dwoje innych dowódców drużyn pasowało do niej jak ulał: nerwowy, dwudziestoletni student Michail i Rimma, dziewczyna o męskiej twarzy, nieładna i przysadzista, mniej więcej w moim wieku. Ona również miała jakiś związek z brygadami, dopóki nie odeszła z nich i nie otworzyła własnego biznesu -- szkoły speleologii, wspinaczki górskiej i nurkowania. Nie wiedziałem, jak można to wszystko połączyć, ale widocznie się udawało, sądząc ze środków, jakie biedaczka wydawała na operacje plastyczne (niestety, zupełnie niepotrzebnie), szkoła podwodnych badaczy jaskiń prosperowała całkiem nieźle.

Jak się dowiedzieliśmy od pani porucznik, z odsieczą wyruszyły „świeże dywizje kadrowe z innych planet”, więc jedyne, co musieliśmy zrobić, to utrzymać się jedną dobę.

Osiem godzin do Władysybirsk. Zdrętwiałe mięśnie i senność. Niektórzy z moich dzieciaków otwarcie, po dziecięcemu tarli oczy, gdy kondor zadarł wreszcie ogon, otwierając szerokie wyjście. Noc, szczególnie krótka, gdy lecisz ku słońcu, zdążyła się już skończyć, witał nas ciepły ranek i długa kolumna ciężarówek. Panował tu charakterystyczny dla punktu przeładunkowego zamęt, więc nie dostaliśmy nic ciepłego do jedzenia i musieliśmy zadowolić się skąpymi suchymi racjami i zabranymi z domów kanapkami (jeśli ktoś miał z czym zrobić sobie te kanapki). Zamiast naboju otrzymaliśmy obietnicę, że wydadzą je nam „bliżej frontu”.

Zasłaniając połowę fasady lotniska we Władysybirsku, falował na wietrze słabo naciągnięty portret Dariany Dark (w skali jeden do jednego), wyciągającej w górę rękę z jakimś kanciastym pistoletem.

--Ustawiać się! Ustawiać się! -- pokrzykiwała nasza plutonowa, krzątając się niczym przedszkolanka.

Z trudem stłumiłem chęć wydania rozkazu ustawienia się tak, jak było to przyjęte w wojsku imperialnym.

Moje obawy potwierdziły się niemal od razu -- brygady międzynarodowe nie mogły się obejść bez patriotycznego mityngu.

Wszystkie te dźwięczne przemowy puszczałem mimo uszu, ale moje biedne dzieciaki słuchały z płonącymi oczami. A gdy -- jakżeby inaczej! -- zagrzmiała *Święta wojna*, stanęli na baczność, stukając swoimi turystycznymi obcasami jak imperatorska gwardia na placu apelowym.

A potem były ciężarówki, niekończąca się szosa i trzęsionka na polnych drogach... Gdy samochody wreszcie stanęły i zmęczone dzieciaki wyszły z przyczepy, zapadła noc.

Wyładowali nas w lesie obok niewielkiej, teraz pustej farmy. Płonęły ogniska, jakby nikt nie bał się powietrznych zwiadowców. No tak, skoro długa kolumna ciężarówek dotarła na miejsce bez przygód, to widocznie imperialni nie zdążyli się jeszcze rozkręcić.

Z samochodów zrzucano „narzędzia szańcowe” czyli mówiąc po prostu, łopaty, na poboczu rosła piramida skrzynek z nabojami. Nasza plutonowa gdzieś znikła, miałem nadzieję, że siedziała nad mapami -- na przenośne systemy nawigacyjne nie było co liczyć. Znaleźliśmy się w leśnej głuszy, nie mając bladego pojęcia, co właściwie mamy tu robić, prócz sakramentalnego stania murem.

Moje dzieciaki, które zdążyły już wykończyć zabraną z domu wałówkę, popatrywały na siebie smętnie. Pozostali dowódcy drużyn, czyli Michail i Rimma, wyglądali nie lepiej, aż w końcu nie wytrzymałem.

--Nad czym się tu zastanawiać? Trzeba zamknąć drogę. Nie warto zajmować farmy, to punkt orientacyjny i tam uderzą przede wszystkim. Pójdą drogą, natkną się na opór, wezwą lotnictwo wsparcia bezpośredniego albo uderzą artylerią raketową dalekiego zasięgu, a jeśli uda nam się przetrzymać pierwszy atak, zrzucą desant na naszych tyłach. Musimy się okopać. I przydałaby się chociaż jedna radiostacja na pluton...

--Marzenia, starszy sierżancie! -- rozległ się za moimi plecami rozdrażniony głos. -- Radiostacji nie będzie.

--A mapy? To chociaż mapy, towarzyszu poruczniku! -- podtrzymałem grę.

--Mapy obiecali, będą nad ranem. Na razie trzeba kopać. Dostaliśmy informację ze sztabu, że ataku należy się spodziewać przed świtem. To wszystko.

--Jakie siły? Czołgi? Ile?

--Za dużo chciałbyś wiedzieć, sierżancie. Nic nie mówią. Tylko jedno: mamy się trzymać. Do planety zmierzają dwie brygady, mają wylądować jeszcze dzisiaj, więc...

--Przerzucenie tu pełnokrwistej brygady z ciężkim uzbrojeniem zajmie co najmniej siedemdziesiąt dwie godziny.

Plutonowa popatrzyła na mnie podejrzliwie.

--Gdzieś ty się tego wszystkiego nauczył, co, Sasza? W wojsku służyłeś czy co?

--Książki czytałem.

--Książki czytałeś... Dobrze, bierzcie łopaty i zaczynajcie kopać. Zgodnie z wytycznymi, okopy mają bieć w poprzek drogi i dalej w las.

--A broń? Nie mamy ani jednego cekaemu, ani granatnika, jeśli nie liczyć nasadkowych...

--Mnie pytasz, Sasza? Nie ma. Nic nie ma. Obiecali saperów z minami... jeśli zdążą.

--Jasne. -- Twarz mi stężała. Mieliśmy walczyć przeciwko armii końca XXII wieku z tą samą bronią, z jaką walczyli nasi pradziadowie w czterdziestym pierwszym roku w XX wieku. Ani indywidualnych pancerzy, ani celowników na helmach, ani osobistych systemów nawigacyjnych. Nie mieliśmy kompletnie nic. Nawet kombinezonów ochronnych. Steiery Dariana Dark trzymała dla kadrowych dywizji Federacji albo zaufanych ludzi. Zerknąłem na swój 93-kurtz -- powiedzieć, że był używany, oznaczałoby powiedzieć o wiele za mało. Na lufie nie zostało śladu po chromowaniu i wszystko, co mogło się poluzować, zrobiło to dawno temu.

--To co, idziemy? -- Student Misza trącił mnie. -- Trzeba kopać...

--Kopać zawsze zdążymy -- warknąłem przez zęby. -- Przede wszystkim musimy wygonić żaby z karabinów. Są chociaż skalibrowane?

--Pojęcia nie mam -- wyznał mój rozmówca. -- Rozdali i to wszystko.

--Rozdali... Pierwsza drużyna! Na moją komendę broń do przeglądu!

Oczywiście nie wiedzieli, co to znaczy „broń do przeglądu”. Wyjaśnianie zagadnienia i sam przegląd trochę potrwał, ale gdy dołączyliśmy do kopiących doły ochotników, miałem przynajmniej pewność, że karabiny moich dzieciaków wystrzelą po naciśnięciu spustu.

To szaleństwo, powtarzałem sobie. Jesteśmy niczym grenadierzy Piotra I pod Połtawą, którzy nagle spostrzegli, że sunie na nich grupa pancerna Hefnera. Kula z 93-k przebije standardowy pancerz imperialny wyłącznie z bliskiej odległości i pod kątem dziewięćdziesięciu

stopni. Potrzebne są naboje rtęciowe, ale skąd je wziąć?... W dodatku mamy bronić (rzecz jasna, do ostatniego człowieka i naboju) jakiejś nieznanej linii w lesie. Dlaczego właśnie tutaj? Czy za nami są jakieś obiekty strategiczne? Dlaczego nie pozwolą nam „osiodłać” grzbietów pobliskich wzgórz?

Nasza pozycja biegła brzegiem lasu, wzdłuż pól należących do opuszczonej farmy, nurkowała w półkilometrową lukę pomiędzy farmą a drogą, przecinała drogę, biegła jeszcze pięćset metrów wzdłuż zarośniętego rowu i urywała się przy brzegu niewielkiego strumienia. Najwyżej dwa kilometry -- niezbyt dużo jak na pułk, gdyby tylko był to normalny pułk z niezbędnym wyposażeniem: artyleria, zestawy raketowe, indywidualne środki przeciwpancerne, przenośne zestawy obrony przeciwlotniczej, łączność i tak dalej, i temu podobne, nie mówiąc już o noktowizorach. Gdy można eszelonować w głąb punkty oporowe, gdy na froncie w bezpośredniej styczności z przeciwnikiem są dwa bataliony, a trzeci w głębi, gotowy udzielić wsparcia w razie potrzeby, gdy stworzono mapy bojowe, gdy artyleria i lotnictwo wojskowe zgodnie współdziałają, a jeszcze dalej, na tyłach obrony, zorganizowano odwody dywizjonowe, korpusowe i armijne, za którymi widnieją kontury potężnej rezerwy bojowej wydzielonej przez front -- wtedy można walczyć. Można wgrzyźć się zębami w jakieś bezimienne wzgórze i przemienić je w niezdobytą twierdzę.

Ale jak to, pożał się Boże, dowództwo wyobrażało sobie walkę tutaj? Gdy pospiesznie zmobilizowani, byle jak uzbrojeni ochotnicy ryją okopy, gdy odwodów się nie przewiduje, wrogie lotnictwo jest tuż-tuż, a my nie mamy ani jednego PZRK?

Tępe łopaty z trudem wbijały się w twardą, przerośniętą siatką korzeni leśną glebę, doły powstawały zbyt wolno. Nie ma nawet co myśleć o stworzeniu prawdziwych okopów o pełnym profilu, dobrze będzie, jeśli starczy nam czasu na płytkie rowy...

Moja cierpliwość wyczerpała się dość szybko. Nie zatrzymamy tu oddziałów karnych, nie utoczemy im krwi. Po prostu zginiemy bez sensu, zanim transportery opancerzone z białymi krzyżami na bokach i krwistoczerwonymi emblematami dywizji ochronnych dotrą do naszych umocnień. Zetrą nas na proszek bombami kasetowymi, a las zasypią pociskami termobarycznymi, tworząc lądowisko. Jeśli nawet zwykłe okopy jako tako ochronią nas przed zwykłymi bombami i pociskami, to rozpalona fala bez trudu wciśnie się do wszystkich niehermetycznych kryjówek i schronów, przemieniając nas w gorący popiół. Nie zdążymy się nawet pomodlić.

--Towarzyszu poruczniku, proszę o pozwolenie!...

--Co tam, Sasza? Wykopaliście już wszystko?

--Nie. Chciałem powiedzieć, że rozwałkują nas tutaj jak naleśnik. Przecież nawet nie przydzielono nam odwodów!

--Cóż to, będziesz dyskutował z dowództwem pułku? -- Plutonowa podparła się pod boki.

--Jeśli nie robi tego nikt inny, to tak.

--Daj spokój... Imperialni jeszcze nie rozwinęli lotnictwa. Tacy są pewni siebie, że nie daj Boże. Pędzą tu wszystkimi drogami, artyleria została z tyłu... No, dość tego dobrego! Marsz do swojej drużyny, sierżancie!

--Tylko nie zapomnijcie, towarzyszu poruczniku, wydać rozkazu „naprzód!”, gdy przeleci bezzałogowy zwiadowca. W przeciwnym razie nie zdążymy wyjść spod obłoku.

--Skąd tutaj obłok? Masz na myśli te ich bomby próżniowe? To przecież duży kaliber, a

tego jeszcze nie zorganizowali...

Błogosławieni, którzy wierzą! -- pomyślałem, salutując i wykonując daną samemu sobie komendę: „W tył zwrot!” Miałem tylko jedno wyjście -- odsunąć swoją drużynę, żeby nie znalazła się na linii ognia. Nie rozwinęli lotnictwa, rzeczywiście. Po co im lotnictwo, wystarczą zwykle bezpilotowe szerszenie, których jest pod dostatkiem we wszystkich imperialnych oddziałach zwiadowczych. Resztę załatwi jeden jedyny pocisk dużego kalibru puszczone z bezpiecznych tyłów wojsk imperialnych...

Nadeszła kolejna noc. Jeszcze niedawno myślałem, że faktycznie trzeba się okopać, ale po tym, jak przywieziono ochotnikom amunicję, zapominając o jedzeniu, szlag mnie trafił. Dobrze chociaż, że na prawej flance płynął strumień i manierki bojowników nie były puste...

Wróciłem do swoich. Nikt nie spał. Niedobrze. Pogoniłem ich do okopów, na szczęście wszyscy mieli śpiwory. Nie powinni się tak zadręczać przed pierwszą walką, ale oczywiście dręczyli się, przeżywali i siedzieli, obejmując kolana dłońmi i wpatrując się w gwiazdy, ledwie widoczne między koronami drzew. Przecież to jeszcze dzieciaki... Przecież oni... -- pomyślałem i przerwałem sam sobie.

--Kładź się, Inga.

--Nie mogę zasnąć, towarzyszu sierżancie.

--Zostaw w spokoju tego towarzysza sierżanta. Możesz mi mówić Aleksander. W domu ktoś został?

--Rodzice, trzy siostry... i najmłodszy braciszek, ma pół roczku... tata strasznie chciał mieć syna...

--Posłuchaj mnie. Jak się to wszystko zacznie, masz leżeć, nie podnosząc głowy i słuchać mnie. Każdy rozkaz wykonujesz od razu, bez zastanowienia, jasne? Wtedy przy odrobinie szczęścia przeżyjemy.

--Tylko nie zapomnijcie wydać rozkazu, towa... Aleksandrze.

--Niech cię o to głowa nie boli. Poza tym pełna czujność i absolutna pewność siebie. W pierwszej walce giną tylko ci, którzy się przestraszą, zaczną się miotać i przez głupotę pchać gdzie nie potrzeba.

Inga uśmiechnęła się blado. Zwykła dziewczyna z Nowego Sewastopola, z krzywo (pewnie z pośpiechu) obciętymi włosami, żeby nie przeszkadzały. Poklepałem ją po ramieniu i wtedy nad drzewami rozbłysła czerwona rakietka (zwykła rakietka sygnałowa, bo nawet tak banalnej rzeczy jak osobiste race nie mieliśmy). Huknęły pierwsze strzały. Ochrona bojowa spełniła swoje zadanie.

Szybko do nas dotarli... I gdzie to ich przygotowanie artyleryjskie?

Nasza pozycja wypadła gdzieś między farmą a drogą, w gęstym poszyciu, które na szczęście zdążyliśmy zrąbać, w przeciwnym razie wyskoczyliby na nas na odległość wyciągniętej ręki. Porośnięte wysokimi sosnami* zбочe zniżało się nieco, widoczność była całkiem dobra, nawet bez noktowizora. Przed nami znowu zagrzmiały strzały, terkot karabinów zagłuszyły basowe trele automatów i po lesie przebiegły czerwone błyski -- tam walnął pocisk zapalający.

A potem rozległ się wzmocniony głościami głos dobiegający, jak nam się zdawało, ze wszystkich stron jednocześnie.

--Dzielni ochotnicy, mieszkańcy Nowego Krymu! Zwraca się do was dowództwo sił imperialnych, które przybyło tu w celu przywrócenia porządku konstytucyjnego i praworządności. Nie stawiajcie oporu Imperialnym Siłom Zbrojnym, wyjdźcie z ukrycia, trzymając broń nad głową i podążajcie w kierunku naszych wojsk, aby wypełnić formalności związane ze zdaniem broni. Wszystkim tym, którzy dobrowolnie zdadzą broń, gwarantujemy nietykalskość osobistą oraz zapewniamy, natychmiast po przywróceniu porządku konstytucyjnego na planecie, bezpłatny transport do miejsca zamieszkania lub też dowolnego innego miejsca. Za chwilę aktywujemy boje sygnałowe oraz świetlne, które pomogą wam dotrzeć do pozycji Imperialnych Sił Zbrojnych. Przerwijcie ten bezmyślny opór, przypomnijcie sobie o tych, którzy niszczą waszą planetę, drwią z waszego języka, kultury i obyczajów! Dlaczego macie za nich umierać? Żeby mogli wygodnie urządzić się w mieszkaniach i domach tych, którzy zginą na froncie? Zaczynamy czekać, ale nasze opanowanie i tolerancja mają swoje granice. Dajemy wam godzinę. Po upływie tego czasu Imperialne Siły Zbrojne zrobią wszystko, żeby przywrócić spokój na całej przestrzeni planety Nowy Krym...

Informacja zaczęła się powtarzać. Daleko przed nami, na ciemnej równinie pomiędzy drzewami, coś zamigotało jak stroboskop. Pewnie zapowiedziane boje.

--Ech, przydałoby się w to łupnąć! -- syknął ktoś z mojej drużyny.

Rzecz jasna, nikt się nie wychylał.

Podarowana przez imperialnych godzina ciągnęła się bez końca, od czasu do czasu urozmaicana powtórką wezwania do poddania się.

Patrzyłem na moje dzieciaki. Twarze skupione i spokojne, jeśli nawet ktoś się bał (a prawie wszyscy), to znalazł w sobie dość sił, żeby to ukryć. Rozumiałem, jak męczy ich ta bezczynność, widziałem, że wszyscy chcą już tylko jednego -- wiedzieć, co mają zrobić.

Godzina minęła. Boje zgasły, umilkł głos wzywający do poddania się.

I od razu rozległo się znajome „szrr-trr, szrr-trr”. Szerszeń przeleciał tuż nad wierzchołkami sosen.

--Drużyna! Za mną, naprzód!

Wykonali rozkaz natychmiast, nikt nie pytał: „A dlaczego? A po co?” Patrząc na mnie, niepewnie wstawały w okopach dzieciaki z innych drużyn. Ich dowódcy byli zdolni jedynie do gapienia się na mnie z otwartymi ustami.

--Naprzód, idioci! Przeszedł szerszeń! Zaraz tu będzie piekło! -- wrzasnąłem, w biegu licząc sekundy. Sygnał ze zwiadowcy na pewno już został opracowany przez automatyczny system sterowania atakującej awangardy, cele rozpoznano i sklasyfikowano, wydano sugestie zastosowania wielolufowego igela, kaliber 28. Azymut... odległość... kąt wzniesienia... Typ ładunku: termobaryczny, typ ognia: pojedynczy w trybie automatycznym, odstęp między

strzałami...

Gałęzie smagały mnie po twarzy. W dół, w dół, po zboczu, jak najszybciej w dół, igel będzie pewnie walil z zapasem, żeby nie zahaczyć swoich (nie dziwnego, w końcu to spora odległość, co najmniej dwadzieścia kilometrów za przednimi oddziałami), pociski spadną z niewielkim przelotem, co nie jest charakterystyczne dla tego typu amunicji. Jeśli na przykład helikopter znajdzie się w odległości mniejszej niż tysiąc dwieście metrów od epicentrum wybuchu półtonowej bomby termobarycznej, będzie to dla niego oznaczało śmiertelne niebezpieczeństwo, a więc musimy biec, biec, biec co sił, żeby wyjść ze strefy zagrożenia.

Biegliśmy. Zauważyłem, że za moją drużyną runął cały pluton, nie czekając na żadne rozkazy. Zdaje się, że to samo zrobili nasi sąsiedzi z prawej i lewej strony.

Tracąc oddech, przewracając się i rozrywając szturmówki oraz własną skórę o wystające gałęzie, biegliśmy przed siebie, tam, gdzie podejrzanie szybko milkła niedawno rozpoczęta strzelanina.

No tak, igel nie wystrzelił od razu. Może nawet miną dwie minuty, nim strzelający oficer w samochodzie sztabowym, po otrzymaniu potwierdzenia na rozchodowanie amunicji, naciśnie klawisz „pal!”

Chyba nikt z mojej drużyny jeszcze nigdy nie biegł tak szybko. Kilometr wybojów pokonaliśmy w tempie sprinterów biegnących na stumetrówkę po idealnie równym podłożu stadionu.

Imperialni dali nam równo dwie minuty -- nędzne sto dwadzieścia sekund, a potem za naszymi plecami wybuchł ogień.

Pocisk o średnicy dwudziestu ośmiu centymetrów i wadze ośmiuset kilogramów ze świstem przeleciał nad wierzchołkami drzew. Silnik już zrobił swoje i śmiertelny kawał metalu płynnie opadał na małym spadochronie, wyglądając jak duża zabawka. Oczywiście nie widziałem tego, ale zbyt dobrze pamiętałem, czego uczyli nas w Tannenbergu. Zaraz zadziała wysokościomierz, stary, sprawdzony układ, prawie dwustuletni, i za naszymi plecami...

Za naszymi plecami rozległ się wybuch. Pomiedzy pniami zrobiło się jasno jak w dzień. Huk i trzask, od którego ogłuchłem, pchnięcie w plecy, po którym poleciałem do przodu, ledwie zdążając osłonić głowę.

Pocisk spadł na odległą lewą flankę i wołałem nie myśleć, co stało się z naszymi, którzy nie zdążyli wyjść z tej strefy.

Tak, tak, zasada pocisków pozostała niemal niezmienną od lat, ale zawartość... zawartość zmieniła się bardzo. Te pociski siały śmierć i zniszczenie w promieniu pięciuset metrów.

Minęło dwadzieścia sekund i huknął nowy strzał, tym razem nieco bliżej. Nieznani mi imperialni artylerzyści nieco przesunęli azymut i pocisk wałnął bardziej w prawo, przesuwając się ku środkowi naszych pozycji.

--Naprzód! Biegiem naprzód!

Widziałem, jak ludzie wstawali z ziemi -- wolno, zbyt wolno!...

A gdy zmobilizowani instynktem samozachowawczym znowu zaczęliśmy biec, gdy drużyny i plutony pomieszały się ostatecznie, z tyłu rąbnął trzeci wybuch. Żołnierze Imperium metodycznie i precyzyjnie zrzucali pociski wzdłuż naszych okopów ciągnących się przez las, a my, tracąc dech, niemal padając ze zmęczenia, znaleźliśmy się daleko z przodu ostrzeliwanej

pozycji. Przez zarośla zamigotał ogień, tam już była droga i trafiony militäre schützenpanzerwagen, który zjechał do rowu. Nad poczerniałą maską leniwie wznosiły się tłuste języki płomienia.

Gdzieś w ciemności rozległ się suchy trzask wystrzału, niemal zagłuszony trzecim wybuchem. Ktoś krzyknął i w chwilę później ciemność przed nami zaterkotała. Zobaczyliśmy szybkie błyski strzałów i nad naszymi głowami wybuchły dwudziestomilimetrowe pociski steierów. Przed nami, w mroku na drodze zamajaczyły masywne cielska transporterów opancerzonych; stamtąd też zaczęto nas polewać ołowiem.

Powinniśmy leżeć plackiem, wezwać wsparcie albo przynajmniej oczyścić drogę przed nami, używając rakiet, ale żadna z tych ewentualności nie wchodziła w rachubę. Nasze granaty można było policzyć na palcach jednej ręki.

Bywa, że żołnierz biegnie prosto na siekące z bliska cekaemy, nie bojąc się ani śmierci, ani w ogóle niczego, wtedy powstrzymać go może jedynie rozerwanie na kawałki. Chyba 1. Ochotnicza osiągnęła już to poczucie nieśmiertelności, bo moje dzieciaki pobiegły prosto pod kule.

Oddziały karne nie odeszły zbyt daleko. Ktoś z naszej straży przedniej poświęcił granat, po czym imperialni cofnęli się i wezwali wsparcie artylerii. Las za nami przeciął szeroki pas ognia. Nadal wybuchaly tam ciężkie pociski raketowe, przewracały się drzewa, płonęła ziemia i trawa, płonęło wszystko i ochotnikom pozostawało już tylko jedno -- pobiec na oślep do przodu i skoczyć do gardel imperialnym żołnierzom.

Wpadliśmy na nich w ciemności oświetlanej jedynie rozbłyskami strzałów. Oddziały pacyfikacyjne w swoim zadufaniu wcale się nie okopały, niektórzy nawet się nie położyli, jednak nikt nie zlekceważył pancerza, a kule 93-k przebijały go niechętnie...

Naszym atutem było zaskoczenie. Gdyby zamiast oddziałów karnych stał tu wyszkolony oddział regularnych wojsk imperialnych, powitałaby nas zwarta ściana ognia -- żołnierze nie niżyliby się do walki wręcz. Oddziały karne zaś dały się zaskoczyć i zaczęła się chaotyczna bijatyka.

Współczesna wojna nie dopuszcza zaistnienia takiej sytuacji. Przeciwnika powinien zlikwidować na długo przed tym, nim on sam zdoła wyrządzić ci jakąkolwiek krzywdę. Systemy sterowania, systemy nawigacyjne, chipy komputerowe w hełmach imperialnych żołnierzy, zmieniające dywizję w jednolitą, podporządkowaną jednej woli istotę, wspaniała artyleria i lotnictwo -- wszystko to powinno, a nawet miało obowiązek zetrzeć nas na proszek, zanim tu dotarliśmy.

Ale na skupionych w bezbronne stado maszynach nie było wizerunku słonia z podniesioną trąbą (emblem 502. Samodzielnego Batalionu Ciężkich Czolgów Szturmowych), nie było liścia dębu (znak 1. Dywizji Pancerniej) czy biegnącego charta -- symbolu zdobiącego sprzęt 16. Zmotoryzowanej. Na bokach wozów widniało coś na kształt drutu kolczastego z zadartymi w górę i skrzyconymi w bok ostrymi końcami.

Dwieście trzecia Dywizja Ochronna. Jej prarodzicielka nie zdążyła się jakoś szczególnie wyróżnić -- stworzona w styczniu 1942 roku z 203. Brygady Ochronnej, w roku 1944 stała się pełnoprawną dywizją piechoty, ale tak naprawdę zaistniała dopiero w czasie drugiej obrony Warszawy i powstania w Żłobinie. To jej żołnierze szli za pierwszymi eszelonami Rzeszy, nie tyle niszcząc ostatnie gniazda oporu, co skrupulatnie wyciągając z piwnic i schronów

wszystkich tych, którym udało się przeżyć. Kto nie chciał lub nie mógł iść -- zostawał rozstrzelany na miejscu. Jak się zresztą później okazało, był to czyn głęboko humanitarny -- cała reszta jeńców została surowcem nielicznych eksperymentów genetycznych (sławetne próby stworzenia *homo super*), odpadki zaś tychże doświadczeń sprzedawano Obcym do ich własnych eksperymentów.

Obok wozów stał również transporter z emblematem, który nieco mnie zdumiał. Znałem na pamięć wszystkie znaki rozpoznawcze dywizji armii imperialnej, ale to było coś nowego.

Legion Aryjski. Ochotnicza dywizja „wiecznie wczorajszych”. A więc informacje podawane w sieciach nie kłamały, więc jednak ją sformowano... Duma i Pamięć, razem ze Związkiem Wygnańców to najprawdziwsi naziści, przekonani, że Adolf Hitler był wielkim człowiekiem, a idee Trzeciej Rzeszy powinny zostać zrealizowane w Czwartej. Niestety, opinia publiczna Wewnętrznych Planet wcale nie uważała ich za odrażające bestie...

A teraz oni, przyzwyczajeni do wyciągania z piwnic oszalałych z przerażenia ludzi, sami wyglądali na wstrząśniętych. Strzeliłem z biodra prosto w ciemną osłonę hełmu -- żołnierz, który stanął przede mną, zachwiał się i upadł, a ja już odwracałam się do drugiego, wiedząc, że zabijam nie tych, z którymi dzieliłem imperialny chleb, lecz doborowe drapieżniki, żywiące się ludzkim mięsem. O tak, oni również nie byli niczemu winni, takimi ich stworzono -- ale czasem trzeba po prostu strzelić, żeby dziki zwierz nie rozerwał cię na strzępy. Więc strzelaliśmy.

Ciało robiło błyskawiczne zwroty, oczy łowiły najmniejszy ruch i już nie musiałem wyobrażać sobie, jak niegdyś na Sylwanii, że moi przeciwnicy to nieczule manekiny -- chociaż ci wrogowie przypominali manekiny znacznie bardziej niż tamte dzieciaki w szturmówkach, takie same jak te, które walczyły teraz ze mną ramię w ramię.

Przede mną staje kolejna bezosobowa postać w hełmie ze steierem w rękach. Wokół górnej lufy pojawia się wianuszek płomieni, ale dwudziestomilimetrowy pocisk przechodzi obok mnie, więc bez zastanowienia walę żołnierza kolbą w pociemniałą osłonę hełmu.

Obok mnie znalazła się jakaś dziewczynka; z wprawą przystawia lufę do szyi leżącego teraz żołnierza i naciska spust. Jej chudziutkim, dziecięcym ciałem wstrząsa odrzut. Spod imperialnego hełmu lecą krwawe bryzgi, żołnierz nie zdąża nawet krzyknąć. Łapię jego steiera, biorę na cel kolejną postać i kula rozrywa fragment pancerza na piersi. Widzę, jak chłopak z sąsiedniej drużyny skacze na plecy żołnierzowi, który nie zdążył się odwrócić i jak zostaje dosłownie zmieciony kulą, która trafiła go w bok.

Noc roztrzaskała się na kawałki niczym wielka ciemna waza, w którą uderzyły setki maleńkich młotków bajkowych krasnali. Z mroku wylaniają się nowi ludzie w szturmówkach, zaczynają walczyć z żołnierzami i w pewnym momencie, jak zawsze nieoczekiwanie, dzika, chaotyczna walka dobiega końca. Ocaleli żołnierze Imperium uciekają, wozy ryczą silnikami, ale nie udaje im się przedrzeć przez leśny gąszcz. Wszędzie leżą ciała: nasi z Nowego Krymu i imperialni. Ochotnicy wprawdzie nie mają ciężkiej broni, ale z lekkimi pancerzami wozów nawet granat nasadkowy świetnie by sobie poradził. Maszyny wiedziały o tym i wycofywały się w mrok, ostrzeliwując się krótkimi seriami. Cztery pierwsze nie zdążyły odejść i teraz, postrzelone jednocześnie sześcioma kulami, dymiły leniwie. Języki płomieni ledwie przezierały przez tłusty, gęsty dym.

Dopiero teraz, jakby wychodząc z otępienia, zaczęły krzyczeć ranni -- nasi i imperialni. Ryk wozów milkł w oddali, imperialni nawet nie próbowali odbić swoich.

--Drużyna! -- warknąłem. Musieliśmy się stąd szybko wynieść, zabierając broń zabitym i rannym. Za nami ciągnął się szeroki pas pożaru, już wkrótce z przytulnej farmy zostanie tylko popiół.

Niedobrze. Należałoby gonić odepchniętych żołnierzy, którzy teraz stanowili najlepszą ochronę przed ich własną artylerią, ale gdzie tam!

Jakoś udało mi się zebrać moich ludzi. Z dziesięciorga zostało siedmioro. Zabieraliśmy swoich zabitych i rannych, z ciał imperialnych żołnierzy zdzieraliśmy wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z bronią.

--Pozwól... -- Nachyliłem się nad Ingą, która bez powodzenia próbowała rozpiąć skomplikowany zamek pancernego napierśnika. Zamek szczęknął, pomięty kirys otworzył się niczym muszla. Wnętrze ociekało krwią, widocznie temu żołnierzowi przystawiono lufę do piersi. -- To nic, trzeba się przemóc... Uwierz mi, ten pancerz jest znacznie lepszy niż szturmówka.

Biedna Inga kiwnęła słabo głową. Tak, dziewczyno, dziś po raz pierwszy zdarzyło ci się zabić człowieka. I chociaż ten człowiek był lajdakiem, zawsze pozostawała nadzieja, że...

Nie, przerwałem sam sobie. Nie. Od dawna nie było żadnej nadziei. Żołnierze z oddziałów karnych nie zmieniają się i nie zaczną żałować popełnionych przestępstw. Należało ich po prostu jak najszybciej powstrzymać ogniem i mieczem.

--Drużyna! Ruszać się, idziemy! -- krzyknąłem. Moja siódemka z trudem włożyła zdobyczne pancerze; chcąc nie chcąc, musiałem zademonstrować umiejętność posługiwania się czymś takim. Te tutaj od pancerzy wojsk regularnych różniły się jedynie kameleonowym ubarwieniem upodabniającym się zarówno do ruin domu, jak i leśnego gąszczu. -- Zabrać amunicję. Sprawdziliście kieszenie przy zdejmowaniu pancerzy?

Nie mieliśmy już czego bronić. Resztki naszego pułku wycofywały się, omijając szalejący pożar. Żadnych rozkazów, wyłącznie instynkt samozachowawczy. Rozkaz dotarł do nas znacznie później, gdy płonąca przesieka została daleko za nami i weszliśmy na wzgórze, które od początku wydawało mi się idealnym miejscem do obrony. Chociaż, z drugiej strony... gdy w twoją stronę lecą dwudziestoośmiocentymetrowe pociski termobaryczne, żadna pozycja nie jest dobra.

Rozkaz, który do nas dotarł, brzmiał: wycofać się do Władysybirsk. Wytrzymaliśmy pierwsze uderzenie i nawet odepchnęliśmy oddziały karne, ale odbici w dwóch miejscach imperialni przedarli się w pięciu innych. Pierwsza Dywizja Ochotnicza znalazła się w półokrążeniu.

Udało nam się rozlokować w ocalałych ciężarówkach. Z ust do ust przekazywano czyjąś opowieść, że imperialne oddziały znów atakują -- dobrze wiedzieli, że na prawdziwe prześladowanie nie mamy sił. Siedzieliśmy ściśnięci, próbując przez szum silnika wychwycić złowieszcze „szrr-trr” imperialnego zwiadowcy. Jeśli nas tu zastanie, kolumna samochodów zmieni się w stertę zwęglonego złomu.

Mieliśmy szczęście. Szerszeń wprawdzie przeszedł, ale dopiero rano, gdy docieraliśmy już do Władysybirsk. Ciężka artyleria imperialna została daleko z tyłu, a uderzeniowy beowulf, który dogonił nas na przedmieściach, został starannie zestrzelony przez zdumiewająco profesjonalne stanowisko przeciwlotniczego geparda. Na boku zdążyłem dostrzec emblemat oddziału: pradawna francuska flaga -- trzy pionowe pasy, niebieski, biały, czerwony. Pośrodku,

na białym pasie, widniał krzyż lotaryński. Niegdyś ta flaga należała do Forces Francaises Libres de L'Intérieur", dwa stulecia później przyjęły ją grupy ruchu oporu na francuskich planetach.

Kadrowe dywizje Federacji, jeśli to określenie w ogóle miało tu zastosowanie.

Nasza kolumna wjechała do miasta. Władysybirsk opustoszał, większość mieszkańców najprawdopodobniej została ewakuowana, jednak w niektórych oknach pojawiały się twarze. Ludzie wychylali się z okien, odprowadzając wzrokiem naszą kolumnę, jakiś staruszek krzyknął drżącym głosem: „Hura!”

Nie wjeżdżaliśmy zbyt daleko w głąb miasta. Kolumnę zatrzymano obok niedużego teatru, zarządzono postój i podano zadania.

Rzecz jasna, nasze zadanie brzmiało: obronić miasto lub polec. Wsparcie jest tuż-tuż, jak zapewniał nas elegancik o złotych pagonach z czterema gwiazdkami -- rzekomo kapitan, posługujący się językiem ogólnoimperialnym. Przerzucono tu zaprawione w bojach dywizje „przyjaciół-Francuzów", pierwsze oddziały już przybyły.

Moje dzieciaki słuchały z ponurymi minami -- po starciu z oddziałami karnymi wyraźnie spuściły z tonu. Bronienie miasta, do którego nieprzyjaciel wprowadza pojazdy pancerne bez przygotowania artyleryjskiego oraz wsparcia z powietrza, to sama przyjemność, ale poważnie wątpiłem, czy imperialni będą na tyle mili. Cóż, obecność wojsk ochronnych nasuwała myśl, że zjawili się tu, by „uspokajać", a nie ścierać z powierzchni ziemi całe miasta (co przy obecnych możliwościach technicznych armii imperialnej nie stanowiłoby większego problemu). Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Francuzi (chyba naprawdę nieźle wyszkoleni i uzbrojeni) zdołają zorganizować obronę przeciwlotniczą i skuteczną walkę z artylerią. Ciekawe, czy Federacja miała nowe systemy wykrywania pozycji strzelającej artylerii z wykorzystaniem czujników tektonicznych? Liczyłem, że „krzyż lotaryński" jeszcze pokaże, na co go stać, a imperialni połamią sobie na nim zęby.

--Musimy wytrwać do końca, do ostatniego żołnierza! -- pokrzykiwał kapitan ze złotymi pagonami. -- W ostatnim okresie na pewnych odcinkach nasze wojska pokazały się od nie najlepszej strony; dochodziło do nieusprawiedliwionego, samowolnego opuszczania pozycji. To prawda, że spieszą nam z pomocą rezerwy, ale jeśli nie będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi, mogą nie zdążyć. A teraz odczytam rozkaz naczelnego dowództwa! -- Oficerek aż stanął na palcach z wrażenia. -- Podły i podstępny wróg -- zaczął -- rzuca na front coraz to nowe siły i nie bacząc na straty, prze w głąb Federacji, zajmując nowe rejony, grabiąc i zabijając ludność cywilną. Trwają zaciekle walki pod bramami naszego ostatniego kosmoportu na Szajtanie. Imperialny agresor chce zdobyć kombinaty o znaczeniu strategicznym wraz z ich bogactwami naturalnymi. Wróg zajął Pierwszy, Czwarty, Dziesiąty i Dwudziesty Trzeci Zakład oraz przylegające do nich kopalnie odkrywkowe. Część wojsk z korpusów Franklin i Grant uległa panice i oddała Dziesiąty i Dwudziesty Trzeci Kombinat bez poważniejszego oporu i rozkazu naczelnego dowództwa, okrywając hańbą swoje sztandary...

Słuchałem, nie wierząc własnym uszom. Znacznie zmieniony, ale rozpoznawalny styl słynnego rozkazu 227. z 28 lipca 1942 roku. Co dowództwo chciało dać do zrozumienia ochotnikom z Nowego Krymu, którzy (mimo zakazów Ministerstwa Oświaty) w swoim czasie uczyli się o tym wszystkim na lekcjach historii? Że Federacja goni w piętke, fronty trzeszczą w szwach i potrzebne będą oddziały zaporowe, strzelające w plecy tym, których ogarnie zwątpienie?

Zerknąłem na prawo i lewo -- moja szkółka słuchała rozkazu w osłupieniu. Czym był słynny „227”, wiedzieli nie gorzej niż ja. A oficerek przemawiał dalej, do rozkazu 227. dodając rozkaz 270, o rok wcześniejszy:

--Oczywiście, w naszej armii tchórzzy i panikarzy jest znikoma mniejszość. Nie tylko przyjaciele, ale także wrogowie muszą przyznać, że w wojnie wyzwolenczej z imperialno-faszystowskim agresorem ogromna większość oddziałów Sił Zbrojnych Federacji oraz ich dowódcy zachowują się bez zarzutu, przejawiając nieugięte męstwo. Nawet te oddziały naszej armii, które oderwały się i znalazły w okrążeniu, nie tracą spokoju i hartu ducha, nie poddają się do niewoli, usiłują zadać wrogowi jak największe straty i w końcu wychodzą z okrążenia. Jak powszechnie wiadomo, te oddziały naszej armii, które zostały otoczone, robią wszystko, żeby pokonać wroga i wyrwać się z okrążenia...

Jednak tchórzostwo poszczególnych żołnierzy oraz ich dowódców sprawia, że ludność naszej Federacji, z miłością i szacunkiem traktująca Armię Narodowowyzwoleńczą, rozczarowuje się powoli i przestaje w nią wierzyć. Wielu przeklina własnych żołnierzy za to, że oddają nasze planety w jarzmo imperialnego ciemńcy, a sami uciekają, gdzie oczy poniosą...

Niektórzy żołnierze, chcąc usprawiedliwić swoje haniebne zachowanie na froncie, twierdzą, że możemy nadal wycofywać się z planety na planetę, ponieważ mamy jeszcze duże terytorium, wiele ziem, wielu mieszkańców, a żywności i rud żelaza nigdy nam nie zabraknie. Takie twierdzenia są jednak na wskroś fałszywe i działają na korzyść naszych wrogów...

Federacja nigdy nie miała przewagi nad Imperium ani pod względem rezerw ludzkich, ani też zapasów żywności. Dalsza defensywa, a zwłaszcza oddanie wrogowi planety Nowy Krym, oznaczałaby zgubę dla nas i całej naszej sprawy. Każdy nowy odcinek oddanego terytorium będzie wzmacniał wroga, jednocześnie osłabiając naszą obronę i naszą ojczyznę.

No, dalej, dalej, zachęciłem w duchu prelegenta, odtwarzając w myślach znane fragmenty. Nie zawiodłem się:

--Wynika z tego, że pora zakończyć defensywę. Ani kroku w tył! Tak powinno teraz brzmieć nasze główne hasło. Będziemy bronić każdej pozycji, każdego metra naszego terytorium do ostatniej kropli krwi, będziemy trzymać się każdego kawałka naszej ziemi i osłaniać go do końca. Na razie mamy jeszcze wystarczająco dużo broni, amunicji i żywności. Mamy też wielu dzielnych żołnierzy i doświadczonych dowódców.

Czego nam więc brakuje?

Brakuje nam porządku i dyscypliny w kompaniach, pułkach, dywizjach, w oddziałach pancernych i eskadrach powietrznych. Oto nasz najważniejszy problem! Jeśli chcemy ratować sytuację i obronić swoją ojczyznę, musimy zaprowadzić w naszej armii surowy porządek i żelazną dyscyplinę.

Nie możemy sobie pozwolić na pobłażliwość wobec dowódców, których oddziały i formacje samowolnie porzucają pozycje bojowe. Nie możemy pozwolić, żeby dowódcy dopuszczali do tego, by kilku siejących panikę tchórzzy decydowało o sytuacji na polu bitwy, zmuszając innych żołnierzy do wycofania się i otworzenia frontu wrogowi.

Panikarzy i tchórzzy powinno się likwidować na miejscu.

Od dziś żelaznym prawem dyscypliny dla każdego dowódcy i szeregowca musi być hasło: ani kroku w tył bez rozkazu dowództwa!

Dowódcy kompanii, batalionu, pułku czy dywizji, którzy porzucają pozycję bojową bez

rozkazu, którzy poddadzą się wrogowi, zdzierając dystynkcje albo zdezerterują z pola walki -- są zdrajcami ojczyzny. I z takimi dowódcami i szeregowcami należy postępować jak ze zdrajcami.

Oto odezwa naszej ojczyzny.

Wykonanie tego rozkazu ma służyć obronieniu naszej ziemi, uratowaniu ojczyzny, zniszczeniu i pokonaniu zniechęconego wroga.

Naczelne dowództwo Armii Narodowowyzwoleńczej nakazuje:

Po pierwsze: bezwzględnie wyplenić defensywne nastroje w szeregach i żelazną ręką ucinąć opinie, że możemy i powinniśmy cofać się dalej, ponieważ nie spowoduje to żadnej szkody.

Po drugie: natychmiast zdjąć ze stanowiska i oddać pod sąd połowy dowódców korpusów i dywizji, którzy dopuścili się samowolnego zejścia wojsk z zajmowanych pozycji bez rozkazu dowództwa.

Po trzecie: dowództwo dywizji i korpusów ma bezdyskusyjnie zdejmować ze stanowiska i oddawać do dyspozycji przedstawicieli Kolegium Specjalnego dowódców pułków, batalionów i kompanii, którzy dopuścili do samowolnego zejścia wojsk z zajmowanych pozycji bez rozkazu dowództwa armii, odbierania im odznaczeń i medali z wyroku Kolegium, rozstrzeliwania tchórzki i panikarzy lub, jeśli przedstawiciele Kolegium uznają to za konieczne, kierowania ich do kompanii karnych.

Po czwarte: sformować w każdej dywizji trzy do pięciu dobrze uzbrojonych oddziałów zaporowych (po stu ludzi w każdym), postawić ich bezpośrednio na tyłach pułków i zobowiązać, by w przypadku paniki i bezładnego odwrotu oddziałów pułku rozstrzeliwali panikarzy i tchórzki na miejscu i tym samym pozwolili uczciwym żołnierzom na spełnienie swojego obowiązku wobec ojczyzny.

Po piąte: sformować w każdej dywizji od dwóch do pięciu (w zależności od sytuacji) kompanii karnych (od pięćdziesięciu do stu ludzi w każdej) i kierować do nich szeregowców i dowódców, którzy złamali dyscyplinę z powodu tchórzostwa, po czym postawić ich na najtrudniejszych odcinkach frontu, co umożliwi im odkupienie własną krwią przestępstwa wobec ojczyzny.

Rozkaz należy odczytać w kompaniach, eskadrach, bateriach, drużynach i sztabach.

Oficerek skończył i powoli opuścił kartkę. Ochotnicy milczeli ponuro. Mieszkańcy Nowego Krymu wiedzieli zbyt dobrze, czym jest rozkaz numer 227, zwany również „Ani kroku w tył!” Oddziały zaporowe! Kompanie karne!

--Plutonowi rozdadzą wam listę -- usłyszeliśmy. -- Wszyscy mają podpisać, że rozkaz został wam odczytany i że go zrozumieliście...

Sporo czasu minęło, nim wreszcie wydano obiad -- imperialna samopodgrzewająca się racja oraz, jako dodatek, pięćdziesiąt gramów wódki w plastikowym kubeczku. A potem pogonili nas z powrotem na przedmieścia, zajmować pozycje.

Wieczorem cała moja drużyna padła z nóg. Nikt nie miał siły na dyskusję o irracjonalnych rozkazach i perspektywie śmierci od kul własnych tajniaków. Cała siódemka usnęła od razu w porzuconym domu, którego okna wychodziły na wschód.

Nie mogłem zasnąć. Jaki był sens bronięcia miasta, którego, zgodnie ze wszystkimi zasadami sztuki wojennej, nie należało szturmować, lecz obejść i otoczyć? A może bez naszej

wiedzy obsadzono nas w roli nowożytnych „obrońców Leningradu”?...

Przysięgam, że szczerze by mnie ucieszyła obecność choćby pułku przesiedleńców z Borgia. Nie mogłem pozbyć się uczucia, że wysłano nas tutaj na ubój. Polegniemy tu wszyscy, nawet oddziały zaporowe nie zdążą dać drapaka.

Noc minęła spokojnie. Imperialni nie spieszyli się i Władysybirsk w pełni wykorzystał podarowany czas. Wreszcie dostarczono nam broń, a dziewczyny z mojego oddziału patrzyły na powtarzalny granatnik z takim zachwytem, jakby to był pierścionek z brylantem.

Spero zdążyliśmy zrobić: wznieść barykady z betonowych bloków, obłożyć okna nieśmiertelnymi workami z piaskiem... Zarekwirowane koparki kopaly rowy przeciwczołgowe. Mogłoby się wydawać, że imperialni popełniają niewybaczalny błąd, nie próbując zaatakować miasta od razu. Na niebie widać było kilka patrolujących przestrzeń myśliwców -- Federacja całkiem nieźle przygotowała się do odparcia ataku. Widziałem nawet dwa czołgi szturmowe (z emblematami Wolnej Francji na pancerzach) zajmujące pozycje w schronach po obu stronach szerokiej drogi, która, wchodząc do miasta, zmieniała się w prospekt. Władysybirsk budowano z rozmachem i przestrzeni tu nie brakowało.

Czekaliśmy. Moje dzieciaki pospiesznie oswajały się ze zdobycznymi pancerzami. Pokazywałem im, jak działa łączność, nawigacja, celowanie, jak należy używać celownika na helmie i tak dalej. Z każdą chwilą oczy moich podwładnych coraz bardziej rozszerzały się ze zdumienia.

--Towarzyszu sierżancie... -- odważyła się w końcu Inga. -- Skąd pan to wszystko wie?

--Bywało się tu i ówdzie. -- Zrobiłem unik.

--W armii imperialnej również? -- zapytał żartobliwie jasnowłosa chłopaczek, Kostia.

--Tam nie byłem. -- Pokręciłem głową. Nie lubię kłamać, ale tutaj bez kłamstwa się nie obeszło. -- Ale studiowałem niektóre zagadnienia.

--Towarzyszu sierżancie -- nie poddawał się Kostia -- jak to się stało, że nie trafiliście na Szajtan? Przecież wysłano tam wszystkich najlepszych!

--Towarzyszu szeregowy! Mniej wiesz, krócej będziesz przesłuchiwany. Myślisz, że tacy jak ja nie są tu potrzebni? Kto by ci tyle o celowniku opowiedział, gdyby mnie wysłali na Szajtan?

Oczywiście, mogłem również szczechnąć: „Dość gadania!” i pewnie w Tannenbergu tak bym właśnie zrobił. Ale razem z tymi dzieciakami będę musiał przeżyć bardzo długi dzień, pewnie jeden z najdłuższych w moim życiu.

Wiadomości imperialne

Nadal kontynuowana jest triumfalna ofensywa walecznych Sił Zbrojnych Imperium na pozycje powstańców tak zwanej Federacji. Już teraz możemy poinformować naszych widzów, że nasi dzielni żołnierze pomyślnie wylądowali na planecie Novyi Krym. Udręczona wyrządzanymi gwałtami ludność planety z zachwytem wita swoich wyzwolicieli. Z buntowników i terrorystów oczyszczono także tereny na wschód od miasta Vladisibirsk. Właśnie widzicie państwo rodzinę farmerów, która może już powrócić do normalnej pracy. Ci prości ludzie, którzy od rana do wieczora pracują na swoich polach, wręczają kwiaty oficerom z przejeżdżającej kolumny zmotoryzowanej. Widzicie łzy radości w oczach tych uczciwych robotników, wbrew swojej woli wciągniętych w krwawe przestępstwa junty wojskowej, która zagarnęła władzę i mieni się Rządem Tymczasowym Federacji. Nikt nie powinien bać się

powracających na Nowy Krym wojsk imperialnych. Powstając przeciwko władzy powstańców, obywatele planety najlepiej udowodnili swoją wierność tronowi Imperium.

Na planecie Szajtan nasze wojska zadały ciosy raketowo-bombowe pozycjom ekstremistów wokół kosmoportu Północnego; doszło do pożarów i zniszczeń. Na przedpolach planety nasza flota kosmiczna zniszczyła transportowiec buntowników. Zgodnie z ostatnimi doniesieniami nasze wojska zajęły ważne kombinaty numer 10 i numer 23. Ofensywa naszej walecznej armii trwa i dni buntowników na Szajtanie są policzone.

W pogranicznym Jedenastym Sektorze zauważono pięć statków kolonizacyjnych cywilizacji Dbigu, przesuwających się w głąb należącej do Imperium przestrzeni, w kierunku jednej z niezasiedlonych jeszcze planet. Fregaty floty pogranicznej zmuszone zostały do zatrzymania Dbigu i towarzyszenia im aż do granicy sektora. Do tej pory pełnomocni przedstawiciele cywilizacji Dbigu nie udzielili wyraźnej odpowiedzi na pytanie, co robiła ich eskadra kolonizacyjna w głębi sektora, od ponad pół wieku oswajanego przez Imperium Ziemi...

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

Kolejna próba, podjęta przez imperialno-faszystowskie wojska w celu zawładnięcia Ósmym Kombinatem, spełza na niczym. Na odcinku bronionym przez oddział towarzysza Wejzena wróg usiłował wysadzić desant na tyłach naszych wojsk. Jednocześnie czterdzieści ciężkich czołgów szturmowych i sto wozów opancerzonych z piechotą przy wsparciu z powietrza atakowało bojowników towarzysza Wejzena od przodu. Zaczęła się zacięta i krwawa walka. Nasza artyleria wsparła oddział towarzysza Wejzena, gromiąc wrogie baterie na imperialnych tyłach, a następnie stworzyła efektywną zasłonę przeciwko nadjeżdżającym czołgom. Żołnierze Imperium zostali odepchnięci i w tym momencie towarzysze Wejzena poderwał swoich ludzi do kontrataku. Żołnierze z plutonu walki radiowo-elektronicznej pod dowództwem towarzysza Reichenplatza zakłócili łączność wroga, mylili jego celowniki i oślepiali atakujące czołgi. Wysuwająca się do przodu obrona przeciwlotnicza strąciła sześć helikopterów przeciwnika.

Nie wytrzymując zacieklego kontrataku naszych bojowników, imperialni najemnicy uciekli, zostawiając na polu bitwy dwadzieścia płonących czołgów i czterdzieści wozów opancerzonych. Nadal trwa liczenie ciał zabitych żołnierzy wroga, ale już teraz wiadomo, że nasi bojownicy zabili ponad tysiąc ośmiuset oficerów i żołnierzy przeciwnika, a ponad dwustu wzięli do niewoli. Heroiczna obrona Ósmego Kombinatu trwa, a jego nazwa stanie się symbolem niezłomności i heroizmu naszych wojsk, które nie cofnęły się nawet o krok pod naciskiem przeważających sił przeciwnika!

W ciągu minionej doby nasze wojska prowadziły walki z przeciwnikiem na całym froncie, szczególnie zaciekle na kierunku Ósmego Kombinatu i kosmoportu Północnego. Po zajadłych i krwawych walkach nasze wojska oddały kombinat numer 23, już dawno wyłączony z aktywnego cyklu produkcyjnego. Kłamliwa imperialna propaganda usiłuje zamienić ten nieznaczący fakt w strategiczne zwycięstwo swoich wojsk, ale obywatele wolnej Federacji dobrze znają prawdziwość imperialnych oświadczeń.

Na innych odcinkach styku naszych i imperialnych wojsk nie wydarzyło się nic znaczącego.

--Nie wydarzyło się nic znaczącego?! -- wykrzyknęła z rozpaczą Inga. Oczy miała zaczerwienione i zapadnięte. -- Jak mogą! My tutaj... a oni... a oni... A o tym rozkazie ani słowa!

--Nie rozumiesz, Inga. Przecież nie wolno doprowadzać do paniki, prawda? No więc nie mówią. Niewykluczone, że teraz to my pogonimy imperialnych. Widziałaś Francuzów? Jak oni lupną, jak zakręcą tamtymi...

--Aha, już zakręcili i lupnęli! -- prychnęła Inga. -- Żabojad zawsze będzie żabojadem. Jak tylko zobaczą imperialnych, od razu się rozbiegną. Jak dwa wieki temu.

--Też masz porównania! Od tamtej pory minęło tyle czasu!

--Kostia, powiedz mi, ile razy Francuzi walczyli od tamtej pory? Czy to oni byli w Bosforze albo...

--Wystarczy -- przerwałem dyskutantom. -- Szeregowy Ignatiew! Do mnie!

--Towarzyszu sierżancie, sze...

--Wystarczy. Szeregowy Ignatiew, jakie są działania bojownika w chwili stwierdzenia na monitorze taktycznym znaku zaklasyfikowanego jako „wrogi pojazd opancerzony”, znajdujący się w strefie rażenia ogniem drużyny?

--Eee...

--Co, Kostia, wpadłeś? -- Ktoś z tyłu zachichotał.

--Szeregowo Polakowa! Chcesz odpowiadać zamiast niego?

--Tak jest, towarzyszu sierżancie!

--W takim razie słucham. Jeśli odpowiesz dobrze, dostaniesz szeregowego Ignatiewa do wyłącznej dyspozycji aż do chwili, gdy będzie recytował te działania jak z nut.

--Tylko nie to, towarzyszu sierżancie, tylko nie to! Ona mnie pożre żywcem! Mogę odpowiadać, naprawdę!

--To odpowiadaj.

--W przypadku stwierdzenia pojazdów opancerzonych wroga na monitorze taktycznym należy aktywować funkcję śledzenia, przesunąć żółty kursor celowania ogólnego ze znakiem celu, przeprowadzić rozpoznanie „swój-obcy” w celu uniknięcia strat strony sprzymierzonej, a następnie, po włączeniu klawisza A dokonać przekazu współrzędnych stwierdzonego obiektu. Następnie nie wolno wypuszczać celu z wizjera, a także z pola widzenia kamery przekaźnika, przeprowadzić nakierowanie ręczne do oznajmienia „cel wzięty”, a następnie jednoczesnym wciśnięciem klawiszy B i C przekazać cel komputerowi centralnemu aż do nakierowania samoczynnego. Należy czekać na dane do oddania strzału, a potem działać zgodnie z poleceniami otrzymanymi od dowódcy drużyny.

--Nieźle, Ignatiew, tylko zapomniałeś o jednej rzeczy.

--Jakiej, towa... ach, no tak! Po przekazaniu celu na kierowanie samoczynne należy przeprowadzić synchronizację naprowadzania własnego systemu uzbrojeniowego z otrzymanymi od komputera centralnego danymi balistycznymi, poprzez naciśnięcie klawiszy A i D...

--Brawo. Coś jednak udało mi się wbić wam do głowy...

Mój oddział zadawał szyku w zdobycznych pancerzach, tylko na rękawach musieliśmy namalować biało-niebiesko-czerwone emblematy. Jakoś udało mi się przeprowadzić wymianę celów z naszym zredukowanym, ale nieźle wyposażonym plutonem i z plutonem ogniowym dywizji Cambrai. Francuzi cmokali z zachwytu, widząc, jak sprzęgam chipy moich dzieciaków z potężnym komputerem balistycznym ich PzKpfw VII, pełniącym rolę komputera sztabowego.

Prócz naszego plutonu i dwóch francuskich czolgów nie było nikogo. Pierwsza Ochotnicza

rozłokowała się wzdłuż przedmieść, z tyłu wspierała nas zmotoryzowana Cambrai i można by pomyśleć, że zaatakowanie teraz Władysybirsk od frontu byłoby szaleństwem.

A jednak właśnie to zrobiły oddziały imperialne, gdy słońce wisiało już wysoko nad horyzontem. Najpierw nad naszymi głowami zatrzeszczał zwiadowczy trzmiel i ktoś z drużyny Rimmy poczęstował go pociskiem z PZRK. Trzmiel zasnuł się dymem i spadł pięćdziesiąt metrów przed naszymi pozycjami. Już miałem zakomenderować: „wszyscy do tyłu!”, nie bez podstaw spodziewając się nalotu ogniowego na naszą pierwszą linię, jednak w tym momencie przemówiła artyleria Cambrai i ponad naszymi głowami na wschód poleciały pociski raketowe, ciągnąc za sobą ogony płomieni. Dariana Dark musiała się gdzieś nieźle obłowić, pomyślałem, skoro zdobyła igele, które w tamtym lesie omal nie przemieniły nas w dobrze wysmażone steki. Na wschód pomknęły również trzy myśliwce, jeszcze niedawno krążące nad naszymi głowami.

Brawo, pomyślałem. Dobra organizacja. Naprowadzanie dzięki wymianie celów trzmiela i punktu dowodzenia... ho, ho, do czegoś takiego potrzebni są spryciarze z batalionu REB* [i świetnie wyregulowany system sterowania wszystkimi środkami bojowymi. Zdaje się, że Cambrai miała sensownego dowódcę.](#)

Daleko za horyzontem coś huknęło i na samej granicy widzialności pojawiły się kłęby dymu. Nasza artyleria wyraźnie w coś trafiła.

Teraz imperialni powinni powstrzymać atak, uderzyć w przenośne zestawy obrony przeciwlotniczej, a potem zbombardować całe miasto naddźwiękowymi pociskami uskrzydłonymi, precyzyjnie zlikwidować środki ogniowe, zredukować stanowiska naszej artylerii i wtedy...

Dlatego tak się zdumiałem, widząc przed sobą nadbiegające ostrożnie postacie. Żadnych wozów bojowych czy czołgów, tylko żołnierze, którzy nawet się nie schylają.

--Odbiło im? -- wyrwało się Indze.

Szybko wyjaśniło się, że niestety, wcale im nie odbiło. Piechota niosła muspelle i inne miotacze ognia i wkrótce chlusnęli nam w twarz całym morzem płomieni.

Ledwie zdążyłem krzyknąć: „padnij!”, gdy po fasadzie budynku przeszła fala ognia. Rude płomienie zatańczyły na podłodze, przesunęły się po bogato udrapowanych ścianach, zahaczyły któregoś z moich ludzi, ale na szczęście gaśnice chemiczne (jeszcze jedno trofeum imperialne, wypuszczone w ogromnych ilościach po walkach z Rojem na Iwoldze) szybko stłumiły ogień.

Celowniki podczerwieni dostawały kręćka -- szalał ogień i przez żar nie dało się dostrzec celów, czyli żołnierzy Imperium.

Zalewając nas płomieniami, żołnierze podchodzili coraz bliżej. W słuchawkach wybuchła kakofonia dźwięków, w końcu jednak udało mi się uspokoić moich ludzi. Francuskie czołgi wysunęły się do przodu, żeby walić prosto w cel, póki imperialni nie wdarli się na nasze barykady.

Na moim celowniku na przemian pojawiały się i znikwały czerwone trójkąci, oznaczające „indywidualne jednostki bojowe przeciwnika”. Aktywowałem wymianę danych między steierem i komputerem, starannie nasunąłem niebieski krzyżyk na najbliższy trójkąt i nacisnąłem spust.

--Trafienie nieefektywne -- zameldował złośliwie komputer. -- Odbicie od pancerza.

--Powiedz coś jeszcze, ty gaduło... -- burknąłem i strzeliłem po raz drugi, żeby przeciwnikowi nie było za dobrze.

--Cel trafiony -- zameldował komputer, jak mi się wydawało, ze zdumieniem. Ten steier to

jednak porządna broń...

--Prowadzić ogień wyłącznie odłamkowymi! -- zawołałem. Iglowe naboje steiera na takich odległościach nie zdają egzaminu.

--Tak jest, dowódcu! -- potwierdziło kilka głosów.

Znowu odezwała się artyleria, nasza i imperialna. Wydawało się, że dom podskoczył po trafieniu ciężkim pociskiem, ale nasza część ocalała.

--Wycofujemy się! -- Machnąłem ręką. Nie sposób walczyć przeciwko tym dwudziestośmiocentymetrowym pociskom. Wkrótce zamienią budynek w stertę ruin i cała działalność obrońców sprowadzi się do bezsensownej śmierci pod odłamkami.

Moja drużyna wydostała się z tej pułapki w samą porę: imperialna artyleria zrzuciła następny pocisk. Nasze niedawne stanowisko wydało smutne, przedśmiertne westchnienie i kiwnęło nam na pożegnanie składającymi się ścianami i zapadającym się dachem.

--O rany... -- Usłyszałem w słuchawkach szept wstrząśniętej Ingi.

--Ruszać się, ośmiornice ciężarne! -- wrzasnąłem, przypominając sobie słynny bestiariusz sierżanta Pferzgentakla.

Zdążyliśmy. Imperialni mogliby zrównać miasto z ziemią, ale najwyraźniej mieli inne plany. Ryk artylerii umilkł, usłyszałem charakterystyczne krótkie szczekanie działa czołgu i niemal od razu dostrzegłem przedzierające się przez ruiny postacie w imperialnych pancierzach.

--Ognia, ognia, gapiszony! -- Niemal siłą rzuciłem dzieciaki na rozwaloną ścianę. **-- Ognia!**

Dawno zapomniałem, czym jest zapal bojowy. Wiedziałem tylko, że musimy się utrzymać, a w tym celu trzeba myśleć nie o ratowaniu własnej skóry, lecz o tym, gdzie skierować ogień swoich ludzi. Wtedy być może uda mi się przeżyć do wieczora.

Imperialni żołnierze, powitani szczelnym ogniem, cofnęli się trochę. Znowu poszły w ruch miotacze ognia i zasłony dymne. Nasze sensory nie mogły im dać rady, a imperialni najwyraźniej otrzymywali informacje bezpośrednio z orbity. Jeden z francuskich czołgów oberwał raz i drugi, szarpnął się, ale tarcza siłowa jeszcze sobie radziła. Drugi tygrys-7 wycofywał się, ostrzeliwując teren. Dostał granatem i miałem okazję zobaczyć, jak zadziałał aktywny pancierz -- widocznie temu czołgowi wybiło już tarczę siłową.

Żołnierze byli już wszędzie. Naszym kulom się nie kłaniali, z lewej i z prawej strony przechodzili przez wyrwy w ścianach. Jeden z moich chłopców krzyknął, przewrócił się i w tym samym momencie oberwał granatem. Jego pancierz rozsadzilo od środka...

Wycofywaliśmy się, nie przestając strzelać. Łączność z Francuzami nadal działała, imperialni żołnierze słono placili za każdy krok, ale wciąż parli naprzód.

Nasz pluton również się wycofywał, zbierając krwawe żniwo, imperialna artyleria już nie oczyszczała drogi swoim oddziałom i 203. Dywizja Ochronna zaczęła się wykrwawiać. Ale gdy w końcu oderwaliśmy się i zajęliśmy następną linię za drugim pierścieniem rowów i barykad, okazało się, że z plutonu ocalała jedynie połowa. Moja drużyna okazała się najliczniejsza -- razem ze mną siedmiu bojowników.

--To nie jest dywizja ochronna -- oznajmiła z przekonaniem nasza nieszczęsna plutonowa. W ciągu całej walki wydała tylko dwie komendy: „Ognia!” na samym początku starcia i „wycofujemy się, wszyscy się wycofujemy!” na końcu. -- To dywizja kadrowa z emblematami dywizji ochronnej. Chcieli nas wprowadzić w błąd i dopięli swego.

--Nie sądzę -- zauważyłem.

--Ale ci... to już na pewno oddziały karne! -- Głos plutonowej drżał, gdy skinęła ręką w stronę pozostawionych przez nas odcinków.

Uniosłem lornetkę. Artyleria imperialna zniszczyła budynki stojące na uboczu, domy w głębi ocalały. Sądziłem, że nie ma w nich ani jednego człowieka, jednak obojętna optyka pokazywała inny obraz, od którego mróz przeszedł mi po kościach i włosy zjeżyły się pod hełmem.

Figurki w cywilnych ubraniach były wyciągane z domów przez inne figurki w imperialnych pancerzach -- świeżych i czystych. Pancerze tych, do których niedawno strzelaliśmy, których zabijaliśmy i którzy zabijali nas, nie były tak świeże. Ci tutaj to prawdziwe oddziały ochronne.

Wygonili ludzi z domów i utworzyli kolumnę. Ich ofiarą padli niemal wyłącznie zgrzybiali staruszkowie i ludzie w sile wieku -- w sumie ze dwadzieścia osób. Dowodzący oddziałem oficer machnął ręką i jeńcy wyszli z miasta.

Dlaczego nie uciekli wcześniej? Na co czekali? A może nie przypuszczali, że kiedykolwiek wpuszczymy wroga do Władysybirsk?

Kontratakować? Ale z kim? Z kilkunastoma ocalałymi żołnierzami i dwoma czołgami? Czołgi, choć pokryte sadzą i popiołem, mimo wszystko wyszły ze starcia bez większego uszczerbku.

Patrząc z bezsilną rozpaczą, jak imperialni pędzą naszych rodaków, mogliśmy jedynie przysiąc, że polegniemy tu, na tej ostatniej linii, ale się nie wycofamy. Stąd mogliśmy wyjść jedynie razem z oddziałem pogrzebowym, wszystko jedno, naszym czy imperialnym.

Jednak po południu czekała nas jeszcze jedna niespodzianka -- jeśli można to tak nazwać. Imperialni zastosowali swój ulubiony chwyt: użyli desantu.

Desant z helikopterów, prosto na tyły nieprzyjaciela, gdzie strzela każde okno, mógłby się wydawać głupotą, gdyby nie był zaplanowany i przeprowadzony z istic imperialną skrupulatnością.

Ogłuszyli nas i oślepiłi. Zakłócili nam łączność, a potem miasto nakryła gęsta sieć pocisków dymnych. Wieczór zmienił się w nieprzeniknioną noc, a że chmury czarnego dymu niosły drobny, metaliczny pył, nawet zwykłe radary stały się bezużyteczne. Jednocześnie zaczął się atak od frontu i nad naszymi głowami prześliznęły się niewidoczne z ziemi helikoptery. Nasi strzelali na chybił trafił, automatyczne działa przeciwlotnicze zadarły lufy i waliły w zasnutę chmurami niebo, rakiety rozrywały się w nadziei, że głowice samonaprowadzające same znajdą swój cel. Jeden helikopter rzeczywiście spadł, dobrze, że nie na nasze głowy, jednak pozostałe maszyny wysadziły komandosów w centrum Władysybirsk i miasto kipiało teraz ogniem pół na pół z krwią, niczym kocioł czarownicy.

Eter wypełniły straszliwe trzaski, ledwie słyszałem własną drużynę. Zrzucono na nas prawdziwą ulewę ognia, atakujące oddziały ochronne paliły przed sobą wszystko, co tylko chciało się palić -- nie wszyscy obrońcy Władysybirsk mogli poszczycić się pancerzem.

Pewnie w tym właśnie momencie powinny ogarnąć mnie jakieś wzniosłe uczucia, emocje, które rzucają żołnierza na deszcz wrogich kul z szaleńczą pogardą wobec śmierci. Ale zamiast tego w mojej głowie pojawiły się spokojne myśli: sektor ostrzału, współdziałanie ogniowe, zerwana łączność z komputerem czołgu, blokada flank... Moje dzieciaki godnie przyjęły żołnierzy z 203. -- imperialni zostawili dwadzieścia ciał przed naszą barykadą oraz w ruinach domów rozciętych niczym konserwa. Można było odnieść wrażenie, że zaczęli się wycofywać.

Niestety, w rzeczywistości jedynie przesunęli kierunek natarcia. A gdy zauważyłem figurki w kombinezonach imperialnych, podbiegające do nas z tyłu -- zrozumiałem, że straciliśmy miasto.

Sunący nad ulicą bezzałogowiec wypluł w bezbronną, górną część czołgu kilka samonaprowadzających bomb kumulacyjnych i potężny tygrys-7 wybuchł od środka, rozpadając się na dwie części. Nikt z załogi nie przeżył, a my zostaliśmy bez komputera. Było za późno, żeby przełączyć się na inny komputer -- pokryty sadzą drugi potwór, już pozbawiony aktywnego pancerza i tarczy siłowej, powoli odpełzał przez wyrwę w ścianie, plując ogniem w zbliżających się komandosów. Imperialni odpowiedzieli kilkoma strzałami z granatnika, przebijając gąsienicę czołgu i zobaczyłem wyskakujących z wjazdu czołgistów z opaskami Wolnej Francji na rękawach. Niech Bóg pozwoli im się uratować...

W mojej drużynie walka przebiegała raczej pomyślnie -- nikt nie zginął, nikt nie został ranny, chociaż wszystkie pancerze pokryły się siatką zadrapań i blizn od odłamków. Ale zostaliśmy odcięci od swoich i musieliśmy się wydostać przez chaos ruin...

W założeniu Władysybirsk miał być zielonym miastem. Nie wznoszono tu gigantycznych drapaczy chmur (najwyższe domy miały cztery piętra), wszędzie widziało się werandy, tarasy, galerie oraz ogrody zimowe (na Syberii zimy były znacznie ostrzejsze niż, dajmy na to, w Nowym Sewastopolu). I teraz to wszystko płonęło, waliło się, topiło, zapadało i osiadało. Gdy przed nami i za nami pojawili się żołnierze imperialni, zarządziłem odwrót. Nie wiem, gdzie są oddziały zaporowe i nic mnie to nie obchodzi, ale jeśli teraz spróbują zagrozić nam drogę...

I wtedy dopadli nas imperialni. Znowu bezzałogowy zwiadowca. Napastnicy najwyraźniej szukali ognisk oporu, stąd beowulfy nad nami. Jeden z nich z sykiem przeleciał nad rozwalonym dachem, zrzucając standardową „ciężarną ropuchę” -- pocisk kasetowy, który zasypał wszystko wokół niewielkimi, kilogramowymi bombkami. Dwie z nich trafiły w otwór w ścianie dokładnie wtedy, gdy moja drużyna weszła do wnętrza domu...

Ja szedłem pierwszy, tuż za mną Inga i Kostia. Pozostała czwórka została w tyle, i gdy my we trójkę przeszliśmy przez próg, w zniszczonym, przestronnym pokoju za naszymi plecami rozległ się wybuch.

Rzuciło nas na podłogę. Waliły się ściany i gdybyśmy znaleźli się za zwykłą ścianką działową, często stawianą w miejskich apartamentach, można by już odprawiać po nas nabożeństwo żałobne. Na szczęście osłaniający nas mur był porządną ścianą nośną i przyjął na siebie całą wściekłość fali wybuchu. Przysypało nas odłamkami, ale pancerz wytrzymał, tylko Inge przygniotło tak, że nie mogła wydostać się o własnych siłach.

Po tej czwórce, która szła za nami, nie został nawet popiół... Dwa synchroniczne wybuchy tuż obok -- przed czymś takim nie ochroni żaden pancerz.

Dwójka moich bojowników była w szoku i ledwie trzymała się na nogach. Inga chciała biec do zwęglonych ruin, ale chwyciłem ją za rękę -- martwym już nie pomożemy, a jeśli pozwolimy sobie na sentymenty, zginiemy także, szybko i bezboleśnie.

Wychodząc, rzuciłem ostatnie spojrzenie na pocerniałe fragmenty kombinezonów ochronnych: pancerne osłony hełmów wypadły, w środku hełm wypełniał czarny proch.

Prochem jesteś i w proch się obrócisz...

Nawet nie zdążyłem porządnie poznać tych dzieciaków. Ich szlak bojowy okazał się bardzo krótki -- tylko dlatego, że ktoś ze sztabu obrony Nowego Krymu postanowił zatkać dziurę bezbronnymi ochotnikami, a sił dywizji Cambrai nie wystarczyło, żeby dać odpór

przeprowadzonemu z matematyczną prawidłowością natarciu imperialnych.

Żegnajcie, dzieciaki. Kiedyś nasi przodkowie wierzyli, że ogień stosu pogrzebowego uwalnia nieśmiertelną duszę z więzienia ciała, a dusza pogrzebana pod ziemią jęczy, zniewolona w wiecznej ciemnicy i wreszcie znika na zawsze, gaśnie, niczym zdmuchnięta świeca. Cóż, bracia i siostry, wasze dusze są już wolne, już idą tam, gdzie nie ma wojny, smutku i śmierci.

I jeśli zatrzasną wam przed nosem bramy raj, wyruszę za wami, bez względu na to, gdzie rzuci was wola Tego, który niegdyś zniszczył żelazne bramy piekieł.

Beowulf zostawił za sobą szeroki ślad -- ruiny domów, zawalone dachy... przedzieraliśmy się przez odłamki. Obrona Władysybirsk padła i teraz pozostawało już tylko zdecydować: czy zostajemy tutaj, żeby pograć w ciuciubabkę ze śmiercią, biorąc na cel pojedynczych oficerów imperialnych i znowu kryjąc się w ruinach, a w końcu paść ofiarą kolejnego beowulfa, czy też spróbujemy wydostać się z tego pogorzelska i odszukamy swoich, omijając pozycje naszych tajniaków, jeśli gdzieś się tacy pojawili.

Mnie osobiście bardziej odpowiadał wariant drugi.

Ale nim wyszliśmy z oświetlonego pożarami, zniszczonego miasta, zobaczyliśmy oddziały karne przy pracy. Dwieście trzecia Dywizja Ochronna w pełni zasłużyła na swoją złowieszczą sławę.

Wiele budynków, zwłaszcza w centrum miasta, pozostało nieuszkodzonych i jak się okazało, nadal byli w nich mieszkańcy. Teraz wypędzano ich z domów. Doliczyłem się stu pięćdziesięciu nieszczęśników. Spędzono ich na jeden z centralnych placów, imienia Karamzina; zdeptyany skwer przemienił się w zaimprovizowany obóz koncentracyjny. Z przerażeniem ujrzałem wśród jeńców matki z dziećmi. Do licha, o czym one myślały? Dlaczego nie ewakuowały się razem z innymi?! Oddziały karne otoczyły grupkę jeńców -- obojętne, bezosobowe postacie za ciemnymi osłonami hełmów, lufy wycelowane w ludzi. Co chcieli z nimi zrobić?

--Towarzyszu sierżancie... -- szepnął gorączkowo Kostia i musiałem palnąć go w hełm, nie włączając interkomu:

--Siedź cicho, bo zaraz nas tu znajdą!

--Trzeba ich ratować!

--Leż i nie miotaj się. Nie przeszkadzaj, nie widzisz, że Czapajew* [myśli?](#)

Pojawił się krótki szereg jeńców wojennych, najprawdopodobniej naszych ochotników. W podartych szturmówkach, przeważnie zakrwawieni, ledwie powłóczyli nogami, pomagając sobie nawzajem. Nie było ich wielu, najwyżej dwudziestu. Chyba nasi rzeczywiście woleli zginąć niż się poddać.

Zmuszono ich do ustawieniu się w szeregu. Z szeregów oddziałów imperialnych wyszedł oficer w mundurze galowym, w czapce i bez pancerza. Rozwinął jakiś dokument i zaczął czytać przez mały megafon, tak że jego głos niósł się daleko.

--Zgodnie z edyktem Jego Imperatorskiej Wysokości... buntowników, pojmanyh z bronią w ręku na polu walki, należy bezzwłocznie oddać pod sąd polowy, w składzie: przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, przewodniczący oraz dowódca i szef sztabu oddziału, które wzięły powstańców do niewoli... połączyć funkcje prokuratora i przewodniczącego sądu... znieść instytucję obrony dla wspomnianych buntowników...

--Dowódco! -- jęknęła Inga.

--Spokojnie -- wycedziłem przez zęby. -- Leż i bądź cicho. Weź na cel tę papugę, to ci trochę ulży, ale jeśli wystrzelisz bez komendy, pożałujesz, że się urodziłaś.

--Ponieważ -- ciągnął tymczasem oficer -- wszyscy tu obecni oskarżeni zostali wzięci do niewoli podczas walki z Imperialnymi Siłami Zbrojnymi i podlegają likwidacji na mocy edyktu Jego Wysokości *O zjednoczeniu państwa...* Wyrok jest ostateczny, nie podlega apelacji i zostaje natychmiast wykonany. Panie majorze, proszę o wydanie odpowiedniej komendy plutonowi dowódcemu...

--Mamusiu! -- pisnęła Inga i nacisnęła spust.

Ta młoda dziewczyna, która dopiero niedawno zaczęła życie, szeregowka Inga Polakowa okazała się wyśmienitym strzelcem. Strzałka wypuszczona z jej steiera przeszła głowę oficera imperialnego na wylot, nie dostrzegając przeszkody z ludzkiego ciała i kości.

Oficer runął na wznak jak kłoda.

--Ach, ty!... -- wyrwało mi się, ale palce już same nacisnęły spust. Tego, który stał po prawej stronie oficera i nie wzgardził pancierzem, odrzuciło w bok. Dwudziestomilimetrowy pocisk uderzył o pancierz i wybuchł.

Ci jeńcy, którzy mogli poruszać się o własnych siłach, chyba tylko na to czekali. Rzucili się na imperialnych z gołymi rękami, do nich dołączyli spędzeni tu mieszkańcy Władysybirsk, chociaż większość była w podeszłym wieku.

Powitały ich salwy z karabinów i steierów. Przez tłum cywilów i ochotników przeszła niewidoczna kosa, ludzie upadali, próbowali się czolgać i zastygali, przygwożdżeni do bruku strzałkami steierów.

Ja, Kostia i Inga zdążyliśmy wystrzelić zaledwie kilka razy, gdy na placu już było po wszystkim. Ciała zabitych leżały na sobie, przeżyło jedynie kilku rannych ochotników, którzy nie mogli nikogo zaatakować -- bo nie mogli się w ogóle ruszać. Teraz ci oprawcy gwałtownym szarpnięciem stawiali ich na nogi i bez wahania rozstrzeliwali -- a raczej dobijali, przystawiając lufę do karku.

Ktoś zdążył krzyknąć: „Niech żyje Rosja!”...

Inga płakała na głos, Kostii łzy płynęły po twarzy i musiałem dać obojgu kilka szturchańców, żeby wzięli się w garść -- tyraliera oddziałów imperialnych już szła prosto na nas, a gdzieś nieopodal rozległo się znajome do bólu „szrr-trr!” nadlatującego szerszenia. Nie pozostawało nam nic innego, jak rzucić się do ucieczki i biec jak najszybciej i jak najdalej.

Z zajętego Władysybirsk udało nam się wysliznąć dopiero dwa dni później. Widzieliśmy, jak oddziały karne -- skrupulatnie i bez emocji, jakby zbierali drwa w lesie -- wyciągali z mieszkań cywilów, ustawiali między nimi jednego czy dwóch ochotników, odczytywali im wyrok i rozstrzeliwali. Następnie dwiema seriami z karabinów maszynowych wysyłali na tamten świat dziewięć dziesiątych „widzów”.

Ku mojemu zdziwieniu nie zabijali wszystkich, a niektórych nawet wypuszczali. Może chcieli, żeby świadkowie opowiedzieli o tym, co zobaczyli? Ale przecież to nie osłabi oporu, wręcz przeciwnie...

Znaleźliśmy się na głębokich tyłach atakujących oddziałów karnych. Niedobitki obrońców Władysybirsk wycofywały się na zachód, inni rozproszyli się po okolicznych polach i lasach. Niebo kipiało od szerszeni i beowulfów, goniących za wszystkim, co się ruszało. Widziałem na

własne oczy, jak bezzałogowy szturmowiec nie pożałował pocisków rakietowych na wielkiego owczarka, który leżał obok ciała starego farmera, zabitego na progu własnego domu. Po wykonaniu wyroku na wiernym psie, beowulf zawrócił i w okno drewnianego domku wsadził pocisk zapalający.

Widzieliśmy, jak miotał się, oszalały z przerażenia, wielki, puszysty kot, który wyskoczył z domu w ostatnim momencie. Inga próbowała go przywołać (te dziewczyny!), ale kot tylko prychnął, zjeżył sierść i zniknął w zaroślach. Inga chlipnęła.

--Czemu płaczesz?

--Przecież to kot domowy, zadbany, zginie w tej gluszy...

--Też masz kogo żałować! Jakiegoś kocura... -- burknął Kostia.

--Też mam w domu kota... mruczy i lubi spać na kolaaanaach... -- rozkleiła się Inga.

Kostia już chciał jej przygadać, ale rzucił mu szybkie spojrzenie i nic nie powiedział. Zaczynaj współczuć tej dziewczynie, pomyślałem, współczuć kotu, jego zabitemu panu i wiernemu psu. W przeciwnym razie, dzieciaki, ani się obejrzycie, jak z wrażliwych nastolatków zamienicie się w maszyny do zabijania i strzelicie do jeńca, który już zdążył rzucić broń i podnieść ręce. Im dalej, tym gorzej. Jak się raz zacznie, trudno się potem zatrzymać...

Muszę przyznać, że mimo lez dwójka moich bojowników trzymała się nieźle.

Wycofywaliśmy się, niczym żołnierze Frontu Zachodniego latem czterdziestego pierwszego, gubiąc swój oddział, nie wiedząc, gdzie są sztaby, dowódcy, odwody i cała reszta, z jedną tylko różnicą -- wtedy żołnierze szli na wschód. My szliśmy na zachód.

Rzecz jasna, rzekome oddziały zaporowe już się stąd wyniosły -- ich dowódcy nie mieli w planach bezpośredniego kontaktu z przeciwnikiem.

Pięćdziesiąt kilometrów od Władysybirsk centralną równinę wyspy przecinało niewysokie, ale strome pasmo górskie stanowiące ciągnącą się daleko na południe odnogę Gór Północnych. Na logikę właśnie tam należało zorganizować obronę i próbować utrzymać przynajmniej zachodni kraniec wyspy z trzema niewielkimi miastami, dwoma tuzinami gospodarstw morskich i największymi złożami rudy żelaza. Mam na myśli złoża naziemne, ponieważ te podwodne eksploatujemy od dawna.

Najprawdopodobniej właśnie tam, na paśmie Borodino nasi spróbują powstrzymać natarcie oddziałów imperialnych. Na otwartym polu nie mamy co liczyć na sukcesy, machina Imperium jest doskonale naoliwiona, kto jak kto, ale ja wiedziałem o tym najlepiej. Nie mogliśmy również liczyć na niespodziewaną pomoc siarczystych mrozów czy intensywnej jesiennej pluchy -- usprawiedliwienie klęsk jesieni czterdziestego pierwszego, najczęściej stosowane przez słynnych niemieckich generałów, których nazwiska nadawano ulicom imperialnej stolicy...

Myślałem o tym, na co liczyłem przed wyruszeniem na front -- że moja wiedza pomoże ochotnikom powstrzymać imperialne oddziały karne -- i zgrzytałem zębami. To prawda, rzeczywiście zetknęliśmy się z tymi oddziałami, ale wspieranymi przez artylerię i sprzęt w rodzaju bezzałogowych beowulfów! Po prostu nas zepchnęli, rozmazali po betonie, nie pozwalając nawet podnieść głowy. Tutaj nie pomogłyby żadne oddziały zaporowe, nic by nie dało nawet słynne okrucieństwo marszałka Żukowa, który również nie gardził oddziałami zaporowymi podczas obrony Leningradu, na długo przed wydaniem rozkazu numer 227. Chociaż... wtedy żołnierze, wybierając między rosyjskimi i niemieckimi kulami, woleli kule wroga. Ale teraz niszczo nas beowulfami i ukrytą za horyzontem, precyzyjną artylerią. Moje

dzieciaki ginęły tak czy inaczej, mimo że nikt nieuciekl i nikt nie wycofał się bez rozkazu. Napierającą na nas hordę mogłaby powstrzymać jedynie taka sama horda albo...

Albo Rój.

Szliśmy, wybierając najciemniejsze miejsca w największej gęstwinie -- nad naszymi głowami ciągle huczały helikoptery, bojowe fieslery, a po odnalezieniu celu -- naprowadzane na nie beowulfy. Drogami po prawej i lewej stronie sunął strumień sprzętu imperialnego, a surowy porządek przemarszu przyniósłby zaszczyt samej Leibstandarte czy Grossdeutschland. Czołgi, działa szturmowe, działa przeciwlotnicze, transportery wszelkiej maści i kalibrów, działa rakietowe, też najróżniejsze -- od lekkich przeciwpancernych hellefeuer do ciężkich taktycznych eber. Sunęły również pamiętne igele.

Zdaje się, że wyładował tu cały korpus zmotoryzowany, chociaż emblematy świadczyły, że mamy przed sobą wyłącznie dywizje ochronne, poza jednym wyjątkiem: szachownica tarczy heraldycznej należąca niegdyś do 1. Dywizji Piechoty Wehrmachtu. Później, już w nowej Rzeszy, z dumą przejęła ją 1. Dywizja Zmotoryzowana. To znaczy, że do walki rzucono elitę. Pierwsze dywizje zawsze miały uprzywilejowaną pozycję.

Szliśmy długo, ale ani Inga, ani Kostia w ciągu tego całego męczącego marszu nie jęczeli i nie prosili, żeby pozwolić im odpocząć „choć chwilę”. Zresztą przymusowy odpoczynek organizowali nam powietrzni zwiadowcy ze swoim uprzykrzonym „szrr-trr”. Słyszeliśmy je tyle razy, że ten przekłety dźwięk wrył nam się w podświadomość. Spodziewałem się, że spotkamy innych ochotników, podobnie jak my ciągnących na zachód, ale leśne ścieżki były puste, chociaż tutejsze lasy wyglądały jak rzadkie łaty na przestronnej tkaninie pól. Trzy razy cudem udało nam się uniknąć obławy: oddziały karne z tym samym emblematem (wykręcony drut kolczasty) na rękawach, żołnierze z 203. Ochronnej, przeczesywali okolicę gęstym grzebieniem. Udało nam się przyczaić i przeczekać, zresztą zdaje się, że kroczący w tyralierze imperialni po prostu zapracowywali na codziennego sznapsa.

Do swoich dotarliśmy czwartego dnia wędrówki, gdy zjedliśmy ostatnie okruszki rozdanych jeszcze we Władysybirsku racji. Drogę zagroziły nam skały, czerwone zbocza wyrastały bezpośrednio z morza traw. Na górze, na wyzywająco wysokim maszcie łopotał sztandar Federacji, a tuż obok niego nasza, nowokrymska, a raczej rosyjska trójkolorowa flaga. Przed pasmem górskim, obok każdego zagajnika i każdej grupki drzew aż kipiało od imperialnego sprzętu. W sporej odległości od skał żołnierze zaryli się w ziemi, jakby szykując się do długiej obrony. Już z daleka zauważyłem stanowiska artylerii rakietowej, polowe stacje wystrzeliwania zwiadowców bezzałogowych, ozdobione czerwonymi krzyżami sześciany i prostopadłością szpitali polowych -- wyglądało to tak, jakby Czwarta Rzesza planowała długotrwały szturm fortyfikacji przeciwnika.

Przez cały czas pamiętałem o oddziałach zaporowych i o tym, co nas czekało, jeśli zdołamy dotrzeć do swoich -- staranna kontrola, a może nawet proces pokazowy. Ale nie po to spędziłem tyle miesięcy w Tannenbergu, żeby nie poznać możliwości własnego kombinezonu bojowego. Pobawiłem się trochę mnemochipem, który miał również opcję rejestracji rozmów prowadzonych drogą radiową. W razie gdyby imperialni wzięli nas do niewoli, fałszywe nagrania można skasować jednym dotknięciem palca, żaden specjalista do niczego by się nie dokopał.

Długo by opowiadać o naszym przemykaniu się między wszechobecnymi żołnierzami

wroga. Przestaliśmy się kryć przed helikopterami, bo kręciło się tu wielu żołnierzy w „bezosobowych” kombinezonach. Demaskujące nas trójkolorowe emblematy starliśmy -- i było w tym coś wstydliviego. Czulem się jak ci żołnierze, którzy w czterdziestym pierwszym, gdy znaleźli się w okrążeniu, niszczyli dokumenty, zrywali pagony i naszywki.

Ale nie czas na sentymenty i fałszywe bohaterstwo. Teraz przede wszystkim musimy się stąd wydostać. Muszę wyprowadzić swoich dwóch bojowników, uratować przynajmniej ich. Oddziały imperialne napierają i teraz to już nie policyjna, lecz prawdziwa wojskowa operacja. A to oznacza, że obrona musi przebiegać zupełnie inaczej, jeśli w ogóle można tu mówić o jakiegokolwiek obronie.

W końcu jednak, podczas rzadkiej na Nowym Krymie bezgwiezdnej nocy, gdy z niedalekiego oceanu nasunęły się chmury, zasnuwające niebo od horyzontu po horyzont, przecięliśmy linię frontu. Tam, gdzie szeroka szosa nurkowała w dolinę przecinającą skały, nie było sensu się pchać -- zarówno oddziały imperialne, jak i obrońcy Nowego Krymu umocnili to miejsce do granic możliwości.

W nocnych ciemnościach wspięliśmy się na skały. Kotwiczka z linką znajdowały się w wyposażeniu każdego pancerza imperialnego, a w pancerzach oddziałów karnych była również niewielka, ale mocna wciągarka, bardzo ułatwiająca wspinaczkę. W Tannenbergu nie zetknąłem się z czymś takim.

Przewaliliśmy się przez grzbiet góry, ciągle nie wierząc, że nikt nie zauważył nas z dołu, ale okazało się, że zagrożenie jest właśnie po tej drugiej stronie. Nim zdążyliśmy odsunąć się od krawędzi, ujrzelśmy wycelowane w nas lufy karabinów.

--Rzucić broń! Ręce do góry! -- syknął jakiś głos w ogólnoimperialnym, z wyraźnym akcentem, którego nie rozpoznałem. Nie nasz, nie górników z Borga, którego z niczym nie da się pomylić...

Wykonaliśmy rozkaz.

--Spokojnie, chłopcy, spokojnie, jesteśmy z 1. Ochotniczej, nazywam się sierżant Aleksander Siergiejew. Cztery dni szliśmy z Władysybirsk...

--O tym opowiesz gdzie indziej, przyjacielu -- warknęli.

Podnieśli nas na nogi i pogonili w głąb pozycji.

Na grzbiecie pasma górskiego, wśród potężnych, ustawionych pionowo głazów, które żartobliwie nazywano menhirami, znajdowała się pozycja obrońców Nowego Krymu. O dziwo, bojownicy nie nosili pancerzy, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że Dariana Dark szykuje się do wypuszczenia na nas Roju. Nie lada gratka -- za jednym zamachem spacyfikowałyby zbuntowaną planetę i korpus armii imperialnej. Co się zaś tyczy przesiedleńców, to zaraz się rozejrzemy i sprawdzimy, czy ich tu gdzieś widać...

Nocą miałem co prawda niewielkie szanse zobaczenia czegokolwiek, ale nigdzie nie słyszałem charakterystycznej wymowy górników. Przypadek? Być może. Ale gdyby przesiedleńców umieszczono na pierwszej linii, mielibyśmy większe szanse na nich wpaść niż ich ominąć.

Inga i Kostia najpierw żywiłowo ucieszyli się ze spotkania z naszymi, a potem nie mniej żywiłowo protestowali przeciwko oddaniu zdobycznych pancerzy i steierów. Tutaj, o ile mogłem się zorientować, używano wyłącznie 93-k.

--Towarzyszu sierżancie, gdzie oni nas ciągną? -- spytała Inga drżącym głosem.

--Nic takiego, mała, po prostu chcą nas sprawdzić. Zawsze tak sprawdzali tych, którzy wyszli z okrażenia. Zawsze. -- Próbowałem ją uspokoić. Liczyłem na to, że nie uczyła się zbyt pilnie historii i nie wie, ilu takich, którzy wyszli z okrażenia w czterdziestym pierwszym, rozstrzelały oddziały zaporowe, bez sądu i śledztwa, w ramach walki z dezertkami i panikarzami...

Nie pomyliłem się. Zagonili nas do namiotu, wciśniętego między trzy potężne skały i osłoniętego z góry czwartym kamieniem, niczym prawdziwy dolmen. Kaprys natury? Kiedyś w tym miejscu, tak samo jak obok menhirów, całkiem na serio szukano śladów protokrymskiej cywilizacji.

Na „kontrolę” wpychali nas pojedynczo po uprzednim obdarciu nas z pancerzy. Przy okazji bezceremonialnie obmacali Inge -- a mnie i Kostię w tym czasie trzymali na muszce. Nie mogłem zrozumieć, co to za ludzie i skąd się tu wzięli. Nie nasi z Nowego Krymu, nie dzielni Francuzi z dywizji Cambrai... Wszystkie rozmowy prowadzono wyłącznie w ogólnoimperialnym.

Mnie przesłuchiowano jako pierwszego.

Trzech typów w mundurach Federacji, ze wszystkimi dystynkcjami. Rzadko się takich spotykało na Nowym Krymie. Gwiazdki, dziwaczne akselbanty i nieznane naszywki nic mi nie mówiły.

--Sierżant Siergiejew? Aleksander Emeljanowicz? -- zapytał sucho siedzący przy stoliku oficer z dwiema wielkimi gwiazdami na złotych pagonach. Czyżby podpułkownik?

Wymawiał rosyjskie nazwisko i imiona z błędami, ale nadal nie mogłem dociec, skąd ten człowiek pochodzi.

--Tak jest, towarzyszu pułkowniku! -- zaraportowałem, stając na baczność i wytrzeszczając oczy.

We wszystkich armiach świata dowództwo jest jednakowe.

--Żeton -- zażądał drugi, z jedną gwiazdą. Major?

Zdjąłem łańcuszek z szyi. Trzeci oficer, sądząc z trzech małych gwiazdek, porucznik, wsunął żeton do skanera i na ekranie pojawiło się moje zdjęcie, en face i z profilu oraz linijki akt. Proszę, proszę, żadna tam improwizacja, naprawdę bardzo porządna lewizna. Było tu wszystko -- pliki medyczne od dnia narodzin, oceny otrzymane w pierwszej klasie, pierwsze wypracowanie, książki i filmy wypożyczone przeze mnie w bibliotekach, a nawet debety na kartach kredytowych!

--Palce -- zakomenderował porucznik. Wykonałem polecenie.

--Taak... -- powiedział przeciągle porucznik. -- Słuchajcie, Siergiejew, proponuję, żebyście dobrowolnie opowiedzieli przedstawicielom Kolegium Specjalnego wszystko o waszej działalności zdrajcy oraz podali nazwiska waszych pomocników. Uprzedzam, że inni zdrajcy z waszej dywizji już się do wszystkiego przyznali i zeznali o przestępczym oddaniu Władysybirskiemu imperialnemu okupantom...

Niewielu nas wyszło z tego okrażenia, pomyślałem. Trójka takiego kalibru -- podpułkownik, major i porucznik -- powinna sędzić generałów, a nie jakiegoś tam sierżanta ochotnika, który jest w szeregach od tygodnia.

--Melduję, że nic nie wiem! -- Usilnie wytrzeszczałem oczy na pułkownika, starając się, by w moim wzroku odmalowała się tępota i oddanie. -- Dowodziłem drużyną. Broniliśmy się. Straciłem trzech ludzi podczas starcia przy farmie...

--Jakiej znowu farmie?

--Melduję, że nie wiem, towarzyszu majorze, nie wydano nam map!

--No dobrze, a potem?

--Otrzymaliśmy rozkaz i wycofaliśmy się. Zajęliśmy stanowiska w mieście i tam w czasie walk zginęło kolejnych pięciu. Zostaliśmy otoczeni i z dwoma ostatnimi bojownikami wydostałem się z miasta. Szliśmy na zachód, do swoich. -- Rozłożyłem ręce. -- No i doszliśmy.

--A czy dotarł do ciebie, sierżancie, rozkaz dowództwa naczelnego o całkowitym zakazie opuszczania powierzonych pozycji? Odczytano ci go i dano do podpisania?

--Melduję, że tak! -- zaraportowałem rażno, nadal udając idiotę.

Pułkownik uniósł się z krzesła, świdrując mnie wzrokiem.

--Dlaczego w takim razie opuściłeś zajmowane pozycje, zdrajco jeden?! Był rozkaz dowództwa naczelnego na pozostawienie Władysybirskaja?!

--Melduję, że był! -- odpowiedziałem tym samym tonem, z oddaniem wpatrując się w zwierzchników.

„Trójka” stropiła się. To jednak nie byli prawdziwi specjaliści, tamci szakale przesłuchań, i zdaje się, że z jakiegoś powodu nie mogli albo nie chcieli rozstrzelać mnie bez sądu i śledztwa. Bezlitosna Dariana Dark, czyżbyś nie mogła dobrać sobie godnych siebie wykonawców? A nawet jeśli dobrałaś, to na tę trójkę ich nie wystarczyło.

--I w jakiż to sposób wam go przekazano, Siergiejew? -- zapytał złośliwie drugi tajniak.

--Drogą radiową, towarzyszu majorze, byliśmy przecież w zdobycznych kombinezonach. Wydano rozkaz opuszczenia miasta...

--Ach tak? Przez radio? A można posłuchać? -- rzucił drwiąco pułkownik.

--To nie był przekaz słowny -- wyjaśniłem. -- Tylko zakodowany napis na ekranie, dla tych, którzy mieli zdobyczne kombinezony.

Nie uwierzyli. Sprawdzili. Wszystkie trzy helmy posłusznie odtworzyły wiadomość z rozkazem, w którym była mowa, że oddziały broniące miasta w takim to a takim sektorze mają natychmiast opuścić miasto i na własną rękę przebić się do Armii Narodowej.

Zwykły ochotnik nigdy nie wpadłby na to, jak wygenerować taką wiadomość. Nie sądzę też, żeby umiały to zrobić te nadęte bubki ze złotymi pagonami. W tym celu należy każdego dnia zasypiać i budzić się w kombinezonie bojowym, rozbierać go na części pierwsze i składać na nowo, co regularnie robiliśmy w Tannenbergu, no i oczywiście trzeba mieć też łeb na karku i pamiętać wszystkie podstawowe układy. Doświadczony elektronik szybko rozgryzłby mój podstęp, ale liczyłem, że w „trójce” nie będzie elektroników, tylko łajdacy różnej maści i kalibru, nieobciążeni wiedzą, która mogłaby jedynie przeszkadzać w obiecującej karierze.

Pułkownik miał wypisane na twarzy pragnienie postawienia mnie pod ścianą, ale... Ale zdaje się, że Dariana Dark ciągle potrzebowała ochotników i nie odważyła się urządzić masowej eksterminacji żołnierzy wydostających się z tyłów wroga. Dla mnie, Kostii i Ingi cała sprawa skończyła się kompanią karną. Otrzymany przeze mnie zakodowany rozkaz został uznany za „imperialny falsyfikat”, który zobowiązany byłem rozpoznać, albowiem rozkaz dowództwa naczelnego wyraźnie zabraniał jakichkolwiek działań defensywnych. Otrzymaliśmy mimo to możliwość „odkupienia krwią swoich przestępstw wobec ojczyzny”...

Inga i Kostia trzymali się bardzo dobrze. Tak jak ich uczyłem, wytrzeszczali oczy i zapewniali, że otrzymali rozkaz. Miałem nadzieję, że ich jednak wypuszczą, ale widocznie

kompanie karne potrzebowały uzupełnienia.

Zamknęli nas w zaimprovizowanym areszcie, zakładając kajdanki na ręce i skuwając nogi, niczym katorżnikom z XIX wieku, a nazajutrz odprowadzili pod konwojem do pozycji kompanii karnej. Ani kombinezonów, ani steierów nie odzyskaliśmy.

Dobrze pamiętałem, jak wyglądały kompanie karne w czasie II wojny światowej, ale tutaj, w tej zupełnie nowej wojnie, świeżo upieczeni „członkowie” takiej jednostki byli albo ochotnikami z Nowego Krymu, albo niedobitkami z francuskiej Cambrai. Znajomych, niestety, nie spotkaliśmy. Czyżby cały nasz pluton, prócz dwojga dzieciaków z mojej drużyny, poległ we Władysybirsku?

Broń nam wydano (niezmiennie 93-k), ale amunicji dostaliśmy tylko jeden magazynek. Znajdowaliśmy się dokładnie w tym miejscu, w którym szeroka szosa przecinała góry i za naszymi plecami faktycznie pojawił się uzbrojony po zęby oddział zaporowy mający rozstrzeliwać „tchórzy i panikarzy”.

Dowódca kompanii karnej, Francuz z obandażowaną głową, szarą twarzą i ołowianymi cieniami pod oczami, obojętnie wysłuchał meldunku naszych konwojentów. Kilka wciśniętych klawiszy i zostaliśmy wprowadzeni na listę.

Zdążyliśmy wyfasować skąpą rację żywnościową i jako tako urządzić się na odsłoniętych pozycjach, gdy Imperium uznało, że wystarczy tego próżnowania.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet.

Uroczysta i posępna melodia, na ekranie łopocze flaga Federacji, spowita kłębam dymu i lizana językami płomieni. Na tym tle pojawia się Dariana Dark we własnej osobie, ubrana w zwykły mundur szeregowego bojownika brygady międzynarodowej; włosy ściągnięte słynną czerwoną opaską. Dariana patrzy z powagą prosto w oczy widzów i zaczyna przemawiać w języku ogólnimperialnym, a na dole ekranu biegną rosyjskie napisy, jakby ktoś na Nowym Krymie nie znał ogólnimperialnego.

--Towarzysze! Obywatele! Bracia i siostry! Bojownicy naszej armii i floty! Wojska faszystowskie podstępnie zaatakowały naszą spokojną ojczyznę. Trwają walki. Mimo heroicznego oporu Armii Narodowowyzwoleńczej, mimo że najlepsze dywizje nieprzyjaciela, najlepsze oddziały jego lotnictwa zostały rozbite, a żołnierze znaleźli swoje mogiły na polach walki, wróg nadal podąża naprzód, rzucając na front nowe siły. Wojskom Imperium udało się zająć znaczną część planety Szajtan oraz otoczyć nasze wojska w ostatnim kosmoporcie. Teraz wróg wylądował na Nowym Krymie, pragnąc pozbawić ludność Federacji niewyczerpanych zapasów żywnościowych i zajmując spory obszar planety. Imperialna flota wysyła swoje monitory do Smithsonii i Nowego Utah, rozszerzając rejon działań.

Jak to się stało, że nasza waleczna armia oddała imperialnym wojskom szereg naszych miast, a nawet planet? Czy wojska faszystowskie rzeczywiście są niezwyciężone, jak utrzymują imperialni propagandziści?

Nie, nie i jeszcze raz nie! Historia pokazuje, że niezwyciężonych armii nie ma i nigdy nie było! A stało się tak wyłącznie dlatego, że armia Imperium nie napotkała dotąd prawdziwego oporu. To prawda, że osiągała sukcesy, tłumiąc powstania narodowe przeciwko krwawej, imperialno-faszystowskiej dyktaturze, ale dopiero na terytorium naszej Federacji napotkała prawdziwy opór. Skoro w rezultacie tego oporu najlepsze dywizje armii Imperium zostały rozbite przez Armię Narodowowyzwoleńczą, to znaczy, że oddziały imperialne mogą zostać i

zostaną rozbite, podobnie jak została złamana potęga zakonu krzyżackiego pod Grunwaldem, jak pokonano wojska Fryderyka II w wojnie siedmioletniej, armię cesarza Wilhelma II w I wojnie światowej oraz zastępy Adolfa Hitlera w II wojnie światowej, którego ideały przejęła dzisiejsza dyktatura imperialna. Możemy liczyć tylko na siebie i na broń zemsty, stworzoną przez naszych uczonych. Jeśli dysponujący setkami planet okupant myśli, że zdoła zdławić nas przewagą liczebną, to bardzo się myli. Obrona naszych wojsk na Nowym Krymie krzepnie z każdym dniem, dzielni obrońcy Północnego na planecie Szajtan nie poddają się, zadając wrogowi coraz to nowe straty. Nie wolno nam zapominać, że nieprzyjaciel od dawna trzymał swoje wojska w pełnej gotowości do wojny, a my musieliśmy działać w pośpiechu. Nie mając ciężkiego uzbrojenia, mogliśmy liczyć jedynie na to, co uda nam się zdobyć w walkach z armią wroga. Dzisiaj nasze fabryki wypuszczają czołgi, samoloty, rakiety i statki kosmiczne, ale przewaga liczebna nadal jest po stronie nieprzyjaciela. Chociaż zasypały nasze pozycje trupami swoich żołnierzy i wrakami sprzętu, oddziałom imperialnym mimo wszystko udało się odnieść pewne sukcesy.

Musimy teraz wyteńczyć wszystkie siły, żeby odeprzeć zniechęconego wroga. Wojska Imperium zagrażają mojej ojczystej planecie, Nowemu Kowenantowi, gdzie zostali moi bliscy. Radzono mi, abym skorzystała ze swojej pozycji i wywiozła krewnych w bezpieczne miejsce, ale nie mogę tego zrobić, mimo że kocham moich braci i siostry, licznych kuzynów i kuzynki. W tych dniach wielu obywateli Federacji pozbawiono majątków, wielu straciło swoich ukochanych, wielu poległo śmiercią walecznych. Mogę jedynie marzyć, by dzielić z narodem Federacji wszystkie trudności i braki.

Bracia i siostry! Naszej Federacji dano jedynie kilka miesięcy pokoju. Ledwie zdążyliśmy utworzyć Rząd Tymczasowy i zorganizować nasze życie, gdy imperialni przestępcy zadali nam ten okrutny i podstępny cios. Liczyli na to, że uda im się pokonać nas w ciągu kilku dni, ale się przeliczyli. Walki o planetę Szajtan trwają od dawna, oddziały Imperium poniosły bardzo ciężkie straty, cięższe, być może, niż w ciągu całego swojego istnienia. I wtedy nieprzyjaciel postanowił pozbawić nas zapasów żywności i zaatakować planetę Nowy Krym. Orbity wokółplanetarne są pełne szczątków jego monitorów zniszczonych przez naszą obronę przeciwkosmiczną. Wróg posłał swoje statki na pewną śmierć, bez wahania poświęcając życie żołnierzy i oficerów. Przelali wiele krwi, choć w końcu udało im się wylądować i zająć teren. Ale bojownicy Armii Narodowowyzwoleńczej pozostali niezłomni, ślepo ufając swoim dowódcom i rządowi, który dał im wolność. Już niedługo nadejdzie dzień, w którym zadamy wrogowi miazdzący cios naszą tajną cudowną bronią. A na razie musimy wytrwać, walczyć o każde wzgórze, każdy dom i każdą ulicę.

Nasza sprawa jest słuszna. Rozbijemy wroga w pył, jak mawiali nasi bohaterscy przodkowie, zwycięstwo należec będzie do nas!...

Imperialna artyleria -- zarówno raketowa, jak i lufowa, helikoptery szturmowe oraz rakiety operacyjno-taktyczne -- wszystko to spadło na nasze pozycje niczym gigantyczny młot boga Thora. Noc stała się dniem, ziemia stanęła dęba niczym narowisty koń, falując jak wzburzone morze. Ogluchliśmy od huk i łoskotu, na szczytach skał szalał ogień.

Nacierający korpus nie żałował amunicji. Mieliśmy szczęście -- pierwsze pociski termobaryczne, zdolne wypalić wszystko wokół, spadły daleko od naszej szczeliny i zdążyłem wyszarpnąć skulone na dnie, zaspane dzieciaki. Teraz mogliśmy już tylko biec przed siebie, na

wroga, dopóki imperialni nie zmienią celu i rozpalony obłok nie nakryje pierwszej linii, w której leżała kompania karna. A wtedy już nikt nie zdoła odkupić swoich przestępstw krwią, ponieważ krew nie zostanie przelana -- wszyscy spłoną żywcem. Zostanie jedynie popiół.

Przelotnie zauważyłem, że po naszej prawej i lewej stronie biegną do przodu nasi towarzysze niedoli -- widocznie nie tylko ja wiedziałem, czym jest atak termobaryczny. Na naszych pozycjach wybuchały również zwykle pociski, nad głowami rozrywały się szrapnele, zasypując wszystko wokół tysiącami maleńkich strzałek przebijających na wylot nieochronione pancerzem ciało człowieka. Jeśli ktoś nawet zdążył krzyknąć, jego krzyk tonął w ryku i huku nieprawdopodobnej kanonady. Padliśmy, wtulając się w zbawczą ziemię i jedyną moją myślą było: Już po nas...

Trzy razy pękał nad nami szrapnel i trzy razy dopisało nam szczęście. A gdy kolejny pocisk termobaryczny wybuchł w gardzieli przejścia, byliśmy już daleko.

Leżeliśmy, nawet nie próbując podnieść głowy. Huk artylerii wciąż nie milkł, pociski spadały teraz w głębi naszej pozycji obrony, a tuż obok nas, w stylu klasycznych ataków II wojny światowej, sunęły czołgi szturmowe i bojowe wozy piechoty, w górze zaś buczały wirniki helikopterów. Zapowiadało się kombinowane natarcie, zdaje się, że na tyłach obrońców tego pasma górskiego planowano wysadzić desant, choć, moim zdaniem, niepotrzebnie -- w szczelinach i okopach raczej nikt nie przeżył.

Nie pomyliłem się. Gdy ogień artyleryjski w końcu ucichł, na tle triumfalnego ryku silników czołgów nie usłyszałem nawet jednego strzału. Otulone dymem skały wydawały się martwe.

Leżeliśmy, nie wiedząc, której z niebiańskich sił dziękować za nasze ocalenie i nawet nie próbowaliśmy sięgać po karabiny. A gdy zaczęło świtać, ujrzałyśmy niekończącą się kolumnę imperialnego sprzętu pancernego, wpełzającą niczym lśniącą, czarna żmija w wąską gardziel szosy. Niedawny pas ziemi niczyjej nikogo już nie interesował, nieprzyjaciel zmiotł obronę ogniem niespotykanej mocy. Pomyślałem z podziwem o niezłomności brygad międzynarodowych, które na Szajtanie trzymały się, mimo takich właśnie ognistych szkwałów. Bo przecież się trzymali, odpierali ataki imperialnych, Północny bronił się nadal...

A potem, gdy kolumna jadącego na zachód sprzętu z czarnymi krzyżami w białym obramowaniu już przejechała, spostrzeżyliśmy wysuwającą się z lasu jeszcze jedną kolumnę. Widoczność była dobra -- mieliśmy przed sobą co najmniej dwukilometrową otwartą przestrzeń. Postanowiłem poczekać. Podniosłem do oczu cudem ocalałą lornetkę i oszołomiony ujrzałem znajomy do lez emblemat -- trupa główkę, nad którą umieszczono jeszcze jeden, nieznan mi symbol: gryzącego własny ogon węża z koroną na głowie. Oddział z dywizji Totenkopf, ale co miał oznaczać ten symbol? Nigdy przedtem w Nowej Rzeszy pułki nie miały własnych emblematów!

--Macie leżeć i żeby mi się nikt nie ruszał! -- syknąłem na wszelki wypadek, bo Kostia już celował do jadącego na przedzie czołgu. A nuż chłopakowi puszcza nerwy? Oficera w luku załatwi bez problemu, tylko co potem?

Kolumna się zbliżała, a my, prawie zasypani ziemią, leżeliśmy w głębokim leju pięćdziesiąt metrów od szosy, na skraju tego, co niegdyś było lasem.

Oddziały imperialne jechały z dużą pewnością siebie, żeby nie powiedzieć -- bezczelnością. Z luków wysunęli się żołnierze, wielu z nich nie miało na sobie pancerzy. Zdaje się, że moja dawna dywizja już nikogo i niczego się nie bała. Czyżby uznali, że ostatni obrońcy poległi we

Władysybirsku?

Dopiero gdy kolumna podeszła bardzo blisko, udało mi się dojrzeć wypisany gotykiem półokrągły napis widniejący nad tarczą z czaszką i koronowanym wężem.

Tannenberg.

Przyznaję, że byłem w szoku... chociaż, jak się dobrze zastanowić, co w tym dziwnego? Skoro przerzucono nawet 1. Zmotoryzowaną, dlaczego właśnie Tannenberg miałby stać z boku? Możliwe, że imperialny Sztab Generalny uznał prawdopodobieństwo żołnierskich sentymentów za bardzo znikome, skoro więc przybyła tu cała 3. Dywizja Desantowa Trupia Główka, dlaczego miałyby zabraknąć przypisanego do niej samodzielnego pułku?

Najwyraźniej mieszkańcom Nowego Krymu udało się wystraszyć imperialnych. Do walki ruszyły prawdziwe wojska, nie tylko oddziały karne -- stąd chyba ten morderczy ostrzał artylerii.

Tannenberg został poważnie wzmocniony, za moich czasów w tym czysto desantowym oddziale nie było żadnych czołgów! A teraz... Popatrzcie tylko na nich!

Za czołgami ciągnął długi sznur bwp, na przemian z artylerią szturmową i wyrzutniami broni raketowej.

Obejrzałem się na moje dzieciaki. Ubrudzeni ziemią, w podartych szturmówkach... i pewnie przygotowani do ostatniej walki w swoim życiu. Ale ja potrzebowałem Tannenberga! No cóż, miałem już okazję przywyknąć do roli zdrajcy...

Pierwsze czołgi przejechały właśnie obok nas, gdy wyprostowałem się powoli i podniosłem rękę do góry.

Inga krzyknęła coś zdławionym głosem, a ja zdążyłem kopniakiem wytrącić karabin z rąk Kostii, który właśnie miał zaimplementować rozkaz dotyczący bezwzględnej likwidacji zdrajców, panikarzy i tym podobnych indywiduów.

Zauważono nas. Kolumna nie zwolniła, ale jeden z bwp ostro skręcił w bok (jeśli można się tak wyrazić o ciężkim pojeździe gąsienicowym). Starszy kapral, do pasa wysunięty z wjazdu, odchylił osłonę helmu.

Mikki! Mikki Varialainen! Mikki, który dosłużył się starszego kaprała, patrzył na mnie jak na ducha. Bwp ostro wyhamował i mój niedawny podwładny zeskoczył na ziemię.

--Pan poru... Ruslan... -- Nie bardzo wiedział, jak ma się do mnie zwracać. Oficjalna wersja brzmiała, że przebywam w przeciągającej się delegacji.

--Wszystko w porządku, Mikki, to ja -- odpowiedziałem w imperialnym. -- Gdzie podpułkownik Vallenstein? Muszę się z nim pilnie zobaczyć.

--Tak jest, panie poruczniku! -- Fin stanął na baczność, ostatecznie uznając moje zwierzchnictwo. -- A kto jest z panem?

--Miejscowe dzieciaki. Trzeba je nakarmić, zaopatrzyć na drogę w żywność i środki medyczne oraz wypuścić. Niech idą, gdzie chcą. Bardzo mi pomogli.

Za Mikkim zeskoczyło z wozu trzech żołnierzy. Opuścili wycelowane w Inge i Kostię karabiny. Dzieciaki patrzyły na to wszystko z oblędem w oczach.

--Wiem, co robię -- odezwałem się do nich po rosyjsku. -- Rozładujcie karabiny. Oddajcie naboje.

Kostia i Inga wykonali polecenie jak we śnie.

--Władcie na górę -- zarządziłem -- i nie bójcie się. Wszystko będzie w porządku.

Inga posłusznie weszła na wóz, ale Kostia chyba kompletnie stracił głowę. Skoczył w bok niczym zając i pewnie wpadłby pod kule, gdyby nie pochwycił go Mikki.

--Kostia! Spokój! -- huknąłem po rosyjsku, ale chłopak wpadł w histerię i szarpał się, dopóki nie unieruchomiło go dwóch nieznanych mi żołnierzy Tannenberga.

--Odpowiadasz za nich, kapralu, rozumiano? -- powiedziałem.

--Tak jest, panie poruczniku!

--A teraz daj mi przewodnika do Vallensteina.

--Tak jest! Hej, Benda! Zostaniesz z panem porucznikiem. Zaraz przekażę informację...

Benda stanął obok mnie, a bwp Mikkiego ryknął i zaczął nabierać prędkości, doganiając kolumnę i wracając na swoje miejsce.

Podpułkownik Joachim von Vallenstein rzadko korzystał z usług sztabowego pociągu pancernego, wołąc lekkie dżipy. Teraz, omijając niekończącą się kolumnę Tannenberga, jego samochód przemknął poboczem i ostro wyhamował tuż przede mną. Pospiesznie wyprężyłem się na baczność.

Pułkownik nie zmienił się, tylko oczy miał zapadnięte z niewyspania i błyszczące gorączkowo. Przyjął mój raport zgodnie z regulaminem.

--Dziękuję za wzorowe wykonanie zadania, poruczniku, i... witamy z powrotem w Tannenbergu. Nie jesteśmy już pułkiem, lecz prawdziwą brygadą. -- Uśmiechnął się samymi wargami. -- Proszę, niech pan siada. Musimy porozmawiać o wielu sprawach. Z okazji takiego spotkania można się nawet przejechać w tej trumnie -- zażartował, gdy obok nas zwoził sztabowy pociąg.

Wskoczyliśmy na podnóżek. Pancerne drzwi się otworzyły i ujrzałem... Gilvy we własnej czarującej osobie! W kombinezonie polowym, z dwiema jasnozielonymi naszywkami sierżanta (ho, ho! kolejny awans!) na lewym rękawie. Gilvy nieregulaminowo przycisnęła dłoń do twarzy, wytrzeszczyła oczy, a potem niespodziewanie rzuciła mi się na szyję.

--Spokojnie, pani sierżant -- powiedział kpiąco stojący za moimi plecami Vallenstein. -- Pozwoli pani, że najpierw wejdem, a potem może pani dać upust przepelniającym ją uczuciom...

Czerwona jak piwonia Gilvy odskoczyła ode mnie i Vallenstein wszedł na podnóżek pancernego lewiatana.

Wnętrze wagonu pancernego mnie nie zaskoczyło. Konsole, bloki elektroniczne, holograficzne urządzenia symulacji panoramicznej, monitory przedstawiające sytuację w trybie czasu rzeczywistego, komputery, urządzenia szyfrujące, nadajniki i tak dalej. Zdumiało mnie tylko jedno -- przed ekranami siedziały prawie wyłącznie kobiety.

Gilvy wypadła jak huragan z tylnego pomieszczenia, już w czarnym, codziennym mundurze: na prawym pagonie runy SS, na lewym ukośny pasek i pojedyncza rozetka sierżanta.

--Gratuluje szczęśliwego powrotu, panie poruczniku, oraz pomyślnego wykonania zadania dowództwa!

--I właśnie o tym wykonaniu porucznik zaraz mi zamelduje. -- Vallenstein był chyba w świetnym humorze. -- Zadbajcie o poufność naszej rozmowy, sierżancie.

--Tak jest, panie pułkowniku!

W transporterze był maleńki „gabinet” dowódcy pułku, żywo przypominający przedział prądowego pociągu stanowiącego jeden z eksponatów naszego muzeum kolejnictwa.

Otwierana kuszetka, mały stolik z panelem komputera, monitor na ścianie i dwa składane krzesła. Na stoliku hologram: jasnowłosa, roześmiana kobieta obejmuje dwójkę dzieci, dziesięcioletniego chłopca i pięcioletnią dziewczynkę.

--Proszę siadać, panie poruczniku -- powiedział Vallenstein tonem służbisty, dając mi do zrozumienia, że na razie nie należy się wychylać z nadmierną szczerością.

Usiadłem posłusznie, a pułkownik wyjął z wewnętrznej kieszeni coś w rodzaju palmtopu i zaczął naciskać klawisze. Za panelami ścian coś włączało się i wyłączało z lekkim szumem.

--Teraz już możemy swobodnie rozmawiać, Ruslanie. I zostawmy w spokoju rangi -- powiedział mój rozmówca po rosyjsku. Na szczęście w tej klatce dość łatwo odnaleźć pluskwy, a przed zewnętrznym skanowaniem zabezpieczyli ją konstruktorzy. -- Vallenstein przeszedł na ogólnoimperialny. -- Otrzymałmisi twoją wiadomość. Fakt, że Dariana Dark nie do końca jest człowiekiem, nadaje wydarzeniom nieco inny wymiar.

--Szkoda, że nie wiadomo, gdzie ona teraz przebywa. -- Westchnąłem. -- Ale w tej chwili nie to jest najważniejsze. Przede wszystkim należy powstrzymać wojnę na Nowym Krymie.

Vallenstein sposepniał.

--Moi ludzie w Sztapie Generalnym musieli się nieźle nagimnastykować, żeby wysłano tu Tannenberg. Doszło do wycieku informacji...

--Moich informacji? O konflikcie między przesiedleńcami i mieszkańcami Nowego Krymu?

--Właśnie. -- Vallenstein skinął głową. -- Początkowo sądziliśmy, że uda nam się przeforsować pomysł precyzyjnej operacji małego formatu, przeprowadzonej wyłącznie przez naszą brygadę. Zajęcie kosmoportu i Nowego Sewastopola, rozbrojenie i internowanie formacji przesiedleńców, zawarcie kompromisu z umiarkowanymi działaczami Dumy, szeroka autonomia Nowego Krymu w składzie Imperium.

--I to wszystko miałyby zrobić jedna brygada? -- Nie wierzyłem własnym uszom.

--Po pierwsze, wzmocniona, a po drugie, co to za brygada! -- Vallenstein uśmiechnął się. -- Poza tym, gdyby ruch oporu został pozbawiony przywódcy...

--Przecież nie wiadomo, gdzie właściwie ukrywa się Dariana!

--Dowiedzielibyśmy się. Bez względu na szyfry, można doprowadzić do przejęcia absolutnie wszystkich wiadomości elektronicznych w skali planety. Oznaczałoby to kupę zawracania głowy, ale dysponujemy takimi możliwościami technicznymi, a gra byłaby warta świeczki. Musielibyśmy jedynie nieco dłużej wisieć nad Nowym Krymem i podkręcić śrubę kryptografom.

--A w tym czasie Dariana przerzuciłaby tu tyłu przesiedleńców, że potrzebna byłaby cała imperialna armia pancerna!

--To nie tak, Ruslanie. Mówię ci, gdybyśmy tylko odnaleźli jej kryjówkę i wysadzili tam desant...

--A gdyby popełniono błąd?

--Ewakuowalibyśmy się. Niszcząc przy tym, niestety, starannie zachowaną ekologię twojej planety, no ale... Radioaktywność nie należy do najprzyjemniejszych rzeczy, ale mimo wszystko nie powoduje totalnej zagłady wszystkiego, co żyje.

--Czyli powodzenie całej operacji zależałoby od znalezienia Dariany?

--Nie tylko. -- Vallenstein pokręcił głową. -- Jak już mówiłem, bardzo istotne byłoby zajęcie Nowego Sewastopola i przylegającego do niego portu. Wzięciem do niewoli Dariany i

jej sztabu zajęłaby się samodzielna grupa taktyczna, złożona, dajmy na to, z dwóch wzmocnionych kompanii.

--Ponieważ jednak ten plan nie uzyskał aprobaty, Sztab Generalny postanowił przeprowadzić operację policyjną.

--Nie do końca. Sztab Generalny poparł nasze sugestie -- wyjaśnił Vallenstein -- ale wtedy włączyły się inne siły. Przede wszystkim kontrwywiad i służba ochrony cesarza. Ci nalegali na szeroko zakrojoną operację odwetową. Cesarz, jako wódz naczelny, odrzucił plan przedstawiony przez Sztab Generalny do zatwierdzenia i polecił opracowanie operacji pacyfikacyjnej. Trudno wyobrazić sobie gorszy wariant.

--Przecież to głupie -- powiedziałem bezsilnie.

--Głupie, ale niewykluczone, że skuteczne. -- Pułkownik westchnął. -- Na Nowym Krymie nie można zbyt długo bawić się w partyzantkę.

--A jednak coś poszło nie tak, skoro znalazła się tu 1. Zmotoryzowana i Trupia Główka.

--Jak zwykle. W sztabie spodziewali się, że dywizje ochronne zajmą Władysybirsk już drugiego dnia operacji.

--A dlaczego w pierwszym rzucie szli właśnie oni, a nie grupy uderzeniowe?

Vallenstein rozłożył ręce.

--Moi informatorzy w Sztabie Generalnym również tego nie rozumieją. Dwieście trzecia Dywizja Ochronna napotkała zacięty opór i poniosła znaczące straty, zwłaszcza podczas szturmów Władysybirsk. Wbrew oczekiwaniom, oddziały nowokrymskie nie skapitulowały przed frontem atakujących.

--Bo chyba nikt nie proponował im wtedy poddania się -- zauważyłem. -- Przynajmniej minimum...

--To mnie akurat nie dziwi. Nowy Krym i jego mieszkańcy nie są zbyt lubiani przez radykałów z najbliższego otoczenia Jego Wysokości. Nadal są tacy, którzy wierzą w teorie rasowe oraz w to, że ich misją jest odrodzenie Rzeszy nie tylko w sensie organizacyjnym, ale również ideologicznym. Uznano, że ludność Nowego Krymu została zdemoralizowana, stłamszona i nie jest gotowa do stawiania oporu. Ksenofobia wobec przesiedleńców miałaby, zdaniem tych panów, przewyższać strach i nienawiść wobec Imperium, bo przecież Imperium nie podniosło ręki na narodowość Nowego Krymu i jego język.

--Dziwne założenia...

--Zgadza się. Zdaje się, że oni po prostu doszli do wniosku, że jeśli Nowy Krym się podda, to dobrze, a jeśli nie, to jeszcze lepiej: będzie można zlikwidować wszystkich wicherzycieli. Wierz mi, o przeniesieniu na waszą planetę marzą nie tylko górnicy spod kopuł, wielu mieszkańców Wewnętrznych Planet również by tu chętnie zamieszkało. Stąd pomysł wysłania dywizji ochronnych. Operacje „oczyszczania terenu” to dla nich chleb powszedni. A gdy stało się jasne, że ochotnicy nie tylko się nie poddają, ale jeszcze walczą na śmierć i życie, że 203. poniosła ogromne straty i wkrótce trzeba ją będzie wycofać do przeformowania, wprowadzono drugi rzut, to znaczy nas. Ale teraz Tannenberg nie jest wykorzystywany jako brygada desantowa, tylko zwykła brygada zmotoryzowana o wzmocnionym składzie.

--Obronę przerwaliście -- zauważyłem -- cała wyspa jest w rękach Imperium... Obawiam się, że teraz zacznie się eksterminacja.

Vallenstein westchnął ciężko.

--To skandal okrywający hańbą Imperialne Siły Zbrojne. Żaden prawdziwy oficer nigdy nie zgodziłby się na przeniesienie do wojsk ochronnych, nigdy nie poda ręki temu, kto w nich służy i nigdy nie usiądzie z nim przy jednym stole...

Z trudem powstrzymałem uśmiech goryczy. Arystokracja... Nigdy nie brakowało tam ludzi gotowych pojedynkować się z powodu drobnego uchybienia, ale co mogłem zrobić, skoro mojej sprawy nie da się przerzucić na żadne inne barki?

--Musimy za wszelką cenę znaleźć Darianę i doprowadzić do kapitulacji, ale nie ochotników, lecz Federacji! -- powiedziałem zdecydowanie. -- Tylko w tym wypadku zdołamy uniknąć rozłamu.

--Absolutnie się z tobą zgadzam. -- Vallenstein skinął głową. -- Wszyscy moi spece od przejęcia elektronicznego i deszyfracji pracują dzień i noc. Mamy swoich ludzi w wojskowym wydziale zwiadu radiowego. Na pewno dowiemy się...

--Szkoda tylko, że do tego czasu Dariana zdąży wypuścić Rój -- przerwałem mu zgnębiony. -- Wspominałem o tym.

--Niestety -- rzekł sucho Vallenstein -- ta część twojej wiadomości została uznana za absolutnie niewiarygodną.

--Jak to?! Panie pułkowniku, więc pan również...

--Uspokój się, Ruslan. Nie, ja nie „również”. Doskonale potrafię sobie wyobrazić taką sytuację: na Nowy Krym zwabia się jak najwięcej wojsk imperialnych, a następnie wypuszcza Rój. Może Dariana panuje nad nim i jest w stanie powstrzymać te stwory od likwidowania poszczególnych grup ludzi, tych, które są jej potrzebne? Wychodząc z takiego założenia, powinniśmy być przygotowani do zniszczenia Roju.

--Jak na Iwoldze?

--Sądzę, że od tego czasu zdążyliśmy się czegoś nauczyć. -- Oczy Vallensteina rozbłysły. -- Nowy typ kombinezonów jest znacznie odporniejszy na atak chemiczno-korozyjny. Mamy nową broń. Myślę, że Rój połamie sobie na nas zęby.

--Przyszedłem tu z dwoma bojownikami, ochotnikami -- przypomniało mi się. -- Mam nadzieję, że zostaną wypuszczeni na wolność cali i zdrowi...

--Oczywiście, jeśli tylko przysięgną, że nie będą walczyć przeciwko Imperialnym Siłom Zbrojnym. -- Vallenstein skinął głową.

Miałem poważne wątpliwości, czy Inga, a zwłaszcza Kostia, złożą takie przyrzeczenie, ale nie spierałem się.

--Wiem, Ruslanie, że masz mi wiele do opowiedzenia o rozwoju sytuacji na Nowym Krymie i tak dalej... Ale w tej chwili nie jest to aż tak istotne. Nie ma też sensu, żebyś niepotrzebnie ryzykował i wracał za linię frontu. I tak miałeś niesamowite szczęście, że przeżyłeś podczas ostatniego ataku artyleryjskiego. Dowództwo korpusu dysponuje podwójnym zestawem ciężkiego uzbrojenia.

--Tam giną moi rodacy -- powiedziałem ciężko. -- Operacje pacyfikacyjne we Władysybirsku, których byłem naocznym świadkiem, nie pozostawiają im wyboru. Lepiej umrzeć z bronią w ręku niż czekać, aż przystawią ci lufę do karku i naciśną spust albo wyślą na Swaarg. Za wszelką cenę musimy doprowadzić do przerwania imperialnej agresji. Pertraktacje z tymi ochotnikami, którym udało się przeżyć, do niczego nie doprowadzą, Francuzi również zdecydowani są walczyć. Tylko odnalezienie Dariany może przerwać ten bezsensowny rozlew

krwi.

Vallenstein milczał. Duma oficera-arystokraty, przedstawiciela „rasy panów”, walczyła w nim ze zdrowym rozsądkiem.

--Oczywiście -- powiedział w końcu. -- Rozumiem. Jedność Imperium jest dla mnie... bardzo ważna, ale nie jest fetyszem ani celem uświęcającym wszelkie środki. Rozumiem, co masz na myśli, Ruslanie. Chodzi o to, by przekonać dowództwo korpusu o przerwaniu ofensywy obietnicą, że dostarczymy do sztabu Darianę Dark całą, zdrową i gotową do użytku.

--Nie przypuszczam, by dowództwo zadowolilo się obietnicami.

--Słusznie. Dlatego trzeba nie tyle obiecać, co zapewnić, pokazać, że znamy jej norę. Myślę, że można by... nieco naciągnąć fakty. -- Vallenstein z irytacją potarł podbródek. -- Ale dopiero wtedy, gdy pojawi się jakakolwiek informacja. A do tego czasu...

--Do tego czasu moi rodacy będą umierać pod imperialnymi pociskami.

Vallenstein odwrócił wzrok.

--Ruslanie, zrozum, zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy.

--Rozumiem. Ale rozumienie nie jest już nikomu potrzebne. Czy mogę być w jakiś sposób użyteczny?

--Możesz dołączyć do sierżant Patters, dowodzi pracującym tu zespołem.

Pokręciłem z powątpiewaniem głową.

--Nie sądzę, żebym mógł się do czegoś przydać. Nigdy nie zajmowałem się kryptografią.

--Nic nie szkodzi, teraz potrzebny jest nam każdy człowiek -- odparł niejasno Vallenstein, podając mi rękę. -- Nie musisz się martwić o tę dwójkę ochotników, Tannenberg nie walczy z dziećmi i żadne tajne policje czy kontrwywiady mnie do tego nie zmuszą. Zaraz kogoś poślę po twoje rzeczy, mundur i dokumenty. Rzecz jasna, moi zwierzchnicy muszą się przekonać, że z twoją delegacją wszystko jest w absolutnym porządku, szczególnie jeśli chodzi o twój powrót. Tym zajmę się również. Możesz poczekać tutaj. Zezwalam na przeszkodzenie w pracy pewnej starszej szyfrującej w celu przeprowadzenia rozmowy prywatnej. -- Uśmiechnął się znacząco.

--Panie podporuczniku! -- Gilvy uśmiechnęła się do mnie. Tak miło i ciepło jak... jak uśmiechała się Dalka na samym początku naszego związku.

--Spocznij, sierżancie. I proszę, bez szarż.

Gilvy nie przestawała się uśmiechać.

--No... -- zacząłem. -- Jak ci tu było? Przez ten cały czas?...

--Źle -- poskarżyła się niespodziewanie. -- Bo bez ciebie, Rus.

Omam nie zakrztusiłem się śliną. Młode operatorki z całych sił udawały, że niczego nie widzą.

--Wydaje mi się, że takie rozmowy...

--Masz absolutną rację, należy je prowadzić w innym miejscu. -- Gilvy złapała mnie za rękaw i pociągnęła za sobą do wnęki odgradzonej ścianką bloków komputerowych przy tylnej ścianie wagonu pancernego. -- Tak strasznie, strasznie, strasznie za tobą tęskniłam -- wyszeptała samymi wargami, przysuwając się do mnie tak blisko, że czułem ciepło jej piersi. -- A ty?

--No pewnie -- skłamałem. -- Jak sobie przypomnę ciebie w tych pończoszkach...

Gilvy zachichotała, ale już po chwili uśmiech znikł.

--Tylko dlatego o mnie pamiętałeś?

--Czy można zapomnieć taki widok?

--Aha, a wtedy chowałeś się za książką... -- Pogroziła mi palcem.

--Gil, daj spokój... Powiedz lepiej, jak ci tu jest?

--Jak mi tu jest? -- Opuściła oczy i westchnęła. -- Jak zwykle, Rus. Tyram jak wół. Dali mi sierżanta.

--A jak się znalazłaś w Tannenbergu?

W tym momencie pomyślałem, że to pytanie powinienem był zadać jej dawno temu, na Omedze-8. Gilvy miała na kołnierzu runy przypominające kształtem błyskawicę. Ten emblemat zostawiła sobie Geheime Staatspolizei zajmująca się często zaskakującymi sprawami. Szczerze mówiąc, Gilvy absolutnie nie powinna pracować w charakterze jakiejś tam szyfrującej w sztabie pułku, nawet takiego pułku, którego tradycje sięgały Waffen SS.

Gilvy Patters była jedyną szyfrującą noszącą czarny mundur.

--Bardzo prosto, sama o to poprosiłam, więc mnie dołączyli -- odparła dziewczyna. -- Nadal jestem pracownikiem etatowym Geheime, oddelegowanym do innej formacji.

Czy muszę mówić, że moim zdaniem była to wyjątkowo dziwna delegacja?

Gilvy zagryzała wargi, jakby walcząc z pragnieniem powiedzenia mi czegoś jeszcze. Od jej ewentualnych wyznań wybawił mnie ordynans Vallensteina, który przydzwiگاł ciężki toból ze wszystkimi moimi rzeczami osobistymi, pozostawionymi w pułku przed „dezercją” na Nowy Krym.

--Pójdę się przebrać. -- Skorzystałem z pretekstu.

W tobołku faktycznie było wszystko. Dokumenty, szkatulka z nagrodami, starannie złożony zestaw umundurowania polowego, galowego i codziennego, przekaz pieniężny (nadal naliczano mi pensję) i tak dalej, i tym podobne. Skromny zestaw młodszego oficerskiego składu osobowego. Pozostawało tylko odebrać broń, pancerz, reaktywować chip w pułkowym systemie kierowania walką, ponownie zarejestrować się u kwatermistrza, płatniczego...

Kościę i Ingę rzeczywiście wypuszczono, gdy Tannenberg zatrzymał się w okolicach Przywoła, miasteczka rybackiego na zachodnich krańcach Syberii. Zdaje się, że obrońcy wyspy postanowili wydać tu ostatnią bitwę.

Inga i Kostia patrzyli na mnie ze strachem zmieszonym z obrzydzeniem i ciekawością. Widzieli przecież, jak żołnierze z oddziałów karnych padali pod moimi kulami, jak wyprowadziłem drużynę, do ostatniej chwili chroniąc swoich, a teraz zobaczyli mnie w mundurze imperialnym.

--Nakarmilem ich, panie poruczniku. -- Mikki wyrósł obok mnie. -- Ależ byli głodni!

--Dzięki, Mikki. Dzieciaki -- zwróciłem się do moich podopiecznych po rosyjsku -- tak trzeba. Nie mogę wam teraz wszystkiego wyjaśnić, ale... najważniejsze, że wychodzicie stąd cali i zdrowi. Dowódca tego oddziału miał zamiar wziąć od was słowo honoru, że nie będziecie walczyć przeciwko Imperium, ale według mnie to zbędne. Z „trójką” już się zetknęliście i wiecie, co to takiego. W żadnym razie nie mówcie, że byliście... w niewoli. Od razu postawiono by was pod murem. Powiedzcie, że błędziliście, a ja przepadłem bez wieści. Powodzenia. I... nie spieszcie się z nazywaniem mnie zdrajcą.

Mikki gapił się na mnie, nie rozumiejąc, o czym mówię. Nigdy nie interesował się językiem planety, na której aktualnie zakwaterowano jego oddział.

--Mikki, dzięki za przypilnowanie tej dwójki. Teraz ich wypuszczam, dla nich jeszcze za

wcześnie na śmierć...

--Zawsze jest za wcześnie na śmierć, panie poruczniku.

--Filozofujesz? I daj spokój rangom..

--Tak jakoś, odruchowo -- usprawiedliwił się Mikki i zwrócił się do Ingi i Kostii: -- Hej, wy dwoje! No już, spadajcie stąd, nie macie się co rozsiadać. Pan porucznik kazał wam się wynosić do wszystkich diabłów. Wasi są tam, za tym wzgórzem. W tył zwrot i naprzód marsz! I uważajcie, żebyście nie oberwali od swoich!

Kostia szarpnął się, chyba chciał coś powiedzieć, ale Inga, mała, mądra Inga, pociągnęła go za rękę.

--Do widzenia -- szepnęła i niemal siłą pociągnęła Kostię za sobą, do ostatniej linii obrony ochotników.

Patrzyłem, jak się oddalają, dopóki na lewej krawędzi helmu nie zamrugało zielone światełko wezwania. Z dowództwa.

--Fatiejew!

--Tak jest, panie pułkowniku!

--Przyjdź natychmiast po rozkaz. Na razie nie mam wolnego plutonu ani kompanii, ale pojawiło się pilne zadanie.

--Tak jest, panie pułkowniku!

--Obawiam się, że już wkrótce pojawią się też wakaty... -- mruknął ponuro Vallenstein i wyłączył się.

Spodziewałem się prywatnej rozmowy, a okazało się, że to zebranie niemal całego składu oficerskiego pułku.

Dwa wagony pancerne stanęły pod kątem prostym, rozsunięto pokryty plamami kamuflażu lekki dach. Zamrugały czujniki na moim helmie. Ochrona przed podsłuchem została uaktywniona.

Ujrzałem sporo nieznanymi twarzami, chociaż kilku oficerów na mój widok uśmiechnęło się serdecznie, witając mnie i gratulując powrotu.

--Witamy z powrotem! -- rozległo się z różnych stron.

Kiwałem głową, uśmiechałem się, ścisnąłem dłonie. Po kilku minutach zjawił się Vallenstein.

--Panowie, mam nowe wiadomości. Od razu powiem, że są bardzo złe. Zresztą, popatrzcie sami. To świeży przekaz z orbity.

Ekran, wysunięty ze sztabowego wagonu pancernego, rozbłysnął bielą.

--Pani sierżant, powiększenie! -- polecił pułkownik ostrym tonem. -- Obraz! Pojarkowicz, proszę pomóc koleżance!

Do Gilvy podbiegła jeszcze jedna szyfrantka.

Biel na ekranie ustąpiła miejsca wyraźnemu obrazowi -- ocean, a nad nim trzy potężne kleksy. Gdy kleksy ukazano w zbliżeniu, w sali zapanowała martwa cisza.

Poczułem chłód.

Macice... czyli to, czego się spodziewaliśmy. Są nad oceanem i pewnie lecą prosto do nas. Ale czemu nie zareagowało ugrupowanie orbitalne?!

--Dowództwo uprzedza, że zostały nam niecałe trzy godziny do spodziewanego ataku. Będziemy działać tak jak pod Peenemünde, z uwzględnieniem wszystkich nowych

ewentualności. Instruktażu nie potrzebujecie. Proszę bardzo szczegółowo i precyzyjnie przedstawić zadania swoim żołnierzom, nie mamy zbyt wielu weteranów walk na Iwoldze. Organizacja obrony będzie przebiegać w sposób następujący...

Vallenstein wymieniał pododdziały, nazwiska dowódców, bronione odcinki, a ja znieruchomiałem, wszystkimi zmysłami sięgając ku niebu nad naszym wspaniałym oceanem, do majestatycznie płynących macic. Poprzednio przemieszczały się w ukryciu, po dnie morskim; widocznie teraz Darianie zabrakło czasu.

Czyżby nie dało się ich zniszczyć pociskami jądrowymi albo zabić rakietami przeciwlotniczymi dalekiego zasięgu, niosącymi odpowiednie głowice? Dlaczego znowu ma ginąć piechota? Imperium straciło już Omegę-8 oraz Iwołgę. Wtedy również nie zaryzykowali użycia broni atomowej, a potem było już za późno. Rzecz jasna, nic nie stało na przeszkodzie, by zamienić te planety w radioaktywne pustynie pokryte połyskliwą, gładką warstwą spieczonego strasznym żarem piasku, ale z niezrozumiałych dla mnie względów Imperium grało na zwłokę, jakby naprawdę liczyło na to, że da się sterować tą inwazją, że pewnego pięknego dnia odzyska utracone „nieruchomości”. No tak, przy takim założeniu nie należało lekkomyślnie zrzucać głowic nuklearnych o setkach megaton...

Oficerowie rozchodzili się szybko, w milczeniu; a ja uświadomiłem sobie, że stoję jak wryty. Jak się okazało, moja podświadomość skrupulatnie wykonała rozkaz: „Porucznika Fatiejewa proszę o pozostanie!”

--Rusłanie... -- Vallenstein włączył palmtop i dał mi znak, że bym podszedł. -- Prócz tej wielkiej złej nowiny mam jeszcze niewielką dobrą. Wygląda na to, że znaleźliśmy Darianę.

Który to już raz, pomyślałem znużony. To już stawało się obsesją -- ganiałem za tą kobietą z uporem maniaka, dwa razy miałem jej życie w swoich rękach i dwa razy zmarnowałem okazję, której nie miałem prawa zmarnować. A oto trzecia i -- jak powiedziałby powieściopisarz -- ostatnia szansa.

--Dariana nie opuszczała Nowego Sewastopola. Ale... jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. -- Vallenstein przeszedł na rosyjski, ze zdenerwowania kalecząc język. -- Nad Nowy Sewastopol nadlatuje Rój. Jest prawdopodobieństwo, że nie będzie atakować miasta. Możliwe, że tylko osłania przedpola. Jego zachowanie jest bardziej skomplikowane.

--Myślę, że w Nowym Sewastopolu zgromadzono teraz wszystkich przesiedleńców... -- Sam nie wiem, jak udało mi się wypchnąć te słowa przez ściśnięte skurczem gardło. -- Reszta mieszkańców...

Nie czulem pod sobą nóg. Z drzwi prowadzących do ciemnego wnętrza wagonu pancernego wysunęła się zatroskana twarz Gilvy.

--Wysłałem do dowództwa prośbę o przeprowadzenie szturmowego wypadu... Przedstawiłem dane wskazujące na to, że Dariana Dark może nie być człowiekiem i zrobiło to spore wrażenie. Sądzę, że powinieneś stanąć na czele tego wypadu, Rusłanie. Mamy niewiele czasu, musisz wybrać sobie grupę, najwyżej dwa tuziny, czarny jastrząb więcej nie uniesie. Lot do Nowego Sewastopola zajmie wam pięć godzin. A my postaramy się zatrzymać macice tutaj.

--Panie pułkowniku, nie zapomnijcie o mieszkańcach tego miasteczka. I... i o jego obrońcach.

Vallenstein zacisnął wargi.

--Pamiętam, podporuczniku. Naprawdę nie musi mi pan przypominać o obowiązkach

oficera Imperium, dotyczących obrony jego poddanych... nawet jeśli ci poddani zostali wciągnięci do walki przeciwko Imperium. Pospiesz się, Ruslanie, za kwadrans czekam tu na ciebie i twoją grupę. Jastrząb przybędzie za godzinę, zdążycie wylecieć, nim Rój zaatakuje. Materiały operacyjne są już przygotowywane, otrzymasz je za kwadrans.

--Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie pułkowniku, wziąłbym ludzi z mojego starego plutonu.

--Zostawiam ci wolną rękę. Wykonać!

Dwadzieścia minut później wróciłem z dwudziestoma żołnierzami. Oczywiście, nie byli to wyłącznie „dziadkowie”. Nazarian z całą drugą drużyną mojego plutonu zginął na Iwoldze, gdy Tannenberg wpadł do wilczych dolów. Wziąłem tych, których wskazały mi „sprawdzone kadry”, na przykład Mikki i Glinka.

Mikki, Glinka, Günter, Thornvald, Peter, Surendra, Dżonamani, Makumba. Razdwakriaka nie brałem. Po co nam jego pech?! Reszty żołnierzy nie znalazłem, ale za nich poręczyli „dziadkowie”. Większość nowicjuszy były to, ku mojemu zdumieniu, mocne, wysokie chłopaki z „rasy panów”. Rzuciłem Finowi pytające spojrzenie.

--Skutki odezwy patriotycznej, panie poruczniku -- odezwał się półgłosem Mikki. -- Sami mieszkańcy Wewnętrznych Planet, krew z mlekiem, ale dzielni i odważni. Na Kappie przerzucili ich do nas. Podobno uzupełnienie Tannenberga wybrano na zasadzie konkursu w innych oddziałach. Są tacy ze zwykłej piechoty, są czolgiści, jest desant...

Skinąłem głową.

„Mowa pożegnalna” Vallensteina nie trwała długo. Sztab przetransmitował mi wszystkie dane potrzebne do zwiadu, wiszący satelita zapewniał nieprzerwany „widok z lotu ptaka”.

--Ruslanie, o tym, jakie działania podejmiecie na miejscu, decydujesz wyłącznie ty. Znaleźliśmy sztab Dariany i wiemy, że rozkazy wychodzą stamtąd... -- Na holograficznej mapie zamigotało światelko. -- Brak identyfikacji z jakąkolwiek infrastrukturą, to tylko stara farma. Jeśli dobrze zrozumiałem twoją wiadomość, prawdopodobieństwo, że będzie tam biomorf, jest znikome. Niewykluczone, że dojdzie do zwykłego starcia... utrudnionego ewentualną ingerencją Roju, rozwijającego się nad Nowym Sewastopolem i okolicami. Będą ci retransmitować obraz. -- Mocno i twardo uściśnął mi dłoń. -- Do dzieła, poruczniku. I niech mnie diabli, jeśli po powrocie nie włożysz pagonów porucznika i nie otrzymasz kompanii.

--Ku chwale Imperium! -- wyrwało mi się. Zdążyli mi to wbić w podświadomość...

Gilvy gryzła wargi i widać było, że z trudem powstrzymuje łzy. Ale numer.

Trzystutonowy zygfyrd dotarłby do Nowego Sewastopola znacznie szybciej, ale niestety dla niego potrzebny byłby porządny pas startowy. To samo dotyczyło kondora. Tylko czarny jastrząb, przemiennopłat, mogący wzlatywać i lądować pionowo, a jednocześnie rozwijający prędkość liniowca pasażerskiego, mógł nas stąd zabrać i bez przeszkód dotrzeć do celu. Ceną był niezbyt duży „ładunek”.

Oczywiście wzięliśmy ze sobą, co się tylko dało -- oprócz czolgów.

Pięć godzin lotu upłynęło w milczeniu. Obszedłem ludzi, z każdym zamieniłem kilka słów, a następnie zagłębiłem się w analizę sytuacji na monitorze taktycznym. Satelita działał bez zarzutu, przekaźniki nie zawiodły, widziałem, co dzieje się na farmie i wokół niej. Na podwórzu migwały ludzkie postacie, a powietrze było upstrzone licznymi skrzydełkami krążącego w pewnym oddaleniu Roju. Podejście do domu odsłonięte, wokół zaorane pola, jedynie sam

budynek krył się pod wielkimi parasolami miejscowych drzew, odrobinę przypominających ziemskie palmy. Oho, są również kaponiery. Miejmy nadzieje, że jedynie cekaemowe...

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

Przemowa pierwszego zastępcy przewodniczącego Rządu Tymczasowego Federacji, ministra wojny, towarzyszki Dariany Dark, spowodowała szeroki i gorący odzew w sercach wszystkich wolnych obywateli naszego wielkiego państwa. Szczere, otwarte przyznanie się do przeżywanych przez nas trudności rozpalilo w sercach współobywateli wdzięczność i entuzjazm. Nasza grupa zdjęciową odwiedziła dziś wiele miejsc i wszędzie napotykalismy ludzi z ożywieniem omawiających wystąpienie towarzyszki Dark. Odpowiadając czynem na wezwanie ukochanego kraju, obywatele Federacji wstępują do oddziałów mobilizacyjnych, a ci, którzy nie mogą ruszyć na pierwszą linię frontu, biorą na siebie podwojone obowiązki pracowników fabryk, stają przy taśmociągach w zakładach produkcji broni. Na stanowiskach pracy pojawia się coraz więcej kobiet, nastolatków i ludzi w podeszłym wieku; godnie zastępują mężów, synów i ojców, którzy odeszli na front. Zgodnie ze wspaniałymi tradycjami bojowymi, tworzone są kobiece bataliony uderzeniowe. Zgłoszenia do szkół snajperów, łącznościowców, operatorów systemów sterowania walką mnożą się z każdą godziną.

Mówimy szczerze i wprost -- dziś jest nam ciężko. Bardzo ciężko. Ale nie wolno nam myśleć, że Imperium jest silne i niezwyciężone. Imperium goni resztką sił. Mieszkańcy Wewnętrznych Planet, osłabieni dziesięcioleciami luksusowego życia, nie chcą dziś walczyć, więc Imperium może liczyć jedynie na wyrzutków własnego społeczeństwa, którzy zgadzają się zostać najemnikami. Kusi się ich możliwością ujrzenia odległych planet, spotkania nowych ludzi... i zabijania.

Na ekranie pojawiają się zdjęcia orbitalne dwóch planet -- brązowo-czerwonej i białobłękitnej. Nad pierwszą widnieje napis Szajtan, nad drugą Nowy Krym.

Sytuacja operacyjna:

W ciągu ostatnich dni nasze wojska prowadziły walki na całym froncie, szczególnie zaciekle w rejonie kosmodromu Północnego i Ósmego Kombinat na planecie Szajtan. Na planecie Nowy Krym po wielu dniach krwawych starć nasze wojska oddały miasto Władysybirsk, przeprowadzając planowe odejście na nowe pozycje obrony. Nacierającym agresorom zadano ciężkie straty w ludziach i sprzęcie.

Wszystkie kosmodromy Nowego Krymu pozostają w naszych rękach. Dostawy żywności na inne planety Federacji prowadzone są bez przeszkód i zakłóceń.

Powstrzymalismy napastników celnym ogniem.

Nowy Krym. Wyspa Syberia. To tutaj bronią się czolgiści z N-skiego oddziału pod dowództwem towarzysza Dubois. W czasie planowej defensywy z Władysybirsk bojownicy celnym ogniem zniszczyli...

Napięcie w sektorach graniczących z cywilizacją Dbigu.

Nasi korespondenci na planetach Ezop, La Rochefoucauld i Lemminkainen, położonych na styku granic Federacji, Imperium i cywilizacji Dbigu, donoszą o wzmożonej aktywności sił imperialnych i floty kosmicznej wspomnianej cywilizacji. Według danych służb kontroli przestrzeni obie strony dokonują zmasowanych przewozów statkami-ladowniami. Na orbitach umieszczane są aparaty śledzenia i wczesnego wykrywania (informacje w oparciu o dane zwiadu radioelektronicznego). Wszystkie te początkowo utajnione dane zostały podane do

wiadomości publicznej na wyraźny rozkaz towarzyszki Dariany Dark -- ludność cywilna Federacji powinna mieć świadomość ewentualnych zagrożeń. Jak oznajmiły służby prasowe dowództwa naczelnego, w ostatnim czasie wzrosło ryzyko otwartego konfliktu zbrojnego Imperium z cywilizacją Dbigu...

Jastrząb szedł coraz bliżej ziemi. Leciał, omijając szczyty wzgórz i wydawało się, że zaraz zaczepi skrzydłem o wierzchołki potężnych drzew. Dariana zdążyła obstawić rejon Nowego Sewastopola obroną przeciwlotniczą i nie było co marzyć o tym, żeby spaść z nieba prosto do jej kryjówek. Musieliśmy lecieć na południe i wyskoczyć z małej wysokości w kapsułach ratunkowych prosto do morza. Poważnie wydłużało to operację, ale nie mieliśmy innego wyjścia.

Czekaliśmy, zamknięci w kapsułach. Naszyjnik dwudziestu czterech połączonych kapsuł-koralików, gotowych do upadku w oceaniczne fale, wyglądał jak dziwny wianek albo jak wotum wieszane na ołtarzu.

Zapłonęło czerwone światełko.

Pchnięcie. Brzuch jastrzębia otwiera się i dwadzieścia cztery koraliki spadają w dół. Na chwilę tracę oddech, ale sekundę później kapsuła uderza o powierzchnię wody i okienko zalewa fala.

Wieczór. Cichy, łagodny wieczór Nowego Krymu. Wyrzuciło nas z dala od stolicy, ale nie wierzyłem, że nasz wypad zostanie niezauważony...

Uderzyłem w klawisz, kapsuła zanurkowała w falach i razem z pozostałymi ruszyła ku pobliskiemu brzegowi.

W tej samej chwili monitor taktyczny usłużył doniosł, że satelity śledzenia zarejestrowały odpalenie rakiety z przedmieść Nowego Sewastopola. Pospiesznie powiększyłem obraz, ale już nie zdążyłem: zielony znaczek oddalającego się jastrzębia znikł, a na jego miejscu wybuchł czerwony pierścień. Destrukcja.

Poczulem chłód. Gdyby stało się to pół minuty wcześniej... Zbyt dobrze znałem te pociski. Załoga konwertoplanu nie miała żadnych szans.

Szybko się zorientowali. Gratulacje, Dariano, dobrze ich wyszkoliliś...

Cynik we mnie podszeptał, że dla powodzenia naszej misji to nawet dobrze. Po zrzuconiu naszych kapsuł nieszczęsny konwertoplan kontynuował lot, nie zawracając, żeby Dariana nie domyśliła się, w którym miejscu wylądował desant. Operatorzy działek przeciwlotniczych mogli pomyśleć, że zniszczyli powolny transportowiec razem z zawartością...

Kapsuły zostały wyrzucone na piasek, gdzie otwierały się niczym kwiaty. Moja drużyna mogła wyjść na brzeg, nie mocząc nóg (co i tak było niemożliwe w pancerzu). Z kapsuł wyciągano skrzynki z amunicją i zarzucano żołnierzom na plecy. Nikt się nie miotał, nikt nie spieszył się bez potrzeby, wszyscy po prostu pracowali. Pomyślałem o imperialnych uczelniach wojskowych z mimowolnym szacunkiem.

Pustą plażę opuściliśmy w gęstniejących ciemnościach. Kapsuły same zsuną się do morza, gdzie będą czekać na nasz powrót, jeśli zdecydujemy się wrócić tą drogą.

Mikki podniósł rękę, wskazując coś na ciemniejszym niebie. Chwilę później w moim ekranie pojawiła się ciężko machająca skrzydłami istota przypominająca pterodaktyla. Po węzowym ciełe stwora spływały strumyki płomyków. Za nim podążało kilkanaście niniejszych bestii, ciemnych i niemal niewidocznych gołym okiem. Za to w podczerwieni płonęły jaskrawą

czerwienią. Któryś z żołnierzy podniósł sztucer.

--Spokój -- zakomenderowałem.

Stwory przeleciały nad nami i znikły. Coś nowego, pomyślałem. A jeśli Dariana wyśle takie gołąbki do wszystkich zakątków mojej planety, żeby zakładały nowe źródła? A potem nowe macice (ewentualnie bez antygravitatorów) zostaną rzucone przeciwko żołnierzom Imperium? Cóż... wówczas być może uda jej się przekonać Federację, że macice to znakomita ochrona przed imperialną inwazją.

Tylko na ile pewna jest jej kontrola nad biomorfami?

Staralem się nie myśleć, co się teraz dzieje w Nowym Sewastopolu, na jego peryferiach i wszędzie tam, gdzie zdążył dotrzeć Rój. Trzecie spotkanie z Darianą powinno być ostatnim -- dla niej albo dla mnie, pomyślałem, mimo woli sprowadzając wszystko do romantycznego konfliktu.

Przezornie umieszczone na orbitach satelity imperialne (niestety, od czasu do czasu zestrzeliwane przez środki naziemne) sprawnie informowały, gdzie się obecnie znajdujemy. Na farmie, do której mieliśmy dotrzeć, nie działo się nic szczególnego. Szliśmy przez noc, omijając niewielkie osiedla i stojące na uboczu domy -- wybrzeże południowe było gęsto zasiedlone, ale miejsc do ukrycia się nie brakowało.

Mijały godziny. Po krótkim postoju oddział znowu wyruszył, a ja nie mogłem pozbyć się myśli, że może teraz jesteśmy jedynymi ocalałymi żołnierzami Tannenberga, że Rój obok Przywola już ucztuje na ciałach zabitych, że imperialni i obrońcy Nowego Krymu polegli razem, zapominając o wszelkich podziałach i wrogości.

Do celu dotarliśmy o drugiej w nocy.

W górze rozlegał się szelest tysięcy skrzydeł. Rój nakrył przedmieścia Sewastopola i niebo patrzyło na nas tysiącem fasetkowych oczu. Na razie nikt nie próbował atakować i nic nie wskazywało na to, że nasza obecność została odkryta.

Stanowiska cekaemów... nic takiego, załatwimy dwoma pociskami z miotacza ognia. Okna farmy są zablokowane, trzeba będzie szturmować drzwi i dach.

Oddział podzielił się na grupy. Wszyscy wiedzieli, co mają robić; jedyne, czego wymagano ode mnie, to uruchomienie transmitowanego do moich towarzyszy odliczania końcowego.

Gdy w helmie zapłonęło zero, ciało posłusznie oderwało się od ziemi. Na obu kaponierach wybuchły pociski, płomień szalał, niczym wypuszczony z tysiącletniej niewoli duch ognia. Zaterkotały karabiny przeciwnika, a „dwudziestki” naszych steierów zaczęły pruć strych.

Ale przeciwnik nagle umilkł. Druga grupa moich ludzi właśnie zdążyła wejść czy raczej wlecieć na dach i wdrzeć się na strych, gdy drzwi domu otworzyły się na oścież i usłyszałem znajomy głos Dariany Dark:

--Przerwać ogień! Poddaję się!

Oslupiałem, ale moje ciało kontynuowało wydany rozkaz. Kilka sekund później stanąłem twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

Problemy i odpowiedzialność odcisnęły na twarzy Dark swoje piętno. Oczy zapadnięte, ostre zmarszczki pogłębione. Dariana miała na sobie starą, wyblakłą kurtkę, równie wysłużone spodnie oraz nieodłączny czarny beret. Ramię, przebite niedawno moją kulą, wyglądało na zupełnie sprawne.

Nikt z mojego oddziału się nie zatrzymał, ale strzelanina umilkła.

--Poddaję się -- powtórzyła Dark.

--Wyprowadzić wszystkich z budynku! -- wrzasnałem. -- Mikki!...

Cienkie wargi Dariany wykrzywiły się w półuśmiechu.

--Jakiś ty głupi, Fatiejew...

Nie poruszyła się i nie wykonała żadnego gestu -- gdyby próbowała cokolwiek zrobić, zastrzeliłbym ją i tym razem ręka by mi nie drgnęła, ale Dark stała niczym własny posąg. Jedynie bezgłośnie poruszyła wargami -- i jak się okazało, to wystarczyło.

Przed moimi oczami zapłonęły oślepiające gwiazdy, napłynęła fala mdłości, ziemia usunęła mi się spod nóg i poczułem zawroty głowy. Z nieba i z zarośli spadł na nas Rój, ten sam, do którego obecności zdążyliśmy się już przyzwyczaić w ciągu kilku godzin marszu.

Tak, tym razem bym nie spudłował, ale spazm wykręcił moje ciało, nim zdążyłem nacisnąć spust. Upadłem na wznak i straciłem przytomność.

Gdy się ocknąłem, nie miałem już na sobie pancerza, munduru ani nawet bielizny -- byłem zupełnie nagi, a ręce miałem przywiązane do wbitych w ścianę haków. Wypisz wymaluj ukrzyżowany Chrystus.

Rzadko się do niego ostatnio zwracałem, pomyślałem ze spóźnioną skruchą.

--Ocknąłeś się. -- Usłyszałem głos Dariany. W tym stwierdzeniu nie było triumfu ani złości, dźwięczała jedynie niezrozumiała gorycz.

Podniosłem głowę. Mdłości i zawroty głowy zniknęły. Byliśmy sami w dużym pokoju, pełniącym pewnie rolę salonu. W oknach staroświeckie firanki, ale obok ultranowoczesny procesor kuchenny.

Dariana Dark siedziała okrakiem na krześle, odwróconym oparciem w moją stronę. Zacisnąłem zęby, wstydzając się swojej nagości.

--Mój plan się powiódł, Ruslanie -- powiedziała Dariana w ogólnoimperialnym. -- Po naszym drugim spotkaniu zrozumiałam, że nie zrezygnujesz, dopóki nie przegryziesz mi gardła. Pozostawało już tylko jedno: pozwolić się znaleźć. Wiedziałam, że nie przybędą tu imperialne bombowce, tylko ty z garstką takich samych szaleńców. To miło, że się nie pomyliłam.

Milczałem. Wiedziałem, że egzaltowana przywódczyni 6. Brygady Międzynarodowej nie daruje sobie przemowy. Zaraz zacznie roztaczać przede mną złowieszcze plany -- jest przecież pewna, że już niedługo moja czaszka przestanie pełnić rolę siedliska istoty szarej.

W powieściach zazwyczaj dzieje się tak, że po wysłuchaniu długiej spowiedzi głównego łajdaka oraz zapoznaniu się ze wszystkimi jego planami, bohater w ostatniej chwili unika śmierci i ucieka, a potem wykorzystuje zdobytą wiedzę, żeby wpędzić głównego łajdaka do grobu.

Szkoda, że to nie powieść.

Zdumiewał mnie własny spokój. Czulem się tak, jakby wreszcie zdarzyło się coś, co zostało zaplanowane dawno temu.

--Właściwie mam do ciebie tylko jedno pytanie... -- powiedziała Dark i wtedy dotarło do mnie, że ta kobieta znajduje się na skraju hysterii. Żelazna dama, niezłomna Dariana Dark drżała, ręce jej się trzęsły, za to twarz stężała. -- Dlaczego przeżyłeś?! -- wykrzyknęła nagle piskliwym głosem, zrywając się z krzesła. Nieszczęsny mebel upadł na podłogę. -- Dlaczego wtedy przeżyłeś?!

Myślałem, że zaraz rozdrapie mi twarz paznokciami, ale powstrzymała się w ostatniej

chwili.

--Jak mogłeś przeżyć, Fatiejew? -- powtórzyła, tym razem po rosyjsku. -- Wrzucono cię do reaktora. Do aktywnego, rozwijającego się biomorfa. Nie mogłeś przeżyć. Żaden człowiek by nie przeżył.

--Nieprawda. -- Wysunąłem brodę do przodu i spojrzałem Darianie w oczy. -- Prócz mnie, w aktywnej masie przeżył jeszcze jeden człowiek. Ty, Dariano.

--Owszem -- syknęła Dariana, a kącik jej ust niebezpiecznie drgał. -- Owszem, ja również przeżyłam. I bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego. -- Nadal używała mojego ojczystego języka.

--Naprawdę nie znalazłaś wyjaśnienia? -- Spróbowałem się uśmiechnąć. Chyba jeszcze pożyjemy.

--Mechanizm rozwoju tolerancji biomorfów jest przez nas intensywnie badany -- Dariana przyjęła wyzwanie.

--Może zbyt długo się nimi zajmujesz? -- zasugerowałem złośliwie. -- Po prostu nimi przesiąknęła i teraz biorą cię za swoją.

--Przestań kpić. -- Dariana zgrzytnęła zębami. -- Dobra, Fatiejew. Zrobimy tak. Wszyscy twoi ludzie są w moich rękach. Opowiesz mi o wszystkim, to przeżyją. Nie opowiesz... cóż, nie miej żalu.

Spróbowałem wrzucić ramionami, co w pozycji „ukrzyżowany” nie było łatwe.

--Musiałabyś spełnić moje liczne warunki. Dopóki nie zobaczę, że moi ludzie są bezpieczni, nic nie powiem. I nie groź mi torturami. Umrę, zanim mnie złamiesz.

--Pracują dla mnie specjaliści, których zwolniono z gestapo za nadmierne okrucieństwo -- rzekła Dariana absolutnie poważnie. -- Nie licz na to, że pozwolą ci umrzeć.

--Ty również nie masz na co liczyć -- ponownie wrzuciłem ramionami. -- Co z moim oddziałem? Puść ich, a opowiem ci całą prawdę, chociaż nie gwarantuję, że ci się spodoba.

Przez kilka chwil Dariana przewiercała mnie wzrokiem.

--Wstawiła się za tobą Dalia Dżamajte -- powiedziała w końcu. -- Nie chciałabym tak cennego współpracownika narażać na stres podobny temu, jaki przeżyła na Omedze-8, a już tym bardziej nie chciałabym jej tracić. Ale przyrzekam ci, Fatiejew, że osobiście zastrzelę tę dziewczynę na twoich oczach, i to z kontrolnym strzałem w głowę, jeśli nadal będziesz stawiał idiotyczne warunki i próbował się ze mną targować.

Milczałem. Dariana chyba pomyślała, że zacząłem się wahać.

--Dżamajte! -- rzuciła krótko do rozmównika.

Dalka prawie się nie zmieniła -- ale tylko prawie. Nigdy nie widziałem u niej takich oczu -- zupełnie jak u konającej kotki. Rozstała się ze szturmówką brygad, nosiła teraz bezkształtny mundur Federacji i beret zamiast czerwonej opaski. Zdażyła zrobić karierę; zobaczyłem trzy gwiazdki na złotych pagonach.

--Towarzyszu dowódco, porucznik Dżamajte melduje się...

--Wystarczy. -- Dariana rozpięła kaburę.

Dalka trzymała się dzielnie. Rzuciła mi tylko jedno szybkie spojrzenie i od razu odwróciła wzrok. Jej wargi zdradzały zdradziecko.

--To jak będzie, Fatiejew? -- Dark podniosła pistolet.

--Uciekaj, Dalka! -- wyrwało mi się. Na próżno...

Dalka jedynie otworzyła usta ze zdumienia.

Patrzyłem w oczy Darianie i wiedziałem, że strzeli.

I znowu, jak wtedy na Sylwanii, nie mogłem dopuścić, żeby Dalka zginęła. Zdradzę swoich towarzyszy bojowych. Chociaż, z drugiej strony, co to za towarzysze z czaszką na ramieniu...

--Dobrze -- zdecydowałem. -- Powiem ci. Oboje przeżyliśmy, ponieważ oboje jesteśmy jednej krwi.

--Co chcesz przez to powiedzieć? -- syknęła Dariana. -- Dżamajte, możesz odejść...

--Oboje jesteśmy biomorfami, Dariano -- rzuciłem jej w twarz, a wykonująca „w tył zwrot” Dalka zastygła, wpatrując się we mnie okrągłymi oczami.

Dariana syknęła jak przebita opona; zabrzmiało to niczym przedśmiertne westchnienie. Dalka zbladła.

--Dżamajte, odmaszerować! -- ryknęła Dark, opanowując się resztką sił.

Dyscyplina przemogła szok i Dalka ruszyła do drzwi na sztywnych nogach. Pistolet Dariany drgnął, jakby się zastanawiał, czy nie połączyć linii czarnej lufy z jasnowłosą głową, ale w ostatniej chwili opadł. Dark rzuciła coś krótko do rozmównika w nieznanym mi języku.

--Kontynuuj, Fatiejew. Wtedy wypuszczę ciebie i twoich ludzi. Dariana szybko podniosła krzesło, siadła i równie szybko wstała. Kłębek nerwów...

--W aktywnej masie może przeżyć jedynie człowiek będący w jakimś stopniu biomorfem -- powiedziałem, ze złośliwą satysfakcją dostrzegając w oczach Dariany strach. -- Jesteśmy efektem eksperymentu eugenicznego czy raczej różnych eksperymentów. Ludzie z domieszką biomorfa. Stąd moja i twoja nietykalność oraz twoja umiejętność sterowania macicami. No i co, to dla ciebie nowina?

To była dla niej Nowina przez duże N. Dariana otarła czoło wierzchem dłoni ściskającej pistolet. Po rękojeści spłynęły strumyczki potu.

--Jestem... jestem człowiekiem! -- krzyknęła. -- Człowiekiem, słyszysz? Słyszysz, ty draniu? Biomorfy słuchają mnie, ponieważ moje pole z nimi współgra!

--Nie pleć bzdur -- mruknąłem. -- Lepiej przesłuchaj własnych rodziców. Zapytaj, czy nie zajmowali się łączeniem ludzkich komórek jajowych i spermy w niekomórkowym systemie biomorfa w celu umieszczenia uzyskanej hybrydy w łonie twojej matki.

Dariana drgnęła jak smagnięta batem.

--Nie mam kogo zapytać -- syknęła, ale jej złość zdawała się bezsilna.

--Bardzo wygodne. -- Pokiwałem głową ze swojego ukrzyżowania. -- Świadców nie ma, śladów też nie, nikt się niczego nie doszuka. A sama Dariana Dark nawet nie podejrzewa, że nie jest człowiekiem! Zresztą mnie możesz łatwo sprawdzić. Weź kogoś, komu macice i Rój są posłuszne, i wrzuć go do reaktora. Zapewniam cię, że wydostanie się stamtąd cały i zdrowy.

Dark milczała. Kołysała się na krześle, a po jej czole, skroniach i policzkach spływał pot.

--Przerwij to, Dariano. Macice się nie uspokoją, dopóki nie zniszczą całej ludzkości, Imperium i Federacji. Dopóki wszędzie nie zostaną jedynie morza, zamienione w galaretę dojrzewających biomorfów. Nie udawaj, że tego nie rozumiesz. A może myślisz, że masz nad nimi władzę absolutną? O święta naiwności...

--Absolutną czy nie, wystarczy, żeby załatwić na Syberii wszystkich imperialnych drani! -- Dark wysunęła brodę do przodu. -- W przeciwnym razie twój Krym zostanie protektoratem Imperium!

--Wielu ludziom żyło się tu znacznie lepiej w czasach rządów Imperium niż w twojej Federacji!

Ale Dariana chyba nie miała teraz głowy do takich dyskusji. Moja „nowina” stopniowo przenikała coraz głębiej niczym zatruty grot strzały.

--Po co w ogóle zaczęłaś mnie wypytywać? -- spytałem z kolei ja. -- Gdy wyszłaś się poddać, coś powiedziałaś. Jak rozumiem, to był rozkaz posłuszeństwa, który wydajesz swoim biomorfom?

--To nie tak... -- odparła ochryple Dark. Aż się zdziwiłem, że zniżyła się do odpowiedzi. Widocznie trucizna nowej wiadomości przeniknęła bardzo głęboko i zaczęła się rozprzestrzeniać. -- Rozkaz nie był przeznaczony dla ciebie, lecz dla Roju. Przygotowałam wam szczególne powitanie, coś z repertuaru Zety-5. A ty nagle mdlejesz jak studentka w trzecim miesiącu ciąży. Wtedy zaczęłam podejrzewać, że możesz udzielić mi odpowiedzi na nurtujące mnie pytanie. I udzieliłeś... -- przerwała.

--Jeszcze nie jest za późno, żeby się powstrzymać -- powiedziałem.

Dark podniosła gwałtownie głowę.

--Znalazł się święty! -- warknęła. -- Wisi na krzyżu, a jeszcze prorokuje! Powstrzymać się! Wyrzucić skrucę! Bez względu na to, kim jestem, walczę o wolność i będę o nią walczyć, aż zdechnę! Właśnie teraz po twoich imperialnych przyjacielach na Syberii zostaje mokra plama!

--A przy okazji po wszystkich obrońcach wyspy?

Dariana uśmiechnęła się gorzko.

--Nie trzeba było stawać na drodze postępu i wolności.

--Czy mówi ci coś wyrażenie „Iza dziecka”*?

--Zupełnie nic. -- Dariana odwróciła się.

--Jesteś potworem, Dark. Nie jesteś człowiekiem, tylko takim samym biomorfem jak ja. Skąd wiesz, że nikt tobą nie kieruje? Czy nigdy nie nawiedzały cię wizje? Czy nigdy nie śniły ci się stada macic w głębokim kosmosie?

--Mam mocny i zdrowy sen -- prychnęła Dariana. -- Cóż, Fatiejew, twoja zagadka została rozwiązana, ale jeszcze trochę z tobą poeksperymentuję. Może będziesz słuchał również innych komend?

Zacisnąłem zęby. Czego się właściwie spodziewałem? Dariana to twardy orzech do zgryzienia. W końcu ja też nie zwariowałem na wieść o domieszce biomorfa w mojej krwi, a ta kobieta wydaje się silniejsza od wszystkich generalów i marszałków Imperium razem wziętych, może z wyjątkiem Paula Haussera. Z tym typem mógłby się równać najwyżej marszałek Żukow z dalekiej przeszłości...

--Eksperymentuj sobie -- powiedziałem, patrząc Darianie w oczy. Próbowwała zagłuszyć swoje przerażenie nienawiścią i złością i na razie nieźle jej to wychodziło. -- Śmiało, przeprowadzaj doświadczenia! Może coś z tego wyjdzie. Ale na twoim miejscu nie liczyłbym tak na Rój. Imperialni mają czym powitać twoje straszaki, a potem zajmą się Sewastopolem. Nie spodziewaj się, że powtórzysz tu Iwołgę. W końcu Nowy Krym to planeta jakichś tam Rosjan, podludzi, nie ma tu rasy panów i imperialni mogą ją przeorać do dna. A jak już zryją wszystko, wezmą się za ciebie.

--Straszysz mnie? -- Dariana zmrużyła oczy. -- Zanim cokolwiek stanie się mnie, ty będziesz już pożywką w reaktorze.

--Do dzieła -- zachęciłem ją i wzruszyłem ramionami. -- Już Vallenstein stwierdził, że nie boję się śmierci.

--Dobrze, dobrze. -- Dariana wstała, a w jej oczach zapłonęła rozpaczliwa, szalona nadzieja i radość. -- Fatiejew, podsunąłeś mi pewną myśl. Skoro mój rozkaz tak na ciebie podziałał, a twoim zdaniem ja jestem z tej samej gliny, czemu również nie straciłam przytomności? Dlaczego wcześniej, przy wydawaniu różnych komend, nic się ze mną nie działo? A może skłamałeś? Przyznaj się!

--A co, wtedy potraktujesz mnie ulgowo?

--Wtedy może uda ci się uratować własną skórę -- obiecała przywódczyni 6. Brygady.

--Obejdę się bez twojej jałmużny. Dlaczego się tak stało? Cóż, wyjaśnień może być wiele -- odparłem. -- I jedno najważniejsze: konstruowano cię z myślą o twojej obecnej roli, Dariano. Nie wiem, czy w ogóle jest w tobie coś z człowieka... czy też jesteś absolutną imitacją. Wsadziłem w ciebie dwie kule, a twoja ręka wygląda jak nowa. Może podzielisz się ze mną tajemnicą tak szybkiego gojenia się ran? I czemu nie stało się to powszechnym przywilejem wszystkich członków brygad? Byliby ci wdzięczni!

Spojrzenie Dariany zgasło, rozpalone węgle pokrył popiół. Chyba ze wszystkich sił próbowała odeprzeć myśl, że oboje jesteśmy jednej krwi.

W pewnym momencie wydawało mi się, że się załamie. W jej niezłomnym do tej pory spojrzeniu pojawił się dziki strach.

Ale jednak zdołała wziąć się w garść i następne dwie godziny faktycznie poświęciła wydawaniu rozmaitych komend. Bardzo byłem ciekaw, gdzie i w jakich okolicznościach się tego wszystkiego nauczyła...

Dariana siedziała na krześle przede mną i bezgłośnie poruszała wargami. Muszę przyznać, że nie wszystkie wydawane przez nią rozkazy spływały po mnie jak woda po gęsi. Czasem czułem gorąco, czasem zimno, dwa razy drgnęły mi ręce, a od jakiegoś słowa poczułem ogromny przypływ sił, jakby w żyły wstrzyknięto mi końską dawkę zakazanych środków dopingujących.

--No właśnie, zgadza się -- podsumowała Dariana, usatysfakcjonowana eksperymentem. -- Biomorf, chociaż reaguje słabo... Miałam sporo szczęścia, że zwałam cię z nóg jedną, w dodatku pierwszą komendą!

--Owszem, miałaś szczęście -- przyznałem. W tym coś się kryło; bardzo możliwe, że mój ratunek. Nie wierzyłem w takie zbiegi okoliczności.

Najwyraźniej Dariana doszła do tego samego wniosku.

--Dobrze, zajmę się tobą później -- zawyrokowała. -- Teraz mam pilniejsze sprawy na głowie. Na przykład taki drobiazg, jak ciągle niewygrana wojna...

Zjawili się ochroniarze, zdjęli mnie z haków i nawet rzucili mi jakieś lachmany, żebym nie świecił golizną. Mój złoty krzyżyk na łańcuszku Dariana wzięła, jak się wyraziła, w charakterze pamiątki.

Miałem nadzieję, że odeślą mnie do mojego oddziału, ale Dark umieściła mnie oddzielnie. Stara farma została świetnie przygotowana do roli więzienia: znalazł się tu nawet przyzwoity karczer z betonowymi ścianami i stalowymi drzwiami, których nie powstydziliby się skarbiec porządnego banku.

Zmusiłem się do zachowania spokoju. Nie wyc, nie histeryzować i nie tłuc pięściami w

zamknięte drzwi. Dariana twierdzi, że słucham komend wydawanych biomorfom? Wspaniale, to znaczy, że ja również mogę je wydawać. Przecież już na Omedze-8 w jaskini pierwszego źródła wczułem się w żuka-biomorfa...

Usiłowałem przypomnieć sobie ruchy jej warg z tym wysiłkiem i uporem, z jakim niegdyś odtwarzałem w pamięci każdy rys twarzy Dalki. Próbowałem przywołać wrażenia i jednocześnie chciałem poczuć się częścią Roju; wielkiego, licznego, wirującego na miliardach skrzydeł Roju, najlepszej maszyny do zabijania w znanym nam wszechświecie.

Chyba wprowadziłem się w stan głębokiego transu. Medytowałem, zapominając o czasie i przestrzeni, o swojej własnej, godnej politowania sytuacji. Godzina rozpadała się w pył, jej miejsce zajmowała następna, a przed moimi oczami w fioletowym świetle pojawiały się nieprawdopodobne obrazy, dziwne i niezrozumiałe dla ludzkiego rozumu.

Byłem małym okruczem żywego organizmu, bezosobowym, ale posiadającym duszę zarodkiem, który mógł się rozwinąć w dowolną istotę, wybraną dla mnie przez siłę tworzącą. Nazywam to siłą tworzącą, ale to tylko ludzkie określenie tego, co wtedy czułem. Ta siła ugniatała mnie i wypalała, jej okrutny, bezlitosny dotyk sprawiał, że ja-zarodek kulilem się z bólu. Wiedziałem, że obok mnie tak samo męczą się inne embriony, wiedziałem, że im zgotowano inny los. To, co kształtowało nas wszystkich, dokładnie wiedziało, do czego jesteśmy przeznaczeni. Byliśmy jak cegielki we wznoszonym wielkim murze, niejednakowe, niepodobne do siebie, ale jednak cegielki.

Czułem drganie podłączonych do nas przewodów pokarmowych. Każdy dostawał pokarm przeznaczony wyłącznie dla niego, a ten pokarm przekształcał zarodki, sprawiał, że stawały się coraz bardziej wyspecjalizowane. Już wkrótce mieliśmy wyjść na świat, stawić się na naszą pierwszą i ostatnią bitwę. Nauczono nas rozpoznawać wroga. Nie możemy się pomylić, nasze receptory oraz chemicznie zmienione molekuly wszędzie odróżnią nieprzyjaciela. Nie znamy wahań i wątpliwości, nie znamy strachu i bólu, nie wiemy, czym jest śmierć, i nie zastanawiamy się nad początkiem i końcem własnego istnienia. Żyjemy, żeby spełnić nasze przeznaczenie i rozpaść się, a nasze szczątki, zmienione i przeobrażone, dadzą początek innym embrionom, które z kolei przemienią się w nowych żołnierzy Roju, a każdy będzie spełniał sobie właściwą funkcję.

A ja i Dariana, częściowo ludzie, częściowo biomorfy, trybiki tej dziwnej i strasznej maszyny, mogliśmy przeżyć i poczuć to wszystko, choćby tylko w wizji.

Teraz miałem już prawie pewność, że jest przynajmniej jeszcze jeden człowiek noszący w sobie tę samą „krew” biomorfa.

Nie wiedziałem, ile czasu minęło. Głosy Roju rozbrzmiewały we mnie coraz głośniejsze, coraz wyraźniej, w napięciu usiłowałem spojrzeć na świat fasetkowymi oczami latających nad Nowym Krymem stworów i gdy wydawało mi się, że już prawie widzę dziwaczne dwunogie i dwurękie figurki, uszy przewiercił mi zgrzyt żelaznych zawiasów.

Na progu stała Dalka. Pistolet w jej ręku pachniał świeżym prochem i rozgrzanym metalem.

Rzuciła mi pod nogi ubranie.

--Ubieraj się, Rus.

Gapilem się na nią tępym wzrokiem jak somnambulik, a ona zaszlochala, chwyciła mnie za ramiona i potrząsnęła jak pluszową zabawką.

--Rus! Rus, ocknij się, Rus! Proszę cię!

Chyba płakała, szarpiąc mnie gorączkowo, aż głowa latała mi na boki.

--Zaraz... zaraz... -- mamrotalem. -- Nie gniewaj się... Sowo. Sowa. Dziecięce przezwisko z Kubusia Puchatka, z tej wiecznej książki, w której występuje również Sowa...

--Coś ty narobił!

Jakoś udało jej się podnieść mnie na nogi i wyprowadzić z karceru. Znaleźliśmy się między szopami do połowy stojącymi w ogniu, a w moją świadomość wdarł się wściekły ryk szturmujących henscheli.

Vallenstein. Zrozumiał, że operacja zakończyła się fiaskiem i zrobił to, czego wymagało od niego wojskowe wyszkolenie wzorowego (do pewnych granic) oficera imperialnego. Zaatakował znaną mu pozycję. Nie ściągaliśmy ognia na siebie, jak przystało na bohaterów filmów patriotycznych, jednak ogień sam nas znajdował.

--Biegiem! -- krzyknęła Dalka i zaczęliśmy gnać przez płomień, przez wybuchy, przez wycie tnących powietrze odłamków.

Rój nad naszymi głowami wyglądał teraz jak obłoki ognia, jakby latające stworzenia nasączono napalmem i podpalono. Farma -- a raczej jej żalosne resztki -- płonęła, na ziemi ujrzałem ciała w mundurach Federacji. Dalka z niespodziewaną siłą ciągnęła mnie coraz dalej przez całe to piekło, a potęga imperialnej maszyny zniszczenia metodycznie zmieniała ten niegdyś zielony i kwitnący zakątek w płaszczyznę zwęglonej ziemi...

Gdzie jest mój oddział? Gdzie moi ludzie?

Ale trans i połączenie z Rojem nie mijają od razu. Ostatnie sto metrów Dalka dosłownie niosła mnie na plecach.

Aż w końcu oboje padliśmy w wąskim rowie, zostawiając za sobą huk ognia i łoskot wybuchów.

Leżeliśmy, patrząc na siebie nieruchomym wzrokiem.

--Dala... Sowa...

--Rus, naprawdę... Rus...

Płakała. Łzy żłobiły białe bruzdy na pokrytych sadzą policzkach.

--Znowu wpadłem, co? -- Próbowałem się uśmiechnąć. -- Dariana to sprytne ścierwo...

--Chciała mnie zabić -- stwierdziła nagle Dalka, z wysiłkiem powstrzymując płacz. -- Wtedy, gdy mnie zawołała. Nawet wyjęła pistolet. Pewnie to był jedyny sposób, żeby zmusić cię do mówienia, co?

Skinąłem głową. Dalka zawsze była bystra... tylko to, co stało się ze mną, pozostało dla niej tajemnicą.

--Zrozumiałam -- powiedziała obojętnym głosem człowieka, któremu właśnie runął cały świat. -- Rus, oplakałam cię... wtedy, myślałam, że ty... a potem dowiedziałam się, że jednak nie. Dariana bała się ciebie. Ona...

--Sowo, musimy się stąd wynosić. Znaleźć kryjówkę. Nie wiem, czy się orientujesz, że Dariana zaplanowała totalną zagładę wszystkich Rosjan na Nowym Krymie. Najprawdopodobniej przeżyją tylko przesiedleńcy, nie na darmo ściągnęła ich do Sewastopola. A pozostali... sama wiesz... pola szkieletów jak na Iwoldze i Omedze-8.

Dalka przycisnęła do ust brudną dłoń.

--Teraz Rój spadł na imperialnych oraz obrońców Syberii. Dalu, możesz cokolwiek zrobić?

Byłaś przecież z Darianą... Czy jest...

--Nie mam władzy nad Rojem. -- Znowu płakała, chociaż starała się, żeby głos jej nie drżał.

-- Ma ją tylko Dariana, tylko ona...

--Nic dziwnego -- powiedziałem ponuro. -- Któż podzieliłby się taką potęgą... Dalu, musimy pomóc moim ludziom i...

--Twoim? Imperialnym? Tym faszystom?! -- zachnęła się Dalka.

--Jacy tam faszyści... Nawet nie znają takiego słowa, przecież nie czytają książek.

Zwyczajni żołnierze, nie anioły, ale i nie diabły... To nie oddziały karne i nie gestapo. A bez Imperium nie poradzimy sobie z macicami i Darianą.

--A wolność? A to wszystko, o co walczyliśmy? Ocknij się, Rus!

--Zrobiłem to już dawno i dlatego wstąpiłem wówczas do armii. Dywersjami i zamachami terrorystycznymi niewiele zdziałamy. Z terrorystami nie prowadzi się negocjacji, po prostu się ich likwiduje. Czasem ich akcje są pretekstem do rozpętania wojny światowej. Przede wszystkim musimy się stąd wydostać, a potem porozmawiamy...

--Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? -- Podparła się rękami pod boki. -- Dlaczego zupełnie nie pomyślałeś o mnie? Dlaczego nie zainteresowałeś się, co ja wtedy czułam?

--Dalu... -- Uniosłem rękę w błagalnym geście. -- Porozmawiamy o tym później, dobrze? Przecież i tak w końcu zrozumiałaś, prawda?

--Prawda. -- Odwróciła się. -- Mój ukochany nie mógł być zdrajcą. Głowa wierzyła, a serce... a serce, wybac, Rus, ale nie. Potem ten wypadek w miasteczku studenckim... przecież to ty wyniosłeś mnie z chmury gazu. I wtedy serce wzięło górę. A na Omedze... wtedy omal nie skoczyłam za tobą do reaktora...

Te dziewczyny! Będą rozprawiać o miłości, nawet siedząc na krawędzi leja po bombie, gdy wszystko wokół wali się i płonie.

Spojrzałem w górę -- niebo zasnuwał dym, ale to już był zwykły dym, a nie Rój. Mój wewnętrzny słuch, słuch biomorfa, milczał. Czyżby Dariana posłała wszystkie stwory na szturm imperialnych pozycji?

--Dalu, gdzie są moi ludzie? Dowodziłem nimi i nie mogę ich tak zostawić.

--To pewna śmierć, Rus! -- krzyknęła Dalka niemal histerycznie. -- Obejrzyj się!

Po farmie zostały już tylko zgliszcza.

--Gdzie ich trzymali? -- krzyknąłem.

--W bu... w bunkrze... pod szopami...

--Prowadź. -- Wstałem. Dzięki Bogu, mogłem się już utrzymać na nogach. Wiedziałem, że bez chłopców stąd nie odejdę. To nieistotne, że mają na sobie imperialne pancerze, a na nich Orła z Wieńcem i Słońcem. Wyciągnę ich.

Dalka spojrzała mi w oczy i przestała protestować.

--Zostań tu -- poprosiłem.

--O, nie! -- W jej spojrzeniu znowu zapłonął diabelski ogień. -- Pokażę ci, sam nie trafisz.

Henschele już się wyniosły, ruiny farmy dogasały i wokół nie było żywego ducha. Zostały jedynie nieliczne ciała w mundurach Federacji.

Leżał tu również inny trup, którego widok przyprawił mnie o dreszcz.

Lemur. Prawdziwy lemur z Zety-5. Wyglądało na to, że Dariana nie kłamała i rzeczywiście zdołała ściągnąć tu te biedaki, zmuszając do zadania psi-uderzenia, które znokautowało mój

oddział.

Na szczęście, najwyraźniej ktoś zakazał masowego użycia tego sposobu -- w przeciwnym razie wojna dawno by się skończyła.

Zasłaniając się przed palącym żarem, przedarliśmy się do szop, czy raczej do miejsca, w którym znajdowały się jeszcze niedawno. Nie były to oczywiście przekrzywione, drewniane budynki, jak w książkach historycznych czy rekonstrukcjach, tylko lekkie hangary z trwałych stopów, ale i tak została po nich sterta złomu. Potężny wybuch rozwalił ściany i dachy na drobne kawałki i rozrzucił je po okolicy. Na szczęście nie przeszedł tędy ogień, a eksplozję spowodował zwykły (a nie termobaryczny) pocisk.

--Tutaj! -- Dalka odrzucała zniszczone, poczerniałe fragmenty szkieletu budynku. Ujrzelśmy żelazną klapę rodem ze średniowiecza, zamkniętą grubym stalowym prętem.

--Chłopaki! Wychodźcie! -- krzyknąłem w ogólnaimperialnym. W ciemności unosił się wyraźny zapach ludzkiego bólu i cierpienia.

Pierwszy wyszedł Mikki. Rozebrany do pasa, z kilkoma szramami po rzemiennym pasie Fin niósł na plecach nieprzytomnego Güntera.

Za nim wychodzili pozostali. Nikt nie zginął, ale wszyscy wyglądali, jakby poddano ich przesłuchaniu trzeciego stopnia. Wielu miało dziwne oparzenia i czerwono-fioletowe sińce jak od wielkich przyssawek.

--Panie poruczniku! Melduję się na rozkaz... -- zaczął Mikki, ale tylko machnąłem ręką.

--Za mną. Wynosimy się stąd.

Niektórzy komandosi patrzyli na Dalkę spode łba. Musiałem pogrozić im pięścią.

Z ubrania zostawili im tylko bieliznę, no i oczywiście nie mieliśmy żadnej łączności. Co tu zrobić?

--Ja wiem, co -- powiedziała spokojnie Dalka. -- Chodźcie ze mną. Zdobędę dla was radiostację.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet. Transmisja prowadzona przez wszystkie sieci i wszystkie kanały:

--Nasza cudowna broń została nareszcie użyta! Totalny pogrom imperialnych agresorów na planecie Nowy Krym!

Od dawna czekaliśmy na ten wielki dzień. Gdy nasi bohaterscy bojownicy powstrzymywali oddziały imperialne na Szajtanie, gdy walecznie bronili murów Północnego, czekaliśmy i wiedzieliśmy, że wkrótce nadejdzie dzień, kiedy to my przejdziemy do ofensywy, kiedy Armia Narodowyzwoleńcza zada podłemu agresorowi miążdzący cios. I oto teraz ten dzień nastął.

Nasi uczeni od dawna zajmowali się próbkami biologicznymi stworów, które pojawiły się na Nowym Krymie i zostały zniszczone przez waleczne brygady międzynarodowe. Nauczyli się je hodować i sterować nimi.

Wybiła godzina zemsty.

Setki, tysiące i miliony specjalnie wyhodowanych istot bojowych zaatakowało imperialne pozycje. Nieprzyjacielscy żołnierze wyskakiwali przerażeni ze swoich schronów -- i ginęli. Nowa broń nie zna litości. W ciągu kilku minut cała dywizja armii imperialnej, elitarna 1. Dywizja Zmotoryzowana, została rozproszona i zniszczona. Ręce służących w niej faszystów splamiała niegdyś krew niewinnych ofiar Żłobina. Dzisiaj spotkali swoje przeznaczenie. Dosięła ich zemsta!

Nasze oddziały przerwały blokadę Przywola. Niestety, w ostatnim ataku bezsilnej wściekłości imperialni oprawcy spróbowali powstrzymać atak naszej cudownej broni i użyli niezwykle niebezpiecznych, tajnych gazów bojowych. Naszej broni biologicznej nie mogło to zaszkodzić, ale śmiertelne opary dosięgły ludności Przywola. Na miejscu katastrofy są już nasze oddziały ratunkowe i wciąż przybywają nowe. Właśnie z tego miejsca rozpocznie się nasza ofensywa -- i już wkrótce sztandary Federacji załopoczą nad Władysybirskiem! Odbierzemy również te pozycje, które chwilowo znajdują się w rękach wroga na Szajtanie.

Nasza cudowna broń umie odróżnić swoich od wrogów -- to również zasługa naszych biologów, już przedstawionych przez towarzyszkę Darianę Dark do wysokich odznaczeń państwowych. Ta broń jest absolutnie bezpieczna dla ludności cywilnej, lecz imperialni żołnierze będą od dziś drzeć na samo jej wspomnienie.

Głos spikera zostaje zastąpiony przez chór:

Walką wzięliśmy Przywole i miasto całe przeszliśmy,

A przy ostatniej ulicy nazwę przeczytaliśmy.

A nazwa brzmi tak groźnie, niczym bojowe słowo,

Wła...dysy...birsk... -- ulica przez miasto biegnie,

Więc tędy prowadzi nasza droga,

Tędy prowadzi nasza droga

Wła...dysy... birsk -- ulica biegnie przez miasto,

Wła...dysy...birsk -- ulica na wschód nas prowadzi!

Wiadomości imperialne:

--W ciągu ostatniej doby na frontach nie nastąpiły żadne znaczące zmiany. Nasze oddziały na planecie Szajtan przeprowadziły zwiad bojowy, wojska raketowe i lotnicze zadały kilka ciosów zajętem przez nieprzyjaciela pozycjom. Na planecie Nowy Krym nasze wojska nadal zajmują zdobyte uprzednio obiekty i odcinki, szykując się do zdecydowanego ataku i wkroczenia do miasta Pschivole, ostatniej ostoji buntowników na Syberii, największej wyspie planety.

Propaganda separatystów z uporem rozgłasza plotki o „cudownej broni”, rozpaczliwie próbując wesprzeć upadającego ducha bojowego samozwańczej Federacji. Daremne nadzieje! W bajki o rzekomej „broni zemsty” nie uwierzyłyby nawet dzieci. Już wkrótce prawo i porządek zatriumfują na całej przestrzeni Imperium ludzkości, jak nigdy przedtem zjednoczonego wokół Jego Imperatorskiej Wysokości, Cesarza Wilhelma III.

Nawiązano ponowne kontakty z przedstawicielami cywilizacji Slime w celu ostatecznego wytyczenia granic w Dziewiętnastym i Dwudziestym Pierwszym Sektorze. Na znak dobrej woli Imperium oddaje cywilizacji Slime trzy systemy, dawno temu oznakowane przez naszych astronautów. W systemach tych znajdują się jedynie giganty gazowe, które nie nadają się do kolonizacji, chociaż są interesujące dla cywilizacji Slime. W zamian nasi partnerzy proponują nam jeden system gwiazdny z planetą ziemskiego typu i zobowiązują się do dostarczania komponentów paliwa, produkowanych na wspomnianych gigantach gazowych.

Pertraktacje odbyły się w atmosferze obopólnego zrozumienia.

W dniu dzisiejszym służba prasowa Imperialnego Sztabu Generalnego oficjalnie zaprzeczyła pogłoskom, inspirowanym przez propagandę buntowników tak zwanej Federacji Trzydziestu Planet i rozprzestrzenianym przez nieodpowiedzialnych pracowników środków

masowego przekazu w sektorach pogranicznych, zwłaszcza „planet niezależnych”. Według tych plotek nasze siły zbrojne miały otrzymać ostrzeżenie od wywiadu, że Stowarzyszenie Dbigu koncentruje swoje siły w pobliżu granicy z Imperium, w rejonie sektorów Ósmego i Jedenastego, objętych ruchem separatystycznym. Zaczęto również rozprzestrzeniać pogłoski o zbliżającej się wojnie Imperium ze Stowarzyszeniem Dbigu. Zgodnie z tymi pogłoskami: 1) Dbigu wystąpili z roszczeniami o charakterze terytorialnym i ekonomicznym, a obecnie prowadzone są pertraktacje o zawarciu nowego traktatu między Imperium i Dbigu; 2) po odrzuceniu tych roszczeń przez Imperium, Dbigu zaczęli koncentrować swoje siły wzdłuż granic z Imperium, zamierzając zaatakować ludzkość; 3) Imperium ze swej strony zaczęło szykować się do wojny ze Stowarzyszeniem Dbigu i koncentruje swoje wojska u ich granic.

Mimo całej fantastyczności tych pogłosek, pewne kręgi w Imperialnym Sztabie Generalnym oraz Ministerstwie Propagandy uznały za konieczne udzielić pełnomocnictw służbie informacji Głównej Korporacji Nadawczej, aby zapewniła, że plotki te są jedynie niezdarnie skleconą propagandą sił wrogich Imperium, zdrajców rasy ludzkiej, liczących na rozpętanie wojny międzywilizacyjnej. Stojący za tymi pogłoskami zdrajcy i wichrzyciele mają nadzieję skłócić Imperium ludzi ze Stowarzyszeniem Dbigu i dzięki temu zachować niezależność swojej bandycko-terrorystycznej enklawy.

Służba informacyjna Głównej Korporacji Nadawczej z całą odpowiedzialnością zawiadamia, że: 1) Stowarzyszenie Dbigu nie przedstawiało i nie przedstawia Imperium żadnych roszczeń, podobnie jak nie proponowało i nie proponuje jakiegokolwiek nowego traktatu ani też żadnych uzupełnień czy zmian istniejącego już traktatu *O podziale i nieingerencji*; 2) według danych Imperium, zarówno Stowarzyszenie Dbigu, jak i Imperium pilnie przestrzegają wszystkich postanowień wspomnianego traktatu, a w związku z tym plotki o rzekomym zamiarze zerwania paktu i ataku na Imperium są pozbawione wszelkiego prawdopodobieństwa; 3) Imperium, jak wynika to z jego pokojowej polityki, przestrzegało i przestrzega warunków traktatu ze Stowarzyszeniem Dbigu, a pogłoski o tym, że Imperium jakoby szykowało się do wojny z Dbigu, są kłamliwą prowokacją; 4) przegrupowanie wojsk imperialnych i ściąganie rezerw wynika z konieczności przeprowadzenia operacji mającej na celu przywrócenie konstytucyjnego porządku na terytorium Ósmego, Jedenastego i innych pogranicznych sektorów. Interpretowanie ich jako manewrów wrogich Dbigu jest co najmniej niepoważne.

Dalka zdobyła dla nas radiostację w bardzo prosty sposób -- na posterunku przy wjeździe do Nowego Sewastopola. Nie było tam teraz żadnych bojowników z brygady międzynarodowej, wyłącznie brodacze-przesiedleńcy, ale Dalka nie miała na sobie półcywilnego stroju 6. Międzynarodowej, tylko kompletny mundur oficera Sił Zbrojnych Narodowo-Demokratycznej Federacji. Środki łączności udostępniono jej natychmiast, chociaż wiadomo, jak górnicy z Borga traktują kobiety, a zwłaszcza te, których rozkazy muszą wykonywać. Ale na razie złote pagony Federacji robiły na nich wrażenie.

Dalej to już była tylko kwestia techniki. Dać o sobie znać, a następnie ukryć się w zaroślach i czekać, aż nas stąd wyciągną. Jeśli oczywiście Rój nie zjawi się pierwszy.

Okazało się, że żaden z moich chłopców nawet nie zdążył podnieść broni. Dariana nie na darmo wspomniała o Zecie-5. Wówczas, w drodze do Ingelsbergu, część mojego plutonu również straciła przytomność, najprawdopodobniej na skutek działalności lemurów.

Niespodziewanie złapałem wolną chwilę na rozmowę z Dalką.

--Co się stało wtedy, po mojej rozmowie z Darianą?

--Wyszła z pokoju, zadowolona jak... najedzony kot. -- Dalka drgnęła. -- A ja niespodziewanie poczułam taką zazdrość, taką straszną i histeryczną zazdrość... Pomyślałam, że ona skorzystała z tego, że wiesz nago na ścianie, i... -- Zaczerwieniła się. -- Nigdy nie przypuszczałam, że mogę być tak zazdrosna! A wtedy byłam gotowa rozszarpać ją gołymi rękami. Potem, żeby nie patrzeć na Dark, poszłam do węzła łączności, do bunkra, próbowałam się uspokoić i wtedy wasi uderzyli. Pierwsza fala zmiotła wszystkie ściany.

--A ja? Gdzie ja wtedy byłem?

--Ciebie od razu zaprowadzili do karceru. Pomyślałam, że zaraz zwariuję, że tego nie zniosę, że po raz drugi nie przeżyję twojej śmierci. Pobieglam... patrzę, a tu ścian już nie ma, zostało tylko betonowe pudełko. Wytrzymało... I wtedy cię wyciągnęłam.

--A Dariana?

--Podczas takich ostrzałów ją ratują przede wszystkim. Gwardia osobista, ochroniarze... Jak się przedarli i gdzie teraz są, nie wiem. Jestem oficerem łączności... to znaczy byłam -- poprawiła się, a twarz jej poszarzała. -- Czy to znaczy, że teraz jestem zdrajcą?

--Nie, nie. -- Położyłem rękę na jej ramieniu, palce dotknęły ciepłego ciała i... i nie poczułem nic oprócz współczucia i litości. Namiętność, niegdyś budząca się od najlżejszego muśnięcia, minęła bezpowrotnie.

Dalka przeciwnie, pochyliła głowę, przycisnęła moje palce do swojego ramienia policzkiem i spojrzała mi żałośnie w oczy.

--Nie jesteś zdrajcą -- powtórzyłem, biorąc się w garść. -- To Dariana zdradziła i oszukała was wszystkich. Nie ona sama oczywiście, lecz cała górką brygad międzynarodowych, całe tak zwane centrum ruchu oporu. Od początku mieli kontrolę nad macicami, rozumiesz? Przypomnij sobie, co się działo na Omedze-8... Naprawdę nie zaczęłaś niczego podejrzewać?

Wierzyliśmy Darianie... ona nigdy się nie myliła. Mówiła, że mieliśmy niezwykle szczęście, bo znaleźliśmy broń zemsty, która rzuci Imperium na kolana. Przybyliśmy tutaj, kiedy, jak nam mówiono, na Omedze nikt nie przeżył. Powiedzieli, że to nasza ostatnia nadzieja. I... baza zaczęła pracować.

--Wiedziałaś, że do reaktora wrzucają imperialnych żołnierzy? -- spytałem wprost.

--Wiedziałam. -- Tym razem Dalka nie spuściła oczu. -- Ale kim oni dla mnie byli? Faszyści, oprawcy, mordercy! Czy tacy ludzie zasługują na litość?

--A zabijanie jeńców?

--A sprzedawanie Obcym powstańców po Utrechcie i Żłobinie?

--Tak, jeden potwór wart jest drugiego. -- Skinąłem głową. -- Niech ich diabli. Niech spadnie na nich dżuma, mór, ciemność, głód i siedem plag egipskich.

--Opowiedz mi o sobie -- poprosiła Dalka nieoczekiwanie. -- Byłam taka głupia... Przecież to jasne, że nie zapisałeś się do Trupiej Głównki dla kaprysu. Powiedz, dla kogo pracowałeś?

--Co za pytanie -- westchnąłem. -- Dalu, czy nie rozumiesz, że nie mam prawa na nie odpowiedzieć?

--Tak, tak, oczywiście, przepraszam... Po prostu strasznie chciałam usłyszeć to od ciebie. Nie swoje przemyślenia, tylko twoje słowa. Znowu wiedzieć, że to jesteś ty, że jesteś obok, na zawsze, na wszystkie te dni, które mamy przed sobą...

Zamknęła oczy, a ja z goryczą poczułem w sobie zupełną pustkę. Zbyt dobrze pamiętałem jej słowa tam, na malej wysepce, w czasie mojej ostatniej nocy cywilnego życia.

--Widziałas, jak macicom montowano antygravitatory? -- zadałem dręczące mnie od dawna pytanie.

--Antygravitatory? -- Dalka uniosła brwi. -- Ach, antygrawy...

--Tak. Jak twoim zdaniem macice startują? Jak poruszają się w kosmosie? Widziałem na własne oczy, jak wzbijały się w powietrze z Omegi! A poza tym, skąd wzięły się na Iwoldze?

Dalka pokręciła ze smutkiem głową.

--Rus, o ile zdążyłam zrozumieć, przeważająca większość macic nie ma żadnych antygravitatorów, hoduje się je bezpośrednio na tych planetach, na których planowane jest uderzenie.

--Ale widziałem na własne oczy...

--Ja też! -- wpadła mi w słowo. -- Bądź przez chwilą cicho i posłuchaj, co ci powiem. Słyszałam przypadkowo, że antygravitatory to już dodatek samej Dariany.

Potrząsnąłem głową, nie wierząc własnym uszom.

--Jak to? „Krecie nory”, nawigacja międzygwiazdna... Przecież do niczego takiego nie doszliśmy!

--Nie przesadzaj. -- Dalka wzruszyła ramionami. -- Z nawigacją w Imperium zawsze było wszystko w porządku. A na Smithsonii mieściła się filia Imperatorskiej Akademii Nauk, zajmującej się problemami fizyki przestrzeni. Wiem, że Dariana miała tam mocne powiązania.

--Szalony naukowiec samotnik, który rozgryzł teorię „krecich nor” i odkrył możliwość korzystania z nich?

--Nie szalony naukowiec, tylko Imperatorska Akademia Nauk!

Stop, powiedziałem sobie. A jeśli to dowód na to, że mamy do czynienia z inwazją kontrolowaną? Jeśli ktoś rzeczywiście planuje przewrót w Imperium i w tym celu opracowuje zupełnie nową broń, nowe środki nawigacji i całą resztę, do której na razie nie ma dostępu zwykła armia, walcząca na pierwszej linii? A jeśli istnieją ścierające się ze sobą grupy i Totenkopf, 6. Międzynarodowa, a nawet Dariana Dark to tylko marionetki w ich rękach? Jeżeli sam cesarz pełni wyłącznie funkcję dekoracyjną? A może rozpaczliwie walczy o przetrwanie?

Nie na darmo wymyśliliśmy z ojcem nasz pierwotny plan. Moje miejsce było tam, w mózgu Imperium, w wywiadzie, w wydziale analitycznym Sztabu Generalnego, w jednej z tych „szarych grup”, które faktycznie sterują ogromnym konglomeratem systemów gwiazdnych. Być może Vallenstein miał rację i powinienem złożyć raport... Ale nie, przecież braliśmy pod uwagę ewentualność, że tajna policja mnie „prowadzi”. Do dziś nie jestem pewien, czy wypuszczając mnie, Służba Bezpieczeństwa miała jakieś ukryte plany.

--Więc jakim cudem one startują? A może mnie i imperialnym satelitom na orbicie wszystko się przywidziało?

--Nie przywidziało wam się -- odparła poważnie Dalka. -- Ale początkowo macice nie umiały latać. A antygrawy... Wprawdzie byłam jedynie porucznikiem, ale wydaje mi się, że powinniśmy przyjrzeć się Dbigu. Nawiązywano z nimi jakieś kontakty... U nich te technologie stoją na bardzo wysokim poziomie.

Przypomniałem sobie film szkoleniowy, który nam pokazywano, gdy Tannenberg nie był jeszcze brygadą czy pułkiem, lecz batalionem. Owszem, były tam jakieś dysze, ale bagno pod

nimi nie wrzało, a właśnie tego należało się spodziewać, gdyby latająca machina ośmiornic faktycznie „stała na ogniu”.

--Czy to znaczy, że Dariana znalazła sposób połączenia macicy z antygrawem, a Imperatorska Akademia Nauk wyposażyła je również w możliwość wyjścia z „krecich nor”?

--Tak myślę. -- Dalka skinęła głową. -- Ale zarodniki macic przynosiliśmy głównie my.

--Tamto przedstawienie na Nowym Krymie to również wasza sprawka?

--Również. -- Dala spuściła głowę. -- Było mi... było mi strasznie wstyd. Wtedy właśnie zaczęłam się wahać i wątpić.

--Ciekawe, jak Darianie udało się do tego dojść. Żeby połączyć bezmózgą macicę z takim urządzeniem..

--Ona nad nimi panuje -- szepnęła Dalka, oglądając się odruchowo. -- Jest... jest jakaś dziwna. Słyszałam, że nawet przeżyła w reaktorze.

--Otóż to. -- Skinąłem głową i dodałem zdecydowanie: -- Dalu, musisz wiedzieć, że Dariana Dark nie jest do końca człowiekiem. Jest biomorfem.

„I nie tylko ona”, chciałem dodać, ale język odmówił mi posłuszeństwa. Wyznanie Dalce, że podobnie jak Dariana, ja również noszę w sobie tę kosmiczną truciznę, okazało się ponad moje siły.

Dalka szeroko otworzyła oczy i zaraz mocno je zacisnęła.

--Nie, nie, nie -- usłyszałem jej szept. -- To niemożliwe... nie wierzę!

--Ja też nie wierzyłem.

--Ale dlaczego? Skąd to wiesz?

--Po prostu wiem. -- Rany, co ja narobiłem, przecież Dalka zaraz się domyśli!

--Dlatego, że przeżyła w reaktorze?... Ale... poczekaj, przecież ty też przeżyłeś!

W głosie Dalki zabrzmiało prawdziwe przerażenie.

--Przeżyłem, Dalu -- odparłem i odwróciłem się. Nie mogłem patrzeć jej w oczy, w których zaraz pojawi się strach, wstręt i lzy.

--Więc ty również... -- szepnęła i zastygła, niczym zwierzątko, do którego zbliża się wąż, ciągnąc lśniące skręty luskowatego ciała.

W jakimś sensie to ja byłem tym wężem -- wijącym się i luskowatym.

--Tak, ja również. -- Zaprzeczanie nie miało sensu. Milczenie i cisza napierają na pierś niczym wody oceanu podczas nurkowania.

--Nie wiedziałem o tym, gdy byłem z tobą -- bąknąłem. Żalosa próba usprawiedliwiania się. Jakbym chciał powiedzieć: „Nie bój się, nie chciałem świadomie zrobić ci krzywdy”.

--Jak... jak się dowiedziałeś? -- powiedziała ledwie słyszalnie, nie patrząc na mnie.

--Gdy wróciłem do domu, rodzice poinformowali mnie, że swego czasu przeprowadzili eksperyment. Pomyślny.

--Nienawidzę! -- wybuchnęła nagle.

--Kogo, Dalu?

--Wszystkich!... ich wszystkich! Ja bym ich gołymi rękami... eech! -- Wyszczrzyła zęby jak wściekły kot. -- Po co to zrobili? Wyjaśnili ci coś przynajmniej?

--Wyjaśnili -- odparłem lakonicznie.

--I co? To ci wystarczyło?

W milczeniu skinąłem głową.

Znowu zapadła cisza. Dalka utkwiała nieruchome spojrzenie w jakimś odległym punkcie.

--Nie wiem tylko, kto stworzył Darianę -- przerwałem to ciężkie milczenie. -- A co najważniejsze, ona również tego nie wie. Była pewna, że jest zwykłym człowiekiem o specyficznych umiejętnościach. Wyobrażam sobie jej dumę, gdy biomorfy spełniały polecenia!

--A oni... stworzyli ciebie... -- odezwała się wreszcie Dalka. Jej głos drżał, urywał się, dygotał niczym ostatni jesienny liść na zimnym wietrze, jaki wiał w listopadzie na Starej Ziemi w mieście Sankt Petersburg... -- Może nie wszystko ci powiedzieli, Rus? Może domyślali się, jaka jest natura Dariany i stworzyli ciebie... jakby w odpowiedzi?

Musiałem przyznać, że taka ewentualność nie przyszła mi do głowy.

--Wychowali cię w absolutnym posłuszeństwie -- pokręciła głową Dalka. -- Dobrze pamiętam... Nigdy nawet trawki nie zapaliłeś, bo mama nie pozwalała.

--Bzdura. Mama po prostu wyjaśniła mi, na ile to jest szkodliwe, a...

--A ty jej posłuchałeś -- oznajmiła Dalka tonem prokuratora. -- Ja też nigdy nie podobałam się twojej mamie, że niby panna bez posagu i...

Boże! Kobiety! Nawet siedząc pod pociskami, nie przegapicie okazji, żeby wetknąć szpilą swojej przyszłej teściowej. Nawet jeśli prawdopodobieństwo, że ta teściowa rzeczywiście stanie się waszą teściową, jest bliskie zeru.

--Na pewno o wszystkim wiedzieli! -- Dalka rzuciła się na tę myśl jak tygrysica na zdobycz. -- Wiedzieli i stworzyli ciebie!

--O niczym nie wiedzieli, Dalka.

--Skąd ta pewność? -- Nie poddawała się.

Moje wargi same ułożyły się w smutny półuśmiech. No tak, ciężko udowodnić brak złego zamiaru...

--Powiedzieliby mi o tym. Zawsze mówili mi o wszystkich ważnych rzeczach.

Dalka uśmiechnęła się ironicznie, jakby chciała powiedzieć: „Już my znamy tych teściów!”

--Dobrze, wróćmy do Dbigu. -- Zmieniłem temat. -- Czy Dariana naprawdę się z nimi kontaktowała? Dawno?

--Słyszałam tylko przypadkiem -- wyznała Dalka. -- Dzięki dostępowi do wydziału szyfrującego.

--Kto był inicjatorem? Dariana? Jej sztab? Centrum ruchu oporu?

--Dbigu -- powiedziała Dalka, zniżając głos.

--Naprawdę? -- zdumiałem się. -- I ty, porucznik, wiesz o takich rzeczach?

--Dariana zbliżyła się do mnie. -- Dalka spuściła głowę. -- Po tym, jak ty... skoczyłeś do reaktora. Pewnie myślała, że już się od niej nie oderwę.

--Miałaś dostęp do ściśle tajnych informacji? -- Nie ustępowałem.

--Dbigu nawiązali kontakt ze zwykłymi obserwatorami. Bezpośredniej łączności z Darianą rzecz jasna nie mieli i nie mają.

Skinąłem głową. No tak, to było możliwe.

--I co dalej?

--Dariana prowadziła z nimi korespondencję. Potem przysłali antygravitatory.

--I dalej przysyłają? Przecież latających macic nie widziano więcej niż dziesięć.

--O ile wiem, już nie przysyłają. Wiesz, co się narobiło, jak jedno z tych urzędzeń nasi spróbowali otworzyć? Rozwaliło połowę uniwersytetu!

--Tak, slyszalem. A moze pozniej Dbigu przerwali te dostawy? Czy przez caly ten czas utrzymywano z nimi kontakt?

Dalka zamyslila sie i pokręcila glowa.

--Nawet jesli, to nic o tym nie wiem.

Istniala jeszcze jedna ewentualnosc... Dlaczego Dbigu mieliby mieszac sie do imperialnych spraw i w dodatku przekazywac Darianie taki sprzet? Absolutnie fantastyczne zalozenie, ale wcale nie gorsze od tych konstrukcji, ktore tworzyliśmy razem z ojcem, w kazdym razie rownie nieprawdopodobne i rownie latwe do obalenia. No coz, umieścimy te hipoteze na liscie...

--Antygravitatory to idealna szansa odciagniecia imperialnych od prawdziwego kanalu dystrybucji biomorfow -- kontynuowala Dalka. -- Wszyscy sa zbici z tropu, nikt nic nie rozumie. Jak taki kolos moze w ogole latac? A jesli tajemnicze „krecie nory” prowadza do Starej Ziemi? Jesli cos takiego spadnie prosto na glowe Jego Imperatorskiej Wysokosci, zeby tak dostal zaparcia?

Gdziez juz o tym slyszalem... Chyba w rozmowie z czlowiekiem o imieniu Konrad.

Obraz, jaki wylanial sie po zlozeniu tych elementow, nie wygladal zachecajaco. Zeby diabli wziewli tych Dbigu, po co nagle wpakowali sie w ten mniej wiecej spójny układ My-Obcy, ci sami, ktorych chmary macic jawily mi sie w moich wizjach? A przeciez tam macice krązily w przestrzeni... Sen mara? Świadomosc próbuje przetworzyc to, czego nie sposob opisac, w cos, co mozna zrozumiec? W koncu bezkresne stada macic idealnie wpisuja sie w „odwieczne zagrozenie” ludzkości, czyli inwazje Obcych... A jesli tak naprawde nie ma zadnych chmar? Jesli sa tylko ludzie, dobrzy i ci gorsi, ktorzy wyciągnęli rece po owoc zakazany? A jesli moje wizje nie sa przekazem realnie istniejacych wrogich armad, lecz proba zrozumienia tego, co niepojęte, wkładem biomorfa w moje mysli?

--Rus... Rus! Czemu milczysz? Co z nami bedzie?

--Wróce do brygady... jesli nadal istnieje. -- Skinalem glowa, wskazujac niebo. Teraz bylo czyste, ale dobrze pamietalem szelest niezliczonych skrzydel.

--A ja? Co ze mna?! -- Dalka zacisnela pieści.

--Wyslalbym cie do moich rodzicow, ale teraz nie sposob do nich dotrzeć, sa zbyt daleko od Nowego Sewastopola.

--I tak bym sie nie zgodzila! -- wybuchnela dziewczyna. -- Mieliby mnie przygarnac z litości?!

--Wobec tego musialabyś pójsc ze mna... -- Rozložylem rece. -- Tylko... Vallenstein ma wprawdzie glowe na karku i nie lubi tajniaków, ale nie jest wszechwladny. Nalezaloby zainscenizowac twoja skrucę, musialabyś zaoferowac pomoc w zlamaniu szyfrow Federacji...

Niewiele brakowalo, a dostalbym w twarz.

--Dariana Dark to jeszcze nie wszystkie brygady miedzynarodowe! Nie poświęce tych ludzi!

--W takim razie powiedz, jak mozna szybko skonczyc z Darianą. -- Odsunalem jej rece od swojej twarzy. -- Nie jest wprawdzie jedynym rozsadnikiem zla, ale mam nadzieje, ze bez niej Federacja nie zdola sterowac macicami...

--I twoje ukochane Imperium zdławi nas ostatecznie? -- zapytala z gorycza Dalka. -- Mnie tez nie podobaja sie te biomorfy, ale co sie stanie z naszymi, jesli zabraknie Dariany? Co bedzie z brygadami miedzynarodowymi?

Zacisnąłem zęby.

--Rozsypią się. Rozproszą, przyczają i przestaną się wychylać. Zejdą do podziemia. W otwartej walce Imperium załatwi nas na amen. Takich systemów nie da się zniszczyć uderzeniem z zewnątrz, można je tylko rozsadzić od środka. Uczylaś się historii? Ostatnie lata istnienia Związku Radzieckiego nic ci nie mówią? Podobną sytuację mamy tutaj. Jeśli zaatakujemy Imperium, najeży się jak jeżozwierz i odeprze nas. Co, powiedzmy sobie szczerze, właśnie się zdarzyło. A my... my planowaliśmy powolny proces, w wyniku którego Nowy Krym miał otrzymać kolejne ulgi i przywileje. Żeby nie było nas pięć milionów jak teraz, tylko sto razy więcej. Żeby język rosyjski rozbrzmiewał nie tylko na naszej planecie.

--I to wszystko miał zrobić jeden człowiek? Agent, który przeniknie do imperialnego wywiadu?

--Niezupełnie jeden. Ale mieliśmy określone... plany taktyczne, że tak powiem.

--Jakie? -- napierała Dalka.

Odwróciłem wzrok. Przecież nie opowiem jej tego wszystkiego, co wymyśliliśmy z ojcem!

--Nie chcesz, to nie mów. -- Dalka obrazila się i też się odwróciła.

--Dalu... Sytuacja się zmieniła. Nie wiemy, co Dariana zrobiła z Rojem. Niewykluczone, że właśnie zaczęła się na naszej planecie totalna czystka. A potem Dark przerzuci tu resztę tych nieszczęśników z Borga, którzy rzeczywiście pójdą za nią w ogień i wodę. Czy nie rozumiesz, że ona wkrótce załatwi również okolice Nowego Sewastopola?

--Nie wierzę -- szepnęła Dalka. -- Nie mogę w to uwierzyć...

--Ja też staram się w to nie wierzyć -- powiedziałem ponuro. -- W przeciwnym razie... nie wiem, co powinniśmy zrobić. Przejąć radiowęzeł, ogłosić wszystkim mieszkańcom planety, żeby się ukryli?... Ale przed Rojem nie ma ratunku. Na Omedze-8 nikt nie ocalał.

Dalka drgnęła.

--Która godzina? -- spytałem.

Powiedziała.

--Niedługo przylecą. Decyduj, Dalu.

--A mam jakiś wybór? Do imperialnych nie pójdę, do Dariany też nie wrócę. Ale mam jeszcze przyjaciół, mam gdzie się ukryć. Nie zginę.

--Słowo daję, gdyby tak można było cię związać i...

--Nawet o tym nie myśl! Zabiję się, chociaż to grzech śmiertelny! Wtedy, na Sylwanii, na pewno bym ze sobą skończyła, gdyby przesłuchiwało mnie gestapo! I teraz też mi ręka nie drgnie!

--W takim razie najlepiej będzie, jak już pójdziesz.

--Tak po prostu mam sobie pójść? Przecież możemy się już nigdy nie zobaczyć! -- krzyknęła Dalka i zaczerwieniła się.

Opuściłem wzrok. Czulem wyłącznie pustkę, jakby siedzący we mnie biomorfy wyżarł w końcu wszystkie myśli i uczucia.

--Dalu... ja nie jestem człowiekiem.

Zjeżyła się, jakby przypomniawszy sobie coś nieprzyjemnego.

--Och... ja... no tak, mówileś, ale ja nie wierzę... A poza tym... czy wcześniej było nam źle? Chodź do mnie... -- Jej głos stał się ciepły i czuły, jak dawniej.

I kochaliśmy się, ukryci przed wszystkimi, kochaliśmy się pospiesznie i chciwie, jakbyśmy

nie mieli się już nigdy spotkać...

Ale w ostatniej, najbardziej dojmującej chwili przed moimi oczami przemknęła Gilvy. Dalka chyba to wyczuła, szarpnęła się i odsunęła, jakby w obawie, że zostanie w niej jakaś część mnie, jakby się mnie brzydziła po tym, co usłyszała. A raczej nie ona sama, lecz jej ciało.

Nie obraziłem się. Sam byłem przygotowany, żeby nie dopuścić do „wpadki”.

A potem staliśmy, opierając się o siebie czołami i szeptaaliśmy jakieś głupstwa, a wewnątrz mnie dźwięczała coraz większa pustka, pustka, w której przemknęła twarz dawnej „dziewczynki”.

„Koniec był prosty: przyszedł ciągnik”, jak śpiewał wielki rosyjski bard XX wieku. W dokładnie oznaczonym czasie, w punkcie umówionego spotkania zjawił się jastrząb.

Dalka już dawno zdążyła się ukryć. Zostawiła kilka adresów sieciowych, pod którymi -- w razie czego -- można ją było znaleźć bez względu na wszystko.

--Będę do ciebie pisać. Na poste restante... -- Uśmiechnąłem się. -- Rozumiem, że nie zamierzasz wracać do Dariany?

Dalka wzdrygnęła się.

--Nikt nie wie, że to ja wyprowadziłam ciebie i twoich ludzi. To znaczy, nikt z tych, którzy przeżyli. Jeśli przestrzelę sobie ramię na wylot, może uda mi się wykręcić...

--Sądysz, że lekarze Dariany nie odróżnią rany po kuli od rany po odłamku?

Dalka posępnie skinęła głową.

--Coś wymyślę. W każdym razie na pewno nie zostawię Dariany bez nadzoru. I powiem ci, czego się dowiedziałam... A ty... ty tylko wróć, dobrze? -- Gwałtownie przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała jakoś drapieźnie. -- Wróć! W przeciwnym razie pójdę za tobą na tamten świat i narobię takiego rabanu!

--Jest łączność z brygadą, poruczniku? -- To było moje pierwsze pytanie do pilota, gdy wróciłem do oddziału.

Nie miałem żadnych dystynkcji, ale zdaje się, że pilot bez wahania wyczuł intonację dowódcy.

--Tak jest -- powiedział po sekundowym wahaniu. -- Hans! -- skinął na radiooperatora pokładowego. -- Łączność!

Verbindung pojawiła się od razu. Najwyraźniej Vallenstein z niecierpliwością czekał na wiadomości ode mnie.*

--Meldujcie -- zadźwięczał w słuchawce jego oschły głos.

Złożyłem meldunek, pomijając bezpośrednią przyczynę mojej niewoli.

Vallenstein milczał dłuższą chwilę, mimo ryzyka utrzymywania w eterze działającego nadajnika. Rozumiałem go: kompletna klapa. Dariana Dark znowu się wyśliznęła.

--Bóg jest z nami -- usłyszałem w końcu. -- Wszyscy wrócili cali i zdrowi, a to już dużo. U nas jest teraz bardzo gorąco. Rój nakrył nas w Przywołu. Musieliśmy ewakuować ludność cywilną. W brygadzie straty. Reszta na miejscu.

Jastrząb bez przeszkód dotarł do pozycji Tannenberga. Biomorfy odepchnęły imperialnych od miasta sporo poza pozycję, z której niedawno 1. Zmotoryzowana zaczynała podejście. Zwarta linia frontu przestała istnieć. Pojedyncze oddziały zamknęły pierścienie wokół bezładnych tłumów uratowanych z Przywoła cywilów.

W odróżnieniu od nieba nad Nowym Sewastopolem, tutaj w powietrzu Rój panował niepodzielnie. Baterie RSZO* zmieniły specjalizację, wyrzucając w obłoki setki pocisków bez żadnego widocznego efektu. Rezerwy Roju wydawały się niewyczerpane. Ponadto Rój wyraźnie „zmaźrał”. Przestał atakować na hura, całą kupą, nie próbował już zdławić nas przewagą liczebną. Teraz biomorfy bardziej przypominały stado przebiegłych wilków prowadzonych przez doświadczonego przywódcę -- atakowały te pododdziały, które oderwały się od głównych sił i zostały w tyle z powodu, na przykład, awarii sprzętu.

Vallenstein osobiście wyszedł nas powitać, uściskał ręce wszystkim, którzy wrócili, a mnie zabrał ze sobą.

W znajomym już kącie sztabowego wagonu pancernego pułkownik własnoręcznie napełnił dwa kubki kawą o termojądrowej mocy i skinął mi głową: opowiadaj. Niestety, miałem niewiele do zaprezentowania -- mikroukład pamięci wideo, rejestrujący to, co widział mój celownik na helmie, pozostał u Dariany.

--Jak was wzięła?

--Specjalnie zdradziła nam swoje miejsce pobytu. Przygotowywała zasadzkę. Rój zaatakował niespodziewanie, przewrócono mnie i praktycznie od razu straciłem przytomność...

--Dlaczego? Silny cios?

Musiałem zacząć kłamać.

--Melduję, że nie. Oddziaływanie psi, wspomnienie z Zety-5.

--Podziałało tylko na ciebie?

--Melduję, że nie. Na wszystkich.

Vallenstein zacisnął zęby i wydał coś na kształt zdławionego ryku.

--Tamten wypadek na drodze?

--Melduję, że tak. Sądzę, że Dariana znalazła sposób głębszej kontroli lemurów, skoro ściągnęła je tutaj i sformowała zdolny do walki „pododdział”.

--To znaczy, że pod samym nosem garnizonu Zety-5 działa podziemie Federacji -- warknął Vallenstein. -- Zanotujemy. Nie ujdzie im to płazem. To bardzo ważne informacje, Rusłanie, bardzo ważne! Chociaż... Poczekaj... Ciekawe w takim razie, dlaczego użyli tego oddziaływania psi tylko raz, czemu na Ingelsbergu próbowali bezmyślnie zaważyć nas trupami?

--Może lemury mogą oddziaływać jedynie na ograniczoną grupę ludzi -- zasugerowałem -- i nie są w stanie zająć się dużymi skupiskami gotowych do stawiania oporu żołnierzy.

--Brzmi rozsądnie... Co było dalej? Opowiedz wszystko z detalami.

Oczywiście nie miałem zamiaru zdradzać wszystkich szczegółów tamtej rozmowy.

--Przesłuchiwała mnie. Standardowe pytania: położenie oddziału, skład bojowy, zadania i tak dalej.

--Metody siłowe?

--Nie zastosowała.

Vallenstein uniósł brew.

--Miałeś szczęście, Rusłanie.

--Melduję, że tak. Potem, gdy zaczął się nalot, uratowała mnie Dalia Dżamajte.

--*Volentum ducunt fata!** Znakomicie, Rusłanie. To przypadek?

--Melduję, że nie. Dariana starannie przygotowała się do naszej wizyty i założyła, że znajdzie się w grupie szturmowej.

--Godny przeciwnik. -- Vallenstein pokręcił głową. -- Jednak zbyt dobrze przewiduje nasze działania i zamiary. Nie sądzisz, Ruslanie, że...

--Tak jest, panie pułkowniku, sądzę. W sztabie jest kret.

--Mnie również przyszło to do głowy. Dark została ostrzeżona. Nie sądzę, żeby przygotowała to wszystko, licząc jedynie na szczęśliwy zbieg okoliczności.

Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. Vallenstein siedział posepny, wąskie arystokratyczne wargi miał mocno zaciśnięte, pewnie przesuwiał w pamięci nazwiska wszystkich sztabowców, którzy mieli jakikolwiek związek z przygotowaniem operacji.

--Nie jest ich wielu, Ruslanie -- odpowiedział pułkownik na moje niezadane pytanie. -- Szef sztabu, dowódca wydziału operacyjnego i szyfranci. Oczywiście, można również podejrzewać lotników dostarczających jastrzębia, ale to już trochę naciągane. Nie, Darianę uprzedził ktoś z naszych. Z wąskiego kręgu.

--Ale szef sztabu i wydział operacyjny...

--Słusznie, prawdopodobieństwo zdrady jest minimalne. To sprawdzeni oficerowie, byli ze mną w Tannenbergu, gdy jeszcze liczył trzy kompanie, długo przed przerzuceniem nas na Nowy Krym.

--Zostają szyfranci. Kto pracował nad rozkazami?

--Trzy szyfrantki -- powiedział powoli Vallenstein. -- Patters jest poza podejrzeniami. Pozostają dwie.

Gilvy?! Ale czemu on twierdzi z takim zdecydowaniem, że jest poza podejrzeniami?

--Tylko ona jest z kadr tajnej policji. A oni sprawdzają swoich tak głęboko, że nawet nam się nie śniło. Pozostałe dziewczęta również nie należą do narodu panów, są z odległych planet i mogły mieć wcześniej kontakty z brygadami międzynarodowymi.

--Czemu w ogóle zostały szyfrantkami, skoro są tak niepewne politycznie? -- zdumiałem się.

--Niestety -- westchnął Vallenstein. -- Sprawdzone pracowniczki są ciągle awansowane i przenoszone, a na ich miejsce przysyła się świeże uzupełnienia. W czasie wojny trudniej dotrzeć do ich przeszłości. Sprawdzanie i przeglądanie akt staje się formalnością. Wprowadzie przeprowadza się kontrolę na wykrywaczu kłamstw, ale jestem pewien, że każdy dobrze przygotowany agent może bez trudu oszukać to głupie żelastwo.

Absolutnie się z nim zgadzałem.

Byłem również pewien jeszcze jednej rzeczy -- z Gilvy Patters coś jest nie tak. Przeżyła pod Rojem na Omedze-8, zarabiając tylko nie do końca wyjaśnioną opuchliznę, a teraz znalazła się na tej jakże krótkiej liście osób, które mogły zdradzić Darianie nasze plany. Ale z drugiej strony... Czyżby udawała we wszystkich naszych rozmowach? Czyżby była aż tak dobrą aktorką? I... czy mogła mnie tak lekko zdradzić?

Aha, pomyślałem ze złością. Tu cię boli, Ruslanu! Odwieczne męskie ego! Dziewczyna za mną szaleje i nigdy by mnie nie zdradziła! Jak łatwo, jak chętnie w to wierzymy... A w rzeczywistości Gilvy mogła mnie użyć jako źródła informacji. Mogła?

Niespodziewanie przypomniałem sobie jej przechadzki z oficerami sztabowymi, gdy już opuściła szeregi żołnierskich „dziewczynek”. Może to również wynikało z interesów wywiadu?

Zgodnie z zasadami, wyodrębnionego agenta nie należy aresztować, lecz karmić odpowiednio spreparowanymi i precyzyjnie dawkowanymi informacjami. Niszcz wszystkich

wrogich szpiegów i dywersantów! -- to hasło było dobre jedynie w roku czterdziestym pierwszym. Ale fakt, że wywiadowca jest szyfrantem, poważnie komplikuje sytuację...

Szkoda, że nie da się zastosować klasycznej metody: przekazać każdej z dziewcząt bardzo ważną wiadomość i obserwować reakcję Dariany.

--Tak, gdybyśmy mieli ludzi w jej otoczeniu... -- Vallenstein skinął głową. -- Na razie odsunę od pracy wszystkie trzy pod dowolnym wiarygodnym pretekstem.

--Wszystkie trzy, chociaż Patters jest poza podejrzeniami?

--Dokładnie tak -- odpowiedział. -- Tajna policja państwowa to oczywiście poważna organizacja, ale jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Po czymś takim pozostawało mi już tylko jedno. Pamiętałem opowieść Gilvy, usłyszaną jeszcze na Iwoldze, że w bunkrze na Omedze-8 przeżyło około dziesięciu osób pogryzionych przez Rój. Musiałem się dowiedzieć, co działo się z nimi później.

Wyteżyłem pamięć. Nieocenione usługi oddała mi imperialna upierdliwość oraz archaiczna zasada publikowania list poległych i rannych z zaznaczeniem nie tylko daty, ale również przyczyny śmierci czy okoliczności ranienia. Poważnie bruździło mi tu utajnienie różnych danych, ale...

Odrobina wysiłku i otrzymałem wyczerpującą odpowiedź: ze wszystkich, kogo mogłem sobie przypomnieć, a kto został ranny w tamtym bunkrze, przeżyła tylko Gilvy.

Oto i twoja odpowiedź, poruczniku Fatiejew.

Imperialne wojska cofały się do Władysybirsk. Poniosły poważne straty w walkach z Rojem, ale nie zostały rozgromione. Koszmar Iwołgi nie powtórzył się.

Na razie Dariana nie zastosowała hipotetycznego planu „Zagląda”, którego tak się obawiałem. Rój spadł na Przywole, zabijając wszystkich, swoich i obcych. Nieliczni ocaleli obrońcy miasta, chcąc nie chcąc, przyłączyli się do imperialnych -- wszyscy chcieli żyć. To Vallenstein pierwszy ogłosił (jak podejrzewałem, bez porozumienia z dowództwem), że „ludność cywilna i dzielni obrońcy Przywoła” mogą liczyć na pomoc ze strony swoich niedawnych przeciwników. I teraz długie kolumny wojsk imperialnych sunęły na wschód. Samochody przykryto szeroko rozpiętymi sieciami na wysokich podpórkach, mniej więcej takimi, jakie wykorzystaliśmy pod Peenemünde.

Biomorfy znajdą na to jakieś antidotum, to oczywiste. Zmniejszą rozmiar stworków, wprowadzą jakieś zakopujące się w ziemię odmiany (przecież ktoś musiał wykopać pamiętną pułapkę dla całego Tannenberga na Iwoldze!). Ale na razie trzymaliśmy się.

Wojna trwała nadal. Przez dziurę przebitą w obronie przeciwkosmicznej federalnych będą się przeciskać na Nowy Krym nowe imperialne posiłki, a w odpowiedzi Dariana rzuci do walki dziesięciokrotnie zwiększone żywe Roje i tak będzie to trwało, dopóki ktoś nie użyje broni jądrowej (albo neutronowej). A wtedy moja planeta upodobni się do klasycznych wizji świata po wojnie atomowej, jakimi ludzkość lubiła się straszyć w świętej pamięci XX wieku.

Zupełny pat. Wypróbowaliśmy już wszystkie drogi -- i żadna nie przyniosła efektu. Pozostawały jeszcze krwawe bombardowania (najlepiej pociskami termobarycznymi), jeśli zwiadowi elektronicznemu uda się znowu znaleźć miejsce przebywania Dariany. Chociaż nie sądzę, byśmy mieli tyle szczęścia -- przecież ostatnim razem udało się tylko dlatego, że Dariana chciała, żeby ją znaleźć.

Tymczasem Vallenstein zgodnie z obietnicą, choć bez wielkiej pompy, powierzył mi

kompanię. „Na górę” poszło przedstawienie do awansu na porucznika. Brygada została poważnie przerzedzona w czasie defensywy. Mój stary znajomy porucznik Rudolf awansował na kapitana i dostał batalion. Oficerowie nie przeczekiwali ataku Roju w wozach opancerzonych i straty wśród nich były równie wysokie, jak wśród szeregowców.

Zatrzymaliśmy się przed Władysybirskiem na uprzednio wykopanych przez saperów pozycjach. Zdaje się, że dowództwo świeżo sformowanej grupy Armii Nowy Krym nie miało zamiaru oddawać pozycji bez walki.

Właśnie zakopywaliśmy się w ziemię i szykowaliśmy do tego, żeby „stać do końca”, gdy losy wojny Imperium kontra Federacja uległy zdecydowanej zmianie, większej nawet niż ta, która nastąpiła po pojawieniu się biomorfów w arsenale Dariany Dark.

Wiadomości imperialne.

Informacja Głównej Korporacji Nadawczej. Obowiązkowa transmisja we wszystkich lokalnych sieciach i kanałach.

--Nadajemy wystąpienie Jego Imperatorskiej Wysokości Cesarza Wilhelma III w jego rezydencji w Sans-Souci.

Cały ekran zajmuje siedzący za zwykłym biurkiem Imperator. Za jego plecami wisi portret Bismarcka w skali jeden do jednego. Twarz starego cesarza nie wyraża żadnych emocji, oczy bardziej niż zwykle przypominają stalowe blaszki.

--Narodzie wielkiego Imperium! Opatrzność złożyła na moich barkach niewdzięczny obowiązek poinformowania o smutnych wydarzeniach, mających miejsce w Ósmym i Jedenastym Sektorze naszego mocarstwa. Dzisiaj otrzymaliśmy potwierdzone informacje, że siły zbrojne cywilizacji Dbigu przekroczyły umowną granicę przestrzenną swojego terytorium i wdarły się do systemów kontrolowanych przez Imperium. Inwazja nastąpiła niespodziewanie, bez oficjalnego wypowiedzenia wojny czy przedstawienia nam jakichkolwiek roszczeń. Próby nawiązania kontaktu z przedstawicielami cywilizacji Dbigu za pomocą zwykłych kanałów nie przyniosły efektu. Działania wojenne rozwinęły się na dziesięciu pogranicznych planetach. Wierne obowiązkowi oddziały armii imperialnej dzielnie odpierają ataki wroga, ale mimo to są liczne ofiary wśród ludności cywilnej -- Dbigu wymierzyli główny cios nie w obiekty wojskowe, lecz w duże skupiska miejskie. Rząd i Sztab Generalny podjęły już wszelkie kroki w celu przeprowadzenia planowej ewakuacji ludności z zaatakowanych systemów.

Sektor rolniczy Imperium musi zacząć pracować z maksymalnym wyężeniem -- na Wewnętrzne Planety trzeba będzie przenieść dziesiątki i setki tysięcy ludzi, a już teraz liczne planety rolniczo-przemysłowe są stracone dla normalnej działalności gospodarczej.

Powodowany humanizmem, chcąc za wszelką cenę zakończyć przedłużający się konflikt bratobójczy, imperialny rząd uczynił w dniu dzisiejszym propozycję kierownictwu tak zwanej Federacji, dotyczącą przerwania wojny w obliczu agresji Obcych, a także wzajemnego odstąpienia od roszczeń terytorialnych z zachowaniem status quo i zobowiązaniem stron do rozstrzygnięcia kwestii politycznych oraz uregulowania konfliktu dopiero po odparciu agresji Dbigu. Do tej pory nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Los mocarstwa i całej ludzkości znajduje się do teraz w rękach naszych żołnierzy. Niech Bóg dopomoże nam w tej wojnie!

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

--Nasza cudowna broń otwiera nam prostą drogę do zwycięstwa! W dniu dzisiejszym na

Nowym Krymie nasze waleczne wojska podeszły do Władysybirsk znajdującego się chwilowo w rękach imperialno-faszystowskich bandytów. W krótkim czasie swojego „gospodarowania” grabieżcy wysadzili w powietrze niemal wszystkie budynki publiczne, rozgrabili dzielnice mieszkalne, nie gardząc nawet bielizną osobistą czy zabawkami dla dzieci. U wziętego do niewoli szeregowego 1. Pułku Grenadierów 1. Dywizji Zmotoryzowanej Ottona Schreiberera znaleziono trzy komplety bielizny damskiej oraz trzy pary męskich spodni i kilka koszul. Wszystko to, jak twierdzi, zabrał z domów mieszkańców Władysybirsk i chciał wysłać do Wewnętrznych Planet Imperium, gdzie z powodu stanu wojennego wprowadzono surową reglamentację artykułów spożywczych oraz innych towarów. Dowództwo wojsk imperialnych popiera te grabieże, nazywając je „zdobywaniem trofeów”.

Stworzona przez uczonych broń biologiczna pozwala naszym wojskom odnosić bezkrwawe zwycięstwa. Droga natarcia oddziałów Armii Narodowowyzwoleńczej usiana jest sprzętem wroga, który ratując własną skórę, pozostawia nawet zabitych i rannych.

Również dzisiaj stało się wiadome, że na granicy Imperium i Stowarzyszenia Dbigu doszło do starć zbrojnych, najprawdopodobniej spowodowanych prowokacjami imperialno-faszystowskich bandytów wobec ludności cywilnej, kontrolowanych przez Dbigu systemów, a to w celu zajęcia ich zasobów naturalnych.

Imperialna propaganda głosi wszem i wobec o rzekomej propozycji pokojowej przekazanej przez gabinet Wilhelma Rządowi Tymczasowemu naszego wolnego państwa. Agencja informacyjna Federacji została upoważniona do oświadczenia, że nie otrzymaliśmy żadnych propozycji pokojowych, jedynie przedstawicielom oddziałów federalnych wręczono żądanie bezwarunkowej kapitulacji w celu, cytujemy: „Zjednoczenia rasy ludzkiej w obliczu zagrożenia zewnętrznego”. Rzecz jasna, podobna propozycja może wywołać jedynie śmiech gorzkości. Cywilizacja Dbigu -- starożytna, mądra i pokojowa, nigdy nikogo nie atakowała, broniąc jedynie swoich granic. Niewątpliwie imperialni barbarzyńcy jako pierwsi zaatakowali kontrolowane przez Dbigu systemy.

Na Szajtanie nasze heroiczne oddziały utrzymują swoje pozycje, niwecząc wszelkie usiłowania wroga wklinowania się w naszą obronę...

--Panowie oficerowie -- rzekł Vallenstein, otwierając zebranie, na które wezwano nie tylko dowódców batalionów, ale również wszystkich dowódców kompanii. -- Otrzymałmśmy rozkaz opuszczenia Nowego Krymu. Dbigu wylądowali już na dwunastu planetach, w tym również na pamiętnej Omedze-8, a ich statki wykryto wokół pięciu innych.

„Panowie oficerowie” milczeli ponuro. Cóż mogli powiedzieć? Sytuacja była tak zła, że trudno wyobrazić sobie gorszą. Dbigu, moi drodzy, to nie powstańcy z Uppsali. Przez krótką chwilę poczułem nawet coś w rodzaju złośliwej satysfakcji.

--Imperium nie zostawi syberyjskiego terytorium -- ciągnął pułkownik. -- Nie wszystkie oddziały zostaną dyslokowane, ale brygada Tannenberg przenosi się na nowy front. I tam, jak sądzę, będziemy musieli sobie przypomnieć, że nie na darmo nazywają nas desantem. Są jakiś pytania? Majorze Möchbau?

--Panie pułkowniku, co stanie się z cywilami znajdującymi się pod naszą ochroną?

Vallenstein z irytacją uniósł podbródek.

--Dowództwo nie uznało za stosowne dać mi jakichkolwiek dyrektyw. Cywile ewakuacji nie podlegają. Są pytania?

--Ale wszyscy widzieliśmy, co stało się w Przywołu -- nalegał Möchbau, mój dawny dowódca kompanii, a obecnie dowódca batalionu. -- Rój zabijał wszystkich bez wyjątku, naszych, federalnych i ludność cywilną. Żał wszystko, co się ruszało. Porzucenie tych ludzi oznacza skazanie ich na śmierć. Domy większości z nich zostały zniszczone i spalone.

--Co wobec tego proponujesz, Dietrich?

--Włączenie cywilów do brygady w charakterze personelu pomocniczego. Mamy prawo zrobić to w wyjątkowych okolicznościach, jeśli owe okoliczności podpadają pod sferę odpowiedzialności dowódcy brygady.

--Kobiety i dzieci również? -- nie wytrzymał ktoś.

--Kobiety i dzieci przede wszystkim -- uciał Möchbau.

--Ale to kilka tysięcy ludzi! Nie zmieszczą się na „Meronie”!

--Na „Meronie” nie -- przyznał major -- ale na dużym transportowcu bojowym typu „Ernesta Röhma” owszem. Dowódca brygady ma prawo zażądać przysłania go.

--Zdaje się, Dietrich, że wszystko dobrze przemyślałeś -- mruknął Vallenstein. -- Dobrze. Ale ewakuować będziemy jedynie ochotników. I tych, którzy rzeczywiście będą chcieli pomagać.

Wiadomości imperialne:

--Wystąpienie Jego Ekscelencji Arcyksięcia Adalberta przed aktywistami organizacji Duma i Pamięć oraz Związku Wygnańców (którzy przeszli z rekomendacji komórki podstawowej szkołę dla podoficerów) przed wysłaniem ich na front. Mała Rezydencja Imperatorska, Sans-Souci, Poczdam, Ziemia.

Ściany sali udrapowano ciemnozielonym suknem, na nim w białych kręgach widnieją emblematy przypominające wyrastający z krzyża trójząb -- dobrze znany naszym widzom symbol Dumy i Pamięci, której honorowym patronem jest sam arcyksiążę. Obok emblematy formacji pokrewnej Pamięci -- Związku Wygnańców.

--Długie lata pokoju nie przyniosły korzyści niektórym obywatelom naszego Imperium. W czasie gdy przedstawiciele rasy panów dźwigali cały ciężar powinności państwowych, tworząc lwią część oficerów, niższych urzędników i pracowników naukowych, wielu innych, chępiąc się swoją kulturowo-historyczną odrębnością, zniżyło się do zdrady i współpracy z wrogiem ludzkości. Z tym samym, z którym walczyliśmy na Iwoldze i Omedze-8, a który niedawno został wypuszczony, niczym baśniowy džinn z butelki, przeciwko naszym wojskom na Nowym Krymie.

Rasa panów zjednoczyła się wokół Jego Wysokości Cesarza oraz idei imperialnej, a nasi wrogowie nieśli na swojej tarczy hasła pełne niepowstrzymanej pychy, egoizmu i nienawiści do rodu ludzkiego. Przywódcy krwawego buntu oraz ci, którzy za nimi poszli, zasłużyli na haniebne miano „nie ludzi”. Czy człowiek mógłby wystąpić przeciwko swoim bliźnim, wchodząc w związek z Obcymi?!

A więc twierdzą -- oto nie ludzie! I używam tego określenia z całą odpowiedzialnością, albowiem tacy osobnicy przypominają ludzi jedynie zewnątrz. Czy nie czas uznać, że niektóre aspekty mentalności narodowej, jakże często owocujące krwawymi buntami, zasługują wyłącznie na jednoznaczne potępienie? Lenistwo i pijaństwo Rosjan, buta Francuzów, snobizm Anglików, prymitywizm Amerykanów... Jakież to kontrast z rasą panów naszego Imperium, z narodami prawdziwie aryjskimi! Ci, którzy szczerze pragnęli, aby ogólnoaryjskie wartości stały się ich wartościami, którzy wchłonęli język i kulturę narodów

aryjskich -- wszyscy oni zdołali wyzbyć się licznych wad swoich narodów. Imperium stanowczo powinno mocniej oprzeć się na swojej rasie panów, która w ciągu wielu dziesięcioleci dowiodła wierności tronowi. Ci, którzy odrzucają aryjskie wartości, którzy występują przeciwko nim, często z bronią w ręku, ci, którzy drwią z nich w sieciach informacyjnych -- powinni zdawać sobie sprawę z tego, że bliski jest dzień wielkiego gniewu narodu aryjskiego i biada temu, kto stanie mu na drodze!

Gromkie, burzliwe, długotrwałe oklaski przechodzące w owację. Sala skanduje: „*Sieg Heil!*”

--Gniew i wściekłość poddanych naszego wielkiego Imperium wywołały wiadomości o użyciu przez buntowników z tak zwanej Federacji nowej broni biologicznej. Broń ta opiera się na macicach, z którymi nasza armia zetknęła się już na Iwoldze i Omedze-8. Powstańcom w jakiś sposób udało się zdobyć władzę nad tymi straszliwymi stworami, co bezsprzecznie dowodzi związku buntowników z wrogami narodu ludzkiego z innych cywilizacji. Federacja stowarzyszyła się z bezlitosnymi, nieludzkimi zabójcami nieznającymi wyższej wartości życia rozumnego i tym samym postawiła się poza prawem. Jej liderzy muszą zostać zlikwidowani -- oczywiście, z wyroku sprawiedliwego sądu.

Należy wyciągnąć wnioski z tych wydarzeń. Wszędzie, gdzie u władzy znajdują się przedstawiciele narodów niearyjskich, należy spodziewać się nieszczęścia; to tam podnosi łeb zdrada, sprzedajność i najbardziej podle, niskie instynkty. W ślepej nienawiści, zwróconej przeciwko Imperium, przeciwko jednoczącej nasze mocarstwo rasie panów, wrogowie narodu aryjskiego nie cofną się przed żadnym przestępstwem. Ale niechaj nie myślą, że oszczędzi ich karząca dłoń Imperium! Nasze siły są niewyczerpane, nasz naród stanowi jedność oddaną bez reszty Jego Imperatorskiej Wysokości. Niech zadrżą nasi wrogowie, niechaj wiedzą: nadchodzi czas zemsty!

Żegnaj, Nowy Krymie, myślałem, wisząc we wnętrzu wznoszącego się na orbitę wahadłowca. Żegnaj. Nie wiem, co się teraz z tobą stanie. Dariana Dark zyskała pełną swobodę działania, Rój krąży nad twoimi morzami, a brygada Tannenberg salwuje się ucieczką, nie doczekawszy się zwycięstwa. Federacja się utrzymała, a najlepsze, najwaleczniejsze wojska Imperium wyruszają na nowy front. Na Syberii pozostaną tylko te oddziały, których nie szkoda spisać na ewentualne straty -- zgodnie z cyniczną logiką Imperialnego Sztabu Generalnego. Najwyraźniej groźba Dbigu miała teraz wyższy priorytet... A może sztab liczył, że poradzi sobie z ośmiornicami, stosując starą zasadę „małego przelewu krwi na cudzym terytorium”, no i, rzecz jasna, „idąc do przodu potężnym ciosem”?

Chociaż z drugiej strony, jeśli wojska imperialne wyniosą się z Nowego Krymu, może Dariana Dark nie będzie musiała przeprowadzić pacyfikacji całej planety przy użyciu swoich potworów? Bo że Imperium nie utrzyma się w mojej ojczyźnie, było jasne. Pozostawiona ariergarda w najlepszym razie pomoże zachować twarz i wycofać się z godnością. Sztab Generalny robił to wyłącznie dla Jego Wysokości Cesarza, który nie znosił chaotycznej defensywy i panicznej ucieczki. Być może uda się go zmylić bredniami o „wyprostowaniu linii frontu” i „ewakuacji odcinków o trzeciorzędnym znaczeniu”.

Imperium wyraźnie nie życzyło sobie wojny na dwa fronty, zwłaszcza że jeden z wrogów miał tak potężną broń jak biomorfy. A może Federacja się uspokoi, zdobywając choćby formalną niezależność? I Dariana zarzuci pomysł genocydu w mojej ojczyźnie?

A jeśli nie? Jeśli macice ruszą dalej i staną ramię w ramię z ośmiornicami Dbigu? „Inwazja kontrolowana?” Ha! Ktoś w służbie bezpieczeństwa imperialnego poważnie się przeliczył! Czyżby Darianie rzeczywiście udało się wszystkich oszukać?

„Merona” zmierzała do pamiętnej Omegi-8. Za nami przedzierał się przez podprzestrzeń potężny „Ernest Röhm”, który zabrał na pokład ponad półtora tysiąca cywilów, cudem ocalałych w Przywołu, gdy na miasto spadł Rój. Ci ludzie nie mieli już żadnych złudzeń wobec Dariany Dark -- gdy powrócimy na Nowy Krym, ich zeznania bardzo się przydadzą.

Na planecie pozostali moi rodzice i rodzeństwo. Wysłałem zakodowaną wiadomość, ale potwierdzenie nie przyszło i teraz dręczyła mnie niepewność. Na Nowym Krymie zostały też brygady międzynarodowe -- nie ufano im zbyt, część została rozbrojona. Jaki los czeka nasze dzieciaki, skoro Dariana wolała oddanych przesiedleńców?

Na liście ewakuowanych na „Erneście Röhmie” znalazłem nazwiska Ingi i Kostii -- i ucieszyłem się, jakby byli moją rodziną. Więc jednak przeżyli, wyrwali się z żywego koszmaru Roju! Szkoda tylko, że takich było niewiele. Cóż, gdyby wszyscy imperialni dowódcy byli tacy jak Joachim von Vallenstein...

Ale nie byli i doskonale o tym wiedziałem. Dywizje ochronne pokazały we Władysybirsku wszystko, co potrafią; arystokraci w rodzaju mojego dowódcy brygady to tylko wyjątek potwierdzający regułę.

Nie wątpiłem, że postąpiłem słusznie, nie próbując pozostać na Nowym Krymie. Dalka nie darmo wspomniała o Dbigu, ośmiornice są w oczywisty sposób związane z nowo powstałą Federacją. I nie można wykluczyć, że wiąże je właśnie ta hipotetyczna „krew biomorfów”, która płynęła w żyłach Dariany, moich i jeszcze jednej osoby, która, byłem tego prawie pewien, pracowała dla stukniętej przywódczyni 6. Brygady Międzynarodowej.

Gilvy Patters. Vallenstein może sobie uważać, że ona jest poza wszelkimi podejrzeniami, ale ja nie. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Za bardzo przypomina agenta i to całkiem niezłe wprowadzonego. Jeszcze nie wiadomo, czy nie jest podwójnym agentem, pracującym jednocześnie dla Federacji oraz imperialnej Służby Bezpieczeństwa... Ostatnia teza bardzo ładnie wpisywała się w ramy inwazji kontrolowanej. Kwestia stopnia tej kontroli nadal pozostawała otwarta...

--Rusłanie?

Uniosłem głowę. Na progu mojego maleńkiego przedziału osobistego (przysługującemu każdemu dowódcy kompanii) stał major Dietrich Möchbau.

--Joachim cię wzywa -- powiedział po niemiecku. Wśród imperialnych oficerów kadrowych oznaczało to, że zostałem przyjęty do kręgu „prawdziwych”.

--Coś się stało? -- spytałem w tym samym języku. Skoro zwracając się do mnie, Möchbau nie używał rangi, należało odpowiedzieć w tym samym tonie.

--Szyfrogram.

--Ze sztabu korpusu? Od Haussera?

--Nie. -- Dietrich uśmiechnął się. -- Z innych... źródeł.

Skinąłem głową. Major Möchbau wyraźnie miał na myśli nieznanymi mi sprzymierzeńców Vallensteina w Imperialnym Sztabie Generalnym.

Pułkownik czekał na nas w apartamencie dowódcy, z którego starannie usunięto wszelkie przedmioty mogące choćby sugerować luksus.

Prócz mnie i Dietricha nie było tu nikogo.

--Oto co otrzymaliśmy. -- Vallenstein przeszedł od razu do rzeczy, nie tracąc czasu na formalne powitania.

Na wyrwanej z notesu kartce papieru charakterem pisma dowódcy brygady napisano co następuje:

Dzisiaj przedstawiciele cywilizacji Dbigu zerwali wszystkie kanały łączności z Imperium. W otrzymanym przez nas oświadczeniu oznajmili, że „nie rozmawiają z tym, co już jest martwe. Co oznacza to zdanie, nie wiadomo. Flota bojowa Dbigu przesuwa się we wszystkich kierunkach Ósmego i Jedenastego Sektora, zagrażając następnym systemom planetarnym...

--Dalsza część jest mniej ważna -- rzucił ponuro podpułkownik, paląc kartkę w dziewiczo czystej popielniczce. -- Monitory Dbigu obsadziły orbitę Omegi-8. Druga część ich floty skierowała się prosto na Iwołgę. Ich pozostałe eskadry są w porównaniu z tamtymi nieliczne. Czy coś wam to mówi, panowie oficerowie?

Möchbau popatrzył na mnie, a ja na niego.

--Rusłanie?

--Melduję, że mówi, panie...

--Bez szarż. -- Vallenstein skrzywił się. -- Więc co o tym myślisz?

--Dbigu idą po śladach macic, ich najbardziej zmasowanych ataków -- powiedziałem. -- Widać to od razu i myślę, że Sztab Generalny wyciągnął te same wnioski. Być może zmusi to do refleksji tych, którzy nadal usiłują wykorzystać brygady międzynarodowe, Darianę Dark i całą Federację do swoich celów.

Vallenstein i Möchbau osłupieli.

--Sam się domyśliłeś, poruczniku, czy ktoś cię poinformował? -- zapytał major przez zęby.

--Nietrudno się domyślić. -- Wzruszyłem ramionami. Nie miałem oczywiście zamiaru wspominać o Konradzie. -- Brygady międzynarodowe zbyt długo pozostawały legalne, nie rozwiązano ich nawet po wydarzeniach na Omedze-8, gdy stało się jasne, że mają wiele wspólnego z macicami. I tak dalej, ziarnko do ziarnka... Teraz jednak nie ma sensu wdawać się w takie szczegóły.

Möchbau wyraźnie był innego zdania, ale podpułkownik uniósł rękę.

--Daj spokój, Dietrich. Rusłan ma rację, to teraz nieistotne. Nie wiem, co mogłoby ich powstrzymać... -- Vallenstein pokręcił głową. -- Jestem pewien, że otrzymali informację od Dark, ale jakie wyciągnęli wnioski? Zresztą dziś rozmawiamy o czym innym.

--O Dbigu?

--Dokładnie tak, Rusłanie. Związek tych głowonogów z Federacją jest zupełnie nowym, nieznanym dotąd czynnikiem.

--Nie z Federacją, panie pułkowniku, lecz z Darianą Dark, a jeszcze dokładniej z substancją macic, co do tego nie ma wątpliwości. Czy Federacja ma coś takiego, czego nie posiadałoby Imperium? Nie. Wszystkie prace dotyczące ksenopsychologii są, o ile wiem, starannie utajnione, organizacje badające ten problem skupione są na Wewnętrznych Planetach. Oczywiście nie można wykluczyć przekazania tych danych Federacji w ramach inwazji kontrolowanej, ale...

--Jakiej inwazji?

--Kontrolowanej, Dietrich -- rzucił rozdrażniony Vallenstein. -- Nasi przyjaciele w Sztabie

Generalnym doszli do analogicznych wniosków. Istnieje wpływowa grupa przedstawicieli wyższego dowództwa wojskowego, sił bezpieczeństwa i ludzi najbliższych tronowi, którzy stawiają sobie dalekosiężny cel. Jaki, tego wolę się nie domyślać. Ale właśnie oni wykorzystują zarówno Federację, jak i całą tę wojnę. Niewykluczone, że są przekonani o swojej absolutnej kontroli nad macicami, chociaż w to akurat trudno uwierzyć.

--Ekspansja? Zbrojny sposób rozszerzenia granic? -- zapytał ostro Möchbau.

Zirytowany Vallenstein wzruszył ramionami.

--Słyszałem o takiej wersji. Przestrzeń życiowa. Kolonie wysokiej klasy dla narodu panów. A także zmiana całej polityki Imperium. Aby maksymalnie upodobnić je do Trzeciej Rzeszy.

--No i? -- Möchbau wzruszył ramionami. -- Co w tym złego? I tak skopiowaliśmy z Trzeciej Rzeszy co się tylko dało.

Spojrzenie Vallensteina stało się ciężkie jak ołów.

--To nie do końca tak, Dietrich, ale teraz wolalbym nie zagłębiać się w szczegóły.

Porozmawiamy o tym później. Prywatnie -- dokończył z naciskiem.

--Jak sobie życzysz, Joachimie. -- Teraz z kolei Möchbau wzruszył ramionami. -- Wróćmy do tego, co zaczęliśmy.

--Zaczęliśmy mówić, że istnieje związek między macicami, a Dbigu. -- Vallenstein uderzył dłonią w stół. -- Ruslan ma rację. Jeśli będziemy przestrzegać prawa niezwiększania entropii informacyjnej, to najprawdopodobniej okaże się, że Dbigu idą w ślad za macicami. Drugi rzut inwazji.

--Jeśli to inwazja, to kiepsko zaplanowana -- zauważyłem. -- Imperialne siły zbrojne nie zostały zniszczone, flota praktycznie nie poniosła strat. A Dbigu wysyłają statki kolonizacyjne, jeśli przypomnieć sobie niedawne wiadomości.

--Niestety, nie możemy liczyć, że Dbigu są idiotami -- powiedział Möchbau. -- Zbyt dobrze pamiętam te filmy, które przysłali zgodnie z traktatem.

--Powiedziałbym, że to instynkt -- włączył się Vallenstein. -- Odruch bezwarunkowy. Przeszły macice, więc trzeba wysłać flotę i zebrać zdobycz.

--Z tego wynikają interesujące wnioski -- podchwycilem. -- W jaki sposób wysoko zorganizowana cywilizacja może kierować się instynktem? Czyżby Dbigu mieli w tym względzie aż tak bogate doświadczenie? Czy są zupełnie pewni, że po przejściu macic nikt nie będzie już stawiał oporu, mimo że najważniejsze ośrodki wrogiej cywilizacji nadal są całe?

--Widocznie mają podstawy, by wierzyć, że ci, którzy walczyli z macicami, nie zdołają już zająć się ośmiornicami. -- Möchbau wzruszył ramionami. -- Że na początku trochę się będziemy rzucać, ale w rezultacie zostawimy im planety, a sami skoncentrujemy się na walce z Rojem.

--W dodatku chyba mają podstawy, żeby tak myśleć -- przyznał Vallenstein. -- W końcu Dbigu to normalny, zwykły wróg działający zgodnie z logiką...

Nie, pomyślałem. Tutaj tkwi błąd. Dbigu działają nielogicznie, w sposób, którego nie da się wyjaśnić klasyczną sztuką wojenną. Powinni poczekać, aż macice faktycznie oczyśczą z ludzi cały sektor i dopiero wtedy wysłać flotę. A oni rzucili się już teraz. Vallenstein ma rację, zachowują się tak, jakby kierował nimi instynkt. I nie życzą sobie żadnych negocjacji, przesyłając jedno jedyne zagadkowe zdanie, że „nie rozmawiają z tym, co już jest martwe”. Chyba nie są aż tak naiwni, by sądzić, że ziemską cywilizacja zdecyduje się na eutanazję na sam widok macic?

Ale sprzeczność to matka wszystkich wynalazków i odkryć. Możemy się przedrzeć tylko tam, gdzie poddaje się zdrowy rozsądek. Czy my działalibyśmy tak jak Dbigu? Wiedząc, że sąsiad prowadzi wojnę z jakimś mistycznym wrogiem (czy to czasem nie te głowonogi zapewniały nas kiedyś, że nie mają pojęcia o żadnych macicach?), czy zaczęlibyśmy natychmiast zajmować jego terytorium, nie czekając na ostateczną klęskę i narażając się na konflikt zbrojny ze wszystkimi tego konsekwencjami?

Możliwe, że nie. Na coś takiego można się zdecydować jedynie wtedy, gdy: a) jesteś absolutnie pewien, że twój sąsiad nie poradzi sobie ze swoim wrogiem; b) spieszysz się, żeby zająć jego planety, zanim zlecą się inne sępy; c) masz pewność, że twoje siły zbrojne załatwią hipotetycznego sąsiada.

W oparciu o te przesłanki mógłby działać władca cyniczny, okrutny i wyrachowany. A może Dbigu właśnie mają taką pewność?

Prawie nie słuchałem, co mówią Vallenstein i Möchbau. Elementy tej układanki ciągle do siebie nie pasowały. Przecież niegdyś Dbigu postępowali logicznie, w sposób zrozumiały dla nas, ludzi. A tu nagle zdarza się coś, co zmusza ich do odrzucenia zdrowego rozsądku i przejścia na działania instynktowne... A może ośmiornice wiedzą o tych macicach coś, czego my nie wiemy? Może to nie przypadek, że ich antygrawy są tak kompatybilne z ciałami potworów? Może to Dbigu stoją za całą operacją „Biomorf”? Skoro nie mogli pokonać ziemskiej cywilizacji zwykłą bronią, puścili w ruch broń biologiczną...?

Nie. To byłoby zbyt ludzkie. I zbyt przekombinowane. Skomplikowanie -- oto, co zgrzyta we wszystkich naszych hipotezach. Przesadne skomplikowanie tego procesu. Wojna jest prosta z założenia. A może Dbigu usiłowali znaleźć się poza wszelkimi podejrzeniami, niczym żona cezara? Ale przecież nie istnieje żadna wszechgalaktyczna Organizacja Ras Zjednoczonych, a przynajmniej ludzkość nic o tym nie wie...

A nawet gdyby istniała, ostatecznie działania głowonogów i tak nie pasują do tego schematu.

Instykt, instykt, instykt -- tłukło mi się po głowie. Przeszły macice, więc wysłała się statki kolonizacyjne, chociaż wróg jeszcze walczy. Coś się za tym kryło i czulem, że to coś ważnego. Jakbyśmy bładzili we mgłę i nagle znaleźli się blisko celu, ale nie mogli odnaleźć właściwych słów. Instykt pasuje, ale to tylko pierwsze słowo -- a w dodatku jedyne. Instykt może zmusić istotę rozumną do nierozumnego postępowania. Pytanie brzmi, czy coś takiego jak „nadinstykt” może ogarnąć całą rasę i zmusić ją do działania postrzeganego jako nierozumne, jeśli działania poszczególnych jednostek dokonywane są z udziałem rozumu i przy zdrowych zmysłach?

Za bardzo lubimy myśleć o społeczeństwach Obcych jako o czymś absolutnie niezrozumiałym, zbudowanym na podstawie odrzuconych przez nas praw kastowych. Uważamy, że w większym stopniu niż my podporządkowują się niepisanyemu prawom, za to charakteryzują się mniejszą indywidualnością. Chcąc nie chcąc, tworzymy mit, przypisując Obcym nieprawdopodobne zdobycze techniki i konstruując hipotetycznie równie nieprawdopodobne społeczeństwa.

Oczywiście armia robi wszystko, żeby zdobyć „języka”. Ale podejrzewałem, że nawet jeśli zaczną mówić, niczego się nie dowiemy.

--Ruslanie? Fatiejew? Co się z tobą dzieje? -- Do mojej świadomości wdarł się głos majora Möchbau.

--Przepraszam, panie majorze...

--Twoja kompania wyląduje pierwsza. Zaczniemy lądować, gdy tylko flota przebije dla nas okno. Rozkazy jeszcze będą, ale na ciebie liczę przede wszystkim -- rzekł Vallenstein.

--To dla mnie zaszczyt, panie pułkowniku!

--Co tu ma do rzeczy zaszczyt, Rusłanie... Za każdym razem, gdy wyruszasz na zwiad, wracasz z bezcenną informacją. Wiemy o kontaktach Dariany z Dbigu, o związku głowonogów i macic, bliższym niż mogłoby wynikać ze zwykłej analizy wektora ataku ośmiornic. Jestem pewien, że na planecie dowiemy się czegoś bardzo ważnego.

Zrozumiałem, że rozmowa skończona, zasalutowałem i poprosiłem o pozwolenie oddalenia się. Vallenstein skinął głową i już wychodząc, usłyszałem przez zamknięte drzwi początek zdania:

--A więc, Dietrich, jeśli chodzi o Trzecią Rzeszę...

Wiedziałem, że początkowo dowództwo próbowało nawiązać łączność z eskadrą Dbigu, która wyszła na orbitę Omegi-8. Bez rezultatu. Głowonogi milczały.

Flota nie zawiodła. Monitory szturmowe wypuły ciężkie rakiety taktyczne i odsunęły się na bok, w stronę nieruchawych transportowców zaopatrzenia czekających na bojowników w trzeciej linii.

Na orbicie powitały nas dwa tuziny niewielkich, zwinnych stateczków Dbigu. Nie były wyposażone w żadne promienie śmierci, odpowiedziano nam takimi samymi raketami jak nasze, najwyżej odrobinę szybciej, i monitory wzięły się do roboty. Lasery, przyspieszacze -- te systemy nie potrzebowały skomplikowanych komputerów naprowadzania i przestrzeń pomiędzy zbliżającymi się statkami wypełniły eksplozje. Nasze rakiety wyrzuciły snopy głowic, prawdziwych i fałszywych, biorąc na siebie część ognia obrony przeciwraketowej. Posłane pod naszym adresem prezenty Dbigu okazały się monoblokami, jednak wybuchało w nich coś zdecydowanie silniejszego od głowic jądrowych. W przestrzeni pojawiały się obłoki najprawdziwszej plazmy o temperaturze wnętrza gwiazdy i żaden pancerz nie mógł poradzić sobie z takim ciosem. Na monitorach pierwszej linii ślepy i głuchy przyrządy, jednak rezerwa trzeciego rzutu, najprostsze układy, nadal uparcie pracowały, automatyka nie przerywała ognia i żaden z wysłanych w naszą stronę pocisków nie dosięgnął celu.

Dbigu również udało się zbić większość naszych głowic, ale niektóre mimo wszystko dotarły do celu i jeden z małych stateków zaczął wystrzeliwać kapsuły ratunkowe. No, no, ośmiorniczki, a więc też chcecie żyć, też nie macie zamiaru umierać w stoickim milczeniu...

Wróg, który chce żyć, to już pół wroga, że sparafrazuję starożytne przysłowie.

Walki w kosmosie zazwyczaj nie trwają długo i ta również nie była wyjątkiem. Nie udało nam się całkowicie zniszczyć floty Dbigu, mimo że druga grupa monitorów zaszła ich od tyłu. Jak się to zwykle dzieje, walczące ze sobą eskadry skryły się po różnych stronach planety i teraz do akcji miał wkroczyć desant. Przestrzeń kosmiczna, choć niewątpliwie bardzo ważna, traktowana jest wyłącznie jako dodatek do planety. A Imperium najwyraźniej nie miało zamiaru oddawać octopusom Omegi-8. Nie chciało również zaatakować bronią jądrową własnego, bądź co bądź, terytorium -- Jego Imperatorska Wysokość miał fioła na punkcie ekologii. Wprawdzie pojedynczy wybuch jądrowy Omega-8 zniosłaby całkiem spokojnie -- w końcu Japończycy żyli mimo Hiroszimy i Nagasaki, a przez ostatnie dwieście lat technika dezaktywacji znacznie się rozwinęła -- ale...

Wiedzieliśmy, że gdy podejdziemy bliżej planety, powita nas ogień obrony. Unieszkodliwienie obrony z orbity byłoby możliwe jedynie z bardzo dużej odległości albo przy zastosowaniu wspomnianych pocisków jądrowych. Ponieważ jednak walczono o planety nadające się do życia, Imperium wołało raczej poświęcić życie swoich żołnierzy niż dopuścić do pojawienia się grzybów atomowych nad Omegą.

Nigdy przedtem Imperium nie zetknęło się w wojnie z prawdziwą, wysoko rozwiniętą cywilizacją Obcych -- lemurów z Zety-5 można nie brać pod uwagę. Rzecz jasna wszystkie gwiazdne rasy, z którymi graniczyło Imperium, uważano za potencjalnych przeciwników. Stosunki z Dbigu uregulowano już dość dawno. Ziemskie Imperium i Stowarzyszenie Dbigu (tak brzmiała oficjalna nazwa tej cywilizacji, używana w tak zwanym protokole dyplomatycznym) nawiązały kontakt jakiś czas temu i od tamtej pory utrzymywały poprawne stosunki, niegdyś istniały nawet stałe ośrodki misyjne na centralnych planetach jednej i drugiej cywilizacji. Owe misje zamknięto pół wieku temu z inicjatywy głowonogów i nasi ksenolodzy musieli się zadowolić starymi materiałami i napływającymi od czasu do czasu nagraniami. Dbigu z wyjątkową punktualnością przesyłali nam filmy prezentujące działania bojowe ich wojsk -- jeśli to rzeczywiście była wojna, a nie, dajmy na to, symulacja komputerowa.

Dbigu i Slime znaleźliśmy najlepiej. Głowonogi przewyższały nas pod względem techniki, sterowanie grawitacją osiągnęło u nich bardzo wysoki poziom. My umieliśmy tworzyć sztuczną siłę ciężenia na ogromnych statkach, ale wszystkie próby stworzenia przenośnego antygravitatora spęzły na niczym. Dbigu w tym względzie odnieśli sukces. Propozycja wymiany handlowej spotkała się ze zdecydowaną odmową Obcych, z jednym wyjątkiem -- jak głosiły plotki, Imperium właśnie Dbigu i Slime sprzedawało wziętych do niewoli powstańców z Uppsali. Nie wiem, co otrzymało w zamian.

Przyszedł mi do głowy pewien szalony pomysł -- a jeśli właśnie za to kupiono antygravitatory, które trafiły w ręce Dariany Dark? Może Dbigu wcale nie przejawiali inicjatywy i wszystko zorganizowała hipotetyczna grupa skupiona wokół imperialnego tronu?...

Pomyślałem o niedawnym wystąpieniu arcyksięcia Adalberta. Adalbert był jedynie siostrzeńcem obecnego imperatora, a nie następcą tronu, jak książę Zygfryd, nie mówiąc już o tym, że Zygfryd ma trójkę rodzeństwa, więc arcyksiężę był piąty w kolejce do tronu. Z drugiej strony to nie aż tak daleko i pojawia się ogromna pokusa... Może właśnie Adalbert jest przywódcą nieznanym nam „jastrzębi”? A może to tylko marionetka, figura publiczna, na którą zdecydowano się postawić?

Z księciem Zygfrydem też nie wszystko jasne. Rzadko pokazuje się publicznie i mimo swoich trzydziestu trzech lat nie piastuje żadnych stanowisk. Ukończył uniwersytet w Heidelbergu w specjalności „biznes i finanse”, zamiast elitarną i niemal obowiązkową dla wyższej arystokracji Akademię Wojskową w Poczdamie, a w tej chwili nigdzie nie pracował i brał pensję jedynie jako członek rodziny imperatorskiej. Zagadkowa postać. Nie mogłem sobie przypomnieć ani jednego wystąpienia księcia, zwłaszcza po rozpoczęciu wojny. Coś tu było nie tak...

Łądowanie zarządzono jak zwykle nieoczekiwanie. „Merona” zrzuciła wahadłowce i zrzuceniem losu mieliśmy ponownie lądować na głównym kosmodromie Neue Bismarcka, tutejszego centrum administracyjnego, obok opustoszałych osiedli.

Tuż przed lądowaniem Vallenstein przeprowadził krótką odprawą oficerów.

--Panowie, przeciwnik na Omedze-8 niszczy wszystko, co zostało zbudowane przez naszych kolonistów. Wokół Neue Bismarcka, Rummenige-Stadt oraz Port-Moltke skoncentrowane są siły przeciwnika, oznaczone w sztabie jako pierwszy, drugi i trzeci korpus. Trwa planowa likwidacja budynków, dróg, mostów i tak dalej. Ciosy z orbity będziemy zadawali w miarę możliwości, ale naziemnych stanowisk obrony Dbigu tak łatwo nie zdławimy. Nasze zadanie polega na zniszczeniu tych stanowisk oraz ostatecznym dobieciu przeciwnika. Sztab, rzecz jasna, żąda jak najwięcej jeńców i trofeów. Każdy drobiazg, który wpadnie wam w ręce, jest bezcenny. Porządek ataku ma być następujący...

Nie zdumiało mnie, że batalion majora Möchbaua szedł w pierwszym rzucie. To nie jest zadanie dla dywizji ochronnych czy choćby Legionu Aryjskiego. Zdumiewające, ile zdążyli zrobić Dbigu w ciągu tych kilku dni, zanim przybyła „Merona” i inne oddziały 2. Korpusu Desantowego Paula Haussera: 1. Dywizja Desantowa Leibstandarte, 2. Dywizja Desantowa Das Reich i 3. Dywizja Desantowa Totenkopf. No i, rzecz jasna, my: 1. Samodzielna Szturmowo-Desantowa Brygada Tannenberg.

Dbigu nie gorzej od nas rozumieli, że przenośne zestawy ogniowe są niezbędne -- w naszą stronę leciały całe chmury rakiet z różnorodną zawartością. Niestety, wahadłowce desantowe nie miały tak dobrej obrony przeciwrakietowej jak monitory orbitalne. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to zdać się na statystykę, na to, że część głowic ściągną na siebie puste statki, pełniące rolę fałszywych celów. Gdy masz naprzeciwko siebie takie ugrupowanie, w dodatku niedławione ogniem z orbity, jedyne, co możesz zrobić, to zatkać układy sterowania systemów obronnych przeciwnika maksymalną liczbą celów, z których zaledwie jedna piąta to wahadłowce z ludźmi i sprzętem.

Mogliśmy się tylko modlić. Aparatura dławienia elektronicznego działała przez cały czas, ale kto tam wie, jak naprawdę działają systemy naprowadzania Dbigu?

Wciśnięci w stalowe trumny, zakuci w pancerze, siedzieliśmy z opuszczonymi osłonami hełmów i maskami tlenowymi, licząc na iluzoryczne, ale jednak wyższe od zera prawdopodobieństwo, że zdołamy się uratować w przypadku oddalonego wybuchu. Bliska eksplozja, nie mówiąc już o trafieniu bezpośrednim, przemieni nas razem z wahadłowcem w radioaktywny pył.

Jeden wahadłowiec -- jeden pluton. Trzy plutony -- kompania. No i ja -- podporucznik na stanowisku, które w czasie pokoju powinien zajmować co najmniej porucznik, a może nawet kapitan. Mały monitor dowódcy trzęsie się (razem z całym statkiem) tak, że trudno coś zobaczyć. W słuchawkach chrypienie, trzaski i wyładowania. Dowództwo próbuje coś przekazać przez zakodowany kanał, ale nic z tego. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie wszystkie rakiety puszczane przez nas z orbity w ciemny brzuch Omegi chybią celu.

Zejscie z orbity przebiega bardzo szybko. Termoizolacyjny kadłub wahadłowców jest na granicy wytrzymałości i światelka kontrolne na mojej konsoli płoną czerwienią. Wydaje się, że tańczą przede mną roje kwietnych elfów rodem z *Calineczki*... Przez moją głowę przesuwają się myśli, że w dole czeka na nas wróg straszniejszy nawet od Roju. Rój przynajmniej nie walił w nas bronią atomową, a zdaje się, że Dbigu miało pociski, które załatwią nas lepiej niż termojądrowe.

Uderzenie! Bardzo blisko! Następne! Wahadłowiec kładzie się na bok jak statek w czasie sztormu, przekręca się, ratują nas jedynie mocne pasy. Ktoś wrzeszczy na całe gardło, ale od

razu wtrąca się znajomy, ostry głos:

--Cicho, makadryle hemoroidowe, pytony węzlaste! Siedzieć! Do kogo mówię? Podnieść osłony! Rzygać na podłogę, a nie za kołnierz!

To oczywiście starszy sierżant sztabowy Klaus Maria Pferzegentakl -- ozdobiony najróżniejszymi naszywkami, ze specjalnym stopniem, z prawem przejścia do rezerwy na pełnej emeryturze mimo stanu wojennego, przeżył wszystkie walki, zamieszki i starcia, ocalał w pułapce na Iwoldze, a teraz idzie z nami, w charakterze mojego kompanijnego poganiacza. Zgłosił się na ochotnika. Będę szczęśliwy, mówi, panie poruczniku, mogąc pójść z panem do boju. Był pan moim najlepszym rekrutem, a teraz, jak wszyscy mówią, stał się pan oficerem pierwszej klasy, przepraszam za bezpośredniość, panie poruczniku, nie, na „bez szarż” przejdziemy potem. Ale takiemu oficerowi potrzebny jest ktoś, kto w porę da kopniaka obesranemu ze strachu rekrutowi. A tych niestety, nie brakuje. Co za czasy plugawe, żeby na pierwszą linię rzucać po trzech miesiącach szkolenia!...

Wahadłowiec nieoczekiwanie prostuje się, spadają przeciążenia -- pilot hamuje, łamiąc wszelkie normy i wskazania. Przez strefą ostrzału szedł na maksymalnej dla tego statku prędkości. Troszczył się o metal, a nie o ludzi, łobuz.

Płoną trzy czerwone światełka, z hukiem spadają pochylnie. Ledwie zdążywszy rozpiąć pasy, rzucamy się w gęsty, nieprzenikniony dym otulający miejsce naszego lądowania. Otacza mnie trzech bojowników ochrony bezpośredniej, a operator kompanijnego kompleksu dowódczego, pan Klaus Maria, prowadzi ludzi w ten dym. Chcemy jak najszybciej nawiązać łączność. Obok nas wylądowało kilka innych wahadłowców... mało, znacznie mniej, niż powinno zgodnie z regulaminem walki!

Czyżby wszystkich zestrzelili? Nie, na szczęście tylko przeleciały bardziej na bok, na niebie widać płomień dysz hamujących, aparatura przetrawia sygnały przekazywane przez stanowisko antenowe, w końcu na monitorze pojawia się mapa taktyczna okolicy i zaczynamy działać.

Okolica w górnej części ekranu pokryta jest czerwonymi znaczkami: to nieprzyjaciel. O sprzęcie wojskowym Dbigu wiemy niewiele, sztabowi analitycy nadają mu nazwy według swojego widzimisie, podobnie wygląda sytuacja z przypisywaniem funkcji. Na przykład coś, co przypomina pająka ze sterzącą ze środka grzbietu niby-lufą armatnią, zostało zaklasyfikowany jako „ciężki sprzęt artyleryjski”, sprzęt z wielkimi półokrągłymi klapami niczym uszy słonia to „stanowisko łączności” i tak dalej.

Skupiska czerwonych punktów powinny już zostać przerzedzone rakietami z orbity; niestety to, co ujrzałyśmy, wyglądało aż nazbyt przekonująco. Na górze ekranu nastawionego na najmniejszą skalę ulokowała się pięcioramienna gwiazda w kręgu, diabelski pentagram, pierwszy obiekt naszej misji, nazwany umownie „ciężkim kompleksem przeciworbitalnych środków rażenia”. Był bezpiecznie osłonięty przez mniejsze „działa przeciwrakietowe” (tak je ochrzcziliśmy), które śpiewająco zestrzeliwały nasze pociski, wysyłane spoza strefy jego rażenia. Wyglądało na to, że Dbigu zrezygnowali już z broni lufowej i zastąpili ją czymś znacznie nowocześniejszym. Na przykład tymi indywidualnymi „raketnicami”, które widzieliśmy na pamiętnym filmie. Może zawartość tego draństwa była zbyt ciężka i nie dała się wcisnąć w normalny pocisk czy nabój.

Plutony posuwały się do przodu. Wyszliśmy z dymu -- zielone punkty zbliżały się do

oznaczonej czerwonym punktem „przedniej linii” przeciwnika. Uaktywniły się nasze stanowiska broni raketowej -- jeden, drugi, trzeci czerwony obiekt mrugnął i znikł.

Na razie nie padł ani jeden strzał ze strony wroga.

Druga fala desantu z ciężką bronią powinna wylądować lada moment, a my mamy już porządną kawalek terenu. Piechota wprawdzie poniosła starty, ale zachowała zdolność do walki i zajmuje coraz większy teren. Zaraz z wahadłowców wyjadą bwp, działa szturmowe i inne sympatyczne maszyny, a wtedy głowonogom zrobi się gorąco.

Wydawałem rozkazy, zmieniałem cele swoim ludziom z obsługi dział raketowych, powstrzymywałem zanedo napalonych dowódców plutonów. Od czasu do czasu łączył się ze mną Klaus Maria, zapewniając, że wszystko przebiega zgodnie z planem, a przeciwnik nie stawia oporu.

Moja kompania przesunęła się prawie półtora kilometra. Czerwony punkt zamrugnął i zniknął, żeby pojawić się w nowym miejscu, oznaczając „przerwanie obrony przeciwnika”.

No, gdzie jesteście, głowonogi, pomyślałem zniecierpliwiony. Nasuwamy się na wasze stanowiska, bez względu na to, czym one właściwie są. Przecież pamiętam z filmu, jak żwawo wylądowaliście ze swoich latających transportowców...

Jak to zwykle bywa w takich przypadkach, nie zdążyłem dokończyć myśli. Jeszcze niedawno ekran na obszarze wroga pokazywał jedynie duże piktogramy systemów stacjonarnych, a teraz pokrył się czerwonymi kropkami. Dbigu się obudziły.

Tam, dokąd podeszła tyraliera ubranych w pancerz komandosów, dym coś rozświetliło od środka. Rudozłociste kłęby mknęły po równinie, zmiatając wszystko na swojej drodze, dowódczy monitor zaczął mrugać i stropieni łącznościowcy stukali w klawisze: ktoś postarał się o zakłócenia.

Ale zielone iskry nie znikły. Dowódczy kanał wypełnił się przekleństwami plutonowych, zagłuszonymi rykiem Klausa Marii, który wspomniał coś o „antylopach analnych” i „hipopotamach bezkręgowych”.

Na naszą odpowiedź Dbigu nie musiały długo czekać -- odezwała się ciężka broń, wyrzucona razem z nami w pierwszej fali.

--Plutonowi, panie sierżancie... co tam zastosowały te głowonogi? -- warknąłem.

Pierwszy odezwał się Klaus Maria.

--Melduję, panie poruczniku, że coś w rodzaju pocisku termobarycznego, tylko mniejszy kaliber. Pancerz wytrzyma, ale z odległości dwudziestu metrów. Wycofujemy się, prowadząc ogień zaporowy.

Tyraliera zielonych isker się cofnęła. Czerwone punkty skupiły się naprzeciwko środka naszej linii i przerwały ją; monitor ledwie nadał z rejestrowaniem trafień „wrogich środków ogniowych”.

Brawo, ośmiornice. Żeby nas tylko nie nakryło...

--Zmieniamy pozycję, szybko!

Przywilejem dowódcy kompanii jest posiadanie (średniej klasy, ale zawsze) środka transportu, który dostarczany jest na miejsce razem z dowódcą. Pozwala to na ewentualne szybkie wyniesienie się z miejsca, gdzie dalsze przebywanie mogłoby się okazać szkodliwe dla zdrowia.

Wykrakąłem. Rąbnęło tak, że mój pojazd obróciło i prawie zerwało mu gąsienice.

--Panie poruczniku... -- wykrztusił młodziutki żołnierz-operator, wczorajszy student ochotnik. Zdażyliśmy w samą porę: w miejscu, w którym przed chwilą stała nasza tankietka, teraz szalał pożar. Coś mi mówiło, że ten płomień bez kłopotu poradziłby sobie z naszym pancernem.

Wycofywała się cała nasza linia. Flanki jeszcze się trzymały, ale środek zaraz padnie. Odejść. Zerwać kontakt. Nękać ogniem z daleka.

Moi raketowcy robili, co mogli, ale zauważyłem, że posyłane w stronę nieprzyjaciela więdźmy i cięższe gobliny coraz częściej wybuchają niemal nad głowami moich żołnierzy.

--Centrum, tu Alpen. Przeciwnik kontratakuję. Potrzebne jest natychmiastowe wsparcie ciężkiego uzbrojenia.

--Wsparcia nie będzie, Alpen. Orbitalne bombowce dotrą do was dopiero za trzy godziny -- odezwał się spokojny głos w słuchawce. Pewnie, czego niby mieliby się bać na swoich wysokich orbitach, bezpiecznie osłonięci całą obroną przeciwraketową floty...

Dobra, nie będzie, to nie będzie.

--Wszyscy się wycofują. Podaję azymut... I niech nikt nie próbuje strugać bohatera!

--Tak jest, nie strugać bohatera -- odpowiedzieli dowódcy plutonów. Dwóch z trzech.

--Gdzie Clematzu?

--Poległ śmiercią walecznych! -- odezwał się Klaus Maria. -- Przejąłem dowodzenie plutonem, panie poruczniku.

--Dajcie obraz, sierżancie.

--Tak jest!

Klaus Maria Pferzegentakl zaległ w płytkim rowie, przed nim dymiło pole spalone i zaorane naszymi pociskami oraz ogniem przeciwnika. Dbigu nie ryzykowali; zanim przesunęli się do przodu, gorliwie bombardowali wszystko przed sobą. W rezultacie ziemia wypalała się na metr głębokości. Kolejny wybuch niemal nakrył dzielnego sierżanta, ale za to w dymie i płomieniu zobaczyłem pierwszych Dbigu.

Oni też mieli na sobie coś w rodzaju pancerzy. Posuwali się powoli, przypadając do ziemi jak szare pagórki, a pancerz natychmiast zmieniał kolor, dostosowując się do tonacji powierzchni. Od czasu do czasu podnosiła się jakaś macka, okręcona jakby kolczugą z cienkich pierścieni, celowała z pancerfausta, granat zrywał się z krótkiej prowadnicy i chwilę później następował wybuch.

--Panie poruczniku, zezwala pan na otwarcie ognia? -- zapytał sierżant i od razu wystrzelił; w tym samym momencie, gdy krzyknąłem: „Nie!”

Klaus Maria strzelał całkiem nieźle. Dwudziestomilimetrowy pocisk jego steiera trafił prosto w opinający wzdętą głowę błyszczący kask.

Połyckliwe odłamki rozprysły się na wszystkie strony, trysnęła fontanna ciemnej krwi. Macki zrobiły ostatni wymach i Dbigu rozciągnął się na ziemi.

A mnie ogarnęło znajome uczucie bliskości biomorfów.

Biomorfy? Tutaj? Na Omedze?

--Wycofujcie się, sierżancie!

Zdażył w ostatniej chwili -- rozwścieczone ośmiornice wpakowały w to miejsce co najmniej pięć pocisków. Chociaż może wcale nie były rozwścieczone? Kto wie, jakie emocje odczuwają te głowonogi...

Wrażenie bliskości biomorfa osłabło. Jeśli jakiś biomorf faktycznie tu był, to się wycofał. To nie mógł być Rój, jego nie sposób z niczym pomylić.

Oderwaliśmy się od przeciwnika. Trzy przerzedzone kompanie, cały batalion majora Möchbaua cofał się szybko, ostrzeliwując się. Ale Dbigu nauczyli się już odbijać wycelowane w nich rakiety czymś w rodzaju ręcznego granatnika, z tą różnicą, że żadnych pocisków ten agregat nie wyrzucał. To nie lemury na Zecie-5, a nawet nie Rój, pomyślałem przelotnie.

--Panie poruczniku! Panie poruczniku, czy pan mnie słyszy?

Zdawało mi się, że to halucynacja. W słuchawkach rozbrzmiewał znajomy, choć trochę zapomniany głos pani psycholog Schulze.

W tych pradawnych czasach jako kapitan stała znacznie wyżej ode mnie, a teraz może dosłużyła się nawet podpułkownika.

Niczym potężna Walkiria pani psycholog wyrosła przede mną. Wyglądała jak rozzłoszczona Brunhilda. Za nią stało ze trzydzieści postaci w pancerzach.

--Zebrałam tych, którzy zostali w tyle -- zameldowała mi jak zwierzchnikowi. -- Ulegli przejściowemu osłabieniu motywacji, panie poruczniku, ale wszyscy jak jeden mąż płoną chęcią odkupienia krwią swojej winy wobec Rzeszy...

Cała trzydziestka gorączkowo kiwała głowami, na tyle, na ile pozwalały im kombinezony.

Tymczasem tyraliera purpurowych punktów na monitorze zbliżała się groźnie do naszych pozycji.

--Dziękuję bardzo, pani... -- Dopiero teraz dostrzegłem jej stopień. -- ...Pani major.

--Bez szarż, Fatiejew, przecież to pan tu dowodzi. Jestem do pańskiej dyspozycji.

Kontratakowaliśmy. Pięćdziesięciu (zaledwie!) komandosów bez ciężkiego uzbrojenia z rykiem rzuciło się na Dbigu. Ten ryk słyszeliśmy wyłącznie my i nawet teoretycznie nie mogłby on przerazić przeciwnika. Pani psycholog kulom się nie kłaniała i zaskoczeni Dbigu cofali się przed jej naporem.

Kontratak zakończył się sukcesem.

Batalion majora Möchbaua umocnił się na nowych pozycjach. Omega-8 to zielona i różnorodna planeta. Dużo tu górskich szczytów, przestronnych stepów i stromych wzgórz. Obsadziliśmy jeden ze szczytów i zatrzymaliśmy się. Jeśli wierzyć mojemu monitorowi, pięć kilometrów od nas przebiegała przednia linia obrony przeciwnika.

Udało nam się oderwać od Dbigu, chociaż, Bogiem a prawdą, ośmiornice wcale nas nie prześladowały. Cały ich wypad bardziej przypominał zachowanie gospodarza, który wyszedł, żeby skarcić ujadającego niepotrzebnie psa. Skarcił i wrócił do siebie.

Ich obrona przeciwlotnicza i przeciwraketowa była prawie doskonała -- skoro strącała nawet manewrujące naddźwiękowe pociski uskrzydłone. Dbigu najwyraźniej nie mają zamiaru zawracać sobie nami głowy. Ludzie nie są dla nich wrogami, ponieważ „to, co martwe” wrogiem być nie może. Nawet jeśli zrzuca głowice jądrowe.

W tym miejscu moja logika załamywała się. Cywilizacja dlatego jest cywilizacją, że działa, posługując się rozumem. W przeciwnym razie nie mogłaby stawiać -- a tym bardziej osiągać -- żadnych celów.

To prawda, termity potrafią wznosić cyklopowe (w stosunku do rozmiaru budowniczych) budowle, ale Dbigu nie byli termitami!

Nadeszła nasza pierwsza noc na Omedze. Kompania się okopała, w końcu podrzucili nam

ciężkie uzbrojenie, zestawy przeciwlotnicze przygotowywały się do działania, wszystko zgodnie z zasadami. Poinformowano nas, że dowództwo próbowało osiągnąć „obiekt Noc” z powietrza i z orbity, ale bez powodzenia. Dbigu nadal niszczyli całą stworzoną przez kolonistów infrastrukturę, floty nad Omegą wymieniały się salwami rakiet i trzymały z daleka od siebie.

O przebiegu walki, jak za dawnych czasów, miała zadecydować piechota.

Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Nie czułem już biomorfów, armia Dariany Dark nie dała więcej o sobie znać. I wtedy...

--Panie poruczniku!

--Gilvy? -- zdumiałem się. -- Co ty tu robisz? Sztab brygady ma lądować dopiero jutro!

--Uprosiłam Vallensteina, żeby wziął mnie ze sobą w pierwszej fali. -- Pani sierżant poprawiła włosy wystudowanym ruchem. Na Gilvy nawet pancierz leżał jak suknia wieczorowa. -- Dobrze się tu urządziłeś, Rus!

W pośpiesznie wykopanej ziemiance...

--Jasne -- prychnąłem. -- Co u ciebie, Gil?

--U mnie? -- Jej oczy zaokrągliły się zabawnie. -- Co może być u mnie, szczura tyłowego? Od dawna proszę Vallensteina, żeby mnie przesunął na pole.

--Co miałabyś tam robić? -- zdumiałem się szczerze. -- Chcesz zostać sanitariuszką?

--Czemu zaraz sanitariuszką? Od tego są inne dziewczyny, bardziej kompetentne. Mogłabym pracować jako operator zestawu rakietowego albo... Mało mamy komputerów w wojskach polowych?

--Nie brakuje. -- Skinąłem głową. Vallenstein nie powinien jej tak bezwarunkowo wykreślać z kręgu podejrzanych. Ja nie wykreśliłem jej nawet na chwilę.

--Opowiedz... -- Usiadła obok mnie i dotknęła szczupłymi palcami mojej dłoni. -- Opowiedz, co tu się działo wczoraj? Vallenstein omal nie oszalał, słuchając waszych meldunków. Obraz ciągle zakłócało...

--Przecież i tak widzieliście więcej niż my! -- Zrobiłem unik. -- Ile kanałów prowadziło transmisję do sztabu, a ile do mnie? Nic szczególnego nie widzieliśmy. Ośmiornice w pancierzach. Czolgów czy innych sprzętów brak. Więc... -- Rozłożyłem ręce.

Siedziała tak blisko mnie, że poczułem delikatny aromat znajomych perfum... Zmieniając frywolny strój „dziewczynki” na czarny mundur tajnej policji, Gilvy nie zmieniła przyzwyczajień.

--A gdzie twoja opuchlizna? No, pamiętasz...

--Pamiętam -- przerwała mi ostro. -- Trudno zapomnieć o czymś takim... Jajogłowi się ode mnie odczepili, szrama znikła, opuchlizna zeszła, został tylko nieduży siniak, muszę go pudrować, jak idę na randkę. -- Strzeliła figlarnie oczami.

--I nic cię nie boli? Nie dokucza?

--Nie. A czemu pytasz?

--Tak tylko -- skłamałem. -- Nie znam nikogo innego, kto by przeżył w bezpośrednim ataku Roju.

--Wtedy, w bunkrze, nie tylko ja ocalałam -- zaprotestowała Gilvy.

--No tak, ale oni wszyscy są nie wiadomo gdzie, a ciebie mam pod ręką.

Może się pomyliłem? Może ona nie jest biomorfem?

Wpatruję się w głębię jej oczu jak kiedyś, na tej samej planecie, patrzyłem na lecącego

nad strumieniem śluzu żuka-biomorfa, i mówię te same słowa, których nie można dosłyszeć. W pierwszej chwili Gilvy patrzy ze zdumieniem, potem -- mylnie interpretując moje spojrzenie -- uśmiecha się i podsuwa mi usta, zamykając oczy jak przed pierwszym pocałunkiem w życiu... Wtedy coś we mnie wybucha, ognista fala bólu dosięga wszystkich ośrodków nerwowych i z trudem powstrzymuję jęk. Gilvy odsuwa się przestraszona, ale ja łapię ją za ramię i przyciągam do siebie.

--Mam dla ciebie pewną nowinę, Gil -- mówię, patrząc twardo w jej oczy. -- Powiedzieć ci jaką, czy już się domyśliłaś?

--Co jest, Rus? -- mamrocze Gilvy, ale nie próbuje się uwolnić. Tak się ucieszyłam, myślałam, że chcesz mnie wreszcie pocałować...

--Owszem, chyba mamy powody, żeby się całować. -- Skinąłem głową. -- Jesteśmy jednej krwi, wiesz o tym?

--Jednej krwi? To prawda, oboje jesteśmy biali, ale o co jeszcze chodzi? -- zdumiała się Gilvy. -- Przeglądałam twój plik medyczny. Mamy absolutnie różne DNA...

--Oglądałaś moje pliki? Po co?

--Chciałam... -- Gilvy zaczerwieniła się. -- Chciałam się dowiedzieć, czy między nami nie ma jakiejś niezgodności genetycznej. Czy nie ma jakichś... przeciwwskazań. Chciałam... mieć z tobą dziecko. -- Spuściła nisko głowę. -- Marzyłam o tym, głupia. Taki facet się marnuje, myślałam sobie. Czemu zwlekasz, głupia, mówiłam sobie. Przecież usychasz z tęsknoty za nim! Czasem sobie wyobrażam, że mnie obejmujesz, tak poowoolii... i aż cała drzę! No więc zajrzałam. Głupia jestem, wiem. Gardziłeś mną jeszcze wtedy, gdy byłam „dziewczynką”... -- Jej głos zadrżał. Gilvy zaszlochala i odwróciła się.

Jak zręcznie zmienia temat, pomyślałem, sam zdumiony własnym chłodem. To prawda, że gdy ja i Dalka kochaliśmy się w takim pośpiechu, to Gilvy przesunęła mi się przed oczami, ale teraz, gdy już prawie nie wątpię, że jest biomorfem, wszystkie figlarne myśli jak nożem uciał. Chyba nawet miałem nadzieję, że się mylę, że nie poczuje w niej tej trucizny, która płynie w moich żyłach, ale pomyliłem się. Nie wiem, co we mnie przywołało swojego krewniaka w Gilvy, ale to coś otrzymało odpowiedź. Nie miałem już wątpliwości. Moja zdolność do wyczuwania biomorfów rosła z tygodnia na tydzień.

--Gilvy, posłuchaj mnie. Nie jesteś człowiekiem.

--Co? -- Zdaje się, że jej zdumienie było szczere.

--I najprawdopodobniej jesteś agentem Federacji. Całkiem nieźle prowadzonym, zakonspirowanym i wspieranym.

--Co za bzdury! -- Tym razem gwałtownie wyrwała mi rękę. -- Ruslan, czy to walka tak na ciebie podziałała? Idę sobie, a ty...

--Nigdzie nie pójdziesz -- uciałem. -- Chcesz dowodu? Możesz zaraz stracić przytomność, chociaż nie dotknę cię nawet palcem!

--Zwariowałaś! -- Odsunęła się.

Nie wiem dlaczego, ale nawet przez chwilę nie wątpię, że mi się uda. Jakby coś poza moją wolą i pamięcią zapamiętało słowa Dariany. Nawet nie słowa, tylko niewerbalną komendę. Biomorf we mnie szybko się uczył.

Zgiąłem się w ataku mdłości, a Gilvy wywróciła oczy białkami do góry i omal nie upadła -- ledwie zdążyłem ją podtrzymać, sam walcząc ze skutkami wydanego przez siebie rozkazu.

Mdłości powoli opadały. Położyłem dziewczynę na ziemi, rozpiąłem górę kombinezonu, odciągnąłem golf. Od lewego ucha w dół szyi rzeczywiście ciągnął się niewielki owalny siniak. Dotknąłem go palcami i o mało nie cofnąłem ręki; poczułem ostre ukłucie, jakby mnie kopnął prąd. Po dłoni rozplynęło się ciepło, skóra Gilvy zaczęła pulsować. Jeszcze chwila i spod tego sińca wykluje się Obcy jak w dziecięcych komiksach. Boże, co za głupoty!

--Wstań i idź -- powiedziałem półgłosem. Gilvy posłusznie wstała, nie otwierając oczu. Ruchy miała mechaniczne, jak manekin. -- Obudź się -- poleciłem. Było w tym coś wstydlwego, jak podglądanie w szatni dziewcząt: komenderowanie ludzkim ciałem, gdy przerażona dusza wycofuje się, chowa w najgłębszych zakamarkach świadomości...

Gilvy drgnęła, otworzyła szeroko oczy.

--Co się ze mną stało?

--Wydalem ci polecenie utraty świadomości. Takie samo, jakie Dariana Dark, twoja pani, wydała mnie. Mogę to zrobić jeszcze raz, chcesz?

--Nie! -- poprosiła Gilvy, prawie padając na kolana. -- Rus, Rus, co to wszystko znaczy? Czy ty umiesz hipnotyzować ludzi? No powiedz, umiesz, prawda?

--Przecież przeglądałaś moje pliki. Była w nich jakaś wzmianka o hipnotyzowaniu?

--Mo... mogli nie wiedzieć...

--Przestań, Gilvy. Jesteś biomorfem i dlatego słuchasz poleceń wydawanych biomorfom. Wiesz, że tylko ty przeżyłaś atak w bunkrze? Wszyscy inni, których dopadł Rój, spokojnie zmarli w różnych imperialnych szpitalach z różnych przyczyn. Zostałaś tylko ty. Myślę, że ci na samej górze, do których ciągną się nitki brygad międzynarodowych i gestapo, o wszystkim wiedzieli i zostawili cię na wolności w charakterze królika doświadczalnego.

--Nie wierzę... nie wierzę ci... -- mamrotała Gilvy. Po jej twarzy płynęły łzy.

--Jakich potrzebujesz jeszcze dowodów? Jeszcze jednej utraty przytomności? A może czegoś innego? Gdy Dariana eksperymentowała na mnie, nie wzięła pod uwagę, że moja pamięć okaże się lepsza, niż przypuszczała. Gilvy tylko kręciła głową i płakała.

--Nie wierzę... nikomu już nie wierzę...

--Gilvy, dobrze pamiętasz swoje dzieciństwo?

--Taak... dobrze...

Pamiętasz swoich rodziców? Nie mieli przypadkiem jakiegoś związku z biologią?

Pokręciła znowu głową. Cóż, na taki zbieg okoliczności nie należało liczyć. Gdybym mógł teraz wejść do sieci informacyjnej... Musiała być jakaś zbieżność, w przeciwnym razie skąd na ojczystej planecie biednej Gilvy wzięłyby się prawdziwy, aktywny biomorf? Jakaś oczywista zbieżność... Może biomorfy zostały wynalezione znacznie wcześniej, niż przypuszczałem...

--Gilvy, ty jako jedyna przeżyłaś pod Rojem. Wszyscy, którzy zostali wówczas ranni i nie zginęli od razu, umarli. Możesz to łatwo sprawdzić, masz dostęp, siadaj przy komputerze i sprawdź według dat i przyczyn śmierci. Ja też przeżyłem, tylko nie pod Rojem, lecz w reaktorze.

--W ja... jakim reaktorze? -- szlochala Gilvy.

Podeszedłem do niej w milczeniu, jeszcze raz dotknąłem palcami siniego śladu na jej szyi. Intensywnie usiłowałem przywołać w pamięci bazę Dariany, długą kiszkę jaskini, wybetonowany zbiornik, w którym dojrzewał śmiercionośny bulion, swój upadek, lepkie macki, które objęły mnie w pierwszej chwili, a potem szybko umknęły, i straszną śmierć człowieka,

który spadł razem ze mną. I własną drogę na górę.

Gilvy trzęsła się jak w gorączce. Siniak na jej szyi pociemniał, jakby napelnił się krwią. Wywróciła oczami, ale nie straciła przytomności.

--Dość, dość, wystarczy! -- jęknęła, wieszając się na mnie bezwładnie.

--Rozumiesz już, o czym mówiłem? Ty również pamiętasz coś w tym rodzaju, a raczej pamięta to twój biomorf. Ciebie, podobnie jak mnie, stworzyli w sztuczny sposób jako połączenie człowieka i biomorfa. Dariana Dark jest z tej samej gliny. Rój rozpoznał cię, nie od razu, dopiero po uządleniu. Oboje jesteśmy jednej krwi.

Na Gilvy żal było patrzeć. Prawą rękę przyciskała do pulsującego siniaka.

--Ale przecież mnie badali... oglądali... prześwietlali, skanowali... zrobili mi tomografię, rozłożyli niemal na komórki i nic nie znaleźli... Jak to możliwe?

--Biomorf to coś więcej niż obca tkanka. We mnie też nic nie znaleźli. Biomorf nie uczyni cię odporną na ciosy. Właściwie nie wiem, jakie są z tego korzyści prócz ochrony przed kuzynami. Naszymi, ludzkimi środkami nie sposób stwierdzić domieszki biomorfa, w każdym razie tak sądzę. A może po prostu nie powiedzieli ci prawdy?

--Nie wiem...

--Teraz mi wierzysz, Gilvy? Przecież byłem taki sam jak ty. Zwyczajni rodzice, zwyczajne dzieciństwo. Miałem trochę większą odporność, ale poza tym nic niezwykłego. A potem dowiedziałem się... rodzice sami mi powiedzieli.

--Że cię... zrobili? Z tego, jak mu tam, biomorfa?

--Właśnie. Nastąpiło połączenie ludzkich komórek ze środowiskiem biomorfa oraz implantacja otrzymanego zarodka. Jestem prawie pewien, że mniej więcej w taki sam sposób stworzono ciebie. Nie wiem tylko, w jakim celu.

--A o sobie... o sobie wiesz?

--Tak. Oczywiście tylko tyle, ile powiedzieli mi rodzice. Chcieli stworzyć superżołnierza, ale im się nie udało.

--Ja bym takich rodziców... -- syknęła Gilvy. Jej policzki płonęły.

--To już teraz nieważne -- powiedziałem spokojnie. -- Chodzi o to, że oboje zostaliśmy stworzeni sztucznie i oboje mieliśmy być bronią. Zawsze lepiej istnieć niż nie istnieć. Poza tym domieszka biomorfa nie jest taka straszna. -- Tutaj już trochę mijalem się z prawdą.

Gilvy odetchnęła głęboko, próbując wziąć się w garść. Muszę przyznać, że wiadomość o swojej prawdziwej naturze przyjęła znacznie spokojniej niż ja kiedyś.

--Rus... ja nie wiem, co powiedzieć...

--Pracujesz dla Dariany Dark? Dla Federacji?

Od razu się skoncentrowała.

--Jasne, że nie! Co to za pomysły! A może sam dla niej pracujesz?

--Gilvy, ktoś doniósł Darianie o przygotowywanym wypadzie. Dostęp do tej informacji miałaś tylko ty i dwie szyfrantki. Jeśli wie się o tobie to, co ja wiem...

Gilvy nastroszyła się, przypominała teraz chorą sikorkę.

--Nie jestem szpiegiem. Uczciwie służę Imperium...

--W takim razie na pewno pomożesz nam znaleźć tego, kto naprowadził na nas Darianę.

--Oczywiście.

--Radzę ci zastanowić się nad kandydaturami. Pan pułkownik chciałby je otrzymać jeszcze

dziś wieczorem.

Patrzyłem, jak odchodzi chwiejnie. Dariana Dark właśnie traciła jednego agenta. A może my zyskaliśmy jeszcze jednego sprzymierzeńca?

To wszystko nie rozstrzygnie się tutaj. Nie na Nowym Krymie, nie na Omedze-8, lecz gdzieś tam, skąd pierwotnie przybyły biomorfy. Nieważne, kto wysłał je w strefę zasięgu ludzkiej cywilizacji, nieistotne, jaka jest prawdziwa natura lotu macic. Jesteśmy tam potrzebni. Poza tym zaczynałem mieć pewność, że Dbigu rzeczywiście kierują się instynktem. Ich obecne działania są kolejnym dowodem. Instynkty działają bez względu na to, co wyniknie z ich wysiłków. Instynkt u cywilizacji wysoko rozwiniętych -- za tę teorię pobiliby mnie wszyscy ksenolodzy, ale fakt pozostaje faktem, a lepszego wyjaśnienia na razie nie wymyśliłem.

Wiadomości imperialne:

--Obowiązkiem pracowników Głównej Korporacji Nadawczej jest przekazanie narodowi Imperium prawdy, mimo że jest to gorzka prawda. Niezbędne ograniczenia, jakie ze względu na stan wojenny nałożono na wolność słowa, nie mogą, jak nieraz mówił Jego Imperatorska Wysokość Cesarz, zamienić jego poddanych w bezmyślnych zombi, przed którymi ukrywa się prawdziwy przebieg wydarzeń.

Nasi frontowi korespondenci wylądowali -- razem z oddziałami desantowymi walecznych Sił Zbrojnych Imperium -- na kilku planetach okupowanych przez agresorów Dbigu. Trwają zacięte walki, w których obie strony ponoszą straty w bojownikach i sprzęcie. Zwracamy się do przedstawiciela od spraw kontaktów z opinią publiczną Sztabu Generalnego, pana pułkownika Hansa Kritze. Panie pułkowniku?...

--Dziękuję. Drodzy rodacy, obywatele naszego wielkiego Imperium. Przypadło mi w udziale niełatwe zadanie poinformowania was o sytuacji na frontach. W celu wyprostowania linii frontu na planecie Nowy Krym, lepszego kierowania wojskami oraz zredukowania dublujących się organów dowódczych, Sztab Generalny podjął decyzję o odsunięciu wojsk do administracyjnego centrum wyspy Syberia, miasta Władysybirsk. Wszystkie próby powstańców zawładnięcia tym miastem o dużym znaczeniu strategicznym skończyły się fiaskiem -- ataki zostały odparte z ciężkimi stratami dla buntowników. Jak już informowaliśmy obywateli Imperium, separatyści zwrócili przeciwko nam te same macice, z którymi walczyliśmy na planetach Omega-8 oraz Iwołga. Propaganda tak zwanej Federacji ogłosiła to nową bronią biologiczną, bronią zemsty. Rój ohydnych stworów wypuszczono przeciwko niespodziewającym się niczego mieszkańcom miasteczka Przywole. A trzeba dodać, że ci ludzie nie odnosili się z entuzjazmem do rządu nowo powstałej Federacji i z radością witali wojska imperialne, podchodzące do miasteczka. Rozwścieczeni tym buntownicy zrzucili na nieszczęśników zastępy piekielnych stworów, przewrotnie tłumacząc śmierć cywilów atakiem chemicznym Imperialnych Sił Zbrojnych. Z całą odpowiedzialnością oświadczam, że nasi dzielni żołnierze i oficerowie nigdy by się nie zniżyli do takiego masowego mordu niewinnych kobiet, starców i dzieci.

Rząd Jego Imperatorskiej Wysokości, próbując uniknąć dalszej eskalacji tej bratobójczej wojny, zaproponował buntownikom pertraktacje. To była trudna decyzja. Wiele osób protestowało przeciwko niej, twierdząc, że z terrorystami nie należy prowadzić żadnych negocjacji, bowiem już sam fakt rozpoczęcia takich rozmów ci lajdacy uznają za zezwolenie na dalsze przestępstwa.

Federacja odrzuciła humanitarne warunki zawieszenia broni. Jej bojownicy atakują nasze oddziały na Nowym Krymie i Szajtanie. Mało tego, z pewnych źródeł otrzymaliśmy informacje, że buntownicy przeprowadzili lądowanie swoich potworów na planetach Kappa-1, Kappa-2 oraz Kappa-4 tego samego sektora. Garnizony tych planet zaczęły nierówną walkę. Na planety grupy Kappa, powtarzam, dokonano ataku biologicznego. Nasi wrogowie są zbyt tchórzliwi, żeby stanąć do uczciwej walki, woła zaslaniać się morderczymi, tępymi potworami...

W tym samym czasie nasze oddziały pomyślnie zajęły pewne tereny na Omedze-8 oraz Iwoldze, zajęte przez agresorów Dbigu. Nasi przeciwnicy nadal nie nawiązują z nami kontaktu. W chwili obecnej na tych planetach rozwija się ofensywa na wielką skalę. Operacje prowadzone są zarówno na powierzchni planet, jak i w przestrzeni nad nimi. Załoga monitora „Karl Bülow” po długotrwałym pojedynku raketowym zniszczyła dwa statki Dbigu. Jego Wysokość już przedstawił dowódcę „Bülowa” do Krzyża Żelaznego pierwszego stopnia.

Lądujący na planetach komandosi dokonują cudów odwagi. Mają przeciwko sobie przebiegłego, licznego, a także nieustępującego nam pod względem technicznym wroga. Ale i tak oddział pod dowództwem podpułkownika von Vallensteina nieoczekiwanym nocnym atakiem przerwał wrogą obronę, niszcząc strategiczne stanowisko raketowe przeciwnika, przeszkadzające naszym siłom kosmicznym na Omedze-8...

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

Na pierwszych liniach frontu stale są obecni nasi korespondenci. To oni niosą słowo prawdy obywatelom niepodległych planet, które zrzuciły jarzmo Imperium. Nasze oddziały atakują przeciwnika na wszystkich frontach. Faszystowscy agresorzy na planecie Szajtan zostali odepchnięci od kosmodromu Północnego! W przerwaniu obrony wroga szczególnie wyróżnili się czołgiści towarzysza D'Ampezzo, artylerzyści towarzysza Szwajcara oraz strzelcy towarzysza Swantessena. Wyzwolono kilka kopalń odkrywkowych oraz kombinatów. Już niedługo nadejdzie dzień, gdy wszystkie części Szajtana będą pracować dla dobra sprawy wolności.

Trwa natarcie naszych oddziałów na planecie Nowy Krym. Oddział pancerny towarzysza Dubois zamknął pierścień okrążenia wokół Władysybirsk, odcinając dwudziestotysięczne ugrupowanie przeciwnika. Do powodzenia tej operacji w ogromnym stopniu przyczyniła się nasza nowa broń biologiczna.

Dzisiaj możemy wreszcie powiadomić naszych widzów o jeszcze jednym zwycięstwie: przerywając kosmiczną obronę przeciwnika, nasze wojska wylądowały na planetach Kappa-1, Kappa-2 i Kappa-4 (ostatnia z nich jest, jak wiadomo, główną bazą wojskową Imperium w naszym sektorze). Do przelomu wprowadzono nowe siły: atakują strzelcy zmotoryzowani, na głębokich tyłach wroga lądują komandosi, śmiało idą naprzód dzielni czołgiści.

Imperium już niewątpliwie pogodziło się z klęską -- wyprowadza teraz swoje wojska z naszych frontów, motywując to koniecznością walki z inwazją Dbigu. Zwycięstwo jest tuż-tuż! Nic jednak nie może uspić naszej czujności! Nie wolno nam cieszyć się przedwcześnie! Nie wolno nam przerywać kampanii samokrytyki oraz krytyki, a także procesu oczyszczania naszej armii z tchórzy, panikarzy i zdrajców!

Gilvy poszła, ale wiedziałem, że wróci. Musi wrócić, takie rany same nie znikają.

Tej nocy znowu atakowaliśmy. Vallenstein otrzymał rozkaz wykluczający dwuznaczną interpretację: brygada Tannenberg ma przerwać linię obrony wroga i zniszczyć strategiczne stanowisko raketowe, niedopuszczające naszych monitorów orbitalnych.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Dbigu pokazali, że umieją się bronić, i to tak, że mogliśmy jedynie zgrzytać zębami z zazdrości. Ich obrona sprawiła, że nie tylko sterowane pociski raketowe stawały się bezużyteczne...

Na naszych tyłach huknęły pierwsze salwy. W ruch poszło wszystko, co mogło strzelać: leciały pociski raketowe, odezwała się stara, dobra artyleria lufowa, szeptem przekazywano opowieści, że użyto również „broni falowej”, ale to już były bajki. Świszczące stalowe pociski, wypełnione najróżniejszymi materiałami wybuchowymi, wyskakiwały z luf, zrywały się z przewodnic... Spodziewałem się zwartej ściany wybuchów na pierwszych liniach Dbigu, ale nic takiego się nie stało: ładunki wpadały jakby na niewidoczną ścianę. Okazało się, że broń ośmiornic potrafi zestrzeliwać pociski artyleryjskie.

Materiały wybuchowe eksplodowały, nie wyrządzając wrogowi najmniejszej szkody, pociski termobaryczne pękały niebezpiecznie blisko naszych pozycji, więc pięć minut później, po rozpaczliwych przekleństwach dowódców kompanii pierwszej linii, ostrzał artyleryjski został przerwany. Bóg wojny uznał własną bezsilność.

--Jak oni to robią, panie poruczniku? -- Dowódcą trzeciego plutonu był junkier Jürgen Hipper, który zastąpił poległego oficera. Klaus Maria powrócił do obowiązków kompanijnego poganiacza.

--Jakieś specyficzne pole? -- zasugerował Volfitz, który jako jedyny podporucznik dowodził u mnie plutonem. A nawet nie podporucznik, lecz kandydat na oficera, wypuszczony przed terminem i obdarzony tymczasowym patentem. Młodziak jeszcze, trzeci rok uniwersytetu... -- Na przykład siłowe?

--Nie. To tylko doskonała automatyka. Wczesne wykrywanie, minimalny czas reakcji...

--Ale żeby zestrzelić lecący pocisk? -- Volfitz nie mógł uwierzyć.

--To tylko znaczy, że stworzyli niezbędne nanotechnologie -- uciąłem. Mój monitor doszedł do siebie po wścieklej plątaniu wybuchów.

--To jak, panie poruczniku, będziemy w końcu nacierać na tę niezniszczalną obronę?

--Dlaczego zaraz niezniszczalną... Owszem, będziemy. Nie mamy wyboru. Zdaje się, że jedynie piechota w bezpośredniej walce może tu coś zdziałać

--A co im przeszkodzi dokładnie tak samo zareagować na nas?

--To kwestia wykrywania -- wyjaśniłem. -- Nasz pancierz jest dobrze zamaskowany, promieniowanie zredukowano do minimum. Nie emitujemy żadnych fal na żadnym z zakresów. Pola naszych układów elektronicznych nie wychodzą na zewnątrz, że nie wspomnę o podczerwieni. Bardzo możliwe, że nas po prostu nie widzą, zwłaszcza że nad nami nie ma satelitów i celowanie przez kanał z orbity jest niemożliwe.

--To co, czołgi też mogliby powstrzymać? -- zdumiał się junkier.

--W każdym razie nie liczyłbym na nie zanadto -- powiedziałem szczerze. -- Po prostu zostaną spalone. Będziemy musieli walczyć na bagnety, zgodnie ze starym suworowskim powiedzeniem...

--Przepraszam, panie poruczniku, czym powiedzeniem?

--Suworowa, junkrze. Mieliście na studiach historię sztuki wojennej? I przestań mi tu porucznikować, ile razy mam ci powtarzać...

--Przepraszam, panie poruczniku. Meldują, że nie mieliśmy takich wykładów, panie poruczniku. To skrócony program, panie poruczniku...

--Beznadziejny przypadek -- jęknąłem i odwróciłem się. -- Zaraz wszystko zobaczysz. Pójdą czołgi, czołgi poniosą straty, a potem...

Nie dokończyłem. W ciemności za naszymi plecami ryknęły silniki. W czasie licznych przeformowań, kiedy to z batalionu o wzmocnionym składzie powstała cała brygada, Tannenberg zdążył zyskać pełnowartościowy batalion przedarcia pancernego. Do walki ruszyły PzKpfw VII i ziemia jęknęła pod ich potężnymi gaśienicami. Ciekawa sprawa swoją drogą; tyle już lat minęło od czasu wynalezienia czołgu, a silnik pozostał niemal niezmienny. Bajki o sunących nad polem walki grawilotach udało się chyba zrealizować jedynie naszym obecnym przeciwnikom.

--Panie... Ruslan, zaczynamy? -- ośmielił się zapytać Volfitz, gdy pancerne cielska przejechały obok nas i, tworząc tyralierę, ruszyły tam, gdzie nasze monitory z uporem pokazywały pierwszą linię wroga.

--Siedź cicho, głupi -- mruknąłem przez zęby, włączając kanał osobisty. -- Zaczniemy, jak dam znak, jasne? A jeśli coś jest niejasne, mogę szybko wyjaśnić.

W słuchawkach rozległ się zdławiony pisk. Zdaje się, że Volfitz bał się mnie jak ognia.

--Ośmiornice zaraz urządzą tu bal... -- powiedziałem, zachowując dla siebie cyniczne zakończenie zdania: „Z pieczonymi załogami czołgów na pierwsze danie”.

I zaczęło się.

Ręczna broń głowonogów zamieniała ciężkie czołgi szturmowe w płonące ogniska, paliły się transportery opancerzone, a podniesienie w powietrze helikopterów oznaczałoby pewną śmierć dla załóg.

Po czołgach przesunęła się ściana ognia. Maszyny zapalały się jedna po drugiej, pancerz nie chronił przed niczym.

--A teraz my -- powiedziałem półgłosem.

Trzy plutony ruszyły za czołgami na własnych nogach, niczym żołnierze II wojny światowej. Minęliśmy jeden płonący czołg, drugi, trzeci... Wyglądały tak, jakby uderzył w nie niewidzialny młot. Pogięty pancerz, pozrywane wieżyczki, z otwartych szczelin wysuwają się języki płomienia... Volfitz wspomniał coś o szukaniu rannych, ale nawet nie odpowiedziałem. Czegoś takiego nie mógł przeżyć żaden człowiek.

Dbigu tak bardzo zaabsorbowały wielkie ryczące i płonące zabawki, że albo w ogóle nas nie zauważyli, albo spostrzegli zbyt późno. A ich broń, jak każda broń na świecie, wymagała przeladowania.

Zakuci w pancerze, wyposażeni w niezliczone chipy, ekrany, celowniki, dalmierze i całą resztę elektronicznych gadżetów, szliśmy do ataku niczym bezbronni ochotnicy pod Moskwą. Na moim monitorze zapłonęły pojedyncze czerwone punkty -- Dbigu wreszcie zrozumieli, co się dzieje. Chyba nie wierzyli, że praktycznie bezbronni ludzie zdecydują się na samobójczy atak. Niespodzianka! Jeśli coś nas różniło od tych rozumnych głowonogów, to właśnie zdolność do samobójczych ataków.

Zacząła się zwykła praca -- nakierować moich ludzi na ośmiornice z ciężkim uzbrojeniem (osłaniającym ich tyralierę przed pociskami raketowymi), stworzyć lokalne punkty przewagi sił (Dbigu rozciągnęli się niemal równomiernie), skorygować ogień wyrzutni raketowych kompanii w miejscu, w którym udało się załatwić ośmiornicę z długą rurą sprawiającą, że nasze pociski wybuchały w powietrzu, nie wyrządzając szkody nikomu prócz nas.

Natarcie wyglądało niczym z podręczników historii -- szybki bieg, osłanianie się ogniem aż do chwili, gdy dotarliśmy do pozycji Dbigu. Pancierz w bliskiej walce nie pomagał; zarówno ludzie, jak i ośmiornice zmieniali się w płonące pochodnie. Superpotężna ręczna broń Dbigu oddała im niedźwiedzią przysługę -- nie mogli jej użyć wśród swoich.

Tej nocy udało mi się zachować zimną krew. Osobiście nie miałem nic przeciwko ośmiornicom, w końcu walczyły z Imperium, a nie z moją planetą. W innych okolicznościach pierwszy bym powiedział: „Gdzie dwóch się bije, trzeci niech skorzysta”.

Ale przez cały czas dręczyło mnie obsesyjne wrażenie, że Dbigu przybyli na tę planetę nie po to, żeby walczyć, a ich „armia” nie postępuje tak, jak powinny postępować prawdziwe siły zbrojne. Nie mogłem tylko zrozumieć, o co tu chodzi.

Wiedziałem jedno -- ich zdaniem ludzie nie powinni stawiać oporu, zwłaszcza po styczności z macicami i Rojem. Biomorfy wyraźnie pełniły rolę oddziałów szturmowych naszych nieznanych wrogów i spodziewano się, że po ich przejściu pozostanie jedynie pozbawiona życia pustynia, czyli to, co zostało na Iwoldze i Omedze-8.

Ale i tak Dbigu walczyły zaciekle. Niewysokie, przysadziste ośmiornice nawet w pancierzu umiały rozplaszczyć się tak, że nasze celowniki podczerwone ledwie na nie trafiały. W końcu rzeczywiście doszło do walki wręcz.

Razem z moim zaimprovizowanym sztabem podążałem za kompanią: minęły czasy, gdy dowódca jechał na czele oddziału na białym koniu. Silnik naszego pojazdu mruczał niegłośnie, wszystkie „zagłuszacze” pracowały pełną parą, starannie maskując naszą pozycję -- nieodzowna ostrożność po tym, co się stało z batalionem pancernym. Dwa plutony stworzyły tyralierę bojową, trzeci pełnił rolę ruchomej rezerwy. Brałem z niego jedną lub dwie drużyny, żeby uzyskać przewagę na którymś z odcinków, wycofując poszczególne oddziały z pierwszej linii, by pozwolić im złapać oddech. Niepowtarzalny Klaus Maria urządził na kanale dowódczym istny benefis -- zawodowi komicy mogliby pozazdrościć mu inwencji w tworzeniu określeń fauny tropikalnej. Pan sierżant znowu musiał objąć dowodzenie plutonem: świeżo upieczony dowódca, junkier Hipper, zdążył właśnie oberwać i sanitariusze zabrali go na tyły. Najchętniej postawiłbym na czele plutonów doświadczonych sierżantów w rodzaju Mikkiego, ale przed desantem Vallenstein polecił zapelniać wakaty oficerami, nawet tak „przedwczesnymi” jak Volfitz, czy rzuconymi na front bez egzaminów ze stopniem junkra, jak Hipper.

--Uważajcie, sierżancie, Dbigu skoncentrowali dwudziestu swoich przeciwko pańskiemu plutonowi! Cofnijcie się o sto metrów do żółtego znaku, pošlę dwie drużyny z odwodu, uderzą w ich flankę -- polecilem, nacisnąłem klawisz i na monitorze (moim i Klausem Marii) zapłonęła bursztynowo granica, do której miał się cofnąć jego pluton.

--Tak jest, cofnąć się do żółtego znaku! -- zameldował Klaus Maria. -- Hej, wy, sierściuchowe szympansy! Ruszać się!

I wtedy w eterze zapanował chaos. Pospiesznie włączyłem bezpośredni przekaz z kamery Klausem Marii i drgnąłem -- jakby ostatecznie stracili rozum, Dbigu szli prosto na nasz ogień. Widziałem, jak macki, zakute w wąskie pancerne pierścienie, chłoszczą na wszystkie strony, odrzucając ze swojej drogi moich ogłuszonych żołnierzy.

Klaus Maria ryknął niczym rannyłoś i skoczył do przodu, strzelając ze steiera. Kule nieciły na pancierzu ośmiornicy snopy iskier, ale głowonóg nadal walczył; znieruchomiał dopiero wtedy, gdy zdeterminowany Klaus Maria zdzielił go kolbą, miażdżąc jego mózg przez dziurę w

pancerzu -- nie miał czasu zmieniać magazynku.

A ja znowu otrzymałem gwałtowny cios w splot słoneczny -- poczułem biomorfa. Gdzie one są, do licha? Gdzie te wszystkie potwory, latające, pelzające i biegające? Czy to przywidzenia?...

Dwudziestu kontratakujących Dbigu znalazło się w kotle. Dwie drużyny z odwodu ostrzeliwały przeciwnika z flanki, ale zanim ostatni z wrogów padł martwy, poległo wielu moich ludzi.

Wreszcie nad ranem przerwaliśmy linię ich obrony. Ośmiornice zaczęły odciągać swoje „działa” na tyły -- próżny trud! Część zniszczyliśmy, część zdołaliśmy przejąć. Moja kompania, która po raz kolejny znalazła się na szpicy szturm, przebyła tej nocy co najmniej pięć kilometrów i jako pierwsza znalazła się w pobliżu tego, co uważaliśmy za „kompleks raketowy obrony orbitalnej”.

Nad polem walki nadal nie pojawiała się lotnictwo. Przerwaliśmy obronę Dbigu tylko z jednej strony, a jak zdążyli przekonać się nasi piloci, ośmiornice bardzo skutecznie zamykały strefy rażenia.

Przed moimi oczami (a nie żadną kamerą dalekiego zasięgu) pojawił się olbrzymi, na wskroś obcy obiekt. Ze swoim dziwnym kształtem o łukowych bocznych pierścieniach przypominał źle wypieczoną bułkę, przelamaną na pół. Czerń i zieleń nadawała obiektowi leśno-bagienny koloryt.

A za tym groźnym gigantem leżało to, co jeszcze niedawno było niewielkim miasteczkiem Alphalle. Nie przetrwał żaden dom, choć nie było śladu ruin. Sądząc z mapy, bezpośrednio na fundamentach spoczęły dziwaczne „kompleksy” Dbigu, których przeznaczenia sztabowi analitycy nie potrafili odgadnąć.

Zniknęły nie tylko budynki, ale również drogi. Na ich miejscu pojawiły się wysokie drzewa, czarne i mokre jak po gwałtownej ulewie. Gigantyczne maszyny Dbigu nasuwały się na pozostałości ludzkich budynków. Jedne zostawiały za sobą pasy parującej ziemi, na które wczolgiwały się inne potwory. Po przejeździe tamtych na ziemi zaczynała zielenić się trawa i niskie krzaczki. Nadciągały następne -- i z ciemnej głębi maszyny wypuszczały drzewa, nagie, drżące i mokre. A wszystko działo się jak na przyspieszonym filmie: gałęzie rosły i prostowały się, z maleńkich pączków wykluwały się liście i minutę później w pełni rozwinięte korony szumiały już na lekkim wietrze.

--Zakładają tu sad! -- wykrzyknął zdumiony Mikki. Młody Fin miał absolutną rację.

Dbigu przywracali planecie pierwotny wygląd i nie mieli najmniejszego zamiaru zawracać sobie głowy ludźmi. Nasze oddziały, pchające się tu ze swoim śmiercionośnym sprzętem, nie zostały potraktowane jako realne zagrożenie. Aż trudno w to uwierzyć... Zabijaliśmy ich, wysadzaliśmy w powietrze ich maszyny, a Dbigu tylko się bronili, nie próbując przeprowadzić operacji strategicznej z prawdziwego zdarzenia, aby wyrzucić ludzi z Omegi raz na zawsze. Czyżby aż tak liczyli na macice?

Przez jakiś czas obserwowaliśmy pelznące powoli maszyny Dbigu, ich ruch był niemal niewidoczny dla oka. Sprawdziłem blok wideo -- wszystko się nagrywało. Sztabowi mądrale będą się mieli z pyszna!

Niestety, nie pozwolono nam zbyt długo gapić się na to widowisko. Nadciągnęli Dbigu, którzy wyraźnie postanowili nam pokazać, że mają jeszcze amunicję i bynajmniej nie czują się

pokonani. Rozproszyliśmy się, odpierając ośmiornice czym się dało. Kiedy z lewej flanki nadeszła druga kompania, głowonogi wycofały się i przysłały swoje latające wagony; jeden zdążyliśmy zestrzelić, ale pozostałe zniknęły.

Potężny kompleks raketowy znalazł się w naszych rękach -- w dodatku nieuszkodzony.

Vallenstein, z całych sił usiłując stłumić radość w głosie, polecił nam przeprowadzenie wstępnego rozpoznania. Przodem ruszyła trzecia kompania, dzisiaj była ich kolej badania niewiadomego.

Dokładnie w tym momencie po czarno-zielonych lukach przebiegły łańcuszki oślepiająco białych iskier. Ktoś krzyknął ostrzegawczo, ale było już za późno -- pośrodku równiny pojawił się gigantyczny ognisty kwiat, a eksplozja zmiotła powołane do życia drzewa. Z pomrukami niezadowolenia maszyny zaczęły zawracać, sunąc prosto do leju po wybuchu.

Nie musieliśmy niszczyć obiektu wroga -- Dbigu uruchomili program autodestrukcji, a ci, którzy w momencie wybuchu znaleźli się tuż obok niego, po prostu mieli pecha.

Razem z głównym obiektem wysadzono również mniejsze, osłaniające go przed naszymi raketami. Moja kompania znowu miała szczęście -- trzymaliśmy się w znacznej odległości od tych naziemnych stanowisk.

Wyrównujące ziemię, siejące trawę i sadzące drzewa maszyny ocalały i spokojnie zawróciły w naszą stronę, nasuwając się na ogromny, czarny lej. Nie wątpiłem, że do wieczora po wybuchu nie zostanie ani śladu.

Długo wpatrywaliśmy się w te niewiarygodne mechanizmy, które może wcale mechanizmami nie były. Nie wyglądały na prymitywne automaty do sadzenia roślin. Drzewa najwyraźniej powstawały na miejscu, a tempo tego procesu nieprzyjemnie się kojarzyło z przekształceniami biomorfów.

Po tym spektakularnym wybuchu batalion ze zrozumiałych względów nie spieszył się z podchodzeniem do mrujących maszyn. Möchbau wyklócał się z dowództwem, oznajmiając, że nie pośle ludzi „na rzeź” i że połowę trzeciej kompanii „jakby krowa językiem zlizala”. Przyślijcie uczonych, mówił, to w końcu ich działka. My swoje zrobiliśmy, ośmiornice zostały odparte.

--Utrzymujcie zajęte pozycje -- usłyszał wreszcie Tannenberg.

Ale nie pozostawiono naszej brygady na miejscu. Jak się okazało, nie wszystkie ataki naziemne były równie skuteczne. Z ośmiu szturmowanych tej nocy obiektów nieprzyjaciela zniszczono tylko jeden -- właśnie nasz. W innych miejscach Dbigu zmusili dywizje imperialne do wycofania się, zadając im dotkliwe straty.

Rozkaz dla naszej brygady brzmiał: zejść z zajmowanych pozycji, czekać na przerzut.

Tej samej nocy przysła do mnie Gilvy.

Przywykliśmy do spania w pancierzach, kładąc się tam, gdzie zastała nas ciemność. Zasnąłem obok kompanijnego pojazdu, przy spokojnych trzaskach stygnącego silnika, a obudziły mnie klasyczne: „Stój! Hasło! -- Reinikendorf! -- Neiderschonshausen, przechodź!”

--Panie poruczniku! Panie...

--Nie spodziewałeś się mnie? -- Przede mną stała Gilvy. -- Zostaw nas, Alex.

--Tak jest, pani sierżant! -- Szeregowy wyprężył się.

--Witaj... -- Słowa przychodziły mi z trudem.

Gilvy tylko skinęła głową.

Początkowo po prostu siedzieliśmy obok siebie, potem ona wzięła mnie za rękę.

--Wiesz, przez cały ten czas myślałam...

--Na to właśnie liczyłem.

--Aha, liczyłeś... Stropiłeś mnie, zbiłeś z pantalyku, wytrąciłeś z równowagi... Wychodzi na to, Rus, że nie jesteśmy ludźmi, tylko Obcymi, prawda?

Przyszła porozmawiać o sobie i o nas, sprytnie pomijając ostatnie słowa naszej poprzedniej rozmowy -- pytanie, kto naprowadził Darianę Dark na nasz zwiad.

--Owszem -- powiedziałem, próbując uwolnić rękę, ale Gilvy mocno ścisnęła moje palce. -- Domieszki biomorfa nie można odkryć, w przeciwnym razie nie siedzielibyśmy tutaj, lecz w chronionym wiwarium Akademii Nauk Jego Imperatorskiej Wysokości. Myślimy i działamy jak ludzie i to jest najważniejsze.

--Sądysz, że mogliby nami kierować? -- szepnęła Gilvy, przytulając się do mnie, czy raczej do mojego pancerza. -- Stamtąd... -- Zrobiła nieokreślony ruch ręką. -- Wydadzą rozkaz i każą nam coś zrobić?

--To możliwe -- odparłem. -- Ale niewątpliwie zdążę ze sobą skończyć, jeśli upewnię się, że to prawda.

--Ojejku! -- Gilvy przycisnęła dłoń do warg. -- Słowo daję... Ja tak nie potrafię! Boję się, Rus. Do licha z tym pancerzem, nawet nie mogę przytulić się do ciebie i rozplakać ze strachu.

--Nie sądzę, żebyś miała zamiar płakać -- powiedziałem ostrożnie. -- A co z sugestiami dla Vallensteina? Wymyśliłaś coś?

Odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

--Moim zdaniem to Katarina.

--Katarina? Zaraz, zaraz... podoficer Pojarkowicz?

--Właśnie ona. -- Gilvy skinęła głową. -- Już dawno zauważyłam, że dość dziwnie się zachowuje. Paraduje z oficerami, i to za każdym razem z innym, pokręci się z jednym i zaraz leci do następnego. A wybiera tylko takich ze sztabu. No i ma podejrzanе pochodzenie: Pojarkowicz nie należy do „rasy panów”. Przyszła do nas przed wojną, ale z rozszerzonego poboru, gdy patrzyli na ankiety z mniejszą surowością i nie sprawdzali aż tak głęboko. Pochodzi z Jaryni, ta planeta weszła w skład Imperium stosunkowo niedawno, a teraz, jak wiesz, w ogóle przeszła do Federacji. Zaciągnęła się na Kappie, twierdzi, że specjalnie tam wyjechała, gdy na Jaryni zaczęło się całe zamieszanie.

--Czyli wszystko wskazuje na nią?

--Owszem, ale to tylko podejrzenia. Sam wiesz, że nasze organa nie aresztują niewinnych. A zanim zbierzemy prawdziwe dowody...

--Masz jakieś propozycje?

--Propozycje, propozycje... Mogę jej podłączyć pluskwą i to tak, że nawet nie zauważy. Kiedy będzie wysyłała jakąś wiadomość, wszystko zobaczymy i usłyszymy. Zawsze nosił odznakę „Za odniesione rany”, można tam wcisnąć...

--Bardzo dobrze. Radzę ci udać się do dowódcy brygady i o wszystkim powiedzieć.

--Zdążę... -- Zewnętrzna strona dłoni przesunęła po moim policzku, jakby obawiała się normalnego dotyku. -- Proszę posłuchać, panie poruczniku...

--Tylko bez pochlebstw. Na razie jestem podporucznikiem.

--Ha! Od czego jestem szyfrantką? Przyszedł rozkaz. Szybko cię awansowali,

pozazdrościć.

--Oho!

--Właśnie, oho. Trzeba to oblać, jak mówicie wy, Rosjanie. Co dostanę za dobrą nowinę?

--Zgodnie z panującym zwyczajem, kieliszek wódki albo piwo, w zależności od tego, co się uda zdobyć.

--A coś innego? -- Przytuliła się mocniej. -- Chciałabym się zapomnieć... przestać myśleć... To, co powiedziałeś o biomorfach, w końcu mnie przekonało, chociaż... sama nie wiem. Ale czuję, że coś tu jest nie tak. Sprawdziłam: wszyscy, którzy byli wtedy w bunkrze, wachają kwiatki od spodu. Kiedy się o tym przekonałam, to... no, aż mnie zatrzęsło! Myślę sobie: Ruslan ma rację! I nie ma co udawać, że jest inaczej... -- Dotknęła wargami mojego ucha. -- Chociaż dziś mnie nie wyrzucaj, dobrze? Poudawaj trochę... Co ci zależy? Potrzebuję tego, rozumiesz, ty kłodo drewna? Chcę z tobą być, i... i nie tylko dzisiaj... Czy ty wiesz, jaką byłabym dla ciebie żoną? O rany, kompletnie straciłam głowę, sama nie wiem, co mówię... Przecież ty jesteś za porządny, na żołnierską „dziewczynkę” nawet nie spojrzysz. Zawsze mną pogardzałeś! Marie też w końcu poczuła się urażona, że nie zwracałeś na nią uwagi...

--Nie wspominała, że ma jakiekolwiek pretensje -- mruknąłem.

--Ale mnie mówiła... Rus! No, nie siedź jak kolek! Czy naprawdę nie sposób cię rozruszać? Ciągłe nie możesz wyrzucić z pamięci tej kocicy Dżamajte? Przecież ona pierwsza by cię zdradziła!

Omam nie palnąłem: „Nieprawda”, ale wcale nie uwierzyłem, że to właśnie biedna Pojarkowicz pracowała dla Dariany. W pewnej chwili pomyślałem nawet, że lada moment Gilvy wykrzyknie: „*Me, me adsum, qui fecit!*” niczym bohater Wergiliusza, ale nie.

--Gil, daj spokój, naprawdę, ja...

--Ściągaj pancerz! -- Gilvy wstała zdecydowanie i ze złością szarpnęła zamki kombinezonu. -- Zaraz ci pokażę, co potrafi prawdziwa kobieta.

--Gilvy!

--Co „Gilvy”? My, biomorfy, powinniśmy trzymać się razem, nie? Więc najpierw załatwię sprawę z tobą, a potem pójdę do Vallensteina. Trzeba rozpracować tę Pojarkowicz.

--Rozpracować... co za słowo...

--Tak się u nas mówi. U was mówią „rozgryźć”, prawda? A u nas inaczej.

--Bardzo poważne złamanie regulaminu -- zauważyłem. -- Samowolne zdjęcie pancerza w sytuacji bojowej bez zezwolenia starszego stopniem...

--Ale przecież mi pozwolisz, prawda, poruczniku? Pozwolisz biednemu sierżantowi?

--Nie sądzę, żebyś potrzebowała mojego pozwolenia -- zauważyłem, zerkając na zgrabną figurę Gilvy w obcisłym stroju podpancerzowym.

--Tak, z tego nie każda potrafi się erotycznie rozebrać -- prychnęła, odciągając gumkę. -- Ale to nic, trudności nas nie przestraszą...

Dobrze, że na warcie nie stała moja kompania...

W odróżnieniu od Dalki, Gilvy w ostatniej chwili nie odsunęła się, tylko przeciwnie, mocniej objęła mnie rękami i przywarła biodrami. To znaczy, że naprawdę uwierzyła, a w każdym razie „nasienie biomorfa” nie budziło w niej wstrętu.

--Dziękuję -- szepnęła w końcu, przytulając do mojej twarzy podejrzanie mokry policzek.

--Gilvy, ty płaczesz?

--Mhm... Jakiś ty głupi... chcę za ciebie wyjść, ty głupku biomorfowy... chcę i już... Głupia jestem, prawda? Dziękuję, że tak dzielnie udawałeś. Z nikim nie było mi tak dobrze.

--Daj spokój, nie musisz robić ze mnie orla seksu...

--Faceci są ograniczeni umysłowo. W takim wypadku to już nawet biomorf nie pomoże...
Słuchaj, czy to znaczy, że nie musimy bać się Roju? Że nas nie ruszy?

--Może nie ruszy -- wzruszyłem ramionami. -- Jeśli potraktuje nas jako część siebie. Ale jeśli dostanie bezpośredni rozkaz, to załatwi nas i nawet się nie skrzywi.

--Brrr... -- Gilvy zjeżyła się, a w jej głosie zabrzmiał nieudawany strach. -- Cholera, nie chcę o tym mówić. Lepiej pokochajmy się jeszcze raz. Było taak słodko... -- Przeciągnęła się i znowu przytuliła.

No i co, Rusłanie, już po twojej wierności... Nie mogłem i nie chciałem się powstrzymać.

Ale przytulając do siebie drżącą i zagryzającą wargi Gilvy, bardzo wyraźnie poczułem w niej biomorfa. Biomorfa rozplywającego się po całym ciele, nieukształtowanego, nieskoncentrowanego. Smak tego biomorfa poczuł widać także Rój, gdy wbijał żądła w szyję biednej Gilvy.

Ktoś zorganizował produkcję ludzi-biomorfów na szeroką skalę. Kto? Gdzie? Kiedy?

I, do licha, kiedy tak naprawdę ludzkość zetknęła się z biomorfami?

Szyfrogram 133

Baklan do Salima

Dlaczego się nie łączycie? Proszę o natychmiastowe potwierdzenie otrzymania wiadomości. Baklan

Gilvy Patters rzeczywiście przedstawiła Vallensteinowi swoje sugestie i biedna Katarina Pojarkowicz została aresztowana pod mętnym pretekstem „do wyjaśnienia wszystkich okoliczności przecieku informacji”. Vallenstein nie wyglądał jednak na usatysfakcjonowanego. Nie mówił wszystkiego i zacząłem podejrzewać, że jego słowa „pani sierżant jest poza wszelkimi podejrzeniami” były przeznaczone wyłącznie dla uszu wyżej wymienionej pani sierżant.

Brygadę Tannenberg znów przerzucono -- do następnego kompleksu Dbigu, gdzie poniosła klęskę 3. Dywizja Pancerna.

Przemaszerowaliśmy dwieście kilometrów do pozostałości innego osiedla ludzi. Oczywiście ujrzelśmy tu ten sam obrazek -- na miejscu zakurzonych ulic i szkieletu niedokończonego dworca kolei podwieszanej szumiał dziewiczy las.

Przemknął obok zwinny pojazd ozdobiony heraldyczną tarczą z niedźwiedziem na boku. Zgotowano nam powitanie.

Gdy po trzech dniach natarcia z dwustu pięciu czołgów szturmowych została jedna piąta, dowódca dywizji Vjedling wydał rozkaz zaprzestania ataku. Ośmiornice stawiały zaciekły opór i cała artyleria dywizji nie mogła nic na to poradzić -- ich pociski zestrzeliwano w locie.

--Jesteśmy szczęśliwi, że możemy wam pomóc, Hans. -- Padło już sakramentalne „bez szarż” i Vallenstein pozwolił sobie na nikły uśmiech. Zaciśnięte usta niemłodego Vjedlinga zbieleły -- chyba potraktował te słowa jak obelgę.

--Dziękuję, Joachimie -- wycedził przez zęby. -- Jeśli wydasz polecenie rozwinięcia ekranu, szef sztabu zapozna twoich oficerów z sytuacją.

--Oczywiście, oczywiście. -- Vallenstein uśmiechnął się. Granie generałowi-majorowi na

nerwach wyraźnie go bawilo. Jeszcze tylko jedno pytanie. Rozumiem, że ten zagajnik pojawił się w wyniku działań Dbigu?

--Tak, nie przeszkadzaliśmy im. -- Vjedling wzruszył ramionami. -- Wrogość przejawiali jedynie podczas naszych ataków.

Vallenstein skinął głową.

--Zetknęliśmy się z tym samym zjawiskiem, panie generale. Zupełnie nie zwracali na nas uwagi i ograniczali się do biernej obrony, kontratakując jedynie w ostateczności.

--Sztab wysunął sugestię przeprowadzenia orbitalnego bombardowania z użyciem ładunków neutronowych -- oznajmił niechętnie Vjedling. -- Odmowa przyszła z samej góry. Użycie ładunków jądrowych jest możliwe wyłącznie na orbicie.

Vallenstein lekko skłonił głowę.

--To słuszna decyzja. Nie wolno nam niszczyć ekologii planety.

--A więc do rzeczy -- rzekł Vjedling. -- Dowódca sztabu, pułkownik Beigel, wprowadzi pana w sytuację.

Obejrzelśmy pierwszą linię obrony ośmiornic przez lornetkę -- ponad wszelkie zdobycze techniki dowódcy przedkładali rozpoznanie osobiste. Zwłaszcza że zaproponowano nam wyłącznie zdjęcia satelitarne, bo wszystkie bezzałogowe aparaty zwiadowcze, które zbliżyły się do kompleksu Dbigu, czekał ten sam smutny los. Ośmiornice nie życzyły sobie, żeby im przeszkadzano, wytwarzały poważne zakłócenia i zapychały wszystkie kanały naszej aparatury.

Potężne maszyny Dbigu niszczyły pozostałości ludzkich budowli, pożerały plastik, metal i kamień, pozostawiając za sobą czystą, parującą ziemię, która aż się prosiła, żeby nazwać ją żyzną.

--Ładnie pracują -- odezwał się półgłosem Möchbau.

--Otóż to -- przyznał Rudolf, mój były dowódca plutonu, a w tej chwili dowódca jednego z batalionów.

--Co ich napadło? Chcą zrekonstruować planetę? -- zadał retoryczne pytanie Möchbau.

Nawet nie wiesz, jaki jesteś bliski prawdy, pomyślałem. Zdaje się, że Dbigu w ogóle nie są zainteresowani prowadzeniem wojny. Ich zadanie polega na zrekonstruowaniu planety, by wyglądała tak, jak przed pojawieniem się pierwszych kolonistów. Proste? Tylko dlaczego właśnie oni to robią? Czemu dla wykonania zadania nie żałują krwi? Przecież nie umieją walczyć -- w przeciwnym razie starliby nas na proszek. Film, jaki nam pokazali, to najprawdopodobniej propaganda. Co mogłoby zaimponować wojowniczej, rozszerzającej swoje granice cywilizacji ludzi, jeśli nie siła militarna? A zatem co, jeśli nie tę właśnie siłę, należy ludziom zademonstrować?

A gdy potrzebna jest prawdziwa potęga, przychodzą macice.

Ruszyliśmy do ataku niczym piechota II wojny światowej -- dobrze jeszcze, że Dbigu nie nauczyli się zestrzeliwać kul karabinowych, chociaż kto ich tam wie? Sprzęt zostawiliśmy na tyłach; całe przedpole pokrywały poczerńiałe wraki spalonych czołgów. Szliśmy tyralierą, a między nami zaczęły wybuchać mini rakiety ośmiornic, ochrzczone pancerfaustami. Batalion majora Möchbaua dokonał sztuki, jakiej nie oglądano na frontach od ponad dwóch stuleci -- do ataku szli wyprostowani żołnierze.

Biegliśmy prosto na rozblyskujące wybuchami pozycje Dbigu, klnąc w najróżniejszych

językach używanych przez poddanych Imperium. W takich chwilach język ogólnopaństwowy zupełnie wylatywał z głowy. Sam wrzeszczałem „...mać!” po rosyjsku.

Jednym skokiem pokonaliśmy zalaną ogniem przestrzeń i tuż przede mną z czegoś w rodzaju okopu wyłonił się Dbigu w pancerzu.

Chyba nawet nie myślał o własnym życiu. Z rzadko spotykanym opanowaniem i obojętnością wobec ryzyka śmierci, wycelowal we mnie swojego pancerfausta. Wystrzeliliśmy jednocześnie, ja w trakcie padania na ziemię. Mój steier wypuścił serię strzałek i odłamkowych „dwudziestek”. Rakieta Dbigu z sykiem przeleciała nad moim ramieniem, a inteligentne sensory całkowicie zaciemniły osłonę helmu, ratując mi oczy.

Trzask, bulgot i już oplata mnie zakuta w kolczasty pancerz macka, przyciskając do szarego cielska. Z licznych dziur w pancerzu chlusta krew i natychmiast, bardzo wyraźnie zaczynam wyczuwać biomorfa. Czuję go wszędzie wokół, czuję, jak na mnie spada, jak zalewa mnie ciemną cieczą... To było jak smagnięcie batem -- zrozumiałem, że walczę z takim samym biomorfem jak ja, Gilvy, Dariana i Bóg wie ilu innych ludzi... i nieludzi.

Nie wypuściłem karabinu i udało mi się wystrzelić resztę kul z bardzo bliskiej odległości, prosto w ciało ośmiornicy. Zalał mnie zapach biomorfa -- bezsilne macki opadły. Odsunąłem się do tyłu, chcąc się maksymalnie oddalić od tej okaleczonej masy martwego mięsa. Nie miałem już żadnych wątpliwości: przede mną był biomorf.

Ciekawe, czy to tylko ja miałem takie szczęście, czy...?

Okazało się, że jednak „czy”. Pod koniec szaleńczej walki zyskałem pewność, że mamy przed sobą hybrydy, Dbigu skrzyżowane z biomorfami. To odkrycie tak mnie zszokowało, że kilka razy ratował mnie wyłącznie los, przyjmujący między innymi postać sierżanta Klausa Marii.

Nie będę opisywał szczegółów kolejnego nocnego szturm. Brygada ponownie przedarła się do głównego kompleksu, ale tym razem nikt nie próbował się do niego zbliżyć, nie mówiąc już o próbie przerwania autodestrukcji. „Maszyny rolnicze” Dbigu, tak jak poprzednio, ocalały i z niewzruszonym spokojem kontynuowały przywracanie Omedze-8 jej pierwotnego wyglądu.

Szyfrogram 134

Salim do Bakłana

Brak łączności wynikał z trudnej sytuacji w sztabie brygady, wykluczającej możliwość przekazu zaszyfrowanych wiadomości.

Donoszę, że Dbigu nie prowadzą ukierunkowanych działań wojennych przeciwko Imperialnym Siłom Zbrojnym, ograniczając się do samoobrony. W sztabie brygady aresztowano szyfrantkę podejrzaną o szpiegostwo, jednak z braku obciążających ją dowodów nie ma pewności, że imperialny kontrwywiad się tym zadowoli.

Podejrzewają mnie i dlatego proszę o pozwolenie przerwania wymiany informacji albo wycofania się w oparciu o schemat „Epsilon”. Mogę przyjąć najwyżej jedną wiadomość.

Salim

Szyfrogram 135

Bakłan do Salima

Proszę o bardziej szczegółowe informacje, jaka konkretnie trudna sytuacja uniemożliwiła przekaz wiadomości.

Zezwalam na wycofanie się według schematu „Epsilon” jedynie w wypadku

bezpośredniego zagrożenia. Wariantem bardziej odpowiadającym centrali jest wariant „Alfa”. Proszę przygotować się do przyjęcia nowej wiadomości.

Baklan

Typowy zastój po walce. Kompania lizła rany, liczyła straty w ludziach i sprzęcie -- uszkodzonym, spalonym lub zamienionym w złom przez nieprzyjaciela, odprowadzała rannych, utworzyła wartą honorową nad ułożonymi w rzędy ciałami poległych żołnierzy... Nocne przerwanie linii obrony sporo nas kosztowało, ale nasze straty były i tak bez porównania mniejsze niż straty 3. Pancерnej.

Obowiązki dowódcy kompanii wykonywałem mechanicznie, na autopilocie. Dbigu są biomorfami! Tak jak Rój, jak macice, tacy jak ja, noszący w sobie „komponent biomorficzny” nieznanego pochodzenia. Ciekawe, czy uda się stwierdzić cokolwiek podczas sekcji zwłok? Prawdę mówiąc, nie bardzo w to wierzyłem. Medycyna imperialna nie znalazła niczego ani we mnie, ani w Gilvy, chociaż ją podobno prawie rozebrali na komórki. Najprawdopodobniej Dbigu pozostaną dla wszystkich jedynie dziwaczными lądowymi ośmiornicami i nikt nie odkryje ich powiązania z Rojem i macicami...

Jeśli się nie wtrączę, nie zdradzę swojego incognito, nie wyjaśnię...

Czego? Co będzie mi potrzebne jako dowód? Niewielki zbiornik z głodnym, rozwijającym się biomorfem, do którego wskoczę na oczach komisji, by już po chwili -- cały i zdrowy -- z niego wypłynąć? O czymś takim nawet nie chciałem myśleć, a bez tej demonstracji po prostu wyślą mnie do domu wariatów, daleko i na długo.

Myśl o tym, że aby coś udowodnić, musiałbym wskoczyć w objęcia kolejnego biomorfa, nasuwała inne pytanie -- czy Rój również mnie zignoruje? Podczas walk na Iwoldze nie okazywał mi jakichś szczególnych względów, ale wtedy potwory nie atakowały wyłącznie mnie, szturmowały nasze pozycje i nie doszło do walki bezpośredniej.

No tak, to mogłoby zrobić odpowiednie wrażenie i od razu rozwiałoby wszelkie wątpliwości. Tylko skąd wziąć porządny Rój, skoro teraz działał wyłącznie na Nowym Krymie?

Odpowiedź na to pytanie przyszła wcześniej, niż się spodziewałem.

Właśnie zbierałem raporty plutonowych, gdy połączył się ze mną Vallenstein. Zdaje się, że brygadzie przydzielono rolę czegoś w rodzaju straży pożarnej. Skoro poradziliśmy sobie z dwoma „zgrupowaniami” Dbigu, poradzimy sobie również z następnym -- a więc przerzucali nas gdzie indziej, do następnego „pożaru”. Jak myślicie, dokąd? Otóż na Kappę -- system dwóch bliźniaczych planet, skąd zaczął się mój szlak dezertera na Nowy Krym. Właśnie tam, na wszystkie trzy Kappy współbojownicy Dariany Dark zrzucili macice. Zdaje się, że przewieźli je zwykłymi transportowcami, chociaż zawczasu zlikwidowano jakąkolwiek komunikację z tymi planetami -- kolejny dowód, że Dariana miała sprzymierzeńców na samej górze. Dowództwo sił imperialnych zostawiło na Omedze cały 2. Korpus -- jego zadanie polegało na całkowitym oczyszczeniu planety z Dbigu.

Rzecz jasna, Kappa-1 i Kappa-2 nie są bynajmniej rajskimi planetami; jedynie na Kappie-4 nie trzeba cały czas nosić masek z biofiltrami.

Brygada pogrzebowa zasypywała buldożerami dół, do którego wrzucono ciała zabitych Dbigu. Ostrożnie zdejmowano z martwych ośmiornic resztki pancerza, zbierano leżącą broń i wszystko, co miało jakikolwiek związek z Obcymi. Krzątali się poborowi, ładując do chłodni wybrane przez lekarzy ciała Dbigu z minimalnymi uszkodzeniami -- widocznie zdecydowano, że

badania patomorfologiczne zostaną przeprowadzone w warunkach stacjonarnych.

„Koniec był prosty...” -- powtarzałem w myślach słowa piosenki. „Merona” wzięła kurs na system Kappy, a kurier ze sztabu korpusu przysłał mi pagony porucznika, chociaż awans elektroniczny znacznie wyprzedził resztę formalności. Mój znaczek na taktycznym schemacie brygady wyposażono już we wszystkie odpowiednie prawa i priorytety. Teraz, jak to powiedział sierżant Klaus Maria, „mogłem robić wrażenie na dziewczynach”.

Gilvy się nie pokazywała. Nie chciałem wzywać jej przez kanał służbowy -- uszy operatorów (a raczej operatorek) brygady są zawsze czujne, a po co mi zbędne gadanie? Poza tym ciągle miałem wrażenie, że z boku spogląda na mnie z wyrzutem niewidoczna dla innych Dalka.

„Merona” weszła w długi skok. Po raz ostatni odebraliśmy wiadomości imperialne, standardowo już demaskujące „bezczelne wymysły kłamliwej propagandy buntowników”. Przez cały lot miałem świadomość, że razem z nami wyruszyło w drogę trzydzieści zamrożonych ciał poległych Dbigu.

Wyglądało na to, że zetknęliśmy się z całą rasą biomorfów -- a może byli to jedynie specjalnie stworzeni żołnierze? Coś na kształt „projektu Ruslan Fatiejew”, opracowanego przez moich rodziców, jeśli wierzyć ich słowom?

I co pan teraz robi, panie poruczniku? Panie biomorfie? Dokąd pan pójdzie, do kogo się uda? Wnętrznosci skręcają mi się w zimny, lepki kłębek. Do Vallensteina? Miałem nawet pretekst: „Panie pułkowniku, pozwoli pan, że pogratuluję zasłużonego awansu. Czy mógłbym prosić o kilka minut prywatnej rozmowy? Dziękuję. Muszę się panu do czegoś przyznać. Nie, nie pracuję dla Dariany Dark czy kogokolwiek innego z Federacji. Ja... widzi pan, nie do końca jestem człowiekiem. Stanowię mieszanek człowieka i biomorfa. To pomysł moich rodziców. Są ogromnymi entuzjastami najnowszych technologii genetycznych i postanowili przeprowadzić śmiały eksperyment ze swoim pierwszym dzieckiem”...

Aż się wstrząsnąłem. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby po takim oświadczeniu Vallenstein wezwał sanitariuszy -- trudno uwierzyć w coś tak nieprawdopodobnego bez dowodów. Gdybym tylko mógł wyodrębnić biomorfa z ciała Dbigu... albo chociaż z własnego...

Coś we mnie drgnęło na samą myśl.

Co, biomorfku, nie spodobał ci się ten pomysł? -- warknąłem w myślach na samego siebie. Tylko jak to zrobić, skoro cała imperialna nauka spasowała, nie znajdując niczego w Gilvy?

Stop. Skąd pewność, że nie znaleziono? A może znaleźli, wyodrębnili i teraz spokojnie badają w jakiejś tajnej bazie? A Gilvy odesłano z powrotem do szeregów, żeby mieć ją na oku?

Pokręciłem głową. Nie, nie, to jakieś brednie. Gdyby imperialni znaleźli coś w Gilvy, siedziałyby teraz w dużym zbiorniku, rozkładając świeżo wyhodowane macki. Nie. Nie znaleźli niczego w Gilvy i nie znajdą też w Dbigu.

To znaczy, że muszę pójść do Vallensteina, chociaż na pewno nie będzie to przyjemna ani łatwa rozmowa. Istnieją spore szanse, że wyląduję po niej w klinice dla nerwowo chorych.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

--Bezlitośnie zniszczymy podstępного wroga!

Na planecie Nowy Krym operacja likwidacji przeciwnika, zajmującego Władysybirsk, weszła w fazę końcową. Imperialni agresorzy chępliwie zapewniali o „niedostępności twierdzy

Władysybirsk", twierdzili, że nikt nie zdoła przerwać ich linii obrony. Jednak dla naszej nowej cudownej broni nie ma rzeczy niemożliwych! Niczym miliony milionów zaciekle, dzielnych i nieznanających strachu przed śmiercią bojowników, nacierają stworzone przez naszych uczonych organizmy bojowe. Ich życie trwa krótko, ale przypomnijmy sobie, że za dawnych czasów uczono mądre, wierne człowiekowi psy, aby rzucały się z minami na nacierające czołgi! A w tym wypadku mamy do czynienia z bezmyślną biomasą, która może porazić nie tylko żołnierzy, ale również pojazdy pancerne przeciwnika.

Dzisiejsze wydarzenia dowiodły, jak genialna i przewidująca okazała się Dariana Dark, dając mądre wytyczne rozwojowi prac nad bronią biologiczną! Jedynie dzięki przenikliwości towarzyski Dark odnieśliśmy zwycięstwo pod Władysybirskiem. Pierścień okrażenia został zamknięty i teraz mamy za zadanie wszelkimi siłami i środkami bezlitośnie zniszczyć podstępного wroga. Imperialne rezerwy są ogromne, faszyci mogą zastąpić spalone maszyny nowymi, dostarczonymi z odwodów, ale już wkrótce nie zdołają zapłacić strat w żołnierzach i oficerach. Na planetach, które na razie pozostają w rękach Wilhelma, wśród prostych ludzi z każdym dniem rośnie świadomość, że zostali zwabieni w pułapkę; świadomość, że ich mężów, ojców i synów gna się na rzeź -- w punktach werbunkowych jest coraz mniej ochotników omamionych patriotyczną retoryką. Według danych z kręgów federalnych, Wilhelm przygotowuje rozkaz o powszechnej mobilizacji. Tak zwane „swobody” zostaną ostatecznie odrzucone i pod jarzmem imperialnej służby wojskowej znajdą się miliardy ludzi. Czyżby szalony cesarz uznał, że między żywymi ludźmi a naszymi bezmózgimi potworami z biomasy nie ma żadnej różnicy i można ich spokojnie posłać na śmierć?... Taka decyzja byłaby w pełni zgodna z pełnymi nienawiści do ludzi ideami Imperium, stworzonymi w oparciu o najpotworniejszy z politycznych reżymów ludzkości -- reżym Trzeciej Rzeszy.

I dlatego nie miejmy żadnej litości dla okrażonego nieprzyjaciela! Śmierć jednego imperialnego żołnierza dzisiaj -- to jutro stu uratowanych ludzi, których imperialni żołdacy zagnaliby siłą do maszyny wojennej Wilhelma.

Twardą ręką zniszczymy tych, którzy staną na naszej drodze! Już niedługo na wszystkich planetach Federacji, na których trwa zbrojna walka z imperialno-faszystowskimi agresorami, załopoczą nasze sztandary!

Byłoby jednakże niewybaczalną krótkowzrocznością osiąść na laurach, zadowolić się odniesionymi sukcesami i myśleć, że skończyliśmy już z wojskami imperialnymi. Byłoby to żalosne zarozumialstwo, niegodne wolnych ludzi wolnej Federacji. Nie możemy zapominać, że przed nami jeszcze wiele trudności. Wróg ponosi klęski, ale nie został jeszcze ani rozbity, ani tym bardziej dobity. Będzie wyęczał resztkę sił, aby wygrać, a im więcej klęsk go spotka, tym bardziej będzie go to rozwścieczać. Dlatego nie można dopuścić, by choć na chwilę osłabło przygotowanie rezerw! Na front muszą iść coraz to nowe oddziały wojskowe, żeby wykuwać zwycięstwo nad nieprzyjacielem. Nasz przemysł, a w szczególności przemysł wojskowy, powinien pracować ze zdwojoną energią. Na front musi napływać coraz to więcej czołgów, myśliwców, wyrzutni raketowych, ciężkich i lekkich karabinów, automatów i amunicji.

Ruszajmy pod sztandarem wolności, aby rozgromić imperialnych agresorów!

Wiadomości imperialne:

--Na planecie Nowy Krym nadal trwa heroiczna walka o miasto Władysybirsk. Nasze bohaterskie oddziały trzymają w rękach linie obrony poza granicami miasta -- mimo

nieustannych ataków przeważających sił powstańców wykorzystujących sytuację spowodowaną podstępny atakiem Dbigu na nasze Imperium. Niezależnie od wysiłków buntowników i wichrzycieli, dzielne wojska imperialne nie dopuszczają do przerwania komunikacji. Rozwścieczeni terroryści raz po raz rzucają na nasze pozycje posłuszne im potwory, jednak dzielni bojownicy cesarza umieją już sobie z nimi radzić.

Klucz do sukcesu to obrona ważnych pozycji!

Walka prowadzona jest nie tylko na powierzchni planety, ale również w przestrzeni wokółplanetarnej. Znaczna większość statków floty imperialnej została wciągnięta w działania bojowe na innych odcinkach i wróg próbuje usunąć nas z tej przestrzeni, by móc bez przeszkód wywozić z Nowego Krymu jego ogromne zasoby rybne. Nasze *Zerströrers**, czujnie pełniące wartość kosmiczną, z powodzeniem im w tym przeszkadzają. „Max Schultz” i „Bruno Heinemann” wykryły startujące potajemnie z planety wahadłowce kierujące się do czekającego na nie transportowca buntowników. Powstańcy próbowali uciekać, lecz ogień prowadzony przez nasze niszczyciele uszkodził silniki ich statku. Flota imperialna zdobyła cały ładunek, co pozwoli na polepszenie zaopatrzenia w żywność naszych wojsk w tym sektorze...

--Panie pułkowniku!

--Wejdz, Rusłanie. Zasuwasz z tymi formalnymi gratulacjami i przejdźmy od razu do rozmowy prywatnej. Bo chyba nie przyszedłeś tu ot, tak sobie?

--Meldując, że nie, panie... Joachimie.

Vallenstein westchnął ciężko, kręcąc szyją w wysokim kołnierzu munduru galowego. Przyjmował gratulacje oficerów brygady w związku z przedterminowym otrzymaniem stopnia pułkownika -- zniszczenie dwóch kompleksów Dbigu pozwoliło flocie imperialnej zmusić statki ośmiornic do odwrotu i umożliwiło jej udzielenie oddziałom naziemnym wsparcia z orbity.

--Wy, Rosjanie, macie zdumiewający dar -- powiedział, podając mi szklankę z wódką -- pojawiania się w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Właśnie postanowiłem odpędzić wszystkie smutne myśli i choć przez chwilę być zarozumiałym junkrem zachwyconym dwiema rozetkami na pagonie, a tu wchodziś ty z wypisanym na twarzy kosmicznym smutkiem... Już ja wiem, że wy, Rosjanie, nie rozmieniacie się na drobne. *Prosit!* -- rzekł i opróżnił szklankę jednym haustem. -- Pij, Rusłanie.

Powoli upilem mały łyk. Nigdy nie lubiłem alkoholu i jego efektów.

--Pańskie zdrowie, Joachimie.

--O tak, już wkrótce zdrowie przyda się nam wszystkim. -- Vallenstein szarpnął staromodny guzik. Zagrały mu mięśnie szczęk. -- Na Kappie jest najprawdziwsza rzeźnia. Uważano wszystkie Kappy za planety tyłowe, bazę postojową. Porządny garnizon, ale „rozwodniony” miejscowymi ochotnikami. Buntownicy zrzucili tam źródła... założę się, że przewieźli je w tajemnicy... a przestrzeń wokół Kappy jest naszpikowana najróżniejszymi stacjami wykrywania. Liczyli na technikę, nie na ludzi... -- Skrzywił się i ze wstrętem odstawił szklankę. -- Nawet nie mogę się upić. Porządny oficer imperialny, walczący o swoją ojczyznę, nie powinien się upijać. Zaraz zacznę grzebać w szufladach w poszukiwaniu antidotum...

--Joachimie, przecież doskonale pan wie, gdzie ono leży.

--Wiem, Rusłanie, wiem. Wzór oficera niemieckiego, prawda? Punktualny i drobiazgowy. Pamiętam, oczywiście. O wszystkim pamiętam. -- Wysunął szufladę biurka, wyjął tabletki, włożył jedną do ust, popił wodą. -- Za chwilę... Jeszcze minuta i wszystko będzie w porządku.

Czekałem, odwrócony w stronę ściany. Działaniu tej tabletki towarzyszą niezbyt estetyczne grymasy.

--Doceniam twój takt -- rzekł po chwili Vallenstein już normalnym głosem. -- A teraz do rzeczy.

--Tak jest! -- wyrwało mi się i z pewnym przerażeniem pomyślałem, czy przypadkiem i ja nie staję się prawdziwym oficerem imperialnym. -- Panie pułkowniku, proszę mi wybaczyć, ale

to, co zaraz powiem, może się panu wydać dziwne, jeśli nie szalone... -- Zamilkłem, obserwując twarz pułkownika.

--Nie sędzę -- odpowiedział spokojnie Vallenstein. -- Znam cię zbyt długo i zbyt dobrze. Poza tym miałem okazję oglądać najróżniejsze przypadki utraty rozumu wśród żołnierzy. Zapewniam cię, że doświadczenia pozazdrościłby mi niejeden psychiatra, może z wyjątkiem lekarzy wojskowych. Wal śmiało. Jak tylko zauważę, że twoje słowa mijają się z moimi kryteriami normalności, natychmiast cię o tym poinformuję.

--Panie pułkowniku... -- Woląłem utrzymywać oficjalny ton rozmowy. -- Nie jestem człowiekiem.

Zdaje się, że Vallenstein spodziewał się całkiem innej wiadomości, na przykład otwartego wyznania, że pracuję dla arcyksięcia Adalberta albo czegoś w tym stylu.

--Nie jesteś człowiekiem... -- rzekł dowódca brygady Tannenberg. -- Nieźle, Rusłanie. Osiągnąłeś swój cel. Mów dalej.

--Jestem mieszaniną człowieka i biomorfa -- rzuciłem i poczułem się, jakbym robił krok w przepaść.

Vallenstein wytrzeszczył oczy i przesunął rękami po biurku w poszukiwaniu szklanki z wodą.

--Zostałem stworzony metodą połączenia ludzkich komórek w środowisku biomorfa. Otrzymany zarodek zaimplantowano kobiecie. Mojej matce.

Vallenstein zakrztusił się wodą.

--Urodziłem się i dorastałem jak wszystkie zwyczajne dzieci Nowego Krymu. Nie wyróżniałem się żadnymi szczególnymi zdolnościami, prócz nieco wyższej wytrzymałości fizycznej, w każdym razie... nic niemożliwego dla człowieka.

--Przepraszam, że ci przerywam... stworzyli cię twoi rodzice? Ojciec i matka?

--Tak, panie pułkowniku.

--Matko Boska. -- Vallenstein westchnął. -- Uważałem... uważałem się za człowieka o szerokich horyzontach, ale coś... coś takiego leży poza granicami mojego rozumienia. Ale... przepraszam, przerwałem ci. Kontynuuj, Rusłanie.

--Resztę o mnie pan wie, panie pułkowniku. Ukończyłem gimnazjum, wstąpiłem na uniwersytet, uzyskałem dyplom z wyróżnieniem. Potem wstąpiłem na służbę imperialną do batalionu Tannenberg...

--Jak rozumiem, nie chodzi tylko o ciebie?

--Tak. Jestem jednej krwi z Darianą Dark i ta... okoliczność wstrząsnęła mną do głębi.

--Ale kto stworzył Darianę? Jej rodzice? -- przerwał mi znowu Vallenstein.

Pokręciłem głową.

--Tego nie wiem, panie pułkowniku. Wiem tylko, że oboje nie jesteśmy ludźmi czystej krwi.

--Dziękuję, że uznałeś za stosowne podzielić się ze mną tą informacją -- powiedział pułkownik niegłęboko, lecz twardo.

--Dzięki mojej podwójnej naturze przeżyłem w reaktorze z aktywną biomasą, którą Dariana karmiła naszymi jeńcami. Jakby szczuła psy na ludzką krew... Dokładnie w ten sam sposób dowiedziałem się, że Dariana jest biomorfem: gdy przeżyła w identycznym zbiorniku, do którego ją wrzuciłem.

--Dlaczego jej nie zabiłeś, Rus? -- Wargi Vallensteina pobladły. -- Jesteś jednym z najlepszych strzelców brygady. Tylko mi nie mów, że spudłowałeś!

--Nie. Ale ona przeżyła mimo dwóch kul w piersi. Możliwe, że obecność biomorfa pomaga jej w znacznie większym stopniu niż mnie... Nie na darmo macice słuchają Dariany.

Przyznaję, że w tej części opowieści trochę minąłem się z prawdą, ale nie chciałem zaznajać Vallensteina ze wszystkimi lirycznymi szczegółami mojego pierwszego spotkania z Darianą.

--Wybacz. -- Vallenstein przesunął dłonią po twarzy. -- Pytania mogę zadawać później. A więc zakładamy, że ty i Dariana nie do końca jesteście ludźmi. Co z tego wynika?

--Stopniowo rozwija się we mnie zdolność wyczuwania biomorfa. Ta umiejętność pojawiła się po jakimś czasie i teraz powoli rośnie. W starciach z Dbigu upewniłem się, że wszyscy oni mają domieszkę biomorfa.

--Wszyscy? -- Vallenstein był wstrząśnięty.

--W każdym razie wszystkie trupy na polu walki, które udało mi się obejrzeć. Oczywiście, z punktu widzenia statystyki nie jest to przekonujący dowód, że wszyscy osobnicy cywilizacji Dbigu noszą w sobie część biomorfa. Możliwe, że zetknęliśmy się z kastą wojskową, ze specjalnie wyhodowanymi osobnikami... Ale dla mnie związek między biomorfami, Dbigu i macicami jest oczywisty.

--Mamy do dyspozycji wystarczająco dużo trupów -- zauważył Vallenstein. Wyglądało na to, że zachowanie zimnej krwi sporo go kosztuje. -- A także pod dostatkiem wykwalifikowanych ekspertów. Pokręciłem głową.

--Panie pułkowniku, ekspertyza nic nie da. Znane u nas metody analityczne nie są w stanie wykryć domieszki biomorfa w ludzkim organizmie.

--Skąd ta pewność? Przecież nigdy nie badano cię pod tym kątem!

--Mnie nie, ale badano innego człowieka, który jest z tej samej gliny, co ja i Dariana...

--Ach, tak? -- Vallenstein zbladł. -- I któż to taki?

--Gilvy Patters -- powiedziałem, czując, że spadam w otchłań.

--Gilvy Patters... Dziewczyna, która przeżyła pod Rojem w czasie naszej pierwszej bytności na Omedze-8...

--Tak jest, panie pułkowniku. Przeżyła, ponieważ Rój rozpoznał w niej „swoją”. Poddano ją wszechstronnym badaniom i niczego nie znaleziono.

--To prawda -- przyznał Vallenstein po chwili milczenia. -- Poddano ją testom w celu wyjaśnienia, czy nie jest zarażona.

--I niczego nie znaleziono -- powtórzyłem z uporem. -- We mnie również niczego by nie znaleziono. Dlatego nie liczyłbym zbyt wiele na imperialnych ekspertów. Dla nich Dbigu pozostaną jedynie trupami poddawany badaniu patomorfologicznemu.

--Ty wiesz, jak wykryć biomorfa?

Pokręciłem głową i Vallenstein znowu zacisnął wargi.

--Gdzie on się może ukrywać w człowieku?

--Sądzę, że pod tym względem przypomina wirus -- odparłem. -- Żeby go odnaleźć, należałoby zbadać cały genom mój albo Gilvy. Szukać absolutnie nowych, nieznanych sekwencji aminokwasów. Możliwe, że nie na poziomie chromosomów, lecz subkomórek.

--Nowe, nieznanne organelle? -- rzekł Vallenstein, chcąc pokazać, że nie jest nieukiem.

--Najprawdopodobniej nie. Nowe organelle można by wykryć za pomocą prymitywnego mikroskopu świetlnego, nie mówiąc już o elektronowym mikroskopie rastrowym. Niewykluczone też, że biomorf jest w stanie kopiować istniejące organelle... Panie pułkowniku, przecież poprzednio stacjonowała z nami na Omedze cała ekspedycja naukowa! Owszem, wpadliśmy wtedy pod Rój, ale czyżby wszystkie wyniki zaginęły?

Po chwili milczenia Vallenstein odezwał się niechętnie:

--Nie wiem. Te informacje zostały utajnione powyżej poziomu dostępu mojego i moich przyjaciół. Co różnym tajnym służbom udało się wycisnąć z tamtego bunkra, wiedzą tylko one. To normalne... Ale mów dalej, Rusłanie, mów dalej. Nie ukrywam, że twoje słowa są bliskie odczuwanej przeze mnie granicy normalności, o której uprzedzałem. Ale ta granica jest tylko moją granicą, spojrzeniem człowieka obciążonego uprzedzeniami. Zdaje się jednak, że wszystko, co do tej pory powiedziałeś, jest tylko wstępem do części najważniejszej, prawda?

Skinąłem głową.

--Do trzech rzeczy, panie pułkowniku. Bardzo proszę, niech pan na razie nie protestuje. Po pierwsze, Dariana Dark może wykonywać zadania jakiegoś centrum imperialnego, w ramach teorii inwazji kontrolowanej i kierowanej opozycji. Po drugie, niewykluczone, że bez pomocy tejże Dariany macice nie mogą startować z planet i dokonywać przelotów międzygwiazdnych. Rozprzestrzenianie ich odbywa się najprawdopodobniej dwiema drogami: dzięki bezpośredniej migracji macic, do których, zdaniem współbojowników Dariany, wszczepiane są antygrawitatory, oraz dzięki kurierom przewożącym na planety zarodniki. I wreszcie, po trzecie, biomorfy atakują „niebiomorfów”, ale nie napadają na swoich. Żołnierze rasy Dbigu są biomorficzni, jeśli można się tak wyrazić. A jeśli właśnie w tym tkwi sedno nakierowanego na nas ataku? Na Omedze-8, jak już meldowałem, Dariana Dark wrzucała naszych żołnierzy do rezerwuaru, twierdząc, że tresuje biomorfy.

--Chcesz przez to powiedzieć, że mamy do czynienia z supercywilizacją biomorfów?

--Nie -- powiedziałem i poczułem tępy, nigdy wcześniej nieodczuwany ból w okolicach skroni. Czyżbym zaczął się denerwować jak panna na wydaniu? No, no... -- Gdyby supercywilizacja chciała zniszczyć ludzkość, po prostu by to zrobiła. Rozumnie i świadomie działa tu jedynie Dariana Dark i Federacja. Dbigu reagowali na nas co najmniej dziwnie. Mam wrażenie, że nikt u nich nie planuje prawdziwej inwazji. Dbigu zachowywali się jak człowiek, który opędza się od ujadającego psa.

--Żeby kopnąć psa, też trzeba przejawiać niejaki talenty -- zauważył z ironią Vallenstein.

--Toteż przejawili, i właśnie „niejaki”.

--Jeśli to nie supercywilizacja, to co?...

Rozłożyłem ręce.

--Nie wiem. Ale biomorficzna natura Dbigu nasuwa myśl, że chodzi o niebiomorficzność ludzi.

--To znaczy, że jakaś niezrozumiała siła pragnie nas zniszczyć tylko dlatego, że jesteśmy inni?

--Właśnie do takiej hipotezy doszedłem, panie pułkowniku. Do jej potwierdzenia jeszcze daleko, ale... Jak się domyślam, przerzucają nas do systemu Kappy i właśnie tam należałoby zdobyć próbki biomorfów do naszych własnych badań.

Vallenstein wyprostował się, w jego oczach błysnął drapieżny płomień.

--Cieszę się, że doszedłeś do tych samych wniosków -- powiedział. -- Moi przyjaciele już dawno zgodzili się, że niezbędne są nam własne informacje. Rzecz jasna, stanowisko dowódcy brygady i stopień pułkownika nie wystarczają, żeby urządzić prawdziwe badawcze centrum polowe, ale zrobię wszystko, co w moich siłach. Co planujesz?...

--Przede wszystkim dowiedzieć się, czy rzeczywiście jestem nietykalny dla Roju. Pamiętam, że na Iwoldze ignorował mnie, co wspaniale pasuje do hipotezy, że Rój nie rusza swoich. Jeśli naprawdę tak jest, chcę zdobyć jak najwięcej próbek materiału wyjściowego. Federacja w swoich przekazach propagandowych utrzymuje, że ich uczeni stworzyli nową broń biologiczną. A jeśli uda nam się zrobić to samo?

--Śmiałe założenie. -- Vallenstein podparł brodę rękami. -- Bardzo śmiało, ale gdyby się udało... cóż, wtedy wszyscy dowódcy zdjęliby swoje ordery i oddali je tobie, Ruslanie.

--Gdybym tylko wiedział, jak to zrobić! Zastanawiałem się również nad tym, jak przekonać dowództwo o biomorficznej naturze Dbigu...

--Jakie to ma znaczenie, Rus? Czy są biomorfami, czy nie, wtargnęli na nasze terytorium, więc inwazja musi zostać odparta. Na razie nie mówi się o globalnym zwycięstwie, ale musimy być gotowi...

--Panie pułkowniku, uderzyć należy nie w Dbigu, lecz w miejsce, skąd przybyły biomorfy.

--Ale może się przecież okazać, że takie źródło nie istnieje -- zaprotestował Vallenstein. -- Może one są przekazywane z jednej cywilizacji do drugiej, niczym półrozumne pasożyty? Skinąłem głową.

--Mало prawdopodobne, ale możliwe, panie pułkowniku. Ale... pozwoli pan, że zadam bezpośrednie pytanie?

--Proszę bardzo, poruczniku, skoro już z takim uporem nazywasz mnie panem pułkownikiem.

--Czy wierzy pan w to, co powiedziałem o mojej naturze?

Vallenstein westchnął ciężko i spojrzał mi prosto w oczy.

--Staram się unikać takich dylematów. Jako oficer jestem zobowiązany opierać się na precyzyjnych i niedwuznacznych informacjach. W przeciwnym razie mogę zawieść i niepotrzebnie narazić życie żołnierzy. Wierzę, nie wierzę... to nie są kategorie, którymi powinienem operować.

--A intuicja, panie pułkowniku?

--Intuicja, poruczniku, nie ma nic wspólnego z wiarą. To jedynie kolejny mechanizm precyzyjnej analizy, oparty o równie precyzyjne, podkreślam, równie precyzyjne informacje. A ty... uznaj, że przyjąłem twoje rewelacje do wiadomości. Masz rację, przerzucają nas na Kappę. Tam wszystko wyjdzie na jaw. I wtedy porozmawiamy jeszcze raz. Jeśli przeżyjemy -- dodał po rosyjsku.

Kosmodrom Kappy-4 powitał nas chaosem i zamieszaniem. Ogłoszono ogólnoplanetarną ewakuację ludności cywilnej, co prawda jedynie kobiet, starców i dzieci; mężczyźni od lat szesnastu do sześćdziesięciu zapisywano do Volkssturmu i tworzone z nich 501. Dywizję Volksgrenadierów.

„Merona” i inne transportowce Tannenberga wyrzuciły na orbicie istne gwiazdozbiory wahadłowców. Na zdjęciach z satelitów widać było wyraźnie skupiska Roju oraz sunące niespiesznie macice.

--Panowie oficerowie! -- Vallenstein miał na sobie kompletny kombinezon pancerny. Tannenberg zakończył lądowanie i ulokowaliśmy się w bylej restauracji portu kosmicznego. Wezwano wszystkich, dowódców kompanii również. -- Nasze zadanie jest proste. Ponieważ Tannenberg najlepiej ze wszystkich radzi sobie w starciach z Rojem, otrzymaliśmy rozkaz, żeby za wszelką cenę utrzymać na Kappie choćby niewielki przyczółek. Z czym jest to związane, dowództwo nas, rzecz jasna, nie poinformowało. Ale co nieco się zmieniło. Do naszych obowiązków należy również zdobycie próbek żywych istot, „źródeł” biomorfów, oraz przerzucenie ich w celu przeprowadzenia badań. Jak wiadomo, instytut na Iwoldze zdążył jedynie rozpocząć badania, znaczna część zebranych próbek zginęła podczas zmiany bazy. Nowy Krym również nie dał zbyt obfitego materiału. Ponadto zostaliśmy zobowiązani do utrzymania kosmodromu. A teraz zastanówmy się, jak najlepiej to wszystko wykonać...

To było absolutnie sprzeczne z duchem armii imperialnej, spadkobierczyni „słynnych tradycji bojowych”.

Projekcja komputerowa pokazywała czerwone, koncentryczne pierścienie Roju, zaciskające się wokół kosmodromu. Takie same pierścienie otaczały największe miasta Kappy. Cienkie zielone kreski symbolizowały pozycje wojsk imperialnych, resztkami sił utrzymujących korytarze do pasów startowych wahadłowców. Kappę zamieszkiwało około czterdziestu milionów ludzi, w najlepszym razie zdążyli wywieźć połowę. Na orbitę wzniosło się wszystko, co tylko mogło się wznieść, a na powierzchni planety pozostały brudne, przesycone ciężkimi izotopami, radioaktywne plamy. Dezaktywacja potrwa ładnych parę lat, jeśli oczywiście w ogóle tu wrócimy i jeśli nie stanie się to, co zdarzyło się na Iwoldze.

Rój nacierał bez pośpiechu, jakby dając ofiarom czas na zebranie się w jednym miejscu. Kosmodrom za naszymi plecami kipiał oszalałą z przerażenia masą ludzi, żandarmeria połowa sortowała uciekinierów, oddzielając mężczyzn, którzy od razu na boku otrzymywali komplet umundurowania, znajome 93-k, i byli zapisywani do Volkssturmu. Rozgrywały się tam takie sceny, że nawet starzy komandosi odwracali wzrok. Niemłode kobiety czepiały się ramion siwych mężczyzn, matkom wrywano z rąk nastoletnich synów, jakby Imperium zawyrokowało, że w starciu z Rojem liczba odgrywa jakąkolwiek rolę.

Rozciągnęliśmy znane jeszcze z Iwołgi siatki, na których tak wspaniale płonęły atakujące nas latające stwory, zamruczały silniki i długa kolumna brygady Tannenberg (już nie desantowo-szturmowej, tylko w ogóle nie wiadomo jakiej) ruszyła, oddalając się od kosmodromu.

--Przynajmniej macie nie umieją strącać pocisków raketowych w powietrzu, panie poruczniku...

--Za to takimi pociskami nie wyrządzisz im żadnej krzywdy, Volfitz.

Batalion majora Möchbaua szedł w awangardzie. W ciągu dnia pokonaliśmy dziesiątki kilometrów, jadąc pojazdami opancerzonymi po pięknych drogach przemysłowego regionu Kappy. Zostawiliśmy za sobą strefy mieszkalne, tonące w zieleni niewielkie domki, teraz opustoszałe i porzucone. Książę -- wilczur, który przyczepił się do nas jeszcze na Iwoldze i wciąż pozostawał przy Mikkim -- wskoczył na pancerz, uniósł leb i zawył przeciągle.

--Czujesz Rój, przyjacielu? -- Poklepałem psa po karku. -- Nie mylisz się...

Książę obdarzył mnie niemal ludzkim spojrzeniem i jakby westchnął.

--Boi się, panie poruczniku...

--Mikki, ile razy mam ci powtarzać, żebyś dał spokój rangom?

--Tak jest, dać spokój rangom.

--Panie por... Rusłanie, mogę o coś zapytać?

--Oczywiście, Jürgen.

Junkra Jürgen Hippera w zadziwiająco krótkim czasie postawiono na nogi i odesłano do plutonu. Przyznaję, że medycyna imperialna robiła na mnie wrażenie. A jednak Changa nam nie oddali...

--Dlaczego podczas walki z Rojem na Iwoldze nie spalili jej po prostu orbitalnymi bombowcami? Rój potrafi strącać szturmowce, ale stratosferycznych Ju-288 potwory nie osiągną.

--Polewano ją napalmem -- wyjaśniłem i wzruszyłem ramionami. -- To dość skuteczne, ale tylko wtedy, gdy Rój skoncentrowany jest w jednym miejscu. A koncentrował się, głównie atakując nasze pozycje. Czy nam się to podobało, czy nie, Jürgen, piechota pełniła rolę żywej przynęty. Mam nadzieję, że tym razem uda się powtórzyć ten trik i Rój zajmie się nami, a nie cywilami.

--Ale, Rusłanie... przecież jedyne, co do tej pory robimy, to wycofywanie się -- odezwał się Volfitz. -- Jak taka taktyka może doprowadzić do sukcesu?

--Nie przelewajcie z pustego w próżne -- osadziłem go. -- Nasz pluton stanie się murem, tak jak staliśmy pod Peenemünde i spalimy tyle stworów, że w końcu się zatrzymają. A jeśli uda się zniszczyć również macicę, pozostanie nam wykrycie wszystkich źródeł, które pewnie właśnie teraz rozpełzają się po rozmaitych zakątkach Kappy. Wszystko jasne?

Po tej tyradzie poczułem się prawdziwym oficerem Jego Wysokości Cesarza. Volfitz stropił się i zaczerwienił.

--Ależ, panie poruczniku, ja nawet przez chwilę nie wątpiłem w ostateczne zwycięstwo! -- powiedział szybko.

--Nikt w to nie wątpi! -- przytaknął pospiesznie Jürgen, nie mając zamiaru ustępować Volfitzowi pod względem patriotycznego oddania.

Wymieniliśmy z Mikkim porozumiewawcze spojrzenia.

--Taktyką już ci wyjaśniłem -- zwróciłem się do Volfitza spokojniej. -- Punkt pierwszy, ewakuacja cywilów. Punkt drugi, oddziały kadrowe ściągnają na siebie jak najwięcej stworów i niszczą je w bliskiej walce, z użyciem wszelkich dostępnych środków... w tym również, i tu masz rację, bombowców stratosferycznych. Punkt trzeci, niszczymy macice. To trudne, ale możliwe, w końcu niszczyliśmy je już na Iwoldze! O źródłach też już mówiłem. Co w tym niezrozumiałego?

--Tylko jedno: czemu ten piękny plan nie zdał egzaminu poprzednim razem? -- mruknął Volfitz i przerażony własną śmiałością skulił się, chowając głowę w ramiona.

--Wtedy dopiero uczyliśmy się walczyć z Rojem. -- Wzruszyłem ramionami i przerywając rozmowę, podniosłem do oczu lornetkę. Junkrzy od razu umilkli; widok dowódcy kompanii, wpatrującego się w ciemniejący horyzont, nadal budził w nich drżenie.

Noc zastała nas na skraju dużego lasu. Kappę-4 od dawna poddawano terraformowaniu ze względu na sprzyjające warunki, odpowiednią atmosferą i glebę. Organizmy endogeniczne, charakteryzujące się podwyższoną szkodliwością dla człowieka, zostały zlikwidowane, nagie równiny obsadzono ziemskimi drzewami. Ksenobiolodzy wołali o pomstę do nieba i urządzali

pikiety pod pałacem cesarza (rzecz jasna, zgodnie z ustawą o wyrażaniu niezadowolenia przez poddanych Imperium), ale wskórać cokolwiek mogli jedynie w przypadku niedawno odkrytych planet. Z Kappą nie dało się już nic zrobić, ziemskie formy życia nacierały, wypierając miejscowe gatunki.

Mój monitor dowódczy bez żadnych kodów i dostępu pokazywał wirujące w odległości dziesięciu kilometrów czerwone chmury: to krążyły, wykonując jakiś nieznaną rytuał, tysiące stworów Roju. Nie potrzebowałem zresztą żadnych monitorów, po prostu czułem to wirujące plugastwo. Szkoda tylko, że wydawanie poleceń jest łatwiejsze przez komputer.

--Ruslanie! -- Usłyszałem w słuchawce głos dowódcy brygady.

--Słucham, panie pułkowniku!

--Co mówi twoja intuicja?

--Rój rozpocznie atak... -- Zmrużyłem oczy, usiłując wsłuchać się w chór milionów dziwnych, dzikich głosów, których ludzki słuch nie potrafił odebrać --...za pół godziny. Jeśli rzeczywiście chcą nas wesprzeć artylerią albo bombowcami, to jest najlepszy moment. Za piętnaście minut zaczną się rozlatywać, ponownie skoncentrują się dopiero wtedy, gdy złapią nas za gardło.

--Zrozumiałem. -- Vallenstein przełączył się, widocznie wydając rozkazy i po chwili odezwał się znowu: -- Kompania ma przywarować i nie podnosić głów, dopóki bóg wojny nie umilknie.

--Padnij! -- Kompania wykonała ten rozkaz z nieudawanym entuzjazmem. Już wykopano okopy i rowy, naciągnięto sieci, a jakieś szalone palki proponowały, żeby podłączyć je do generatorów; zupełnie Jankesi na dworze króla Artura. Na szczęście oddział techniczny brygady stłumił ten racjonalizatorski pomysł w zarodku.

--Ruslanie, kiedy chcesz... spróbować? -- odezwał się znowu Vallenstein,

--Jak tylko ruszą, panie pułkowniku.

--Mam nadzieję, że ruszą wyłącznie resztki.

--Poczuły nas -- powiedziałem. Kierujące Rojem emocje słyszałem równie wyraźnie, jak głosy żołnierzy mojej kompanii. Biomorf we mnie nabierał sił. Do czego to doprowadzi?

--Nie możesz im rozkazywać? -- zapytał szybko Vallenstein.

--Na razie nie, panie pułkowniku. Ale na pewno spróbuję przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Nie uda ci się, zauważył złośliwie mój wewnętrzny głos. Łzesz, osadziłem go, przecież Darianie się udaje, no nie?

--Pułk artyleryjski zaczyna odliczanie końcowe -- poinformował Vallenstein, po czym życzył nam powodzenia i wyłączył się.

Kompania wcisnęła się mocniej w ziemię.

A Rój jakby coś usłyszał. Wirujące nad odległym lasem chmury drgnęły i ruszyły ławą, objęły nasze flanki i pomknęły prosto na nas.

--Obniżyc celownik! -- wrzasnąłem przez kanał dowódczy, ale było już za późno.

Rój zostałby idealnie nakryty -- gdyby nie ruszył się z miejsca. Teraz buszował tam ogień, który błyskawicznie objął trzykilometrowy pas i wzbil się na wysokość dziesięciopiętrowego wieżowca. Wybuchowało tam wszystko, czym dysponowały arsenały imperialne -- z wyjątkiem broni atomowej. Ściana płomieni pochłonęła tylne szeregi Roju, ale reszcie stworów nawet

powieka nie drgnęła (jeśli w ogóle miały powieki). Biegające i latające istoty szły do ataku, a ja błagałem Boga, żeby pod nasz ogień wpadły lemury -- jeśli Dariana Dark przerzuciła je tu, by wsparły biomorfowych wojowników.

Obiecane bombowce nie pojawiły się. Artyleria rozsądnie obniżyła celownik, ale druga salwa również tylko liznęła ogniem „tyły” atakujących, a na trzecią nie starczyło już czasu -- Rój znalazł się zbyt blisko naszych linii.

Weterani walk na Iwoldze patrzyli na tę nadciągającą żywą falę w miarę spokojnie, pamiętając, że największe straty Tannenberg poniósł bynajmniej nie w walce z latającymi i biegającymi stworami.

Zmusiłem się, żeby wstać.

--Panie poruczniku... Ruslan! Co robisz? -- usłyszałem krzyk Klausa Marii.

--Tak trzeba, panie sierżancie -- odpowiedziałem przez indywidualny kanał.

Patrzyłem na zbliżającą się żywą ścianę. Jestem jednym z was. Jesteśmy jednej krwi. Nie ruszycie mnie.

Oczywiście, stwory nie rozumiały słów -- sterowanie Rojem odbywało się prawdopodobnie za pomocą percepcji parapsychologicznej, innymi słowy telepatii -- ale wierzyłem, że powtarzając te słowa, zdołam nastroić się tak, że Rój rzeczywiście uzna mnie za swojego. Pod Peenemünde po prostu ominął mój okop; zobaczymy, czy zignoruje mnie również tutaj.

Nasze pozycje splunęły ogniem w stronę ciemnego chaosu; desant, niczym starożytni bogowie, ciskający gromy i błyskawice, przecinał drogę Rojowi na ziemi i w powietrzu.

Na ziemię spadł prawdziwy deszcz zwęglonych trupków. Jak pod Peenemünde, Rój z rozpędu rzucił się na rozciągnięte sieci, my zaś powitaliśmy go miotaczami ognia. Wyrzutnie rakiet zajęły się większymi, opancerzonymi potworami stąpającymi ciężko po ziemi.

Zdażyłem przeczuć atak gazowy i uprzedzić swoich ludzi piętnaście sekund wcześniej, zanim pękły nabrzmiałe worki na brzuchach stworów. Historia się powtórzyła -- Rój minął mnie z obu stron, nie zwracając na mnie uwagi.

--Działa, panie pułkowniku -- przekazałem Vallensteinowi.

Dowódca brygady nie zdążył odpowiedzieć. Przez ogniste obłoki przedarła się chmara nowych istot i moja świadomość, zrosnięta z biomorficzną istotą, zasygnalizowała: „Niebezpieczeństwo!”

Te bestie przypominały nożyczki ze skrzydłami i szponami. Spadły na nasze siatki ochronne, nie zwracając uwagi na zabójczy ogień, i -- z trudem, ale jednak -- cięły supertrwałą sieć. Potem „nożyce” przeciskały się przez wyciętą dziurę i od razu obrywały, nabój rozpryskiwał ich wnętrzości po ścianie okopu. Ale za nimi już szły następne, które nie spadały na siatkę, lecz wsuwały się pod nią...

Nie udało się zlikwidować wszystkich „nożycowych” potworów. W naszych siatkach pojawiały się dziesiątki i setki dziur.

A Rój nadal mnie unikał, nie zauważał, lekceważył...

Poszły w ruch zapasowe tarcze siatkowe, wycofałem swoich ludzi z okopów, które utraciły wartość obronną, opuszczone przejścia zalewając napalmem. Volfitz krzyczał coś piskliwie, Jürgen kłął, a jego przekleństwa były ledwie słyszalne w nieprzerwanym terkocie strzelaniny. Za pierwszymi hordami stworów latających nadciągały biegające i nasze granaty wpadały prosto w rozdziawione paszcze.

Nie, nie możemy się wycofać. W ten sposób tej bitwy nie wygramy, pomyślałem.

Wynoś się stąd, Roju! Wynoś się! Zawracaj! Nie ma tu nic prócz ognia. Wynoście się tam, skąd przyszlście. Szukajcie waszej macicy! Wynocha, mówię!

Bez efektu. A czego się spodziewałem?

I wtedy przyszła mi do głowy nowa myśl, trzeźwa i spokojna.

Hej, wy! Latające, pelzające, skaczące! Jestem tutaj! Ten, który was nienawidzi. Wasz wróg, który będzie walczył do ostatniego tchu. Wszyscy do mnie! Nawet nie próbujcie skrecać! Słyszycie?! Do mnie! Jestem waszym wrogiem!

W wolną przestrzeń nad moją głową wdarła się bestia, szeleszcząc skrzydłami i wyginając zakończony potężnym żądłem ogon, niczym płaszczka z planety Ziemia. Bestia zawisła, jakby się zastanawiała.

--No, chodź tutaj... -- wysyczałem przez zęby po rosyjsku, wpatrując się czujnie w czarne, nieruchome oczy stwora.

Jakby mnie usłyszał... Drgnął, uchylił się przed kulą i runął na mnie, zygzakując, ale ja jakimś cudem potrafiłem wyczuć, gdzie znajdzie się w chwilę później i trajektoria strzały ze steiera przecięła drogę stwora dokładnie w tym punkcie, w którym powinna. Poleciały mokre strzępy -- dzięki wyprofilowanemu grotowi strzała, przechodząc przez żywe ciało, rozrywa je znacznie dokładniej niż zwykła kula.

Rój jakby usłyszał moje wezwanie i zaatakował ze wzmożoną szybkością -- ale wyłącznie mnie.

Zdażyłem zeskoczyć, siatkowy dach zasunęły już inne ręce. Zobaczyłem Razdwakriaka, który wyszczerzył się i krzyknął:

--Już my im damy, panie poruczniku!

Na uniesionych lufach zatańczyły płomienie. Miotacz ognia z sykiem wypluł ognisty strumień. Nad naszymi głowami rósł lej wciągający coraz więcej stworów i do tego leja walono teraz z naszych skrzydeł, na które Rój przestał napierać.

--Ruslan! -- przebił się głos Vallensteina. -- Co się tam u was dzieje?!

--Ściągam Rój na siebie, panie pułkowniku. Próbowałem nim kierować, ale nic z tego nie wyszło. Zdołałem go tylko nakierować na mnie.

--Rój wycofuje się z frontu przed innymi batalionami. Möchbau prosi o szybkie wparcie, wysyłam czołgi -- rzucił Vallenstein. -- Trzymaj się, Rus!

Jasna sprawa. Nie miałem zamiaru pozwolić, żeby te stwory mnie pożarły, ale napór, z jakim na nas runęły, nie miał sobie równych.

Rój szedł zwartą masą, zasłaniając niebo i słońce, aż zrobiło się ciemno. Każda kula, każdy pocisk znalazł swój cel, wydawało się, że spadające trupy pogrzebią pod sobą kompanię. Teraz nie przedarłby się do nas żaden podnośnik, a przecież wkrótce wyczerpią się nam zapasy amunicji! Broń w rękach moich żołnierzy rozgrzewała się, a Rój nie miał zamiaru osłabiać nacisku. Różne lądowe krokodyle pędziły prosto na serie z cekaemów z taką szybkością i determinacją, jakby spieszyły się do koryta.

Z flank ruszyły czołgi, po drodze rozciągając się tyralierą: wybuchy specjalnych, chyba przeciwlotniczych pocisków kosily Rój (w odległości stosunkowo dla nas bezpiecznej) i na to zagrożenie atakujące stwory wreszcie zareagowały. Od Roju odłączyło się kilka pojedynczych wirów, które otuliły czołgi szczelną zasłoną. Technicy zdążyli przyspawać siatkowe ekrany do

burt i włazów i przez jakiś czas czołgistom z karabinami udawało się oczyszczać pojazdy z nacierającego plugastwa, ale stworów było zbyt wiele...

Zabijaliśmy je, nie opuszczając swoich pozycji. Skoncentrowana horda koszmarnych istot przeszkadzała sobie wzajemnie i chociaż z naszych siatek nie zostało prawie nic, nadal się trzymaliśmy. Dopóki mamy pociski, nie jest źle...

--Ruslan, wycofuję twoich sąsiadów. Lotnicy w końcu raczyli wzbić się w powietrze, zaraz odetną Rój! -- wykrzyknął Vallenstein.

Nie rozumiałem -- jak, gdzie odetną?

--Rój skupił się na was, utworzył prawdziwy parasol, jesteście dokładnie w jego centrum, brzegi Roju atakują tylko czołgi! Szturmowce przeczyszczą te miejsca napalmem, gdy tylko twoi sąsiedzi się wyniosą!

--Amunicja na wykończeniu, panie pułkowniku!

--Transportery już wyjechały. Módl się, żeby Rój nie zwrócił na nich uwagi! -- odrzekł pułkownik.

A stworom jakby ktoś podpowiedział, co mają zrobić.

Z trzech transporterów dotarły do nas dwa. Jednemu potwory zdążyły wstrzyknąć do środka jakieś świństwo, w rodzaju koktajlu Mołotowa, jak uparcie nazywano naszą mieszankę zapalającą. Ze szczelin samochodu natychmiast chlusnął płomień, potem wybuchła amunicja. Nie muszę chyba dodawać, że z załogi nie przeżył nikt.

Skrzynki z nabojami przekazywano nam ręcznie -- od rozlanego wszędzie napalmu zapalały się pojemniki. Dzięki tej dostawie mogliśmy znowu strzelać.

Wir Roju nad moją głową gęstniał coraz bardziej. Obok mnie strzelał Razdwakriak niczym prawdziwy komandos, i nawet Klaus Maria nie miałby się teraz do czego przyczepić.

--Trzymaj się, Ruslan, trzymaj się, bataliony Rudolfa i Norberta już do was idą...

Norbert Schramm dowodził trzecim batalionem naszej brygady.

Günter ze swoją wyrzutnią ładował jeden odłamkowy za drugim, nad naszymi głowami wybuchały kłęby białego płomienia, deszcz czarnych trupków gęstniał, ale teraz już nic nie mogło powstrzymać Roju. Nadal utrzymywał surowy szyk bojowy.

Jakoś tak się złożyło, że do mojego punktu obserwacyjnego zaczęli ściągać „dziadkowie”. Niewielu zostało z tych, z którymi zaczynałem służbę w syberyjskim obozie treningowym -- Dżonamani, Surendra, Makumba-farciarz, Razdwakriak... Teraz to oni, obwieszeni odznaczeniami, prowadzili za sobą nowicjuszy-rekrutów, którymi dowództwo szcudrze zasililo nasze szeregi. Z trudem oderwałem się od Roju i zająłem dowodzeniem, koordynując ogień wszystkich trzech plutonów i kompanijnych wyrzutni raketowych. Pozostałe kompanie utworzyły nad nami parasol. Już za chwilę miały włączyć się do akcji próżnujące na flankach dwa bataliony Tannenberg, nie milkła artyleria brygady i tornado Roju rozrywały w górze pociski wypełnione tysiącami strzałek. Teoretycznie te strzałki nie powinny przebijać naszych pancerzy, ale, jak wiadomo, ładnie wygląda to tylko na papierze...

Właściwie potrzebowaliśmy głównie amunicji. Vallenstein musiał wycofać czołgi -- powolne maszyny oblepił żywy dywan stworów, niektóre z nich przecinały siatki ochronne i powodowały wewnątrz czołgów eksplozje. Znowu okazało się, że piechota poradzi sobie lepiej niż ciężkie pancerne mastodonty.

Trzy razy przedzierały się do nas transportery z amunicją. Broń przegrzewała się i

przestawiała działać, tu i tam Rój przewracał kogoś z naszych i zaczynał się wyścig ze śmiercią. Kto będzie szybszy -- komandos z czaszką na rękawie i miotaczem ognia w ręku czy żywy kombinat chemiczny Roju, zdolny wykończyć każdy pancerz. Przeważnie zwyciężał komandos...

Zaabsorbowany walką nie od razu uświadomiłem sobie, co -- wrzeszcząc z całych sił -- próbuje mi przekazać Vallenstein.

--Kończy się! Rój się kończy! Widać prześwit! Nie jest nieskończony! -- darł się pułkownik przez kanał dowódczy, tracąc właściwą rasie panów zimną krew.

I rzeczywiście. Niebo zasnuwane ciemną, żywą zasłoną nagle się przejaśniło, zwarty strumień niesamowitych istot zaczął się rozmazywać, ale Rój nie miał zamiaru się wycofać. Rzucił na naszą pozycję wszystkich swoich bojowników, a my... a my się utrzymaliśmy. Utrzymaliśmy się tylko dlatego, że Rój skoncentrował się na mojej kompanii (a raczej wyłącznie na mnie) i dwa bataliony naszej brygady mogły swobodnie strzelać do śmiertcionośnego obłoku.

Razdwakriak jęknął i upadł. Mikki upuścił miotacz ognia. Zmęczeni, wyczerpani, padaliśmy tam, gdzieśmy stali, a po nieprzerwanym terkocie strzelaniny nastąpił trzask ognia i jęki umierającego Roju. Nie wszystkie stwory splonęły w powietrzu, niektóre -- drżąc i zataczając się, wlokąc za sobą wyrwane celną kulą wnętrzości -- nadal próbowały dosięgnąć zniechęconych ludzi. Rój nie skupiał się tylko na mnie; obsypane przysawkami macki wyciągały się także do innych żołnierzy, ale im dalej od mojej pozycji, tym poczarne istoty bardziej obojętniały, koncentrując się na własnej agonii. Początkowo nie wierzyłem własnym oczom: w wytrzeszczonych ślepiach skurczonych istot dostrzegłem ból, strach i rozpaczliwą nadzieję. To, co niegdyś uważałem za zwykłą biomaszynę do zabijania, teraz uchyliło zasłony. A może po prostu krzepł mój wewnętrzny biomorf? Co będzie, jeśli pewnego pięknego dnia stanie się silniejszy ode mnie?

Na razie nie miałem czasu na abstrakcyjne rozmyślenia. W końcu byłem dowódcą kompanii i czekało na mnie sto tysięcy spraw, włączając napisanie wszelkich możliwych doniesień i raportów, na przykład wyjaśnienia nadmiernego zużycia amunicji.

--No, co stoicie jak słupy? -- krzyknąłem. -- Ranni niewywiezieni, a ci się gapią jak ciele na malowane wrota! Ruszać się...

--Ruszać się, jeżozwierze dystroficzne! -- podchwycił pan sierżant. -- Słyszeliście, co powiedział pan porucznik?

Wiadomości imperialne:

--Korespondenci Głównej Korporacji Nadawczej donoszą:

Sprężyna się prostuje. Nasze siły zbrojne, walczące z siłami cywilizacji Dbigu, które wtargnęły w granice Imperium, osiągnęły znaczący sukces: planeta Omega-8 została całkowicie oczyszczona z nieprzyjaciela i przeszła pod naszą kontrolę. Grupa filmowa Korporacji działa właśnie w wyzwolonym Neue-Bismarcku.

Na tle ciemnozielonego lasu widać kilka połamanych, przerdzewiałych słupów kolei podwieszanej, do połowy zasłoniętych przez rozrośnięte krzewy. Nawierzchnia niegdyś szerokiej szosy upstrzona jest szczelinami, z których wylania się sprężysta młoda trawa.

--Na miejscu tego lasu jeszcze niedawno mieścił się główny terminal kolei jednoszynowej administracyjnego centrum planety. Ten fragment estakady to wszystko, co zostało z dwudziestu peronów węzła komunikacyjnego. Żelbetowe, aluminiowe i szklane konstrukcje po

prostu zniknęły. Na ich miejscu pojawiły się te właśnie drzewa (widzą je państwo za moimi plecami) -- które wyglądają, jakby miały co najmniej pięćdziesiąt lat. Na planecie nie został żaden dom, ani jedna droga, przestały istnieć wszelkie obiekty, zniszczono wszystko, nad czym koloniści pracowali kilkadziesiąt lat.

Ale Omega-8 znów znajduje się pod naszą kontrolą i nie wątpimy, że ludzie tu powrócą. Niepotrzebne lasy zostaną wycięte, pojawią się nowe farmy, osiedla, miasta, nad którymi, jak niegdyś, załopocze dumny sztandar Imperium, sztandar zjednoczonej rasy ludzi, która będzie szła coraz dalej, aż do granic galaktyki!

W celu skrócenia linii komunikacyjnych oraz usprawnienia operacyjnego kierowania wojskami, dzisiaj nasze oddziały odeszły z planety Nowy Krym. Żeby uniknąć niepotrzebnego rozproszenia koniecznych sił i środków, imperialne kontyngenty wycofano również z planety Szajtan.

Wystąpienie Jego Wysokości arcyksięcia Adalberta przed składem osobowym 502. Dywizji Volksgrenadierów, Berlin, Ziemia:

--*Soldaten!* Dzielni obrońcy tysiącletniej Rzeszy! Wyruszacie na front w ciężkiej chwili. Przeciwnik chwilowo przejął inicjatywę, więc nasze dowództwo, zmuszone do walki na licznych frontach, skraca linie komunikacji, wycofując niektóre oddziały. Nosicie dumne imię volksgrenadierów, tych, którzy dwa wieki temu przybyli bronić ojczyzny i powstrzymali w granicach ówczesnych Niemiec napierającą hordę aliantów, wspaniale uzbrojonych, sytych i świetnie umundurowanych. Nastolatki i starzy żołnierze z I wojny światowej, często w cywilnych ubraniach, niekiedy z samymi tylko saperkami zamiast broni, powstrzymali pancerną hordę Pattonów i Eisenhowerów w czasie heroicznego, ale skazanego na klęskę natarcia w Ardenach. Nasze Imperium również musiało walczyć na śmierć i życie. Wówczas, dwieście lat temu, wasi pradziadowie bili się o to, żeby Europa pozostała wśród narodów cywilizowanych, by nie trafiła do piekła bolszewickiej tyranii. Udało im się to osiągnąć -- czerwony potop zalał jedynie wschodnią połowę kolebki ludzkości. Przez pół wieku narody Europy Wschodniej cierpiały pod jarzmem bolszewizmu, ponosząc niewyobrażalne straty. Ale oto teraz stoimy w obliczu jeszcze strasznieszego zagrożenia, gdy zdrajcy-podludzie zdecydowali się na podły sojusz z Obcymi, bez wątpienia dziećmi Szatana. Biblia nie wspomina o takich rasach jak Dbigu czy Slime. Wyruszacie na nową wyprawę krzyżową, moi dzielni volksgrenadierzy, a za wami podążą inne dywizje! Nasze hasło -- zwycięstwo albo śmierć! Naród aryjski nigdy się nie ugnie przed ohydnyimi potworami. A te potwory o ludzkich obliczach, które współpracują z nimi i nacierają na imperialne miasta są przeznaczone do absolutnej i bezwarunkowej likwidacji, bez sądu i śledztwa, w komorach gazowych!

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

--Przeszliśmy do zdecydowanej ofensywy i przerywając obronę przeciwnika, zdobyliśmy wszystkie administracyjno-gospodarcze ośrodki planety Szajtan. Wzięto do niewoli wielu jeńców, zdobyto sporo sprzętu bojowego. Trwa liczenie zdobyczy. Na planecie Nowy Krym nasze oddziały po upartej i krwawej walce weszły do Władysybirsk, kończąc likwidację otoczonego tam ugrupowania przeciwnika. Całkowicie zlikwidowano 203. Dywizję Piechoty i elitarny korpus Legion Aryjski. Nie pokazujemy jeńców, ponieważ zgodnie ze starożytnym, ale obowiązującym prawem, prawa jeńców wojennych są surowo przestrzegane, w tym również prawo do zachowania incognito. Krwawy imperialno-faszystowski reżym na pewno rozprawiliby

się z rodzinami wszystkich wziętych do niewoli żołnierzy, gdyby tylko ich nazwiska zostały podane do wiadomości...

Oto długo oczekiwany moment -- nasze flagi łopoczą nad Diamentową Górą, największą kopalnią Szajtana, gdzie przez cały ostatni okres gospodarowali okupanci. Imperialni ciemniejscy doprowadzili do stanu nieużyteczności sprzęt, wysadzili w powietrze wszystkie drogi komunikacyjne. Teraz nad rekonstrukcją Diamentowej Góry pracują tysiące ochotników. Są tu również imperialni jeńcy -- dano im szansę, by uczciwą pracą odkupili swoją winę wobec narodów naszej Federacji...

Całe terytorium Federacji jest obecnie wolne od imperialnego jarzma. Nasze dzielne wojska jednak nie ustają w trudzie! Trwają walki o wyzwolenie planet systemu Kappa...

Od wielu dni nie miałem żadnych wiadomości od mojej rodziny, nie wiedziałem nawet, czy jeszcze żyją. Zagrożenie genocydu na jakiś czas minęło -- Dariana Dark nie musiała już uciekać się do ostateczności. Imperialny Sztab Generalny wycofał z Władysybirsk pozostałe dywizje. Nic dziwnego, matce groziły zamienieniem obu planet Kappa w olbrzymi cementarz, trwały zaciekle walki z Dbigu... Legion Aryjski przerzucono do nas, a na Nowym Krymie nie wiadomo co się działo. Łączności oczywiście nie było, jedyne, co udawało się odebrać, to krzykliwe propagandowe przekazy Federacji.

Po naszej walce i pierwszym prawdziwym zwycięstwie nad Rojem Vallenstein wezwał mnie do siebie.

--Gratuluje, poruczniku -- oznajmił uroczyście, ściskając moją dłoń. -- Gratuluje. Sztab Generalny już wysłał relację o zwycięstwie Jego Wysokości Cesarzowi. Rób miejsce na order.

--Jak pan im to wyjaśnił, panie pułkowniku?

--Nie martw się. Nie powiedziałem nic, co mogłoby podać w wątpliwość twoje... lub moje zdrowie psychiczne. -- Uśmiechnął się. -- Z mojego doniesienia mogli się tylko dowiedzieć, że porucznik Ruslan Fatiejew przejawiał prawdziwie aryjskie bohaterstwo, dobrowolnie wychodząc spod osłony i ściągając na siebie uwagę Roju. Dzięki temu osłabił jego napór na innych odcinkach, co pozwoliło skoncentrowanym ogniem z flank doprowadzić do likwidacji całego Roju.

--Panie pułkowniku, jeśli inni spróbują powtórzyć tę sztuczkę, czeka ich spore rozczarowanie.

--No właśnie. -- Vallenstein spoważniał. -- Spodziewam się, że prędzej czy później sztabowcy coś zwęszą, więc przygotuj się na kontrolę. Nasi przyjaciele z tajnej policji też się na pewno pojawią. Mają na ciebie haczyk jeszcze z Zety-5.

--Z Zety-5? Ależ tamten zarzut w ogóle nie miał sensu!

--Zgadza się, ale mogą go wykorzystać. Wspaniała pretekst, żeby urządzić przesłuchanie. Zresztą z tymi typami z bezpieczeństwa wewnętrznego i tak trzeba będzie skrzyżować szpady z powodu Katariny Pojarkowicz.

--Aresztowano ją pod zarzutem szpiegostwa, prawda?

--Prawda. A dokładniej, zatrzymano na skutek sygnału otrzymanego od Gilvy Patters. Nie powiedziałem ci wtedy wszystkiego, ale aresztowanie Katariny było fikcją. Liczyłem na jakieś dowody, gdyby Patters czy trzecia szyfrantka, Brygida Stage, dały nam poważniejsze powody do podejrzeń. Na Katarinę nie udarto się nic znaleźć. Ani w jej rzeczach, ani w programach, z których korzystała, nie odkryto nic podejrzanego. Jedyne, co mamy, to oskarżenia Patters i

zbiegi okoliczności.

--W takim razie prawdziwy agent będzie musiał zacząć działać, przecież pojawiło się zagrożenie dotarcia do Dariany -- zauważyłem. -- Zwłaszcza że zniszczenie Roju jest informacją, której nie może nie przekazać, nawet za cenę wpadki. Na biomorfach opiera się cała kampania Dariany Dark na obu Kappach, więc...

--Pojarkowicz przebywa w areszcie domowym. Żadnych informacji nie otrzymuje, dostępu do aparatury nie ma. A biomorficzna natura Gilvy Patters czyni ją główną podejrzaną... -- rozmyślał na głos Vallenstein.

--A inni? Ze sztabu?

--Teoretycznie masz rację -- przyznał niechętnie pułkownik. -- Ale do Patters prowadzi zbyt wiele nitki... A czy czasem -- spał się nagle -- nie pojawiły się u nas... inne biomorfy? Pokręciłem głową.

--Nie, panie pułkowniku. Wyczulbym je.

--To dobrze. A więc, wracając do Pojarkowicz... tajniacy tylko marzą, żeby wreszcie dobrać się nam do skóry. Katarinę sprawdzano wykrywaczem kłamstw, podobnie jak ciebie, i nic nie wykryto.

--Nie powinni tak ślepo ufać maszynom.

--Nasze szczęście, one faktycznie są ślepe... Uważam, że Patters należy wziąć „na żywcą”: przesłać przez nią informację, która zmusi Darianę do natychmiastowego działania.

--Jaką? Ważne jest przecież to, abyśmy od razu zrozumieli, że jej działania są efektem otrzymanej wiadomości!

--Na przykład informację o naszym zwycięstwie i ogólnym kontrataku wszystkich sił imperialnych na Kappie. A także, że szykujemy się do powrotu na Nowy Krym.

--Kto przekaże nam wiadomość stamtąd?

--Michael. Zapomniałeś o nim? Przez cały ten czas dostarczał nam cennych informacji. A propos, twoi rodzice są cali i zdrowi. Dariana szukała ich, ale bez powodzenia. -- Vallenstein uśmiechnął się. -- Domyślałam się, co musiałeś przeżyć. Nie mieć żadnych wiadomości od krewnych i ani razu nie zwrócić się z prośbą o wyjaśnienie ich losu przez operacyjne kanały!

Skinąłem tylko głową. Pytanie Michaela o los jakichś tam krewnych oznaczałoby dla niego zbyt duże ryzyko.

--Napisałem już tekst notatki. Przekażę ją Patters, każe zaszyfrować i wysłać z dopiskiem: „Pilne!” To rzeczywiście ważna wiadomość, ale dopisku „nadmierzanie pilne, poza wszelką kolejnością” wolę nie umieszczać. To mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Znowu skinąłem głową. I chociaż z uporem odganiałem wszystkie postronne myśli, jedna nie dawała mi spokoju: trzeba za wszelką cenę wyciągnąć Gilvy, nawet jeśli rzeczywiście jest agentem.

--Wracając do Roju... -- Vallenstein uznał temat agenta za wyczerpany. -- Rozumiem, że w pewnym stopniu możesz wpływać na jego zachowanie, czy tak?

--Ale wyłącznie w pewnym, panie pułkowniku. Próbowalem zmusić go do odwrotu i nie udało się. Albo mnie ignorował, albo próbował zniszczyć. Zdołałem stać się jego głównym celem, ale nic więcej.

--Nigdy wcześniej nie mogliśmy o tym nawet marzyć -- zauważył Vallenstein. -- Twoje zdolności rosną, dlatego nie uznaj, że pewnego pięknego dnia...

--Na razie do tego dnia jest jeszcze daleko -- powiedziałem. -- Ale oczywiście powinniśmy wykorzystać tę sytuację i atakować.

--Wydalem już rozkaz. -- Pułkownik skinął głową. -- Nie podejrzanej Patters, lecz nam. Brygada będzie atakować.

Szyfrogram 136

Salim do Bakłana

Brygada Tannenberg osiągnęła pierwszy sukces w starciu z Rojem. Wszystkie biomorfy zostały zniszczone. Dowództwo planuje przerzut brygady na Nowy Krym. Proszę o pozwolenie na natychmiastowe wycofanie się w oparciu o dowolny ze schematów pilnej ewakuacji.

Salim

Szyfrogram 137

Bakłan do Salima

Zezwalam. Proszę podać kod ewakuacji w celu wysłania transportu.

Proszę przyjąć podziękowania za nienaganną służbę.

Bakłan

Szyfrogram 138

Salim do Bakłana

Kod operacji „Omega”. Koniec łączności.

Salim

Szyfrogram 139

Gładiator do Bakłana

Otrzymałem od posłańca wszystkie parametry. Przystąpiłem do wykonywania swoich obowiązków w sztabie korpusu. Kontakty z Aryczykiem i Wściekłym zwrócone Salimowi. Czekam na wytyczne.

Gładiator

Szyfrogram 140

Bakłan do Gładiatora

Przygotujcie się do przekazania wszystkich szyfrów wykorzystywanych przez polowe oddziały korpusu. Nie zajmujcie się bieżącymi sprawami.

Bakłan

Szyfrogram 141

Bakłan do Marszałka, Twardziela i Rybołowa

Za wszelką cenę zorganizujcie brygady Tannenberg. Proszę rozpatrzyć możliwość pilnego przerzutu do brygady nowego agenta z operacyjnych rezerw pierwszej kolejności. Donieście o wykonaniu.

Bakłan

Szyfrogram 142

Bakłan do Lecącego

Zorganizować natychmiastową ewakuację agenta Salima, współrzędne (...) Kod operacji „Omega”. O gotowości zameldować natychmiast.

Bakłan

Szyfrogram 143

Rybołów do Bakłana

Pełna gotowość do wprowadzenia Rosomaka i Głaza, prosimy o sankcję na rozpoczęcie operacji.

Rybolów

Szyfrogram 144

Marszałek do Bakłana

Wprowadzenie Trójzęba i Medei jest niemożliwe na skutek zaostżenia reżymu tajności w dziale kadr. Czekam na wskazówki.

Marszałek

Szyfrogram 145

Twardziel do Bakłana

Wczoraj o 23.40 Olwija i Tangejzer, którzy udali się na kosmodrom, aby wyruszyć do systemu Kappy i dołączyć tam do brygady Tannenberg, zostali nieoczekiwanie zatrzymani przez patrol pod pretekstem rutynowej kontroli dokumentów. Chciano ich tymczasowo zatrzymać aż do wyjaśnienia. Tangejzer i Olwija poczuli się zmuszeni do stawienia oporu. W rezultacie szybkiego kontaktu ogniowego Olwija nie ucierpiał, jednak Tangejzer ma liczne rany klatki piersiowej. Patrol został zlikwidowany. Obecnie Tangejzer znajduje się w naszym szpitalu, jednak operacja skończyła się fiaskiem. Dokumenty Tangejzera i Olwii całkowicie odpowiadały wszelkim normom i posiadały niezbędne kody dostępu. Należy z tego wnioskować, że doszło do przecieku informacji na wyższym poziomie...

Uważam za swój obowiązek po raz kolejny odnotować, że agent Olwija doskonale włada bronią palną.

Czekam na wskazówki.

Twardziel

Szyfrogram 146

Pilne!

Bakłan do Twardziela

Rannego agenta Tangejzera natychmiast ewakuować do mojego miejsca pobytu. Agentowi Olwii należy stworzyć nową legendę we współpracy z Marszałkiem. Proszę również opracować i przedstawić mi sugestie dotyczące wprowadzenia wskazanego agenta. Odwołuję poprzedni rozkaz wprowadzenia Olwii do brygady Tannenberg.

Bakłan

Szyfrogram 147

Poza kolejnością!

Lecący do Bakłana

W wyznaczonym czasie agent Salim nie nawiązał kontaktu. Próby nawiązania kontaktu zakończone fiaskiem. Będę czekał we wskazanym miejscu przez kolejne 48 godzin. Czekam na wytyczne.

Lecący

Szyfrogram 148

Poza wszelką kolejnością!

Bakłan do Lecącego

Natychmiast opuścić system Kappy! Na waszą osobistą odpowiedzialność!

Bakłan

Szyfrogram 149

Bardzo pilne!

Baklan do Gladiatora

Podjmijcie wszelkie środki w celu wyjaśnienia losów agenta Salima, który nie zgłosił się w punkcie ewakuacji, ale wyłącznie w tym wypadku, jeśli uzyskanie informacji odnośnie do tej kwestii nie wyrządzi znaczących szkód waszemu własnemu bezpieczeństwu.

Baklan

Brygada Tannenberg atakowała. Żołnierze z czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami na rękawach nie schodzili z transporterów. Długie kolumny wojsk sunęły po wszystkich drogach, wszędzie tam, gdzie zdjęcia kosmiczne pokazały skupiska Roju i gdzie tkwiły powolne, niedostępne macice. Dowództwo nadal odmawiało pozwolenia na użycie pocisków jądrowych.

Gilvy Patters zatrzymano, gdy pojawiło się pilne wezwanie dla niej do Geheime Staatspolizei. Była „dziewczynka” nie stawiała oporu. Vallenstein oczywiście nie poinformował o tym kontrwywiadu.

--Michael doniósł, że na Nowym Krymie podjęto znaczące kroki w celu wzmocnienia obrony przeciwdesantowej -- poinformował mnie Vallenstein. -- Praktycznie natychmiast po tym, jak przekazałem Gilvy szyfrogram.

--To mógł być zbieg okoliczności -- wyrwało mi się.

Vallenstein spojrzał na mnie uważnie.

--Rus, wiem, że przyjaźniłeś się z Patters, jeśli można tak nazwać kontakty z dziewczyną świadczącą moim żołnierzom usługi seksualne. Ale teraz nie ma już żadnych wątpliwości.

--Jak przekazywała informacje? Gdzie chowała nadajnik? Przecież nie da się wpakować anteny dalekiego zasięgu do walizki.

--Rozsądne pytania. Sądzę, że zatrzymana udzieli nam na nie odpowiedzi.

--A jeśli będzie milczeć? Ucieknie się pan do przemocy, panie pułkowniku?

--Nie zapominajcie się, poruczniku -- powiedział ciężko Vallenstein.

--Przepraszam, panie pułkowniku. Ale nawet jeśli Patters jest agentem...

--Z głowy prawdziwego agenta nie może spaść nawet włos. -- Dowódca brygady uśmiechnął się, rozładowując napięcie. -- Tym bardziej że właściwie nie ma za co jej karać, prócz sakramentalnej zdrady ojczyzny, ale to nam niewiele da. Najważniejsza jest *Funkenspiel*, jak mawiano w dalekiej przeszłości, czyli gra radiowa. Kanał dezinformacji przeciwnika. Taki agent, jeśli zgodzi się współpracować, może uratować tysiące ludzi.

--Nie jestem pewien, czy zgodzi się na współpracę. Jeśli jest bojownikiem ideowym, to prędzej umrze w czasie tortur.

--A żeby do tego nie doszło, Ruslanie, proszę cię, żebyś z nią porozmawiał.

--O czym, panie pułkowniku?

--Mam wrażenie, że nie jesteś jej obojętny -- zauważył Vallenstein. -- Szyfrantki to zespół, w którym sekrety sercowe ciężko utrzymać w tajemnicy. -- Uśmiechnął się.

--Dowódca brygady Tannenberg słucha plotek szyfrantek?

--Czasem trzeba -- uciał sucho Vallenstein. -- I jak się okazało, nie bez korzyści.

Porozmawiasz z Patters, przekonasz ją...

--Żeby przeszła na naszą stronę?

--Otóż to. Ty również nie należysz do rasy panów, więc z tobą będzie jej łatwiej

rozmawiać. Wasza rozmowa będzie nagrywana... powinieneś to wiedzieć.

--Nawet jeśli będziemy rozmawiać o... bardzo intymnych szczegółach?

--Na wojnie nie ma intymnych szczegółów, poruczniku. Rozumiem, że coś czujesz do tej dziewczyny, a więc ją ratuj! Leży u mnie formalne wezwanie dla niej do sztabu gestapo na Kappie, i nie wątpię, że to próba ukrycia agenta. Sądzę, że agentura Dariany działa również wśród czarnych płaszczy. Na wszelki wypadek przygotowałem informację o ranieniu pani sierżant. -- Vallenstein się uśmiechnął. -- Obaj igramy z ogniem, Rusłanie. I jeszcze nie wiadomo, kto ryzykuje bardziej. Wziąłem na siebie większą odpowiedzialność, bo jeśli to wezwanie jest prawdziwe, nie obronią mnie ani pagony pułkownika, ani wysoko postawieni przyjaciele w Sztabie Generalnym. Dlatego tak liczę na ciebie. Katarina Pojarkowicz zostanie zwolniona, to już jasne, przynajmniej dla mnie, że Patters po prostu odsuwała podejrzenia od siebie. Idź do Gilvy, poruczniku. I jeśli ci się uda... -- Vallenstein pokręcił głową. -- Zresztą sam rozumiesz.

--Rozumiem, panie pułkowniku. Ale nadal nie mamy bezpośrednich dowodów, że Patters jest agentem. Kroki podjęte na Nowym Krymie mogły być zbiegiem okoliczności, tym bardziej że informację o naszym zwycięstwie nad Rojem Dariana mogła również otrzymać z innych źródeł.

--To niewykluczone -- przyznał Vallenstein. -- Dariana, jak nieraz mówiliśmy, ma bardzo wysoko postawionych protektorów.

--Ale, panie pułkowniku... wówczas...

--Żadnego wówczas, poruczniku. To Gilvy Patters wydała cię Darianie Dark, Rusłanie. Cud, że w ogóle żyjesz. Sam z trudem w to uwierzyłem... A teraz zezwalam na przystąpienie do wykonania zadania zleconego przez zwierzchnika.

--*Jawohl!* -- zasalutowałem ponuro.

Gilvy trzymali zamkniętą w aresztanckim transporterze opancerzonym -- w wyposażeniu naszej brygady było coś takiego. Ochrona, składająca się z barczystych facetów z ostatniego uzupełnienia, już została uprzedzona.

--Czekamy na pana, panie poruczniku -- powiedział jeden z nich z nowiutkimi naszywkami starszego szeregowego.

Skinąłem głową.

W środku ledwo można się było wyprostować. Małeńka cela, włązy na glucho zaspawane, lampa za drobną i gęstą (nie można wsunąć nawet palca) siatką. W kącie mała kabinka biotoalety, pod ścianą odchylana leżanka. Prócz tego przytwierdzony do podłogi taboret przy odchylanym stoliczku.

Pachniało tu strachem i cierpieniem. Ściany, podłogę i sufit pokrywała rdza, i przelotnie pożałowałem, że nie zagląda tu pan Klaus Maria -- wówczas wszyscy podpadnięci nowicjusze szorowaliby tę celę aż do pełnego blasku.

Gilvy wyglądała jak posąg. Nie zdarto jej pagonów i odznaczeń, musiała tylko zdjąć pas i kaburę, ale wyglądała tak, jakby znęcała się nad nią cała brygada, aż do ostatniego szeregowca.

Na mnie nawet nie spojrzała. Tkwiała gdzieś bardzo głęboko w sobie, jakby nasłuchiwała wewnętrznych głosów.

--Gilvy...

Nie odwróciła się.

--Gilvy! -- Podszedłem bliżej, dotknąłem jej ramienia.

--O... -- powiedziała obojętnie, nie zmieniając wyrazu twarzy. -- Ciebie też tu przysłali?

--Przysłali -- przyznałem się. Nie było sensu zaprzeczać i twierdzić, że znalazłem się tu z własnej woli.

--Po co? -- zapytała Gilvy, nadal siedząc bez ruchu.

--Żeby z tobą porozmawiał.

--Tak szczerze, od serca? A o czym tu gadać, Rus? Aresztowano mnie przez pomyłkę.

Pewnie ta świnią Pojarkowicz postanowiła zwalić wszystko na mnie. Wtedy zdecydowali, że skoro przyszło wezwanie, to oczywiście chcę się ukryć, a samo wezwanie jest fałszywe. Ale gdyby tylko połączyli się ze sztabem mojej firmy, tam by Vallensteinowi wszystko wyjaśnili: kogo należy aresztować, a kogo nie.

Mówiła spokojnie, bez emocji i to, co należało, ale nie mogłem pozbyć się wrażenia, że w jej wnętrzu szaleje burza i że to wcale nie jest solidna pracownica gestapo, fałszywie aresztowana przez frontowego dowódcę brygady, któremu nagle odbiło.

No tak, ale jeszcze nie udowodniono jej winy, przypomniałem sobie. To, na czym opiera się Vallenstein, rzeczywiście może się okazać zbiegiem okoliczności.

--Gil... Oboje nie jesteśmy ludźmi, zapomniałaś?

--Czy można o czymś takim zapomnieć? Przez cały czas myślę tylko o tym -- odezwała się, nadal na mnie nie patrząc.

Czułem jej biomorfa jako masę pozbawioną kształtu, która wyciągała macki do wszystkich arterii, uwiła sobie gniazdo w sercu i przy tym ukryła się znacznie głębiej, niż mogą zajrzeć nasze mikroskopy i cała reszta maszynarii.

--Chciałbym wyciągnąć z ciebie tego stwora... -- Sam nie wiem, czemu z moich warg spłynęło to właśnie zdanie.

--Chciałbyś... Myślisz, że ja bym nie chciała?

--Zacznijmy od samego początku, Gil.

--Dobrze. I tak nie mam tu nic innego do roboty...

--Na pewno nie pamiętasz niczego szczególnego w swoim dzieciństwie? W młodości?

--Rus, już o tym rozmawialiśmy. Niczego takiego nie pamiętam. O planecie ci opowiadałam, to ohydna dziura i gdyby nie Imperium, taka by właśnie została. Sama nosiłabym niewolniczą obrożę... pod warunkiem że bym przeżyła.

Nie to. Nie o tym. Jeśli Vallenstein ma rację, to rozmawiam z bardzo doświadczonym kretem, przeciwko któremu brak jakichkolwiek dowodów.

A może wcale nie z kretem i nie z solidnym żołnierzem tajnych służb? Tylko z Gilvy, która...

--Byłaś ze mną dlatego, że tego wymagało twoje zadanie?

Drgnęła.

--Dariana Dark potrzebowała pilnych informacji? Gil, przecież my cudem wyrwaliśmy się z jej rąk! Gdyby nie tamto bombardowanie, pocięliby mnie na drobne kawałki, póki Dariana by się nie przekonała, że biomorfa nie tak łatwo wyodrębnić, bo to nie bakteria czy wirus. To nie biedna Pojarkowicz, to ty przekazałaś wszystkie dane dotyczące naszego wypadu i Dariana zdążyła przygotować serdeczne powitanie! Byłaś ze mną, a drugą ręką szyfrowałaś wiadomość

dla Dariany!

Milczała, tylko rzęsy jej drżały.

--Przez cały ten czas kłamałaś... Wyobrażałaś sobie, że jesteś Matą Hari?

--Kim? -- zapytała Gil z udawaną obojętnością.

--Była taka jedna... Agentka, tak jak ty.

--Dzięki.

--Za co?

--Że nie nazywasz mnie szpiegiem.

--Nie jesteś szpiegiem. Jesteś biomorfem, tak samo jak ja. Jesteś bronią Roju. W przeciwieństwie do mnie.

Gilvy uniosła głowę.

--A może to ty mnie okłamałaś? -- rzuciła, wykrzywiając pogardliwie wargi. -- Może nie ma żadnych biomorfów, a ja przeżyłam pod Rojem wyłącznie przez przypadek? Przecież mogło się tak zdarzyć!

--Zaraz ci udowodnię. -- Poczulem, jak rośnie we mnie wściekłość. Przecież byliśmy razem. Byliśmy, mimo wszystko, i wydawała się taka szczerą...

Ale ja też się zmieniłem. W końcu musiał być jakiś pożytek z siedzącej we mnie zarazy! Nie zamienię się w pancernego tyranozaura, ale może uda mi się zrobić coś innego...

Spojrzałem Gilvy prosto w oczy. Zrobiłem to intuicyjnie -- nie znałem przecież żadnych tajnych systemów, po prostu stałem i patrzyłem, próbując wygasic wszystkie myśli i emocje, żeby pozostał tylko zew, wezwanie do tego, co żyło w Gilvy, do pasożyta, który tkwił również we mnie. Przecież Dariana o mało nie wzięła mnie pod kontrolę, a to znaczy, że jakieś sposoby mimo wszystko istniały.

--Jeśli we mnie i w tobie istnieją biomorfy -- usłyszałem dobiegający jakby z boku własny głos -- dowiem się, o czym teraz myślisz. Nie odczytam twoich myśli, po prostu je poznam, bo przecież tak właśnie kieruje się Rojem...

Na twarzy Gilvy pojawił się dziwny wyraz, wyglądała, jakby chciała zaprotestować, ale nieoczekiwanie jej ciało zadygotało.

Postać Gilvy przede mną jakby się rozplynęła. Teraz w powietrzu wisiało coś w rodzaju układu anatomicznego z obnażonymi naczyniami krwionośnymi, sercem rytmicznie pompującym krew i drgającymi mięśniami.

Nie wiem, jak właściwie zdołałem wprowadzić się w ten trans. Tak samo jak nie wiedziałem, ile czasu minęło -- i Gilvy, i ja zastygliśmy w bezruchu.

Oczywiście, nie zobaczyłem żadnego biomorfa. Wyczułem jego obecność, widziałem, że tu jest i nieznaną istotą we mnie sięgnęła do swojego przyrodniego brata, pokonując przeszkody słabego ludzkiego ciała.

Ciała, ale nie woli.

A to właśnie ona, ludzka wola, kierowała na odpowiednią drogę złą siłą obcej świadomości. Właśnie ona, ludzka wola, nieznanym mi sposobem (może nie wszystko, co mówią o jasnowidzach, to kłamstwo?) ukazała mi, że Gilvy Patters nie zdradziłaby nic mimo najgorszych tortur.

Szyfrogram. Poprzedni numer, stopień pilności. Dziwaczny pseudonim.

--Baklan... -- powiedziałem głośno i nagle Gilvy zaczęła krzyczeć.

Rzuciło nią o żelazną podłogę celi; ciało wyginało się i prężyło jak w ataku padaczki. Widać doszła do granicy rozpaczy, po przekroczeniu której wyrrywają się na wolność wszystkie ukryte rezerwy. To o tym tak lubią pisać psychologiczne brukowce. Gilvy wyprężyła się, podkulila kolana, a potem nagle wyprostowała nogi, zginając obcasami żelazny pręt, na którym umocowano siedzisko taboretu. Taki cios zmiażdżyłby mi klatkę piersiową.

Podbiegłem i z całej siły przycisnąłem ją do podłogi. Wszystko we mnie płonęło, nigdy wcześniej nie znalazłem takiego uczucia, to nie było zwykle pożądanie, lecz coś innego, absolutnie dzika, niepowstrzymana żądza połączenia się. Przypominało to żywe fale, elementy skomplikowanej biomaszyny śmierci, które nasuwały się na nas pod Peenemünde, a potem tutaj, na Kappie.

Biomorf we mnie wyrrywał się, żeby wypełnić swoje przeznaczenie. W tym celu przecież został stworzony -- aby stać się częścią wielkiej wspólnoty, połączyć się z nią i przestać istnieć.

Na chwilę mój umysł i mózg Gilvy rzeczywiście stały się jedną całością. Poznałem całe jej życie od pierwszej do ostatniej chwili i wiedziałem, że ona dokładnie tak samo odczytała moje. Wiedziałem, dla kogo pracuje, a ona wiedziała, dla kogo ja pracuję, a raczej -- kogo chronię.

Wyczuwałem w Gilvy mój Nowy Krym. Taki, jaki był przed wojną -- czysty, przestronny, gościnnie. Widziałem miejsca, gdzie na bogatych w plankton mieliznach zabawiają się skrzydlate wieloryby; ich wspaniałe skoki w płonącym wieczorną zorzą morzu, gdy wydawało się, że te giganty pływają w oceanie wielobarwnych płomieni; rafy koralowe i kręcące się wokół nich rybki o najbardziej wymyślnych kształtach i barwach... Często lecieliśmy z Dalką na jakąś odległą, niezamieszkaną wysepkę (dziewięćdziesiąt procent naszych wysepek nie było zamieszkanym), zabieraliśmy ze sobą akwalungi, łódkę i nurkowaliśmy aż do szczekania zębami z zimna, aż do skurczów w łydkach, a w światło naszych latarek powoli, majestatycznie wpływały grube morskie krowy, mrużyły oczy, dotykały nas mordami... Te stworzenia odznaczają się wysoką empatią, potrzebują ludzi i ma się wrażenie, jakby przez te miliony lat istnienia planety czekały właśnie na nas. Góry Syberii, ostre, jeszcze młode, niestępione długotrwałymi deszczami i wpływem lodowców, lasy rosnące, zdawałoby się, na skalach, tęcze nad niezliczonymi wodospadami spadającymi do kamiennych czasz... Można płynąć powoli wielkim parostatkim od wyspy do wyspy, bo przecież Nowy Krym nie zna gwałtownych burz, a na horyzoncie niemal zawsze trafi się choć jedna wysepka, nawet jeśli wypłyniesz na chłodne morza dalekiej północy albo południa. Można siedzieć na nabrzeżu Nowego Sewastopola, bez pośpiechu jedząc polzuny w sosie własnym z dwudziestoma czterema ziołami i dwunastoma przyprawami, i patrzeć, jak słońce spada w płonące morze, jak nastaje ciemność i jak fale rozpalają się niezliczonymi ognikami fosforyzujących stworzeń...

A we mnie na zawsze utkwiała ojczyzna Gilvy, jedyna zamieszкана planeta systemu Zeta gwiazdozbioru Żuka, tak niepodobna do Nowego Krymu.

W tamtejszych lasach aż gęsto było od wściekłych bestii, które nie miałyby nic przeciwko spożyciu człowieka na kolację. Ludzi atakowały tam choroby, na które imperialnym lekarzom nie od razu udało się znaleźć szczepionki. Na Nowym Krymie mieszkańcy swobodnie rozpraszali się po całej planecie, na Zecie Żuka, chcąc nie chcąc, trzymali się razem. Bardzo szybko pojawiły się otoczone murami osiedla, potem oddziały ochrony oraz, rzecz jasna, ich dowódcy, którzy, zanim człowiek zdążył okiem mrugnąć, ogłosili się lordami i wprowadzili prawo pierwszej nocy...

Widziałem desant imperialny, który poskramiał samozwańcych władców. Widziałem rodziców Gilvy, którzy nie poddali się i uciekli w lasy, ponieważ to była ich ziemia. I widziałem ich, jak wisieli na jednej gałęzi, gdy spod ich nóg wytracono zbity z bali pomost...

Widziałem też Gilvy, wtedy jeszcze młodziutką dziewczynę, jak kręciła się nocami wokół imperialnych obozów, żeby ukraść coś do jedzenia. I widziałem, jak ją zwerbowano. Szczerze mówiąc, nie musieli się nawet szczególnie starać. Ten sam ruch oporu, którego częścią na zawsze pozostała Dariana Dark, usiłował zorganizować na Zecie powstanie.

Do tego czasu Gilvy Patters (która wówczas nosiła inne nazwisko) miała już na swoim koncie kilku zastrzelonych od tyłu komandosów. Wybrała ją sama Dariana. Czy nieposkromiona przywódczyni brygad międzynarodowych wiedziała, że zdziczała, pragnąca krwi wrogów dziewczynka jest biomorfem? Skąd w ogóle ten biomorf wziął się w Gilvy?

Czułem, że pod tym wszystkim tkwi jeszcze jedna, głębsza warstwa. Ale pamięć samej Gilvy milczała. Rzeczywiście o swojej inności dowiedziała się ode mnie. I rzeczywiście był to dla niej szok.

I naprawdę się we mnie zakochała.

Rozerwanie kontaktu z Gilvy tak bolało, jakby rozciągano mi kości. Leżeliśmy objęci jak kochankowie, oboje ciężko oddychaliśmy, po twarzach spływał nam pot.

Stała mi się przez ten czas bliższa niż siostra, stała się częścią mnie, a ja częścią jej. Podobno taki kontakt zdarza się często u bliźniąt, jednak to, co nas połączyło, było znacznie głębsze. Gdy znasz całe życie człowieka, wszystko, aż do ostatniego dnia, gdy ten człowiek nie ma już przed tobą żadnych tajemnic, zwykle kryteria bliskości przestają mieć znaczenie.

--Tyy... -- jęknęła Gilvy, dotykając mojej ręki. -- Coś ty ze mną zrobił?

--Pokazałem ci prawdę. I poznałem ją sam.

--Ty... ty byłeś przeciwko Imperium? Wysłano cię...

--Błąd. Nikt mnie nie posyłał. To była moja decyzja.

--A twój ojciec?

--Jest moim przyjacielem, ale nie zwierzchnikiem. W odróżnieniu od Dariany Dark.

Gilvy drgnęła i zasłoniła twarz rękami.

--Nie dowiedziałem się tylko jednego: skąd wziął się w tobie biomorf. -- Dotknąłem jej ręki i było to tak, jakbym dotknął siebie. Całkowite połączenie. Jedność w różnicy i różnica w jedności.

--Ja też nie wieem...

--Wiem, że nie wiesz. I wiem, że wiesz, jak dowiedziałem się o tym ja.

Znowu się zjeżyła.

--Ja bym takich rodziców...

--Może ciebie zrobili tak samo.

--Daj spokój -- jęknęła żałośnie Gilvy. -- Nie mówmy o nich. Oni nie żyją. Powieszono ich...

--Widziałem. Tak samo jak ty widziałaś moje życie. Wszystko, nie wyłączając Dalki. Gilvy zacisnęła wargi.

--Nienawidzę tej twojej Dalki. Zazdroszczę jej. Jestem zazdrosna o ciebie...

--Boże, o czym ty mówisz, Gil? Stoimy u progu zagłady ludzkości, a ty...

--Będę o tobie myśleć, nawet gdy zginie cała ludzkość.

--Nie będziesz więcej pracować dla Dariany -- powiedziałem stanowczo. -- Cała ta wojna musi się wreszcie skończyć. Nowy Krym ma swoje porachunki z Imperium, ale macice, biomorfy i ci, którzy wypuścili Rój, są moimi osobistymi wrogami. Rozumiem, że mściłaś się za swoich rodziców. Krwawa wendeta i cała reszta. Nie myśl, że nie rozumiem...

--Jak możesz tak mówić! -- krzyknęła z rozpaczą. -- Jak możesz to rozumieć, skoro twoi rodzice żyją! A ja... a mnie... rodzeństwo wylądowało albo w imperialnych przytułkach, albo w rodzinach zastępczych, nawet nie znają swoich imion! Rasa panów! Niech będzie przeklęta!

Już po wszystkim. Dała się podpuścić. Ważny agent, a teraz się przyznała. Powinna przecież rozumieć, że wszystko jest nagrywane, każdy gest, każde słowo...

--Zagłada Imperium nie wróci ci rodziców, Gil. Będzie oznaczać tylko jedno: że my, ludzkość, przestaniemy istnieć, a zamiast nas będzie Rój. Albo macice. Albo ośmiornice Dbigu.

--Które również są biomorfami.

--Dokładnie. Które również są biomorfami. I ty, i ja jesteśmy potworami, wyjątkami wśród ludzi. Ale może ludzie też są wyjątkami wśród innych cywilizacji? Może Slime również noszą w sobie biomorfy? Kto wie?

--Gwiżdżę na Dbigu i na Slime! -- wrzasnęła Gilvy. -- W nosie mam całą ludzkość, skoro tak ugrzęzła we własnym gównie!

--Ale przecież walczyłaś o to, żeby stała się lepsza -- zauważyłem. -- W przeciwnym razie, jaki był sens pracować dla Dariany?

--Podpucha? -- Popatrzyła mi w oczy. -- Chcesz, żebym sama się przyznała?

--Już to przecież zrobiłaś.

--Ja? Nic podobnego. Wiem, że wszystko jest nagrywane, to przecież oczywiste! Jedyne, co powiedziałam, to to, że moje rodzeństwo jest rozrzucone po imperialnych przytułkach. Mogę przecież pod wpływem emocji pozwolić sobie na niecenzuralną wypowiedź, prawda? Nie ześlą mnie za to na Swaarg. Tym bardziej że to wcale nie dowodzi, iż pracuję dla Dariany!

--Wiem, że dla niej pracujesz -- powiedziałem, nie odrywając od niej wzroku. -- A ty wiesz, dla kogo pracuję ja.

--To wszystko bajki! -- rzuciła, wyraźnie nie dla mnie, lecz dla nagrania, którego, jak się okazało, była świadoma.

--Mogę wyliczyć wszystkich twoich sprzymierzeńców i informatorów. Aryjczyka, Wściekłego, Buszmena, Saharę...

Gilvy przyjęła cios ze stoickim spokojem.

--Najprościej oczernić niewinnych. To tylko twoje słowo przeciwko mojemu. Masz dowody? Może tamci w kasynie wydali za jednym zamachem cały roczny zółd? Powiedzieć można wszystko, ale przedstawić prawdziwe dowody to trudniejsza sprawa!

--Nie muszę nikogo oczerniać -- wyjaśniłem. -- To nasze prywatne śledztwo. Gestapo ani im podobnych nie zamierzamy w to wciągać.

--I co teraz?

--A nic. Kanał przecieku informacji został zlikwidowany. Pozostaje tylko aresztować Gladiatora, szyfranta w sztabie korpusu. To bardzo nieostrożne ze strony waszej centrali, nie powinni podawać takich informacji szeregowemu agentowi...

Gilvy zasyczała, oczy jej się zwęziły.

--Nie masz wyjścia, Gil. Ty wiesz wszystko o mnie, ja o tobie. Ale ja mogę działać, a ty

nie.

--Uniewinniaj mnie -- prychnęła z pozorną bez troską. -- Przecież nie odważycie się rozstrzelać bez sądu i śledztwa oficera imperialnej Służby Bezpieczeństwa! Panu Joachimowi von Darkmoore się to nie spodoba. I nawet protektorzy Vallensteina by mu nie pomogli!

--Dobrze się trzymasz...

--Tania podpucha!

--To nie podpucha. Popatrz na mnie. Przecież też czujesz, czy kłamię, czy mówię prawdę. Popatrzyła na mnie wilkiem, skrzywiła się.

--Mówię prawdę czy nie?

--Skąd mam wiedzieć? -- Gilvy broniła się rozpaczliwie. Chwila słabości minęła, przede mną znowu stał agent, resztką sił trzymający się swojej legendy.

Znowu przysunąłem się do niej.

--Gil, przecież wiesz, że mam rację. Wiesz, chociaż z całych sił próbujesz nie dostarczać mi kolejnych dowodów. A więc postaram się pokazać ci coś innego. To nieprawda, że rasa ludzi jest ci obojętna. W przeciwnym razie zajęłabyś się czymś innym, a nie pracą w wywiadzie Dariany Dark.

--Nie podchodź do mnie! -- wrzasnęła Gilvy, ale ja już chwyciłem ją za rękę.

Drugie połączenie okazało się jeszcze głębsze i bardziej bolesne. W jakiś sposób przypominało orgazm, od którego kręci się w głowie, a w oczach zapalają się gwiazdy.

Tym razem próbowałem pokazać jej moje wizje. Te ze stadami macic w kosmosie, z gigantycznymi żywymi statkami spokojnie lądującymi na powierzchni planet. Te same wizje, które kosztowały mnie tyle bezsennych nocy.

Wpijałem się w Gilvy niczym wampir w ofiarę. Początkowo się szamotała, ale bardzo szybko ucichła. Oczy uciekły jej w głąb czaszki, z uchylonych ust pociekła strużka śliny; ja też traciłem poczucie rzeczywistości. Wizje napłynęły wartkim strumieniem -- teraz nie tylko moje, ale również Gilvy.

...Przede mną otwierał się kosmos. Gilvy płynęła przez atmosferę nieznaną planet, na dole, pośród czerwonych skał, kołysały się ciężkie morskie fale -- tylko zamiast wody była to lśniąca galareta biomorfa. Całe morza i oceany galarety -- jeden wielki reaktor biomorficzny.

To różniło się od moich własnych wizji, w których widziałem planety pokryte od bieguna do bieguna czarną substancją, a nad ich powierzchnią unosiły się macice. Teraz widziałem coś innego. Pewnie właśnie tego należało się spodziewać -- że planet podporządkowanych biomorfom jest wiele, i to rozmaitych, pewnie nawet poszczególne kolonie biomorfów jakoś się od siebie różnią, tak jak różni się Nowy Krym od kopalnianej planety Borg.

Stop, powiedziałem sobie. Myślisz zbyt prostymi kategoriami. Ciągłe masz przed oczami drapieżną cywilizację biomorfów, która postawiła sobie paranoidalny cel: usunąć całe życie w galaktyce, jeśli to życie nie chce im się podporządkować. Dbigu już ulegli (dlatego w każdym z nich czułem biomorfa), a my, ludzie, stoimy murem i dlatego oni...

Bzdura. Fabułka dla gier wirtualnych. Nie ma żadnej złowieszczej cywilizacji. Dla każdej, najbardziej nawet wymyślonej formy życia, nieważne, organicznego czy nie, dwa plus to dwa to zawsze będzie cztery. Już prędzej uwierzę, że biomorfy są pleśnią, pasożytem na skalę międzygwiazdną...

Nie, to też nie tak. Biomorfy wydawały się raczej czymś narzędziem. Dość dziwnie

zastosowanym z naszego punktu widzenia, ale tylko narzędziem.

Biomorf w tej wizji był złożony i niejednorodny. Potrzebował energii, całego mnóstwa energii. Może jego skomplikowane organelle pozwalały mu na przyswajanie światła dziennego i ciepła wnętrza planety, i kto wie, czego jeszcze, może nawet radiacji? W każdym razie żył, wyrzucając z siebie strumienie nowych istot.

To było coś absolutnie obcego ludzkości. Teoretycznie powinno być tak samo obce Dbigu, Slime i lemurom, i wszystkim, którzy funkcjonowali w oparciu o zasady społeczeństwa, może nie do końca jasne, ale pojmowalne. Jednak ten żywy ocean nie był, niestety, rzeczą samą w sobie, nie był filozoficzną abstrakcją, jak w tej pięknej starej powieści, która dawno temu stała się klasyką. On miał swój cel. Żył, żeby produkować żywe statki macic i całe mnóstwo innych, zdumiewających stworzeń. Chyba te macice nie potrzebowały żadnych antygravitatorów; a może to tylko ja nie widziałem, jak je w nich umieszczano?...

Chciałem zobaczyć, czy macice wzniosą się w powietrze, ale wizję przerwał gwałtowny wybuch bólu -- to Gilvy w końcu wyrwała się z moich rąk, odskakując na bok.

Oddychała ciężko, ale była przytomna.

--Widziałeś?...

--Widziałem, Gil. Pokazałaś mi to.

--Żyją tylko po to, żeby pożerać...

--Właśnie. A my znaleźliśmy się na ich drodze.

--Dlaczego, po co? -- Głos jej drżał. Jeszcze chwila, a się rozbeczy...

--Nie wiem. Nikt tego nie wie. Skoro do dziś nie potrafimy zrozumieć wielu naszych zwierząt, skoro kształtowanie się zachowań mrówek do tej pory jest dla nas tajemnicą, to co możemy powiedzieć o czymś tak zupełnie obcym?

--Niezupełnie obcym! -- Po ciele Gilvy przebiegł dreszcz. -- Nie może być zupełnie obce, skoro tkwi w nas...

--Słusznie. Podstawa nie jest obca, ale to, co z niej powstało... Dobrze. Czy teraz nie będziesz już protestować?

Zamiast odpowiedzi spuściła głowę.

--Czego ty ode mnie chcesz, Rus?

--Żebyś zrozumiała, że praca dla Dariany Dark oznacza teraz działanie przeciwko ludzkości. Wybacz ten patos.

--Imperium ma niby być lepsze? Imperium, które praktycznie uprawomocniło handel niewolnikami, które...

Uniosłem dłonie.

--Daj spokój, Gil. Imperium daleko do ideału, ale...

--Ale musimy wszyscy się zjednoczyć wokół Jego Wysokości Cesarza? -- zadrwiła. -- Znamy, słyszeliśmy! A potem za dobre zachowanie Nowy Krym uzyska autonomię i wreszcie będzie można wyrzucić z tej waszej ślicznej planetki wszystkich brudnych przesiedleńców, którzy zanieczyszczają złociste plaże, tak?

--Kiedyś pragnąłem właśnie czegoś takiego, oprócz tego kawalka o przesiedleńcach, ale teraz...

--Teraz ratujesz wszechświat?

--Jeden człowiek nic nie zdziała. Możemy jedynie podzielić się tym, co wiemy. Przekonać

pozostałych. Na przykład Vallensteina.

--Przekonać o czym?

--Że należy uderzyć nie w Rój czy w Dbigu, którzy wylądowali na naszych planetach.

Trzeba dotrzeć tam, skąd przybyły macice.

--I co mielibyśmy tam robić? -- spytała cicho Gilvy. -- Ile jest tych planet? Dziesiątki? Setki? Tysiące? Jak je odszukać, a jeśli już je odzyskamy, co z nimi zrobić? Bombardowanie orbitalne? A jeśli na drodze staną nam Dbigu, Slime albo jeszcze ktoś inny?

--Nie znam odpowiedzi na to pytanie, Gil. Ale teraz nie zostawię nas już w spokoju. Nawet jeśli Imperium poradzi sobie z Federacją, to...

--I co -- przerwała mi -- bardzo byś się cieszył ze zguby Federacji?

--Wcale. Wiesz, że wtedy zginęłyby tysiące niewinnych ludzi... w najlepszym razie. Trzeba przerwać tę walkę.

--Strateg się znalazł! -- prychnęła Gilvy. -- Zapomniałeś, gdzie prowadzimy tę rozmowę? W celi! Bardzo możliwe, że niedługo sam się tu znajdziesz.

--Chodźmy do Vallensteina -- powiedziałem. -- Pułkownik ma przecież różne kontakty. Nie ma sensu uganiać się za pojedynczymi macicami.

--Już to mówiłeś. W jaki sposób chcesz odszukać te planety?

--Dzięki twojej pomocy. Oczywiście, dobrze byłoby znaleźć jeszcze kogoś... podobnego do nas, ale to już byłby luksus. Wprawdzie Dariana też ma domieszkę biomorfa, ale obawiam się, że nie pała chęcią nawiązania takiej współpracy.

--Dzięki mojej pomocy? To znaczy jak?

--Możemy zobaczyć te planety, wyczuć je. One przyciągają nas do siebie i...

--I sądzisz, że tak po prostu przyciągną nas do siebie przez podprzestrzeń?

--Dopóki jesteśmy tym, kim jesteśmy teraz -- wykrztusiłem te słowa z trudem -- nie przyciągną. Ale jeśli damy naszym biomorfom więcej władzy...

--Co masz konkretnie na myśli? Wyhodowanie macek? -- Gilvy uśmiechnęła się cynicznie. Popatrzyłem na nią i jej uśmiech stopniowo zgasł.

--Dlaczego... -- powiedziała ochryplym głosem. -- Co ty wymyśliłeś? Nie chcę, słyszysz? Nie chcę i nie będę!

--Nikt nie będzie pytał nas o zdanie, Gil. Czy to, co stało się przed chwilą, niczego ci nie dowiodło?

--A czego mi miało dowieść?! -- wrzasnęła.

--Im więcej jest tu Rojów, macic i biomorfów, tym silniejsze staje się to, co w nas tkwi, tym mocniej nas zmienia, nie pytając o naszą zgodę. Przybyły Dbigu i nasze biomorfy zareagowały... Hej, hej, Gil!

Dziewczyna kołysała się jak w transie, obejmując głowę rękami.

--Stanę się taka... taka jak one? Rus, powiedz, że nie, powiedz, że to nieprawda!...

Co mogłem powiedzieć?

--Oczywiście, że nie, Gil. Tego możesz być pewna.

Nawet udało mi się przy tym nie zaczerwienić.

--Pani Gilvy Patters -- powitał nas Vallenstein. -- Jak rozumiem, ma mi pani coś ważnego do zakomunikowania?

--Pozwoli pan, że ja odpowiem, panie pułkowniku. Nigdy więcej nie dojdzie do przecieku

informacji z naszej brygady. Ręczę za to.

--Nie dojdzie? -- Vallenstein spojrzal na mnie ostro. -- Dziękuję, poruczniku, ale wolalby bardziej ważkie gwarancje.

--Gilvy nie puściłaby pary z ust -- powiedziałem. -- Prędzej wyzionęłaby ducha podczas przesłuchania, niż powiedziała choć słowo. Ale zdołałem ją przekonać, że...

--Słyszałem. -- Dowódca Tannenberg skinał głową. -- Do tej pory mróz mi chodzi po kościach na samo wspomnienie pańskich metod, poruczniku. Pani Patters... chciałbym pani coś powiedzieć. Przede wszystkim proszę pozwolić, że wyrażę mój podziw i szacunek dla tak wspaniałego pracownika operacyjnego. Przekazywała pani swojej stronie cenne informacje, a nasi kontrwywiadowcy nie zdołali pani wykryć. Chylę czoło przed odwagą i sprytem wroga, żałuję tylko, że nie pracowała pani z nami, lecz przeciw nam. Jednocześnie pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że ta sytuacja ulegnie zmianie... Imperium i Federacja mają teraz wspólnego wroga. Prawda, poruczniku?

--Tak jest. Nawet jeśli Darianie wydaje się, że kontroluje macice...

--Przepraszam, panie pułkowniku -- powiedziała cicho Gilvy, patrząc Vallensteinowi w oczy -- ale Dariana Dark rzeczywiście kontroluje macice. I nic mi nie wiadomo o ustaniu tej kontroli. Wydarzenia na Kappie są tego najlepszym dowodem.

--Zniszczyliśmy jeden Rój -- przypomniałem -- a teraz przeszliśmy do ataku. Nie widzę powodu, abyśmy nie mieli odnosić kolejnych zwycięstw. Gotów jestem wystąpić w charakterze przynęty.

--A jaki to ma związek z kontrolą? -- zapytała złośliwie Gilvy. Chyba już zdążyła odzyskać pewność siebie.

--Bezpośredni. Nie tylko Dariana, ale i my możemy kontrolować Rój, choć, oczywiście, w mniejszym stopniu.

--Przepraszam, ale z twoich słów zrozumiałam, że macice mogą w każdej chwili wyrwać się spod kontroli Dariany...

--I dobrze rozumiałaś. Rój ma swój własny rozum, jest, jeśli można się tak wyrazić, nie w ciemną bitę, i nawet jeśli plany Dariany wezmą w łeb, macice i tak wykonają zleczone im zadanie. A oboje wiemy, Gilvy, co im zlecono.

--Ach, tak? -- Vallenstein drgnął. -- I jakież to zadanie, Ruslan? Dlaczego nie wspomniałeś o nim wcześniej?

Pokręciłem głową.

--Panie pułkowniku, melduję, że zrozumiałem to dopiero teraz, gdy mój biomorfi i biomorfi pani Patters zaczęły... ze sobą współdziałać.

--Co to za zadanie? -- Pułkownik niecierpliwie zabębnił palcami w stół. -- Szczegóły może pan pominąć.

--Likwidacja ludzkości -- odparłem.

--Tak po prostu? -- zapytał dowódca Tannenberg. -- Nie ma co, gotowy pomysł na grę wirtualną. A nie padło przypadkiem wyjaśnienie, w jakim celu?

--Gdyby padło... -- mruknęła Gilvy. Jak na zdemaskowanego agenta trzymała się całkiem nieźle.

--Nic więcej nie wiemy, panie pułkowniku. Dla tych istot to imperatyw kategoryczny, a one nie potrzebują niczego więcej. Ale kto im zlecił takie zadanie...

--Tego właśnie musimy się dowiedzieć -- dokończył Vallenstein oficjalnym tonem. -- A następnie podjąć odpowiednie kroki w celu udaremnienia tego przedsięwzięcia. Czy wiecie, skąd przychodzą macice? Gdzie są ich planety, bazy?

Jego oczy lśniły niczym czujniki na bloku naprowadzania.

Popatrzyliśmy z Gilvy na siebie.

--Nie, panie pułkowniku, nie wiemy. Ale... jest pewien sposób wykrycia ich, można spróbować to zrobić. Nie obejdzie się jednak bez dobrowolnej pomocy pani Patters.

Vallenstein utkwiał wzrok w Gilvy.

--Gilvy, rozumiem, że walczyła pani z Imperium z powodów ideologicznych, ale...

--Imperialne oddziały karne zamordowały jej rodziców, panie pułkowniku.

Oczy pułkownika zmieniły się w dwie bryłki lodu.

--To się zdarza -- powiedział zdrętwiałymi wargami. -- Zdarza się. Giną niewinni ludzie... Bardzo mi przykro.

--Moi rodzice nie byli niewinni, panie pułkowniku -- powiedziała z godnością Gilvy. -- Na mojej ojczystej planecie, jako bogaci posiadacze ziemscy, bronili swojego stylu życia. Nie próbuję dociekać, czy mieli rację, czy nie, bo to moi rodzice. Skazani bez sądu i śledztwa.

--Bardzo mi przykro -- powtórzył Vallenstein. -- Ale Rusłan twierdzi, że nie możemy się obejść bez pani udziału. Nie będę wygłaszał pompatycznych przemówień i odwoływał się do uczuć patriotycznych. Powiem jedno: jestem gotów zagwarantować pani nie tylko życie, ale i wolność. Jeśli, rzecz jasna, uda nam się przeżyć i ród ludzki będzie miał okazję skosztować owoców tej wolności.

Gilvy uniosła głowę.

--To prawda, potrzebuję wolności i nie wzgardziłabym również dorzuconym na dokładkę życiem -- powiedziała drwiąco. -- Ale pan, pułkowniku, nie może dać mi żadnych gwarancji. Jest pan tylko dowódcą brygady, oficerem armii z kontaktami w Sztabie Generalnym.

--Musi pani uwierzyć mi na słowo, pani Patters. Nikt z nas nie ma wyboru.

--Człowiek zawsze ma wybór, panie pułkowniku. -- Gilvy uśmiechnęła się czarująco. -- Ja, na przykład, mogę umrzeć, rozgryzając odpowiednią ampulkę.

--Mam szczerą nadzieję, że pani tego nie robi.

--Nie zrobię, panie pułkowniku. Ale tylko do chwili, gdy zrozumie, że... Rusłan, powiedz.

--Żeby zrozumieć, skąd przybywają macice -- zaczęłam, siląc się na spokój -- ja i Gilvy musimy dać swoim biomorfoom więcej siły i wolności, a nikt nie wie, do czego to doprowadzi.

--Więcej wolności? Jak? W jakim celu?

--Biomorfy potrafią się ze sobą komunikować. Żebyśmy mogli się dowiedzieć, gdzie znajdują się ich planety, muszą je wyczuć nasze symbionty.

--Z wrodzonej skromności Rusłan przemilczał fakt, że prawdopodobnie nie jest to jedna planeta, pięć, dziesięć czy nawet sto planet -- zauważyła melancholijnie Gilvy. -- Mogą ich być tysiące, a nawet miliony. Czy bohaterska brygada Tannenberg planuje walczyć z nimi w pojedynkę? A może Rusłan Fatiejew wyruszy osobiście do imperialnej stolicy, przekona Jego Wysokość Cesarza o słuszności swojej teorii i stanie na czele *Drang nach Himmel*? A potem w całym Imperium będą stawać pomniki tego bohatera naturalnej wielkości! No, może tylko odrobinę mniejsze od posągów Bismarcka czy Fryderyka Wielkiego...

--Tysiące planet? -- Vallenstein uniósł brew.

--Może nawet więcej, panie pułkowniku. Galaktyka jest ogromna.

--Wobec tego byłbym ci wdzięczny, Rusłanie, gdybyś jednak wprowadził mnie w szczegóły.

Bo na razie wygląda to dość... dziwnie.

--Panie pułkowniku! Gdybym tylko wiedział dokładnie, co należy zrobić i gdzie zadać cios... Na razie twierdzą jedynie, że musimy atakować Rój, i wcale nie po to, by uratować Kappę. I koniecznie musimy rozwijać nasze biomorfy, żeby cokolwiek zobaczyć.

--Przypomnę tylko, że ubezpieczenie wojskowe nie obejmuje usuwania macek, rogów oraz innych nadprogramowych członków. -- Gilvy zażartowała posępnie.

--A co potem?

Nie dziwiłem się, że Gilvy i Vallenstein domagają się ode mnie wyjaśnień. Tylko jak miałem oblec mętne podejrzenia w słowa?

--To, z czym się zetknęliśmy, nie jest ukierunkowaną inwazją powiedziałem, wzdychając głęboko. -- Gdyby tak było, macice i Dbigu postępowałyby zupełnie inaczej, zgodnie z normalną logiką ataku, którą moglibyśmy zrozumieć. Zresztą mówiliśmy o tym niejednokrotnie.

Zastanawialiśmy się również nad tym, czy nie walczymy z supercywilizacją biomorfów. Tak nie jest. Biomorfy to jedynie narzędzie, choć niestety nie wiemy jeszcze, czyje. Podobnie jak nie wiemy, dlaczego to narzędzie wykorzystywane jest w ten właśnie sposób.

--Pseudonaukowy bełkot! -- prychnęła Gilvy.

--Gil, jest tylko jedna możliwość: zdobyć władzę nad Rojem i zmusić te stwory do zabijania sobie podobnych.

--Skąd ten pomysł, Rusłanie? -- zdumiał się Vallenstein.

--I ja, i Gilvy wyszliśmy spod ataku Roju niemal bez szwanku. Ja przeżyłem w reaktorze, z podobnej kąpieli wyszła cało Dariana Dark. Wniosek nasuwał się sam: dla biomorfów swoi to absolutne tabu. A jednak teraz okazało się, że nie do końca. W ostatniej walce Rój chciał mnie zniszczyć, rwał się do tego ze szczególną zajadłością. Nie jest wykluczone, że uda nam się zwrócić te bestie przeciwko sobie.

--Brzmi kusząco -- przyznał pułkownik. -- Ale, jak mówicie wy, Rosjanie, łatwo powiedzieć, trudniej zrobić.

--Dlatego właśnie razem z Gilvy powinniśmy zaryzykować, dać biomorfowi więcej woli w nadziei, że zdołamy kierować nim, a poprzez niego Rojem.

--Przepraszam, ale dlaczego decydujesz za mnie? -- oburzyła się Gilvy.

--Pani Patters, pozwoli pani, że przypomnę...

--Proszę mnie nie straszyć, pułkowniku, mnie już nic nie przerazi. Już umierałam i wracałam z tamtego świata. Wiem, że to wcale nie jest takie straszne, jak próbujecie mi wmówić. Nie macie żadnych argumentów, żadnego sposobu, żeby mnie zmusić. Zabić owszem, ale zmusić? Nie.

Miała absolutną rację.

Rzecz jasna, mogłem zrobić jej wykład o galaktycznej wspólnotcie ludzi. O tym, że nieważne, jakie Imperium, republika czy Federacja włada ludzkością, ważne jest, żeby ludzkość przetrwała. Imperatyw kategoryczny, którego nie da się udowodnić żadnymi konstrukcjami logicznymi. Może z punktu widzenia wszechświata ród ludzki to jedynie irytujące nieporozumienie i w skali kosmicznej będzie znacznie lepiej, jeśli my, ludzie, po prostu znikniemy?

Dobre pytania, na które nawet cały wydział filozoficzny nie znalazłby odpowiedzi. Każdy sam podejmuje swoją decyzję i logika nie ma tu nic do rzeczy. To płynie wewnątrz, jak w korzeniach, które wypuszczają na wiosnę młode pędy imperatywów kategorycznych; one są albo ich nie ma, a jeśli nie ma, to odwoływanie się do wspomnianych uczuć jest niecelowe.

Zdaje się, że Vallenstein tego nie rozumiał. A może stracił panowanie nad sobą.

--Odwołuję się do pani uczuć patriotycznych, pani Patters! W końcu wszystkie nasze rozdźwięki dotyczą wyłącznie szczegółów życia codziennego ludzkości, nie kwestionują jej przetrwania!

--Do moich uczuć patriotycznych należało odwoływać się wcześniej, wtedy, gdy moi rodzice...

Odwróciła się gwałtownie.

--Ale czy naprawdę wszyscy ludzie muszą płacić za to, że... że jeden dowódca przekroczył swoje kompetencje?

--Panie pułkowniku! -- Gilvy wysunęła podbródek i spojrzała mu twardo w oczy. -- Proszę nie tracić czasu. Wybiera pan niewłaściwe słowa.

--A może jednak uznamy, że już znalazłem te właściwe? -- Vallenstein pozwolił sobie na cień bladego uśmiechu.

--A może uznamy, że po prostu cię poprosiłem? Jak przyjaciel... nie, nie jak przyjaciel. -- Położyłem rękę na jej ramieniu. -- Gilvy, ty i ja...

Gilvy się rozpromieniła, co w jej sytuacji wydawało się co najmniej dziwne.

--Właściwe słowa są bardzo proste, pułkowniku -- rzuciła wzgardliwie przez ramię, przytulając się do mnie bez skrępowania. -- Szczerze mówiąc, ludzkość mi wisi. Jeśli o mnie chodzi, może zginąć doszczętnie, skoro taka ma być cena upadku Imperium. Nie możemy być drapieżnikami, bo wcześniej czy później natkniemy się na większego drapieżnika, tak jak stało się teraz. Powinniśmy siedzieć cicho i grzecznie na pupie. Teraz Imperium dostało w zęby, ale to go nie powstrzyma. Pójdzie dalej, bo przecież musi się dowiedzieć, od kogo zarobiło w zęby i jak by mu teraz oddać.

--Gil, zgadzasz się? -- powiedziałem szybko, widząc, że Vallenstein już szykuje się do odpowiedzi, która bez wątpienia byłaby nieznośnie patriotyczną i szowinistyczną przemową, istnym hymnem pochwalnym zdecydowania i zaciekłości rasy ludzi. A przecież już tyle lat temu mówiono o nadstawianiu drugiego policzka...

--Czy się zgadzam? Zgadzam się pójść za człowiekiem, którego kocham w nieśmiałej nadziei, że i on kocha mnie. Licząc na to, że jeśli tylko uda nam się wyjść cało z tej opresji, uciekniemy gdzieś daleko, jak najdalej od wszelkich imperiów i federacji. Rus, dobraliśmy się w korbu maku i jeśli masz rację, to my...

--Faktycznie, nasze dzieci odziedziczyłyby cechy biomorficzne po obydwu rodzicach. -- Trzymałem Gilvy w objęciach, a od zapachu jej perfum kręciło mi się w głowie. Rzeczywiście, dobraliśmy się w korbu maku. Dwa biomorfy, niosące w sobie geny... nie wiadomo, przekleństwa czy błogosławieństwa dla naszej rasy.

Vallenstein rozsądnie milczał.

--Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia, jak w książkach, jak w bajce... -- szepnęła Gilvy i wtuliła się w moje ramię. -- A kochać to znaczy iść za ukochanym człowiekiem, nie prosząc w zamian o nic, nawet o uwagę. Miłości nie można wyblagać, nie można na nią zasłużyć.

Ale wierzę, że jeśli się kogoś kocha, to uczucie powróci rykoszetem. Odbije się, załamie i rozpali żar w tej drugiej osobie. Nic nie mów, obiecaj po prostu, że ze mną będziesz. A wtedy... jeśli powiesz, żebym poszła na czołg z granatem, pójdę bez wahania.

Nigdy u żadnej kobiety, nawet u Dalki, nie widziałem takich oczu. O takich oczach mówi się, że promieniają. Oczy Gilvy lśniły jak diamenty, chociaż ktoś mógłby powiedzieć, że to tylko łzy, zwykła reakcja fizjologiczna.

A biomorf we mnie drgnął nagle, jakby reagując na to rozpaczliwe wezwanie tak bliskiego, a przy tym tak dalekiego współbrata.

--Będę z tobą, Gil. Nie dlatego, żeby kupić twoją zgodę. Po prostu... chcę tego.

W milczeniu przywarła do mnie jeszcze mocniej, zarzuciła mi ręce na szyję i wtuliła twarz w moją koszulę.

--Rus, ukochany... zrobię wszystko, co zechcesz...

W ciągu całej tej romantycznej sceny Vallenstein stał twarzą do ściany i kontemlował niewielki portret Jego Imperatorskiej Wysokości.

--Wobec tego chodźmy, Gil. Gdy pojawi się Rój, będziemy mieli mnóstwo pracy. Panie pułkowniku?...

--Idźcie -- powiedział głucho Vallenstein, nie odwracając się. -- Pani sierżant, zostaje pani zwolniona ze wszystkich swoich dotychczasowych obowiązków. Pani bezpośrednim przełożonym jest teraz porucznik Ruslan Fatiejew. Proszę wykonywać wszystkie jego polecenia tak... tak jakby wychodziły od Dariany Dark. Nie muszę chyba przypominać, że wszystko, o czym była mowa w tych ścianach, musi pozostać tajemnicą. Cieszę się z pani decyzji. To dobrze, że zgodziła się pani współpracować, mniejsza o powody, które panią do tego skłoniły. Pani... uboczna działalność pozostanie tajemnicą dla wszystkich, prócz nas. Ufam pani, Gilvy Patters. Słuszne decyzje mogą czasem wynikać z niesłusznych założeń. Ruslanie, czy już wiesz, co i jak będziesz robił?

--Tak, panie pułkowniku. Powitamy Rój i ściągniemy jego atak na siebie. Nasze zadanie polega na przyciągnięciu stworów i wejściu z nimi w kontakt mentalny. Reszta nie zależy od nas, ale mam nadzieję, że przynajmniej ułatwimy brygadzie zniszczenie jeszcze jednego, i to sporego skupiska biomorfów. Vallenstein skinął głową.

--Brygada i tak dostała rozkaz rozpoczęcia ofensywy. Postaramy się zrobić więcej, niż się od nas wymaga. Jeśli dobrze rozumiem, im więcej biomorfów, tym dla was lepiej?

Kiwnąłem głową.

--Niech pan sobie pozwoli na odrobinę swobody, poruczniku. Dowodzenie kompanią proszę przekazać swojemu zastępcy. Otrzymuje pan dwudziestoczworogodzinny urlop. Wcześniej do Roju nie dotrzemy. Pani sierżant również jest wolna. Sądzę, że dopóki Roju nie ma na horyzoncie... Na pewno macie sobie wiele do powiedzenia.

Miał rację. Mieliśmy sobie sporo do powiedzenia, nawet jeśli dla osoby postronnej brzmiało to jak zwykle jęki.

Gilvy zamknęła drzwi od maleńkiego pomieszczenia sypialnego szyfrantek. Rozpięła bluzę od munduru, rzuciła na podłogę i uśmiechnęła się do mnie promiennie.

--A jednak cię dostałam -- oznajmiła przekornie. -- Poprzedni raz się nie liczy. Dopiero teraz wszystko będzie tak, jak należy.

--Nie stawiaj nam poprzeczek... -- Przyciągnąłem Gilvy do siebie, po raz kolejny w tak

krótkim czasie dziwiąc się jej żarowi. -- Co będzie, to będzie -- Moje ręce spoczęły na jej talii. -- No i co, pokażemy, co potrafimy my, biomorfy, nawet bez macek?

--Pokażemy! -- Roześmiała się. -- No, co tak stoisz? Bez macek nie potrafisz rozpiąć mi suwaka?

Szyfrogram 150

Balkan do Obserwatora

Najmocniej przepraszam, że zakłócam spokój, ale chciałbym pokornie prosić -- jeśli to możliwe -- o wyjaśnienie losów Gladiatora. Po przeniesieniu do sztabu korpusu Gladiator przekazał jedną wiadomość, po czym kontakt został zerwany. Nasze dane nie pozwalają z całą pewnością potwierdzić wpadki Gladiatora, jednak zniknięcie agenta Salima nie pozwala na zignorowanie tego faktu.

Baklan

Szyfrogram 151

Obserwator do Bakłana

Zgodnie z moimi informacjami Gladiator znajduje się w areszcie domowym, pozbawiony dostępu do środków łączności. Zmuszony jestem po raz kolejny zwrócić waszą uwagę na niedopuszczalność uruchamiania tego kanału łączności z takiego powodu. Podjąłem kroki w celu uwolnienia Gladiatora.

Obserwator

Z kosmodromów Kappy-4 powoli wyciągały się, niczym palce, kolumny oddziałów imperialnych. Atakowaliśmy -- nie tak szybko i lekko, jakbyśmy chcieli, ale jednak. W tej wojnie nie trzeba było zajmować miast o znaczeniu strategicznym ani przeprowadzać szybkich operacji okrążenia. Po prostu podążaliśmy tam, gdzie satelity stwierdziły obecność Roju.

Brygada oderwała się od głównych sił. Pokonaliśmy setki kilometrów, nie ukrywaliśmy się, czekaliśmy, aż żadna krwi horda zaatakuje i nadzieje się na nasz skoncentrowany ogień. I Rój atakował. Zapewne brakowało tu Dariany Dark; zresztą, co tam Dariana, w tej sytuacji doskonale poradziłby sobie zwykły sierżant.

Potem zatrzymaliśmy się, okopaliśmy i czekaliśmy. W końcu Rój spadł na nas ze wszystkich stron i wtedy zaczęło się nasze zadanie.

Gilvy bardzo się bała. To nic przyjemnego, czuć nakierowaną na ciebie ślepą, zwierzęcą nienawiść wiszącą nad głową obłoku utkanego z milionów przepojonych żądzą mordy stworzeń...

Staliśmy obok siebie, trzymając się za ręce. W słuchawkach było tylko milczenie ludzi i trzask niezliczonych skrzydeł -- to Rój przygotowywał się do szturm. Nie musiałem się specjalnie wysilać, żeby ściągnąć go na siebie. Biomorfy również umieją nienawidzić -- po swojemu. Twarz Gilvy skrywała się za osłoną helmu, ale wiedziałem, że jest biała jak chusta, a w zaciśniętych wargach nie ma kropli krwi. Ona również czekała. Tylko na co?

Znaliśmy teraz kody Federacji, wszystko to, co wiedziała Gilvy. Informatorzy Dariany siedzieli w areszcie domowym -- Vallenstein nadal nie wciągał do sprawy tajnej policji.

Wiszący nad niedalekim horyzontem Rój w końcu się zdecydował. Miliony żywych istot, które miały umrzeć za kilka chwil, runęły prosto przez nasz ogień, nie zwracając uwagi na wybuchy, deszcz szrapneli i pociski smugowe. Nie żalowaliśmy amunicji -- nie chodziło nawet o wyrządzenie Rojowi poważnych strat, lecz o rozbudzenie w nim wściekłości.

A Gilvy i ja, wysunięci do połowy z wykopanego naprędcy okopu, trzymaliśmy się za ręce i patrzyliśmy na zbliżające się zastępy.

Wróg, pozbawiony bezpośredniego przywództwa Dariany Dark, wydawał się nieco dezorientowany. Rój powinien się zacząć, urządzić zasadzkę w rodzaju tej, która tak wspaniale załatwiła nas na Iwoldze, a on leciał prosto na nasze salwy.

Porośnięte rzadkimi krzakami pole przed nami pokrywały teraz rozerwane, zwęglone, pocerniałe ciała dziwacznych stworów. Z pobliskiego lasu runęła fala biegających stworzeń -- pędziły, żeby jak najszybciej przyłączyć się do swoich skrzydlatych towarzyszy, mknęły na spotkanie własnej śmierci.

Tym razem zebrało się ich znacznie więcej niż tamtego dnia, gdy sam jeden ściągałem na siebie wszystkie latające bestie.

--Co dalej, Rus?! -- krzyknęła Gilvy. Chyba ze strachu zapominała o wszystkich moich wskazówkach.

--Musisz go znienawidzić. Do bólu, do utraty przytomności! Przeklinaj go najgorszymi słowami, jeśli inaczej nie potrafisz! -- krzyknąłem.

Gilvy umilkła, w słuchawkach słyszałem tylko jej ciężki oddech. A potem Rój, jakby zrywając się z łańcucha, spadł prosto na nas.

Moją głowę wypełniły trzask i szelest, jakby miliony głosów mruczały głucho jakieś przekleństwa. Tak mógłby kląć pies, gdyby umiał mówić. Zastępy cięły niebo, celując w nas niczym włócznie i nie zwracając uwagi na otoczenie.

W te właśnie zastępy uderzyła cała artyleria brygady. Przyznaję, że z trudem stłumiłem w sobie pragnienie ukrycia się na dnie okopu, tyle odłamków latało wokół nas. Ale wiedziałem, że jeżeli teraz się położę, zerwę tę cienką nić łączącą mnie z Rojem -- biomorfa we mnie z milionami jego współbraci.

Biomorfa? We mnie? Skąd znowu ten biomorf, o którym myślę jak o odrębnej istocie? Nie ma go, rozumiesz, Rus? Nie ma! To tylko dodatkowe geny w twoich chromosomach czy mitochondrialnym DNA. Przecież w twoim brzuchu nie siedzi żaden wąż! Więc dlaczego zwracam się do niego, jakby był częścią mnie?...

We dwójkę z Gilvy ściągaliśmy Rój na siebie i muszę przyznać, że pani sierżant trzymała się twardo. Żywe tornado, wirujące nad naszymi głowami, przypominało teraz wrzecionowaty element, ze wszystkich stron obrabiany ognistą tokarką. Pozostałe bataliony bez przeszkód strzelały do pozbawionego rozumu straszidła. Nawet nie bardzo jest o czym opowiadać -- przecież nie będę wyliczał, ile razy kleszcze, paszcze czy inne żądła przesunęły się tuż obok naszych głów! Po pewnym czasie człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja i po prostu przestaje zauważać.

Utrzymanie Roju stało się teraz trudniejsze. Na tym poziomie, na którym zrobiłem to za pierwszym razem, byłoby w ogóle niemożliwe. Słyszałem głosy Roju i smagałem go swoją nienawiścią; czułem się tak, jakbym wsuwał w otwartą ranę rozpalony koniuszek noża i w żaden sposób nie mógł -- nie miał prawa -- się zatrzymać. Zakłęcie będzie działać dopóty, dopóki będę czuł ból.

A przecież mieliśmy nie tylko przyciągać stwory do siebie, nie tylko sprawić, żeby szły pod nóż rzeźnika posłusznie jak barany; powinniśmy również zmusić te bestie do walki między sobą! Tylko jak?

Początkowo usiłowałem wyodrębnić jakieś „frakcje” w atakującym nas żywym sztormie, by potem zwrócić je przeciwko sobie. Ale nie udało się to ani mnie, ani Gilvy. Przy całej swojej różnorodności, Rój wciąż stanowił jedną całość i nie było w nim żadnych różnic, nie mówiąc już o antagonizmach. To, co próbowałem zrobić, przypominało zmuszanie prawej ręki do zniszczenia lewej. W tym celu należałoby dostać co najmniej rozdwojenia jaźni, a nie miałem pojęcia, jak doprowadzić do tego Rój.

Biomorf we mnie dostawał powoli kręćka. Wyczuwałem domieszkę cudzych myśli, jeśli aktywność moich komórek mózgowych można nazwać „myślami”. Chaotyczne obrazy przelatowały jeden po drugim, migaly macice, hordy macic, znajome powierzchnie planet, pojawili się nawet Dbigu, którzy też przecież byli częścią Roju.

Zwykła, abstrakcyjna nienawiść już nie wystarczała. Musiałem przywoływać w pamięci najczarniejsze, najbardziej krwawe karty swojej epopei. Zmuszałem się do pamiętania o tym, że Dariana Dark może spełnić swoją groźbę i rzucić posłuszny Rój na bezbronny Nowy Krym, zostawiając przy życiu jedynie przesiedleńców; wspominałem pierwsze pojawienie się macicy na mojej planecie, tamtą poległą dziewczynkę ze śmiesznymi warkoczykami, rozdartą na strzępy przed kamerami -- gdy Dariana Dark potrzebowała zarówno męczenników, jak i efektownych kadrów.

Gdy wszystko się wreszcie skończyło, Gilvy osunęła mi się na ręce, a całą okolicę, jak okiem sięgnąć, pokrywał gruby dywan rozszarpanych ciał. Rój drogo zapłacił za pragnienie zlikwidowania dwójki sobie podobnych.

I chociaż nie zdołaliśmy poszczuć biomorfów na siebie, załatwiliśmy dla Tannenberga kolejne zwycięstwo. Zdjęcie z satelity pokazywało, że przed nami nie ma żadnych aktywnych Rójów, a w zatamowanej zatoce tkwiła w błocie pusta macica. Może starała się wysłać jak najwięcej źródeł, zanim ludzie spalą ją pociskami termicznymi po uprzednim rozbiciu pancerza ciężkimi przeciwpancernymi działami? Teraz z macicą poradziłoby sobie nawet lotnictwo, ba, wystarczyłaby zwykła bateria pocisków uskrzydłonych! Ale najpierw chcieliśmy zerknąć na tego potwora, a Vallenstein na razie nie prosił o wsparcie.

Przyjmowaliśmy gratulacje, ściskano nam ręce, poklepywano po ramieniu... Gilvy uśmiechała się słabo, ja nie miałem sił nawet na to. Spoglądając w głąb siebie, czulem okrzepłego biomorfa, niemal widziałem rosnące macki i przyjemny, ciepły, przytulny roztwór w reaktorze...

Dziś wiedziałem już, że to nie był żaden roztwór tylko jednolity biomorf, a poruszające się w nim macki i węże to narządy wewnętrzne, coś w rodzaju naszego żołądka czy wątroby.

Teraz należało zajrzeć macicy w oczy, których nie miała. Przecież nadal nie wiedziałem, czy umie latać sama, a jeśli tak, to po co tyle zamieszania z zagadkowymi antygravitatorami, których, zdaje się, nikt nigdy nie widział? Vallenstein przez ten czas usiłował uruchomić swoje kontakty, dowiedzieć się, czy armii na Iwoldze udało się zdobyć choć jeden taki aparat (zniszczyliśmy wówczas dziesięć macic), ale nic to nie dało. Danych nie było zarówno w otwartym, jak i w utajnionym dostępie.

--Gratuluję, Ruslanie, pani również gratuluję, pani Patters -- powitał nas ceremonialnie Vallenstein, cały rozpromieniony. Nic dziwnego, walka przebiegła niemal podręcznikowo. Przeciwnik zlikwidowany, żadnych strat własnych, z wyjątkiem trzech rannych. Więcej takich bitew!

--Nie ma czego, panie pułkowniku. Nie udało nam się poszczuć jednej części Roju na drugą.

--A próbowaliście? Może należało zrobić to jakoś inaczej?

Wzruszyłem ramionami, Gilvy prychnęła.

--Niech pan sam spróbuje, pułkowniku -- zaproponowała zjadliwie.

--Proszę mi wierzyć, pani Patters, że zrobiłbym to z radością. -- Vallenstein opanował się. -

- Ale, niestety, nie nadaję się do tego. Pod tym względem nikt nie może was zastąpić.

Gilvy wzruszyła ramionami.

--Przecież nie odmawiam...

--Nie widzę innych sposobów, panie pułkowniku, to znaczy, na razie nie widzę.

Potrzebujemy czasu. Jeszcze kilka walk i może wtedy...

--Kilka walk... -- mruknął Vallenstein. -- Zgodnie z nowymi informacjami, wyłącznie nasza brygada odnosi zwycięstwa, pozostałe przesuwiają się za cenę ogromnych strat. Rój zatrzymuje ich na długo, brygady tracą czas i siły na prace inżynieryjne, a przecież zgodnie z danymi z satelitów ściągnęliśmy na siebie prawie dwie trzecie aktywnych biomorfów! Aż strach pomyśleć, co dzieje się na dwóch innych planetach, na Kappie-1 i 2. Tam trwa teraz prawdziwa jatka, nasi utrzymali się jedynie w rejonie trzech portów kosmicznych. Sporo ludności cywilnej zdążyliśmy ewakuować, ale obawiam się, że zastaniemy tam niejedno pole szkieletów.

--Czyli powinniśmy...

--Panie pułkowniku! -- Nasza tajna narada została bezceremonialnie przerwana. Na progu sztabowego wagonu pancernego stanął Klaus Maria Pferzegentakl we własnej osobie. -- Panie pułkowniku... jest przekaz ze stolicy... Jego Wysokość Cesarz...

Vallenstein rzucił się do pulpitu i wcisnął kilka przycisków.

Wiadomości imperialne

Wystąpienie Jego Ekscelencji arcyksięcia Adalberta, regenta Imperium, transmitowane przez wszystkie kanały Głównej Korporacji Nadawczej:

--Dzielny narodzie wielkiego Imperium! Moi wierni współobywatele! Zwracam się do was w tym krytycznym, przelomowym momencie naszej historii, gdy ważą się losy całej ludzkości! Wojna nie dotarła jeszcze do Wewnętrznych Planet, ale wojenna zawierucha nieubłaganie zbliża się do naszych granic, a nie robi się praktycznie nic, aby powstrzymać to zagrożenie.

Więcej nawet -- podstępni lajdacy na stanowiskach doradców, cieszący się bezgranicznym zaufaniem naszego dobrego i łagodnego władcy, bezwstydnie to wykorzystują. Przez wiele lat ostoja naszego państwa -- rasa panów -- stopniowo się wycofywała. Jej przedstawiciele pod szlachetnymi pretekstami „równości” i „praw mniejszości narodowych” usuwali się z korytarzy władzy. Szczególnie wyraźnie widać to w naszej armii, gdzie niższymi oficerami zostawali uchodźcy o mętnej przeszłości i jak nietrudno się domyślić, o równie mętnych wyobrażeniach na temat honoru, wierności i obowiązku. Drobn, lecz chciwi urzędnicy na odległych planetach, wybierani spośród miejscowej ludności, dokonywali straszliwych nadużyć i zasłaniając się imieniem Imperium, rozkradali budżet, który Jego Wysokość Cesarz z wrodzoną mu dobrocią przydzielał na rozwój tych narodów, które nie osiągnęły wyżyn rasy panów. Oczywiście potem o wszystkie nieszczęścia oskarżano Imperium i jego władcę.

Nasza armia i aparat rządzący uległy osłabieniu przez przybyszów znikąd, właściwe narodowi aryjskiemu porządek, posłuszeństwo i solidność rozplywały się w powodzi wad słabo

rozwiniętych narodów.

Nasze kręgi rządowe i wojskowe pobrażały dążeniom do autonomizacji tak zwanych narodowych planet, pozwalając na istnienie różnych organizacji antyimperialnych, w rodzaju brygad międzynarodowych. I mamy rezultat -- nasze Imperium targane jest wojną obywatelską, separatyści zajęli całą enklawę i nie dość, że z powodzeniem stawiają opór naszej armii, to jeszcze przeszli do ofensywy, zadając naszym oddziałom szereg dotkliwych klęsk, o których trzeba wreszcie głośno i otwarcie powiedzieć. Nasza armia została wyparta z takich planet, jak Szajtan i Nowy Krym, powstańcy wylądowali na trzech ważnych punktach Jedenastego Sektora: planetach Kappa-1, 2 i 4, pokonując wyczerpane poprzednimi walkami oddziały imperialne, a także sprzymierzyli się z obcą cywilizacją. A rząd imperialny wciąż zwlekał z wydaniem rozkazu o rozpoczęciu wojny totalnej. Jak już jednak wspomniałem, wojna totalna nie jest możliwa bez oparcia się na narodzie aryjskim, na rasie panów.

I oto naród aryjski i jego najwybitniejsi przedstawiciele -- ochotnicy z dywizji Legion Aryjski, Führer i Condor, wraz z innymi oddziałami, wiernymi przysiędze i obowiązki prawdziwych Aryjczyków -- przejęli kontrolę nad głównymi wojskowymi i administracyjnymi obiektami na Ziemi: kancelarią Rzeszy, Sztabem Generalnym, Centrum Łączności Dalekiego Zasięgu, Główną Korporacją Nadawczą, Arsenalem Centralnym oraz Ministerstwem Obrony i Spraw Wewnętrznych. Nieocenionej pomocy udzielili nam towarzysze ze Służby Bezpieczeństwa.

Jednocześnie pragnę zapewnić wszystkim poddanych naszego Imperium, że Jego Wysokość Cesarz ma się dobrze, cieszy się doskonałym zdrowiem i całkowicie dobrowolnie podpisał dekret o mianowaniu mnie, arcyksięcia Adalberta, regentem państwa do czasu zażegnania kryzysu.

Ogłaszamy totalną mobilizację. Naród aryjski ma obowiązek ratować państwo, ratować całą ludzkość. Podpisałem szereg rozkazów, które zostaną opublikowane dziś o północy, a teraz przedstawię jedynie punkty najważniejsze:

Powszechna mobilizacja mężczyzn rasy panów.

Przestawienie przemysłu na produkcję wojenną. Od rozpoczęcia konfliktu produkcja broni wzrosła zaledwie o jedenaście procent, podczas gdy produkcja towarów konsumpcyjnych nie uległa zmianie!

Dobrowolna pożyczka wojskowa. Kupowanie obligacji to realna pomoc udzielona frontowi!

Zmiana polityki awansów. Pierwszeństwo będą mieli przedstawiciele rasy panów. Ci, którzy do niej nie należą, ale czynem udowodnili swoje kompetencje i wierność, mogą liczyć na zachowanie przywilejów i beneficjów.

Imperialny Bundestag przerywa obrady do czasu zawarcia pokoju. Nie czas na cze dysputy.

Działalność partii politycznych zostaje zawieszona. Partie będą mogły wznowić prace po naszym ostatecznym zwycięstwie.

Właśnie teraz, jak nigdy przedtem, potrzebujemy zjednoczenia ludzkości pod przywództwem rasy panów. Albo zewrzemy szeregi i odeprzemy wroga, albo zostaniemy zniszczeni, a imię ludzkości będzie wykreślone z dziejów wszechświata. Niech nas Bóg prowadzi.

Patrzyliśmy na siebie oszołomieni.

--Tam było jeszcze wiele innych rzeczy -- wychrypiał Klaus Maria. -- Chłopcy nagrali, panie pułkowniku. A tę wiadomość powtarzają co godzina.

--Przewrót -- powiedział powoli Vallenstein. -- Jego Ekscelencja arcyksiążę Adalbert, Legion Aryjski, Condor... i jeszcze Führer na dokładkę, jakby mało było tajnej policji.

--Jakie rozkazy, panie pułkowniku? -- Klaus Maria wyprężył się jak struna.

--Rozkazy... na razie żadnych. Kontynuujemy wykonanie postawionego przed nami zadania bojowego. Tego rozkazu nie mogą odwołać żadne perturbacje w stolicy.

Popatrzyłem na Gilvy, a ona na mnie.

--Zacznie się wojna bratobójcza -- zauważyłem.

--Może pan odejść, sierżancie -- zarządził Vallenstein, rzucając Pferzegentakłowi szybkie spojrzenie. -- I proszę przekazać wszystkim oficerom, z dowódcami kompanii włącznie, żeby zebrali się przy sztabie.

--Tak jest, panie pułkowniku!

Gdy Pferzegentakl wyszedł, Vallenstein obdarzył nas ciężkim spojrzeniem.

--Oto i rozwiązanie zagadki. Wspaniały plan, nieprawdaż?

--Jaki? -- zmrużyła oczy Gilvy.

--Plan przejęcia władzy w Imperium i zmiany ustroju politycznego -- wyskandował pułkownik. -- Nic dziwnego, że tajniacy i część arystokracji ze świty Adalberta hołubili brygady międzynarodowe i pobrażali separatystom; potrzebowali realnego wroga.

--A biomorfy? A lądowanie na Kappie? -- wtrąciłem, na chwilę zapominając o subordynacji.

--Myślę, że nie mieli zamiaru wychylać się tak wcześnie. -- Vallenstein pokręcił głową. -- Sytuacja nie jest aż tak dramatyczna, jak próbował nam wmówić arcyksiążę. Lecz Adalbert i jego ludzie najwyraźniej zrozumieli, że nie kontrolują już Dariany Dark. Dariana przechytrzyła i ograła wszystkich. Ci, którzy liczyli, że wykorzystają ją jak marionetkę, sami stali się marionetkami w jej rękach. Ciekawe, jak wprowadzą w życie pomysł totalnej wojny z biomorfami. Pogrzebią je pod naszymi trupami? Nie ma pani nic do dodania, pani Patters?

--Nawet gdybym miała... -- zaczęła Gilvy, ale ugryzła się w język. -- Nie mam, panie pułkowniku. O związkach Dariany Dark z imperialnymi służbami specjalnymi nic mi nie wiadomo. -- Usiłowała mówić bardzo oficjalnym tonem.

--W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia, panie pułkowniku -- wtrąciłem się. -- Jeśli wszystko dobrze zrozumiałem, Federacja powinna teraz otrzymać rozkaz przerwania wojny. Cele zostały osiągnięte, przewrót dokonany. Jeden skuteczny krok, a Wewnętrzne Planety zaśpiewają hosanna i alleluja nowemu „regentowi Imperium”. Lada chwila należy się również spodziewać abdykacji Jego Wysokości Cesarza.

--Dokładnie tak. Ale czy zdecydowali się na to wszystko jedynie w imię przewrotu? Omega-8, Iwołga, Nowy Krym, Szajtan... Wszystko po to, żeby w Sans-Souci jedna wpływowa grupa zastąpiła drugą?

--Nie, panie pułkowniku. Moim zdaniem każdej ze stron wydaje się, że właśnie ona kontroluje sytuację, a tak naprawdę każda ma własne interesy. Nie zdziwiłbym się, gdyby Federacja wcale nie przerwała ofensywy.

--Dlaczego?

--Dlatego, że Dariana Dark nie może w stu procentach kontrolować Roju.

--Możesz to udowodnić, Rus?

Pokręciłem głową.

--To tylko moje odczucia... od kiedy daliśmy więcej woli biomorfom.

--Być może Federacja przerwie natarcie -- oznajmiła ponuro Gilvy. -- Ale arcyksiążę nie zatrzyma się na pewno. Jak mógłby ścierpieć najmniejszy sukces powstańców? Przecież wprowadzono go na tron, żeby żelazną rękę zdławił wszystkich działających przeciwko Czwartej Rzeszy, która ma zostać godną następczynią Trzeciej, nie tylko w formie, ale i w treści.

--Czy Dariana Dark uważa arcyksięcia za głupca?

--Na pewno nie -- rzekł Vallenstein. -- Najprawdopodobniej prowadzi własną grę. A raczej wydaje się jej, że prowadzi.

--Podobnie jak biomorfy -- powiedziałem.

--Podobnie jak biomorfy -- przytaknął pułkownik. -- Pytanie tylko, co powinien zrobić teraz Tannenberg. -- Pokręcił głową. -- Obowiązkiem każdego prawdziwego oficera Imperium jest odmówić podporządkowania się uzurpatorowi i wykonywania jego rozkazów. Jeśli korpus oficerski odwróci się od Adalberta, jego żaloszny bunt skazany jest na klęskę.

--A jeśli nie, panie pułkowniku? -- wtrąciła się zdecydowanie Gilvy. -- Sam pan wie, że idee Pamięci i Dumy, podobnie jak Związku Wygnańców, cieszyły się popularnością wśród znacznej części arystokracji na wyższych stanowiskach dowódczych. Wiele oddziałów, w odróżnieniu od naszego, zostało poważnie „rozwodnionych” żołnierzami pochodzenia niearyjskiego. Wszystko im jedno, kto zasiada na tronie, Wilhelm czy Adalbert, byle tylko płacił żołd w terminie. U nas sytuacja jest inna. Tannenberg otrzymał uzupełnienia właśnie z Odezwy Patriotycznej. Rasa panów. Wierność Imperatorowi nie jest dla nich pustym dźwiękiem.

--Co pani proponuje, pani Patters?

--Sam pan doskonale wie, pułkowniku. Merona jest pod pańskim dowództwem. Pana... przyjaciele w stolicy na pewno będą potrzebowali wiernych bagnetów, gdy spróbują przywrócić status quo.

--Mamy zostawić Kappę na pastwę Roju? Wydać ją na żer tym potworom?

Gilvy wzruszyła ramionami.

--Ja jestem tylko aresztantem. Wybór należy do pana, pułkowniku.

Vallenstein zacisnął wargi w bladą, cienką linię, splótl nerwowo palce.

--Na kogo w brygadzie może pan liczyć, panie pułkowniku?

--Szef sztabu, dowódca batalionów. Niemal wszyscy dowódcy kompanii.

--A wydział bezpieczeństwa? -- spytała Gilvy niewinnym głosikiem.

--Wydział bezpieczeństwa... -- Vallenstein pozwolił sobie na grymas. -- Rozbrojenie go nie zajmie wiele czasu.

--To będzie równoznaczne z buntem -- zauważyłem.

--Już teraz wszyscy jesteśmy buntownikami. -- Vallenstein usiadł przy pulpicie, przebiegł palcami po klawiszach. -- Sądzę, że już wkrótce czekają nas ważne wydarzenia. A na razie...

--Czyli można rozbrajać tajniaków, panie pułkowniku?

--Nie, Rusłanie. Żadnej samowolki. Na razie nie są niebezpieczni.

Miałem na ten temat własne zdanie.

--Zdumiewający widok -- rzuciła Gilvy. -- Pułkownik armii imperialnej, kawaler licznych orderów, dowódca zahartowanej w bojach brygady naradza się nie ze swoim szefem sztabu, nie

z wiernymi dowódcami batalionów, lecz ze zdemaskowanym wywiadowcą Federacji i jeszcze niezdemaskowanym wrogiem Imperium, który wstąpił do armii w podstępnych celach!

--Racja, pani Patters. -- Vallenstein skłonił głowę. -- Ale w sytuacjach nadzwyczajnych potrzebni są nadzwyczajni doradcy, a wy możecie się za takich uważać. Zabrzmi to banalnie, ale teraz rzeczywiście trzeba odrzucić wszelkie rozbieżności. Imperium jest oczywiście dalekie od ideału, a Federacja... hm... Federacji jest do ideału jeszcze dalej. Może tylko cel, który postawił przed sobą Ruslan: wolność i spokój dla ojczystej planety, trochę ten ideał przypomina. Choć jeszcze bardziej idealne jest dążenie do przeobrażenia Imperium...

--Toteż jego ekscelencja arcyksiążę właśnie dąży do przeobrażeń.

Vallenstein wzdrygnął się.

--Proszę państwa... proszę przystąpić do... eee... wykonywania bezpośrednich obowiązków. Żadne przewroty w Imperium nie mogą odsunąć naszego głównego zadania. Jego Imperatorska Wysokość żyje, przebywa jedynie, jeśli dobrze zrozumiałem, w areszcie domowym. Jestem pewien, że znajdzie się wielu wpływowych ludzi, którym ten rozwój wypadków nie przypadnie do gustu.

--Wzrośnie zapotrzebowanie na mięso armatnie, na żołnierzy gotowych umierać z okrzykiem: „Niech żyje Imperator Wilhelm!” A z przeciwnej strony inne mięso, także armatnie, będzie odpowiadać okrzykami: „Niech żyje Imperator Adalbert!”

--Jakże trafna ocena sytuacji, pani Patters. -- Vallenstein skłonił się z galanterią. -- Niewykluczone, że mięso armatnie już wkrótce otrzyma rozkaz rozbrojenia tajnego wydziału i wyruszenia na Ziemię na wszystkim, co zdoła wejść w podprzestrzeń.

Jeśli w mocarstwie doszło do przewrotu, a umysły szeregowych żołnierzy zaczynają nawiedzać nieregulaminowe wątpliwości co do kompetencji zwierzchnictwa, najlepszym lekarstwem na takie rozterki jest walka. Stara dobra walka, gdy albo ty ich, albo oni ciebie, a cała reszta zasnuwa się mgielką oddalenia...

Brygada nie dostała żadnych nowych rozkazów. Z przemową o bezwarunkowej lojalności wobec abstrakcyjnego „domu imperialnego” wystąpił Paul Hausser, dowódca korpusu. W oficjalnych rozkazach wtórował mu komendant sektora i przewodniczący wojskowej administracji Kappy. W oficjalnych wiadomościach pokazywano jedynie tłumy świętujące przejęcie władzy przez jego ekscelencję regenta.

Wbrew oczekiwaniom, nikt nie próbował szturmować Sans-Souci, imperatorskiej rezydencji, z obnażonymi szablami. Spiski oficerów, jeśli nawet istniały, nie spieszyły się z typowaniem Stauffenbergów.

Spodziewałem się Kryształowej Nocy, ograniczenia praw narodów niearyjskich, ale na razie wszystko ograniczyło się do zdecydowanego zwrotu w stronę wojny totalnej.

Wprowadzono surowe racjonowanie żywności i energii.

Ogłoszono powszechną mobilizację.

Zwolniono Bundestag, rozwiązano partie polityczne -- od ultralewicowych do ultrapravicowych. Odrażający Związek Wygnańców oraz Duma i Pamięć oznajmiły, że się rozwiązują i wchodzi w skład Imperialnych Sił Zbrojnych. Członkowie-kobiety mają zastąpić mężczyzn z personelu pomocniczego. Wszyscy mężczyźni wędrują do oddziałów. Wszystkie zakłady, wytwarzające na przykład artykuły motoryzacyjne, zostają przestawione na produkcję czołgów, samochodów pancernych i tak dalej. Farmerzy mają obowiązek dwukrotnie

zwiększyć „zasiewy lub inne środki produkcyjne”. Bank Państwowy wypuszcza nowe pieniądze. Ceny na czarnym rynku rosną w zawrotnym tempie. Tajna policja pokazowo rozstrzeliwuje kilku przestępczych spekulantów.

A od brzęczenia o rasie panów już niedługo pękną głośniki.

Nacieraliśmy, aż do „ostatniego morza”, aż dotarliśmy do zatoki niegdyś czystej i głębokiej, a dziś przemienionej w cuchnącą kloakę reaktora -- i tam znaleźliśmy ostatnią macicę na Kappie-4.

Nauczyliśmy się już walczyć z Rojem. Stwory pchały się na mnie i Gilvy niczym ćmy do światła, a reszta brygady po prostu strzelała do nich ze wszystkich stron. Jednak ściąganie Roju stawało się coraz trudniejsze, musieliśmy coraz mocniej rozpalać w sobie ogień nienawiści.

Wydawało mi się, że naprawdę staję się biomorfem. Wizje podczas walki stawały się coraz bardziej wyraziste i natrętne, niemal nie do odróżnienia od rzeczywistości. Nie wpatrywałem się w nie, żyłem nimi, stając się bezkształtnym kłębkim żywej galarety -- ale nic więcej. Żadne niebiańskie olśnienia na mnie nie spływały.

Z Gilvy działo się to samo. Bała się coraz bardziej -- ciągle widziała tę klasyczną scenę z komiksów, gdy wygryzając człowiekowi wnętrzności i rozszarpując brzuch, na wolność wyrывa się kosmiczny potwór.

Po tym, co zaszło między nami, Gilvy poczuła się moją żoną i to nie polową, lecz najprawdziwszą. A mnie przed oczami, jak na złość, stała twarz Dalki. Rozumiałem, że to koniec, a jednak coś mnie nadal dręczyło i stałem niczym osiołek między dwoma żłobami.

--Dość tego. Nie mam zamiaru dalej spać sama -- oznajmiła Gilvy tego dnia, kiedy przyszła wiadomość o przewrocie w Imperium. -- Cesarz, arcyksiążę i sam kulawy diabeł nic mnie nie obchodzą. Mam swojego mężczyznę, a całą resztę może szlag trafić.

--Gil, co ty wygadujesz? Zapomniałaś o rozkazach „niedopuszczania do rozpusty” i całej reszcie? -- próbowałem zbyć ją żartami.

--Gwiżdżę na te rozkazy i całą resztę. Inne dziewczęta w sztabie również mają je gdzieś. To dla ciebie nowina, że każda dzieli z kimś poduszkę?

--Nigdy nie interesowałem się cudzymi poduszkami.

--Wiem, wiem, ale pozwól, że wreszcie rozproszę mroki twojej niewiedzy. -- Zachichotała. -- Nigdy nie myślałam, że tak niewiele trzeba do szczęścia: mieć obok własnego mężczyznę. Niech wszystkie feministki Imperium razem z całą Federacją idą do diabła, jeśli im się to nie podoba.

To było nieuczciwe. Niesłuszne. Pragnąłem jej i wypieranie się tego byłoby głupotą, w łóżku robiła takie rzeczy, jakie Dalce nawet się nie śniły, ale... to nie było w porządku. W końcu Dalka i ja... przecież my także...

--Gil, wiesz, że ja z Dalką... -- zacząłem i spadłem w otchłań wyznań.

Usiadła obok mnie na wąskim, rozkładanym łóżku i przesunęła chłodną dłońią po moich krótko ostrzyżonych włosach.

--Głuptasie -- powiedziała cicho. -- Jest mi zupełnie wszystko jedno, kto cię kiedyś podniecił i wykorzystał naturalną reakcję twojego organizmu. Przecież nie było mnie wtedy obok, nie mogłam ci pomóc.

--Wszystko ci jedno? Jak to?

--Tak to. Bo wiem, że ze mną jesteś sobą, a z nimi tylko udajesz. A może nawet nie udajesz, tylko pozwalasz im na to z dobrego serca.

--Jesteś pewna, że właśnie przy tobie jestem sobą?

--Jestem -- potrząsnęła włosami. -- Kobieta nigdy się w tej kwestii nie myli, możesz być spokojny. Bywają histeryczne idiotki, które za zdradę zaczynają ciskać naczyniami, ale idiotek za kobiety nie uważamy, prawda?

--Nie potrafię zrozumieć twojej logiki, Gil.

--Bo też nie ma tu żadnej logiki. -- Wyjęła szpilkę i nieregularnie długie włosy rozsypały się jej na ramionach. -- Pragnę cię i pragnę być z tobą. Cała reszta nie ma znaczenia.

I pewnie bym przepadł, gdyby nie to, że rozległ się alarm bojowy. Cekał na nas Rój.

Macica -- ogromna, dziwaczna, wyglądająca jak gigantyczne ziarno soczewicy -- poruszała się powoli w gęstej brązowej cieczy. Zatokę od morza oddzielała wąska tama, wyraźnie niebędąca dziełem ludzkich rąk: zwalone glazy łączyła połyskliwe brązowa substancja przypominająca zastygłego biomorfa.

Ta jedna jedyna macica była już pusta, ale nadal żywa, wzdęta i bezpłodna. Powoli przemieszczała się od jednej ścianki swojej zagrody do drugiej i gęste brązowe fale chlupały cicho, uderzając o czarne boki.

Moglibyśmy zniszczyć ją od razu. Nie musieliśmy nawet tu przybywać, artyleria brygady świetnie poradziłaby sobie sama, tracąc trochę pocisków. Ale nam nie chodziło wyłącznie o zniszczenie...

Macica nadal stanowiła zagrożenie. Gdyby dać jej trochę czasu, zrodziłaby nowe źródła, wyhodowałaby nowe stada istot wokół siebie i w końcu znowu by się stała groźna i przerażająca. Zaczęłyby siać spustoszenie, pozostawiając po sobie jedynie pola obgryzionych szkieletów.

Ale na razie jest słaba i bezbronna. Wytłukliśmy jej potomków, wszystkich, co do jednego. Nie ma kto osłonić macicy.

Helikopter brygady wylądował ostrożnie, piloci nerwowo zerkali na poruszającą się niemrawo macicę. Bataliony zostały daleko z tyłu, Vallenstein dostał rozkaz zawrócenia -- pozostałe oddziały korpusu w czasie ataków na Rój poniosły znaczne straty.

Z drugiego helikoptera wylądowano masywne ładunki wybuchowe. Lotnictwo wspierało inne formacje, ale my i tak sobie radziliśmy.

--Panie poruczniku! Gdzie mamy to rozładować? -- Jasnowłose chłopczek z ostatniego uzupełnienia prężył się ze wszystkich sił.

--Sierżant Varialainen wam pokaże, idź do niego -- odpowiedziałem z roztargnieniem, nie mogąc oderwać wzroku od wybrzuszonej kopuły macicy. Stojąca obok mnie Gilvy drżała; wziąłem ją za rękę.

Granatowoczarne pancerne płyty poruszały się bez chwili przerwy, jakby istota w zatoczce wciąż się drapała. Brzeg spadał tu łagodnie ku wodzie (a raczej ku tej substancji, która zastąpiła wodę) i oczami wyobraźni ujrzałem, jak po długim stoku toczą się, biegną, spieszą nam na spotkanie niezliczone rzesze produktów macicy.

Wydawała się tak bardzo samotna. Obca na tej planecie, obca wszystkim naszym światom, czekała na swój koniec ze stoickim spokojem. Macica wiedziała, że tu jesteśmy, czuła nas, a my dokładnie tak samo wiedzieliśmy, że ona wie. W mojej świadomości powoli rozrastała się

dźwięczna, bezdena ciemność, świat gasł, jak przy utracie przytomności z braku tlenu.

Biomorf we mnie rwał się do brązowego płynu. Macica była pusta, wypatroszona, a mój biomorf chciał jak najszybciej dołączyć do tej cieczy, stać się cząsteczką, komórką w chlupiącym, poprzecinanym pulsującymi żyłami gigantycznym organizmie, który umiał się dzielić i znowu łączyć w jedną całość.

Biomorfy mogły kontaktować się niewerbalnie i teraz to, co żyło we mnie i w Gilvy, z całych sił próbowało zrozumieć, czego chce macica. A moja świadomość próbowała zinterpretować tę informację, przełożyć przekazywane sygnały na zrozumiałe dla ludzkiej świadomości terminy.

Przybyliśmy tu jednak nie po to, żeby pogapić się na ten cud kosmicznej inżynierii genetycznej. Chcieliśmy sami wydawać rozkazy. Sprawić, żeby nas słuchano.

Próbowałem skłonić macicę do przesunięcia się, zbliżenia do mnie choć o kilka metrów.

Czulem się przy tym tak, jakbym próbował zmusić do zrobienia kroku własną zdrętwiałą nogę. Bolesne szpilki w całym ciele, coraz silniejsze i bardziej dotkliwe -- a macica nawet nie drgnęła.

A jednocześnie sama zadała cios.

Teraz my otrzymaliśmy „rozkazy”. Nie ubrano ich w słowa, były to po prostu imperatywy, coś w rodzaju poleceń wydawanych ciału, by zrobiło ten czy inny ruch. Macica nas potrzebowała, ciągnęła nas do siebie. Nagle poczułem, że nogi wbrew mojej woli zrobiły krok, drugi i trzeci... Obok mnie tak samo dreptała Gilvy.

To nie była hipnoza ani opanowanie woli; doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co robimy. Przypominało to raczej bezwarunkowe skurcze mięśni, tylko że w naszym przypadku mięśnie kurczyły się w sposób uporządkowany.

Gilvy wrzasnęła, wbiła krótko obcięte, ale ostre paznokcie w moją rękę i przewróciła się. Pociągnięty przez nią, rozciągnąłem się na piasku jak długi.

Urok minął -- w każdym razie teraz mogliśmy mu się oprzeć. Ledwie poruszając nogami, niczym paralitycy, próbowaliśmy odsunąć się od niebezpiecznej zatoki.

--Panie poruczniku! -- Mikki już przy nas stał. -- Jest pan ranny?

--Mikki, pomóż nam. Musimy się stąd odsunąć...

--Günter! Peter! Szybko! Weźcie nosze!

Po chwili byliśmy bezpieczni. Odległy zew macicy nie zmuszał już naszych nóg do poruszania się wbrew woli. Nasze biomorfy stały się niebezpiecznie silne...

--Rus, ja się boję. -- Gilvy szlochała. -- Niczego się nigdy nie bałam, ani śmierci, ani hańby, ani... byłam w wywiadzie, byłam pod Rojem, a tutaj... jeszcze mi się łydki trzęsą. Ten stwór, który jest we mnie... skąd on się w ogóle wziął? Czego teraz chce?

--Chce, żebyśmy podeszli do macicy i zabrali od niej tyle źródeł, ile zdołamy -- udało mi się ubrać w słowa niepojęty „rozkaz”.

--Gdzie mielibyśmy je zanieść?

--Jak najdalej. Gdzie się da. Tam, gdzie jest bieżąca woda, w ostateczności może być staw. Rój powinien proliferować.

--A ja... ja widziałam... -- wyjąkała Gilvy.

--Znowu planetę?

--Nie. Niebo nad nią. Zapamiętałam... tam był statek.

--Statek? Jaki statek?

--Statek Dbigu. Trudno się pomylić, niedawno pokazywali je we wszystkich sieciach.

--Dostawa antygravitatorów -- myślałem na głos.

--Nie wiem. Nic więcej nie zauważyłam -- wyznała Gilvy. -- Co my widzimy, Rus?

--To nie my. To wspomnienia naszych biomorfów.

--Rus... -- Gilvy zamilkła i dotknęła mojego rękawa, dziwnie wstydliwie, nieśmiało. -- Rus, my umrzemy, prawda? Pozwoliliśmy biomorfom na rozwój i teraz nie ma już odwrotu, tak?

--Nie umrzemy -- powiedziałem z całym przekonaniem, na jakie było mnie stać, i objąłem ją. -- Biomorfy... teraz sami je prowokujemy, poza tym tuż obok jest macica. A kiedy ich już nie będzie, zapomnimy o ich istnieniu. Może w ogóle się rozplyną...

Tylko zakochana do szaleństwa kobieta może uwierzyć w tak toporne kłamstwo. Jednak Gilvy uwierzyła, uspokoiła się i przestała drżeć.

--Panie poruczniku! -- Mikki wyrósł jak spod ziemi. -- Ładunki gotowe. Wysadzać? Skinąłem głową.

W następnej chwili oboje z Gilvy o mało nie straciliśmy przytomności -- poczuliśmy ostry, piekący ból, szarpiący wszystkie nerwy, jakby ktoś wetknął rozpaloną do czerwoności igłą do wnętrza żywego zęba. Ponad nabrzeżem unosił się czarno-rudy obłok w kształcie grzyba; wybuch spopielił macicę, wypalił zatokę i zniszczył utworzoną przez biomorfy tamę. Do leja wpłynęły czyste morskie fale.

--Zadanie wykonane, panie poruczniku! -- Mikki zasalutował.

--Wystarczy tego prężenia się, sierżancie Varialainen -- powiedziałem ze zmęczeniem. -- Wynosimy się stąd. I dajcie mi łączność z brygadą.

--Pana pułkownika nie ma -- zahuczał w słuchawkach obcy głos.

--Dunke, to ty?

--Oficer dyżurny podporucznik Rowiczka.

Aha, dowódca plutonu w batalionie Möchbaua. A przecież dyżur miał Friedrich Dunke, młody, gorliwy sztabowiec, niedawno przysłany do oddziału zwiadowczego, gdy brygada doczekała się wreszcie porządnego uzupełnienia.

--Gdzie podporucznik Dunke, Rowiczka?

--W oddziale medycznym, panie Fatiejew.

--Tak? Mam nadzieję, że to nic poważnego?

--Absolutnie nic. Rozstrój żołądka.

--W takim razie przyjmijcie wiadomość dla pułkownika, podporuczniku.

--Tak jest!

Helikoptery monotonnie melły łopatom powietrze. Nadeszło kolejne stulecie, a my ciągle nie mamy antygravitatorów! Tylko Dbigu mogą się nimi pochwalić. No cóż, żaglowce też wiernie służyły ludzkości niejedno stulecie, mimo że na polach bitew pojawiła się broń palna.

Wracaliśmy do brygady. Gilvy wpadła w przygnębienie.

--Co się stało, Gilvy?

--Rus, my umrzemy -- szepnęła, wpatrując się nieobecny wzrokiem w róg kabiny. -- Na tej planecie, do której przylecieli Dbigu. I ty, i ja. Ale nie boję się. Będiesz trzymał mnie za rękę do ostatniej chwili.

--Wypluj te słowa. Takie rzeczy zdarzają się wyłącznie w telenowelach.

Uśmiechnęła się smutno niczym wszechwiedząca wieszczka, jak Kasandra, gdy otworzył się koń trojański i Grecy ruszyli do walki z obrońcami wielkiego miasta.

--W takim razie obiecaj mi...

--Łądujemy! -- oznajmił pilot i ciężka maszyna zawisła nad białym kręgiem.

Nikt nas nie witał. Dopiero wtedy uzmysłowilem sobie, że przecież Vallenstein nie miał zamiaru nigdzie zniknąć, przeciwnie, polecił, aby utrzymywać z nim kontakt...

--Gilvy -- powiedziałem samymi wargami -- przygotuj się. Chyba będziemy musieli zaraz uciekać. Vallenstein...

Zrozumiała od razu; zmrużyła wyzywająco oczy.

--Żywcem mnie nie wezmą -- szepnęła, odbezpieczając ciężki walter-M.

Przysunąłem do siebie gotowy do walki steier.

--Jesteśmy na miejscu. -- Pilot z kabiny otworzył drzwi naszego przedziału, rozłożył się wąski trap. -- Powodzenia przy składaniu raportu.

Moja załoga wyszła. Teren wokół był pusty -- ani śladu tajniaków, chociaż właśnie ich się spodziewałem. Może jednak wszystko w porządku?

W tym momencie z wagonu pancernego wyjechał dżip i ruszył pędem w naszą stronę, ciągnąc za sobą ogon pyłu. Poczulem nieprzyjemny smak w ustach.

--Fatiejew!

Z podnóżka zeskoczył Möchbau. Za kierownicą siedział mój były dowódca plutonu, Rudolf.

--Mają pułkownika. W sztabie jest pełno Aryjczyków i ludzi Darkmoore'a. Zebrali wszystkie dokumenty. Przybył nowy dowódca brygady. Z Legionu Aryjskiego. Był tam dowódcą pułku. -- Möchbau strzelał krótkimi zdaniami, niczym seriami z cekaemu.

--Aresztowali kogoś jeszcze?

--Nie. Przesłuchują szefa sztabu.

--Szukali cię, Rus -- włączył się Rudolf -- ale mało energicznie. Za bardzo się spieszyli, żeby zgarnąć Vallensteina.

--I co teraz? -- zapytałem powoli. -- Mam pewien pomysł, panowie, ale nie wiem, na ile podzielacie moje poglądy...

--Poruczniku, słyszałem o twoich poglądach bardzo dużo i w pełni je podzielam -- rzucił ostro Möchbau.

--W takim razie idziemy odbić pułkownika.

Rudolf wyszczerzył się, co pewnie miało być uśmiechem wyrażającym zgodę.

Obejrzałem się na Gilvy -- trzymała ręce za plecami. Za nią Mikki wydawał dyspozycje lecącej z nami załozce.

--Ilu masz wiernych ludzi ze starego plutonu?

Pokręciłem głową.

--To nie jest ich sprawa, Dietrich. Na tę akcję mogą iść wyłącznie oficerowie, nie należy mieszać w to żołnierzy.

--Tak myślałem. -- Möchbau skrzywił się. -- Szkoda, że oni nie czują do tajniaków tego samego, co ja...

--Trudno tego od nich wymagać.

--Słusznie. Dobrze, idziemy. Rudolf! Poinformuj pozostałych.

Tajniakom udało się aresztować Vallensteina bez zbędnego hałasu. Sztabu brygady nie

otoczyły ponure typy w czarnych mundurach i nic nie wskazywało na to, że zmienił się dowódca. Nic dziwnego -- żołnierze w najlepszym razie walczą o Imperium, w najgorszym o ewentualny żółd, ale nigdy o swojego dowódcę.

Zauważyłem zbliżającą się do sztabowego wagonu pancernego grupę oficerów, dowódców kompanii, plutonowych... Ze środka wyskoczył zatroskany żołnierz, rzucił nam przelotne spojrzenie, na wszelki wypadek wyprężył się jak struna i pobiegł dalej w jakichś swoich sprawach. Möchbau już się do mnie odwracał, gdy...

...walnęło tuż pod moimi nogami, nadwerężając błonę bębenną w oczy chlusnęła ciemność i wzrok zgasł a ja wyruszyłem w ostami lot i rozłożyłem ramiona na spotkanie matce planecie.

Wiadomości imperialne:

--Trwa wylawianie zdrajców i sprzedawczyków zajmujących stanowiska dowódcze w naszej niezwykłej armii imperialnej. Aresztowano i oddano pod sąd Trybunału Specjalnego następujących oficerów:

--generała feldmarszałka Wilhelma von Lista, byłego pierwszego zastępcę szefa Sztabu Generalnego;

--generała feldmarszałka Huberta Lanza, byłego szefa wydziału operacyjnego Sztabu Generalnego; -- generała pułkownika Hansa Jürgena von Arnima, byłego naczelnika Akademii Sztabu Generalnego;

--generała pułkownika Hansa Obstfeller, dowódcę Armii Rezerwowej;

--generała majora Waltera Weissa, szefa sztabu Armii Rezerwowej.

Wszyscy przyznali się do winy, czyli do udziału w spisku przeciwko Jego Ekscelencji Arcyksięciu Adalbertowi, regentowi Imperium -- i podali nazwiska swoich współników, którzy mieli zbuntować poszczególne oddziały na froncie. Ich przestępczą działalność wykryli pracownicy imperialnej Służby Bezpieczeństwa. Zdrajcy zostali aresztowani na gorącym uczynku.

Operacja „Oczyszczenie” trwa. Główna Korporacja Nadawcza będzie informować obywateli Imperium o rozwoju wydarzeń.

Wierne wojska Imperium nadal powstrzymują natarcie wojsk cywilizacji Dbigu na wielu planetach sektora pogranicznego. Na odcinkach styku naszych wojsk z Narodowo-Demokratyczną Federacją Trzydziestu Planet nie wydarzyło się nic znaczącego.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

Trwa natarcie naszych wojsk. Planety Kappa-1 i Kappa-2 przeszły pod całkowitą kontrolę naszych sił. Niedobitki oddziałów faszystowskich opuściły kosmodromy. Nasza cudowna broń po raz kolejny przyniosła nam zwycięstwo. Teraz nasze oddziały zajmują się zbieraniem zdobyczy, liczeniem jeńców i doprowadzaniem do porządku obiektów przemysłowych, które ucierpiały w czasie walk. Na planecie Kappa-4 w ciągu ostatniej doby miały miejsce walki o lokalnym znaczeniu...

Na planecie Nowy Krym powraca normalne życie. Nadal przybywają tu przesiedleńcy z kopalnianych planet Borg, Celesta, Wolny Don, Sławutycz i kilku innych. Drużyny ochotników dzień i noc odbudowują zniszczony Władysybirsk, Przywole i mniejsze miasteczka wyspy Syberia, gdzie doszło do głównych walk z imperialno-faszystowskimi agresorami.

Dzisiaj towarzyska Dariana Dark odwiedziła Władysybirsk, gdzie osobiście sprawdzała

przebieg prac porządkowych. Z okazji tej wizyty wszystkie brygady budowlane podjęły dodatkowe zobowiązania i wykonały je.

W dniu dzisiejszym do organów porządkowych zgłosiło się kolejnych siedmiu uczestników nielegalnych formacji tak zwanej Armii Wyzwolenia Nowego Krymu. Przeprowadzone zostanie śledztwo, które wyjaśni, czy bojownicy nie byli zamieszani w poważne przestępstwa, a jeśli nie -- zostaną odesłani do domów, zwłaszcza że ze względu na wiek powinni uczęszczać do szkoły, a nie biegać z bronią po nielicznych lasach Nowego Krymu...

Skrót ostatnich wiadomości. Sieć powstańcza „Głos Wolnego Krymu”:

Do wszystkich, którzy mogą nas słyszeć! Nagrajcie ten przekaz i nadawajcie przez wasze sieci lokalne. Oto głos prawdy! Oto nasza ostatnia nadzieja!

Z Nowego Sewastopola wysiedlono ostatnich mieszkańców. Według naszych danych (nie możemy zdradzić źródeł informacji, ale są pewne) dzisiaj opuścił miasto ostatni konwój z wysłanymi do robót przymusowych rdzennymi mieszkańcami Nowego Krymu. Wysiedleńcy, około pięciuset osób, zostali załadowani na prom i przeprawieni na Archipelag Świętego Piotra, gdzie mieszczą się nowe gospodarstwa morskie, zbudowane na rozkaz władz okupacyjnych.

W Przywołu odnaleziono kolejną zbiorową mogiłę cywilów zabitych przez stworzenia, które Federacja określa mianem „cudownej broni”. Na cmentarzysko natknęli się operator buldożera Darko Wojkowic i operator koparki Iwan Zagorudko. Obaj zostali tego samego dnia aresztowani przez Służbę Bezpieczeństwa i wywiezieni w nieznanym kierunku. Los aresztowanych jest nieznan.

Na szosie numer 2, nieopodal Głębokiego, nasi bojownicy wysadzili w powietrze transporter opancerzony okupantów. Zginęło co najmniej dziesięciu żołnierzy przesiedleńców z Borga, nasi bojownicy wycofali się bez strat.

W byłym kombinacie rybnym Alaska, wchodzącym w skład kompanii Jurija Fatiejewa, czyli obecnie Państwowym Zakładzie Rybnym numer 14, znowu wybuchł strajk, gdy administracja po raz kolejny podniosła normy o dwadzieścia pięć procent, jednocześnie tyle samo procent obniżając płace. Strajkujący zajęli teren kombinatu, zniszczyli zapasy przygotowanych do wysłania produktów, podpalili budynek administracji. Nie stawiali jednak oporu uzbrojonym przesiedleńcom i opuścili teren zakładu przed ich pojawieniem się. Od strajkujących zażądano wydania podżegaczy.

Na skutek akcji dywersyjnej został wysadzony w powietrze i zatonął w porcie wielki trawler chłodniczy „Bystry” z załogą łamistrajków. Co najmniej piętnastu zdrajców splonęło żywcem.

W Głębokim do mieszkania mianowanego przez okupantów gubernatora miasta, Pawła Morozowa, wrzucono przez okno butelkę z mieszkanką zapalającą. Zdrajca niestety nie ucierpiał, o czym z pompą oznajmiono w Nowym Sewastopolu. Morozow został przedstawiony do nagrody. Składamy uroczystą obietnicę, że jeszcze cię dorwiemy, łajdaku!...

Przebudzenie było tradycyjne. Białe kafelki na ścianach -- taką glazurą wyklada się zazwyczaj sale operacyjne.

Albo sale tortur.

Zorientowałem się, że pólleżę w fotelu przypominającym fotel dentystyczny i że jestem związany -- nadgarstki i kostki nóg obejmowały szerokie skórzane pasy,

Poczułem rozpacz. Oczy zamknęły się same, nie chcąc widzieć otoczenia, jakby

opuszczone powieki mogły mnie przed czymkolwiek ochronić.

--Odzyskał przytomność -- skonstatował ktoś zimno.

Nawet nie chciałem patrzeć na mówiącego. Co za różnica, kto to jest. Chociaż... głos wydał mi się znajomy.

--Witam ponownie, panie eksporuczniku -- rzekł głos i odpowiedział na moje niezadane pytanie: -- Spotkaliśmy się już na Zecie-5, a potem na Nowym Krymie.

No jasne, pomyślałem znużony. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Dla mnie i dla tego tajniaka wszechświat jest zbyt mały. Szkoda, że zabrakło dla ciebie Roju, bydlaku.

--Znajdujemy się w centralnej izolatce aresztu tymczasowego Imperialnej Służby Bezpieczeństwa, w Berlinie, na Ziemi, panie Fatiejew. Jak to lubicie mówić, w katowni gestapo. -- Ostatnie słowa powiedział po rosyjsku, specjalnie je kalecząc.

Milczałem, nie otwierając oczu.

--Będziemy kontynuować nasz niewielki wykład, Ruslanie. -- Tajniaka wyraźnie rozpięło zadowolenie. -- Bardzo się cieszę, że operacja powierzona pańskiemu pokornemu słudze została pomyślnie zakończona.

--Moje gratulacje, panie kapitanie -- powiedziałem. Mój Boże, Gilvy... Co się z nią stało?

--Dziękuję -- rzekł gestapowiec z wyszukaną grzecznością. Miałem zamknięte oczy, ale mógłbym przysiąc, że zgiął się w ukłonie. Cóż, miał teraz pełne prawo drwić i błaznować. Wygrał.

Co tam, zawsze zdążę ze sobą skończyć, gdy dojdę do wniosku, że nie wytrzymam tortur. Nikt nie wytrzymuje. Opowieści „o niezłomnych bohaterach, którzy przeszli przez wszystko” tworzą zazwyczaj ci, którzy nie potrafią nawet sobie wyobrazić, czym są prawdziwe tortury, na przykład banalne drzazgi pod paznokciami.

Przejdźcie przez to wszystko sami, panie i panowie, a dopiero potem opowiadajcie bajki o „nieulekłych” i „niezłomnych”.

Po raz drugi mnie już nie wypuszczą, pomyślałem. Pozostaje mieć nadzieję, że Bóg wybaczy mi ciężki grzech samobójstwa. Skoro miałby to być jedyny sposób poskromienia własnego języka...

Dobra, pomyślałem, zasuwasz, draniu. Ciesz się, triumfuj. Już wkrótce pojawi się tu Rój. Nie zdołacie go powstrzymać, chociaż waszym zdaniem wydarzenia nadal mieszczą się w ramach „inwazji kontrolowanej”.

--Mamy do pana, Ruslanie, całe mnóstwo pytań. Do pańskiego byłego dowódcy, ekspułkownika Vallensteina, również.

Spróbowałem wzruszyć ramionami.

--Nie wiem, o czym pan mówi, panie kapitanie.

--Gdyby zechciał pan otworzyć oczy, przekonałby się pan, że już dawno używam wyższego stopnia -- usłyszałem wyniosłą odpowiedź.

--Gratuluja, panie pułkowniku -- powiedziałem, nie unosząc powiek. Nietrudno zgadnąć, przeskokzył dwa stopnie, pewnie za wybitne zasługi.

--Proszę więc zwracać się do mnie z szacunkiem należnym starszemu stopniem!

--Z radością, panie pułkowniku. Proszę zadawać pytania.

--Nie wierzę własnym uszom. -- Tajniak udał zdumienie. -- A może to sytuacja tak na pana wpłynęła, panie Fatiejew?

--Sytuacja? O czym pan mówi, panie pułkowniku? Jako uczciwy oficer bojowy nie mam nic do ukrycia.

--Nie ma pan nic do ukrycia? Doskonale. W takim razie proszę opowiedzieć mi ze wszystkimi szczegółami, jak przebiegła pańska tak zwana podróż służbowa, podpisana przez byłego pułkownika Vallensteina.

--Pozwoli pan, że najpierw zadam jedno pytanie, panie pułkowniku. Czyżby zupełnie pana nie interesowało, dlaczego brygada Tannenberg jako jedyna ze wszystkich oddziałów 2. Korpusu Desantowego mogła prowadzić natarcia przeciwko Rojowi?

--Interesuje mnie, Fatiejew, nawet bardzo, i cieszę się, że przemawia przez pana zdrowy rozsądek. Mamy już pełny obraz zdradzieckiej działalności Vallensteina...

--Von Vallensteina... -- poprawilem gestapowca.

--Vallensteina -- powtórzył z naciskiem. -- Na mocy specjalnego dekretu Jego Ekscelencji regenta wszyscy buntownicy zostali pozbawieni szlachectwa. Egzekucja cywilna zostanie przeprowadzona po zakończeniu śledztwa.

--Dziękuję, że uznał pan za stosowne poinformować mnie o tym, panie pułkowniku...

--Tak, tak, w pańskich aktach odnotowano, że podczas poprzedniego przesłuchania również bardzo chętnie wypowiadał się pan na tematy abstrakcyjne -- mruknął tajniak. -- A jednak proponuję wrócić do interesującego mnie tematu. Pańska podróż służbowa.

--Moja podróż służbowa? Coś z nią nie tak?

--Dość tego! -- Mój oprawca stracił cierpliwość. -- Nie udawaj idioty! Wiemy o wszystkim! Byłeś na Nowym Krymie, gdzie prowadziłeś zdradzieckie pertraktacje o oddanie się do niewoli całej twojej brygady!

--Skoro wiecie o wszystkim, co mógłbym jeszcze dodać? -- Zamknąłem oczy, bardzo powoli.

Za chwilę przyjdzie ból, ogromny ból, pomyślałem obojętnie. Strach nie miał już sensu, strach nie pomoże mi przeżyć.

Otworzyły się niewidoczne drzwi i do pokoju weszły trzy postacie -- białe kombinezony, lustrzane okulary, maski chirurgiczne, cienkie rękawiczki. Na wprowadzonym wózku połyskiwały niklowane narzędzia.

--Łączymy najnowocześniejsze metody z wiekową tradycją. Gestapowiec uśmiechnął się serdecznie.

--Serum prawdy, panie pułkowniku?

--Fatiejew, za kogo pan nas ma? Nie jesteśmy sadystami, jedynie skromnymi poszukiwaczami prawdy. Nie mamy zamiaru świadomie wyrządzić panu... eee... fizycznego dyskomfortu w imię samego dyskomfortu. A wszelkie preparaty psychotropowe czy też, jak je pan nazwał, serum prawdy, nie sprawdziły się. Zrezygnowaliśmy z nich dawno temu.

--I zastąpiliście wykrywaczem kłamstw?

--Zgadza się, Fatiejew. Właśnie na wykrywaczu kłamstw dałeś się złapać.

--Ależ panie pułkowniku! Właśnie na podstawie wyników tamtego badania zostałem całkowicie uniewinniony!

Tajniak uśmiechnął się nieprzyjemnie.

--Sądziś, że przez dwa stulecia technologia wykrywania kłamstw nie posunęła się do przodu ani o krok? Zarejestrowaliśmy ponad dwieście twoich parametrów i dokładnie wiemy, w

którym momencie próbowałeś oszukać klasyczny wykrywacz. Ale wówczas uznano za wskazane wypuścić cię na wolność.

Teraz z kolei ja spróbowałem się uśmiechnąć.

--Mam oficjalny dokument potwierdzający całkowite uniewinnienie i oczyszczenie z zarzutów. Cała reszta to jedynie pańskie teorie, panie pułkowniku.

--Rzeczywiście wydano ci taki dokument -- przyznał ochoczo tajniak. -- Żeby uspić twoją czujność. I udało się!

--W takim razie nie rozumiem, panie pułkowniku, czemu ma służyć to przesłuchanie. Jeśli chcecie mnie po prostu rozstrzelać, po co robić tyle zamieszania? Sam pan twierdzi, że ma pan wystarczająco dużo dowodów. To znaczy, że jest jednak coś, czego nie wiecie. Mam rację?

--Doprawdy, mniej cierpliwy i mniej ludzki funkcjonariusz już dawno zastosowałby wobec pana przesłuchanie trzeciego stopnia. -- Tajniak westchnął obłudnie. -- Interesuje mnie pańska działalność na Nowym Krymie, Fatiejew.

--Moja podróż służbowa?

--Przestańcie, eksporteurze. Wiem, wiem, wszystkie pańskie dokumenty są w najlepszym porządku, nie ma nic, do czego można by się przyczepić. Stemple komendantur, kas wojskowych i co tylko można sobie wyobrazić. Ktoś inny nie miałby nawet cienia wątpliwości, że faktycznie przebywał pan w delegacji. Pod warunkiem oczywiście, że ten ktoś ograniczyłby się do elektronicznego śladu, przekonany, że podrobienie tych danych jest niemożliwe. Ale my obserwowaliśmy pana od samego początku. Wiemy, że opuścił pan Kappę na pokładzie statku przemytników, którzy lecieli do Nowego Krymu. W Berlinie nadal jest ogromne zapotrzebowanie na wasze polzuny. Później straciliśmy pana z oczu; nasza agentura na Nowym Krymie wykazała się brakiem profesjonalizmu. Niechże pan doceni moją szczerłość, Fatiejew. Opowiadam to wyłącznie w tym celu, aby nie myślał pan, że blefujemy.

Chyba rzeczywiście nie blefowali.

Cóż, w takim razie zmienimy taktykę.

--Panie pułkowniku, odpowiedź na pańskie pytanie jest bardzo prosta: zawsze i wszędzie, na miarę swoich sił, walczyłem z największym wrogiem Imperium, słynną Darianą Dark.

--Ach, tak? -- Tajniak aż podskoczył na krześle. -- Więc przyznajesz się, że byłeś na Nowym Krymie?

--Nie mam się do czego przyznawać, panie pułkowniku. Może pan rozumieć moje słowa w dowolny sposób. Pragnę tylko dać panu do zrozumienia, że w każdej chwili mogę odejść tam, gdzie mnie nie dostaniecie.

--Wszyscy to mówicie. Ale nie przejmuj się, mamy świetnych specjalistów, ściągną cię choćby z tamtego świata. No dobrze, a teraz poproszę o garść szczegółów na temat twojej działalności w Nowym Sewastopolu.

--Już powiedziałem. Moim celem było zorganizowanie powstania przeciwko Darianie Dark.

--W jakim celu?

--Nie chciałem, żeby doszło do całkowitego zniszczenia mojej planety podczas operacji pacyfikacyjnej Imperialnych Sił Zbrojnych. Sądziłem, że śmierć Dariany Dark zapobiegnie inwazji.

--Interesujące -- zauważył tajniak. -- I jak udało ci się przekonać Vallensteina, żeby wysłał cię w taką delegację?

--Nie wysłał mnie. Jego podpisy zostały podrobione.

--Elektroniczne również? -- wykrzyknął tajniak z udawaną zgrozą. Najwyraźniej świetnie się bawił.

--Ochrona absolutna nie istnieje.

--Świetnie. Doskonale. Przy okazji poproszą cię o zademonstrowanie sposobów tego fałszerstwa. -- Uśmiechnął się złośliwie. -- I co było potem?

--Potem nie udało mi się zlikwidować Dariany Dark...

--Należało się tego spodziewać.

--...i wróciłem do swojej brygady, gdy Tannenberg wylądował na Nowym Krymie.

Przedstawiłem wtedy podrobione podpisy.

--No, no, całkiem przyjemna legenda. -- Tajniak pokiwał głową. -- Robi wrażenie nawet na mnie. Co dalej?

--Służyłem, panie pułkowniku. Uczestniczyłem w walkach na Omedze-8, a potem na Kappie.

--To już wiemy, jak się pewnie domyślasz... A jak wyjaśnisz twoje, no i pani Patters, zdumiewające szczęście w czasie starć z Rojem? Cała brygada o niczym innym nie mówi.

„Cała brygada” nie mogła tego wiedzieć. Dla większości Rój z niezrozumiałych przyczyn atakował wyłącznie jeden punkt.

--Jak wynika z zeznań szeregowców twojej kompanii, a więc ludzi, którzy byli w okopach obok ciebie, ty i sierżant Patters w odróżnieniu od innych wcale się nie ukrywaliście, raczej próbowaliście doprowadzić do tego, by mordercze stworzenia zobaczyły was i poczuły.

--Zaobserwowaliśmy, że Rój idzie na żywca.

--Doprawdy, nic innego, tylko przebłysk geniuszu. -- Tajniak uśmiechnął się wrednie. -- Ale może zainteresuje cię fakt, że nikomu innemu podobna sztuczka się nie udała.

--Może wybrano niewłaściwych ludzi? -- Wzruszyłem ramionami. -- Nie rozumiem tylko, dlaczego miałbym za to odpowiadać.

--Na początek odpowiesz za dezercję. -- Gestapowiec w skupieniu naciskał jakieś klawisze na swoim pulpicie.

--Za dezercję grozi sąd trybunału wojennego w składzie: dowódca brygady, naczelnik sztabu i bezpośredni przełożony dezercera. Śledztwo w trybie przyspieszonym. Wyrok: rozstrzelanie. Po co takie komplikacje, panie pułkowniku?

Teraz powinien próbować mnie kupić -- gdyby rzeczywiście zależało im na mojej śmierci, byłbym już garstką stygnącego popiołu.

--Mam bardzo mało czasu, Fatiejew. Niestety, aresztowanych jest więcej niż wykwalifikowanych śledczych z odpowiednim dostępem. Dlatego na razie będę musiał zostawić cię w rękach specjalistów o nieco innym profilu. -- Wskazał głową milczącą trójkę. -- Jeśli zapragniesz coś powiedzieć, nie krępuj się, wszystko jest nagrywane. Pierwsza sesja, jak zwykle, wstępna: zapoznanie z naszym arsenalem. Jeszcze do ciebie zajrzę.

Wstał i wyszedł. Dziwne... Przecież w czasie tortur najważniejszą rzeczą jest zadawanie właściwych pytań.

Zmusiłem się, żeby poczuć to zdziwienie -- słabe ciało już krzyczało niesłyszalnym krzykiem.

Za chwilę przekonam się na własnej skórze, jak to jest być niezłomnym bohaterem.

Trzech milczących ludzi w maskach, niewzruszonych i obojętnych, niespiesznie podzwaniało swoim instrumentarium.

--Jak zwykle, Georg? -- przerwał ciszę jeden z nich.

--Nie, zaczniemy od klasyki -- odparła druga maska wysokim, niemęskim głosem. -- Poproszę, Klaus, o zestaw numer 8, od jednej ósmej do jednej sześćdziesiątej czwartej.

--Obiekt ma dziwne palce, może nie zadziałać od razu...

--Przy jednej ósmej zadziała u każdego -- uspokoił go Georg.

Znowu pobrękiwanie.

Strach płynął w moich żyłach, rozchodząc się po całym ciele, przenikając do każdej komórki. Co zrobić, widocznie zmutowano mnie w niewystarczającym stopniu. Nie można nie bać się bólu, to bezwarunkowy instynkt samozachowawczy. Nie można go nie czuć -- ale można go pokonać, życząc sobie jeszcze większego bólu.

Podobno.

Ciekawe, czy ci, którzy tak twierdzą, sprawdzali tę metodę na sobie.

--Jedna sześćdziesiąta czwarta, Hans. Klaus, uchwyt i dezynfekcja.

Psykanie. Chłodny obłok otula moje palce. Znowu pobrękiwanie. Miękki uścisk.

--Opaska. Mikrometr. Dziękuję, Hans, zaczynamy. Filtry uszne na trzy. Raz... dwa... trzy!

Runęła na mnie fala bólu i świat rozpadł się na kawałki. W takich chwilach przydałaby się umiejętność tracenia przytomności na życzenie.

Krzyk uderzył o sufit i spadł.

--Trzy milimetry, Georg.

--Pięknie. Jeszcze raz jedną sześćdziesiątą czwartą, Klaus.

Płuca wypluwają wciągnięte z takim wysiłkiem powietrze.

--Cztery milimetry.

--Jedną trzydziestą drugą, Klaus.

--Arytmia... znowu. Serce...

--Stymulator, trzy milimetry sześciennie.

--Druga na dwóch milimetrach.

--Zatrzymaj się...

Błogosławiona ciemność. Skaczę w nią, bo wiem, że tam jest ratunek.

--Fatiejew!

Ten sam pokój. Ja w tej samej pozycji. Ten sam pułkownik. Trzech mężczyzn w maskach, ręce odstawione na bok, rękawiczki i kombinezony upaprane czymś czerwonym. To znaczy moją krwią, tłumaczę sobie tępo.

Dziwne, ale nic mnie nie boli... No tak, za to nie czuję rąk. Próbowiałem poruszyć placami -- bez efektu. Jakby amputowano mi dłonie.

--Zablokowano ból -- wyjaśnił tajniak, widząc moje próby. -- Zaraz postawią cię na nogi.

Milczałem. Czegoś ode mnie chcą. Chcą ode mnie. Ode mnie. Chcą.

Nic nieznaczące słowa tłuką się po świadomości, odbijając się od siebie jak kule bilardowe.

Tajniak pochylił się, zajrzał mi w oczy i wykonał jakiś szybki gest.

Jeden z oprawców zrobił krok do przodu. W ręku miał strzykawkę.

Doszedłem do siebie dopiero, gdy wsadzali mnie do samochodu jacyś ludzie w czarnych kombinezonach z dwiema błyskawicami na kołnierzu.

Transporter opancerzony długo krążył po ulicach, w końcu wyjechał z miasta. Nie wiem, jak długo trwała podróż -- może kilka godzin. Byłem jakby w półśnie. Marzły mi dłonie. Tajniak siedział obok mnie, podtrzymując mnie troskliwie jak brat.

Wreszcie żelazna trumna stanęła i otworzono pancerny właz. Ujrzałem ciemność i ostre światła latarni. Ujęto mnie pod rękę, zaprowadzono do jakiegoś pomieszczenia.

--Fatiejew -- powiedział ktoś niegłośnie. -- Słyszysz mnie pan, Fatiejew?

--Słyszę -- odpowiedziałem odruchowo. Dlaczego nie czuję dłoni?

--Może pan mówić? Widzi mnie pan?

--Nie -- odparłem. -- Coś się stało z moimi rękami...

--To dla pańskiego dobra. Ból byłby nie do zniesienia.

--Dość tego! -- przerwał mu drugi głos, niski i silny. Znajomy głos. Słyszałem go już... tylko gdzie?

--Rusłanie Fatiejew, nie będę się z panem bawił w ciuciubabkę. Nazywam się Adalbert. Arcyksiążę Adalbert.

Wpatruję się w ciemność oślepiionymi oczami. Posadzono mnie na krześle w jasnym kręgu światła, poza jego granicami jest mrok.

--Analiza twojej krwi dała niezwykle wyniki. -- Adalbert (a może człowiek o podobnym głosie) mówił ostrym, pewnym siebie tonem, jednocześnie ciał ręką powietrze. -- Rusłanie Fatiejew, nie jesteś człowiekiem.

Dokopali się. Ale jak? Czyżbym sam wskazał im drogę, gdy próbowałem wzmocnić swojego biomorfa? Stwór ukrywający się w chromosomach (albo gdzie indziej) wyrwał się z klatki. Mają go.

--Rusłanie Fatiejew, od twojej chęci współpracy może zależeć los Imperium.

--Mam to gdzieś -- odparłem. -- Załatwcie się sami.

Człowiek podający się za Adalberta roześmiał się.

--To nieprawda, Fatiejew. W przeciwnym razie byłbyś z Darianą Dark, a nie z nami.

--Nie jestem z wami, bez względu na to, kim jesteście.

--Jesteś z nami -- powtórzył z naciskiem głos. -- Pomogłeś zniszczyć Rój na Kappie-4.

--Czego wy ode mnie chcecie? -- Czulem się okropnie zmęczony. Blokada nie dopuszczała do świadomości bólu zmasakrowanych palców, ale płaciłem za to potworną słabością. Zamienił stryjek... Już chyba wołałbym czuć ból niż to zmęczenie dwustuletniego starca.

--Chcemy prawdy. Chcemy się dowiedzieć, kim jesteś i jak kierujesz Rojem.

--Nie umiem kierować Rojem.

--Nieważne, jak to nazwiesz. Potrafisz ściągać go na siebie, sierżant Patters również. Widziała to cała brygada. We krwi Patters znaleźliśmy te same komponenty. Dobraliście się w korcu maku.

--Gratuluje -- powiedziałem słabo. Język i wargi nie chciały mnie słuchać.

--Niektórzy z moich ludzi uważali, że powiesz wszystko w czasie przesłuchania. Nie powiedziałeś.

--Albo macie za mało szczęścia, albo kiepskich specjalistów -- mruknąłem. Nielatwo ironizować w mojej sytuacji.

--Mamy wspaniałych specjalistów -- zapewnił mój rozmówca. -- Ale ty po prostu zacząłeś umierać i żadne preparaty nie mogły tego powstrzymać. Gdy przerwano przesłuchanie,

symptomy ustaly. Dobrze mówię, doktorze?

--Ekscelencja ma absolutną rację -- zaszeleścił inny głos, ociekający wazeliną. -- Ostra niewydolność serca, która...

--Wystarczy -- przerwał mu rzekomy Adalbert. -- Dlatego właśnie postanowiłem porozmawiać z tobą osobiście, Fatiejew. Mam wiele spraw, ale teraz to ty jesteś najważniejszą z nich.

--Dziękuję -- powiedziałem. Czego oni chcą?

--Ktoś mi dał dobrą radę -- kontynuował arcyksiążę (jeśli to był on). -- Wyłożyć karty na stół, jak mawiano przed wiekami.

--Nie widzę pańskiej twarzy -- zauważyłem obojętnie. Zapadła cisza, a potem odezwał się cichy głos. Widocznie myśleli, że nie usłyszę. Mylili się.

--Wasza wysokość! Odsłonięcie twarzy...

--*Donnerwetter*, odsłoniłbym twarz przed samym diabłem, żeby tylko skończyć z tym piekłem!

--Ależ ekscelencjo! Arcyksiążę!

Spór trwał dość długo.

--Spójrz, Fatiejew -- usłyszałem w końcu.

Mężczyzna zrobił krok do przodu, za moimi plecami zabłysło światło.

--Rzeczywiście przypomina pan arcyksięcia. -- Staralem się, żeby zabrzmiało to w miarę spokojnie.

--Bo nim jestem -- powiedział posępnie regent. -- Nie udawaj, Fatiejew.

Faktycznie, po co miałbym udawać? Skoro jego ekscelencja rzeczywiście poświęcił swoje incognito...

--Jaką ma pan do mnie sprawę, ekscelencjo?

--Skąd się wzięła ta domieszka biomorfa? -- zagrzmiał Adalbert.

Trzeba przyznać, że w średniowieczu byłby z niego wspaniały władca. W każdym razie, gdyby na polu bitwy załamywała się rycerska konnica, usłyszałby go każdy piechur.

Mogłem oczywiście wytrzeszczyć oczy, udać zdumienie i wszystkiemu zaprzeczyć. Jak to, jaki biomorf? Ale czułem, że za chwilę będę musiał się z nim targować, w dodatku twardo i nieustępliwie, chciałem więc, by wiedział, że zdaję sobie sprawę z wagi moich słów. Dlatego powiedziałem prawdę.

--Efekt eksperymentu genetycznego.

--Kto go przeprowadził?

Uśmiechnąłem się.

--Ochotnicy, którzy stali się moimi rodzicami. Przyjemnie było ujrzeć na twarzy szlachetnie urodzonego regenta najprawdziwsze przerażenie.

--Ale... to... -- wyjąkał, gdy wreszcie doszedł do siebie. -- To po prostu aberracja, to wzgardzenie wszystkimi prawami, boskimi i ludzkimi... Imperium surowo zabrania klonowania ludzi!

Milczałem, obserwując jego twarz.

--W jaki sposób... -- zaczął arcyksiążę i urwał. -- Zresztą, teraz to nieważne. Ktoś okazał się bardziej przewidujący niż wszystkie wojskowe centra biologiczne razem wzięte. Czy możesz sterować biomorfami, Fatiejew?

--Nie, arcyksiążę, nie mogę. Mogę je tylko na siebie ściągać. Przywoływać swoją nienawiścią.

--To już sporo... -- rzucił Adalbert. -- Potrzebujemy twojej pomocy, Fatiejew. Imperium jej potrzebuje... jeżeli naprawdę jesteś zwykłym imperialnym oficerem, jak twierdziłeś całkiem niedawno.

--Skoro potrzebuje pan mojej pomocy, ekscelencjo, będzie pan musiał ją kupić.

Uśmiechnął się złośliwie.

--Kupić? Tylko tyle? A nie zapomniałeś czasem, gdzie się znajdujesz? Wystarczy, że moi...

--Jedyne, co zdołali załatwić pańscy specjaliści, ekscelencjo, to doprowadzić mnie do śmierci klinicznej. Nawet nie poczuję bólu, po prostu umrę. Z przyjemnością stwierdzam, że domieszka biomorfa daje człowiekowi pewną przewagę. Nie mogę zmienić się w ziejącego ogniem smoka, ale zdołam umrzeć, kiedy zechcę. A więc nie radzę się ze mną targować, arcyksiążę. I proszę nie mówić, że będę musiał ratować samego siebie, gdy wedrze się tu Rój. Nawet palcem nie kiwnę. Moja misja pozostanie niezakończona, ale przynajmniej zadam przeciwnikowi niepowetowane straty. Innymi słowy... -- W tej chwili załapała mnie fala wściekłości. -- ...Wszyscy zdechniecie tu razem ze mną. Całą górkę spisku szlag trafi i niech biomorfy udławiają się waszą aryjską krwią. Ja umrę w spokoju.

Zapadła martwa cisza.

--Czego zatem chcesz? -- Adalbert próbował przywołać na swoją twarz sarkastyczny uśmiech, ale kiepsko mu wyszło. Pomyślałem, że sprawy nowego władcy Imperium rzeczywiście nie wyglądają najlepiej.

Wyrecytowałem wyuczoną dawno temu formułkę, która niegdyś, gdy wydawała się uosobieniem naszych marzeń, brzmiała tak dumnie:

--Wolność dla mojej planety. Niezależność. Żadnych imperialnych garnizonów, nasze własne siły zbrojne, nieingerencja w politykę wewnętrzną. Wolny handel. Przekazanie nam środków bojowych floty imperialnej, wystarczających do zadania znacznych strat napastnikowi. To na wypadek, gdyby w przyszłości jakiś imperator... albo regent... uznał, że nie czuje się związany żadnymi umowami. Poza tym wolność dla wszystkich, których aresztowano razem ze mną: pułkownika Vallensteina, majora Dietricha Möchbaua i Rudolfa Bulowa, a także dla więźniów politycznych Swaarga. Ponadto amnestia dla wszystkich uczestników drugiej obrony Warszawskiej, którzy jeszcze żyją, oraz...

--To nie podlega kwestii. -- Adalbert zniecierpliwiony machnął ręką. -- Z nimi sprawa jest jasna, Fatiejew, ale reszta...

Moje żądania wydają się wam banalne, prawda? Tak, to właśnie planowaliśmy. Wolność dla małego kawaleczka Rosji, który udało nam się zachować. Nie powszechny dobrobyt i ogólna szczęśliwość, oraz, w ramach bonusu, pomyślność dla wszystkich. Ojciec nauczył mnie, że człowiek powinien stawiać przed sobą wysokie cele, jednak musi umieć zauważyć, gdy osiągnie maksymalny w danej sytuacji rezultat. Myśleliśmy, że będziemy dążyć do tego celu przez długie lata, może nawet dziesięciolecia, byliśmy przygotowani, że nie ujrzymy owoców swojej pracy. Dlaczego teraz, gdy Imperium chciało się targować, nie miałbym skorzystać z okazji?

Naiwność? A może przypomnicie mi, że Trzecia Rzesza nigdy nie zawracała sobie głowy przestrzeganiem umów i paktów? Dlaczego miałbym spodziewać się, że dotrzymają słowa jej duchowi kontynuatorzy, którzy z taką starannością kreślą swastykę w laurowym wieńcu?

Jedna niewielka planetka nigdy nie zdoła stawić oporu ogromnemu Imperium. Kilka ultranowoczesnych monitorów i niebo wypełnione platformami niczego tu nie zmienia. Imperium zawsze zdoła się przedrzeć.

Na co liczyłem? Nowy Krym to przecież nie Szwajcaria, nie dogodny przyczółek w rozgrywce potężnych sił. Ale podobnie jak Szwajcaria potrzebna była Trzeciej Rzeszy, tak Nowy Krym może stać się potrzebny Imperium.

Brzmi odrażająco i plugawo? Niestety, nie jesteśmy Dawidem, a Imperium nie jest Goliatem. Nie możemy pozwolić sobie na piękną śmierć na ostatnich rubieżach -- właśnie dlatego, że jesteśmy ostatni. Ze stu pięćdziesięciu milionów ludzi mówiących po rosyjsku po upływie dwóch wieków została zaledwie garstka. Gdzie pozostali? Rozproszyli się, zasymilowali, utracili pamięć, zapomnieli języka. Przyjęli „ogólnoimperialność”, wielu zmodyfikowało nazwiska.

A więc zamknijcie się wy, miłośnicy pięknych i pustych haseł, że lepiej umrzeć stojąc niż żyć na kolanach. Zamknijcie się. To kwestia ostatniego imperatywu. Czy mój naród jest godzien, by żyć, czy mój język jest godzien, by przetrwać? Czy jest tego godna pamięć o pokoleniach przodków, zwycięstwach i klęskach, wzlotach ducha, o wszystkim, co sprawia, że jesteśmy narodem? A może ostatni Mohikanie powinni stanąć do walki bez żadnych szans na zwycięstwo i polec?

Gdy się upadnie, można wstać.

Jak powiedział dawno temu Tolstoj:

Jeśli przydarzy się im nieszczęście

Potomkowie je pokonają

Bywa też, dodał książ-słoneczko,

Niewola zmusza, by przejść przez błoto,

W którym kąpać się mogą tylko świnie!

Ktoś twierdzi, że gdy się upadnie, można tylko umrzeć.

Ktoś mówi: „Byłoby lepiej, gdyby pięknie polegli!”

Ktoś lubi wspominać dumnych Indian Ameryki Północnej.

Sądźcie mnie teraz, wielbiciele „ostatniej walki”.

--Nie zapytasz nawet, po co jesteś nam potrzebny, Fatiejew?

--Spodziewam się, że w końcu mi pan powie.

Podszedł bliżej. Miał na sobie tradycyjny dla imperatorskiej rodziny czarny mundur wojsk pancernych.

--W ostatnich godzinach wiele się wydarzyło -- rzekł półgłosem. Widać było, że słowa przychodzą mu z trudem. -- Nie wszyscy oficerowie... zaakceptowali fakt, że jestem regentem.

Też mi nowina, pomyślałem.

--Niektórym z nich... udało się skłonić powierzone ich dowództwu oddziały do nieposłuszeństwa.

Aha, czyli Vallenstein znalazłby więcej stronników, niż sądziłem, a безпеaka zadziałała nieprofesjonalnie. Nie zdołali odizolować wszystkich potencjalnych buntowników...

--W chwili obecnej trwają zaciekle walki... w rejonie rezydencji imperatorskiej oraz... w innych miejscach, bardzo ważnych dla normalnego funkcjonowania Imperium.

Za plecami arcyksięcia rozległy się niespokojne szepty.

--Milczeć! -- warknął, nie odwracając się. -- A w dodatku ci przekłęci powstańcy wrzucili nam tutaj biomorfy!

Bo ci uwierzę, mruknąłem w myślach. Biomorfy musiały znaleźć się akurat w rejonie rezydencji Imperatora, otoczonej przez zbuntowane dywizje! Już prędzej sam Adalbert sięgnął po ostatnią rezerwę.

--Rozumiem -- powiedziałem powoli. -- Ochrona pałacowa, rozleniwiona i spasiona, stanęła oko w oko z zahartowanymi w bojach weteranami i pański osobisty pułk padł. A tu jeszcze Rój, który nie wiadomo skąd się wziął..

Oczywiście mogłem powiedzieć wprost, że domyślam się, jak było naprawdę, ale woląłem na razie tego nie okazywać.

--Otóż to. Zresztą niech pan sam popatrzy. -- Arcyksiążę westchnął. -- Hej tam, projektor!

To były bardzo porządne zdjęcia holograficzne.

Ujrzałem zielone ogrody Sans-Souci. Po zatwierdzeniu Imperium stary zamek Fryderyka Wielkiego przestał pełnić rolę muzeum i ponownie stał się ulubioną rezydencją cesarza, przy czym teren nieco rozszerzono, dodając spory fragment Poczdamu. Teraz wokół rezydencji wznosiły się słupy dymu, widoczne były wybuchy. Zdaje się, że buntownicy nacierali na Sans-Souci ze wszystkich stron.

A pod starożytną kopułą wisiał szeleszczący skrzydłami Rój, najgęściejszy ze wszystkich, jakie miałem okazję oglądać. Ciągnęły się od niego jakby rękawy -- w miejscach, gdzie co chwila rozbłyskiwały wybuchy.

--Atakuje wszystkich. Moje wojska i oddziały buntowników.

Czyżby wyrwał się spod kontroli? -- pomyślałem złośliwie.

A głośno powiedziałem:

--Jakim cudem Rój się tu znalazł?

--O to należałoby zapytać mój sztab -- powiedział posępnie arcyksiążę, ale jego głos wydał mi się nieszczery.

Oczywiście, powinienem zadawać zupełnie inne pytania. Dlaczego w ogóle zdecydowano się użyć Roju? Jak planowano nim kierować, a przede wszystkim -- jak chciano się go potem pozbyć?

--Czego pan ode mnie oczekuje, ekscelencjo?

--Czytałem raporty o działaniach bojowych na Kappie-4, Fatiejew. Ty i Patters ściągaliście na siebie Rój, zresztą sam to potwierdziłeś. Proszę cię... tak, tak, proszę... żebyś zrobił to samo tutaj, abyśmy mogli zniszczyć go tak, jak zniszczyła brygada Tannenberg. Dziwi cię, że zwracam się do ciebie nie z żądaniem, a z prośbą?

--Szczerze mówiąc, nie za bardzo, ekscelencjo. Czy mógłbym porozmawiać z panem... bez świadków? W takim miejscu, gdzie na pewno nie będzie pluskiew, również tych umieszczonych przez ludzi, którym przywykł pan ufać?

Arcyksiążę popatrzył na mnie wściekle.

--Możesz mówić tutaj.

Zerknąłem znacząco na ciemność za plecami Adalberta.

--Dobrze -- ustąpił niechętnie. -- Chodź za mną.

Znaleźliśmy się w ciasnym bunkrze z fałszywymi oknami-ekranami. Za nimi niebezpiecznie

blisko wisiał Rój. Adalbert skrzywił się i opuścił rolety.

--Nie mogę na to patrzeć.

Jasne, teraz będzie odgrywał przede mną komedię.

--Czy mogę na początek spytać, co z sierżant Patters?

--Po pierwsze, ekssierżant. Po drugie, czy ściągnąłeś mnie tu wyłącznie po to, żeby o to zapytać?

--Nie, ekscelencjo. Po prostu nie chciałem dawać pańskim ludziom dodatkowych argumentów za zlikwidowaniem mnie.

--Ach, tak! -- prychnął Adalbert. -- I cóż to za argumenty?

--Ekscelencjo, potrzebuje pan mojej pomocy. W zamian chciałbym otrzymać kilka uczciwych odpowiedzi.

--Gdzie jest wiele mądrości, tam jest wiele cierpienia*, [jak słusznie zauważyli starożytni, nieprawdaż, Fatiejew?](#)

--Mam na ten temat inne zdanie, arcyksiążę. Nie interesuje mnie pański przewrót, ale biomorfy... Nie chciałbym, żeby wprowadzano mnie w błąd. Rój wypuszczono na pański rozkaz, prawda? Gdy sytuacja obrońców Sans-Souci stała się beznadziejna, gdy wszystkie tajne kryjówki zostały zajęte, co nie powinno dziwić, zważywszy, że przeciwko panu zwróciła się część wyższej arystokracji, znająca wszystkie zakamarki starego zamku, postanowił pan wyłożyć ostatniego asa. Adalbert spojrział mi w oczy.

--Powiniem cię albo rozstrzelać, albo zrobić kanclerzem Rzeszy -- powiedział powoli. -- Wiem, że nie masz żadnych dowodów, zresztą nie możesz ich mieć, i długo moglibyśmy przerzucać się pustymi słowami, niczym adwokaci w procesie rozwodowym gwiazdy mediów. Ale ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy, Fatiejew, jeśli faktycznie możesz jej udzielić. I dlatego powiem otwarcie: masz rację. Rój został specjalnie wyhodowany tu, na Ziemi. Próbkę otrzymaliśmy od Dariany Dark.

--Inwazja kontrolowana, ekscelencjo?

--Co, co? Ach, rozumiem. Można to i tak nazwać, nie będę zaprzeczał. Odgadłeś prawie wszystko. Ale to nie ja wydałem rozkaz wypuszczenia tych stworów -- powiedział Adalbert, jakby na swoje usprawiedliwienie. -- Prowadzone jest teraz śledztwo w celu wyjaśnienia wszystkich okoliczności tego incydentu.

Ha! Czy arcyksiążę chce mi wmówić, że miejsce, w którym trzymano gotowe do walki biomorfy, nie było zamknięte na sto zamków, a klucze nie znajdowały się pod jego poduszką? Nigdy w to nie uwierzę. Idę o zakład, że wypuścił je sam, gdy się okazało, że ochrona pałacowa nie radzi sobie z buntownikami. Ciekawe swoją drogą, jak buntownicy zdołali dostarczyć na pilnie strzeżoną Ziemię tyle wojska? Pewnie nie obeszło się bez wtyczki w bezpośrednim otoczeniu arcyksięcia.

--Rój zabija wszystkich -- ciągnął ponuro Adalbert. -- I rozprzestrzenia się jak pożar lasu. Gdy więc poznałem wyniki analiz twojej krwi...

Nie miałem wątpliwości, że Adalbert wiedział więcej, niż chciał okazać. Zbyt szybko się domyślił, do kogo zwrócić się o pomoc, gdy Rój wyrwał się spod kontroli.

--Podalem moją cenę, ekscelencjo. Nie chce pan, to nie.

--Twoja planeta jest opanowana przez Darianę Dark!

--A co, nie może pan wydać jej rozkazu, arcyksiążę?

Specjalnie nie nazywałem go Jego ekscelencją". Adalbert tylko się krzywił, starannie udając, że niczego nie zauważa i w ogóle jest ponad to.

--Gdybym mógł -- wycedził przez zęby -- to czy nie polecilibym jej, żeby wreszcie przerwała cały ten obłąd?

--Niech pan przestanie kłamać -- powiedziałem zduszonym głosem. -- Dariana Dark wyrządziła panu ogromną przysługę. Czy bez jej wojny i biomorfów mógłby pan odegrać rolę zbawcy ojczyzny?

Oczy Adalberta zwężyły się, ale szybko się opanował.

--Za dużo gadasz, Fatiejew. Nie ukrywam, skąd się tu wzięła aktywna biomasa... w swoim czasie Dariana Dark rzeczywiście współpracowała z wywiadem imperialnym. Ale potem chyba zwariowała, urządziła powstanie, stworzyła tę ich Federację... Nie odpowiadała na wezwania z

Berlina, a nasi ludzie w jej otoczeniu zostali zlikwidowani, i to w wyjątkowo bestialski sposób... w porównaniu z nim komora gazowa mogłaby się wydać dobrym uczynkiem. Jak widzisz, jestem z tobą zupełnie szczery. Potem odsunęliśmy cesarza, ponieważ...

--Ponieważ ktoś zateęsknił za teorią rasową, za nadludźmi i podludźmi, za obozami koncentracyjnymi i żółtymi gwiazdami Dawida na ubraniach?

--Tylko nie teraz! -- ryknął Adalbert. -- Najpierw trzeba załatwić Rój, a dopiero potem...

--Nie będzie żadnego potem, ekscelencjo. Jeśli rzeczywiście postanowiliście odrestaurować Trzecią Rzeszę pod przykrywką modernizacji Czwartej, to wolę, żeby zajął się wami Rój.

Adalbert milczał dłuższą chwilę.

--A jeśli powiem, że nie miałem zamiaru robić nic podobnego? Że wszystko było obliczone wyłącznie na ekstremistów z Legionu Aryjskiego?

--Ach, tak? A co będzie, jeśli pańscy stronnicy zrozumieją, że nie ma pan zamiaru urzeczywistniać ich najskrytszych tęsknot? Może znajdą inną figurę, którą osadzą na tronie?

--W odróżnieniu od Jego Imperatorskiej Wysokości, ja nie jestem słabeuszem! -- huknął arcyksiążę. -- I nie dopuściłbym do katastrofy...

--Szkoda słów, ekscelencjo. Zna pan moje warunki. Proszę dołączyć do nich bezwarunkową likwidację wszystkich zapasów aktywnej biomasy. W przeciwnym razie ludzkość przestanie istnieć.

Adalbert skrzywił usta w gorzkim uśmiechu.

--Teraz mogę ci obiecać, co tylko zechcesz, nawet stanowisko kanclerza, o którym wspomniałem. Ale czy to wystarczy, żebyś ściągnął Rój na siebie?

--Zadowolę się pismem regenta, ze wszystkimi podpisami i pieczęciami, których nie można podrobić. Pismo ma zawierać zobowiązanie wyzwolenia Nowemu Krymu, zniszczenia biomorfów znajdujących się na Ziemi i innych planetach kontrolowanych przez Imperium i tak dalej. Ponadto chciałbym również dostać poświadczoną przez pana opowieść o współpracy z Darianą Dark, o teorii i praktyce inwazji kontrolowanej... Posłuży mi jako gwarancja, słaba, ale zawsze. Myślę, że arystokracji nie uszczęśliwiłoby opublikowanie tych informacji.

Adalbert skrzywił się.

--Dobrze -- rzekł wreszcie. -- Dostaniesz wszystko, o co prosisz. Ale niestety nie mogę dać ci do pomocy pani Patters. Znajduje się w stanie śpiączki po... po siłowych metodach przesłuchania.

--To niedobrze. -- Postarałem się, żeby moja twarz nie wyrażała żadnych emocji. -- We dwójkę działalibyśmy znacznie efektywniej.

--Rozumiem. Ale nasi specjaliści... trochę za bardzo się postarali. Poza tym nie mogli przecież uwzględnić obecności... komponentu biomorficznego.

--I co dalej, ekscelencjo? Po tym, jak już pozbędziemy się Roju? Przecież pańscy przeciwnicy nadal atakują.

--Zaproponowałem im zawieszenie broni pod warunkiem wspólnej walki z biomorfami. Są świadomi, że Rój atakuje zarówno moje, jak i ich oddziały.

--I zgodzili się? Nie postawili żadnych warunków co do, hm, dalszego ustroju państwa?

--Za kogo ty ich masz, Fatiejew? Oczywiście, że postawili! Co prawda, zgodzili się z wieloma moimi argumentami. Imperator wraca na tron, ale ja pozostaję dożywotnim regentem.

--Co na to inni spadkobiercy? Książę Zygfryd?

--Zastanów się dobrze, Fatiejew. Zdaje się, że w historii twojego kraju również był podobny przypadek, co? Tylko że u nas nie przelano krwi członków rodziny panującej. Nie musiałem zbytnio wyęźać pamięci.

--Zabójstwo Pawła I?

--Dokładnie. -- Adalbert skinął głową. -- Ja też studiowałem waszą historię, Fatiejew. A więc jego wysokość książę Zygfryd jest fanatycznym wielbicielem Trzeciej Rzeszy. Na jego biurku stoi portret Adolfa Hitlera, co, jak sądzę, daje wiele do myślenia, choć nie należało do tej pory głośno o tym mówić. Mam kontynuować?

Przyznają, że trochę zbiło mnie to z tropu. Książę Zygfryd przez długie lata był chyba najbardziej zagadkową postacią z rodziny imperialnej. Pokazywał się wyłącznie z okazji wszechpartyjnego zlotu patriotów reakcjonistów, zajmujących się rekonstrukcją słynnych bitew narodu niemieckiego i austro-węgierskiego. Nigdy w nich jednak nie uczestniczył, zasiadał w łoży dla honorowych gości i nikt nie zwracał uwagi na jego obecność...

A teraz się okazuje, że niesłusznie.

--Nie sądzi pan, Fatiejew, że o tych sprawach będziemy mogli porozmawiać później? Teraz trzeba przede wszystkim zlikwidować Rój.

--Na co pan właściwie liczył, gdy go pan wypuszczał?

Adalbert odwrócił się, nie wytrzymując swojego spojrzenia.

--Dariana Dark przeprowadzała demonstrację z krótko żyjącymi formami bojowymi. Biomorfy wykluwały się, pożerały co się dało, a potem umierały. A teraz okazało się, że ta sprawa wygląda zupełnie inaczej...

--Wprowadzając was w błąd, Dariana miała w tym swój cel.

--O, nie wątpię. -- Arcyksiążę odważył się wreszcie spojrzeć mi w oczy. -- Co masz zamiar zrobić, Fatiejew? Ja, władca ogromnego Imperium, rozmawiam tu z tobą, zdradzając ci tajemnice państwowe, ponieważ obaj nie mamy wyjścia. Albo my zniszczymy Rój, albo on zniszczy nas. Nie wiem, na co liczy Dariana...

--Na swoją kontrolę nad biomorfami. Chociaż, moim zdaniem, nikt nie jest w stanie zapanować nad nimi całkowicie.

Regent pokiwał głową.

--Przyjmuję twoje warunki, ale pozwolę sobie przypomnieć, że Rój właśnie szturmuje ten bunkier. Stalowe drzwi rozpuszczą kwasami, żelazobeton przegryzą... Utrzymamy się jeszcze przez jakiś czas, ale niezbyt długo. Dlatego jako pierwszy krok, że tak powiem, gest dobrej woli... -- Rozpiął kaburę na pasie. -- Weź. To mój osobisty, z pełnym magazynkiem. Twoi aresztowani towarzysze zaraz tu będą.

--Doceniam pańskie zaufanie, arcyksiążę -- powiedziałem powoli, ostrożnie biorąc broń zabandażowanymi palcami. Przyznaję, że przez chwilę czulem przemożną pokusę wpakowania kulki w sam środek czoła mojego rozmówcy. -- Zacznę działać, gdy tylko zobaczę pułkownika Vallensteina oraz Gilvy Patters, bez względu na to, w jakim stanie się teraz znajduje.

--Znakomicie, Fatiejew. W takim razie proponuję, żebyśmy wrócili do pozostałych.

Pułkownik Joachim von Vallenstein wyglądał kiepsko. Najwyraźniej zastosowano wobec niego techniki metod siłowych, włącznie z tymi najbardziej prymitywnymi -- pod oczami pułkownika widniały ciemne siniaki.

--Panie pułkowniku! -- Spróbowałem strzelić obcasami, ale słabo mi to wyszło.

Spocznijcie, poruczniku -- odpowiedział równie formalnie Vallenstein. Brakowało mu dwóch przednich zębów; gdy mówił, pogwizdywał i seplenił.

--Pułkowniku -- rzekł arcyksiążę -- czy zdoła pan porozmawiać ze mną spokojnie, bez histerycznych uwag na temat wierności domowi panującemu?

Vallenstein uniósł podbródek.

--Moja wierność domowi panującemu nie jest przedmiotem dyskusji, ekscelencjo.

--Może w takim razie weźmie pan na siebie negocjacje z nacierającymi na Sans-Souci? Ustaliliśmy już z Fatiejewem, że pomoże nam powstrzymać Rój, żebyśmy mogli pokonać go wspólnymi siłami.

--To prawda, Rój należy powstrzymać bezzwłocznie -- przyznał Vallenstein. -- Pragnę tylko zauważyć, ekscelencjo, że to, co przeżyłem tu niedawno, nie zwiększa mojego zaufania do pańskich celów i środków.

Mimo woli zerknąłem na swoje zabandażowane ręce. Dobrych tu mają anestezjologów...

--Nie mamy czasu na podobne spory, Vallenstein. Skoro nie rozumiesz, dokąd prowadził Imperium mój biedny wujaszek... -- Adalbert prychnął pogardliwie. -- To dobry, łagodny człowiek, wspaniała głowa rodziny, no i okropnie rozpieszczał księcia Zygryda. W rezultacie bredzi o spisku Żydów i o tym, że Trzecia Rzesza została oczerniona przez zwycięzców. To dla ciebie nowość, pułkowniku? Nie wierzę, nie udawaj. Masz wystarczająco dużo wpływowych przyjaciół przy dworze...

Vallenstein popatrzył na arcyksięcia zwężonymi złością oczami.

--Mówiłem to już Fatiejewowi -- ciągnął Adalbert -- powiem też tobie. Niech Legion Aryjski myśli, że osiągnął to, co chciał. Lepiej, żebym ja stał na czele Imperium, niż Zygryd, ponieważ ja...

Vallenstein odpowiedział coś ostro, zaczynała się zwyczajna kłótnia.

Odwróciłem się. W głowie narastał huk, jakby setki tysięcy maszyn do borowania ze wszystkich swoich mechanicznych sił wgrzyzały się w twardą skalę.

Rój torował sobie drogę do środka.

--Panowie -- odezwałem się, do nikogo konkretnie -- Rój będzie tu najpóźniej za kwadrans. Proponuję, żeby odłożyć te debaty na później. Przypominam tylko jego ekscelencji regentowi o obiecany piśmie.

--Pismo zaraz będzie -- rzekł Adalbert z miną człowieka podającym inkwizytorowi do podpisu własny wyrok śmierci. Szczeknął coś do komunikatora naręcznego.

W tym samym czasie ludzie w białych strojach, z nasuniętymi respiratorami, ostrożnie wtoczyli wózek z Gilvy Patters. Do wklutych w żyły wenflonów biegly przezroczyście rurki, cicho mrucał silniczek, przetaczając jakiś płyn. Gilvy wyglądała jak świeży nieboszczyk -- twarz nawet nie blada, lecz trupio sina, oczy głęboko zapadnięte, a białe wargi ściągnięte w cienką kreskę.

Na aparaturze mrugały liczne światełka, na monitorach pojawiały się zygzakowate linie.

--System podtrzymywania życia -- oznajmił jeden z białych fartuchów. -- Wentylacja płuc, krwiobieg, dializa, karmienie dożylnie... Stan jest stabilny. Ciężki, ale stabilny...

Dłonie Gilvy również były w bandażach.

--Wszystko gotowe. -- Adalbert stanął obok mnie. -- Mój adiutant już niesie żądane pismo.

Nie wiem, jak zamierzasz sprawdzić jego autentyczność, obawiam się, że będziesz musiał uwierzyć mi na słowo.

--Zadowolę się tym, co jest. Ekscelencjo, pozwoli pan, że pójdę przodem. Muszę wyciągnąć Rój na otwartą przestrzeń, wówczas pańscy ludzie będą mogli ostrzelać go z boku. Mam nadzieję, że pańscy obecni przeciwnicy włączą się do tej walki. Aha, byłbym wdzięczny, gdyby wydano mi pancerz.

--Oczywiście. -- Regent ponuro skinął głową. -- A pan, Vallenstein, nie może nie rozumieć, że...

Muszę teraz iść, Gil. Może mnie słyszysz... Może wyczuwasz moje słowa dzięki temu, co nas naprawdę łączy?

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na nieruchomą Gilvy i wszedłem w ciemny korytarz.

Nigdy przedtem nie byłem na Ziemi, a już zwłaszcza w imperialnej stolicy i w pilnie strzeżonym na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby Sans-Souci.

Jednak Nowy Krym nie mógł się równać ze starą kolebką ludzkości. Co prawda w tej chwili w powietrzu pełno było dymu pobliskich pożarów, śmierdziało spalonym mięsem zestrzelonych i spadających w ogień biomorfów. Ogień szalał na brzegach Haweli, pożar nie dotarł jeszcze do starych parków pamiętających czasy Fryderyka Wielkiego, idola obecnych cesarzy, ale płomień zbliżał się nieuchronnie. Niebo poczerniało od dymu i skrzydlatych bestii Roju. Z południa, od strony Charlottenhof, dobiegały odgłosy nieprzerwanej strzelaniny.

Z bocznych drzwi wybiegały postacie w pancerzach, wiele z nich miało na rękawach emblematy Legionu Aryjskiego.

Westchnąłem. Musiałem się skoncentrować, ściągnąć na siebie krążące w górze stwory.

Tym razem okazało się to znacznie trudniejsze. Rój słabo reagował na zew, rozpraszał się i nie od razu udało mi się go skłonić, żeby zaatakowała tylko mnie.

Ale w końcu mi się udało.

Wiadomości imperialne.

Wydanie specjalne:

--Zawarto porozumienie o przerwaniu walk w stolicy!

Jego Imperatorska Wysokość Cesarz zwolniony z aresztu domowego, wystąpił dziś ze specjalnym oświadczeniem o obecnej sytuacji i ewentualnych zmianach w prawie dziedziczenia tronu.

Jego Ekscelencja arcyksiążę Adalbert pozostaje regentem Imperium.

Jego Wysokość książę Zygfryd przez swojego rzecznika prasowego odmówił wszelkich komentarzy.

Bezpodstawnie aresztowani dowódcy wojskowi i wyżsi oficerowie zostali zwolnieni.

Oddziały i pododdziały Legionu Aryjskiego opuszczają Berlin.

Bundestag i partie polityczne rozpoczynają pracę.

Nie przewiduje się wszczęcia postępowania wobec kogokolwiek. Jego Wysokość Cesarz ogłosił bezwarunkową amnestię dla wszystkich uczestników ostatnich wydarzeń, bez względu na to, po której stronie stali.

A teraz inne wiadomości...

Byłem zdumiony, że wszystko skończyło się tak szybko. Wczorajsi wrogowie na wypródki przysięgali wierność wielkiemu Imperium. Cesarz rzeczywiście wystąpił z

oświadczeniem, że wszystkiemu winne było „tragiczne nieporozumienie między członkami rodziny imperialnej”. Rodziny poległych w tym incydencie szeregowych, młodszych oficerów oraz ochotników Legionu Aryjskiego otrzymają pełny pakiet świadczeń socjalnych. Jego ekscelencja regent spotkał się z wyższymi oficerami. Wokół Sans-Souci gaszono pożary, uprzątało sterty zwęglonych trupków -- Rój posłusznie przybył i pozwolił się zniszczyć.

Pistolet arcyksięcia pozostał u mnie.

Trzy dni spędziliśmy razem z Gilvy w szpitalu pałacowym. Próbowano się do mnie dostać tyłu odwiedzający, że prawie musieli ustawiać się w kolejce: Vallenstein, Möchbau, Bulow... Potem zaczęły napływać grubsze ryby, poczynając od generała feldmarszałka Huberta Lanza, który powrócił na stanowisko naczelnika wydziału operacyjnego Sztabu Generalnego.

Suchy, wyprostowany, z neodłącznym monoklem (który, jak sędzę, stanowił fetysz generalicji imperialnej) powitał mnie skąpym skinieniem głowy.

--Jak tam pańskie ręce, kapitanie?

--Przepraszam, panie generale, ale ja...

--Właśnie został pan awansowany na kapitana dekretem Jego Imperialnej Wysokości. - Lanz uśmiechnął się blado, kładąc na szafce obok łóżka niewielką paczkę, przewiazaną heraldyczną czerwono-biało-czarną wstęgą. -- Mam zaszczyt poinformować pana o tej łasce Jego Wysokości. I proszę, Fatiejew, bez szarż.

Zmusiłem się, by odpowiedzieć regulaminowym zdaniem.

--Jak tam pańskie ręce? -- powtórzył Lanz.

--Dziękuję, szybko się goją.

General znowu rozciągnął usta w grymasie. Nie chodziło nawet o to, że zmuszał się do uśmiechu, po prostu inaczej nie potrafił.

--Miałem szczęście, Ruslanie. Najpierw wzięli się za Obstfeller i von Lista. Dobrze, że nie zdążyli pójść dalej. Adalbert osobiście wstrzymał egzekucję, chyba rzeczywiście nie miał zamiaru posunąć się do takich czynów. Zwłaszcza że znikł Joachim von Darkmoore. Szukają go wszędzie, ale obawiam się, że ten typ ma sporo kryjówek.

--Dziękuję, że uznał pan za stosowne podzielić się ze mną tą informacją -- powiedziałem ostrożnie.

Lanz uśmiechnął się bladym cieniem normalnego uśmiechu.

--Przyszedłem do pana, Ruslanie, aby omówić operację, która być może stanie się najważniejszą operacją ostatnich lat lub w całej historii zamieszek, które wstrząsały Imperium.

Mimo woli zacisnąłem mocno palce na niewielkim, ciężkim tubusie, w którym trzymałem podpisane przez arcyksięcia zobowiązania.

--Zostałem poinformowany o pana negocjacjach z jego ekscelencją regentem -- kontynuował Lanz. -- Przyznaję, cena jest wysoka i mogę tylko mieć nadzieję, że nie wprowadzi pan systemu wizjazdowych. Przyznaję, że mam w tym osobisty interes. -- Znowu cień uśmiechu. -- Chciałbym jeszcze kiedyś odwiedzić Nowy Krym, jestem wielkim miłośnikiem waszego morza i waszej kuchni.

Nie odpowiedziałem, ale Lanza to nie stropiło.

--Biomorfy i cała historia z Rojem świadczą o przestępczym braku odpowiedzialności, można nawet powiedzieć, że był to najbardziej podły spisek przeciwko ludzkości. Imperium nie zazna spokoju, dopóki przyczyna tego zagrożenia nie zostanie odnaleziona i zlikwidowana.

Leży to również w pańskim interesie, Ruslanie. Nowy Krym znajduje się pod władzą Dariany Dark, która, o ile mi wiadomo, nadal przesiedla tam ludzi z planet-kopalń. To oczywiste, że ci górnicy będą za nią walczyć z żarem fanatyków. Trzeba zdawać sobie sprawę również z tego, że groźba genocydu na Nowym Krymie nie została odsunięta zbyt daleko.

--Nadal nie rozumiem, panie generale, jak mógłbym panu pomóc.

--Bez szarż, Ruslanie, bez szarż. Doniesiono mi o twoich... i pani Patters paranormalnych zdolnościach...

--Zapewniam pana, że nie ma w tym nic paranormalnego. Mechanizmy funkcjonowania biomorfów nie są do końca zrozumiałe, ale wpasowują się w materialistyczny obraz świata. Aby je wyjaśnić, nie trzeba wprowadzać czynnika boskiego.

--Jestem ateistą -- oznajmił sucho Lanz. -- Dajmy zresztą spokój dysputom teologicznym. Chodzi mi o aspekt stricte wojskowy. Imperium przechodzi do nowej taktyki i najpierw...

--Panie generale! -- Uporczywie ignorowałem to jego „bez szarż”. -- Planowanie akcji przeciwko Federacji czy Dbigu nie ma większego sensu. Należy uderzyć w samo źródło biomorfów, ponieważ to one są powodem naszych nieszczęść.

--Nie tylko -- odparł poważnie Lanz. -- Biomorfy to tylko broń. Musieli być ludzie, którzy ich użyli. Przestaną istnieć ludzie, zniknie problem biomorfów.

--Rozumiem, że wie pan dokładnie, w jaki sposób biomorfy znalazły się w rękach ludzi?

--Niestety, nie. Planując to natarcie, Ruslanie, liczyłem właśnie na pana i pańską wiedzę.

--Obawiam się, że na nic się panu nie przydam. Biomorfy niemal dosłownie spadły z nieba. Znalaziono je na Nowym Krymie...

--I na wielu innych planetach -- przerwał mi generał. -- Tylko że tam zazwyczaj natrafiały na nie ekspedycje wojskowo-badawcze i, zgodnie z instrukcją, niszczyły.

--Czy wśród tych planet nie było czasem Nowego Kowenantu?

Lanz skinął głową.

--Słusznie, Ruslanie. Na ojczystej planecie Dariany Dark również odnaleziono biomorfy. Ten fakt przez długie lata utrzymywano w tajemnicy. Mam wrażenie, że von Darkmoore i jego poprzednik, Müller, świadomie zatajali tę informację nie tylko przed Sztabem Generalnym, ale również przed Imperatorem.

--A ojczyzna Gilvy Patters?

--Nic mi na ten temat nie wiadomo.

--Ale przecież ktoś stworzył Gilvy i Dark!

--Owszem. Ale nie sądzę, żeby teraz to było najważniejsze, podobnie jak informacja, skąd pochodzą biomorfy. Imperium jest nimi zarażone jak wirusami i dlatego armia, niczym system immunologiczny, musi je odszukać i zniszczyć. Ze zdolnością przyciągania biomorfów, jaką macie pan i pani Patters, możemy liczyć na sukces.

--To prawda, ale...

--Niech pan wraca do zdrowia, Ruslanie. Rozumie pan oczywiście, że wszystko, o czym przed chwilą rozmawialiśmy, to tajemnica państwowa wyższej kategorii?

Skinąłem ponuro głową.

Niczego nie rozumieli. Sądzili, że wystarczy załatwić istniejące biomorfy i macice, a nowe się nie pojawią. A jeśli nagle wypłyną na jakiejś nowo odkrytej planecie, Sztab Generalny z czysto niemiecką pedanterią opracuje wielostronicową instrukcję o technikach bezpieczeństwa,

z których trzeba będzie zdawać egzaminy i zaliczenia, a za niezajomość instrukcji będą zdejmować ze stanowisk.

I uznają, że znaleźli cudowny środek na wszystkie nieszczęścia.

Naiwni.

Minęło kilka dni. Otrzymałem depezę gratulacyjną od Jego Wysokości Cesarza.

Wręczała mi ją cała delegacja, połyskując złotem pagonów i galonów. Nikt nie zadawał żadnych pytań na temat umowy, którą zawarłem z arcyksięciem, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Jakbym rzeczywiście był nadzwyczajnym ambasadorem Nowego Krymu, a negocjacje zostały przeprowadzone w obecności surowych i bezstronnych arbitrów, z uwzględnieniem międzynarodowego ceremoniału i protokołu, jak za dawnych czasów...

Podejrzane. A może regentowi jest obojętne, czy jego zobowiązania zostaną opublikowane? Albo ma nadzieję, że po zbrojnym buncie kompromitujące materiały przestaną się liczyć?

Gilvy wracała do zdrowia. Jej stan był bardzo ciężki, obecny w niej biomorf najwyraźniej zawyrokował, że nie ma innego wyjścia i musi po kolei wyłączyć wszystkie funkcje organizmu. Ale ziemską medycyną nie zawiodła.

W Poczdamie rozbierano zrujnowane budynki, zmywano sadzę z fasad, pospiesznie sadzono nowe drzewa na miejsce przewróconych i spalonych.

Nie wiedziałem, jak przyjęły to wszystko Pamięć i Duma i Związek Wygnańców, ale w Imperium zapanował niepokojący spokój. Wczorajsi wrogowie przysięgali sobie przyjaźń do grobowej deski, przelaną krew składając na karb „tragicznego nieporozumienia”. Z drugiej jednak strony, Adalbert wcale się nie spieszył z wprowadzaniem w życie szeroko rozreklamowanych środków, mających na celu „umocnienie pozycji rasy panów”.

Tymczasem na Kappie-4 wszystko ucichło. Po zniszczeniu macicy biomorfy uspokoiły się i teraz szukano tam ostatnich śladów Roju. Chociaż kto wie, ile ameb-źródeł pochowało się w odległych zakątkach planety...

Minęło siedem dni, zaledwie siedem dni. Wizyty wysokich szarż ustały, ręce się goiły.

Wszystko w porządku? Cel został osiągnięty? Teraz wystarczy tylko usunąć z Nowego Krymu Darianę Dark i zapanuje powszechna szczęśliwość?

Nie wierzyłem w to.

Przez te wszystkie dni prawie nie rozmawiałem z Gilvy. Wymęczona dziewczyna leżała bez ruchu, wpatrzona w sufit i odpowiadała z wysiłkiem, monosylabami, jakby moja obecność jej ciążyła.

Ósmego dnia z wielką pompą zaprowadzono mnie do rezydencji Imperatora, po uprzednim trzykrotnym obszukaniu i prześwietleniu, czy przypadkiem nie przenoszę (na przykład w żołądku) materiału wybuchowego.

Wystrojono mnie w nowy mundur galowy, doczepiono wręczone niedawno pagony kapitana. Dla postronnego obserwatora mogłem stanowić wzór oficera imperialnego, gdyby nie brać pod uwagę niewłaściwego pochodzenia.

Bunkier, do którego zaprowadził mnie nadęty jak indyk osobisty adiutant Imperatora, urządzono z pokazową surowością według mody sprzed stuleci -- czarny dąb i zielone sukno na ścianach, brązowe świeczniki i antykwaryczny długi stół, przy którym ustawiono twarde krzesła z wysokimi oparciami, ozdobionymi nieodzownym Orłem z Wieńcem i Słońcem.

W odległej części sali zobaczyłem półkulę projektora. Pod ścianami rozmawiało półgłosem sześciu generałów, wśród których niespodziewanie ujrzałem Vallensteina. Dowódca Tannenberga najwyraźniej nie czuł się zbyt pewnie w nowych pagonach generała majora.

--Gratuluje, Ruslanie. -- Uścisnął mi dłoń.

--Dziękuję, panie generale majorze.

--Jesteś niepoprawny. Posłuchaj, Rus, chciałem cię zapytać...

--Panowie oficerowie, Jego Imperatorska Wysokość Cesarz! -- oznajmił oficer triumfalnie i wyniośle zarazem. Ho, ho, pewnie nie obeszło się bez lekcji gry scenicznej...

Wszedł cesarz. W czarnym mundurze i z baretkami odznaczeń wyglądał jak starszawy oficer rezerwy, były wykładowca historii sztuki wojennej z Akademii Sztabu Generalnego. Za nim wkroczył jego ekscelencja regent, arcyksiążę Adalbert, wczorajszy buntownik.

Wszyscy wyprężyli się na baczność.

--Siadajcie, panowie.

--Pan tutaj, kapitanie -- syknął kolejny oficer, który wyrósł przy mnie z nienacka. Musiał podsunąć mi krzesło i omal go to nie dobiło. Obok usiadł Vallenstein.

Panowie generałowie (dostrzegłem wśród nich Lanza) siadali, naciskali przyciski na pulpitych i z ważnymi minami oglądali coś na monitorach. Przede mną i Vallensteinem nie było nic, nawet zwykłego ołówka czy kartki papieru.

--Proszę, Adalbercie. -- Imperator skinął głową.

Regent wstał i odchrząknął.

--Panowie generałowie! Korzystając z okazji, chciałbym jeszcze raz szczerze przeprosić tych z was, którzy przeżyli... nieprzyjemne godziny, bo zostali niesłusznie oskarżeni i aresztowani w rezultacie samowoli ludzi byłego naczelnika Służby Bezpieczeństwa, Joachima Darkmoore'a. Stało się to, co stać się musiało. Wszystkie wydarzenia były następstwem ciosu zadanego grupie planującej przejęcie władzy i przekształcenie Imperium. Jak pamiętacie, zostałem nawet zmuszony do użycia pewnych charakterystycznych dla tej grupy sformułowań... Jest mi ogromnie przykro, że doszło do otwartej konfrontacji.

Panowie generałowie popatrzyli na siebie, ale nikt się nie odezwał.

Łże jak pies, pomyślałem. Dobra mina do złej gry. Próba pogodzenia się z arystokracją. A może?... Może to rzeczywiście subtelna intryga jego ekscelencji arcyksięcia? Może po prostu chciał sobie porządzić, niechby nawet z tytułem regenta... Może to był jedyny sposób, żeby otworzyć cesarzowi oczy na zachowanie jego syna?

--Znaczna część sił Służby Bezpieczeństwa jest po naszej stronie... -- kontynuował regent, ale przerwał mu cesarz:

--Wreszcie oddzieliśmy ziarno od plew w domu panującym. Zmieniliśmy zasady dziedziczenia tronu. Książę Zygfryd oraz jego potomstwo zostali wykluczeni z prawa do korony, które przeszło na Fryderyka, mojego drugiego syna. Nie przejawia on żadnych... skłonności, które mogłyby przeszkodzić mu w godnym pełnieniu obowiązków cesarza i przestrzeganiu praw naszego wielkiego Imperium.

Wymieniliśmy z Vallensteinem zaskoczone spojrzenia. Po co informowano o tym właśnie nas? Wyższa generalicja, Sztab Generalny, cała reszta -- to jeszcze mogłem zrozumieć, ale my?...

--Panie Fatiejew, panie Vallenstein, niech was nie dziwi, że postanowiliśmy ogłosić to w

waszej obecności -- rzekł cesarz, jakby czytając w moich myślach. -- Czy dobrze rozumiałem, panie Fatiejew, że pańskie, hm... usługi dla Imperium wymagają zapłaty w postaci niezależności Nowego Krymu?

--Tak, Wasza Wysokość -- powiedziałem spokojnie.

--To znaczy, że uważa pan siebie przede wszystkim za obywatela swojej planety, a dopiero w drugiej kolejności za członka Imperium?

--Wasza Wysokość, mój naród zbyt dobrze pamięta okoliczności włączenia do Imperium swojej ojczyzny. Owszem, jestem Rosjaninem i przynależę do Nowego Krymu... do tego, proszę wybaczyć patos, ostatniego kawałka ziemi, który pozostał ludziom mojego języka.

--Ale czy ma pan pełnomocnictwa potwierdzone przez konstytucyjną większość wyborców Nowego Krymu? -- Cesarz uniósł brwi. -- Czy jest pan absolutnie pewien, że pańscy rodacy o niczym innym nie marzą, tylko o niezależności? Może się przecież okazać, że jest zupełnie inaczej.

--Ośmielę się twierdzić, Wasza Wysokość, że wystarczająco dobrze znam myśli i pragnienia moich współobywateli.

--Niemniej jedynym miarodajnym narzędziem poznania ich stanowiska jest referendum ogólnoplanetarne. Uważam, że przeprowadzenie go powinno być nieodzownym warunkiem zawartej umowy, jeśli ona w ogóle dojdzie do skutku -- rzekł chłodno cesarz, a generałowie posłusznie pokiwali głowami, niczym chińskie figurki z porcelany. -- Poza tym, panie Fatiejew... Jak pan sobie właściwie wyobraża niezależność Nowego Krymu? Dziesięć procent ładu, cała reszta to oceany. Złoża minerałów znajdują się niemal wyłącznie pod wodą, ich wydobycie jest bardzo utrudnione. Przyznaję, że dopóki wasze polzuny nie przestaną się rozmnażać... -- Cesarz pochylił się w moją stronę, wpijając się we mnie wzrokiem. -- Ale co zrobicie później? Nie teraz, nie za dwadzieścia lat, lecz za pół wieku? W Imperium zmieni się władza i nowemu Imperatorowi może przyjść do głowy, że tolerowanie niezależnego Krymu to zbyt wielki luksus. Co jedna planeta może przeciwstawić tysiącom innych planet? Co będzie gwarantem waszej nietykalności?

--Podpis i honor imperatorów... -- zacząłem, ale cesarz przerwał mi machnięciem ręki.

--Panie Fatiejew, uważam pana za inteligentnego człowieka i proszę mnie nie zmuszać do zmiany tej opinii. Podpis i honor są niczym wobec państwowej konieczności. Jeśli takie będzie zdanie przyszłego władcy Imperium, to może pan być pewien, że pretekst zawsze się znajdzie. Czy warto podkładać taką minę pod pomyślność... zresztą co tam pomyślność, pod prawdopodobieństwo przeżycia pańskich rodaków?

To była otwarta groźba, ale cesarz miał rację -- co przeszkodzi przyszłemu imperatorowi rzucić całą flotę Imperium na podbój jednej jedynej planetki?

--Osobiście jestem człowiekiem łagodnym i nienawidzę przelewu krwi -- powiedział cesarz, a ja z wysiłkiem stłumiłem nieproszony uśmiešek. -- Jednak moi następcy mogą nie podzielać moich poglądów na sposób rządzenia państwem.

Mógłbym wygłosić niezłą tyradę, przywołując z pamięci moje dyskusje z ojcem, gdy nasz plan był jeszcze w powijakach... Zamiast tego powiedziałem:

--Wychodzę z założenia, Wasza Wysokość, że bez względu na władcę dla Imperium korzystniejsze będzie posiadanie niezależnego i... -- następne słowo przyszło mi z trudem - ...przyjaznego Nowego Krymu niż wylęgarni buntowników i terrorystów.

--Korzyści Imperium nie zawsze i nie przez wszystkich są jednakowo rozumiane -- zauważył cesarz.

Znowu miał rację. Cóż począć, nasz plan zakładał wieloletnią, stopniową pracę, której efektem byłoby uznanie przez arystokrację „szwajcarskiego statusu” Nowego Krymu. Do tej pracy mieli przyłączyć się inni ludzie, ich krąg powinien się nieustannie rozszerzać...

--Wasza Wysokość pozwoli, że będę nalegał na moje warunki -- powiedziałem. Nic innego nie mogłem zrobić.

Generalowie świdrowali mnie spojrzeniami zza anegdotycznych już monokli.

Vallenstein również mi się przyglądał, lecz z jego twarzy nie dało się nic wyczytać.

--Pozwolicie, Wasza Wysokość? -- zapytał nagle.

--Proszę, generale. -- Cesarz skinął łaskawie.

--Znam Rusłana od dawna i wystarczająco długo służyłem na jego ojczystej planecie. Uważam, że należy go posłuchać, zwłaszcza że on i pani Patters są naszą jedyną bronią przeciwko prawdziwemu wrogowi: biomorfom. Tak zwana Federacja będzie niczym bez swojej broni biologicznej.

--Na razie jednak nadal ją posiada, panie Vallenstein -- zaskrzypiał jeden ze starych generałów.

--Tym cenniejsza staje się dwójka ludzi, którzy potrafią stawić opór biomorfom. -- Vallenstein nie ustępował.

--Nikt nie kwestionuje ich wartości, ale...

--Panowie -- włączył się do rozmowy arcyksiążę. -- Przypominam o porządku dnia. Udzieliliśmy panu Fatiejewowi niezbędnych informacji, co, jak sądzę, dopomoże jego aktywności w przyszłych działaniach bojowych. Osobiście jestem za tym, żeby spełnić jego żądania. Ja również znam sytuację i nastroje na Nowym Krymie. Ludzie tam nie chcą ani Imperium, ani Federacji. Chcą żyć, kierując się własnymi prawami. To pragnienie może się nam wydać nienaturalne, skoro jesteśmy zwolennikami integracji, możemy sądzić, że popełniają błąd, ale...

--Dać niezależność jednej planecie oznacza stworzyć precedens dla pozostałych -- zaprotestował stary oficer, zdaje się naczelnik Sztabu Generalnego, generał feldmarszałek Maksymilian von Weichs. -- Dlaczego Nowy Krym miałby być lepszy od innych narodowych planet? Zawsze byłem przeciwny zachowaniu struktury kolonialnej w odległych sektorach! Za przykład należało wziąć Wewnętrzne Planety, podporządkowanie centrum, brak, eee... wykształcenia poczucia narodowego...

--Słuszna uwaga, Maksymilianie. -- Cesarz skinął głową. -- Panie Fatiejew, słyszał pan? Imperialny rząd nie może zignorować podobnych faktów.

--Imperialny rząd może nie zetknąłby się z takimi problemami, gdyby prowadził nieco odmienną politykę wewnętrzną...

Reakcją na moje słowa był pełen oburzenia szmer. Jedynie Vallenstein nieoczekiwanie skinął głową z wyraźną aprobatą.

--Wasza Wysokość, zebraliśmy się tu, aby przedyskutować problem walki z biomorfami i szanse, które otwierają się przed nami w świetle nowych okoliczności -- wtrącił z szacunkiem Adalbert. Nikt by nie pomyślał, że całkiem niedawno to właśnie on umieścił drogiego wujaszka w areszcie domowym, choć teraz obaj udają, że był to ich wspólny pomysł. -- Wydaje mi się

bezproduktywne omawianie teraz warunków wysuniętych przez pana Fatiejewa, skoro, jak rozumiem, zostały one poparte przez establishment Nowego Krymu. Jeśli chcemy wykorzystać zdolności Fatiejewa, nie możemy od razu odrzucać jego żądań, bez względu na to, czy nam się one podobają, czy nie.

Cesarz zerknął na siostrzeńca z niezadowoleniem.

--Dobrze -- powiedział niechętnie, zaciskając wargi. -- Wróćmy do omówienia planu operacji. Nalegam jednak na przeprowadzenie referendum...

--Nie sędzę, Wasza Wysokość, by Duma Nowego Krymu miała coś przeciwko temu -- powiedziałem. -- Niech będzie referendum. Jego wyniki, jeśli tylko nie zostaną sfalszowane, są łatwe do przewidzenia.

--Komisja mieszana zapobiegnie jakimkolwiek fałszerstwom czy nadużyciom!

--Absolutnie się z tym zgadzam, Wasza Wysokość.

--Klaus, proszę to zaprotokolować -- polecił Imperator.

Zdaje się, że nie ufano tu programom rozpoznawania głosu -- posiedzenie stenografowało ręcznie dwóch sekretarzy.

--Słuchamy, Adalbercie.

--Dziękuję, Wasza Wysokość. Moi panowie, sytuacja na dzień dzisiejszy wygląda następująco: tak zwana Federacja zawładnęła Nowym Krymem, Szajtanem i dwiema lub trzema zamieszkanymi planetami z grupy Kappa. -- Projektor pokazał trójwymiarowy obraz naszego sektora. Utracone planety miały kolor ciemnoniebieski. -- Na Kappie-4, dzięki wysiłkom brygady Tannenberg -- uklon w stronę Vallensteina -- a w szczególności pana Fatiejewa i pani Patters udało się odeprzeć natarcie biomorfów i przejść do ataku. Teraz sytuacja się ustabilizowała. Trwają poszukiwania oraz likwidacja ostatnich skupisk biomorfów. Chciałbym zauważyć, że po wyeliminowaniu głównych sił Roju, takie poszukiwania bez Fatiejewa i Patters wiążą się ze sporym ryzykiem i dużymi stratami... do dwustu zabitych każdego dnia, nie mówiąc o rannych.

--Dwustu dziennie to niedużo -- zauważył von Weichs.

--Przypominam, że żołnierze stykają się na razie z odizolowanymi, nielicznymi rojami. -- Adalbert zaprotestował. -- Do dwóch tysięcy osobników w każdym. A jednak, mimo zdobytego doświadczenia i wypracowania pewnych metod, tracimy ludzi w każdym starciu.

--Jego ekscelencja ma rację -- przyznał niechętnie Lanz. -- Bez Fatiejewa i Patters nie przełamiemy impasu. Za to z nimi... zresztą statystyki Tannenberga mówią same za siebie.

--Jak możemy liczyć na ostateczne zwycięstwo, jeśli nie wiemy, skąd biorą się biomorfy? -- włączył się kolejny obwieszony baretkami generał, którego nazwiska nie znałem. -- Runęły na nas zniecka, przybyły nie wiadomo skąd, a z kompilacji przedstawionej przez jego ekscelencję regenta wynika, że znajdowano je na różnych planetach, mam rację? Ktoś poszedł jeszcze dalej i dokonał czegoś nieprawdopodobnego: stworzył hybrydę człowieka i biomorfa: przepraszam, jeśli uraziłem obecnego tu pana Fatiejewa. Skąd w ogóle wzięły się te biomorfy?

Wszyscy odwrócili się w moją stronę.

--A jeśli przypomnimy sobie informację, że wszystkie napotkane przez nas Dbigu również wykazują właściwości biomorficzne... -- odezwał się Lanz.

--No właśnie -- podchwycił Maksymilian von Weichs. -- To już w ogóle nie mieści mi się w głowie. Cała cywilizacja połączona z biomorfami?

--Kosmos jest wielki i wszystko jest w nim możliwe -- rzekł arcyksiążę. -- Panie Fatiejew! Jest pan tu najlepszym ze wszystkich możliwych ekspertów. Nie zechciałby pan zapoznać nas ze swoim punktem widzenia? -- Arcyksiążę skłonił się uprzejmie.

Wstałem. Oto kluczowy moment, ważniejszy od wszelkich oficjalnych pism. Ponieważ Nowy Krym nie może (niestety) wziąć szturmem imperialnego Berlina, jedyną szansą jest rozsądzenie go od wewnątrz.

--Wasza Wysokość, ekscelencjo, panowie generalowie... Wszyscy jesteście zawodowymi wojskowymi, strategami przywykłymi do myślenia w surowych i logicznych kategoriach swojej sztuki. Wojna powinna mieć wyraźny cel. Jeśli jedna cywilizacja atakuje drugą, to znaczy, że miała ku temu ważne powody. Wysoko rozwinięty umysł wyklucza możliwość genocydu istot odmiennych. -- Ostatnim zdaniem wyraźnie pochlebilem generalom. -- Do tej pory historia ekspansji kosmicznej w pełni potwierdzała te zasady. Z nikim tak naprawdę nie walczyliśmy, żadni złośliwi kosmici nie chcieli nas zniewolić czy zlikwidować w otwartej wojnie...

--A teraz to zrobili! -- przerwał mi von Weichs. -- Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale uważam, że naszym obowiązkiem jest odnalezienie i zniszczenie biomorfów oraz wykorzystujących je ludzi z tak zwanej Federacji!

--Spokojnie, Maksymilianie, spokojnie. Panie Fatiejew, proszę kontynuować.

--Gdyby przeciwko nam wystąpiła jakaś supercywilizacja Obcych, już dawno przestalibyśmy istnieć. W podrzucaniu nam biomorfów nie sposób się dopatrzeć żadnej wojskowej logiki. W literaturze fantastycznej często przypisuje się kulturom Obcych dążenie do izolacji oraz różne, niezrozumiałe dla nas zasady moralno-etyczne, ściągnięte zazwyczaj ze średniowiecznej Japonii. Ale to tylko wymysły pisarzy. Dbigu i Slime zawsze działali racjonalnie i kierowali się jasnymi dla nas kryteriami.

--Dopóki Dbigu nie zaczęli inwazji -- zauważył półgłosem Vallenstein.

--Tak jest, panie generale majorze. Dopóki Dbigu nie rozpoczęli tak zwanej inwazji, będącej tak naprawdę operacją o charakterze nie wojskowym, lecz ekologicznym! Ośmiornice jedynie oczyszczały „biomorficzne” planety ze śladów działalności człowieka, a od nas się opędzały jak opędza się zajęty człowiek od kręcącego się pod nogami psa.

--Ale przecież odnieśliśmy sukces! Kontrolujemy znaczną część Omegi-8! -- przerwał mi znowu von Weichs.

--Przepraszam, panie generale, a Iwołga?

Von Weichs spojrział pytająco na cesarza, który niechętnie skinął głową.

--Tam rzeczywiście ponieśliśmy klęskę. Musieliśmy ewakuować przyczółek, planeta aż kipiała od ośmiornic, które zdążyły się tam umocnić.

--Wynika z tego, że plan Dbigu na razie działa. Uderzyli tam, gdzie przeszły macice, nie bez podstaw spodziewając się, że nie zastaną w tych miejscach nikogo żywego. Pozostałe siły Imperium miały zapewne walczyć z biomorfami na innych planetach aż do ostatniego żołnierza. Nie zdziwiłbym się, gdyby Wspólnota Dbigu wkrótce przeprowadziła lądowanie na Kappie-1 i Kappie-2.

--Ale skąd to dziwne zachowanie? -- nie poddawał się naczelnik Sztabu Generalnego.

--Moim zdaniem to instynkt. Instynkt na skalę całej cywilizacji, która będąc w pełni władz umysłowych, nigdy nie zdecydowałaby się na ten konflikt. Dbigu są biomorficzni, prawda? A jeśli to biomorfy w nich oddziałują na ich zachowanie? Jeśli ośmiornice odgrywają rolę

asenizatorów, przywracając planetom pierwotny wygląd, gdy Rój rozprawi się już z ludźmi?

--Czyli pańskim zdaniem biomorfy -- zagadnął czujnie von Weichs -- są czymś w rodzaju ekologów ekstremistów, którzy każdą ingerencję w naturalny rozwój życia na planecie uważają za przestępstwo? A więc ludzkość za aktywną politykę formowania na wzór Ziemi nowych kolonii trafiła na swego rodzaju czarną listę?

--Moim zdaniem, panie generale, nie ma żadnej czarnej listy, jest tylko coś na kształt systemu immunologicznego wszechświata, czy też jedynie naszej galaktyki. Ten system immunologiczny zbudowano w oparciu o biomorfy rozsiane po wszystkich planetach. -- Czulem, że nabieram wiatru w żagle. Być może z jakichś powodów, mniejsza o to z jakich, ludzie zostali przez nie rozpoznani jako ciało obce. Może powodem stała się nasza niepohamowana ekspansja? Przecież organizm dokładnie tak samo walczy z namnażającymi się komórkami raka. A jeśli, na jakimś niepojętym dla nas poziomie, ludzkość jest nowotworem wszechświata? W pracach średniowiecznych alchemików bardzo często pojawiała się pojęcie „superczłowieka”, człowieka stanowiącego cały wszechświat. To, rzecz jasna, wyłącznie alegoria, ale spróbujmy wyobrazić sobie wszechświat jako organizm, w którym cywilizacje to komórki. Komórki w naszym ciele nie myślą, lecz wykonują rozkazy wysyłane za pomocą mediów chemicznych. Jeśli wymaga tego interes całego organizmu, mogą nawet popełnić samobójstwo. Z punktu widzenia komórek podobne działania mogą nie mieć żadnego sensu, ale dla człowieka są one w pełni uzasadnione. Ośmiornice goją rany pozostawione przez ludzkość. W naszym organizmie mechanizmy naprawy uruchamiane są w podobny sposób. Długu nie mają z tej wojny żadnych korzyści, a przecież są z natury niesłuchanie racjonalni. To by znaczyło, że istnieje jakiś mechanizm, który zmusza ich do posłuszeństwa, do wykonywania pozornie nielogicznych działań.

--A więc działają jakby w gorączce? -- zapytał półgłosem Adalbert.

--Dlaczego zaraz w gorączce? Na własnej skórze przekonałem się, że biomorf, któremu pozwoli się na rozwój, może czasem wziąć sprawy w swoje „ręce”, nawet jeśli nie jest to zbyt korzystne dla jego nosiciela...

--Nie chce mi się w to wierzyć. -- Lanz sposepniał. -- Cała ta astrologia... Przepraszam, ale ja jestem żołnierzem i pragmatykiem. Nie rozumiem, jak można odnieść to wszystko do omawianych wydarzeń. Poza tym nie sądzę, by system immunologiczny mógł być aż tak efektywny...

--W młodości i wieku dojrzałym bywa bardzo efektywny. Zachorowania na raka są wówczas bardzo rzadkie. Sytuacja zmienia się, gdy organizm się starzeje. Skąd możemy wiedzieć, ile lat ma nasz hipotetyczny „superczłowiek”? Może jest już w podeszłym wieku? Może niedaleki jest jego koniec i narodziny czegoś nowego?

Zapadło milczenie.

--Nie lubię apokaliptycznych wizji -- powiedział w końcu ponuro Adalbert.

--Usiłuję jedynie połączyć posiadane informacje wspólną hipotezą, która nie będzie wewnętrznie sprzeczna. Możliwe, że wszystkie normalne cywilizacje kosmosu rzeczywiście niosą w sobie tę nieszczęsną biomorficzność, a ludzkość nie, i dlatego jest rozpoznawana jako wróg? Kto wie...

--Co pan proponuje, Fatiejew? -- zapytał w napięciu cesarz. -- Przyznaję, że pańska hipoteza jest fantastyczna, ale z braku lepszej...

Odetchnąłem głęboko.

--Hipoteza jest rzeczywiście fantastyczna, ale biomorfy są praktycznie niepokonane i na tych planetach, na których choć raz się pojawiły, zawsze będzie istniała groźba ich odrodzenia. Wystarczy jedno jedyne źródło, z którego powstanie macica, i... Bez antygravitacyjnych technologii Dbigu biomorfy nie potrafią latać, a więc...

--Aha! -- Von Weichs prawie podskoczył. -- Mam pana! Jak pański wszechświatowy system immunologiczny może zależeć od technologii jednej cywilizacji?

--Można podać tysiące wyjaśnień, panie generale feldmarszałku. Na przykład, że takie technologie istnieją w wielu miejscach zamieszkanego kosmosu i wszystkie normalne cywilizacje wyposażają biomorfy w podobne środki, na poziomie instynktu. Pozwoli pan, że ja również zadam pytanie: czy przejęto choćby jeden aparat antygravitacyjny? Przecież na Iwoldze armia zniszczyła z dziesięć macic!

--Nie -- powiedział naczelnik Sztabu Generalnego. -- Niczego nie znaleźliśmy. Być może na skutek autodestrukcji aparaty ginęły razem z macicami, a może doszło do tego na skutek detonacji naszych pocisków...

--Po co w ogóle podrzucano nam te biomorfy? -- zapytał nieufnie cesarz. -- Po co wybierać aż tak skomplikowany sposób?

--Możemy jedynie spekulować, Wasza Wysokość -- odparłem. -- Każdy system kontrolny, nieważne, mechaniczny, elektroniczny czy biologiczny, potrzebuje odpowiednich warunków, aby zadziałać. W naszym przypadku mogło to być osiągnięcie określonego poziomu ekspansji kosmicznej, gdy dotarliśmy do planet „zarażonych” biomorfami. Pewną rolę mógł odegrać również sposób, w jaki nimi zarządzaliśmy. A wykorzystaliśmy je do wojny i to wojny bratobójczej. Niewykluczone, że również agresja wewnątrzgatunkowa mogła posłużyć za takie kryterium.

--Mnie bardziej niepokoi pojawienie się... eee... ludzi z domieszką biomorfów -- oznajmił von Weichs. -- Ilu ich jest? Jak wielu chodzi po naszych ulicach? Dariana Dark wykorzystала biomorfy, zdołała nimi pokierować...

--Przepraszam, panie generale, ale taka kontrola jest możliwa jedynie do pewnego stopnia.

--To nieistotne. Tak czy inaczej, potrafiła to zrobić. Gdzie gwarancja, że nie pojawią się nowe Dariany?

--Nie pojawią się, jeśli nikt nie będzie hołubił takich jak ona, a zwłaszcza występował w roli rzeczników inwazji kontrolowanej.

Arcyksiążę Adalbert popatrzył na mnie wilkiem.

--Taka teoria rzeczywiście istniała -- rzekł cesarz. -- Zawsze byłem jej przeciwny i uważałem, że nie powinna zostać zrealizowana. Rozumiem, że jednak do tego doszło?...

Adalbert bez skrupułów zwałił wszystko na Joachima von Darkmoore'a (nieobecni nie mają racji), z powodzeniem robiąc z niego kozła ofiarnego. Imperator przerwał mu rozdrażniony:

--Wysłuchajmy do końca pana Fatiejewa, siostrzeńcze. Jego teoria jest szalona, ale innej nie mamy. Rusłanie -- zwrócił się do mnie cesarz -- skąd więc takie komplikacje? Przecież wystarczyłoby wysłać potężną flotę i po prostu zetrzeć nas z oblicza wszechświata.

--Wydaje mi się, Wasza Wysokość, że mamy do czynienia z dwoma globalnymi procesami.

Pierwszy to rozwój rozumu i cywilizacji. Wojny powoli odchodzą w przeszłość, agresja jest kontrolowana w ten czy inny sposób. Wspólnota Dbigu nie chce wojny z ludzkością, podobnie jak ludzkość nie ma zamiaru walczyć z Dbigu. Pojedyncza komórka w ludzkim ciele nie ucierpi na skutek sąsiedztwa z komórką nowotworową, rzecz jasna, w sensie ogólnym, bo przecież nowotwór wydziela...

--Szczegóły biologiczne i onkologiczne może pan opuścić -- przerwał mi cesarz.

--Komórka nie wie, dlaczego system immunologiczny wydał rozkaz zniszczenia danego obiektu, po prostu zostaje aktywowana, rozpoznaje wroga i spełnia swoją funkcję. Wszystko jest w porządku, jeśli te funkcje, w skali cywilizacji, spełniane są w sposób świadomy. A jeśli nie? Jeśli cywilizacja dąży do pokoju z sąsiadami i nie uważa ich za zagrożenie? Obawiam się, że nigdy nie zrozumiemy, dlaczego uznano nas za niegodnych istnienia. Ale w tym wypadku to nieistotne; system immunologiczny nie rozpocznie pertraktacji i nie pójdzie na kompromisy. Z czymś takim zetknęliśmy się właśnie w przypadku Dbigu. Odpowiedzieli nam jednym jedynym zdaniem o wyraźnie rytualnym charakterze. To naturalne, takie głęboko ukryte funkcje cywilizacji najlepiej uzasadnić religią czy mistycyzmem. Ale gdy cywilizacja osiągnęła już poziom ekspansji kosmicznej, ani religia, ani tradycja nie sprawdzają się w stu procentach. Dominuje zdrowy rozsądek, który podpowiada: „Żyj i pozwól żyć innym”. A żeby stłumić rozum i odwołać się do instynktów, potrzebne są biomorfy. Możliwe, że faktycznie jesteśmy jakąś anomalią powstałą bez udziału ośrodka życia, z którego wyszły inne cywilizacje...

--Czy dobrze cię rozumiałem, Rusłanie? -- zapytał ostrożnie Vallenstein. -- Uważasz, że na poziomie, jeśli można się tak wyrazić, metacywilizacyjnym, przestają działać prawa rozumu, a zaczynają funkcjonować, już na innym poziomie, zasady wielokomórkowych systemów biologicznych, czyli instynkty?

--Ma pan absolutną rację, panie generale. Ale to wyłącznie moje spekulacje. Obawiam się, że komórka nie jest w stanie wchłonąć wszystkich zamysłów organizmu, którego część stanowi. Zapanowało milczenie.

--Proponuję wrócić do spraw bardziej konkretnych. -- Imperator poprawił monokl. -- Na przykład do kierowania biomorfami.

--Niestety, wszystkie szczegóły zna jedynie Dariana Dark -- odparłem -- ale pozostając w ramach mojej hipotezy... a nawet jeśli ją odrzucimy... widzę tylko jedno realne wyjście dla ludzkości.

--Jakie, panie Fatiejew? -- zapytał sceptycznie cesarz.

Nabrałem powietrza. Teraz albo nigdy.

I zacząłem mówić.

Nie mogę powiedzieć, że ich przekonałem. Przecież dysponowałem jedynie mniej więcej spójnym obrazem, stanowiącym próbę powiązania ze sobą faktów, i na pierwszy rzut oka ta teoria była zupełnie fantastyczna. Najgorsze, że brakowało mi niezbitych dowodów, najmocniejszym argumentem w moim arsenale było irracjonalne zachowanie Dbigu.

Zaryzykowałem i postawiłem tezę, że skoro biomorfy zawładnęły obiema planetami Kappa, w najbliższym czasie należy spodziewać się pojawienia floty ośmiornic.

Nie omyliłem się.

Na cesarzu i regencie wywarło to spore wrażenie.

Planowanej operacji nadano głośny, choć nieprzyjemny dla mnie kryptonim „Tajfun” i

brygada Tannenberg zaczęła szykować się do decydującej bitwy.

Najpierw jednak należało odwiedzić Nowy Krym, bo do przeprowadzenia operacji niezbędna nam była Dariana Dark.

Dariana nadal nie opuszczała mojej planety. Sytuacja żywnościowa w Federacji nie przedstawiała się najlepiej, do tego dochodziły dywersje, strajki i inne problemy. W skład Federacji wchodziło wiele planet-kopalń i światów przemysłowych, które musiała teraz wykarmić moja planeta. Na Nowym Kowenancie, Smithsonii i innych planetach o „ograniczonym komforcie”, które mogły wyżywić własnych mieszkańców, wszystko szło jak najlepiej, ich mieszkańcy kochali „drogą towarzyszkę Dark”, dzięki której zdołali wreszcie urozmaicić swoje menu oraz wyruszyć -- za minimalną opłatą -- na wypoczynek nad nasze morza. A więc kierowanie sprawami Federacji nadal odbywało się z Nowego Krymu. Z jednej strony było to bardzo wygodne, ale z drugiej, wychodziło na to, że będziemy musieli przeorać ubogą w ład planetę wszystkim, co tylko potrafi płonąć i wybuchać...

„Merona” i dodatkowa grupa przedarcia obrony planetarnej weszły w długi hiperskok. Pozostała część floty powitała na orbicie Dbigu, które nadciągnęły pod koniec walk na Kappie-1.

--Gil, dlaczego ciągle milczysz?

Przydzielono nam osobną kajutę. Moją kompanię przejął kto inny, a nas dołączono do sztabu brygady. Gilvy zadawała szyku w nowiutkim czarnym mundurze z pagonami podporucznika i trzema kostkami na lewym kołnierzyku, ale nie wyglądało na to, żeby eksagentka Dariany Dark choć w najmniejszym stopniu cieszyła się, że wyszła obronną ręką ze swojej wpadki. A przecież mogłaby teraz siedzieć w wydziale Darkmoore'a bez jakiegokolwiek nadziei na wolność. Nie pomogłaby nawet zgoda na dezinformację.

--Rus... -- Nie patrzyła na mnie, a jej palce bezmyślnie kręciły guzik na klapie. -- Idziemy na śmierć, Rus...

--Nie kracz. -- Usiadłem obok i objąłem ją ramieniem. Od razu się przytuliła, mocno i ufnie, niczym wystraszone dziecko. -- Nie zwieszaj nosa na kwintę, Gil. Nic nam się nie stanie. Spójrz, z tyłu różnych opresji wyszliśmy cało...

Pokręciła głową.

--Nie, Rus. Nie wiem, kto umieścił we mnie to draństwo, ale ty je rozbudziłeś i ono teraz nie robi nic innego, tylko prorokuje. Zamykam oczy i widzę miejsca, z których przychodzą macice. Żywe morza...

--Przecież wiesz, że bez nas sobie nie poradzą. Zresztą biomorfy nie mogą nam nic zrobić. Teraz nie będziemy ich ściągać na siebie jak na Kappie czy gdzie indziej.

--Ciągle mnie pocieszasz... a ja wyraźnie widzę, czym się to wszystko skończy.

--Niczym się nie skończy. Zrobimy swoje i wrócimy.

Nie odpowiedziała.

Podczas pokładowej, sztucznej nocy leżałem obok i słyszałem urywany oddech Gilvy -- nawet na chwilę nie zmrużyła oczu. Często unosila się na łokciu i pólleżąc, wpatrywała w moją twarz, dopóki nie obudziło mnie to natarczywe spojrzenie.

Miałem wrażenie, że budzi mnie mój biomorf, wyczuwając uwagę współbrata...

„Merona” weszła na podejście do Nowego Krymu i monitory wzięły się do roboty.

A na wszystkich kanałach huczała federalna propaganda, przez którą -- co prawda

ślabiutko -- przedzierał się ledwie słyszalny, ale dźwięczny głos ruchu oporu Nowego Krymu.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet.

Żuraw nad planetami Kappy:

--Nasi dziennikarze jako pierwsi przedstawiciele środków masowego przekazu wylądowali na planecie wyzwolonej spod władzy imperialnych agresorów. Kappa była pusta -- faszystowscy okupanci zmusili całą ludność cywilną do opuszczenia swoich domów, wywożąc mieszkańców kolonii w głąb Imperium. Naszym oczom ukazały się wysiedlone wsie, porzucone farmy, wszędzie widać było ślady pospiesznej ucieczki. Nasza cudowna broń znakomicie spełniła swoje zadanie, oczyszczając z wojsk imperialnych całą planetę. Zdobyliśmy cenne trofea, w naszych rękach znalazł się ogromny potencjał przemysłowy, teraz będziemy tylko musieli rozsądnie zarządzać tym bogactwem. Już wkrótce na Kappę przybędą brygady montażowe i porządkowe -- ich zadanie ma polegać na ożywieniu zakładów i fabryk. Sektor rolniczy Kappy pozwoli na znaczącą poprawę zaopatrzenia w żywność obywateli Federacji. Jak oznajmił minister rezerw żywnościowych, indywidualne normy konsumenta bez wątpienia wzrosną, gdy tylko produkcja z Kappy zacznie docierać do magazynów ministerstwa.

Podczas wystąpienia na zebraniu aktywistów przesiedleńców (planeta Nowy Krym) towarzysza Dariana Dark oznajmiła, że dzięki nim na planecie (na razie będącej jedynym dostawcą produktów żywnościowych dla planet Federacji) wreszcie zapanowały ład i spokój. Przeprowadzone przeciwko nielegalnym formacjom zbrojnym operacje sprawiły, że w ciągu dwóch ostatnich tygodni nie zarejestrowano ani jednego ostrzału naszych posterunków, żadnych ataków na żołnierzy sił zbrojnych Federacji, ani wysadzenia w powietrze środków transportu.

--Kłamią jak z nut -- skomentował Vallenstein, wyłączając odbiornik. -- Na obu Kappach, które zajęli, nie ma żadnego „potencjału przemysłowego”. Planety są biologicznie aktywne, do dziś nie udało się poskromić tamtejszych pasożytów, więc nigdy nie było zbyt wielu chętnych do mieszkania w zahermetyzowanych domach i ciągłego chodzenia w maskach.

Oficerska kajuta „Merony” ziała pustką. Rozrośnięta brygada Tannenberg już dawno nie mieściła się na jednym statku i za nami ciągnął się ogon transportowców z ciężkim sprzętem, amunicją oraz znaczną częścią żołnierzy. Lot na „Meronie” stał się przywilejem.

--Oczywiście, że kłamią, Joachimie -- przytaknął Möchbau. -- A co innego mogą robić, jak nie...

Vallenstein coś odpowiedział, do rozmowy włączyło się kilku innych oficerów. Niemal wszyscy przeszli „kwarantannę” w wydziale bezpieczeństwa, wielu do tej pory nosiło bandażę i opatrunki. Specjaliści Darkmoore'a nie na darmo brali podwójne racje. A jednak te niedawne wydarzenia starannie omijano w rozmowach, jakby w Imperium w ogóle nie doszło do żadnego buntu. Chyba wszyscy usiłowali przekonać się wzajemnie, że faktycznie była to tylko próba wykrycia spisku Darkmoore'a, jak zapewniał wszystkich jego ekscelencja regent.

Sam Darkmoore zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach razem z kilkoma wyższymi oficerami. Niektórzy sądzili, że uciekł do federalnych, ale nie wierzyłem w to. Ten stary lis był na to za chytry. Założę się, że nie miał najmniejszego zamiaru opuszczać Ziemi -- arsenal imperialnej SB zawierał wystarczająco dużo środków pozwalających na radykalną zmianę wyglądu zewnętrznego, odcisków palców, brzmienie głosu, a może nawet, kto wie, wzoru siatkówki oka.

Zajęty rozmyślaniami o naszym zadaniu, nie brałem udziału w ogólnej rozmowie. Brygada miała imitować desant na Nowy Krym, a to znaczyło, że wszystko będzie aż nazbyt realistyczne i moi ludzie znajdą się pod prawdziwym ostrzałem. Bardzo możliwe, że będą do nich strzelać ci, których niedawno wyprowadzałem z Nowego Sewastopola, z którymi bronilem Władysybirsk i dla których Imperium to zło absolutne, bez względu na to, co wyprawiają Dariana Dark i jej ludzie.

Kiedyś też tak myślałem.

Ale mimo skopiowania mundurów, dystynkcji i struktury armii, mimo skrupulatnego przejścia nazw dywizji Wehrmachtu, Imperium nie było Trzecią Rzeszą. Nikogo nie zmuszano tu do noszenia żółtych sześcioramiennych gwiazd i nie zaganiano do getta, nie tworzono też obozów zagłady, choć istniał Swaarg, gdzie wcale niełatwo było przeżyć.

Imperium stanowiło „mniejsze zło”. Było niczym potężne zwierzę, wielkie i nieruchawe, które jednak nie stawiało sobie za cel fizycznej likwidacji wszystkich tych, którzy myśleli inaczej. Bardziej przypominało Drugą Rzeszę, niemieckie imperium sprzed I wojny światowej.

Dariana Dark i jej ludzie, kradnąc zwrot „towarzysz”, przejmując wszystko, co się tylko dało od tych, którzy walczyli z Trzecią Rzeszą, mogliby się wydawać blaznami wystrojonymi w cudze szmatki, gdyby nie to, że mieli w rękach biomorfy i że udało im się -- wprawdzie nie na długo, ale jednak -- oszukać bardzo wielu mieszkańców swojej efemerycznej Federacji. Przecież moja ojczysta planeta również zagłosowała za oddzieleniem się od Imperium -- aż dziewięćdziesiąt osiem procent głosów „za”! I chociaż ciężko mi o tym myśleć, większość ludzi przejrzała na oczy dopiero wówczas, gdy zwalili im się na głowę nieszczęśnicy, niewykształceni i delikatnie mówiąc, nieokrzesani przesiedleńcy z Borga, którym wolność i błękitne morze odebrały rozum...

Prawdę powiedziawszy, wołałbym, żeby moi rodacy nie potrzebowali takich „bodźców”, nieprzyjemnie zalatujących ksenofobią.

Nikt nie mówił o tym, co nas czeka, a przecież była to awantura czystej wody -- bo tylko taki plan mogli zatwierdzić w Sztabie Generalnym. Przy całej zewnętrznej pedanterii i umiłowaniu „ordnungs”, wojskowi rasy panów bardzo lubią awanturnicze decyzje. I przez te dwieście lat, jakie upłynęły od czasu II wojny światowej, nic się nie zmieniło.

Wiedziałem, że eter nad Nowym Krymem jest teraz pełen panicznych meldunków systemu obrony planetarnej, a w naszą stronę skracają prowadnice rakietowe na orbitalnych platformach. Po ostatnim ataku Dariana Dark na pewno uzupełniła straty na pierwszej linii.

Monitory przedarcia zrobiły co do nich należało, przebijając nam wąski korytarz w fortyfikacjach Federacji, teraz nadeszła nasza kolej...

Zwykle wewnątrz desantowego wahadłowca. Z lekkim wstrząsem odłączyliśmy się od „Merony” i zaczęliśmy zejście.

Idziemy na szczelny ogień, ale obrońcy Nowego Krymu o tym nie wiedzą. Tylko jeden wahadłowiec niesie desant, a cała bezzalogowa reszta wyłącznie imituje atak.

--Wchodźcie pod parasol -- zadźwięczał mi w uszach głos Vallensteina. -- Celnie strzelają panowie przesiedleńcy... Dziesięć procent strat, piętnaście, dwadzieścia... Ruszyło końcowe odliczanie, zaraz wami potrząśnie, trzymaj się, Rus...

--Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... -- zaczął komputer.

--Wszyscy zapięci? -- krzyknąłem po raz ostatni. Zdażyłem zobaczyć błądy uśmiech

Razdwakriaka i jego kiwnięcie głową, a potem rzuciło nami porządnie i od przeciążeń pociemniało mi w oczach.

Operatorzy kompleksów obrony przeciwkosmicznej zobaczyli tylko jedno: kolejny wahadłowiec imperialnych agresorów dostał bezpośrednie trafienie. Zakręciło nim i, otulony dymem, wszedł w swój ostatni lot nurkowy.

Systemy odfajkowały nasz statek jako zniszczony i przestały się nim interesować.

A nasz pilot musiał się nieźle namęczyć, żeby wyrównać lot wahadłowca. Wszystkie możliwe systemy maskujące naszego statku działały na całego, tworząc doskonałą iluzję naszej agonii -- według nich zostało nam kilka sekund życia przed uderzeniem o ziemię.

Później obrona dojdzie, jak było naprawdę -- wyliczą trajektorie upadku wszystkich większych odłamków, a przecież nasz statek spadał w jednym kawałku...

Nie lądowaliśmy na ziemi. Wahadłowiec należało zatopić w jak najgłębszym miejscu. Tak czy inaczej, odlecieć z planety możemy wyłącznie z Darianą Dark, bez niej powrót nie miał sensu.

Technicy „Merony” robili co mogli, żeby zamaskować uruchomienie naszych silników hamowania, chociaż takich „pochodni” nie da się zupełnie ukryć. Liczyliśmy na to, że obrona planetarna będzie zbyt zajęta ostrzałem pozostałych wahadłowców i mojej załodze uda się dotrzeć do brzegu.

Uderzenie o wodę omal nie wytrzęsło z nas duszy.

--Rozpiąć się! Wstawać! Brać rzeczy i do wyjścia!

Do przedziału wlewała się woda, w ciągu kilku chwil wypełniając całe pomieszczenie. Zgodnie z założeniem statek tonął, a my wyskakiwaliśmy przez luki awaryjne w kombinezonach pancernych. Nie minęła nawet minuta, gdy wahadłowiec legł na dnie -- my zostaliśmy na powierzchni.

Radio milczało. Przeliczyłem ludzi -- nikogo nie brakowało, więc popłynęliśmy do pobliskiego brzegu.

Nadchodził wieczór. Ciemność nadciągała ze wschodu, na niebie zapalały się znajome od dzieciństwa gwiazdy. Gdy wyszliśmy na pustą plażę, było już zupełnie ciemno.

Za nami pozostał zamieszkały pas nabrzeża, niewielkie osiedla, hotele, restauracje, a przed nami zaczynały się liczne w tej części wyspy farmy. Nigdzie nie było widać najmniejszego nawet światelka, jakby wszyscy powymierali -- albo gorliwie wykonywali rozkaz o zaciemnieniu.

W końcu dotarliśmy do lasu, a właściwie rezerwatu, zajmującego centralną część wyspy. Tutaj mogliśmy się już zatrzymać. Mimo całego przygotowania i szkolenia, ludzie dosłownie padali z nóg.

--Postój -- zakomenderowałem szeptem.

Niegdyś w dowolnej części wyspy można było swobodnie wejść do sieci, teraz Dariana Dark nie zostawiła nam takiej możliwości. Na wszelki wypadek spróbowałem raz i drugi -- brak sygnału. Należało działać według wariantu B.

W środku nocy zarządziłem wymarsz. Gilvy trzymała się nieźle, nie skarżyła się, nie zostawała w tyle, pokornie niosła swoją część ładunku -- skąd w niej tyle siły? Nie odzywała się jednak do nikogo, a gdy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, siedziała z boku, obojętnie wpatrzona w niebo.

--Co czujesz, Gil? -- usiadłem ostrożnie obok niej.

--Wydostaniemy się stąd -- powiedziała nagle. -- Nie zginiemy tutaj.

--To chyba dobre nowiny -- próbowałem żartować.

--Nie za bardzo, Rus. -- Gilvy nie podjęła mojego tonu. -- Nie mogę wyobrazić sobie, jak wyciągniemy stąd Darianę. Możemy wyczuwać biomorfy, ale jest ich tu tyle, że sam diabeł się nie rozezna...

Miała rację. Wprawdzie skrzydła Roju nie zasłaniały nieba, ale stworów było dużo i to gdzieś niedaleko. Czyżby macice?

--Sama do nas przyjdzie -- powiedziałem. -- Nie może nie przyjść.

Oczywiście nie powiedziałem, jaką cenę możemy za to zapłacić.

--W takim razie ty jesteś szefem -- wzruszyła ramionami. -- Ja już nie mogę. Nie mam siły dłużej czekać. Chciałabym, żeby to się wreszcie skończyło. To coś we mnie rośnie, Rus. I już wkrótce się wykluje.

--Nie mów głupstw. Nic się nigdzie nie wykluje. A takie teksty zostaw...

--Wiem, wiem, do horrorów klasy D -- mruknęła, spuszczać głowę. -- Chciałbym, ale nie mogę. Nie mogę, Rus. Ja wiem, jak to się skończy...

--Gil, wszystko będzie dobrze... -- zacząłem i urwałem.

Ona nie wie, czego od niej zażądam i to już wkrótce.

Odsunąłem się.

--Hej tam, wstawać -- zarządziłem. -- Dość tego wylegiwania się.

--Słyszeliście, co powiedział pan kapitan! -- To niezawodny Klaus Maria. Co byśmy bez niego zrobili! -- Razdwakriak, rusz tylek! To nie poligon, zapomnialesz, żyrafo ropuchogęba?

Gdy trzy godziny później zaczęło świtać i skończyła się godzina policyjna, przebrany w cywilne ciuchy ostrożnie zastukałem do drzwi stojącego na uboczu domku. Miałem nadzieję, że ludzie, których spodziewałem się tu zastać, jeszcze żyją.

Czekałem długo, aż ktoś podejdzie do drzwi, ale moja cierpliwość została nagrodzona.

--Ruslan! Ruslan, słowo daję, ty żyjesz!

Wciągnięto mnie do środka i drzwi się zatrzasnęły.

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet.

Skrót:

--W ciągu ostatniej doby wojska imperialno-faszystowskie podjęły próbę zaatakowania naszej planety. Dziesięć monitorów przeciwnika taranowało naszą obronę. Walka była zacięta, rozwścieczony wróg parł do przodu, nie licząc się ze stratami. Imperialne dowództwo, rozpaczliwie usiłując zmienić bieg wojny, posłało swoich żołnierzy i oficerów na pewną śmierć. Połowa imperialnych monitorów została zniszczona ogniem naszych środków obrony przeciwk kosmicznej. Szczególnie wyróżniły się następujące załogi (...)

Ale faszystowskich łajdaków nie powstrzymało nawet to, że ich plan przerwania naszego frontu został udaremniony przez dzielnych obrońców Nowego Krymu. Wróg próbował zrzuć desant, jego wahadłowce zostały jednak zlikwidowane na wysokich orbitach przez nasze pociski ziemia-powietrze...

Na ekranie pojawia się obraz ginących wahadłowców, przekazywany z satelity. Obraz mruga i podryguje, ale można zobaczyć, że jeden statek zostaje bezpośrednio trafiony rakieta i wybucha.

--Wszystkie wahadłowce wojsk imperialnych uległy zniszczeniu, ale niestety ich szczątki spadły w gęsto zaludnionych rejonach planety, powodując niegroźne pożary oraz niewielkie ofiary w ludziach. Łączymy się w żalu z rodzinami tych, którzy polegli z rąk imperialno-faszystowskich bydlaków. Dzisiejsze starcie po raz kolejny dowiodło niezłomności naszej obrony oraz doskonałego przygotowania bojowego oddziałów broniących Nowego Krymu.

Na ekranie przede mną widniało kilka wiadomości. Dalka nie zawiodła i rzeczywiście pisała, rzecz jasna krótko i głównie szyfrem. Sieć podlegała infiltracji, ale nawet Dariana Dark mimo szczerych chęci nie mogła jej całkowicie odłączyć -- sparaliżowałoby to życie na całej planecie -- ani ocenzurować stu procent korespondencji prywatnej; nie wystarczyłoby na to żadnych kadr, a roboty, segregujące podejrzane listy według zawartości, nietrudno oszukać.

Dariana Dark nie opuszczała Nowego Krymu. Wprawdzie Dalka nie mogła do niej wrócić -- równałoby się to wyrokowi śmierci, a nawet czemuś znacznie gorszemu -- wiedziała jednak, gdzie szukać jej sztabu. Dariana ulokowała się w samym centrum Nowego Sewastopola, w budynku dawnego magistratu.

Im dalej, tym gorzej. Musielibyśmy przedzierać się przez labirynt dzielnic i osiedli, natykając się wyłącznie na przesiedleńców...

W listach Dalki znalazłem również potrzebne nazwiska. Dowódcy jednostek ochrony, dowódcy oddziałów zakwaterowanych w Nowym Sewastopolu i tak dalej...

Noc zastała nas w drodze. Gilvy szła obok mnie, chłodna i obojętna jak posąg. W ciemności -- gwiazdy często kryły się za chmurami -- mój oddział dotarł do przedmieść.

Wszystko się tu zmieniło. Niegdyś te dzielnice tonęły w zieleni, łącząc się z polami i parkami otaczającymi stolicę Nowego Krymu; teraz drzewa ktoś bezlitośnie wyrąbał, a przez otwartą przestrzeń biegł paskudny rów przeciwpancerny -- betonowe ściany, drut kolczasty, wybetonowane dno ze stalowymi kolcami... Po przeciwnej stronie wznosiła się betonowa ściana ze stanowiskami cekaemów co kilka metrów. Drogę zagradzał labirynt kamiennych bloków półtorametrowej wysokości, a po obu stronach punktu przejściowego widniały okienka strzelnicze.

Trzeba przyznać, że Dariana Dark nieźle przygotowała się do ewentualnego oblężenia. Oczywiście jej umocnienia nie powstrzymałyby prawdziwego natarcia, chroniły jednak przed takimi przypadkowymi elementami jak my.

Dobrze, że zobaczyłem to wszystko, zanim opuściłem stolicę z 1. Dywizją Ochotniczą, Panie, świeć nad jej duszą...

Nie było ślepych, nieobserwowanych stref, przedpola nie omiatały promienie reflektorów, jak w starych filmach wojennych, a jednak nie wątpiłem, że obserwatorzy po tamtej stronie mają pod dostatkiem przyrządów noktowizyjnych.

--Tędy -- powiedziałem, skręcając w stronę przeredzonego zagajnika, mniej więcej kilometr od zasieków. -- Musicie uruchomić poszukiwacze min, niewykluczone, że tu aż roi się od niespodzianek.

Ujrzeliśmy przed sobą betonowe zbiorniki, otoczone ogrodzeniem z drutu kolczastego. Niegdyś mieściła się tu jedna ze stacji oczyszczalni biologicznej, ale gdy pojawiły się bardziej skuteczne filtry domowe i destrukторы, ten posępny pomnik epoki zorganizowanej walki z zanieczyszczeniem środowiska postanowiono zburzyć; zawsze jednak pojawiały się pilniejsze sprawy. Odłączony i zdekompletowany obiekt stał się jednym z ulubionych miejsc chłopięcych

zabaw.

Wiedziałem, że prowadzące do miasta kolektory zostały zabetonowane w czasach przedfederalnych, ale dla naszej grupy nie stanowiło to większej przeszkody.

Min nie znaleźliśmy. Na terenie stacji wyl smętnie wiatr, przekrzywione ogrodzenie zawałiło się w niektórych miejscach, ze szczelin w betonie wyrastała bujna trawa.

--Tutaj -- wskazałem zasypyany śmieciami i zasłonięty zardzewiałą kratą otwór. Za moimi plecami Razdwakriak stęknął głucho; Klaus Maria obladował go amunicją do granatnika, a przez wąski otwór należało się wczolgać.

--Cicho, orangutanie zasikany! -- zareagował Klaus Maria gniewnym pomrukiem. -- Skoro pan kapitan mówi, że trzeba wlaźć do rury, masz wejść bez gadania!

Weszliśmy. Trzy razy musieliśmy wracać prawie do wyjścia -- natrafialiśmy na betonowe przegrody, które należało wysadzić w powietrze, a wybuch w zamkniętym pomieszczeniu to, wierzcie mi, jednorazowa zabawa.

Na powierzchnię wyszliśmy w głębi miejskich osiedli. Mieliśmy na sobie pancerne kombinezony zakamuflowane kolorami Federacji.

--Ustawieni? -- zaszeptał nieoceniony sierżant. -- To naprzóóód... marsz! Trzymać szyk, krokodyle ogony, jesteście teraz regularną armią buntowników! Maszerujecie po swoim mieście, a nie po obcej planecie! Nie gapić się na boki, nie kręcić głowami! Złaziliście te ulice setki razy, zdążyły wam obrzydnąć. Mam nadzieję, że wszyscy pamiętają Nowy Sewastopol? No to pięknie. Za broń nie łapać pod żadnym pozorem, wyłącznie na wyraźny rozkaz dowódcy! I pamiętajcie, że to nie pan kapitan, tylko towarzysz kapitan! A Kriak mi powie, co zrobimy, jeśli przyczepi się jakiś patrol.

--Ośmielam się zameldować, że powoli otoczymy go ze wszystkich stron, jednocześnie aktywując lokalne środki zagłuszania elektronicznego w celu przerwania łączności patrolu z jego sztabem!

--Nieźle, Kriak. Chyba jednak udało mi się wlać do twojej lepetyny trochę oleju. Panie kapitanie, oddział gotów do wymarszu.

Skinąłem głową.

Na ulicach Nowego Sewastopola panował spokój. Nikt się nas nie czepiał, a my staraliśmy się iść zwykłym, marszowym krokiem, nie wysilając się za bardzo -- nadgorliwość zazwyczaj budzi podejrzenia. Najlepiej byłoby dotrzeć do sztabu Dariany pod ziemią, niestety wszystkie kolektory prowadzące do budynków władz zostały nie tylko zablokowane, ale i zalane betonem na grubość dziesiątków metrów. Wyobrażacie sobie, jak wyglądałoby przebijanie się przez takie „korki”?

Nowy Sewastopol bardzo się zmienił. Nigdy przedtem nie widziałem na ulicach takich stert przeganianych wiatrem śmieci. Nigdy wcześniej nie ziały dziurami strzaskane witryny rozgrabionych sklepów, zwłaszcza meblowych, z konfekcją czy sprzętem elektronicznym. Nigdy ściany nie straszyły taką masą jednostajnych graffiti, z powtarzającym się do znudzenia motywem męskich i żeńskich narządów płciowych ze wszystkimi szczegółami anatomicznymi. Na balkonach powiewała susząca się bielizna, jakby nowi mieszkańcy domów nie umieli korzystać z suszarek. Chociaż podejrzewałem, że nie chodziło o suszarki, lecz o zasadę baba powinna znać swoje miejsce i stale mieć jakieś zajęcie, nieważne, czy praca ma jakiś sens, czy nie. Silni i głupi, intuicyjnie wyczuwając swoją niższość, zawsze próbują odegrać się na

słabszych. Zbyt dobrze pamiętałem wyczerpane, zastraszone kobiety, żony i córki przesiedleńców z Borga...

Nieliczni przechodnie, których spotykaliśmy, byli przesiedleńcami. Machali do nas serdecznie, a my uśmiechaliśmy się skąpo. Dobrze, że na Borgu używa się niemal wyłącznie ogólnoimperialnego i nikt nie może nas przyłapać na nieznanym języku...

Naszą jedyną szansą był niespodziewany, silny atak, przeprowadzony tak szybko, by nikt nie zdążył podnieść alarmu. Przecież poprzednim razem sztab Dariany ochraniały lemury, które sprawiły, że cała moja grupa straciła przytomność.

Oto i główny plac. Budynku Dumy nikt nie odbudował, w ślepe okna nadal nie wstawiono szyb, fasadę pokrywała sadza -- pamiątka po szalejącym pożarze, nawet dach zapadł się w kilku miejscach.

Za to magistrat, odnowiony, lśnił czystością. Drzwi otwierały się niemal bez przerwy, co chwila wbiegali i wybiegali umundurowani oficerowie, obwieszeni odznaczeniami jak choinka bombkami. Wielu nosiło kombinezony i w myślach postawiłem piątkę naszym specjalistom od kamuflażu -- mój oddział niczym się nie różnił od miejscowych żołnierzy.

--Plutoon... stój! -- zakomenderowałem, gdy podeszliśmy niemal do samych drzwi. Obok wejścia nudziło się, przeglądając niedbale dokumenty wchodzących, sześciu wartowników z porucznikiem na czele. Porucznik, sądząc z wyglądu, nie pochodził z Borga, w każdym razie nie nosił obowiązkowej u przesiedleńców brody. Podeszedłem niedbale prosto do niego, odchyłając osłonę helmu i przybierając minę starego wojaka, który nie wiadomo po co musiał fatygować się do sztabu.

--Dostałem polecenie, żeby zjawić się u naczelnika ochrony, towarzysza Santora...

Proszę chwilą poczekać, towarzyszu kapitanie, zaraz się połączę...

Czekałem ze znudzoną miną, a biedny porucznik znęcał się nad przyciskami rozmównika. Rzecz jasna, urządzenie nie działało. Mój oddział miał w plecakach specjalne cudeńka, które teraz emitowały zakłócenia.

--Dziwne... -- powiedział w końcu porucznik. -- Coś się stało z łącznością. Zaraz kogoś wyślę...

Mój pluton, który stał w pewnej odległości, powolutku, maleńkimi kroczkami zaczął się do nas przybliżać.

Dariany Dark na razie nie wyczuwałem. Nie wyczuwałem również obecności żadnych skupisk biomorfów. Chyba wszystko w porządku.

--No nie! -- oburzyłem się pokazowo. -- Zrywa się nas nie wiadomo po co, lecimy z wywieszonymi językami, a teraz się okazuje, że wam szwankuje łączność?! A że ja musiałem zostawić odcinek, to już nikogo nie obchodzi! O, dosyć tego. Zaraz zamelduję o wszystkim pułkownikowi Żmychowi!

--Przepraszam, towarzyszu kapitanie! Widzi pan, ta zdobyczna technika... nie zawsze działa jak należy, a specjalistów wечно brakuje...

--Specjalistów brakuje wtedy, gdy ręce wyrastają z niewłaściwego miejsca! -- ryknąłem. -- Zaprowadźcie mnie do swojego zwierzchnika, poruczniku. Nie będę tu sterczał cały dzień!

Porucznik był kompletnie zielony -- doświadczony dowódca warty od razu zacząłby coś podejrzewać, no ale dla takiego odegrałbym zupełnie inny spektakl. Zresztą chyba możemy mieć raz na jakiś czas odrobinę szczęścia?

Weszliśmy do środka. Moi chłopcy zostali na zewnątrz, a dzielny Klaus Maria natychmiast wypiął pierś i zaczął przechadzać się przed szeregiem.

W środku dokumenty sprawdzało czterech oficerów, w kącie ziewali z nudów operatorzy cekaemu.

--Co tam, Frenkel? -- zawołał do mojego przewodnika jeden z oficerów z trzema gwiazdkami na pagonach.

--Towarzysz kapitan przybył z plutonem. Mówi, że do dyspozycji pułkownika Santora...

--Podejdźcie, towarzyszu -- zwrócił się do mnie porucznik. To były jego ostatnie słowa.

Podszedłem do niego, podałem tablicę graficzną z rozkazem, a potem jednym ruchem opuściłem osłonę hełmu, jednocześnie naciskając odpowiednie przyciski.

Sześć krótkich, ukrytych w plecaku łuf wypłuło wypełnione gazem granaty. Okna parteru były zasłonięte arkuszami blachy, więc nie obawiałem się hałasu wybitych szyb oraz innych efektów dźwiękowych.

W chwilę później drzwi otworzyły się na oścież i do środka wpadł mój oddział. Ci, którzy zostali na ulicy, w okamgnieniu rozbroili zaskoczonych wartowników.

Odwróciłem się do Gilvy, której twarz kryła się za osłoną hełmu

--Gilvy, do mnie. Szukamy Dariany!

Komandosi z Klausem Marią na czele dobili wartowników i pobiegliśmy na górę po marmurowych schodach, pokrytych dywanem w panterkę.

Bez cielesnego kontaktu wyczucie biomorfa w Gilvy stało się trudniejsze.

A z góry już biegły jakieś postacie w pancerzach, eter wypełniły terkot i trzaski -- „zdobycza technika” nie zawiodła. Huknęły pierwsze strzały i w końcu poczułem, że nawiązuję kontakt ze straszną i obcą siłą -- biomorf Gilvy stał się znacznie silniejszy od mojego.

W tej samej chwili wyczułem również Darianę. Wiedziałem, że też nas wywęszyła -- ale zbyt późno...

Biegiem pokonaliśmy klatkę schodową, z kłębow dymu w holu wypadliśmy na korytarz. Obok nas rozlegały się strzały, z przeciwka biegło kilku wartowników. Razdwakriak bez namysłu rzucił granatem i wybuch omal nie poszatkował nas na kawałki. Pokonujemy zakręt, jeszcze jeden, Dariana zaczyna się oddalać, wpadam na zamknięte drzwi, seria w zamek i...

Zobaczyłem ją. Pół tuzina ochroniarzy zbiegało właśnie z Darianą po schodach ewakuacyjnych -- to była ostatnia rzecz, jaką zobaczyłem, ponieważ Dark odwróciła się nagle i...

To samo słowo. Polecenie podporządkowania się, zmuszenie do posłuszeństwa. Zamknąć oczy, upaść, umrzeć. Niech się wszystko zatrzyma. Moje istnienie nie ma sensu.

Spodziewałem się czegoś takiego, ale tym razem było nas dwoje. Biomorf we mnie poczuł lemury, które właśnie zaganiano tu kopniakami, mieliśmy tylko kilka sekund, zanim...

Ochroniarzy Dariany zmiotł ognisty cyklon. Czterdzieści łuf przeciwko sześciu -- dobry stosunek.

Dark miała na sobie kombinezon pancerny z opuszczoną osłoną. Czulem jej wściekłość i rozpacz tak samo wyraźnie jak swoje własne. Jej polecenie na nas nie podziałało, w każdym razie nie tak, jak się spodziewała.

Uderzyliśmy razem z Gilvy, przyciągając do siebie biomorfa w Darianie dokładnie tak, jak

przyciągaliśmy Rój na Kappie: wściekłością i nienawiścią.

Poczułem falę gorąca i dziwne pulsowanie w nadgarstkach, jakby żyły chciały wyrwać się na zewnątrz. Świat zamienił się w purpurowy obłok, w którym widziałem tylko Darianę, jej postać z płonąca wokół pomarańczową aureolą.

A potem jakby znalazła się tuż obok mnie i utrzymanie jej biomorfa przerosło moje siły -- to było tak, jakbym próbował utrzymać ładunek ważący ponad tonę.

Wtedy z nieoczekiwaną jasnością ujrzałem, jak z prawej strony wylania się Klaus Maria i bez żadnych tam, psiamac, głupot, po prostu wali Darianę kolbą w kark...

Nad moją głową rozciągało się rozgwieżdżone niebo, a wokół huczały wystrzały.

--Gdzie... jestem?

--Niech pan leży, panie kapitanie, niech pan leży. Musimy się jeszcze chwilę utrzymać, zaraz przylecą nasi.

To Klaus Maria. Ale skąd te strzały?...

--Otoczyli nas, panie kapitanie. Ale boje działają i wahadłowce już lecą.

--Dlaczego... Przecież mieliśmy... podnieść nasz statek...

--Nie przedarliśmy się do morza, panie kapitanie. Odcięli nas... czołgi, helikoptery, cały arsenał. Depczą nam po piętach. Mamy straty, zabitych musieliśmy zostawić.

--A... Gilvy?

--Cała i zdrowa, tylko nadal nieprzytomna.

Próbowałem wstać, ale poczułem, że coś boleśnie zakłuło mnie w piersi.

--Przecież... zestrzelał wahadłowce...

--Chociaż jeden musi się przedrzeć -- powiedział z przekonaniem Klaus Maria. -- W końcu nasi na orbicie też nie siedzą z założonymi rękami. Odrobinę zaszkodzą tutejszej ekologii, ale co zrobić...

Spojrzałem w ciemne niebo nad nami -- co chwila rozbłyskiwały tam maleńkie, słabo widoczne iskierki. Mogłem się tylko domyślać, co tam teraz eksploduje, skoro widzimy to z odległości setek kilometrów przez wzmacniacze optyczne...

Nawet jeśli jeden ze spieszących do nas wahadłowców przedrze się przez ogień zaporowy, czeka nas jeszcze start z planety i droga powrotna na wysoką orbitę.

--A... Dariana?

--Cała i zdrowa, proszę się nie martwić, panie kapitanie.

--A co z...

--Nad Nowym Sewastopolem wisi Rój -- przerwał mi Klaus Maria. -- I niech Bóg ma w swojej opiece tych, którzy tam teraz są. Gdy porwali Darianę, te bestie kompletnie straciły rozum. Rój spadł na miasto ze wszystkich stron. Nigdy nie czułem sympatii do tych buntowników, panie kapitanie, ale teraz... teraz się za nich modłę. Przecież tam są kobiety i dzieci...

O mój Boże...Nigdy nie spodziewałbym się po tym człowieku takiej przemowy.

Rój nad Nowym Sewastopolem. Nad miastem, w którym zgromadzono niemal pół miliona nieszczęsnych przesiedleńców. Dariana Dark wpadła w zastawioną przez siebie pułapkę.

I zdołała się zemścić.

Boże mój, przemknęło mi przez głowę, co teraz będzie? Najpierw Rój zajmie się miastem i okolicą, o, tam znajdzie sporo pożywienia... Ale co będzie później? Czy zacznie

rozprzestrzeniać się po planecie, pożerając pozostałych? I co nas czeka na końcu tej drogi? Kolejna martwa planeta, usłana tysiącami ogryzionych szkieletów, i Dbigu, którzy zjawiają się ze swoimi maszynami zacierającymi wszelkie ślady działalności człowieka?

Nie możemy stąd odejść. Musimy natychmiast wezwać brygadę, ja i Gilvy ściągniemy Rój na siebie i...

--Klausie... panie Klausie Mario... -- wyszeptalem i Pferzegentakl natychmiast pochylił się nade mną, łowiąc każde słowo.

--Tak? Tak, panie kapitanie?

--Przekaż... na „Merone”... żeby zaczynali... desant... inaczej...

--Już przekazałem, Ruslanie -- powiedział Pferzegentakl, patrząc mi prosto w oczy. --

Odpowiedzieli odmownie.

Świat brzęknął jak za mocno naciągnięta struna i usiłował się przekreślić. Rozpaczliwym wysiłkiem utrzymałem się na krawędzi przepaści i nie straciłem przytomności.

--Łączność... daj mi łączność, żeby się...

--Nie denerwuj się, Ruslan. Zaraz będzie kanał.

Nie wiem, jak udało mi się przeżyć te kilka minut, nim ostro nakierowany promień naszej anteny wyszukał w przestrzeni nadajnik „Merony”.

--Ruslanie! -- Głos Vallensteina wbił się w moją świadomość.

--Panie generale... Rój nad Sewastopolem... trzeba lądować...

Milczenie.

--Słyszysz... słyszy mnie pan?

--Słyszę, Rus -- odpowiedział dowódca Tannenberga w moim ojczystym języku.

--Jaka... decyzja?

--Lądowania nie będzie.

--Val...

--Wiem, Rus, wszystko wiem. Jak się to wszystko skończy, będziesz mógł wyzwąć mnie na pojedynek. Z radością udzielię ci satysfakcji.

--Mój naród... ludzie mojego języka...

--Taka jest cena uratowania ludzkości.

--Mam gdzieś ludzkość! -- wrzasnałem po rosyjsku, zbierając wszystkie siły. -- Ląduj z brygadą, słyszysz? Nie mam nic do stracenia! Załatwimy ten cholerny Rój!

--Ruslanie... -- Vallenstein jakby nie słyszał mojego krzyku. -- Nie zdążymy. Zanim wylądujemy i zaczniemy akcję...

--Przynajmniej kogoś uratujemy! -- krzyknąłem, bliski szału. Gdzie się podziela moja słabość i złe samopoczucie? -- Tam jest teraz gorsze piekło niż na Omedze czy Iwoldze! Jeśli nie wylądujecie... Zawsze zdążę popelnić samobójstwo. A także zastrzelić Darianę.

Zapadło milczenie, które trwało całą wieczność.

--Dobrze -- powiedział bezbarwnym głosem Vallenstein. -- Nie zostawiłeś mi wyboru, Fatiejew. Ale odpowiesz za życie żołnierzy mojej brygady...

--Z wielką chęcią udzielię panu satysfakcji, generale! -- Aż mnie skręcało z nienawiści. -- A za życie moich rodaków, zabitych przez Rój, nie chce pan czasem odpowiedzieć?

--A ty za całą ludzkość? -- wybuchnął w końcu opanowany dotąd Vallenstein. -- Nie wiem, czy twój szalony plan zadziała, ale innego nie mamy, a ty chcesz polec śmiercią bohatera na tej

cholernej planecie!

--Gina tylko ci, komu zostało to przeznaczone -- powiedziałem. -- Nigdzie nie polecę.

--Wydałem rozkaz lądowania -- rzekł sucho Vallenstein. -- Monitory stworzą zaporę. Dziś pójdzie tyle zawiadomień o śmierci...

--Mam to gdzieś -- powtórzyłem.

--Zrozumiałem, Fatiejew. Trzymajcie się. Pierwsza fala runie prosto na was.

W słuchawkach rozległo się pstryknięcie i dowódca brygady Tannenberg przerwał łączność.

--Trzymać obronę! -- krzyknąłem do swoich ludzi, chociaż nikt nie potrzebował tego rozkazu; zredukowany oddział i tak się bronił, otoczony na szczycie niewysokiego wzgórza.

Widok oszalałego Roju, atakującego bezbronne miasto, zrobił wrażenie również na przeciwnikach. W naszą stronę leciały tylko pojedyncze kule, wystrzały rozlegały się coraz rzadziej.

--Pozwoli pan, że z nimi porozmawiam, panie kapitanie? -- Klaus Maria wyrósł jak spod ziemi. -- Wydaje mi się, że im też jest teraz nielekkko.

--Sądziysz, że zdadzą się na naszą łaskę?

--Zawsze można spróbować, panie kapitanie.

--Bez szarż, Klausie Mario -- powiedziałem znużony. -- Jak chcesz, to z nimi pogadaj.

Tam, w górze, loskoczą buty na pokładach desantowych, „Merona” pustoszeje, szykuje się do wyrzucenia wahadłowców. Teraz powinny dać o sobie znać monitory...

W tej samej chwili w oddali rozległo się kilka potężnych wybuchów, potem znowu i znowu, w końcu pojedyncze loskoty zlały się w jeden ciągły ryk i noc zniknęła, jakby dłoń olbrzyma zdarła ciemną zasłonę z naszytymi na niej gwiazdami.

Klaus Maria wyprostował się i zamachał rękami nad głową.

Natężenie wybuchów ciągle rosło i wołałem nie myśleć, co stanie się z ziemią, tak cenną na Nowym Krymie, na której szaleje teraz ogień.

Nikt nie strzelił do sierżanta.

--Mikki! Kriak! Ktokolwiek!

--Jestem, panie kapitanie -- odezwał się wierny Fin.

--Gilvy Patters... Musi odzyskać przytomność.

--Wypróbowaliśmy wszystkie stymulatory, żaden nie podziałał.

--Pomóż mi.

Gilvy leżała na wznak z uniesioną osłoną helmu, niewidzące oczy były szeroko otwarte. Zastygło w nich niewyobrażalne przerażenie i wstręt.

--Gil, ocknij się, proszę cię...

Odruchowo przywołałem jej biomorfa i w tej samej chwili Gilvy poruszyła się i zakasłała.

--Wstawaj, Gil, wstawaj, musimy znowu...

--Wiem -- powiedziała samymi wargami. -- Widziałam... Rój. Byłam nim. Wszystkimi i nikim. Ja ich wszystkich, tam.. w mieście... nie mogłam wrócić, dopóki nie zawołałeś...

Spróbowała się poruszyć i jęknęła. Odwróciła ręce, popatrzyła na swoje nadgarstki, jakby licząc, że uda jej się coś zobaczyć przez mankiety pancerza.

--Gilvy, zaraz wylądуйте tu Tannenberg. Musimy ściągnąć Rój na siebie.

Jej wargi skrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu, godnym Meduzy.

--Dobrze -- westchnęła. -- Dla ciebie, tylko dla ciebie... Chociaż teraz to już nie ma żadnego znaczenia...

--Przedrzemy się, Gil -- powiedziałem, ale jej twarz wykrzywił grymas bólu.

--Już nie, Rus. Teraz już nie. Ale zrobię to, o co mnie prosisz. Powiedz, kiedy... kiedy będzie trzeba. -- Znowu zamknęła oczy.

--Panie kapitanie! -- Klaus Maria przepchał się do mnie. -- Panie kapitanie, zawieszenie broni! Nie będą strzelać, jeśli obronimy ich przed Rojem. Chyba już wszyscy narobili w spodnie ze strachu!

--Odbierz im broń, sierżancie. A przynajmniej amunicję.

--Tak jest! Hej tam, słuchajcie! Pan kapitan zarządził, żeby...

Położyłem się na ziemi obok nieruchomej Gilvy. No i gdzie ten pierwszy transport?...

Wpadłem w dziwne odrętwienie i nagle poczułem krwiożerczy zew, ciągnący mnie do skazanego na śmierć miasta, w którym ucztował Rój.

A potem z nieba zaczęły spadać otulone płomieniami wahadłowce, z hukiem runęły pochylnie, z rykiem wyjechały lekkie bwp, wysłane przez Vallensteina w pierwszej fali -- dowódca Tannenberga łamał wszystkie pisane i niepisane zasady desantu.

Pferzgentakl przyprowadził rozbrojonych żołnierzy Dariany -- około stu ludzi. Wszyscy z przerażeniem spoglądali w stronę Nowego Sewastopola.

--Słuchajcie! -- ryknął sierżant. -- Teraz każda lufa jest na wagę złota. Dajcie mi uroczyste słowo honoru, że nie zwrócicie broni przeciwko nam, a dostaniecie karabiny z powrotem. Mamy teraz wspólnego wroga, a Rój nie będzie się zastanawiał, kto jest imperialem, a kto federalem, *verstehen*? Rzecz jasna, odpowiedzią był zgodny pomruk.

--Fatiejew! Ruslan! Gdzie jesteście?

Aha, major Dietrich Möchbau jak zwykle w pierwszym szeregu.

--Tutaj, panie majorze.

--Daj spokój szarżom! Rus... tam się dzieje coś strasznego, lepiej... lepiej o tym nie wiedzieć. Rozwijam batalion... ile czasu zajmie wam ściągnięcie na siebie Roju?

--To dość daleko, ale teraz czujemy go znacznie lepiej, więc...

--Zjawia się tu pięć minut po moim wezwaniu -- powiedziała Gilvy dziwnym metalicznym głosem. -- Nic więcej nie mogę zrobić, nawet nie proście. Ale ściągnąć Rój... proszę bardzo.

Poruszyła się i wstała -- sama, bez niczyjej pomocy.

--Gotowi, majorze?

--Gotowi, pani podporucznik -- zameldował Möchbau. -- Czasu na przygotowanie nigdy nie za wiele, ale w Sewastopolu jest teraz sądny dzień, więc...

--Niech pan nie traci słów, majorze -- poradziła Gilvy, wstając i wyciągając ręce do nieba. -- Proszę wydać rozkazy. Za pięć minut tu będą.

Nie wiem, co takiego zrobiła, ale mnie ogarnęła zajadła, szaleńcza i zaćmiewająca umysł nienawiść, która wymagała natychmiastowego rzucenia się do ataku, nieważne dlaczego, nieważne po co, wszystko jedno, byle naprzód, byle dalej!

Zachwiałem się, Mikki mnie podtrzymał. Poczulem mdłości, nogi się pode mną ugięły, a Gilvy stała ze wzniesionymi w górę rękami, niczym starożytna kapłanka Hekate, przywołująca na pomoc horde wiernych sług bogini magii i czarów.

I Rój zareagował na to wezwanie. Trzepot tysięcy skrzydeł, tupot setek nóg, odbłask

gwiazd na pokrytych gęstym śluzem grzbietach i bokach...

Zaslonilem twarz osłoną helmu, włączyłem kanał podczerwieni i zobaczyłem skrzydła rozpaczliwie tłukące powietrze rozpostartymi błonami, wyciągnięte trąby, gotowe w ułamku sekundy wydzielić preparaty chemiczne zdolne rozpuścić każdy pancierz, czułem ich wściekłość, ich głód, ich szaleńczą gotowość i absolutną pogardę dla własnego istnienia.

--Nic nie rób, Ruslanie -- rzuciła mi Gilvy, nie odwracając głowy. -- Sama ich tu ściągnę.

--Gil, a czy... czy mogłabyś rozkazać im, żeby...

--Nie mogę -- ucięła. -- Oboje możemy tylko jedno: ściągnąć je na siebie. Proszę nie spać, majorze, zaraz tu będą!

Dietrich Möchbau skinął głową i machnął ręką.

--Cały batalion, ognia! -- zakomenderował zwykłym, codziennym tonem.

Nad naszymi głowami zawirowała żywa trąba powietrzna, a z ziemi pomknęły oślepiające pociski smugowe. Skupione na niewielkim lądowisku ciężkie uzbrojenie waliło unisono, na szczęście automatyka kombinezonów wzmocniła osłonę akustyczną.

Wybuchy dziesiątkowały zmierzający ku nam Rój i już po chwili spadł z nieba prawdziwy deszcz spalonych, rozerwanych ciał.

Nie mieliśmy czasu, żeby stworzyć prawdziwy pas umocnień, nie mieliśmy żadnych siatek osłaniających ani żadnych, najbardziej nawet prymitywnych okopów. Żołnierze Tannenberg'a stali ramię przy ramieniu ze wzniesionymi karabinami. Ledwie nadążano z dostarczaniem amunicji.

Strzelało wszystko, co tylko mogło strzelać, ogień tańczył wokół zadartych w górę luf samochodów desantu, z bliskiej odległości waliły wyrzutnie raketowe i niebo nad naszymi głowami zawrzało płomieniem. Płonęła trawa i krzaki wokół, jednak mimo naszych wysiłków potworna, żywa gilotyna Roju obniżała się nieubłaganie. To jeden, to drugi stwór przedzierał się przez pozornie szczelną ścianę naszego ognia i spadał niczym kamień na ramiona któregoś ze strzelców, pospiesznie oplatając nieszczęśnika mackami. W ruch szły miotacze ognia i zaraz potem gaśnice chemiczne -- wykorzystywaliśmy chwyt wypróbowany jeszcze na Iwoldze. Bestia rozpadała się na tłusty, czarny popiół, ale na jej miejscu pojawiała się kilka innych.

--Jeśli Vallenstein nie zdąży z resztą brygady, już po nas -- powiedział Möchbau z tym samym niewzruszonym spokojem.

Padalo coraz więcej żołnierzy, nie zawsze nadążaliśmy z miotaczami ognia i ruchliwe wyrostki stworów przenikały do środka przez rozpuszczony pancierz, bez trudu przebijając ciało człowieka. Żołnierze krzyczeli w agonii, a Rój gęstniał coraz bardziej. Potwornych istot nadal przybywało, reagując na wezwanie Gilvy, leciały ze wszystkich stron. Teraz nie marnowała się żadna kula, żaden pocisk, można było strzelać w to żywe tornado, prawie nie celując.

Na kanale dowódczym słychać było meldunki dowódców kompanii -- straty rosły, batalion zaciskał front, skupiając się wokół Gilvy, obok nas strzelali nasi niedawni przeciwnicy. Rój nie zastanawiał się, gdzie swoi, a gdzie obcy -- nie było przecież Dariany, która mogłaby wskazać „swoich”.

Jednak z nieba spadały nie tylko bestie Roju -- jeden po drugim lądowały wahadłowce, od razu włączając się do walki. Vallenstein posyłał wszystkich, nawet kucharzy i referentów z działu gospodarczego.

Porzuciłem próby ściągnięcia na siebie Roju -- w porównaniu ze zdolnościami Gilvy moje były teraz niczym.

Rzecz jasna, gdyby Dariana Dark nadal przebywała w sztabie, a Rój nie zaatakował Nowego Sewastopola, Tannenbergowi nie udało się wylądować z taką łatwością i praktycznie bez strat.

Batalionów przybywało, nasz ogień stawał się coraz silniejszy, a napór Roju nie. Jego zastępy wydawały się niezliczone -- ale, na szczęście, tylko się wydawały.

Nie będę opisywał tej niekończącej się nocy. Rozgrzewały się lufy dział, przegrzewały cekaemy, pustoszały skrzynki z amunicją, a Gilvy nadal ściągała do siebie miriady ciemnych skrzydeł, niczym prawdziwa bogini zemsty i śmierci. Przyciągała Rój swoją nienawiścią niczym zaklęciem -- i żaden stwór nie mógł się temu oprzeć. Szkoda tylko, że Gilvy nie mogła im rozkazać, żeby się nawzajem pozabijały albo za jednym zamachem wszystkie padły trupem.

Krawędź nieba rozjaśniał świt, gdy skoszony seria z cekaemu upadł do naszych stóp ostatni stwór. Bitwa z Rojem dobiegła końca.

Gilvy Patters westchnęła słabo i usiadła na ziemi. Ledwie zdążyłem podtrzymać jej ciało, które teraz wydawało się nieważkie.

Jedna ampulka stymulatora, druga, trzecia... Wreszcie Gilvy drgnęła i otworzyła oczy.

--Gdzie moi medycy, do wszystkich diabłów?! -- warknął ze złością Vallenstein, wylaniając się z tłumu. -- Rusłanie, moje gratulacje, podziękowania i... -- Zawahał się. -- I wybacz mi, jeśli możesz.

--Nie mam panu czego wybaczać, Joachimie. -- Spojrzałem mu prosto w oczy. -- Przecież Tannenberg mimo wszystko wylądował, Rój został zniszczony i Nowy Krym jest, przynajmniej na razie, stosunkowo bezpieczny. Teraz moja kolej. Ale najpierw...

--Oczywiście, zajmiemy stolicę. -- Vallenstein skinął głową. -- Sztab Generalny zaaprobował tę operację. No, a ty naszykujesz miejsce na order, co? -- Poklepał mnie po ramieniu.

--Wstrzymajmy się chwilę z tymi orderami. -- Zerknąłem na krzątających się wokół Gilvy lekarzy.

--Musimy zdjąć kombinezon -- usłyszałem.

Gilvy podskoczyła jak na sprężynie.

--Co? Zdjąć pancierz? Nigdy!

--Pani podporucznik, niewykluczone, że pani...

--Ze mną wszystko w najlepszym porządku -- warknęła Gilvy i wstała z wysiłkiem. -- Zwykle zawroty głowy... z przemęczenia. Zresztą już minęły.

Doktor z powątpiewaniem pokręcił głową.

--Jestem zmuszony nalegać na gruntowne badania, pani Patters, i...

--Wszystko. Ze mną. W porządku -- powoli, niczym osobie ograniczonej umysłowo, wyjaśniła Gilvy, patrząc lekarzowi w oczy. Wstała i odsunęła go gwałtownie na bok. -- Rusłanie! I pan, panie generale... na waszym miejscu nie zwlekałabym z zajęciem Nowego Sewastopola. Sprawę z Darianą Dark możemy załatwić po drodze.

Pierwszy oddział Tannenberga dotarł do granic miasta bez jakichkolwiek przeszkód. Punkt przejściowy wyglądał żałośnie; wszędzie -- na drodze, obok betonowych barykad, a nawet w rowie leżały rozszarpane ciała. Pancierz nikomu nie pomógł. Stalowe drzwi bunkra,

stopione w kilku miejscach, były otwarte na oścież. Wokół okienek strzelniczych leżały zabite stwory, ale nie było ich zbyt wiele. Ani jednego żywego człowieka. Większość ciał okazała się zarazona, widzieliśmy już coś takiego na Iwoldze. Musieliśmy się zatrzymać i urządzić stos pogrzebowy.

Vallenstein polecił zebrać wszystkie żetony i chipy rozpoznawcze.

Betonowe bloki odsunięto na bok i kolumna wjechała do miasta.

Nowy Sewastopol wyglądał, jakby zszedł z płócien wielkiego Hieronima Boscha. Wszędzie krew i ciała, ciała i krew, poodrywane ręce, nogi i głowy, obgryzione do czysta kości i tylko gdzieś tam zastrzelone stwory. Tutaj Rój niemal nie napotkał oporu.

Vallenstein puścił przodem transporter opancerzony z plutonu propagandy. Z głośników rozlegało się:

--Mieszkańcy Nowego Krymu! Do miasta wkraczają oddziały imperialne. Niszczymy bestie, które was zaatakowały. Nie stawiajcie oporu, dość już przelanej krwi, nie chcemy, by ktokolwiek jeszcze ucierpiał...

Dotarliśmy do centrum miasta. Nie padł żaden strzał.

Z okien i drzwi powoli wysuwali się ocaleli ludzie, odprowadzając nas na wpół obłąkanymi spojrzeniami.

Formalnie Nowy Sewastopol znowu należał do Imperium.

Zniszczyliśmy wszystkie biomorfy w najbliższej okolicy. Ani ja, ani Gilvy nikogo więcej nie poczuliśmy, z wyjątkiem Dariany, która przebywała w pilnie strzeżonym transporterze aresztanckim.

Sporo czasu zajęło nam zaprowadzanie elementarnego porządku w mieście, „ożywienie” sieci informacyjnych, wzięcie pod kontrolę stacji energetycznych... Dopiero potem razem z Gilvy i Vallensteinem wszedłem do celi, w której trzymano Darianę.

Słynna terrorystka leżała na wąskiej pryczy, unieruchomiona szerokimi pasami, wpatrzona w niski stalowy sufit. Ogromnie się zmieniła od czasu naszego ostatniego spotkania... Oczy miała zapadnięte, policzki również, twarz nabrała ziemistej barwy, a blade wargi i pociemniałe zęby uzupełniały obraz. Wydawało się, że Dariana jest ciężko, jeśli nie śmiertelnie chora.

Nie poczułem ani triumfu, ani radości, wyłącznie pustkę i ból. Przecież Dariana nosiła we krwi tę samą truciznę co ja. Mogliśmy stać się tarczą ludzkości, a zostaliśmy wrogami...

--Dariano Dark -- powiedział półgłosem Vallenstein, patrząc jej w oczy.

Nie poruszyła się, nawet nie zaszczyciła nas spojrzeniem.

--Nic nie powie -- zawyrokowała Gilvy martwym głosem. -- Panie generale, proszę nas zostawić. Ja i Ruslan poradzimy sobie najlepiej.

Vallenstein drgnął, chyba chciał coś powiedzieć, ale widocznie ugryzł się w język, bo pokręcił głową i bez słowa wyszedł z celi. Skrzypnęły pancerne drzwi, Gilvy przekręciła zamek.

--Chcesz zrobić ten sam numer co ze mną? -- spytała Gilvy, nie patrząc mi w oczy.

--Dokładnie. -- Skinąłem głową.

--Nie sądzę, żeby się udało. Jej biomorf jest bardzo silny. Trzymaj mnie mocno, Rus!

„Połączyliśmy się” niemal od razu, lekko i naturalnie, i dopiero potem we dwójkę uderzyliśmy w biomorfa Dariany, łamiąc jej opór, ostatnie, rozpaczliwe próby wydawania nam rozkazów i zmuszenia do posłuszeństwa, co udało jej się przecież nie tak dawno ze mną.

Ale teraz było nas dwoje. Okazaliśmy się dwa razy silniejsi, a Gilvy prowadziła mnie, bez

wahania zmiatając z drogi stawiane przez Darianę zapory.

Terrorystka najpierw wytrzeszczyła oczy, potem zacharczała i szarpnęła się, prężąc jak w ataku epilepsji. Czulem zalewającą ją rozpacz, czarną i nieprzeniknioną, czulem jej pragnienie -- żeby umrzeć już, natychmiast, a przez te odczucia przebił się głos Gilvy:

--Powiesz nam wszystko, bestio.

--Ty... ty... -- Dark uniosła głowę, z kącika jej ust po podbródku pociekła ślina. --

Dlaczego... ty... z nimi...

--Dlatego, że go kocham! Wystarczy? -- oznajmiła tym co poprzednio, martwym głosem Gilvy. -- Chcesz jeszcze o coś zapytać?

--Ty... przekroczyłaś próg... i teraz...

--Wiem. Tak było trzeba.

--O czym ona mówi, jaki próg? -- Nie zrozumiałem.

--Później -- opędziła się Gilvy. -- Nie przeszkadzaj.

--Ty... mogłabyś...

--Kto mnie stworzył, Dariano? -- zapytała spokojnie Gilvy. -- Odpowiedz, to może cię oszczędzę.

Dark zaśmiała się ochryple, ale śmiech od razu przeszedł w zachłystujący się kaszel.

--Oszczędzisz mnie? Oszczędź siebie, moja wierna agentko...

--O mnie się nie martw -- sparowała spokojnie Gilvy. -- O siebie zatroszczę się sama. To co, nic nie powiesz?

--Nie. -- Krzywo się uśmiechnęła.

--Wobec tego zabierzemy twoją pamięć -- powiedziała spokojnie moja towarzyszka.

--Nigdy! Nie zdołacie...

--Zaraz się przekonamy -- rzuciła niedbale Gilvy. -- Zaczynaj, Rus! Zaraz ją złamiemy.

Przytuleni do siebie, zrobiliśmy krok w jej stronę -- Dark znowu zaczęła się szamotać, na wargi wystąpiła piana.

...Gdy runęła ostania przegroda, wydawało mi się, że spadam w czarną, bezdenną przepaść. Obok mnie ze świstem przelatowały ściany, a dna ciągle nie było, za to rósł strach przed twardym lądowaniem. Dariana krzyknęła niczym zraniony ptak i zastygła, wpatrując się w nas nieruchomym spojrzeniem.

Chwilę później zobaczyliśmy jej wspomnienia.

Wiadomości imperialne:

--Błyskotliwa operacja przeprowadzona przez nasze waleczne siły zbrojne.

Brygada pod dowództwem generała majora Vallensteina przeprowadziła nieoczekiwany desant i zajęła stolicę Nowego Krymu, miasto Nowy Sewastopol. Nasze straty są minimalne. Stworzenia, które spustoszyły Omegę-8, Iwołgę i planety grupy Kappa, wyrwały się spod kontroli i zwróciły przeciwko swoim panom. Żołnierze generała Vallensteina musieli ratować mieszkańców przed oszalałymi potworami. Dzięki zastosowaniu najnowszych technologii stwory atakujące ludzi zostały zlikwidowane, a na Nowym Krymie przywrócono spokój i normalne życie. Obecnie trwają pertraktacje z mieszkańcami planety (jak zapewne pamiętają nasi słuchacze, mieszkańcy Nowego Krymu powstali przeciwko tyranii tak zwanej Federacji) na temat miejsca planety w składzie naszego mocarstwa...

Jego ekscelencja regent, arcyksiążę Adalbert, wystąpił dzisiaj na konferencji „Pokój i

zgoda dla Imperium", oświadczając, że jedną z przyczyn buntu w sektorze pogranicznym była zbyt twarda polityka centrum wobec odległych kolonii...

Wiadomości Narodowo-Demokratycznej Federacji Trzydziestu Planet:

--Po zacieklej, wielodniowych walkach nasze oddziały oddały stolicę Nowego Krymu, miasto Nowy Sewastopol. Wróg osiągnął ten chwilowy sukces jedynie za cenę ogromnych strat, bo jego najlepsze dywizje zostały zlikwidowane przez naszych dzielnych bojowników. Na tyłach okupantów organizowany jest obecnie ruch partyzancki.

Wszystkie pogłoski o rzekomym wzięciu do niewoli towarzyszką Dariany Dark są brudnymi kłamstwami imperialnej propagandy. W rzeczywistości towarzyszka Dark stanęła na czele walki z agresorami w lasach Nowego Krymu. Imperialni kłamcy nie zdołali nawet stworzyć wiarygodnej „falszywki” -- nie pokazali towarzyszką Dark w więziennym stroju...

To był koszmar. Zobaczyłem całe życie Dariany Dark, poczynając od chwili, gdy komórka jajowa została zapłodniona, a potem połączona z biomorfem. Lawina wspomnień -- przypuszczam, że o większości z nich Dariana zapomniała dawno temu. Wychowanie w dziwnej, dużej rodzinie, gdzie wszystkie dzieci były ciche, posłuszne i jakieś takie niemrawe, a w dodatku raz po raz zapadały na niezrozumiałe choroby, często śmiertelne. Ale rodziców bynajmniej to nie martwiło, miejsce zmarłych dzieci zajmowały nowe.

Widziałem moją planetę, gdzie rzeczywiście przenieśli się uciekinierzy, widziałem prywatne gimnazjum Oboleńskiej i nawet mojego ojca w wieku chłopięcym. Widziałem wszystko.

A potwierdzenie tego, co zaczęliśmy podejrzewać, coraz to się umacniało.

Biomorfy znaleziono na wielu planetach, gdzie, ukryte, czekały na swój czas. Z tego co zrozumiałem, rodzice Dariany Dark byli jednymi z pierwszych ludzi, którzy zaczęli się nimi zajmować i dość szybko wpadli na pomysł wyhodowania *homo super*. Ponieważ jednak zrobili coś inaczej niż moi rodzice, niemal od samego początku Dariana Dark miała nad biomorfami ogromną władzę.

Dowiedziałem się, że chociaż próbowano utrzymać w absolutnej tajemnicy samo istnienie podobnych eksperymentów, jakieś informacje jednak się przesączyły i skłoniły innych do powtórzenia udanych doświadczeń.

To byli straszni ludzie -- nie waham się określić w ten sposób również moich rodziców. Zdecydowali, że los -- a może nawet sam Pan Bóg? -- wręczył im ognisty miecz, prawdziwą broń zemsty, która pomoże zniszczyć imperialną dyktaturę.

Jakże głęboko się mylili.

Jakaś siła hojnie rozrzuciła biomorfy po dzikich planetach -- może miały być pułapką, a może próbą dla tych, którzy je odnajdą.

I ta sama siła uznała, że ludzkość nie przeszła tej próby.

Młoda Dariana włączyła się do prac nad biomorfami jeszcze na studiach i jako pierwsza zaczęła zastanawiać się nad tym, jak skłonić je do latania poza granicami atmosfery. I wtedy -- jakże w porę! -- pojawiły się informacje, że Dbigu dysponują wspaniałymi technologiami antygravitacyjnymi. Pozostawało już tylko jedno -- nawiązać kontakt z praktycznie niedostępnymi ośmiornicami.

Kto inny zapewne cofnąłby się w obliczu takiej przeszkody. Ale nie Dariana.

Pomyślałem, że powinien istnieć ruch przeciwny (jeśli nieco rozsunie my ramy mojej teorii

immunologicznej) -- Dbigu mogli sami szukać kontaktu z tymi, którzy zajmują się biomorfami, żeby pomóc „uczynić martwym to, co martwe”, jak wyrazili się w odpowiedzi udzielonej imperialnej dyplomacji.

Mechanizmy obronne superczłowieka działają na wiele sposobów, żaden nie zostaje z góry odrzucony i zawsze istnieją warianty zapasowe. Dariana Dark rzeczywiście zdobyła antygravitatory -- tu Kriwoszejew nie kłamał -- ale otrzymała je w zupełnie inny sposób, o czym współpracownicy pani Dark już nie musieli wiedzieć. Niech sobie myślą, że to tajemnicza przesyłka od nie wiadomo kogo, po co mają wiedzieć, że maczali w tym macki prozaiczni Dbigu.

Okazało się, że w tym systemie ośmiornice odgrywają bardzo ważną rolę. Nie tylko produkują sakramentalne antygravitatory i dostarczają je na planety zajęte przez biomorfy, ale również oczyszczają „ranę”, kiedy już Rój (czy inna konfiguracja bojowa) zdławi opór „komórek nowotworowych”.

Niewykluczone, że sami Dbigu są dalecy od zachwycania się swoją rolą, ale co mają począć? Idą jak skazańcy, sami nie wiedząc, co robią. Gdy stawką jest przeżycie superczłowieka, interesy poszczególnych komórek cywilizacji nikogo nie obchodzą.

Widziałem we wspomnieniach Dariany, jak rosła armia biomorfów, jak coraz szerzej zarzucała sieci sama Dariana -- jedyna osoba, która umiała z nimi pracować, której słuchały wykluwające się w laboratoriach potworki.

A wszystko jakby równoległe z działalnością brygad międzynarodowych i tym podobnych organizacji! I właśnie tam odnaleźli Darianę ludzie Joachima von Darkmoore'a, wszechwładnego szefa imperialnej Służby Bezpieczeństwa. Rzecz jasna, każda ze stron była przekonana, że to właśnie ona oszukuje tę drugą. Tajniacy nie wątpili, że trzymają Darianę na haczyku, Dariana była absolutnie pewna, że gdy będzie trzeba, tajniacy zatańczą tak, jak im zagra.

I jak się okazało, niewiele się pomyliła.

Teraz wszystko stało się jasne.

W marzeniach Dariana Dark widziała siebie w roli władczyni potężnego gwiazdnego mocarstwa, opartego na odwadze i wściekłości ludzi, na technologiach Dbigu i niezliczonych zastępach posłusznych jej woli biomorfów. Przy okazji -- rzeczywiście sprzedawano jeńców Dbigu i robili to zarówno imperialni, jak i ich przeciwnicy. Tajna policja Imperium wysyłała transportowce pełne wczorajszych powstańców, a tajna służba brygad -- statki ze „zdrajcami i kolaborantami”.

Dowiedzieliśmy się też mnóstwa innych rzeczy, ale wszystko to bladło wobec sprawy najważniejszej -- Dariana Dark pokazała nam, gdzie znajduje się najbliższa planeta zamieniona w „fermę hodowlaną” biomorfów. Najwyraźniej ta kwestia bardzo interesowała niedawną terrorystkę. Darianę również nawiedzały wizje i poświęciła wiele czasu na ich rozszyfrowanie. W stanie hipnozy powoli i starannie rekonstruowała mapę nieba, powtarzała seanse raz po raz i w końcu precyzyjnie trafiła. Byłem pod wrażeniem jej siły woli -- potrafiła świadomie wprowadzić się w trans, wejść w kontakt z rozproszonymi biomorfami, czerpać z ich zbiorowej podświadomości, wizualizując otrzymane dane i przetwarzając w pełnowartościowe informacje. Podobnie jak my, Dariana marzyła o locie na tę planetę, licząc, że uda jej się nad nią zapanować.

Nie zastanawiała się zbytnio nad swoim darem. Istnieją przecież poliglodzi znający

dziesiątki języków, są chodzące arytmometry, przeprowadzające w pamięci błyskawiczne, wielopiętrowe obliczenia, dlatego więc ona, Dariana Dark, nie miałaby zostać obdarzona unikalnym talentem kierowania biomorfami?

Rodzice nie powiedzieli jej całej prawdy. Dlaczego? To już na zawsze pozostanie tajemnicą -- odeszli do lepszego świata, zabierając tę informację ze sobą.

...Gdy się od siebie oderwaliśmy, Dariana leżała na łóżku z nieprzytomnym wyrazem twarzy, w jej spojrzeniu czaił się obłęd. Gilvy skrzywiła się boleśnie.

--I ja pracowałam dla kogoś takiego...

--To tylko znaczy, że postąpiłaś słusznie, przestając dla niej pracować.

Moja przyjaciółka uśmiechnęła się blado.

--Wiesz, czego żałuję? Że Dariana nie знаła ludzi, którzy mnie stworzyli.

--Skoro nawet nie podejrzewała istnienia twoich zdolności...

--Skąd mogła podejrzewać? Przecież nawet o sobie nic nie wiedziała. Agentka Salim przeżyła pod Rojem? Szczęśliwy przypadek, nic więcej. Należy to wykorzystać, zamiast łamać sobie głowę nad przyczynami. Zwycięstwo wydawało się tak bliskie, a tu...

--A tu zjawia się Ruslan Fatiejew i wszystko psuje.

--Właśnie. -- Gilvy skinęła głową i znowu się skrzywiła, patrząc na swoje nadgarstki. -- Zawołaj Vallensteina, Rus. Pewnie już tam się skręca z ciekawości.

A więc znaleźliśmy dokładne współrzędne planety -- niewiarygodne szczęście. Na pewno istniały inne drogi do uzyskania tej wiedzy, dłuższe i bardziej żmudne; nasza zdolność wyczuwania biomorfów rosła i nie wątpię, że oboje z Gilvy mogliśmy dokonać tego, co zrobiła Dariana. Teraz to już było nieważne -- teraz czekał nas ostatni etap operacji, lot do planety biomorfów.

--Gilvy, jedźmy do moich rodziców. Przedstawię cię i...

Pokręciła głową.

--Nie, Rus. Dziękuję, ale... Lepiej trzymaj się swojej Dalki. Będzie dla ciebie dobrą i wierną żoną.

--Skąd ci przyszło do głowy, że...

--Ano przyszło. -- Znów ten błady półuśmiech. -- I nie zadawaj niepotrzebnych pytań. I... i nie śpij ze mną dziś w nocy.

--Jak chcesz -- powiedziałem ostrożnie. -- Ale, Gil, wyjaśnij mi...

--Nie -- ucięła. -- Biegnij, helikopter czeka. I pamiętaj, że mamy bardzo mało czasu.

--Dlaczego? Przecież Dariana Dark jest w naszych rękach, i to pod ścisłą kontrolą. W Służbie Bezpieczeństwa czystki. Nasi „osobiści” tajniacy wyglądają, jakby ich ktoś zdzielił cegłą. A tego, który mnie przesłuchiwał, podobno zesłali na Swaarg na podstawie artykułu o zdradzie państwa.

--Nie chodzi o tajniaków czy Darianę. -- Gilvy pochyliła się i cmoknęła mnie w nos. -- Wystarczy tego wypoczynku. Dwadzieścia cztery godziny, i z powrotem.

--Tak jest, pani podporucznik! -- zasalutowałam żartobliwie.

Nie będę opisywał spotkania z moją rodziną. Łzy, uściski, okrzyki... Ojciec przeniósł się już do Nowego Sewastopola, stara Duma -- to znaczy ci, którzy przeżyli -- zebrała się w zniszczonym budynku, do miasta wracali wysiedleni mieszkańcy, martwych pochowano, a w cerkwiach odbywały się nabożeństwa żałobne po wszystkich zabitych i zjedzonych przez Rój.

Nieliczni przesiedleńcy, którym udało się przeżyć pod Rojem i nie zwariować, przyłączali się do nas.

Nie spotkałem się z Dalką. Po Gilvy nie potrafiłem spojrzeć jej w oczy.

Przekazałem ojcu dokumenty podpisane przez jego ekscelencję regenta; teraz to już była sprawa Dumy. Niech negocjują i dyskutują, określając nasz przyszły status. No i była również kwestia gwarancji...

--O to się nie martw -- powiedział ojciec dziwnie posępnie, gdy skończyłem swoją opowieść. -- Gwarancje będą. Tylko o nic mnie teraz nie pytaj. Wszyscy musicie najpierw wrócić. Twoja Dala już zerwała wszystkie...

--Przestań, tato.

--Dobrze, dobrze, czy ja coś mówię? -- ojciec wycofał się podejrzanie szybko. Obejmując mnie na pożegnanie, poprosił szeptem: -- Tylko wróć, synu.

Ostatni lot dłużył się niemilosiernie. Gilvy, jakby złożyła śluby milczenia i cnoty, całymi dniami i nocami siedziała sama w zamkniętej kajucie i nie życzyła sobie z nikim rozmawiać. „Merona” dumnie cięła podprzestrzeń -- czy co tam może cięć imperialny kliper, a ja nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Mieliśmy wykonać ostatnią część planu, część opartą jedynie na niejasnych przesłankach. Zresztą czy materiał, który wzięliśmy, okaże się wystarczający?...

„Merona” miała do pokonania sporą odległość -- od niepozornej gwiazdki przypominającej Słońce dzieliło nas pięćdziesiąt lat świetlnych. Nie czekają tam na nas straszliwe twierdze kosmiczne, wzniesione przez złych Obcych. Tak naprawdę nigdy nie walczyli z nami „źli Obcy” -- przecież Dbigu, nawet jeśli walczyli, robili to bez złości.

Pokładowy zegar odmierzał umowne dni i noce; oblakana Dariana Dark śliniła się i moczyła w komfortowym lazarecie pod czujną kontrolą Vallensteina; Klaus Maria wyciskał z żołnierzy siódme poty, jakby chciał zawojować z Tannenbergiem połowę wszechświata (jeśli dodać oddziały 2. Korpusu, to druga połowa również nie pozostałaby bezpańska), a ja wałęsałem się po korytarzach ogromnego statku i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Zbliżał się koniec całej historii. Chciałem wierzyć, że szczęśliwy, że pomyślnie przeprowadzimy nasz plan i wrócimy do domu, że Jego Wysokość Cesarz spełni daną mi obietnicę i imperialna flaga na Nowym Krymie zjedzie z masztu, że bezsensowna bratobójcza walka między Imperium a Federacją zakończy się sama z siebie, że moja planeta wyleczy rany i błękitne fale znowu będą uderzać o brzeg Nowego Sewastopola. Niech przyjeżdżają do nas górnicy z Borga, niech się kąpią, opalają i rozpluwają z zachwytu nad naszymi polzunami (w sosie własnym), tylko niech nie sikają z balustrad. Niech zapanuje cisza, spokój i nuda, niech nastanie czas, o którym dziejopis mógłby napisać: „Roku takiego a takiego od stworzenia świata nie było nic, tylko wielka cisza”.

A nasze dzieci zaczną przeklinać tę nudę, marzyć o wielkich czynach i zazdrościć nam, że dokonaliśmy tak niezwykłych rzeczy. A jużci, dokonywaliśmy... Szliśmy naprzód, zostawiając za sobą trupy, zdradzając i zadając ciosy w plecy, usprawiedliwiając się tym, że to nie rycerski pojedynek i że jednak są cele uświęcające wszelkie środki...

Ale to wszystko zdarzy się później, kiedyś, a na razie...

A na razie staliśmy z Vallensteinem, Dietrichem Möchbauem, Rudofem Bulowem oraz innymi oficerami brygady i bez słowa spoglądaliśmy na otwierający się przed nami niewiarygodny widok.

Setki tysięcy macic wirowały wokół planety, dokładnie tak samo jak w mojej wizji. „Merona” wyszła na wysoką orbitę. Planeta nieco większa od Ziemi, lądu mało, podobnie jak na Nowym Krymie, za to ocean... ocean okazał się olbrzymim, brązowym kisleem biomorfa.

Nikt nam nie przeszkadzał, nikt nas nie atakował. Macice w ogóle się nami nie interesowały.

--Ruslanie, w którym miejscu mamy wylądować?

--To bez znaczenia, panie generale. Na dowolnym brzegu z jakąś, jeśli to możliwe, naturalną osłoną. Ktoś przecież będzie musiał powstrzymać tutejszych mieszkańców, dopóki nie wykonamy z Gilvy zadania -- powiedziałem, rozsądnie przemilczając fakt, że wcale nie jestem pewien sukcesu.

--W takim razie proponuję tam. -- Vallenstein wskazał punkt na dopiero co wydrukowanej mapie. -- Tuż obok są góry i strome skały. Pasuje?

Skinąłem głową.

Trzy wahadłowce, ponad stu komandosów -- więcej nie trzeba, ich zadanie ma polegać jedynie na osłanianiu nas -- no i oczywiście ja, Gilvy i najważniejsza postać w naszej ekspedycji: Dariana Dark.

Macice krążyły obojętnie po własnych orbitach i najwyraźniej miały w nosie trzy stalowe pudelka, które sunęły w dół, ku powierzchni planety.

Mogłaby to być całkiem sympatyczna planeta. Atmosfera tlenowa w pełni nadawała się do oddychania, w tutejszych górach na pewno kryły się jakieś złoża, a w morzu, gdyby udało się je oczyścić z biomorfów, żyłyby ryby... Mrzonki, Ruslanie. Dobrze wiesz, że oczyszczenie morza jest nierealne. Moglibyśmy je najwyżej zlokalizować i zniszczyć, ale razem z biomorfem musielibyśmy zniszczyć całą planetę. I nie o to chodzi, że ludzkość nie jest do tego zdolna -- w końcu nikt nie wycofał z użytku bomb o ładunku stu pięćdziesięciu megaton, ale tym razem nie mieliśmy w planach aż takiej destrukcji.

Wylądowaliśmy. Siła przyciągania jest tu nieco mniejsza niż na Nowym Krymie czy Ziemi, początkowo w całym ciele czuje się przyjemną lekkość. Nikt nie ostrzeliwał nas w stratosferze, nikt nie przeszkadzał nam wylądować, ale gdy tylko opadły pochylnie, od razu poczułem się jak na Iwoldze czy Kappie-4.

Tu również nie brakowało latających i biegających stworów, przejawiających niczym nieumotywowaną agresją -- ledwie nas zobaczyły, poczuły przemożne pragnienie skosztowania tych dziwnych istot w pancernych kombinezonach.

Chłopcy zajęli pozycje obronne. Ich zadanie polegało na tym, żeby utrzymać się do czasu, aż ja i Gilvy zrobimy wszystko co trzeba, kiedy upewnimy się, że proces został rozpoczęty i ma właściwy przebieg.

Rzecz jasna, należałoby przysłać tu ekspedycję naukowców prawdziwego zdarzenia -- stacjonarną, wielomiesięczną, a nie kliper z komandosami. Przelotnie pomyślałem, że jeszcze dożyję tych szczęśliwych czasów... pod warunkiem że dzisiaj wszystko pójdzie dobrze.

--Chodźmy, Rus. -- Gilvy szturchnęła mnie.

To były jej pierwsze słowa od wielu dni.

Idący za nami Mikki i Razdwakriak prowadzili potykającą się Darianę.

A oto i brzeg. Gładkie, czarne kamienie -- niegdyś rozbijały się o nie morskie fale, teraz kołysz je leniwie brązowa, połyskliwa powierzchnia biomorfa.

Z trudem stłumiłem w sobie pragnienie zanurzenia się w tej ciepłej masie, w tym początku początków, w pierwotnym źródle, które mnie przeistoczy, da mi nowe ciało i nowy sens istnienia...

--Szybciej -- wychrypiała Gilvy. -- Nie możemy tu długo sterczeć...

--Dlaczego?

--Dlaczego, dlaczego! Przestań zadawać głupie pytania i rób, co mówię! -- krzyknęła Gilvy. Chyba była na granicy hysterii.

--Mikki, Kriak, możecie iść. -- Machnąłem ręką stropionym chłopakom, którzy w milczeniu przestępowali z nogi na nogę. -- Wracajcie do oddziału, poradzimy sobie.

--Zostaniecie bez osłony, panie... Ruslan? -- Fin z wysiłkiem opuścił moją ramię.

--Tak. Skrzydlaci atakują tych, którzy do nich strzelają, a my tu sobie cichaczem...

--Tak jest! -- Razdwakriaka nie musiałem zbyt długo namawiać. Chyba on jeden rozumiał, co się tu zaraz stanie i wyraźnie wołał uczciwą strzelaninę do monstrualnego kraba, który usiłuje cię pożreć, niż to, co mieliśmy zamiar zrobić.

Ukryliśmy się w skalach. Za naszymi plecami huczały strzały, ale tutaj, w maleńkiej zatoczce, osłoniętej z dwóch stron skalami, panował spokój. Albo nas nie zauważono, albo stwory rzeczywiście atakują tylko tych, którzy stawiają czynny opór, emitują nienawiść i tak dalej. I ja, i Gilvy trzymaliśmy swoje emocje na wodzy.

--Dawaj ją, Rus. -- Gilvy zaczęła rozbierać Darianę.

Poczułem, jak drżą mi palce. Ty lajzo, skłamałem się w myślach, cieniasie, fajtłapo! Dwa razy omal jej nie zabiłeś, cały czas serdecznie życzyłeś jej śmierci, a teraz, gdy pozostaje już tylko dokończyć to, co rozpoczęte, robisz pod siebie ze strachu? Szkoda ci jej? Przypomnij sobie Nowy Krym, przypomnij przesiedleńca Dawida i jego rodzinę, z których pewnie zostały ogryzione kości! A wszystko przez nią, przez tę kobietę, z której Gilvy ściąga teraz spodnie, nie czując, zdaje się, najmniejszych wątpliwości czy wahań.

--Bez ubrania powinno pójść szybciej -- wyjaśniła Gilvy, widząc moje spojrzenie.

Wtedy z przerażeniem dostrzegłem, że z oczu Dariany odpływa szaleństwo i to, co złamaliśmy w niej naszym przesłuchaniem, rozpaczliwie próbuje dojść do głosu.

Gilvy rozpięła Darianie koszulę (nie mogłem się zmusić, żeby jej pomóc), gdy Dark z trudem uniosła głowę i zapytała ochryple:

--Co... co chcesz... zrobić?!

Nikt jej nie odpowiedział. Gilvy zacisnęła zęby i szarpnęła nieposłuszny guzik, aż odskoczył.

--Co?... -- powtórzyła Dariana, rozglądając się. Zobaczyła ciągnące się aż po horyzont morze brązowej biomasy i zrozumiała. -- Nic ci z tego nie wyjdzie! Nie ruszają mnie!

--Zaraz się przekonamy -- powiedziała spokojnie Gilvy.

--Przekonuj się, przekonuj! Nic z tego nie...

--Milej kąpieli -- powiedziała zimno była agentka Salim, spychając nagą Darianę w objęcia czekającego biomorfa.

Dark zanurzyła się z głową, zaczęła się rzucać i wynurzyła, plując i prychając.

--Co, za głęboko? -- zapytała z fałszywą troską Gilvy. -- Rus, podłóż jej kamień. Nie chcemy przecież, żeby się zachłysnęła...

Związana Dariana wiała się i próbowała uwolnić, chociaż wiadomo było, że i tak jej się nie

uda. Nic się nie działo.

--No, Rus, zaczynaj, tak jak mnie uczyłeś. -- Gilvy westchnęła ciężko.

I zaczęliśmy.

...Patrz, co ci się trafiło, mówiłem w myślach do biomorfa. Obce ciało. Wrogie. Część ciebie stała się twoim wrogiem. Pochłoń ją i wtedy zrozumiesz, że to twój wróg. I...

Dariana zaczęła się histerycznie śmiać. Otworzyłem oczy. Kilka ukształtowanych macek leniwie sunęło po jej ciele, ale bez szczególnego zainteresowania.

--A nie mówiłam, Rus? -- zauważyła Gilvy, choć przecież nic takiego nie mówiła. -- A nie mówiłam... -- powtórzyła z głuchą, beznadziejną, nieludzką rozpaczą.

--Panie kapitanie, tu starszy sierż...

--Słucham, Klausie Mario.

--Ruslanie, stwory ciągle się pchają, jest ich coraz więcej! Chłopcy zacieśniają pierścień obrony... Bardzo was proszę, pospieszcie się. Utrzymamy się tak długo, jak będzie trzeba, ale...

--Zrozumiałem, Klaus, dziękuję ci. Wytrzymajcie jeszcze pół godziny...

--Pół godziny się utrzymamy, nawet godzinę, jak będzie trzeba. Ale potem może być kiepsko.

--Zrozumiałem, bez odbioru.

Popatrzyliśmy na siebie z Gilvy. Dariana śmiała się dziko i histerycznie. Dwie macki już się rozpadły, została jedna, podrygująca obojętnie wokół łydki związanej kobiety.

--No i co, wyszło wam? Wyszło? -- Dark zanosila się śmiechem. -- Ni cholery wam nie...

--Rus! -- krzyknęła ostro Gilvy.

Ponad skałami przeleciał cień. Wydłużona paszcza, jak u pradawnego pterodaktyla, spiczaste zęby, błoniaste skrzydła, ostre szpony na zgięciach...

Wystrzeliłem z podrzutu, stwór przekeziolkował w powietrzu i spadł jak kamień do zatoki. Jego tułów zaczął się natychmiast rozpuszczać, przemieniając się w pierwotnego biomorfa.

--Jeszcze dwa!

Na tę parkę skrzydlatych gości zużyłem połowę magazynku.

--Nie weźmie jej... -- usłyszałem głos Gilvy. -- Nie weźmie. Myliłeś się, Rus, gdy myślałeś, że możemy sprawić, żeby... Nic nie możemy, najwyżej tylko jedno... No, strzelaj wreszcie, co się na mnie gapisz!

Rzeczywiście szybko musiałem zmienić obiekt zainteresowań. Znad ostrej krawędzi skały w dół pikowało jednocześnie pięć bestii.

Steier w moich rękach szarpnął się, plując ogniem. Gdy już rozstrzelałem ostatniego potwora i wreszcie mogłem się odwrócić, Gilvy, moja Gilvy stała naga po kolana w biomorfie.

Oniemiała Dariana Dark wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

--Nie ruszaj się, Ruslan -- powiedziała spokojnie Gilvy. -- Stój i nie ruszaj się. Zaraz tu znowu przylecą, a ja potrzebuję czasu.

--Gil, ty... wracaj tu, głupia! -- Skoczyłem za nią. Przecież już miałem okazję popływać w tej zupie. Poza tym pancerz...

--Nie jestem głupia. -- Odsunęła się ode mnie, wchodząc jeszcze głębiej. -- Popatrz na mnie, Rus, przyjrzyj mi się uważnie. -- Uniosła ręce i odwróciła je tak, że bym mógł zobaczyć wewnętrzną stronę nadgarstków i wgłębienia pod pachami. A tam, na jasnej skórze...

Nie zapomnę tego widoku nigdy w życiu. Wszystkie strachy i horrory w jednej chwili stały

się rzeczywistością.

Na ciele Gilvy pojawiły się małe okrągłe punkty, przypominające oczka na zleżałym kartoflu. A z każdego punktu wysuwał się jeden wyrostek -- krótki, pokryty śluzem, z czymś w rodzaju cmokających ust na końcu... Ohydne wyrostki podrygiwały, kołysały się, kręciły, usiłując złapać niewidoczną zdobycz.

--Nie wytrzymałam powiedziała po prostu Gilvy. -- I nie potrafię tak dłużej.

--Gilvy! Nie! Wszystko jeszcze można...

--Nic już nie można, Rus. Widzisz przecież, że tego ścierwa -- wskazała Darianę -- nawet tutaj nikt nie zechce zjeść. A ja... ja nie chcę trafić do muzeum. I nie pozwolę pociąć się na kawałki... Zresztą co byście beze mnie zrobili... -- Jej głos zadrżał, wargi wykrzywiły się. -- Boże... gdybym tylko cię tak nie kochała! Gdybyś wiedział, jak ja cię kocham... Poza tym... -- Weszła jeszcze głębiej i krzyknęła: -- Nie! Wracaj na brzeg, szybko, wynoś się stąd! Nie chcę, żebyś widział, jak mnie... jak ja... Aaaa! -- wrzasnęła nagle, nie panując nad sobą. -- Nienawidzę was, brązowe robale! No, jazda, zryjcie mnie, słyszycie?! Nienawidzę was i całego waszego plemienia, i tych, którzy was stworzyli, wy...

W jednej chwili wokół Gilvy zaroilo się od macek, które otuliły ją od stóp do głowy. Ona wymachiwała rękami, ale nadal stała, niczym walczący z węzami morskimi Laokoon. Nie upadła i nie spuszczała ze mnie wzroku.

--Rus... wynoś się!... -- warknęła.

--Nie! -- usłyszałem własny krzyk.

Wszystko zniknęło i liczyło się już tylko jedno -- ciało Gilvy, oplecione tą żywą pajęczyną. Dark wrzasnęła dziko.

--Rus! -- usłyszałem głos Gilvy z poruszającego się kokonu. -- Boli! Aaa!

Nie myślałem już. Nie powinienem tego robić w żadnym razie, ale, do cholery, jestem człowiekiem! Człowiekiem, a nie...

Na pewno bym nie spudłował. Opierzona strzała steiera weszłaby dokładnie w skroń Gilvy. Wiem, że umarłaby błyskawicznie, bezboleśnie, uwolniona od cierpień, strachu, rozpacz...

Nie, rozległo się w moim umyśle. Nie rób tego. Jeszcze nie jestem gotowa. Ale już mnie nie boli. Ból odszedł, gdy załatwiły mi nogi. Nie strzelaj, Rus. Jeśli w ogóle coś do mnie czujeś, nie strzelaj. Wówczas moja ofiara stałaby się daremna...

Gilvy!

Macki już szarpały jej ciało, wpijały się w nie, drążąc i rozrywając... Powierzchnia biomorfowego morza zabarwiła się purpurą, ale Gilvy nadal żyła, rozplywała się w brązowym substracie, stawała się jego częścią. Kokon zanurzał się powoli i nagle zobaczyłem jej twarz -- nieludzko spokojną i przezroczyście bladą... Wargi się poruszyły i odczytałem:

--Żegnaj, Rusłanie...

W tym samym momencie brązowa ciecz obok Dariany Dark zawrzała, z głębin wyłoniły się następne macki, wściekle atakując nową zdobycz. A tam, gdzie powoli zanurzał się kokon Gilvy, na powierzchni biomorfa pojawiały się i pękały pęcherze -- wylatywały z nich skrzydlate stwory, większe i bardziej nieprzyjemne od tych, które zastrzeliłem niedawno. Nie zwracając na mnie żadnej uwagi, „nowi” rzucili się na pobratymców wylaniających się zza skał i wyraźnie planujących sprawdzenie morderczego działania mojej broni.

Tym razem nie musiałem strzelać.

Gilvy...

Wszystko w porządku, ukochany. Już mnie nie boli, niedługo będzie po wszystkim, trochę tu przyspieszyłam różne procesy. Zaraz twoim ludziom będzie lżej. A potem... Twój plan się powiódł, Rus.

Stałam nieruchomo, nie mogąc się poruszyć. Gilvy zanurzyła się czy raczej została rozpuszczona już do pasa, a biomorfa ulżył jej agonii tak, jak potrafił. Dopóki będzie żył mózg, dopóty będzie żyła Gilvy. Tylko przez kilka minut, ale będzie.

Nawet nie próbuj, uprzedziła moje pragnienie. Mnie już i tak nie pomożesz. Zaraz wyprodukuję więcej tych skrzydlatych i każdy będzie niósł w sobie naszą nienawiść. Atakując mnie, zaatakowały takiego samego biomorfa, więc od teraz będą pożerać tylko siebie. Zabiorę antygravitatory tym już gotowym do wylotu -- teraz ja tu dyktuję warunki.. Wszystko poszło tak, jak chciałeś, Rus. Tylko nie strzelaj, proszę cię, nie strzelaj. Przecież nie musimy ginąć oboje. Ty się zatrzymałeś, ja nie. Wcześniej czy później i tak by do tego doszło, biomorfa zaczął rosnać w siłę. A tak... przynajmniej na coś się przydam. Macice poznały nowego wroga. Teraz już nie będą miały dla nas czasu. To był dobry plan...

Tak, to był najlepszy pomysł, jaki przyszedł mi do głowy. Choroba systemu immunologicznego, organizm produkujący antyciała przeciwko własnym tkankom. Nic innego nie mogłoby nas osłonić. Nawet gdybyśmy zrzucili na tę planetę bomby wodorowe, nic by to nie dało. W całej galaktyce mogło być jeszcze całe mnóstwo takich planet, z nich przyleciałyby nowe macice i przybywałyoby ich aż do chwili, gdy ludzkość by padła w walce po wyczerpaniu wszystkich sił.

Teraz zajmą się sobą. Nowe macice, gotowe pożreć „czyste” biomorfy, zaczną startować z planety i szukać swoich wrogów. Znajdą ich na pewno, może nie od razu, ale znajdą. Nie sądzę, by ludzie od dziś mogli spać spokojnie, ale teraz przynajmniej nasz wróg ma jeszcze jednego, wewnętrznego wroga.

Dariana Dark zacharowała po raz ostatni i umilkła -- tym razem na zawsze. Macka, która zacisnęła się na jej szyi, pociągnęła ją w głąb biomasy. Zostawiając za sobą krwawy ślad, Dariana na wieki skryła się w brązowym morzu.

A tam, gdzie kołysał się kokon Gilvy, nadal wybrzuszały się pęcherze. Smagnięty ludzką wolą biomorfa przeszedł samego siebie, tworząc coraz to nowe środki do walki z takimi jak on.

Rus, to już prawie koniec. Zaraz... rozpuszczę się ostatecznie. Już mnie nie boli... tylko trochę się boję. To okropne widzieć, jak odpadają ci palce, dłonie, ramiona i tak dalej. Zabierz swoich ludzi, Rus, nie macie tu już nic do roboty. Jeśli chcesz, zostań na orbicie i popatrz, jak moje macice będą się rozprawiać z tamtymi...

Gilvy, ja... nikt o tobie nie zapomni. Nigdy i za nic.

Zimny śmiech.

Ludzkość nigdy nie pamięta o swoich wybawcach. Ale nie martwię się o to, kochanie. Ważne, żebyś ty pamiętał. Pomyśl o mnie, nawet gdy będziesz obejmował swoją Dalę. Przecież było nam razem dobrze, chociaż tak krótko.

Za moimi plecami cichła strzelanina -- bestie powołane do życia przez Gilvy wyskakiwały z biomasy i szarżowały na stwory atakujące moich chłopców. Wystrzały rozbrzmiewały coraz rzadziej -- widocznie nasi wygrywali.

Kokon już prawie się wygładził, zrównał z powierzchnią biomorfa, a głos Gilvy nadal

dźwięczał w moim umyśle:

Nie bój się, Rus, nie zawiodę was. I pamiętaj, że pewnego pięknego dnia ty też, jeśli zechcesz, będziesz mógł pójść tą samą drogą. Spróbuję wytrzymać jak najdłużej. Tylko tak mi przykro, że muszę cię stracić... Ale ty i tak chciałeś przede wszystkim ratować swój Krym... Zawsze byłem na drugim miejscu. Nie umiem tak. Widzisz, jakie z nas jędze? Teraz to już naprawdę koniec. To tak, jakbym zapadała w sen. Jest ciepło, cicho i... ciemno. Ale nie do końca. Jak w pokoju dzieciennym, gdy pali się mała lampka nocna. Żegnaj, ukochany. Banalne słowa, ale nic lepszego nie wymyślę.

Głos Gilvy umilkł. Resztki kokonu zwały się z gładką, lśniącą powierzchnią biomorfa, ale pękające pęcherze, z których wyrwały się na wolność coraz to nowe potworki, nie zniknęły. Nowe bestie nie interesowały się ludźmi -- wokół było tyle innej, znacznie ciekawszej i bardziej upragnionej zdobyczy.

Nie wiem, jak długo stałem nad brzegiem tej zatoczki. Z powrotem do wahadłowca zaprowadzili mnie Mikki i Kriak. Chyba tylko ci dwaj, no i może jeszcze Klaus Maria, zrozumieli, co się tak naprawdę stało.

Nie pamiętam startu, nie pamiętam, jak wahadłowiec przyłączył się do „Merony”. Gdy doszedłem do siebie, siedziałem na mostku ze szklanką pieprzówki w ręku. Przed ekranami szalał taki zawsze spokojny i opanowany Vallenstein.

--Udało się, Rus! Udało się, słyszysz?!

--Co się udało? -- spytałem tępo.

--Macice! Nowe macice! Atakują te, które krążą wokół planety!

Nachyliłem się do monitorów jedynie przez pamięć o Gilvy.

Z powierzchni planety rzeczywiście startowały nowe macice. Z gracją i lekkością wychodziły na orbitę i podchodząc do swoich wirujących koleżanek, nieoczekiwanie otwierały się, wypuszczając całe strumienie macek. Niczym gigantyczne kalmary w walce z kaszalotami, oplątywały nimi przeciwniczki i razem spadały w dół, gdzie już rozgorzała prawdziwa bitwa.

„Merona” oddalała się od planety. Tak, teraz oczywiście przybędzie tu ekspedycja. Niewykluczone, że utworzą stałą bazę. A na razie pierwsze macice zanurkowały do „krecich nor” podprzestrzeni, prowadzących... dokąd? Do takich samych nieznanych nam planet? I czym skończy się dla superczłowieka nasza rozpaczliwa operacja?...

Mikroskopijny wirus może zabić swojego nosiciela. Może ludzkość jest takim właśnie wirusem. A może superczłowiek nawet niczego nie zauważy? Może kiedyś poradzi sobie z tą chorobą? Ale wtedy, miejmy nadzieję, Słońce już dawno zgaśnie, a ród ludzki przybierze inne formy istnienia, na przykład niematerialne.

Tak czy inaczej, wracaliśmy. Zadanie zostało wykonane. A podporucznik Gilvy Patters wystawią pomnik z czystego złota. Cesarz jest bogaty.

Epilog

Nowy Krym powitał mnie ciepłym deszczem. Daleko, za falochronami, bawiły się wieloryby. Dzisiaj nie jest ich noc, ale najśmielsze samce i tak będą skakać, chociaż samice ich nie widzą.

Wszystko się skończyło. Jestem w domu.

Mam na sobie imperialny mundur z pagonami pułkownika. Zadziałał osobisty dekret Jego Wysokości Cesarza. W drodze wyjątku. Za absolutnie wyjątkowe i niezwykle usługi oddane ludzkości w ogóle i domowi panującemu w szczególności. Nadać stopień pułkownika z pominięciem majora i podpułkownika. Na osobistą prośbę udzielić rocznego urlopu z zachowaniem pełnego żołdu.

Dalka, biedna Dalka biegnie mi na spotkanie i staje jak wryta. Wiele się zmieniło na Nowym Krymie w tym stosunkowo krótkim czasie, ale mimo wszystko Dalka nie odważyła się na publiczne obściskiwanie młodego pułkownika wojsk imperialnych.

--Rus... wróciłeś... -- Onieśmielona odwraca wzrok, szarpie sprzączkę na pasie.

--Wróciłem, Dalu. -- Usiłowałem przemawiać do niej łagodnie. W końcu co ona zawiniła, że poszła za głosem swojego sumienia, tak samo jak ja poszedłem za głosem mojego?

--Nooo... -- Przygryza wargę i zaciska pięści. -- No i co teraz? Co będzie z nami?

--Z nami? Pobierzemy się, jeśli nie masz nic przeciwko temu -- mówię lekko.

Dalka zamiera, zerka na mnie ukradkiem.

--Dalu. -- Przyklękam na jedno kolano. -- Proszę cię o rękę. W smutku i radości, w bogactwie i w biedzie bądźmy razem, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

Pompatyczne, puste słowa, ale wiem, że teraz ona chce słyszeć właśnie takie.

--Och... Ruslan, o Boże... -- Dopiero teraz rzuca mi się na szyję. -- Opowiesz mi... opowiesz mi wszystko, prawda? A jeśli miałeś jakąś inną, to przecież...

--Dajmy temu spokój, Dalu. Nie czas teraz na to... Chodźmy, moi już czekają.

Rodzice, siostry, bracia... Patrzę na nich jak na dzieci, na wszystkich, bez względu na wiek. Nie wiedzą, gdzie byłem i co widziałem. To nie na ich oczach rozpląwał się w biomorfie człowiek, który postanowił poświęcić wszystko, by inni mogli żyć.

Zakłopotana Dalka wita się z moimi rodzicami. Swieta i Lena podbiegają do niej, obejmują, wciągają w tłum i wszyscy po kolei zaczynają mi się wieszać na ramionach.

Dzisiaj jest wielkie święto: opuszczenie starej flagi i wciągnięcie nowej.

Brygada Tannenberg wkroczy triumfalnym marszem na ceremonię. General major Vallenstein, kawaler najwyższych orderów Imperium, będzie reprezentował Jego Wysokość Cesarza.

Podobno pomnik Gilvy już odlewają. Z czystego złota. Szkoda tylko, że trzeba będzie wystawiać przy nim całodobową ochronę.

Dzień upływa na niekończącej się, beztrosko radosnej paplaninie. Rodzina nie puszcza mnie od siebie nawet na krok, zaczynamy tysiąc tematów, porzucamy je, przeskakujemy na inny, znowu wracamy do porzuconego i tak bez końca.

Dalka już na całego szczebiocze z mamą i starszymi siostrami. Swiecie i Lenie chyba spodobała się myśl, że zostaną ciotkami, już się naradzają, jakie zasłony wybrać do naszej sypialni.

Podchodzę do okna, otwieram je na oścież. W dole leży Nowy Sewastopol. Już go

wyczyszczono i domyto, już łśni, choć jeszcze nie zapomniał krwawego koszmaru Roju. Moje ukochane miasto już nigdy nie będzie takie jak dawniej. Ja również nie.

Obok mnie staje ojciec.

--Już czas, Rusłanie.

Plac przed magistratem wypełniony jest ludźmi. Na każdym maszcie powiewa flaga Imperium. Wciągają mnie na trybunę, przemawia któryś z polityków. Nie słucham. Czekam na Tannenberg.

Orkiestra zagrała nieśmiertelne *Pożegnanie Słowianki* i oto na plac wchodzi -- maszerując tak, jak na żadnej innej paradzie -- szeregi mojej brygady.

Byli w niej najróżniejsi ludzie. Dobrzy i nie bardzo. Z kryminalną przeszłością i porządni. Teraz to wszystko nie ma znaczenia.

Huczy miedź orkiestry, maszeruje Tannenberg i już wszystko jedno, jakie mundury mają na sobie żołnierze tej brygady. Bo jeśli nawet te symbole splamiono niegdyś krwią, a mundury budziły grozą, to ludzie, którzy noszą je teraz, wcale nie muszą stać się takimi oprawcami, sadystami i przestępcami, jak ci z odległej Trzeciej Rzeszy.

Bo teraz właśnie widzę ludzi, a nie krój mundurów i kolor sukna. Wiem, że wiele osób się ze mną nie zgodzi i na swój sposób będą mieli rację. Sam wolalbym patrzeć na coś zupełnie innego. Ale... podpisaliśmy z Imperium nowy traktat i musimy wytrwać do końca.

Kończy się marsz, Vallenstein i mój ojciec podchodzą do masztu.

Zagrzmiała salwa artyleryjska. Jeszcze jedna. Znowu.

Flaga imperialna zjeżdża w dół, a na jej miejsce wciągają trzepoczącą na wietrze naszą rosyjską, trójkolorową. Biały śnieg przestrzeni dawnej Rosji, czerwona krew na tym śniegu i błękit rzek, mórz, i oceanów, które omywają mój kraj.

Vallenstein pieczołowicie składa imperialny sztandar i chowa go za pazuchą.

Ostatnia salwa.

Owacje.

Nowy Krym jest wolny. Osobista domena Jego Imperatorskiej Wysokości ze szczególnymi przywilejami, prawem do używania wyłącznie własnej flagi, utrzymywania własnych sił zbrojnych, posiadania wewnętrznej jurysdykcji, prawem do...

I tak dalej. Formalnie nie wychodzimy z Imperium -- ale tylko formalnie.

I o to właśnie walczyliśmy? Tego pragnęliśmy?...

Powiniennem się cieszyć, a czuję tylko palącą pustkę. W mózgu zaś tłucze się tylko jedno imię -- Gilvy.

...Gdy już wygasły fajerwerki i ucichła zabawa, znowu usiadłem z ojcem w jego gabinecie. Nasza podmiejska posiadłość bardzo ucierpiała, Dariana Dark wyładowała na bezbronnym budynku całą wściekłość, dobrze, że nie kazała wysadzić go w powietrze.

--Wiesz, tato, tak sobie myślę, że oni mieli rację z tymi gwarancjami. W porządku, zdobyliśmy traktat, ale co będzie, gdy nastanie nowy imperator?

Ojciec uśmiechnął się. Jego uśmiech wydał mi się martwy.

--Posłuchaj mnie, synu. Gwarancje są. Przecież cesarz wie, co wydarzyło się na tamtej planecie, prawda?

--Tak.

--Więc naszą najlepszą gwarancją jesteś ty. Ty i twoje dzieci, którym przekazesz swojego

biomorfa.

--Nie rozumiem...

Ojciec westchnął ciężko.

--Daj spokój, Rus. Wszystko rozumiesz, tylko chcesz, żebym ja to powiedział. Dobrze więc, powiem. Podobnie jak Gilvy, ty również możesz stać się biomorfem.

Wzdrygnąłem się. Z jego słów bił lodowaty chłód. I taki sam chłód czaił się w głębi jego oczu.

--Możesz zostać biomorfem i z Wewnętrznych Planet nie zostanie nawet mokra plama. Mogą to również zrobić twoje dzieci. Wystarczy, by jeden przedostał się na Ziemię i...

--Wiedzieliście o tym -- wyrwało mi się. -- I właśnie na to liczyliście od samego początku, wy...

--Nie zaprzeczam. -- Ojciec pochylił głowę. -- Biomorfy to straszna broń i...

Wstałem gwałtownie i podszedłem do drzwi. Pod moimi nogami zakolysała się podłoga.

Nikt mnie nie zawołał, nikt nie poprosił, żebym został.

Zresztą to już nieważne.

Prawdopodobnie naprawdę ożenię się z Dalką i rzeczywiście będziemy mieli dzieci, które poniosą w przyszłość niezbadane geny biomorfów. W Imperium też o tym wiedzą, więc nuda nam nie grozi.

Ale na razie za mną leży Nowy Krym, który udowodnił, że jest lepszy niż wszelkie imperia.

Podziękowania

Autor pragnie serdecznie podziękować:

Lence Winogradowej za zacięte walki z przeważającymi siłami gazet „Prawda”, „Izwiestja”, „Krasnaja Zwiezda” w rejonie Rosyjskiej Biblioteki Narodowej. Dmitrijowi Olejnikowowi za taktyczno-techniczne przerwanie pierścienia wroga. Majorowi Konstantemu Griszynowi (Siły Zbrojne Rosji) oraz majorowi Władimirowi Sledniewowi (MWD Rosji) -- za nieocenioną pomoc i komentarz.

* [Innere Sicherheitsdienst. -- Służba Bezpieczeństwa Wewnętrznego \(niem.\). Konrad używa nazwy w języku niemieckim zamiast abrewiatury ISS \(Internal Security Service\) \(przyp. aut.\).](#)

* [Aluzja do staroruskiego anonimowego poematu epicko-lirycznego *Słowo o wyprawie Igora* \(Słowo o polku Igorowie\) zawierającego opis walk książąt ruskich z Połowcami, uznanego za arcydzieło literatury staroruskiej \(przekład filologiczny A. Obrębskiej-Jabłońskiej\) \(przyp. tłum.\).](#)

* [Dwulufowa broń kompleksowa strzelająca pociskami odłamkowo-burzącymi 20 mm i brzechwowymi strzałkami 5.56 mm ze stopu wolframu \(przyp. aut.\).](#)

* [PZRK -- \(ros. pierienosnoj zenitno-rakietnj kompleks\) przenośny raketowy zestaw przeciwlotniczy \(przyp. aut.\).](#)

* [Wokół farm sadzono znane przesiedleńcom ziemskie gatunki drzew, które znakomicie adaptowały się na Nowym Krymie; zwyczaj znany z Zety-5 \(przyp. aut.\).](#)

* [REB -- radioelektronnaja bor'ba \(ros.\) -- walka radiowo-elektroniczna \(przyp. tłum.\).](#)

* [Czapajew Wasilij I. \(1887-1919\), legendarny dowódca bolszewicki w czasie wojny domowej w Rosji. W grudniu 1917 roku jako komisarz garnizonu w Nikolajewsku stłumił antybolszewickie powstanie okolicznych chłopów, stojąc na czele Czerwonej Gwardii, którą przekształcił później w brygadę, a następnie w dywizję. Bohater powieści Dmitrija Furmanowa *Czapajew* \(1923\), na podstawie której w 1934 roku rosyjscy reżyserzy, bracia Wasiljewowie, nakręcili najpopularniejszy radziecki film lat 30. pod tym samym tytułem. Czapajew stał się później bohaterem licznych dowcipów, anegdot i powiedzonek \(przyp. tłum.\).](#)

* [Zwrot pochodzi z powieści F. Dostojewskiego *Bracia Karamazow* \(1879-80, wyd. pol. 1913\) i oznacza cierpienie niewinnych, którego nie usprawiedliwiają najszlachetniejsze cele \(przyp. tłum.\).](#)

* [Verbindung \(niem.\) -- łączność \(przyp. aut.\).](#)

* [RSZO -- rieaktywnyje sistiemy załpowogo ognia \(ros.\) -- zestawy raketowe ognia salwowego \(przyp. aut.\).](#)

* [Chcęgo sam los prowadzi \(łac.\) \(przyp. aut.\).](#)

* [Me, me adsum, qui fecit! \(łac.\) -- Jam, jam to uczynił! \(przyp. aut.\).](#)

* [Zerströrers \(niem.\) -- niszczyciele \(przyp. tłum.\).](#)

* [Bo gdzie jest wiele mądrości, tam jest wiele cierpienia, a kto pomnaża poznanie, ten pomnaża cierpienie. \(Księga Kaznodziei Salomona 1:18, Stary Testament; nowy przekład, opracowany przez Komisję Przekładu Pisma Świętego\) \(przyp. tłum.\).](#)

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-18

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[Czterep na niebiosach](#)
[Epilog](#)
[Podziękowania](#)